

Kim Stanley Robinson

Kim Stanley
Robinson

Antarktyka



Polscy autorzy | Silesia

Kim Stanley Robinson

Antarktyka

Przełożył Łukasz Praski

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY LODOWA PLANETA

ROZDZIAŁ DRUGI STOŁECZNA NAUKA

ROZDZIAŁ TRZECI ANTARKTYCZNE NASTROJE

ROZDZIAŁ CZWARTY WZGÓRZE OBSERWACYJNE

ROZDZIAŁ PIĄTY MIEJSCE SZCZEGÓLNEGO ZAINTERESOWANIA NAUKI

ROZDZIAŁ SZÓSTY ŚLADAMI AMUNDSENA

ROZDZIAŁ SIÓDMY W DÓŁ KRÓLICZEJ NORY

ROZDZIAŁ ÓSMY GRUPA SYRIUSZA

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY TARAPATY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY MASYW ROBERTSA

ROZDZIAŁ JEDENASTY EKSTREMALNE ZJAWISKO ATMOSFERYCZNE

ROZDZIAŁ DWUNASTY TRANSANTARKTYKA

ROZDZIAŁ TRZYNASTY ZGROMADZENIE MCMURDO

ROZDZIAŁ CZTERNASTY Z DNA W GORE

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY USKOK SHACKLETONA

PODZIĘKOWANIA

"Ten ląd wygląda jak z bajki"
- Roald Amundsen

ROZDZIAŁ PIERWSZY

LODOWA PLANETA

Najpierw zakochujesz się w Antarktydzie, a potem ona łamie ci serce.

Naturalnie, z początku sprawia ci podobny zawód, jak wszystko inne na świecie - na przykład, kiedy przyjeżdżasz na lód, by robić coś niezwykłego, fascynującego i romantycznego i odkrywasz, że twoja praca jest najnudniejszym zajęciem, jakie zdarzyło ci się wykonywać: w najlepszym razie przypomina pracę woźnego, ale zwykle jest znacznie mniej ciekawa. Albo gdy odkrywasz, że McMurdo - miejsce, którego surowe przepisy firmy nie pozwalają ci opuszczać - przywodzi na myśl wyspę punktów usługowych usytuowanych przy zjeździe z dawno już nieużywanej autostrady, przeznaczonych dla podróżnych. Albo, co gorsza, kiedy poznajesz kobietę i coś się między wami zaczyna, jedziesz z nią na wakacje do Nowej Zelandii, podróżujesz z nią po Wyspie Południowej i wiesz, że to pierwsza kobieta, którą naprawdę kochasz; po urlopie wracasz do Mac i spotykasz ją, a ona rzuca cię zaraz po przyjeździe, jakby wasza idylla w krainie kiwi nigdy nie miała miejsca. Albo niedługo później widzisz ją w miasteczku, jak w najlepsze ugania się za facetami; albo, gdy dowiadujesz się, że ludzie nazywają cię "sandwiczem", robiąc aluzję do starego dowcipu krążącego wśród kobiet z lodów, że przywieźć ze sobą chłopaka na Antarktydę, to tak, jakby przynieść kanapkę na przyjęcie ze szwedzkim bufetem. I to jest pierwszy zawód.

Ale owo miejsce dostarcza jeszcze innych, typowo antarktycznych zawodów, bardziej bezosobowych niż zwykle, bardziej czystych, nieskalanych i zimnych. Na przykład, kiedy późną zimą stoisz na płaskowyżu polarnym, przyjąwszy bez namysłu propozycję wyjazdu z miasta, nie przejmując się ostrzeżeniami o nudnej pracy, bo przecież co może być gorszego od posady pracownika warsztatowo-polowego? A więc jedziesz w zamkniętej kabinie potężnego transportera, ciągle myśląc o swojej dziewczynie, dziesięć tysięcy stóp nad poziomem morza, otoczony ciemnością długiej nocy; i gdy siedząc w środku spoglądasz przez okna, niebo stopniowo rozjaśnia się brzaskiem godzinnego dnia, przechodząc przez niewidzialne fazy, od usianej gwiazdami czarnej otchłani do lśniącego barwą indygo sklepienia, wiszącego nisko nad głową; a na tle przejrzystego indygo widać maleńki rogalik księżycy, który rozświetla wielki ocean lodu, rozciągający się po horyzont we wszystkich kierunkach, blask księżycy skrzy się na śniegu, błyszczy na lodzie, a wszystko oblewa ten sam odcień indygo, jaki przybrało niebo; panuje cisza i bezruch; tak czystego światła nie można ujrzyć nigdzie na ziemi, a ty oglądasz je samotnie, jedyny świadek, niczym ostatni mieszkaniec planety; potęguje się w tobie wrażenie niesamowitego piękna tej sceny, dławiąc cię i zaciskając ci pierś jak potężna klamra; już masz złamane serce, bo siła nacisku jest ogromna, bo świat jest wielką, czystą i piękną przestrzenią i dlatego, że takie chwile są niezwykle ulotne - nie sposób wyobrazić ich sobie wcześniej ani przypomnieć sobie później i nigdy nie można już do nich wrócić. Masz złamane serce, tak - czujesz to w chwili, gdy sobie uświadamiasz, że na przekór wszystkiemu zakochałeś się w tym miejscu.

To wszystko przydarzyło się młodemu człowiekowi - wyglądającemu przez okna pierwszego ciągnika w pierwszym tej wiosny konwoju Naziemnej Transpolarnej Linii Bieguna Południowego - którego przez kilka ostatnich tygodni nazywano "sandwiczem" albo Hrabią de Sandwicz, Hrabią, Księciem Hrabią (z należną tytułowi intonacją) i Księciem; potem, ponieważ różnorodność przezwisk zaczęła się wyczerpywać i zdawała się dotykać jego czułego miejsca, wrócono do dawnego przydomku, który nadano mu na Antarktydzie w zeszłym roku: XL - bowiem taki rozmiar miał jego jasnobrażowy kombinezon Carhartta, co było uwidocznione na naszywce z przodu; a potem

skrótowo przezwisko do samego Iks. "Hej, Iks, trzeba odśnieżyć dach w łączności, kopnij się tam!"

Po przejściach z kombinacjami "sandwicza" z radością powitał swój stary przydomek, który w pewien sposób wyrażał jego nastrój i położenie - osamotnionego, anonimowego człowieka, który równie dobrze mógł być analfabetą i podpisywać się krzyżykiem, pracownika warsztatowo-polowego, czyli, jak mówiono, przynieś wynieś pozamiataj, człowieka bez nazwiska. Zresztą sam używał tego przezwiska - "Hej, Ron, tu Iks, jestem na dachu łączności, śniegu już nie ma. Co jeszcze, odbiór". -Nazywając się w ten sposób, według klasycznej teorii Erika Eriksona, dawał sygnał, że się odrodził i wziął swój los we własne ręce. I tak "Iks" wrócił do powszechnego użytku i na powrót stał się jego jedynym imieniem. Mów mi Iks. Był Iksem.

Sznur ciągników NTLBP sunął majestatycznie po pokrywie lodowej, dziesięć pojazdów jeden za drugim, które poruszały się z prędkością mniej więcej dwudziestu kilometrów na godzinę - nieźle jak na taki teren. Pojazd, w którym siedział Iks, posuwał się z chrzęstem po śladach poprzednich transportów NTLBP, znajdujących się wyżej niż otaczający śnieg, ponieważ wiatr zdążył już zdmuchnąć zasy lżejszego puchu. Pozostałe ciągniki, częściowo widoczne z małego tylnego okna wysokiej kabiny, wyglądały jak buldożery, które zresztą stanowiły ich pierwowzór. Wokół rozciągał się tylko płaskowyż polarny. Płaski krąg bieli, identyczny we wszystkich kierunkach; w świetle gwiazd pofałdowania terenu były słabo widoczne, lecz o ich istnieniu świadczyło odbijające się w nich światło księżyca.

Zgodnie z ostrzeżeniami życzliwych ludzi, nie miał tu nic do roboty.

Sznurem pojazdów sterował pilot automatyczny, kierujący się wskazaniem systemu GPS i raczej nic nie mogło się zepsuć. Gdyby jednak coś się zdarzyło, Iks nie musiałby nawet kiwnąć palcem; pozostałe ciągniki jakoś by sobie poradziły z awarią, a potem przyleciałyby zespół mechaników. Nie - Iks siedział tam, bo komuś ważnemu na górze uroiło się, że jeżeli z McMurdo na biegun jedzie transport ciągników, to powinien mu towarzyszyć choć jeden człowiek. To był jedyny racjonalny powód. W rezultacie został czymś w rodzaju amuletu dyndającego na wstecznym lusterku samochodu. Głupia funkcja. Lecz w ciągu dwóch sezonów spędzonych w świecie lodu Iks wykonywał mnóstwo głupich zadań i zaczynał już rozumieć, że obecność wielu osób na Antarktydzie ma niewiele wspólnego z racjonalnością. Rozsądne argumenty stanowiły tylko racjonalną podstawę irracjonalności, którą była chęć bycia tutaj. Skąd się brała ta chęć? Oto jest pytanie, tu tkwi zagadka. Iks przypuszczał, że każdy miał inne motywy - poszukiwanie, chęć rozwinięcia skrzydeł, ucieczka, ulotnienie się - a poza tym wszystkimi kierował ten sam impuls, którym Mallory wyjaśniał swe postanowienie zdobycia Mount Everestu: bo istnieje. Bo istnieje! I wystarczy!

I tak się tam znalazł. Sam na polarnym płaskowyżu Antarktydy, przemierzający zamrażającą płytę lodu grubości dwóch mil, pokrywającą cały kontynent, płytę, która magazynowała dziewięćdziesiąt pięć procent światowych zasobów słodkiej wody. Oczywiście, kiedy pierwszy raz mu o tym mówiono, brzmiało to fascynująco, bez względu na ostrzeżenia. Gdy już tu się znalazł, zrozumiał, co ludzie mieli na myśli, mówiąc o nudzie, ale na swój sposób było ciekawie - panowała interesująca nuda, by tak to ująć. Jak praca operatora dźwigu towarowego, którego od dawna nikt nie używa, albo oglądanie non stop zniszczonej kopii filmu "Scott na Antarktydzie". Nawet pogoda się nie zmieniała: Iks jechał pod niebem usianym południowymi konstelacjami, których nie zasnuwała najmniejsza chmurka. W czasie granatowej godziny dnia, wydłużającej się co dzień o kilka minut, od czasu do czasu pojawiał się wiatr, którego jednak Iks nie czuł i nie słyszał w zamkniętej kabinie, widząc jedynie tumany śniegu wzbijające się z białej ziemi.

Raz czy dwa zamierzał zebrać się i ruszyć na narciarski bieg przełajowy obok ciągnika; zostało to regulaminowo zabronione, ale jak słyszał, bieg stanowił najpopularniejszą formę rozrywki ludzi z

NTLBP. Jednak Iks był kiepskim sportowcem; jako nastolatek osiągnął wzrost sześciu stóp dziesięciu cali i stracił zdolność koordynacji takiego dużego ciała. Próbował narciarstwa na szlakach wytyczonych wokół Mac, lecz czynił małe postępy; czasem kusił go pomysł urozmaicenia w ten sposób monotonii jazdy ciągnikiem; jednak zawsze przychodziła mu do głowy myśl, co się stanie, jeżeli skręci kostkę albo w wyniku upadku straci przytomność - ciągniki NTLBP obojętnie miną go i ruszą dalej, a on będzie musiał je doganiać, co na pewno się nie uda.

Postanowił nie wypuszczać się na takie wyprawy. Monotonia wcale nie była zła. Poza tym musiałby pokonywać szczeliny lodowe, na które można było trafić nawet na płaskowyżu, gdzie gładki lód ciągnął się przez wiele mil.

Wprawdzie wojska inżynieryjne zlikwidowały wszystkie rozpadliny, których nie miały ochoty okrążyć, to znaczy rozwały je na kawałki, a potem spychaczami usypały wąskie drogi na zwałach pokruszonego lodu. W rezultacie powstały niebezpieczne przesmyki na Lodowcu Skeltona, który wznosił się od Morza Rossa do płaskowyżu na prawie trzydzieści kilometrów i pokrywały go tak liczne szczeliny, że nie można było wytyczyć przezeń szlaku dla transportów NTLBP; pierwsze połączenia przecięły Lodowiec Szelfowy Rossa i wspinały się po łagodniejszym zboczu Lodowca Leveretta dalej na południe. Jednak niedługo potem, kiedy transporty NTLBP zaczęły działać i stały się niezbędne przy budowie nowej stacji polarnej, Lodowiec Rossa zaczął pękać i odpływać, z wyjątkiem miejsc, w których został połączony z kontynentem i Wyspą Rossa. Trasa Skeltona mogła przebiegać przez pozostałą część szelfu i tak co roku wojska inżynieryjne wytyczały ją na nowo, po czym odjeżdżały. Nocna wspinaczka Iksa na Skeltona, między malowniczymi szczytami pasma Royal Society, była jak dotąd najbardziej emocjonującym etapem podróży: pojazd pokonywał przesmyk za przesmykiem na zwałach lodowego gruzu, mijając z lewej i prawej pola seraków, przypominające białe ruiny kilku Manhattanów.

Ale to wydarzyło się wcześniej, a gdy tylko dotarł do płaskowyżu, skończyły się wszelkie emocje. Stacje paliwowe, które mijali, były obsługiwane automatycznie; ciągniki przystawały jeden za drugim obok zielonych, baniastych pojemników i po napełnieniu baków ruszały dalej. Gdyby od czasu ostatniej trasy na drodze pojawiły się nowe szczeliny, umieszczony w pierwszym pojeździe radar impulsowy na pewno by je odkrył, a system nawigacyjny podjąłby odpowiednie działania, omijając przeszkody albo zatrzymując się w oczekiwaniu na dalsze instrukcje. Zresztą nic takiego się nie zdarzyło.

Ostrzegano go jednak przed czymś takim i był na to przygotowany. Poza tym obecne zajęcie niewiele różniło się od innych nie wymagających myślenia, którymi Ron lubił obarczać swego pracownika warsztatów o-polowego; tu Iksowi na szczęście nie groziło jego towarzystwo. Na pewno nie spotka też nikogo, kogo nie miałby ochoty zobaczyć. Był więc zadowolony. Dużo spał. Robił sobie ogromne śniadania, lunche i kolacje. Oglądał filmy. Czytał książki; był wiecznie nienasyconym czytelnikiem, a teraz mógł siedzieć i czytać książkę za książką albo na wrywki, popatrując w ekran, jakby szukał w eterze odniesień, niczym nadgorliwy student. Przerывał jednak lekturę i spoglądał przez okno na wielką przestrzeń lodu, który co dzień stawał się dłuższy i jaśniejszy. Choć nie przeżył niczego tak dojmującego jak widok pięknego nieba w kolorze indygo, z cieniutkim rogalikiem księżycy, przed świtem widział wiele pięknych kolorów. Nie mógł przyzwyczaić się do światła tych krótkich godzin - było żywe i aksamitnie gładkie, wymykając się próbom opisu, bogate i przezroczyście, przypominając mu bezustannie, że jest na biegunie dużej planety.

Tej nocy nastąpiła zmiana pogody. Gwiazdy na południu zniknęły, wschód księżycy nie odbył się o czasie, choć księżyc stał już na niebie i oświetlał szczyty chmur, płynące na północ jak wielki koc przykrywający ziemię; żadnych gwiazd, tylko niewyraźnie zarysowane pędzące chmury; potem

przez grubą izolację kabiny Iks usłyszał gwizd wiatru, którego podmuch uderzył w ciągnik. Poczul nawet, jak pojazd nieznacznie zadrżał na swych masywnych amortyzatorach. Burza! Może nawet nielicha burza!

Po chwili przez lukę między chmurami wyrzwał księżyc, widoczny już prawie w połowie; tajemniczy i przejmujący, szybko przepłynął ponad chmurami i znów zniknął. Przez chmury przemknęły jakieś czarne kształty, jak nietoperze. Iks zamrugał i przetarł oczy, pewien, że ma przywidzenia.

Z dachu pojazdu dało się słyszeć pukanie.

- Co jest, do cholery? - wychrypiał Iks. Prawie zapomniał, jak się mówi.

W tym momencie przednią szybę ciągnika przykryło coś, co wyglądało jak płachta czarnej folii. Potem zostały zakryte boczne i tylne okna. Iks ujrzał palczastą rękawicę, która przyklejała brzegi plastikowych płacht. Po chwili widział już tylko wnętrze kabiny.

- Co jest, do cholery! - krzyknął i podbiegł do drzwi, które przypominały drzwi do chłodni z mięsem. Przekręcił dużą klamkę i mocno pchnął.

W drzwiach ciągników nie było zamków, jednak nie chciały puścić.

- Co jest, do cholery! - Iks czuł jak wali mu serce. - Hej! - zawołał, patrząc na sufit kabiny. - Wypuście mnie! - Ale przez izolację nikt nie mógł go usłyszeć. Poza tym, gdyby go nawet usłyszano...

Wąskimi schodkami zbiegł z kabiny do ładowni. 2 boku sporego pomieszczenia znajdowały się drzwi towarowe otwierane na zewnątrz, ale kiedy odsunął zasuwę, nacisnął klamki i pchnął, te również ani drgnęły. Nie były tak grubo izolowane jak drzwi kabiny i gdy nadal mocno napierał, między nimi ukazał się wąski pasek wietrznych ciemności. Przyłożył oko do szpary i natychmiast poczuł chłód: pięćdziesiąt stopni poniżej zera i silny wiatr. Poniżej miejsca, przez które patrzył, szczelinę przysłaniał plastik; zapewne folię przyklejono do drzwi i to ona uniemożliwiała ich otwarcie.

- Hej! - wrzasnął przez szparę. - Wypuście mnie! Co wy wyrabiacie!

Żadnej odpowiedzi. Mróz ścinał mu twarz. Odsunął się i zamrugał oczami, przypatrując się szczelinie w drzwiach. Plastik musiał więc być przyklejony albo przyspawany do drzwi i pewnie tym samym materiałem unieruchomiono drzwi kabiny.

Przypomniał sobie o luku awaryjnym w dachu ciągnika, dzięki któremu pasażerowie mogli się wydostać z pojazdu, gdyby ten ugrzązł w szczelinie lub wpadł do pływającego lodu. Iks uważał to zabezpieczenie za głupie, ale teraz wrócił biegiem na górę, z trudem ustawił dźwignię w pozycji "otwarte" i pchnął klapę wjazdu. Nic z tego. Zacięła się. Tkwiał zamknięty w pułapce, z zasłoniętymi oknami i przednią szybą. Wszystko stało się w ciągu dwóch minut. Śmiechu warte, ale prawdziwe.

Analizując sytuację, zaczął nakładać na siebie kolejne warstwy ubrań; spodnie i kurtkę z inteligentnego materiału, izolowany kombinezon Carhartta, skafander z kapturem, rękawice i dodatkowo rękawice z jednym palcem.

Jeżeli zdoła się stąd wydostać, wszystko na pewno mu się przyda, ale póki co, zrobiło mu się okropnie gorąco. Zlany potem, włączył radio i ustawił częstotliwość McMurdo.

- Halo, McMurdo, McMurdo, transport sto trzy, wzywa Mac, czy mnie słyszycie, odbiór. - Czekał na odpowiedź, podszedł do schowka i ze skrzynki z narzędziami wyciągnął nowiusienką piłkę do metalu.

- Transport sto trzy, dzięki cudownej technice radiowej jeszcze raz udało ci się namieszać w falach eteru i połączyć się z radiostacją w McMurdo.

Cześć, Iks, co tam u ciebie, odbiór.

- Niedobrze, Randi. Chyba zostałem porwany!
- Powtórz, nie zrozumiałam ostatnich słów, odbiór.
- Mówię, że zostałem porwany. Odbiór!
- Słuchaj, Iks, mam jakieś zakłócenia. Zdaje się, że powiedziałaś pozdrawiamy? Kogo chcesz pozdrowić? Odbiór.

- Po - rwa - ny. Ktoś mnie zamknął w kabinie i zakleił okna! Odbiór!
- Iks, mówisz porwany? Co chcesz przez to powiedzieć, odbiór?
- Chcę powiedzieć, że wokół szaleje burza, a przed chwilą ktoś wylądował na dachu mojego ciągnika i zasłonił wszystkie okna czarną folią. Żadne drzwi nie dają się otworzyć, coś je trzyma od zewnątrz! Wrócę na dół i jeszcze raz spróbuję przeciąć zasłonę na tylnych drzwiach, ale pomyślałem sobie, że najpierw skontaktuję się z tobą i powiem, jak jest. Zobaczcie przez satelity, co to może być. Odbiór!

- Będziemy musieli sprawdzić zdjęcia satelitarne. Nie wiem, kto je teraz ma. Na razie nie ruszaj się, zobaczymy, jak możemy pomóc. Nie rób nic pochopnie.

- Tak, tak, tak - mruknął Iks, naciskając guzik nadawania. - Słuchaj, Randi, pójdę do tylnych drzwi i zobaczę, czy się otworzą, a potem wrócę i powiem ci, bez odbioru.

Wrócił na tył i jeszcze raz pchnął drzwi. Znow zatrzymały się na plastikowej blokadzie, ale tym razem wsunął w szparę piłę i jak szalony zaczął piłować folię. Był to chyba utwardzony plastik, poza tym drzwi znacznie utrudniały piłowanie. Zanim zdołał przeciąć folię, spocił się jak mysz, a kiedy wreszcie otworzył drzwi, w twarz uderzyło go powietrze jak fala ciekłego azotu.

- Au! - krzyknął tylko, czując, jak każdy wdech mrozi mu gardło. Nałożył kaptur i przytrzymując się drzwi, wyrzwał na zewnątrz. Oczy zaszyły mu łzami i niewiele widział.

Najważniejsze, że drzwi zostały otwarte. Udało mu się wyrwać z pułapki. Zobaczył, że następny pojazd konwoju jedzie za nim, jak gdyby nigdy nic.

Przypominało to karawanę mechanicznych słońi. Nie było nikogo i nic szczególnego nie zobaczył. Poza dudnieniem silników, skrzypieniem ogromnych kół ciągników na suchym śniegu i gwizdem wiatru, nie było słychać nic więcej; mimo to w zimnym wietrze poczuł chłodny powiew lęku i wstrząsały nim dreszcze. Powinien ubrać się jeszcze cieplej. W kabinie słyszał, mimo zakłóceń, głos Randi, z charakterystycznym nosowym akcentem ze środkowego zachodu:

- Tu McMurdo, wzywam transport sto trzy, Iks, odezwij się, co się tam u ciebie dzieje? Meteorolodzy mówią, że jesteś w warunkach pogodowych numer jeden, więc lepiej uważaj! Mówią też, że na zdjęciach satelitarnych nic nie widać, bo warstwa chmur zasłania Ziemię. Iks, odezwij się, odbiór.

Zamiast usłuchać wezwania, wypuścił schodki i zbiegł na ubity, skrzypiący pod naciskiem butów śnieg obok pojazdu.

- Cholera.

Pobiegł naprzód i wskoczył na drabinkę zamocowaną poniżej kabiny.

No jasne, czarna folia na oknach.

- Cholera!

Szarpnął folię, a lodowaty wiatr pomógł mu usunąć zasłonę z metalu i plastiku okien; kurczowo złapał płachtę, by się przekonać, że całe wydarzenie nie jest halucynacją. Po chwili zawahał się, czując irracjonalną obawę, że mógłby zeskoczyć nieszczęśliwie i coś sobie zrobić, jak w swoich wizjach na temat wyczynów narciarskich. Biorąc pod uwagę kondycję, wiedział, że mógł być jednak o wiele szybszy od wolno toczących się ciągników; było też za zimno, by zostać tam, gdzie się w tej chwili znajdował, wiatr przenikał przez jego ubranie i ciało na wskroś, sprawiając, że cały dygotał.

Zeskoczył więc z drabinki i wyładował pewnie na ziemi. Zaczekał aż jego sunący mozolnie pojazd minie go, po czym obiegł pozostawione przez niego ślady, by spojrzeć do tyłu na resztę konwoju. Sznur ciągników wydawał się krótszy. Policzył je, dla pewności wskazując każdy pojazd palcem; tymczasem jego ciągnik oddalił się, a gdy to zauważył, wrócił do niego biegiem, wskoczył do środka, dysząc ciężko, przestraszony i przemarznięty do kości. Transport składał się teraz z dziewięciu pojazdów.

Detektor szczelin wydał przenikliwy pisk i Valerie Kenning stanęła, opierając się na kijkach. Wyszła przed grupę i obejrzawszy się przez ramię, by dla pewności sprawdzić, czy wszyscy podążają za nią, wbiła głębiej kijki w suchy śnieg Bezwietrznej Zatoki, czując ostatni dotyk ciepła na uchwytach, i wyjęła z kieszeni radar impulsowy. Spojrzała na ekran, wystukując przyciskami pełny obraz terenu. Pip, pip, pip; przed nimi znajdowała się całkiem spora szczelina. Wkraczali do strefy ciśnienia lodu, gdzie kiedyś Lodowiec Szelfowy Rossa napierał na punkt Przylądka Crozier, i choć jego siła przestała już działać, panujące tu napięcie lodu wciąż było powodem powstawania nowych szczelin.

Powoli zbliżyła się do szczeliny, by zobaczyć ją na własne oczy: łagodny uskok rysujący się na śniegu. Tej nie sposób było nie zauważyć, ale istniało wiele innych, niewidzialnych. Dlatego lubiła swój detektor, podobnie jak łapiący w baseballu lubi swój ochraniacz na twarzy. Teraz używała go przede wszystkim do sprawdzania możliwości przeprawy przez most śnieżny. Aparat piszczał w różnych tonacjach - wyższe i szybsze dźwięki nad drobnym śniegiem, a niższe i wolniejsze nad grubymi kawałkami. Po jej lewej ręce śnieg wypełniający szeroki pas szczeliny był tak gruby i zbity, że mógłby unieść Hagglunda. Val wypięła się z upręży sań, wyciągnęła kijki ze śniegu i wolno ruszyła na nartach przez most, w tradycyjny sposób dźgając śnieg przed sobą jednym kijkiem, bardziej na szczęście niż ze względów bezpieczeństwa; nauczyła się już wierzyć swemu radarowi, jak wszystkim innym maszynom, którymi się posługiwała.

Wróciła śnieżnym mostem na drugą stronę, z powrotem przypięła sanie, przeciągnęła je przez rozpadlinę i przystanęła; czekając na pozostałych, drżała od chłodu. Wyciągnęła aparat GPS, by spróbować wyznaczyć szlak przez szczeliny, które mieli jeszcze przed sobą. W 1911 roku trzem członkom wyprawy na Przylądek Crozier, tak zwanej "najgorszej wyprawy świata", dramatyczna podróż przez ten teren zabrała tydzień; ale mając do dyspozycji GPS i najnowsze mapy lodu, grupa Valerie składająca się z dwudziestu pięciu osób mogła pokonać ten dystans w ciągu jednego dnia albo dwóch, gdyby Arnold za bardzo zwalniał tempo.

Do wiosennego powrotu słońca na Przylądek Crozier pozostały dwa dni i o tej rannej godzinie górne partie Mount Erebusa kąpały się w jaskraworóżowej poświacie, która odbijając się na błękitcie śniegu zacienionych zboczy, przybierała przeróżne fioletowe i lawendowe odcienie. Tymczasem poranne niebo mieniło się jasnymi, choć pozbawionymi słońca, pastelowymi barwami: plamami błękitów, fioletów, różów, chwilami nawet zieleni; w dokuczającym coraz bardziej chłodzie Valerie chłoneła ciszę martwego krajobrazu, która zaraz powinna się wypełnić gwarem uczestników wyprawy. Jako przewodniczka, Val miała znacznie mniej okazji do samotnego podziwiania pejzaży, niżby sobie życzyła.

Po chwili dołączyła do niej reszta i Valerie wróciła do pracy, upewniając się, czy wszyscy szczęśliwie przejechali śnieżnym mostem; gawędziła z nimi z bezustanną wesołością, należącą do jej służbowych obowiązków, pokazując im szczyt Erebusa, który otuliła pierzasta chmura, upodabniając się do wielkiej porcji różowej waty cukrowej, trzynaście tysięcy stóp nad nimi. Widok ten zajął ich przez chwilę, kiedy czekali na Arnolda. Było jednak za zimno, by długo czekać, a wiele osób na pewno zdążyło już się spocić, chociaż Val kilkakrotnie ostrzegała, by do tego nie dopuścili. Lecz

nawet w ubraniach uszytych z najnowszych, inteligentnych materiałów, ci ludzie nie umieli sobie radzić ze sterowaniem temperaturą. W czasie jazdy na nartach przegrzewali się, a ich pot przesiąkał przez kilka warstw ubrań, których polimerowe mikrostruktury były mniej lub bardziej przepuszczalne i zależnie od tego, jak im było gorąco, wilgoć bez problemu przenikała przez rozgrzaną tkaninę, aż pojawiała się na skafandrach, gdzie natychmiast zamarzała. Grupa podopiecznych Valerie wyglądała jak zagajnik choinek, z których przy każdym ruchu osypywał się śnieg.

W końcu dołączył do nich biały jak widmo Arnold i pokonał śnieżny most; nie dając mu ani chwili na odpoczynek, ruszyli dalej przez labirynt szczelin w lodzie. Mimo że podróżowali przez Bezwietrzną Zatokę, poczuli na twarzach silny podmuch wiatru. Val zaczęła na Arnolda, dyszącego ciężko jak koń. Biała chmura jego oddechu przypominała kłęby kurzu. Potrząsnął głową i choć nie widziała jego twarzy ukrytej pod goglami i kominiarką, którą powinien był zdjąć, ponieważ okropnie się pocił, mogłaby przysiąc, że się uśmiecha.

- Tamci ludzie - powiedział tonem, który świadczył, że ma na myśli Wilsona, Bowersa i Cherry-Garrarda, trzech członków pierwszej wyprawy na Przylądek - musieli być chyba stuknięci.

- A co powiesz o nas?

Arnold zaśmiał się głośno.

- Nie jesteśmy mądrzejsi od nich.

czarne niebo białe morze

Wszędzie lód pod rozgwieżdżonym niebem. W ciemności pod stopami biała ziemia. Biała góra przebijająca szczytem czarne niebo, otulona lodem, niewyraźnie rysująca się w przyćmionym świetle. Lodowa planeta, położona zbyt daleko od Słońca, by rozkwitło tu życie; być może Słońce było jedną z jaśniejszych gwiazd na niebie. Śnieg przesypujący się po ziemi jak piasek, zbyt zimny, by mógł do czegokolwiek przyłgnąć. Tytan, może Tryton albo Pluton. Żadnego życia.

Lecz oto u stóp czarnych urwistych skał wpadających do białego lodu nikły błysk elektryczności. Spójrzcie z bliska: oto źródło dźwięku. Kępka czarnych przedmiotów, zbitych w jedną masę. Porusza się niezgrabnie. Czarne gruszki w białych krawatach. Gruszki po nawietrznej stronie grupki schowały się z tyłu; skończyły swoją zmianę i mogły już się wycofać, by ogrzać w gromadzie. Zbiły się ciasno, szukając ciepła, po kolei biorąc na siebie uderzenia lodowatego wiatru. Kosmici.

Oczywiście, były to pingwiny cesarskie. Niektóre odbiły się nieco od grupy, która pojawiła się na białej scenie - wyglądały tak samo jak pingwiny z rysunków Mary Poppins. Znikały w czarnych szczelinach, nurkując w cieplejszej od powietrza wodzie o temperaturze minus dwa stopnie Celsjusza, zmieniając się z rybożernych ptaków w ptasie ryby, jak na rysunku Eschera.

Właśnie pingwiny byty przyczyną, dla której przybyła tu grupa Valerie.

Jej klienci nie interesowali się właściwie pingwinami, ale interesował się nimi Edward Wilson. W 1911 roku zastanawiał się, czy pingwinie embriony nie stanowią brakującego ogniwa w ewolucji, wierząc, że pingwiny są prymitywnymi ptakami w rozumieniu ewolucji. Był w błędzie, ale nie istniał inny sposób, by to stwierdzić, jak tylko zbadanie jaj pingwinów cesarskich, zniesionych w środku antarktycznej zimy. Druga wyprawa Roberta Scotta w oczekiwaniu wiosny zimowała na Przylądku Evansa, po drugiej stronie Wyspy Rossa, by ponowić próbę zdobycia bieguna południowego. Wilson przekonał swego przyjaciela Scotta, aby pozwolił mu zabrać Birdie Bowersa i Apsleya Cherry-Garrarda na wyprawę wokół południowego brzegu wyspy; chodziło o zebranie do celów naukowych kilku jaj pingwinów cesarskich.

Val bardzo dziwiło, że Scott pozwolił iść trzem mężczyznom, zważywszy, że mogli zginąć i tym samym zagrozić powodzeniu wyprawy. Ale taki był Scott. Podejmował mnóstwo dziwacznych

decyzji. Tak więc Wilson, Bowers i Cherry-Garrard pociągnęli dwoje ciężkich sań wokół wyspy, tak jak lubili: bez nart czy rakiet, odziani w wełnę i brezent, śpiąc w śpiworach ze skóry renifera, w brezentowych namiotach, przedzierając się przez pływające płyty lodu Bezwietrznej Zatoki w nieustannych ciemnościach, przy temperaturze wahającej się między minus czterdzieści a minus siedemdziesiąt pięć stopni Fahrenheita: najniższych temperaturach, jakich kiedykolwiek doświadczył człowiek w ciągu tak długiego czasu. Po trzydziestu sześciu dniach wrócili wycieńczeni do bazy na Przylądku Evansa z trzema nietkniętymi jajami pingwina cesarskiego w rękach; cierpienia i zachwyty, jakich doznali w drodze, o których tak pięknie opowiedział Cherry-Garrard w swojej książce sprawiły, że na zawsze zapisali się w historii jako uczestnicy najgorszej wyprawy świata.

Grupa Valerie wpadła w szal fotografowania pingwinów, a profesjonalna ekipa filmowa rozpakowała sprzęt i zaczęła filmować. Pingwiny przyglądały się im podejrzliwie, skrzecząc coraz głośniejsze. Najmłodsze pokolenie cesarskich nadal wyglądało jak futrzane kulki, którym groziło niebezpieczeństwo ze strony krążących nad nimi drapieżnych wydrzyków. Ptaki próbowały nurkować, ale silny wiatr znosił je na północny kraniec przylądka, w stronę kolonii pingwinów Adeli. Jak zwykle na Przylądku Crozier mocno wiało.

Podopieczni Val skończyli robić zdjęcia i wyraźnie nie mieli ochoty zostać tu dłużej, by obserwować pingwiny; wiatr był zbyt dokuczliwy. Nawet stroje, które Arnold nazywał skafandrami kosmicznymi, nie chroniły przed tak silnym wiatrem. Szybko więc zgromadzili się wokół Val. George powiedział jej, że mieli też nadzieję wspiąć się na Ostrogę Igloo, żeby w mdłym świetle antarktycznego południa poszukać kamiennej chatki pozostawionej przez Wilsona, Bowersa i Cherry-Garrarda.

- Jasne - odparła Val, po czym zaprowadziła ich do miejsca leżącego u stóp ostrogi, gdzie zwykle urządzano obozowisko i powiedziała im, by weszli na górę i rozejrzeli się, póki jeszcze coś widać. Ona miała rozbić namiot i dołączyć do nich później. George Tremont, szef wyprawy, która wcale nie podążała śladami poprzednich ekspedycji, ale była samodzielnym przedsięwzięciem, naradzał się z Arnoldem, swoim producentem, z operatorem i resztą ekipy. Musieli zdecydować, czy będą filmować teraz, by na gorąco uchwycić moment poszukiwania kręgu kamieni, czy nakręcą to jutro, sami odtwarzając całą scenę.

Val nie miała cierpliwości do takich spraw. Jej GPS podawał tylko współrzędne "kamienno schroniska Wilsona", jak nazywały to miejsce nowozelandzkie mapy, uczestnicy wyprawy mogli więc wspiąć się na występ skalny i od razu znaleźć obiekt, o który im chodziło. Ale nie: miało się stać inaczej. George i reszta chcieli sfilmować odnalezienie kamienno igloo bez pomocy jakichkolwiek urządzeń. Zakładali pewnie, iż telewizzowie okażą się takimi nieukami, że nie przyjdzie im do głowy, dlaczego nie użyli GPS. Valerie wątpiła w owe założenia, ale zachowała to dla siebie, skupiając się na rozbijaniu jednego z dużych, wieloosobowych namiotów. Co jakiś czas podnosiła wzrok na bandę wspinającą się po skale z kamerą, ale bez GPS. Komedialna.

Rozstawiwszy namiot i zabezpieczywszy sanie, weszła na krawędź magmowej skały. Około pięciuset stóp nad poziomem pływającego lodu zbocze było niemal płaskie, a potem jeszcze kilka razy wznosiło się i obniżało, by połączyć się z masywem Mount Terror, młodszym bratem Erebusa. Tak jak się spodziewała, znalazła swoją grupę w rozsypce, wciąż szukającą kamienno chaty. Pod koniec granatowoszarego dnia takie błądzenie po skale mogło być niebezpieczne; Przylądek Crozier był prawdziwym labiryntem, z mnóstwem skał magmowych, rozdzielających przechylone i porozcinane szczelinami lodowe stoki, które schodziły do morza pływającego lodu. Kiedy Mear i Swan po raz pierwszy odtwarzali "najgorszą wyprawę świata" w 1986 roku, w ciemnościach zgubili własny namiot i szukali go przez kilka godzin. Przypadkiem potknęli się o niego; gdyby tak się nie

stało, nie byłoby ich już wśród żywych.

Lecz teraz można było sobie pozwolić na takie wędrówki i zabawę w "ciepło-zimno". Operatorzy kamer skakali wkoło, próbując nie wchodzić sobie nawzajem w kadr i rejestrowali wszystko na superczułych filmach; na ekranie będzie widać więcej niż gołym okiem. Poza tym ludzie mieli w kieszeniach kurtek własne aparaty GPS, gdyby więc nawet ktoś się zawieruszył, Val mogła go namierzyć swoim detektorem. Byli zatem dość bezpieczni.

A jednak poszukiwacze zaczęli przypominać trupę mimów, odgrywających numer pod tytułem "Zimne zniechęcenie". Prawda była taka, że kamienne igloo, które pozostawili tu trzej poszukiwacze, mogło sięgać najwyżej kolan dorosłego człowieka, a poza tym igloo, jak i tablicę, umieszczoną tu przez Nowozelandczyków, przysypały śnieżycę zeszłej dekady; chociaż większość śniegu wiatr zmiótł do morza, to jednak dość dokładnie zasypał czarne gruzy, zmieniając całe zbocze w czarno-biały melanż, w którym w zapadających ciemnościach trudno było cokolwiek rozróżnić. Każde większe białe wzniesienie mogło być kamienną chatką, czarne zresztą też.

Tak więc podopieczni Val bładzili tu i tam, nawołując się, gdy ktoś natrafił na jakąś kupkę śniegu albo kamieni. Paru z nich próbowało czytać swoje egzemplarze "Najgorszej wyprawy świata" przy świetle latarki, szukając w tekście jakiejś wskazówki. Val słyszała, jak narzekają na niejasne opisy Cherry-Garrarda, ponieważ nie były one zbyt dokładne, zważywszy, że młody Cherry cierpiał na poważną krótkowzroczność, a nie mógł nosić swych mocnych okularów, bo bez przerwy pokrywały się szronem. Wśród wielu ważnych aspektów wyprawy pojawił się więc także ten, że jeden z trzech podróżników, zdecydowany o niej opowiedzieć, był właściwie ślepy. Skrzyżowanie Homera z Ismaelem.

Val przysiadła na niskiej skale obok dwóch filmowców, którzy na chwilę przestali kręcić i podłączyli rękawice do grzejnika akumulatorowego, a potem zaczęli nacierać tabliczki czekolady w nadziei, że przed jedzeniem choć trochę je rozmrożą. Śmiali się z George'a, który właśnie przeglądał książkę sir Edmunda Hillary'ego "No Latitude for Error", zawierającą relację o pierwszym odkryciu chatki, czterdzieści sześć lat po jej zbudowaniu. Hillary i jego towarzysze testowali nowe pojazdy gąsienicowe, którymi mieli przebyć Lodowiec Skeltona i dotrzeć do bieguna. Kręcili się na Przylądku Crozier, podobnie jak teraz podopieczni Val, również mając tylko książkę Cherry-Garrarda. Przeżywali też to samo, ponieważ wówczas opis Cherry-Garrarda był jedynym przewodnikiem po okolicy, a nie mieli do dyspozycji GPS i innych aparatów. Tak więc Hillary klócił się z towarzyszami nad każdą linijką książki, tak samo jak teraz grupa Val, ale w odróżnieniu od nich byli naprawdę zawiedzeni. W końcu Hillary sam odkrył chatę.

Jednak opis odkrycia w jego książce też nie jest zbyt jasny, jak gdyby chytry podróżnik nie chciał ujawniać szczegółowego szlaku wyprawy. Twierdzi, jak ogłosił teraz George, że chatka znajdowała się na samym brzegu urwiska i na siodle.

- "Wietrzna i niegościnna, jak sobie tylko można wyobrazić w tej okolicy!" - przeczytał George podniesionym głosem.

- Powinniśmy to sfilmować - zauważyła Geena.

- Elka kręci - rzekł spokojnie Elliot.

Sir Edmund Hillary okazał się równie pomocny, jak Cherry-Garrard. Val przyszło do głowy, że ktoś powinien jeszcze zajrzeć do odpowiednich fragmentów "Śladami Scotta" Meara i Swana, ponieważ ci dwaj, którzy nieświadomie dali początek całemu biznesowi podróżniczo-przygodowemu, także znaleźli chatkę w epoce przed GPS, a w dodatku zamieścili w książce całkiem dobre zdjęcie. Ale przypomniała sobie, że książka jest wielkości sporej cegły i prawdopodobnie nikomu by się nie chciało jej dźwigać. W każdym razie na ciemnym, skalnym występie nie mogła im

teraz pomóc żadna książka.

Elliot wyraził głośno jej myśl.

- Klasyczny przypadek niewłaściwie dobranej mapy.
- Mapa mogłaby jednak pomóc. Nie sądzę, żeby znaleźli chatkę bez GPS.
- Musi gdzieś tu być. W końcu się o nią potkną.
- Jest już za ciemno.

Wichura stawała się coraz bardziej dokuczliwa. Ludzie zaczęli chodzić plecami do wiatru, wszystko jedno w którą stronę szli. Jego poddmuchy były też coraz głośniejsze; wiatr jęczał i łkał wśród skalnych załamów.

- Założę się, że znajdą.
- Stoi.
- Nie mogę uwierzyć, że obozowali w takim odkrytym miejscu.
- Chcieli być bliżej pingwinów.
- Ale mimo wszystko...

Rzeczywiście, pomyślała Valerie. Ona nigdy by nie rozbiła obozu tu, na odkrytej grani; było to ostatnie miejsce na Przylądku Crozier, jakie by jej przyszło do głowy. Wilson wiedział, że będzie tu narażony na ciosy wiatru, o czym nawet wspominał w dzienniku. Lecz postanowił zaryzykować, bo też się bał, że w ciemnościach może zgubić obóz, a chciał, żeby mieli dokąd wrócić po zakończeniu wyprawy na pingwiny. No dobrze, ale były przecież inne miejsca łatwe do zlokalizowania w ciemnościach. Wzniesienie schroniska tutaj kosztowało ich niemal życie. Co dziwniejsze, Cherry-Garrard opisuje, że chatka znajdowała się w osłoniętym miejscu półki skalnej i to chroniło ją przed uderzeniami wiatru; wyjaśnia również, że późniejsze odkrycia aerodynamiki, o których Wilson nie mógł wiedzieć, udowodniły, iż osłonięta część zbocza stanowiła wysoko wyniesioną strefę próżni i dlatego, gdy wiatr osiągnął stopień dziesiąty, bez trudu zdmuchnął dach. Ponieważ jednak schronisko stało dokładnie na grzbiecie skalnym, jak zauważył Hillary (Val była prawie pewna, że widzi je w siodle na dole - duży garb śniegu między innymi garbami), nie wiadomo, co miał na celu Cherry - czy chciał usprawiedliwić złą ocenę Wilsona, czy też przez swą ślepotę rzeczywiście nie wiedział, gdzie naprawdę byli.

- Wygląda na to, że na konto wyprawy Scotta możemy zapisać jeszcze jeden głupi ruch - powiedział Elliot.

- Może to zaraźliwe - rzekła Geena. - Lokalna choroba.

- Na południe od czterdziestego równoleżnika - zaintonował Elliot - nie ma żadnego prawa. Pod pięćdziesiątym - nie ma Boga. Poniżej sześćdziesiątego - nie ma rozsądku.

- A na południe od siedemdziesiątego - dodała Geena - zanika inteligencja.

Val niewiele mogła powiedzieć w obronie wyprawy Scotta. Przecież kilka tuzinów ludzi łąziło we wszystkie strony wokół owalnej skalnej ściany, w lodowatym wietrze, mogąc w każdej chwili, w ciągu dziesięciu sekund, zajrzeć do GPS i znaleźć poszukiwany obiekt, o który w tym momencie jeden z poszukiwaczy właśnie się potknął!

Ale Val milczała.

Zrobiło się zimniej.

- Och, to łożenie "Śladami" - narzekwała Geena. - Ktoś chce gorącej czekolady?

- A ja to lubię - odparł Elliot, biorąc od niej termos. - Dodajesz do zwykłego materiału historyczne zdjęcia, to wspaniałe.

- Uważaj, gorące.

- Pracowałem przez jakiś czas dla "Śladów". Byli wtedy bardziej popularni jako "Śladami

przeklętych". Ich klienci zwykle strasznie klęli po powrocie. Byłem też wolnym strzelcem w "Klasycznych Wyprawach w Przeszłość", które przewodnicy nazywali "Głupimi Wyprawami w Przeszłość", bo ustalający trasy zawsze wybierali najgorsze ekspedycje w historii, czasem z oryginalnym sprzętem i jedzeniem.

- Żartujesz.

- Skąd. Ale zwróć uwagę, że już wypadli z branży.

- Podróże dla masochistów - nowy gatunek, wciąż niedoceniany.

- Na pewno się przyjmie. Każda podróż to rodzaj masochizmu. Ludzie są zdolni do wszystkiego.

Filmowałem już przeprawę Hannibala przez Alpy, na słońcach - drogę Marco Polo z Włoch do Chin, na wielbłądzie - marsz Scotta na biegun - odwrót Napoleona spod Moskwy. - Zdjął kominiarkę i napił się prosto z termosu. - Było zimniej niż tu.

- No proszę. Miałam kiedyś chałturę ze "Skazanymi na powtórki", kiedy szliśmy trasą Stanleya, który szukał Livingstone'a. Ludzie mówili, że teraz droga była bardziej niebezpieczna niż wtedy.

- Skazani na powtórki?

- No, wiesz - ci, którzy za dobrze znają historię, są skazani na jej powtarzanie.

- Ach, tak. Ale niektórych z wypraw nie da się powtórzyć, choćby nie wiem co, bo po pierwsze od początku były niemożliwe.

- Jasne. Słyszałam, że wyprawa statkiem "Śladami Shackletona" skończyła się katastrofalnie.

Val poczuła skurcz w żołądku. Właśnie ona prowadziła tę wyprawę i nie chciała o niej mówić ani myśleć. Zobaczyła, jak Elliot ostrzegawczo pokazuje ją Geenie kciukiem. Cicho, tu siedzi przewodnik, ani słowa o tamtym! Boże, ależ powód do sławy. Val prowadziła wszystkie wyprawy "Śladami..." na Antarktydzie, od marszu śmierci Mawsona, do szalonej morskiej zimowej ekspedycji Borchgrevinka, a nawet fikcyjne, jak z "Rękopisu znalezionego w butelce" Poego (włączając wir w finale) albo z "Sur" Le Guin (to ostatnie kończyło się wzruszającym spotkaniem z autorką, której kobiety dziękowały za pomysł i jednocześnie podsuwały własne, logiczne uzupełnienia tekstu. Le Guin obiecała je uwzględnić robiąc poprawki). Val prowadziła te bardzo niebezpieczne wyprawy, odtwarzając niemal wszystkie wczesne ekspedycje antarktyczne - i za co ją zapamiętano? Oczywiście, za fiasko.

Nagle z dołu doleciały głośne okrzyki. George i Ann-Marie stali obok śnieżnego garbu, który Val wcześniej uznała za prawdopodobną lokalizację chatki.

- Kurtyna w górę - ogłosił Elliot i dźwignął torbę z kamerą. - Mam nadzieję, że to maleństwo jest na tyle ciepłe, żeby zachować ostrość.

George polecił Elliotowi, Geenie i innym operatorom filmować siebie i Ann-Marie, jak odgrywają ponowne odkrycie schroniska, wydając okrzyki, które były jednak bardzo ciche w porównaniu z radością uczestników pierwszej wyprawy. Później wycofali się do namiotu-jadalni i zjedli najbardziej radosny posiłek w trakcie tej eskapady, a tymczasem Val rozstawiała resztę namiotów. Potem wszyscy zasnęli, spędzając długie nocne godziny w przytulnych, ultraciepłych śpiworach, na doskonale izolowanych materacach.

Z pierwszym brzaskiem granatowego świtu wrócili na skałę i zabrali się do pracy przy śnieżnym kopcu, usuwając lód i śnieg za pomocą dmuchaw i narzędzi przypominających miniaturowe młoty pneumatyczne, podczas gdy inni budowali na skale małe, drewniane schronisko; ponieważ przybyli tu, by "naprawić" pracę Edmunda Hillary'ego, który razem ze swymi towarzyszami zabrał stąd wszystkie rzeczy grupy Wilsona.

Kamienne schronisko było niewielkim owalem niedbale ułożonych kamieni, które z trudem mógłby unieść człowiek. Kiedyś chłopcy mieli krzepę.

Ściany w najwyższych punktach dochodziły do wysokości trzech albo czterech kamieni. Wnętrze miało wymiary ośmiu stóp na pięć. Dawni chłopcy byli więc drobni. Postawili sanie na dłuższej osi owalu, rozciągnawszy na nich zieloną płachtę brezentu i położyli jej brzegi na ziemi, jak daleko sięgała, po czym przycisnęli je kamieniami, a dach pokryli kamieniami i bryłami śniegu, aż uznali, że nie sposób już zbudować mocniejszej konstrukcji. Ich zdaniem była pancerna. Mały otwór w ścianie po zawietrznej służył im jako wejście, za którym rozbili namiot Scotta, osłonięty w ten sposób od wiatru.

Val przypuszczała, że chcieli mieć lepsze schronienie; przyczyna, dla której Wilson rozbił namiot, nadal pozostawała dla niej zagadką. W każdym razie należało przyznać, że schronisko było cholernie mocne; niszczycielska siła wiatru nie zdołała usunąć brezentu, szatkując go tylko na strzępy. Tak jak podczas poprzednich pobytów, Val uklękała i zaczęła grzebać w śniegu okrywającym szczeliny w ścianach. Znalazła kawałki brezentu, które zmieniły barwę z zielonej na białą.

- Rany!

Przyglądając się strzępkom materiału pomyślała, że ma dużo uznania dla tamtych trzech mężczyzn. Jakby w małym muzeum w Zermatt patrzyła na sprzęt, którego używała grupa Whympera w pierwszej próbie zdobycia Matterhornu: lina jak sznur do bielizny, lekkie, skórzane buty, z nabijanymi ćwiekami podeszwami... Dawni Brytyjczycy podbijali świat, używając kiepskiego, harcerskiego sprzętu. Jak te zbielełe strzępki brezentu między jej palcami.

Prawdziwy kawałek przeszłości.

Nie, mieli przecież sporo innych, większych, prawdziwych kawałków przeszłości, które mogli położyć na miejsce. Wilson i jego towarzysze opuścili schronisko w pośpiechu. Najpierw burza zdmuchnęła ich namiot, a potem płócienny dach; później przez dwa dni leżeli w śpiworach w gęstej śnieżycy, przy temperaturze minus pięćdziesiąt stopni i gwizdającym w ciemnościach lodowatym wietrze, choć bez namiotu ich los był już przesądzony i nie mieli szans dotrzeć na Przylądek Evansa. Gdy wiatr osłabł na tyle, że mogli wstać, zaczęli krążyć w ciemnościach i jakimś cudem znaleźli namiot u stóp skały, wciśnięty między dwa głazy, jak złożony parasol. Zanieśli go do zrujnowanego obozowiska, zapakowali to, co mogli znaleźć na sanie i natychmiast umknęli, rozpaczliwie chcąc ratować życie. Tak rozpoczął się trzeci i najcięższy etap "najgorszej wyprawy". Śpiąc, ciągnęli sanie po własnych śladach i spali w śpiworach, które zmieniły się w worki z lodem, niewiele cieplejsze niż antarktyczne powietrze.

Kiedy więc Hillary dotarł tu czterdzieści sześć lat później, znalazł mnóstwo porozrzucanego sprzętu. Pozbierał go, załadował na pojazdy gaśnicowe i zawiózł do bazy Scotta na drugim końcu Wyspy Rossa; w końcu wszystko trafiło do Nowej Zelandii, gdzie ulokowano cały sprzęt w różnych muzeach. Cherry-Garrard, który jeszcze żył, napisał z Anglii, akceptując wywiezienie odzyskanego sprzętu, chociaż zrobiono to bez pytania go o zgodę, ale zapewne czuł, że miał tu niewiele do powiedzenia. Val podejrzewała, że nie zamierzał kłócić się z byle powodu; pewnie chciał też nade wszystko złożyć hołd swoim nieżyjącym towarzyszom - nie zdając sobie sprawy, że jego książka jest wspanialszym pomnikiem niż najlepsze muzealne eksponaty i co roku będzie stanowić inspirację dla wielu ludzi, by przyjeżdżali na Przylądek Crozier. I odnajdywali w miejscu obozowiska tylko pustą kamienną skorupę.

George Tremont uważał, że usunięcie pozostawionego tu sprzętu było rodzajem zbezczeszczenia grobu. George był Nowozelandczykiem i podczas kręcenia filmu w bazie Scotta i kilku wizytach na Przylądku Crozier nabrał przekonania, iż wszystkie przedmioty zabrane z obozowiska - "zrabowane", jakby powiedział prywatnie po paru kieliszkach ciepłego drambersa, że "zdeastrowanego i splądrowanego schroniska" - należy zwrócić na miejsce.

W innych punktach świata, w barze przychodzą do głowy podobne pomysły, ale nazajutrz, na trzeźwo, ulatniają się. Lecz w Antarktydzie było coś, co podsycało obsesję, które przeradzały się w idee fixe, zmieniające ludzkie życie i karierę. Niektórzy nazywali to lodowym zaślepieniem. Roger Swan, na przykład, siedząc w uczelnianym kinie, gdzie wyświetlano "Scotta na Antarktydzie", postanowił poświęcić swoje życie na odtworzenie ekspedycji Scotta, co było dość nieoczekiwaną reakcją na historię o paśmie dramatycznych cierpień; ale tak zrodziła się jego obsesja, która dała początek ruchowi "Śladów".

Z George'em stało się coś podobnego na punkcie historii Przylądka Crozier. Przez dziesięć lat pracowicie przekonywał wiele autorytetów - dziesięć długich lat był bohaterem biurokratycznej "Iliady" i "Odysei" razem wziętych - przekonywał między innymi Spółkę Dziedzictwa Antarktycznego Nowej Zelandii (do której wstąpił i został jej prezesem jeszcze przed przedstawieniem swojego planu), Komisję Zarządu Miejsc Historycznych, która była częścią Komisji Badawczej Rossa, Towarzystwo Antarktyczne Nowej Zelandii, Komisję Traktatu Antarktycznego do spraw Zabytków oraz ogromną liczbę towarzystw, agencji rządowych, wydziałów uniwersyteckich i zarządów muzeów na całym świecie. Zgoda Muzeum Kanterberyjskiego w Christchurch była poprzedzona długą bitwą, ponieważ to oni posiadali większą część eksponatów; zgoda wymagała wstawiennictwa samego księcia Walii, ale potem przekonywanie kolejnych instytucji stawało się coraz prostsze, w miarę jak rósł krąg wywierających presję na małe muzea Nowej Zelandii, które nie chciały uczestniczyć w świętej krucjacie. Nawet sir Edmund Hillary napisał w końcu list z poparciem dla przeniesienia na miejsce sprzętu pierwszej wyprawy, wykazując podobnie dobrą wolę, jak wcześniej Cherry-Garrard.

W końcu George'owi udało się sprowadzić z powrotem wszystkie rzeczy i zdobyć pozwolenie na zbudowanie małego, drewnianego schroniska, w którym złożono sprzęt, zlokalizowanego nieopodal (lecz "poza zasięgiem obiektów", jak zauważył Elliot) i stylizowanego na stary barak z przyrządami meteorologicznymi na Wzgórzu Windvane, ponad chatką na Przylądku Evansa po drugiej stronie wyspy.

Nowe schronisko zbudowano w Christchurch, po czym zostało zdemontowane, by w ten sposób przetransportować je na miejsce, teraz więc, mimo zimna i ciemności, można było zmontować budynek w kilka godzin. Po ustawieniu schroniska oraz umocnieniu go stosami kamieni, podobnymi do tych na skale, rozradowana grupa zeszła do obozu i zaczęła wciągać na górę sanie wypełnione starym sprzętem.

Val pomagała im, doświadczając przy tym szczególnych emocji.

Wszystkie owe przedmioty wciągało tą samą drogą trzech mężczyzn, którzy przybyli tu pierwsi; potem zabrał je stąd Hillary, pierwszy zdobywca Mount Everestu, pół wieku później. Teraz nieśli je na miejsce, z Elliotem, Geeną i kilkoma innymi operatorami, którzy filmowali każdy krok, a Arnold, George i Ann-Marie krzyczeli rozgorączkowani, by kadrowali obraz z różnych kątów. To było okropne. Ale z drugiej strony ciężar ładunku, który wpijał jej się w ramiona uprzężą sań... Po chwili jeden z ciągnących pośliznął się i przez moment wydawało się, że pierwsze sanie mogą zsunąć się po zboczu i uderzyć w następne. George, Arnold i kilku innych (zwłaszcza ci, którzy ciągnęli drugie sanie) aż krzyknęli ze strachu. Doprawdy, śmieszne. Mimo to, coś w tym było... Wyglądali jak pielgrzymi. Val pomyślała, że być może w pielgrzymkach z natury jest coś śmiesznego, coś zenującego i teatralnego. A może nie miało to żadnego znaczenia.

Wreszcie bezpiecznie dowieźli wszystkie święte relikwie na skałę. George i jego pomocnicy poszli instalować sprzęt w drewnianym schronisku-muzeum. Budynek naprawdę wyglądał jak większa replika baraku na Wzgórzu Windvane i gdy sprzęt zostanie tu ustawiony, zabezpieczy go

szkło. Sporo ludzi przyjedzie podziwiać historyczne przedmioty tu, na miejscu; wprawdzie nie tylu, ilu by zwiedziło muzea w Nowej Zelandii, ale dla tych, którzy przyjadą, będzie to znaczyć o wiele więcej. George walczył o to dziesięć lat i Val zaczęła go rozumieć. Wobec szaleństwa przygody i podróży do najbardziej niedostępnych miejsc, podążanie śladami "najgorszej wyprawy świata" będzie zawsze popularne. Czyli na pewno zobaczy to sporo ludzi.

Kiedy wszystko było gotowe, Val i inni poszli popatrzeć. Ładna wystawa. Większość przedmiotów nie miała tabliczek z objaśnieniami, jakby za całe opisy wystarczał ich wygląd. Wrzecionowate, drewniane sanie, które zostawili w kamiennej chatce, zbielałe i strzaskane po długim czasie stania na zewnątrz, umieszczono teraz w rodzaju kamiennej kołyski obok schroniska.

Pod dachem schroniska i za szkłem znajdowały się natomiast kilof, piec na tłuszcz wielorybi, puszka soli, lampa sztormowa z zapasowym kłosem, ścierka do naczyń, brezentowa torba, termos, kilka zakorkowanych buteleczek z substancjami chemicznymi, pojemnik z rozpylaczem, szkło powiększające, kilka preparatów mikroskopowych, siedem termometrów (trzy w skali Fahrenheita, jeden w skali Celsjusza, jeden minimalny, dwa doustne); ołowiany ciężarek na sznurku, dwa kropłomierze, pinceta, trzydzieści pięć zakorkowanych probówek; długi szpikulec, butelka alkoholu, dwa emaliowane naczynia, cztery ołówki, szklana strzykawka, cztery koperty z nadrukiem "Terra Nova"; sześć gładkich kopert, kilka perforowanych plastrów, trzy rolki filmu Kodaka z nalepką "Wywołać przed 1 maja 1911", dwie puszkę magnezji do lampy błyskowej Agfa; obok listów od Cherry-Garrarda i Hillary'ego, wyrażających zgodę na przeniesienie eksponatów, dwie fotografie trzech badaczy, zrobione przez Herberta Pontinga, jedna wykonana przed wyprawą i słynna druga, na której widnieją po powrocie, siedzący przy dużym stole w domku na Przylądku Evansa. Wreszcie, największe osiągnięcie George'a - trzy skorupy jaj pingwinów, które Cherry-Garrard przekazał nieostrożnym ludziom z Muzeum Narodowej Historii w Kensington w Anglii; George wytropił je w szufladzie z próbkami na Uniwersytecie Edynburskim i tak trafiły na wystawę.

Kamerzyści oglądali stare filmy i proszek do lampy błyskowej, wydając okrzyki zachwytu. Owe przedmioty zdawały się czynić trzech podróżników bardziej rzeczywistymi. Tyle tego mieli - i wszystko zostawili, ratując życie!

- Ciężko im było podróżować, co?

- Wilsona interesowało wiele rzeczy.

- Tak, wtedy istniało coś takiego, jak amatorska nauka.

- Sam otwórz swoją torbę i wywal wszystko, a będziesz miał to samo.

- No, nie wiem - ścierka do naczyń? Siedem termometrów? Zestaw che- George chodził po skale, oglądając nową budowlę ze wszystkich stron.

Wiatr litościwie zelżał, więc ludzie mogli zdjąć kominiarki. Val zobaczyła, że George'a rozpięra zadowolenie dużo potężniejsze niż zwykła radość; miał poważną minę, jak gdyby uczestniczył w obrzędzie religijnym. To była jego ważna chwila, jego triumf. Elliot i inni kamerzyści filmowali dalej, ale wszyscy o nich zapomnieli. Kiedy George ich mijał, Arnold powiedział:

- To piękne, George! Ludziom naprawdę się spodoba.

Na twarzy George'a pojawił się delikatny, anielski uśmiech.

Potem pochłonęły go przygotowania do uroczystości otwarcia domku, którą sobie wcześniej obmyślił. Tymczasem Val przyjrzała się bliżej fotografiom trzech podróżników. Kiedy przetrwali huragan na tej skale, a cudowne odnalezienie namiotu uratowało im życie, morderczy powrót stał się koszmarem, którego, dzięki Bogu, żadna wyprawa organizowana przez "Ślady" nie mogła odtworzyć. A jednak im się udało. Ponting zrobił to zdjęcie w niecałą godzinę po ich powrocie; zdążyli zdjąć zamrożone ubrania, które tajały nad piecem. Wilson patrzył potomnym prosto w oczy, ponury i

półżywy ze zmęczenia, doskonale wiedząc, że on i towarzysze zawdzięczają życie wyłącznie szczęściu. Tym bardziej zdumiewające jest to, że już parę miesięcy później będzie maszerował ze Scottem na biegun.

Cherry-Garrard także patrzył w obiektyw. Przez resztę życia cierpiał na depresję, a na zdjęciu wyglądał, jakby już dotknął go obłęd, jak gdyby skrajne warunki podróży okazały się ponad jego siły. Choć możliwe, że takie wrażenie wywołała po prostu jego krótkowzroczność. Jednak nie; przyczyną pustego spojrzenia jego i Wilsona nie był astygmatyzm. Ponting zdołał uchwycić na filmie obraz ich duszy, która wracała do ciała po przedwczesnej podróży w zaświaty.

Pomiędzy nimi siedział Birdie Bowers, przechylając kubek, jak gdyby właśnie wrócił ze sklepu na rogu - wyglądał na bardziej wypoczętego niż na zdjęciu sprzed wyprawy. Bowers! Henry Robert Bowers, niech Bóg ma go w opiece, ukazuje swój papuzi profil; Birdie Bowers z Antarktydy, któremu nigdy nie było zimno, który nigdy się nie męczył i nie ulegał zniechęceniu; Bowers optymistą, którego jedyna wina polegała na tym, że swym nadmiernym optymizmem tak drażnił towarzyszy, że czasem mieli ochotę go udusić.

Na przykład, po ustąpieniu wichru, chciał przed ucieczką jeszcze raz odwiedzić pingwiny. A po powrocie na Przylądek Evansa wygłosił mowę na temat ich doskonałego sprzętu harcerskiego, który jego zdaniem był najlepszy na świecie; mówił to człowiek, który zamiast długiej kurty z kapturem wolał nosić płócienną kurtkę i kapelusz. Kiedy został uwięziony z konikami pony na krze, która odłamała się od szelfu, nie chciał się ratować, dopóki nie ocalił koni. Podczas nieszczęsnej wędrowki na biegun ciągnął największe ciężary, choć nie miał nawet nart, i ochoczo podejmował się wszystkich prac obozowych, gdy pozostali tracili siły i umierali. Nikt nie słyszał od niego słowa skargi; zdawało się, że śmierć nie ma prawa go zabrać.

Bardzo trudno byłoby wykończyć Birdie Bowersa, pomyślała z zadumą Val, przyglądając się fotografii. Darzyła tego drobnego człowieka szczerym uczuciem, wspominała go najcieplej ze wszystkich ówczesnych podróżników; bo Val też była optymistką. I naprawdę zawsze starała się najlepiej jak mogła. Wydawało jej się, że tak właśnie należy postępować, tego nauczyły ją nieżyjące już matka i babka, wpajając pewne zasady i ucząc na przykładach.

Jako dorosła kobieta w pełni doceniła tę naukę. Jej zdaniem robienie wszystkiego najlepiej równało się odwadze; było właściwą postawą wobec życia.

Nie zawsze przychodziło jej to łatwo, zważywszy na ponure myśli, jakie ją czasem nachodziły i przygnębienie, którego doświadczała, gdy sprawy układały się nie po jej myśli. Lecz siłą woli trzymała się swoich zasad. Dlatego też często się z niej śmiano, ignorowano albo wykpiwano to, co mówiła, jak gdyby optymizm cechował ograniczonych umysłowo albo, w najlepszym razie, był skutkiem nieszczęśliwych powikłań biochemicznych, a nie taktyką, której warto się trzymać, nawet w najgorszych sytuacjach.

Nie: Birdie Bowersów tego świata uważano za głupców. Skoro jednak świat był jaki był, Val przypuszczała, że taka opinia nie była pozbawiona sensu. Po co być optymistą, jak być optymistą, kiedy wokół jest tyle zła i niesprawiedliwości? W rozpadającym się na kawałki świecie świadczyło to o głupocie. Jednak Val trzymała się uparcie swoich zasad, choć niekiedy ostatkiem sił. Nie myśląc, że mówi coś, co rzuca na sprawy cień optymizmu i sprawia, że inni wybuchają śmiechem, zgrzytała zębami i próbowała robić wszystko, by jej słowa stały się faktem. Taka postawa była oczywiście jej atutem jako przewodnika górskiego, w każdym razie powinna być. Lecz odbierano to w taki sposób, że czuła się coraz bardziej wypalona. Optymizm wymagał wysiłku, ale nikt tego nie rozumiał.

- Ci goście - powiedział Arnold, spoglądając jej przez ramię na stare fotografie - byli naprawdę pomyleni.

- Masz rację.

Potem George zgromadził wszystkich na stanowiskach, zdradzając jednak coraz większą nerwowość; słońce miało zaraz wzejść i nie będą mogli nakręcić dubla. Na szczęście niebo pozostawało czyste, horyzont na północnym wschodzie był prostą, jasną linią; w dole błyszczał lód, w górze lśniło bladobłękitne niebo.

Większość grupy ustawiła się obok kamiennej chaty, a George zaczął czytać pełne napięcia fragmenty z książki Cherry-Garrarda o tym, jak burza zabrała ich namiot i zdarła dach ze schroniska, pozostawiając im, jak wszystko na to wskazywało, tylko kilka godzin życia. Val, nie mogąc spokojnie słutego, co uderzało ją prosto w serce, cofnęła się za nowo wybudowaną chatę, gdzie ledwo dochodził piskliwy tenor George'a, drżący na wzmagającym się wietrze:

- "Stopniowo sytuacja stawała się coraz bardziej rozpaczliwa... Przez ściany sypało się coraz więcej śniegu... nasze kurtki wcisnęliśmy między dach i kamienie nad wejściem". - Głos George'a był śpiewny, niczym głos kaznodziei i choć przez świst wiatru Val mogła wychwycić tylko co drugie zdanie, wyraźnie słyszała rytm biblijnych wersetów. - "Bowers... co chwilę wyskakiwał ze śpiwora, zatykając dziury, wpychając z powrotem kawałki dachu... był wspaniały... A potem nadeszła... Ryk był nie do opisania".

Val pochyliła głowę, próbując sobie wyobrazić tę scenę; wichur, który rwie w strzępy brezent, wpadające do środka kamienie, sypiący się z góry śnieg, wszystkie niezbędne do powrotu sprzęty wyfruwające przez dach.

- "Potem pamiętam głowę Bowersa leżącą na ciele Billa. "Wszystko w porządku", krzyknął, a my odpowiedzieliśmy twierdząco. Mimo że zdawaliśmy sobie sprawę, iż powiedzieliśmy tak dlatego, że nic nie było w porządku, ale zabrzmiało to krzepiąco".

Val raptownie odwróciła się i poszła w górę grani, czując, jak narasta w niej dziwny ból. Kim byli ci ludzie? Jej podopieczni byli zupełnie inni, podobnie jak ona. Czy ludzie mogą się aż tak zmieniać po upływie jednego wieku?

- "Birdie i Bili śpiewali piosenki i psalmy" - usłyszała donośny głos George'a.

To był sygnał, by rozpocząć muzykę; George popadał w stan uniesienia. Lecz wszyscy oprócz Val i ekipy filmowej, zaczęli śpiewać, wspierani przez profesjonalny kwartet z Wellington. Śpiewali kanon Tallisa, zaadaptowany przez Benjaminą Brittena, by pasował do wersów napisanych przez Josepha Addisona. Niebo nad nimi rozjaśniło się, przybierając przezroczystą, jasnoniebieską barwę, która przechodziła w biel nad północno-wschodnim horyzontem, gdzie za chwilę miało pojawić się słońce. Na dobre parę mil widzieli niezmiernie połamane pływającego lodu pokrywające Morze Rossa, najeżone górami lodowymi ze starego szelfu, które w jaśniejącym świetle wyglądało jak cynowe, mieniące się srebrem zwierciadło. Kwartet rozpoczynał kolejne części kanonu, wplatając słowa starego psalmu. George dyrygował chórem, szeroko wymachując rękami:

Ogromny przestwór hen wysoko Szarfą błękitu lśni szeroką, I blaskiem z niebios śnieżnobiałym Boskiego Stwórcy głosi chwałę.

Gdy dzień już zmierzchu cień zwycięży, Opowieść cudną snuje Księżyc;

Powtarza zasłuchanej Ziemi Baśń nocną ojej narodzeniu;

Biegnące kręgiem gwiazd płomienie, Planety tocząc się pierścieniem, Między bieguny głos swój niosą I prawdę o stworzeniu głoszą.

Kiedy kończyli ostatni wers, zza horyzontu na północnym wschodzie wyłoniło się słońce, niewiarygodna, świetlna czasza, która rozjaśniła morze pływającego lodu i uwięzione w nim ogromne góry lodowe, zalewając oślepiającym blaskiem gigantyczny krajobraz; zdawało się, że niewyobrażalnie wielki świat zmienił się w światło. Ludzie zgromadzeni wokół kamiennej chatki

rozpromienili się, padli sobie w objęcia, gratulowali George'owi, ściskając mu ręce i klepiąc po ramieniu, zupełnie zapomniawszy o kamerach; tylko Elliot i Geena nie przestawali filmować.

Bóg jeden wie, jak tamci trzej tego dokonali. Przez dwa dni leżeli tu w najciemniejszym środku zimy, wystawieni na działanie wichru, bez jedzenia, prawie bez snu, zanim wiatr zelżał na tyle, by mogli wyjść i poszukać namiotu. "Utraciliśmy życie, które potem zostało nam zwrócone", jak napisał Cherry. Było to więc odpowiednie miejsce na świętowanie wiosny, pomyślała Val; na uczczenie powrotu słońca, odrodzenia i świętowanie daru życia.

Zeszła do nich z mniejszą niechęcią, niż się spodziewała, sprowadziła wszystkich bezpiecznie do obozu i uczestniczyła w świątecznym posiłku, a kiedy wznoszono toast za śmiałków z przeszłości, przyłączyła się do niego ochoczo i z uczuciem; może nawet ze zbytnim uczuciem. Ci trzej ludzie byli dla niej bowiem kimś w rodzaju świętych - patronujących wszystkim głupim i niedorzecznym wyprawom do dzikich, niedostępnych miejsc, byli Trzema Głupcami, swoistym odpowiednikiem Trzech Mędrców, głupcami, którzy zachowali godność w obliczu śmierci. Którym udało się wrócić na Przylądek Evansa, urzeczywistniając w ten sposób wszystkie wiktoriańskie, głupie i zmyślane historie, czyniąc z nich bohaterów równie głupiej, ale prawdziwej historii, którzy przekuli Tennysona w litą stal. "Najgorsza wyprawa świata"!

A teraz grupa chcąca ich upamiętnić składała hołd najlepszej ekspedycji w historii Antarktydy, stawiając kapliczkę ich szaleństwu i skromności, której Val nie do końca rozumiała, lecz w którą wierzyła. To był dla niej rodzaj religii.

Ze ściśniętym gardłem wzniosła następny toast:

- Za Birdie Bowersa, optymistę!

A inni odkrzyknęli:

- Wiwat! Wiwat!

Po czym wychylili kubki gorącej czekolady. Elliot, który, jak sądziła, chciał z niej zakpić, zawołał:

- Wszystko w porządku! Wszystko w porządku!

I tak było, przynajmniej w tej chwili. Chociaż, oczywiście, powrót do domu mógł być cholernie nieprzyjemny.

Jakiś czas potem, kiedy Val wróciła na grań, by usunąć stamtąd śmieci (puszki, folię aluminiową itd.) w swoim małym, ręcznym radiu usłyszała głos Randi.

- Cześć, Val, tu głos z Południa, który dochodzi do ciebie dzięki cudowi odkształconych i skierowanych w odpowiednie miejsce fal radiowych, słyszysz mnie, odbiór?

- Słyszę cię, Randi. O co chodzi?

- Wiesz, co się zdarzyło twojemu "sandwiczowi"?

- Nie nazywaj go tak, co się stało?

- A więc z twoim byłem. Wiesz, że pojechał z transportem NTLBP.

Przed chwilą powiedział mi, że go porwano!

-Co?

- Porwano go. Ktoś go zamknął w pierwszym ciągniku przy warunkach pogodowych numer jeden, a kiedy udało mu się wyjść, było tylko dziewięć pojazdów zamiast dziesięciu! Napad lodowych piratów!

- Kto, do cholery, mógłby to zrobić?

- Piraci lodowi! - Randi roześmiała się. - Diabli wiedzą kto. Ale czy to nie śmieszne, że przydarzyło się to właśnie Iksowi?

- Nie! Dlaczego miałyby to być śmieszne?

- No, bo to naprawdę nieźle. To znaczy wszystko z nim w porządku i wreszcie ma przygodę, której szukał, nie?
- Może - odparła zdawkowo Val. To, co zrobiła Iksowi, było jeszcze jednym powodem jej zgryzot.
- Daj spokój - powiedziała Randi. - Będzie mu się podobało. W końcu to marzyciel.
- Może.

ROZDZIAŁ DRUGI

STOLECZNA NAUKA

Wade Norton właśnie rozgryzł zagadkę ostatniej części Piątej Symfonii Czajkowskiego, kiedy zadzwonił jego szef, senator Phil Chase. Był późny wrześniowy wieczór, a w Waszyngtonie panował upał - sto piętnaście stopni Fahrenheita i wilgotność zbliżająca się do stu procent. Zza okna słychać było przytłumiony huk miasta, zmienionego w łaźnię turecką, w której ludzie gotowali się w oczekiwaniu na koniec tego EZA, czyli ekstremalnego zjawiska atmosferycznego. W tym roku, podobnie jak w kilku poprzednich, przez kraj przetaczały się ulewy, powodujące powodzie, dotkliwe susze, rekordowe nize i wyże, trzęsienia ziemi, tornada, huragany i wiele gwałtownych burz o różnym natężeniu.

Wade od paru godzin siedział przed ledwo zipiącym urządzeniem klimatyzacyjnym i dyrygował Piątą Symfonią. Pracował nad nią od ośmiu lat, podczas krótkich chwil wolnego czasu, takt po takcie badając partyturę, zmagając się zwłaszcza z finałem. Korzystał z najnowszego programu Maestro, dzięki któremu mógł manipulować tonacją, tempem, dynamiką, barwą, intonacją, wibracją i tak dalej, rozbijając melodię na oscylograficzny zapis fal dźwiękowych i pracując głównie na sztucznie generowanych dźwiękach, ale od czasu do czasu korzystał z instrumentów, bowiem symfonię dla Maestra nagrała sama orkiestra Filharmonii Wiedeńskiej. Wreszcie miał wersję, o którą mu chodziło. Nie było to łatwe, ponieważ, jak w rozmowie z Czajkowskim zauważył Brahms po wykonaniu symfonii w Hamburgu, finał był strukturalnym bałaganem. Jak zwykle, Czajkowski nieostroźnie natychmiast zgodził się z nim, a po kilku miesiącach doszedł do wniosku, że to nie jego Piąta Symfonia ma wady, tylko sam Brahms, którego muzykę nazywał Czajkowski "cokołem bez pomnika". Na wspomnienie tej riposty Wade uśmiechał się i to przede wszystkim dzięki niej postanowił dyrygować Piątą, co oznaczało potraktowanie jej jak pomnika pozbawionego cokołu, unoszącego się w powietrzu, jak poemat, którego każda część ma własne, niepowtarzalne piękno, inne od pozostałych części; radził sobie z trudnymi momentami najlepiej jak umiał, wykorzystując możliwości Maestra, który potrafił robić rzeczy nie do wykonania dla żywej orkiestry.

Oczywiście, subkultura domowych dyrygentów w większości nie interesowała się ogranymi utworami; od tego materiału uwolniły ich nowe możliwości komputerów. Istotnie Wade zajął się Piątą po kilku latach pracy nad nierejestrowaną muzyką D'Indy'ego, Poulenca i Martin(; jednak ostatnio coraz częściej podnosiły się głosy, by zgłębiać i "przyjemną powierzchnię", i lekceważony ograny materiał z wielkich sal koncertowych. Wade miał wrażenie, że jego dzieło jest na tyle dobre, by je zaprezentować szerszej publiczności, przynajmniej zagorzałym miłośnikom Czajkowskiego. Gdyby finał Piątej Symfonii był czymś w rodzaju twierdzenia Fermata, jego wersja mogła stanowić dowód Wileasa.

Ale teraz zadzwonił telefon. Na pewno Phil, senator Philip Krishna Chase z Kalifornii, jego szef i przyjaciel, dzwoni} z jakiegoś zakątka świata, jak zwykle zapominając o różnicy czasu. Phil dwa lata temu stracił fotel przewodniczącego Senackiej Komisji Spraw Zagranicznych i często mówiono, że jego czas minął, gdy w tym roku republikanie zdobyli większość w Senacie i Izbie Reprezentantów; od tej pory rzadko bywał w Waszyngtonie (zresztą przedtem też nieczęsto go tu widziano), chcąc widocznie udowodnić, że jest świetnym "telesenatorem", który potrafi wypełniać swoje obowiązki, będąc w niemal bezustannej podróży dookoła świata "za pieniądze podatników", jak często mówili jego przeciwnicy. Waszyngtońscy mędracy uważali jednak, że senator jest w błędzie i mniej więcej co tydzień wzywali go do powrotu, by jak wszyscy zabrał się wreszcie do roboty itd.;

u siebie w domu, czyli w Kalifornii, miał rekordową liczbę zwolenników, ale też najwięcej wrogów. A jednak został wybrany na senatora powtórnie i to przewagą dwudziestu trzech procent. Phil często powtarzał, że Kalifornia pracuje na odległość, za pomocą komputerów od zawsze, zanim jeszcze zaczęła na to pozwalać technika; większość Kalifornijczyków była dumna z pracy swojego senatora w wielu przeludnionych, cierpiących głód, nękanymi powodziami i suszami krajach trzeciego świata, które szczególnie interesowały Phila - byli też dumni z przełomów, jakich dokonywał senator w jakości samej pracy na odległość, naciskając Senat w sprawie zmian w ustawodawstwie, które wprowadziłyby wiele ułatwień dla pracujących w podobny sposób. Tak więc, zabezpieczywszy sobie podstawy władzy, senator Chase nadal wędrował i latał po świecie, wspomagając lokalne organizacje społeczne i firmy ekologiczne, będące spółkami pracowniczymi, natomiast swe obowiązki w Waszyngtonie pełnił za pomocą telefonu, faksu, swojego pełnomocnika, swoich pracowników i sporadycznych wizyt w stolicy.

Wade przyzwyczaił się już do tego, że gdy przycisnie guzik telefonu, usłyszy: "Wade! Wade! Czas do pracy!"

- Cześć, Phil. - Wade przycisnął Zachowaj w Maestrze i sięgnął po notatnik. Typowa rozmowa z senatorem trwała od pół godziny do godziny i składały się na nią: tuzin poleceń, dwa tuziny sugestii i trzy tuziny refleksji oraz przemyśleń; zwykle robił notatki, aby nie zatonać w tym potopie.

- Gdzie dziś jesteś?

- Jest rano, Wade, dla ciebie to już jutro. Jestem w Pakistanie i właśnie będę strzelał do szesnastego dołka. W pięciu dostałem fory i strzelałem z wiatrem, ale przejdźmy do rzeczy, Wade. Słyszałem, że w naszym zespole jesteś ekspertem od Antarktydy.

- Antarktydy?

Phil roześmiał się dźwięcznie; mówiono, że właśnie tym śmiechem wygrał poprzednie wybory.

- Tak, John mówi, że na pewno musisz się na tym znać, bo pisałeś jakąś pracę o Klubie Południowym.

- Zgadza się, ale to był tylko ogólny szkic.

- Wiem, mam to teraz na ekranie. "Następstwa komplikacji związanych z nieprzedłużeniem Traktatu Antarktycznego. Zarys ogólny" autorstwa W.N.

- No, tak. - Wade rzeczywiście w zeszłym roku prowadził badania nad systemem Traktatu Antarktycznego (zbiorem traktatów, protokołów i umów), kiedy senator Winston, następca Phila w Komisji Spraw Zagranicznych, doprowadził do głosowania, które odłożyło w czasie ratyfikację odnawiającą Traktat, renegocjowany od trzech lat. Dla Wade'a było jasne, że blokowanie ratyfikacji poza tym, że było częścią szerszej strategii utrudniania życia prezydentowi na wszystkich frontach, miało coś wspólnego z wojną toczoną przez senatora Winstona z Klubem Południowym, co równało się wojnie z całą półkulą południową, która w przekonaniu Winstona była siedliskiem bezbożnej gnuśności i lenistwa. Renegocjowany układ nie znosił zakazów dotyczących eksploatacji ropy, minerałów i innych złóż, wprowadzonych protokołem ekologicznym w 1991 roku; oczywiście, Wall Street bardzo się to nie podobało, ponieważ stało w sprzeczności z toczoną przez nich kampanią demontowania wszystkich pozostałych na ziemi regulacji prawnych, które dotyczyły ochrony środowiska i różnych innych ograniczeń, przeszkadzających swobodnie działać wolnemu rynkowi itd.

Innymi słowy, była to część zwykłej, współczesnej wojny toczonej na politycznym polu bitewnym, na swój sposób interesującej; ale twierdzenie, że Wade jest ekspertem od Antarktydy było śmiechu warte, co w tym momencie udowodnił Phil. Wade nauczył się wszystkiego, czego potrzebował w podobny sposób, jak wkuwa się do testu i w głowie została mu pewna część wiadomości. Antarktyda! -jak często wówczas mawiał on i jego koledzy - najwyższy, najzimniejszy,

najbardziej suchy i wietrzny oraz najmniej znaczący ze wszystkich kontynentów!

Nie czekając, aż przebrzmi chichot Chase'a, Wade powiedział:

- Wcale się tak wiele nie nauczyłem o Antarktydzie, Phil. Szczerze mówiąc, wolę lód w Krwawej Mary.

- Skromność przez ciebie przemawia, Wade. Zaczekaj, mój strzał... Do kitu. Ale przecież jesteś ekspertem w moim zespole i jesteś na miejscu. W zeszłym miesiącu zdarzyło się parę rzeczy i chciałbym, żebyś się nimi zajął.

Zdaje się, że zwłoka z ratyfikacją Traktatu zaczyna trochę mieszać. Nieźle by było znaleźć coś na Winstona, gdybyśmy trochę pogrzebali w tym zamieszaniu. Oczywiście, sam przyjadę się rozejrzeć, sprawa brzmi wspaniale, ale mam pewien interes, który nie może czekać, w Kaszmirze.

- Co słyszałeś? - zapytał ostrożnie Wade.

- No, podobno działały się jakieś śmieszne rzeczy. Przyjaciele opowiadali mi o tym, stąd wiem, że to śmieszne. Coś się dzieje. Musisz dotrzeć do kogoś z NFN, żeby zdał ci pełną relację, nie jestem pewien, czy słyszałem o wszystkim. Gdyby się jednak udało zdobyć coś na Winstona, byłoby nieźle.

Mówiąc między nami, ten facet zaczyna działać mi na nerwy.

- Reszcie ludzkości też.

- ...spieprzył regulację demograficzną, pomoc zagraniczną, sprawę ochrony przyrody, składki na ONZ, naprawdę trzeba powstrzymać tego gościa, on chyba prowadzi ten cały Götterdämmerung*. Dosiada czterech koni naraz, dlatego ma krzywe nogi. Trzeba zobaczyć, czy znajdziemy taki kij, żeby go najpierw rzucić na kolana, potem trochę mu wyprostować nogi, że się tak wyrażę, i odprawić. Przysięgam, nie rozumiem, dlaczego Amerykanie wybierają takich facetów, to absurd, żeby Kongres miała jedna partia, a prezydenta druga, za często to się zdarza, co oni chcą osiągnąć? Przecież w ten sposób nic się nie da zrobić!

- W tym sęk. Właśnie na to mają nadzieję.

- Nadzieję na paraliż? Po co? Na ulicach nikt nie lubi korków.

* Götterdämmerung - (nm.) "zierzch bogów"; w germańskich sagach: upadek bogów, koniec świata.

- Mają nadzieję, że jeśli rząd nie będzie mógł nic zrobić, historia się zatrzyma i wszystko zostanie takie, jak jest teraz.

- A co teraz jest takiego wspaniałego?

- Niewiele, ale ludzie myślą sobie, że zmiany mogą tylko wyjść na gorsze. To strategia sterowania szkodami. Widzą, że globalna gospodarka wyraźnie zmierza w stronę wyczerpania.

- Zawsze to powtarzam, ale istnieją lepsze sposoby niż blokowanie wszystkich działań w Waszyngtonie!

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien! W każdym razie na pewno powinny istnieć.

- Powinny. Ale póki co elektorat musi się trzymać tego, co ma. Zatrzymać historię i przeczekać. Mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

- Moim zdaniem to bardzo smutne. Na coś czekają, Wade. Czekają, żebyśmy przejęli piłkę i pobiegli.

- I uciekli z korka.

- Otóż to! No dobra, ale żeby to zrobić, musisz jechać na Antarktydę.

Wyślę ci wszystko, co mam na ten temat i poczytasz sobie w drodze.

- W drodze?

- Tak. Na Południe jadą ludzie z Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu. Zabierzesz się z

nimi.

Wade napisał w notatniku: Zrobić, a pod spodem: Przełamać blokadę, a jeszcze niżej Pojechać na Antarktydę. Patrzył na kartkę, nie wiedząc, co począć.

Phil znów się roześmiał.

- O co chodzi, Wade, nie lubisz zimna?

- Nie aż tak. - Wade dorastał w Hemet w Kalifornii i zaczynał drzeć z zimna, kiedy temperatura spadała poniżej dziewięćdziesięciu stopni Fahrenheita. Nawet przy ogólnym ociepleniu klimatu uważał Waszyngton za chłodne miejsce.

- Słyszałem, że na dole nie jest już tak zimno, jak kiedyś.

- Na Antarktydzie?

- Tam jest teraz wiosna, nie?

- Wczesna. Właściwie zostały do niej jeszcze dwa tygodnie. O ile sobie przypominam, w tamtych stronach to najzimniejszy okres w roku.

- Widzisz, nie mówiłem, że jesteś ekspertem? Ha, ha, ha! Przyzwyczaisz się. Czekał chwileczkę, Wade, moja kolej na strzał.

Chase, chcąc odpocząć od swych humanitarnych działań, często grywał w golfa w czwórce, w której żaden gracz nie odrywał się od pracy, podobnie jak on wydając polecenia przez telefon czy faks, tak więc grali każdy w swojej rzeczywistości, prawie ze sobą nie rozmawiając. Tym razem jednak Wade słyszał w tle wesoły gwar, co by mogło świadczyć, że spotkanie ma bardziej towarzyski charakter. W Pakistanie nie było tylu telegolfistów co w Stanach, gdzie pola zwykle wyposażano w modemy i faksy tuż obok stanowisk do czyszczenia piłek.

- Jedź więc na Południe, Wade, i sprawdź, co się tam dzieje i jak możemy to wykorzystać. Dziś wieczorem masz samolot z Los Angeles do Auckland.

- Dzisiaj?

- Masz jakieś zakłócenia na linii, Wade?

-Nie.

- W porządku, bierz się więc za to i pozwól mi się skupić na grze. Zazdroszczę ci tej wyprawy, Wade, chciałbym następnym razem sam pojechać, więc miej oczy otwarte, żeby mi potem powiedzieć, gdzie mam jechać. Chcę mieć co dzień raport, będziesz mnie informował o wszystkim, tak żebym miał wrażenie, że tam jestem, będziesz moimi oczami i uszami, jak w Waszyngtonie, tyle że czeka cię lepsza zabawa. Wkrótce się odezwę, muszę sobie teraz wyobrazić tor następnego strzału. Na razie.

Wychował się blisko Redlands w Kalifornii, w regionie wciąż pełnym pomarańczowych i cytrynowych gajów oraz sadów avocado. Lecz nieuchronne przerzuty choroby, na którą cierpiało Los Angeles, dotknęły także jego rodzinne strony, kiedy był chłopcem; w milczeniu i nie rozumiejąc, przyglądał się, jak w ciągu lat jego dzieciństwa i młodości gaje wycinano, a w ich miejscu powstawały autostrady, centra handlowe, kompleksy mieszkaniowe z nową podmiejską społecznością. Kiedy pojechał do Berkeley, by wstąpić do college'u i zaczął myśleć o tym, co się stało z domem jego dzieciństwa, zatrzęsł się z oburzenia.

Potem przeniósł się do Humboldta, by studiować leśnictwo. Wędrował, uczył się wspinaczki, narciarstwa. Wyjechał na rok na Alaskę. Po powrocie do normalnego świata chodził do szkoły prawniczej, chcąc poznać prawo środowiskowe, żeby móc lepiej walczyć o dzikie miejsca, które pokochał i które ulegały zniszczeniu, sianemu przez bezmyślnie mnożących się ludzi. Z każdym dniem coraz bardziej utwierdzał się w tym, że górnolotne hasła takie jak demokracja, wolny rynek, zaawansowanie techniczne, obiektywizm naukowy i postęp, w historii są tylko mitem, takim samym

jak święte feudalne prawo króla: wygodnym i poręcznym alibi, dzięki któremu bogata mniejszość rządzi światem. Nowoczesne społeczeństwo, jak zresztą wszystkie wcześniejsze formy organizacji, od czasów sumeryjskich i babilońskich, było wielkim oszustwem, strukturą przypominało piramidę, w której bogactwo świata trafiało tylko do najbogatszych, jak przez wielki lejek; środowisko naturalne obracało się w pył tylko po to, by powiększyć rozdęte do nieprzyzwoitych rozmiarów konta bankowe ludzi mieszkających na prywatnych wyspach na Karaibach.

Po skończeniu studiów dostał pracę w dużym biurze Klubu Obrońców Terenów Naturalnych w Waszyngtonie, dochodząc do wniosku, że jeżeli naprawdę ma mieć wpływ na cokolwiek, musi się znaleźć w samym sercu bestii i tu toczyć wojnę, wykorzystując znajomość prawa. Klub skupiał jedną z większych grup obrońców środowiska na świecie, a waszyngtońskie biuro w ciągu ostatniej dekady odniosło większość sukcesów istotnych dla ruchu ekologów. Byli to sprytni i bezwzględni prawnicy, którzy sprawiali wrażenie, jakby bronili straconych pozycji, pracując po czternaście godzin dziennie, a potem całe noce przegadywali na spotkaniach w Georgetown.

Przystąpił do nich i włączył się do walki. Kilka bitew wygrali, kilka przegrali. Nabawił się przy tym typowych chorób cywilizacyjnych: trochę za dużo pił, czasami palił cygara, nie potrafił wytrwać w jednym związku dłużej niż rok; kobiety, z którymi się wiązał, chciały czegoś więcej niż polityki, poza tym wiele z nich nie pociągała perspektywa spędzenia urlopu na wspinaczce lodowej w Jukonie albo na Ziemi Baffina. Chyba nikt nie nadawał na jego fali, nawet w klubie. Wszyscy byli neurotykami; on zresztą też. Rozdzźwięk między tym, w co wierzył, a jego życiem, był niemal nie do zniesienia.

Potem dostał zadanie związane z ostatnim bezczelnym zamachem na dziki teren, koordynowanym przez lobby producentów drewna i Amerykańską Służbę Leśną, najbardziej zacieklego wroga przyrody w ogóle, a lasów w szczególności - chodziło o plan inwentaryzacji wszystkich ziem federalnych i ocenę, na których terenach można rozpocząć wycinkę, ponieważ wcześniej do tego przeznaczone tereny wycięto już do cna. Służba Leśna twierdziła, że w przyszłości drzewa będzie się wycinać według ich nowego, zintegrowanego planu zarządzania obszarami leśnymi i że ów plan jest rozsądny z punktu widzenia ekologii, oraz że na wszystkich terenach, na których dotychczas nie prowadzono wycinki, można rozpocząć mądrzejsze, "selektywne" wycinanie. Lobby producentów drewna zaatakowało Kongres, który jak zwykle za odpowiednią sumę był gotów zrobić wszystko; reforma systemu finansowania kampanii wyborczych zmieniła się w kolejne skomplikowanie systemu finansowania kampanii wyborczych; producenci drewna zabezpieczyli sobie tyły w odpowiednich podkomisjach i szansę powstrzymania ich zmniejszyły się coraz bardziej. Lecz wszystkie większe grupy obrońców środowiska sprzeciwiły się otwarciu dla wycinki nowych terenów - które według pierwszej propozycji Służby Leśnej obejmowały około stu milionów akrów rozsianych po całym kraju - i zaczęły zbierać pieniądze na wytoczenie sprawy sądowej, by zgodnie z prawem unicestwić ów plan.

Zaczął więc pracować po szesnaście godzin dziennie, czasem osiemnaście, czując, że to walka jego życia, że pochłoneła go bez reszty. Wszystko inne przestało się liczyć. Musieli obalić ów plan.

Ale wszedł mu w drogę inny czynnik. Po odwiedzeniu północy Alaski prezydent był skłonny poprzeć utworzenie terenu chronionego i rezerwatu dla zwierząt na wybrzeżu Oceanu Arktycznego, co proponowano dawno temu, ale co w konsekwencji miało odciąć spore rezerwy ropy i gazu. Ceny ropy rosły od czasu kłopotów z polami syberyjskimi i ogólnego kurczenia się wszystkich znanych, gigantycznych złóż, propozycja prezydenta była kontrowersyjna, ale w stolicy machinacje różnych graczy doprowadziły do zrównoważenia argumentów po obu stronach; wszystkie zwierzęta z tundry były bardzo fotogeniczne i były daleko; a wszyscy członkowie dużych grup ochrony przyrody

entuzjastycznie popierali pomysł stworzenia parku. Ludzie prezydenta rozpoczęli negocjacje, w trakcie których wypowiedzieli się administracja, kongresmani, obrońcy przyrody, lobby producentów drewna oraz lobby naftowe i w końcu osiągnięto kompromis: północne arktyczne wybrzeże zostanie parkiem narodowym, a specjalna klauzula pozwoli na wydobycie tam ropy w sytuacji nadzwyczajnej, gdyby w kraju zaszła nagła potrzeba; jednak w zamian za to "ustępstwo dla przyrody", na dziewięćdziesięciu procentach ze stu milionów akrów miano rozpocząć "ekologiczną wycinkę". Grupa ekologów przystała na to rozwiązanie.

On natomiast od początku sprzeciwiał się kompromisowi. Lecz niewiele mógł zrobić, by zatrzymać uruchomioną już maszynę. Prawdę mówiąc, Klub Obrońców Terenów Naturalnych był jednym z najgorliwszych orędowników kompromisu, ponieważ od lat głosili ideę utworzenia parku narodowego na Alasce. Tak więc zwierzchnicy w organizacji nie tylko nie posłuchali jego protestów, ale kazali mu wrócić do Kalifornii i dopilnować, żeby lokalne organizacje na prowincji w Okręgu Humboldt i u podnóży Sierra Nevada nie skarżyły planu wycinki do sądu, aby postanowienia kompromisu można było realizować bez napięć, które by mogły zniszczyć kruche porozumienie.

Tak więc wrócił do Kalifornii, ale jako zwykły obywatel - wystąpił z klubu wściekły i zniesmaczony. Stracił pracę i dom. Prawie rok żył z oszczędności, wspinając się na granitowe ściany w Yosemite, co było względnie taną rozrywką. Mieszkał na półce skalnej w Ścianie Zaginionej Strzały, nazywanej Lotniskiem Jeffersona. Jego choroby cywilizacyjne wkroczyły w dalsze fazy rozwoju. Z pasją i goryczą opowiadał partnerom o swoich doświadczeniach waszyngtońskich i sprzedanym kompromisie w sprawie Alaski. Ale za każdym razem tylko denerwował się jeszcze bardziej.

Kiedyś grupa alpinistów bazująca w Tuolumne zabrała go na długą zimową wyprawę narciarską szlakiem Muira, zatrzymując się po drodze, i z zapasami żywności oraz linami wspinając na najlepsze szczyty. To była szalona ekspedycja szalonych ludzi. Pewnej nocy, gdy obozowali w niższych partiach gór, rozpalili ognisko samym drewnem, zasiedli przy trzaskającym ogniu i zaczęli opowiadać sobie historie. Powtórzył im znów swoją opowieść o Waszyngtonie, a oni zaczęli się z niego śmiać.

- "Powinieneś wiedzieć - powiedzieli mu - że reforma nigdy nie przyniesie efektów. To tylko inna forma kolaboracji".

- "Ależ trzeba coś zrobić" - zaprotestował.

- "Oczywiście. Ale trzeba zrobić coś, co przyniesie efekty. A może je przynieść tylko bezpośrednie działanie".

- "Bezpośrednie działanie?"

Patrzyli na niego błyszczącymi oczyma poprzez skaczące płomienie.

W ciągu dalszej części wyprawy dowiedział się, co mieli na myśli.

Wszyscy należeli do grupy, którą ze śmiechem nazywali "ekosabotaż internationale". Nie mieli żadnych oficjalnych form organizacyjnych; byłoby to jawne zaproszenie do represji. Twierdzili, że właśnie taki błąd popełniła organizacja "Earth First!"; jeśli się wydaje biuletyn i sprzedaje ludziom, ułatwia się jedynie ataki ze strony FBI, które niczym policyjny rottweiler skacze do gardła, albo, co gorsza, ze strony prywatnych firm ochrony producentów drewna czy nafcjarzy, które były quasi-partyzanckimi organizacjami, szkolonymi przez CIA albo tajne służby trzeciego świata - działające cicho i skutecznie.

Nie. Przede wszystkim trzeba było pozostać w podziemiu, jako grupa nieznana i niezorganizowana, o której nikt nie słyszał i której nikt nie widział.

Nie mieli imion. Nad formami łączności pracowali dla nich specjaliści od szyfrowania, a metody ich działania opracowywali eksperci od ekologicznego sabotażu. Anonimowość była kluczową sprawą. Nie mieli kierownictwa, prawników, własnych funduszy, rzeczników prasowych. Mieli jednak członków; kilka tysięcy, jak twierdzili, zgrupowanych w tajnych i prawie niezależnych od siebie komórkach. Nikt ich nie infiltrował, bo prawie nikt o nich nie wiedział. Byli bardzo, bardzo ostrożni i informowali o swoim istnieniu niewielu. Mimo to wciąż ich przybywało, bo z Ziemią działo się coraz gorzej i coraz więcej ludzi widząc to, uznawało słuszność radykalizowania działań ekologicznych.

Pomyśleli sobie, że jego też mogłoby to zainteresować.

Po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat poczuł, że ucisk w żołądku zelżał- Pod koniec tej wyprawy, na płaskowzgórzu Diamond, na południe od przełęczy Forestera, spędzili srebrzyste, zimowe popołudnie, układając z kawałków granitu drogocenne, jak się wyrazili, nowe dzieło sztuki ekologicznej, by uczcić jego przyjęcie do stadka "ekosabotażu internationale"; była to niewysoka miniatura Stonehenge, zbudowana w sercu Sierra Nevada, w której środkowy kamień symbolizował jego rolę w grupie; jego i wszystkich innych.

Wszyscy byli w centrum świata, mówili; a potem tańczyli wokół kamiennego kręgu w blasku zachodzącego słońca, bębniąc w menażki, pijąc whisky i rzucając kamieniami w księżyc.

Nazajutrz rano zburzyli kamienne koło i ruszyli dalej. A następnej wiosny dwóch członków owej tajnej grupy odwiedziło go w jego mieszkaniu w Berkeley i zapytali, czy nie chciałby przyłączyć się do ich ekspedycji. Pojechali w Sierra Nevada, gdzie szczególnie intensywnie prowadzono ekologiczną uprawę drzew. Jednak nawet ekologiczne leśnictwo musiało pozwolić na wycinanie drzew, by zbudować drogi. Na północ od autostrady nr 80 wycinano właśnie nową sieć dróg. Pracy pilnowała prywatna ochrona, co zresztą stało się już normą. Tej nocy nie było księżycy, a budowa dróg osiągnęła tę newralgiczną fazę, w której przeprowadzono już pomiary i zaznaczono drzewa plastikowymi chorągiewkami oraz pomalowano, ale ich jeszcze nie ścięto i nie wywieziono.

Podjechali więc do końca polnej drogi, gdzie znajdował się osłonięty camping, wysiedli i pobiegli w krzaki. Podnóża Sierra Nevada są dość trudnym terenem na biegi przełajowe, szczególnie w nocy, ale jego towarzysze mieli opracowaną trasę i zbiegli zboczem wprost na wytyczoną linię drogi i niczym prehistoryczni łowcy poczęli się skradać, używając noktowizorów i kilka razy uskakując w bok, by uniknąć spotkania z patrolem; powyrywali kije z chorągiewkami, za pomocą rozpuszczalnika w sprayu usunęli farbę z pni drzew i w ten prosty sposób w ciągu jednej nocy zniweczyli trzy tygodnie pracy firmy wycinającej drzewa.

Oczywiście, firma mogła odtworzyć prace, powiedzieli mu towarzysze w drodze powrotnej. Niewątpliwie też to uczyni. Ale wówczas wzrosną koszty. Wycinanie drzew było atrakcyjne tylko wtedy, gdy przynosiło choćby minimalne dochody, a liczykropy z Wall Street, oceniając bilans zysków i strat, uznają, że wycinanie drzew to wcale nie taki dobry interes i nie warto aż tyle weń inwestować. Wielkie korporacje, do których należały pozyskujące drewno firmy, będą bardzo rozczarowane i pozbędą się niedochodowych przedsiębiorstw; w końcu i tak, podobnie jak te firmy, zajmowały się tylko trzebieniem i oskubawszy do cna podległe sobie przedsiębiorstwa, uznają je za niepotrzebne; mogło się też zdarzyć, iż zarząd wielkiej korporacji dojdzie do wniosku, że wycięto już większość nadających się do tego lasów. Wtedy po prostu przestaną się interesować taką działalnością i potrzeba zdobycia drewna ustąpi konieczności wycofania wkładów z niepewnego interesu.

Ekologów-sabotażystów było więcej - sypali cukier do zbiorników z paliwem, kopali kanały, wtaczali na drogi głązy, wprowadzali wirusy do komputerów; niewidzialni, niezorganizowani,

unikający przemocy, nieznani nikomu. Nigdy nikogo nie krzywdzili, nie przechwalali się, w ogóle nie mówili.

Egoradykałowie, a raczej ekoradykałowie. Niech organizacje w stylu Greenpeace robią szum w mediach i przedstawienie dla Ziemi; to też było ważne, ale nie na tym polegały ich działania. Oni pracowali nocą, głównie mężczyźni, chcąc coś zrobić, by ocalić świat, podobały im się też te nocne dawki adrenaliny i świadomość, że dokonują czegoś wielkiego. Było to trochę podobne do tajemniczych kolistych znaków ze złamanymi kłosów, jakie pod koniec zeszłego wieku robili na polach Brytyjczycy, w przeświadczeniu, że tworzą coś pięknego, aby walczyć z bezsensownością cywilizacji. Lecz ich dzieło wydawało się czymś lepszym. Wyrażali opór wobec bezmyślnego zła ekonomicznego reżimu świata.

Odnalazł swój cel i trochę się uspokoił. Dostał mało dochodową pracę w firmie prawniczej w Berkeley, gdzie zajmował się sprawami udziału obywateli w życiu publicznym i bronił praw społecznych resztek postępowej kultury na tym terenie, bronił też biednych, którzy najbardziej odczuwali skutki niszczenia środowiska. A potem zaczął robić wszystko, by wymazać swoją przeszłość jako prawnika-obrońcy środowiska. Stał się mniej znerwicowany, czuł się mniej winny. Rzucił cygara. Kiedy pracował, naprawdę pracował, starał się najlepiej jak mógł, czasem nie żądał nawet zafaty; lecz gdy nie pracował, odpoczywał. Pierdołę, mówił i ruszał w drogę. Urlop spędzał na wspinaczkach w Arktyce i gdzie indziej, w różnych częściach świata. Wiązało się to ze spalaniem paliwa przez odrzutowce, ale mniejsza z tym. Koniec z męczeństwem i uciśnioną cnotą, jak walczyć to walczyć. Był uczestnikiem kilku wypraw w Himalaje. Kilka razy w roku wyjeżdżał na wakacje z przyjaciółmi, których nigdy przedtem nie widział ani z którymi nigdy nie rozmawiał, poza okazjonalnymi spotkaniami na Telegraph Avenue; energicznie oddawali się ekosabotażowi, dzięki któremu życie wydawało się snem.

Wreszcie sam wciągnął do ruchu kilku przyjaciół alpinistów. Zaczął zwracać uwagę na Rejestr Federalny i inne publiczne źródła informacji, żeby samemu móc planować akcje. Organizował ich coraz więcej; i nikt o niczym nie wiedział.

Podczas jednych wakacji przyłączył się do grupy alpinistów, którzy zamierzali zdobyć Mount Vinson, najwyższy szczyt Antarktydy. Podobnie jak w Himalajach, było to dla niego ogromne przeżycie; najbardziej czysta i nieskalana ziemia, jaką kiedykolwiek widział. Zakochał się w tym lądzie. Później trudniej było mu znieść życie w Berkeley. Wciąż za dużo pił. Znowu od czasu do czasu popalał cygara. Zaczynał i kończył związki z kobietami, zrywając je czasem boleśnie, czasem pośpiesznie i niedbale. Skończył trzydzieści sześć lat.

Czytanie wiadomości stało się dla niego formą samobiczowania. Wszystko zmierzało ku katastrofie. Na świecie mieszkało już dziesięć miliardów ludzi, wskaźnik Dow Jones utrzymywał się na poziomie dziesięciu tysięcy.

Średnia globalna temperatura podniosła się o dziesięć stopni w stosunku do przeciętnej w ubiegłym wieku i co tydzień zdarzały się klęski atmosferyczne, powodując straszliwe zniszczenia i nieszczęścia. Około czterech miliardów ludzi nie miało elektryczności, a równocześnie rozpadały się całe ekoregiony; nie ustawało tempo bezwzględnej eksploatacji światowych zasobów naturalnych. Jeden z jego przyjaciół ekologów, który miał doświadczenie w machinacjach rynkowych, na jego pełne gorczy żale o ogólnej destrukcji zareagował szyderym śmiechem i wyjaśnił mu, o co tu chodzi. Powiedzmy, że jakaś firma posiada las, który od pokoleń wybiórczo wycina i płaci swoim akcjonariuszom stałe dziesięć procent zysku. Tymczasem światowe rynki finansowe proponują akcje z piętnastoma procentami zysku. Ceny drewna spadają i spadają też zyski firmy, więc akcje przestają się sprzedawać, ich cena spada na łeb na szyję i akcjonariusze są wściekli. Wobec groźby

bankructwa, zarząd postanawia całkowicie wyciąć las i pieniądze ze sprzedaży drewna natychmiast zainwestować w akcje, przynoszące większy zysk niż las. W rezultacie pieniądze, które wart był las, stały się warte więcej, ponieważ jego długoterminowa wartość zmieniła się w obecną wartość netto; tak więc las zostaje upłynniony i jeszcze więcej pieniędzy trafia do ogromnego worka. W ten sposób nieubłagana logika kapitalizmu ery Götterdämmerung burzyła świat, by podnieść obecną wartość netto przedsiębiorstw, które miały kłopoty. A kłopoty miały wszystkie.

Przyjaciel przyglądał mu się i roześmiał się z jego pełnej niesmaku miny; wzniosł ręce: tak to już jest. Oto wyjaśnienie Götterdämmerung: nie samobójcy i mordercy na szczytach władzy, ale prosta logika systemu.

Wrócił do domu przez tonące w smogu i hałasie ulice, w ogóle ich nie zauważając. Oczyma duszy widział tylko rozpadający się w proch świat.

Innego dnia znów bezsilnie czytał gazety w barze, by nikt nie mógł wysledzić jego sekretnego procederu. Trafiał na artykuł o obecnej sytuacji Antarktydy. Blokada ratyfikacji Traktatu Antarktycznego w Senacie stawała na przeszkodzie interesom innych krajów Traktatu; niektóre państwa półkuli południowej, które nie przystąpiły do Traktatu, widząc to, powołały niedawno konsorcjum pod nazwą Południowa Grupa Antarktyczna, aby zacząć eksploatować złoża ropy na Antarktydzie. A więc i oni będą to robić. Na ostatnim nietkniętym obszarze Ziemi.

Zaczął czytać więcej na ten temat. Źródła amerykańskie szacowały, że na Antarktydzie znajdują się złoża ropy rzędu pięćdziesięciu miliardów baryłek; przy obecnym zużyciu wystarczy ledwie na kilka dekad eksploatacji. Ale przy cenie dwudziestu dolarów za baryłkę - to był bilion dolarów. Co dawało roczny budżet rządu USA i zaledwie roczny budżet obronny świata; ale na pewno wystarczyłoby na spłacenie wszystkich długów, przez które państwa południowe musiały wprowadzić najbardziej surowe programy oszczędnościowe, jakie tylko potrafiły wymyślić Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Zobaczył, jak działa logika systemu.

Poszedł do domu jednego ze swych przyjaciół ekologów, tego, który go wprowadził do ruchu i który koordynował podobnie dużą komórkę jak on.

Słuchaj, powiedział do niego, trzeba coś zrobić. Tam nie ma ludzi, którzy by mogli obronić tę ziemię. Tym razem musimy zrobić coś trochę innego niż zwykle. Coś, co ich skutecznie powstrzyma.

ROZDZIAŁ TRZECI

ANTARKTYCZNE NASTROJE

Po kilku godzinach, jakie minęły od jego przyjazdu na biegun południowy, Iks siedział w herculesie lecącym z powrotem do McMurdo. Na biegunie został przyjęty, mówiąc delikatnie, nieufnie; pewnie uważano go za jakiegoś Jonasza; skoro jednak na trasie narciarskiej stał gotowy do startu samolot, błyskawicznie wepchnięto go na pokład, tak że nie zdążył zobaczyć nic ze słynnej nowej stacji. Żegnaj, dziewięćdziesiąt stopni szerokości południowej.

W Mac zabrali go prosto z herca do Szłasasu, gdzie przepytawali go szefowie z ZLA i ludzie z NFN oraz inspektorzy specjalnie sprowadzeni z Północy; w sumie spore grono, któremu Iks miał naprawdę niewiele do powiedzenia, więc gdy tylko opowiedział swoją historię, zupełnie o nim zapomnieli, dyskutując o innych podobnych wypadkach, o których dotychczas nie słyszał. Z natury niektórych wydarzeń jasno wynikało, że jego podróż jako nadzorcy transportu NTLBP nie była tak prosta, jak miał początkowo sądzić, czego oczywiście nie zauważył nikt na sali. Był tylko mechaniczną częścią transportu w trochę za dużym opakowaniu. Organicznym robotem.

Właściwie, myślał obserwując dyskutantów, cała jego praca jako pracownika warsztatowo-polowego polegała na wykonywaniu automatycznych czynności, których roboty nie mogły jeszcze wykonywać. Przyjechał na Antarktydę, żeby przeżyć wielką przygodę, a utkwił w McMurdo, odgarniał śnieg, sprzątał łazienki, mył kuchenki, dźwigał na plecach ładunki, tak - nawet obierał ziemniaki. Codziennie jakaś bezmyślna robota. Naprawdę był przynieś wynieś pozamiataj.

Jak gdyby na potwierdzenie jego myśli, poproszono go, by opuścił zebrane i zameldował się u Rona w warsztacie. Na miejscu stwierdził, że wózek widłowy przez przypadek wbił się w ścianę i w sąsiednim pomieszczeniu rozwalił ramę regału, który leżał teraz na podłodze wśród pojemników, kubków i szuflad pełnych śrub, nakrętek, gwoździ, zawleczek, podkładek i przeróżnych innych drobnych części, rozsypanych wszędzie dookoła. Wszedł Ron i uśmiechnął się okrutnie.

- Posprzątaj tu, Iks.

Jako kierownik techniczny w McMurdo, Ron często wydawał polecenia Iksowi; sprawował też funkcję miejscowego prezesa kapituły Klubu Nienormalnych, który miał sporo do powiedzenia w McMurdo. Był jednym z kilku wrosłych w lód weteranów, którzy przebywali tutaj już tak długo, że uważali się za panów stacji, a Ron mniej się mylił w tym przekonaniu niż inni. Jednak na Iksa dawno już przestał działać jego urok.

- Tak, szefie - odpowiedział Iks do pustych drzwi. Była to najgorsza z prac dla robota, tylko że roboty wciąż były za głupie, by odróżnić śrubę od nakrętki. Iks usiadł ciężko na chłodnej betonowej podłodze i zaczął sortowanie, próbując podejść do tego zajęcia jak do rodzaju ćwiczenia zen, lecz wściekał się coraz bardziej, gdy godziny mijały: to nie była praca dla człowieka. Co z tego, że w porze posiłków włókł się do jadalni z brudnymi palcami, rozsiewając wokół zapach smaru, betonowych podłóg i kontemplował jedzenie, skoro gadający ze sobą jajogłowi, siedzący przy okrągłych stolikach, w ogóle byli nieświadomi jego obecności. Oczywiście, w Ameryce nie było czegoś takiego jak podział klasowy, ale dlaczego w takim razie jajogłowi nosili tu długie, czerwone skafandry z kapturami i swoimi nazwiskami na plakietkach, podczas gdy ludzie z ZLA głównie brązowe kombinezony, które na klapach miały plakietki S, M, L albo XL - numer do wyboru! - i nikt nie zauważył ani nie skomentował tego podziału. Jajogłowi przychodzili do jadalni z laboratorium według własnego planu zajęć, najwidoczniej używali sobie jak nigdy w życiu; będąc tu, robili szybkie kariery, głównie dzięki temu, że chodzili po lodowym krajobrazie i wyrąbывali jego

kawałki, a potem określali ich wiek - tak to przynajmniej widział Iks. Na tym polegała ich praca; dostawali za to pieniądze; mieli ładne domy, miłe rodziny i przyjemne posady, wszystko za robienie takich rzeczy. Tak zarabiali na życie! Siedzieli w tej samej jadalni z ludźmi, którzy pracowali za godzinną stawkę, na sezonową umowę - nosząc ciężary, odmrażając tyłki, łamiąc paznokcie na metalowych przedmiotach, obsługując maszyny, czołgając się w rurach, którzy za swoją pracę nie zdobywali żadnego uznania, o którym warto mówić - dbali, żeby cała infrastruktura i obsługa chodziły jak należy, co pozwalało jajogłowym łązić na ryby albo oglądać pingwiny, albo decydować, czy kawałek skały jest stary czy bardzo stary.

Iks wściekły wrócił z jadalni na swoją betonową podłogę i znów zaczął sortować żelastwo. To był system klasowy, bez dwóch zdań. Oglądając życie w Mac, Iks w końcu zaczął układać sobie wszystko w głowie; każdy element znalazł się na swoim miejscu. Tam, w normalnym świecie, natłok informacji nie pozwalał przeprowadzić żadnej rzetelnej analizy; było za dużo wszystkiego, aby opis mógł być prawdziwy. Ale tu mieszkali w surowym mikrokosmosie, "Małej Ameryce", jak nazywano jedną z pierwszych baz; Iks zobaczył, że jest to światowy system klasowy w miniaturze, wszystko widoczne jak na dłoni i uderzająco podobne do związków z opowieści o carskiej Rosji, yóre czytał, nie mówiąc już o Egipcie faraonów: rządząca kasta i podludzie, arystokraci i poddani, tu i ówdzie kilku przedstawicieli klasy średniej. Czerwone skafandry i brązowe kombinezony stanowiły jedynie kolorowy kod, jak gdyby Fundacja i ZLA miały świadomość owych podziałów i były pewne, że mogą rzucić ludziom w twarz tę prawdę i nikt nie zaprotestuje - nikt w tym zminiaturyzowanym, postrewolucyjnym stadium późnego kapitalizmu. Bezcelność tej epoki jeszcze bardziej złościła Iksa, więc kiedy zbierał z podłogi śruby i podkładki, po czym wkładał je do odpowiednich pojemników, wyobrażał sobie bunty niewolników, Spartakusa, strajki generalne - słowem rewolucję. Gilotyny na Beeker Street!

Tylko przyszła mu do głowy taka myśl - a siedząc na zimnym betonie miał dużo czasu na myślenie - obraz gilotyny świadczył, że te fantazje są absolutnie nierealne. Nie w sensie praktycznym, ponieważ w warsztacie można by w jeden dzień zrobić gilotynę - ale ze względu na wspólnotę, małe pomieszczenia, wspólną jadalnię. Wspólne zmagania na lodzie. Wszystko to znaczyło, że on i reszta kombinezonów spotyka, choćby przełomie, jajogłowych, a dziewięćdziesiąt procent z nich było miłymi ludźmi - powiedzmy osiemdziesiąt procent albo przynajmniej siedemdziesiąt pięć procent - ale chwileczkę, sam wpadał w styl jajogłowych, musi więc uważać, to zaraźliwe -w każdym razie byli tylko ludźmi. Szczęściarze, że mieli taką pracę, często byli dziwakami, ale miłymi - zwłaszcza młode kobiety, bezpośrednio, często nawet miłsze od kobiet z ZLA, pewnie liczyły, że chronią je te czerwone skafandry - ludzie ci ładnie się uśmiechali, byli przyjaźni i często bardzo inteligentni. Ale też często nieobecni duchem, jak typowi, roztargnieni profesorowie; ludzie z ZLA uwielbiali anegdoty o roztargnieniu jajogłowych, ostatnio Popularna była historyjka o jednym, który postanowił przestać męczyć sobie rękę, jeżdżąc skuterem śnieżnym i po prostu przywiązał dźwignię gazu do rączki kierownicy. Gdy zapalał silnik, stojąc z boku, skuter pomknął przez śnieg i lód bez kierowcy, po czym zniknął mu z oczu, lądując pewnie na dnie zatoki gdzieś obok pojazdu, który wypadł za burtę ludziom Scotta - był to Wcześniejszy przykład jajogłowej niekompetencji.

W drzwiach stanął Ron, przerywając tok jego myśli nietaktownym parsknięciem.

- Ciągłe zbierasz to gówno, Iks? Grzebiesz się ze trzy dni.

- Tak - odpowiedział przez zaciśnięte zęby.

- Musisz iść gdzie indziej. Zejźdź na lądowisko dla helikopterów, właściwie powinieneś tam być od dziesięciu minut, jak wrócisz, skończysz tutaj.

Du muss schon gegangen sein!

- Jawohl, Herr Kommandant.

I nagle znalazł się na lądowisku z zatyczkami w uszach, potem wciśnięto go do helikoptera razem z kupą sprzętu; nic nie widział, nie miał słuchawek, ale czuł, że śmigłowiec leci nad lodowym morzem gdzieś w stronę Suchych Dolin - nie miał pojęcia, dokąd. Po jakimś czasie zostawiono go z jakimś sprzętem pośrodku jasnej, słonecznej plamy w przejmującym zimnie, w jakiejś okrytej brązowym cieniem dolinie, przypominającej ściśniętą mrozem Nevadę.

Kiedy helikopter zniknął mu z oczu i otoczyła go cisza, a jedynym dźwiękiem był świst wiatru, podeszła do niego grupa jajogłowych, którzy po kolei podali mu urękawiczone dłonie i przedstawili się: starszy mężczyzna, Geoffrey Michelson, niewątpliwie główny badacz; trzech trochę młodszych ludzi i przewodnik górski. Tego dnia szefem Iksa został Nowozelandczyk Graham Forbes. Jego młody asystent zachorował i zabrał go helikopter, więc dziś Forbes potrzebował kogoś do pomocy, by zapisywał liczby, które odczyta ze śnieżnego krajobrazu. W ten sposób praca pójdzie znacznie szybciej. Mówiąc o tym Iksowi, patrzył w bok, jak gdyby zawstydzony, choć w żaden sposób nie zdradzał innych emocji; wprost przeciwnie, ten człowiek miał według Iksa sposób bycia typowy dla jajogłowych, na który składał się matematyczny obiektywizm i tak szczątkowe okazywanie uczuć, że trudno byłoby określić, czy zdołałby przejść test Turinga.

A więc pisanie cyferek.

- W porządku - rzekł Iks. Na pewno lepsze to niż zbieranie gwoździ z podłogi.

I rzeczywiście, z początku tak było. Forbes odszedł od grupy, Iks podążył za nim i zabrali się do pracy. Ale dziś było naprawdę wietrznie, z bieguna dał katabatyczny wicher i gwizdał w dolinach; praca w tych warunkach była nieprzyjemna, zwłaszcza gdy trzeba było siedzieć na ziemi i wpisywać cyfry do notesu. Forbes zbierał próbki struktury skał, jak mu wyjaśnił, błędząc wokół i patrząc na ziemię przez jakieś pudełeczko. Oznaczało to, że mierzył układ pięćdziesięciu bezładnie ułożonych, podłużnych kamieni w jakimś miejscu. Przyglądał się więc kamieniom przez okrągłe pudełeczko i wołał:

- 351... 157... 18... 42 - i tak dalej, bez końca, a Iks zapisywał liczby w kolumnach po dziesięć. Świetne zajęcie.

Dzień mijał na wykonywaniu tej pracy, a przy lodowatym wietrze temperatura opadła sporo poniżej zera - Iks przypuszczał, że jest minus czterdzieści albo i minus pięćdziesiąt stopni. Między odczytami próbował nakładać najpierw rękawiczki, potem na nie rękawice z jednym palcem, ale pod warstwami materiału czuł zdrętwiałe z zimna dłonie, w których ledwie mógł utrzymać ołówek i czytelnie pisać; lalo mu się z oczu i nosa, twarz zdrętwiała tak, że ledwie mógł odpowiedzieć na pytania przewodnika, który przechodził obok, niemal zapominając o zastosowaniu się do górskiego protokołu, który wymagał, by położyć obie ręce na głowie i zawołać: "ZE MNA WSZYSTKO W PORZĄDKU!" Wprowadzono taki zwyczaj, ponieważ w warunkach dokuczliwego zimna najszybciej traciło się zdrowy rozsądek i wielu wyziębionych ludzi często mamrotało pod nosem "jest OK", po czym padało na ziemię jak figury lodowe i umierało. Trzeba więc było zapamiętać coś nieco odbiegającego od normy, by pokazać, że nie straciło się z zimna piątej kleпки i kiedy z szerokim uśmiechem podeszedł do nich przewodnik i zapytał, jak się czują, Iks i Forbes unieśli rękawice nad głowę i wyrecytowali:

"Z NAMI WSZYSTKO W PORZĄDKU", choć niewątpliwie z grupą, która musiała ustanowić taki system informowania, nie było w porządku i lepiej, gdyby czym prędzej poszukała sobie schronienia. Jednak od najbliższego dzieliło ich wiele mil - obozowisko jajogłowych znajdowało się w innej dolinie, a helikopter Iksa miał nadlecieć dopiero za kilka godzin. Oczywiście, mogli się stłoczyć po słonecznej stronie głazu i jeść batoniki czekoladowe, by w ten sposób naładować się

cieplem; ale nie. Forbes chodził od kamyczka do kamyczka, badając miejsce koło miejsca, uparcie ignorując przenikliwie zimno. Naturalnie, Iks nieraz już przebywał w zimnie, w wietrze gwiżdżącym za placem McMurdo. Pracował tam z grupą starych wyjadaczy polarnych, którzy czasem nie przerywali pracy mimo najbardziej lodowatych z lodowatych wiatrów, jak gdyby przebywanie w chłodzie należało do polarnych obrzędów albo było sprawą ambicji, jak gdyby karali siebie, doprowadzając do kresu swoją wytrzymałość, soczyście przy tym klnąc, i przygarbieni, z zimną, zawziętą zręcznością zmagali się ze swym zadaniem, aż wreszcie ukończywszy je, już Prawie bez życia wtaczali się do jadalni, mierzyli sobie temperaturę i stwierdziwszy, że mają dziewięćdziesiąt trzy albo dziewięćdziesiąt dwa stopnie Fahrenheita, mówili: "Niech to szlag" i "Kurwa mać", po czym tajali nad talerzami z gorącym posiłkiem, wlewali w siebie kubek za kubkiem gorącej kawy lub czekolady, warcząc na zimne dziewczyny od jajogłowych, mających zimne serca albo na własnych kolegów, wiedząc, że to właśnie oni są najtwardszymi z mieszkańców Antarktydy. Warczeli i wracali do pracy, jak powiadali dawni angielscy marynarze. Uśmiechali się i wytrzymywali. Prawdziwi, zimni macho.

Ale Forbes nie był taki. Wydawał się nie zwracać uwagi na zimno; trochę przygarbiony, skulony, skupiony na pracy, poza którą nie widział nic; tak skupiony, że mógłby nawet nie zauważyć, jak zamazany pada na twarz, niczym Blaszyński z "Czarnoksiężnika z Krainy Oz": Lodowy jajogłowy, wciąż rzucający liczbami, mimo zdrętwiałych szczęk, którego koncentracja na skałach osiągnęła punkt krystalizacji. Straszny widok. Dłonie Iksa stały się tak zimne, że przypominały niedokładnie rozmrożone w mikrofalówce steki: miękkie na brzegach, ale w środku wciąż twarde. Było mu zimno w tyłek, ziemia była zimna i zimne było też światło skośnie padające na dolinę. Zimne powietrze uderzało w niego, wdzierając się każdym podmuchem do jego zziębniętych płuc, i choć Iks musiał przyznać, że przechodząc przez gardło, powietrze nieco się ogrzewa, tak więc płuca nie zamazają mu przynajmniej od środka, to jednak nos miał już skostniały, a mózg był blokiem zmrożonej, białej gliny, której temperatura spadała z każdym zimnym oddechem, coraz zimniej, coraz bliżej absolutnego zera, jego zimne myśli gęstniały, jak syrop przelewając się przez krystalizujące się synapsy i zamazane aksony, przez powoli tężejące cząsteczki umysłu, w lepkiej lodowatej niewoli bezsilnych wspomnień o lodowej pannie, która tak zimno go potraktowała, brutalnym, parzącym chłodem, który zamroził jego serce na zawsze. Człowiek z brązu w brązowej krainie. Absolutne zero. Całkowity paraliż. Koniec ruchu. Bardzo zimno. Zimno zimno zimno.

Wreszcie nadszedł przewodnik i uwolnił Iksa od obłąkanego szefa.

- Zaraz nadleci jego helikopter - powiedział do Forbesa. - My musimy wracać do obozu.

- Dobra.

Iks usiłował wstać, z ostrożnością rozkładając ten ruch na dziesięć etapów, by utrzymać w równowadze wszystkie zamazane członki. Gdy sztywnym krokiem ruszyli do miejsca, w którym miał wylądować śmigłowiec, starał się zapomnieć o obolałych palcach i skupić na liczbach, które napisał.

- Zdaje się, że przeciętna ostatnich pięćdziesięciu waha się w okolicach stu - zauważył.

Forbes spojrzał na niego znad ziemi, którą wciąż przygarbiony badał po drodze.

- Nie o to chodzi.

Wyjaśnił, że liczby zostaną poddane skomplikowanej analizie, dzięki której będzie wiadomo, jak przypadkowo ułożyły się kamyki. Gdyby powtarzały się jakieś stałe wzory, oznaczałoby to, że przykrył je strumień i ułożył je wzdłuż prądu, natomiast układ zupełnie przypadkowy świadczyłby, że osadziły się w nieruchomych wodach jeziora albo stawu.

- Ach tak - rzekł Iks, zdumiony tym, co wykombinowali jajogłowi.

Naprawdę pięknie. Wprawdzie nie tak pięknie, by usprawiedliwić zamrażanie na śmierć - jeśli się nie ma obsesji połączonej z nałogiem - ale większość jajogłowych cierpiała na obsesję połączoną z nałogiem. Właściwie to była definicja całego gatunku. Pomyślał sobie, że Antarktydą rządzą ludzie owładnięci obsesją, podobnie jak innymi kontynentami, na których jednak obsesje nie są tak zimne i nieuleczalne. Ten cały Forbes przypominał trochę alpinistów, którzy biegali po lodowych zboczach z psim entuzjazmem, bo właśnie takich okropnych warunków pragnęli i szukali ich po całym świecie; Antarktyda była dla nich niewyczerpanym źródłem najwspanialszych wrażeń, więc ją kochali i byli szczęśliwi, jak Val. Nie, już jajogłowi wydawali się przy nich bardziej normalni, nawet ci najodporniejsi na zimno. Normalni, przyjaźni i pracowici, jak inni. Od czasu do czasu trafiał się jakiś apodyktyczny snob - bywa tak w każdym zawodzie. Na przykład Ron. Nie, durniów można spotkać na wszystkich poziomach hierarchii; większość ludzi jest jednak inna.

Po co więc gilotyny. Żadnej rewolucji i strajków. Jasne. Iks potrząsnął głową, próbując przerwać ten ciąg myśli i powiedział:

- Czym się zajmujecie? Jaką dziedziną?

Forbes spojrział na niego przelotnie, zastanawiając się, jaką wersję odpowiedzi wybrać.

- Jestem glaciologiem. Dokładniej sedymentologiem glacialnym.

Iksowi wydało się to trochę za wąskie; za chwilę Forbes mu powie, że tak naprawdę to jest morenologiem ze specjalizacją moreny boczne. Ale postanowił to puścić mimo uszu.

- Przyglądamy się piaskowcom z grupy Syriusza. Właśnie przez nie toczy się spór o wiek łądolodu. Według tradycyjnego stanowiska, wygląd łądolodu polarnego nie zmienia się od co najmniej czternastu milionów lat. Ale nasza grupa sądzi, że trzy miliony lat temu lód zniknął, w czasie okresu ocieplenia w pliocenie.

- Pan się z tym nie zgadza?

- Nie, nie, myślę, że mają duże szansę, by udowodnić swoją rację. Zidentyfikowali morskie mikroskamieliny w skale Syriusza, które pochodzą z pliocenu, a biostratyfikacja to uznana metoda określania wieku skał. Czyli w miejscu, gdzie teraz jest lód, musiała płynąć woda. Teraz szukają dalszych Potwierdzeń i zaprosili mnie do współpracy.

- I jako glaciolog pan...

- Grupa Syriusza to skamieniała glina lodowcowa, tyle wiemy na pewno. Szukam więc informacji, które może nam przekazać osad lodowcowy.

Jak powstał osad, w jakich warunkach - niezgodności ułożenia warstw - i podobne rzeczy.

Iks zastanawiał się nad tym w zwolnionym tempie.

- Woda? Na poziomie morza?

- Niewykluczone. Suche doliny wychodzące na morze są paleofiordami.

- Ale przecież jesteśmy wysoko. Chce pan powiedzieć, że poziom morza był tak wysoki?

Forbes znów posłał mu przelotne spojrzenie.

- Nie. Sprawa polega na tym, że osad powstał, kiedy teren był położony znacznie niżej, a dopiero potem powstały Góry Transantarktyczne.

- I wyrosły w ciągu trzech milionów lat? - zapytał Iks. - Czy to nie za szybko jak na wypiętrzanie gór?

Właściwie sam nie miał o tym pojęcia, ale znów Forbes przyjrzał mu się, unosząc brwi.

- Nie jestem geomorfologiem - rzekł wreszcie.

Typowe zagranie jajogłowego. Zbliżali się do nich inni naukowcy, idąc do miejsca lądowania śmigłowca z różnych stron i gromadząc się wokół płaskiego terenu na brązowym dnie doliny. Ten facet nie chciał dyskutować o projekcie z amatorem, kiedy mogli ich usłyszeć inni członkowie grupy;

żaden z nich by nie chciał. Iks wzruszył ramionami i usiadł ciężko pod osłoną kamienia.

- Ja też nie - rzekł do Forbesa na tyle głośno, że ten znów spojrzał na niego zdziwiony.

Potem wielka czerwona ważka zawisała nad nimi, tnąc łopatkami blade niebo i Iks został zabrany z powrotem do Mac. Czuł się jak płat mrożonej wołowiny. Nazajutrz rano jeszcze było mu zimno, choć otulił się na noc ciepłymi kocami; wrócił do warsztatu i znów zaczął zbierać rozsypane śruby i nakrętki, jak gdyby w ogóle nie zdarzyła mu się wyprawa do mroźnej doliny. Sterta metalowych części na podłodze nie wydawała się ani trochę mniejsza niż przed rozpoczęciem sprzątaniam; syzyfowa praca. Iks rozmyślał, czy Ron przypadkiem nie dorzucił czegoś do tej sterty w nocy, robiąc mu świetny w swoim mniemaniu dowcip. Nigdy nie zdoła posprzątać tego żelastwa.

Koszmarna robota dla przynieś wynieś pozamiataj. Był Syzyfem; był golemem, stworzonym do bezsensownej pracy; był monstrem, dziełem doktora Frankensteina, wielkim, szpetnym i niezdarnym. Mów mi Iks. Ciekawe, ile skaz może być na gwincie śruby albo jak płaskie mogą być niektóre podkładki. Mniejsza z tym.

Jednak warsztat nawet w połowie nie wydawał się tak okropny jak perspektywa, że przypadkiem natknie się na Val. Tego, niestety, nie potrafił unikać i od czasu do czasu to się zdarzało; Mac było po prostu za małe, by dało się unikać ludzi. Nawet gdyby spędzał wolne od pracy godziny przyczajony w miejscach, do których Val na pewno nie zaglądała, i tak by na nią wpadł; za każdym razem było to równie frustrujące i przez resztę dnia złorzeczył i pocił się, wyobrażając sobie słowa, które dotknęłyby ją da żywego oraz scenariusze zemsty, w których często ratował jej życie, a potem odchodził z pogardą - wiedział, że na podobne rozmyślenia marnuje tylko czas, ale mimo to nie mógł się od nich uwolnić.

I wciąż na nią wpadał. Zwykle w jadalni; przychodził spokojny, pusty jak tykwa i nagle widział Val, która siedziała przy wielkim, okrągłym stole z koleżankami; nierozłączna banda, głośna, pewna siebie, hałaśliwa. Kiedy przechodziło się obok, oblatywał człowieka lekki cień przestachu, gromada wydawała się odrobinę ksenofobiczna, jak wszystkie grupy o zbyt wybujałym poczuciu solidarności - jednak była to świetna paczka i Iks nawet ową grupę podziwiał, zważywszy na panującą w Ameryce sytuację - żadnych anorektyczek, tylko silne i zdolne dziewczyny, jakie mu się zawsze podobały, wśród których miał wiele przyjaciółek - lecz pośrodku nich siedziała Val, królowa amazonek, śmiejąc się z czegoś i zupełnie go ignorując. Jeszcze jeden posiłek będzie mu ciążył w żołądku jak ołów. Próbował już nawet wydawać dodatkowe pieniądze, by jadać w "Widoku na Erebusa", prywatnej restauracji położonej w małym centrum handlowym obok portu (skąd, oczywiście, nie było żadnego widoku na Erebusa); ale i tam się kiedyś znalazła, więc byłby to zbyt drogi ołów w trzewiach. Wyglądało, jakby oboje działali na tych samych falach jeżeli chodzi o jedzenie, tak jak od razu znaleźli wspólny język, gdy tylko zaczęli rozmawiać. Doszło do tego, że Iks wolał być głodny niż podjąć ryzyko spotkania z Val. Lecz oczywiście musiał coś jeść; miał spory apetyt, a gdy nie jadł, czuł się osłabiony i zirytowany; kiedy więc wygłodniały biegł do jadalni o północy, w porze, gdy siedzieli tam tylko ludzie z ostatniej zmiany, spotykał ją, bo wracała z późnych zajęć z przetrwania w Obozie Szczęśliwego Obozowicza albo z jakiejś wyprawy, a on siedział słaby i miał ochotę wrzeszczeć: "Zostaw mnie w spokoju!" Ale oczywiście kończyło się na "cześć, cześć" i znów był skazany na łykanie jedzenia przez ściśnięte gardło, dłonie trzęsły mu się z głodu i czując na czole zimny pot, snuł wizje zemsty, w swoim pokoju albo na szczycie Wzgórza Obserwacyjnego, albo na podłodze warsztatu, zbierając gwoździe.

Z nikim nie mógł o tym porozmawiać. W końcu to właśnie ci ludzie całkiem niedawno nazywali go Księciem de Sandwicz. Kiedy nawet odważył się powiedzieć coś na ten temat Joyce, jedynej koleżance, której na tyle ufał, by dyskutować z nią o takich sprawach, spojrzała na niego, jak gdyby z

drugiego brzegu szczeliny lodowej dzielącej płci; było to bardzo tajemnicze spojrzenie, z którego między innymi wyczytał, że przede wszystkim jest głupi, bo za bardzo się zaangażował w związek z tak piękną dziewczyną jak Val.

Potem, po serii jeszcze bardziej tajemniczych spojrzeń i wymamrotaniu niezrozumiałych słów, wreszcie powiedziała:

- Daj spokój, Iks. Po prostu dorośnij i z tym skończ. Faceci rzucają kobiety od pokoleń, nie mam już cierpliwości do tych durniów, którzy tu przyjeżdżając uznają, że tu sytuacja jest inna, a potem zaczynają jęczeć. Niektóre kobiety zachowują się, jakby były na zakupach, może to dziwne, ale nie ma powodu, żeby tak skomleć; te wszystkie oskarżenia i protesty, że jesteśmy okropnymi kobietami z krainy lodu, które wiecznie polują... to wszystko mówią goście, którzy tak samo robili, zanim trafili do Mac. - Potrząsnęła głową.

- Daj spokój, Iks. Stań na ziemi. Jeżeli chciałeś związku z przyszłością - powiedziała, akcentując "związku", jakby był to głupi i archaiczny termin - po co w ogóle przyjeżdżałeś na Antarktydę?

- Tak, tak - przytaknął Iks i zniechęcony poszedł do warsztatu. Rzeczywiście, po co? Palce zbierały kawałki żelaza, bez potrzeby angażowania mózgu: rzeczywiście, po co?

Teraz już nie pamiętał. Nie potrafił sobie przypomnieć swoich wyobrażeń Antarktydy sprzed przyjazdu. Na pewno miało to być miejsce, gdzie przeżyje wielką przygodę. Miejsce, w którym nawet skromne zajęcia, takie jakie wykonywał pracownik warsztatowo-polowy, mogły zyskać inny wymiar. Ale nawet szybkie rozczarowanie było niczym w porównaniu z tym, co przeżywał z powodu Val. Gdyby nawet miłość była tylko burżuazyjnym wymysłem, którego czas w McMurdo już minął, jak wszędzie indziej, dziwne, że tak mocno potrafiła ranić; dziwne, jak wielu facetów błąkało się po Mac jeszcze bardziej zgorzkniałych niż on, przysięgając, że nie chcą już nigdy więcej mieć do czynienia z lodowymi kobietami. Aż do następnego razu.

Jednak nawet uczucia stały się tworem społecznym, co przekonująco udowodnił Raymond Williams. Struktura uczuć została tu wypaczona przez różnice w liczbie mężczyzn i kobiet; w miasteczku-stacji było dziewięćset mężczyzn i trzysta kobiet; to wyjaśniało specyfikę sytuacji tutaj, wraz z faktem, że wszyscy w mieście mieli ujemny wynik badań na obecność chorób przenoszonych drogą płciową. Niewątpliwie Iksowi sprzyjało szczęście, że Val zamieniła z nim więcej niż jedno słowo, z prostym asystentem terenowym i żółtodziobem, kiedy spotkali się pierwszy raz; ona, piękność, jedna z najbardziej znanych przewodniczek górskich, weteranka wypraw, o których ludzie mówili z nieskrywanym podziwem. Chociaż nawet przewodnicy zostali zatrudnieni przez ZLA na podobnych sezonowych umowach, jak ludzie w kombinezonach, ich praca była o wiele bardziej fascynująca, a status społeczny można by przyrównać do statusu jajogłowych.

Od początku więc do siebie nie pasowali. Ona była przebojową alpinistką, która zdobywała szczyty najwyższych gór i powtórzyła nieprawdopodobne osiągnięcie Shackletona, pokonując Południową Georgię; on natomiast - sam nie wiedział kim. Pseudonaukowcem. Podstarzałym studentem college'u, który postanowił skończyć z nauką. Nie wiedział nawet, dlaczego w ogóle zwróciła na niego uwagę; pewnie ze względu na jego wzrost. Sama miała sześć stóp i cztery cale wzrostu i była wyższa od niejednego mężczyzny; Iks wyróżniał się więc przynajmniej w tym sensie. Mógł patrzeć na nią z góry, ha, ha. Poza tym umiał mówić, przynajmniej trochę; sporo czytał; ona bardzo dużo wiedziała o historii wypraw antarktycznych i potrafiła ciekawie o nich opowiadać. Naprawdę świetnie im się ze sobą rozmawiało! Tak świetnie, że dziś z bólem wspominał tamte chwile, gdy trzy razy dziennie biegł do jadalni w nadziei, że ją spotka, starając się dostosować pory posiłków do najbardziej prawdopodobnego momentu jej nadejścia. Potem zjadali ogromne porcje,

bo oboje mieli wspaniałe apetyty i rozmawiali o wszystkim. Opowiadała mu o swoich niektórych wspinaczkach, o podziwiewie, jakim darzyła Ernesta Shackletona, o babce, która kilka lat temu zmarła; on mówił o książkach, które przeczytał, ponieważ z braku innych rozrywek w Mac, czytał więcej niż kiedykolwiek, nawet w college'u. Na jego lekturę składała się przede wszystkim filozofia polityczna i teoria kultury; interesował się tym, bo, jak jej wyjaśniał, chciał zrozumieć, dlaczego świat jest jaki jest. Dopiero na Antarktydzie zaczął dostrzegać własne życie i lekturę w sensowny sposób; zrozumiał pewne reguły. W ciągu wszystkich wieczorów, kiedy nie miał nic lepszego do roboty, rozpoczął podróż w historię filozofii, próbując dotrzeć do źródeł swojej analizy. Wszystko, co robiło na nim wrażenie, okazało się opierać na czymś wcześniejszym. Przeczytał "Götterdämmerung" i został fanem Franka Baileya, jak wielu studentów; później odkrył korzenie Baileya w teorii przedpostkapitalistycznej, czytał Deleuze'a i Speiera i został neolewicowcem; potem cofnął się jeszcze bardziej w czasie i przeczytał Jamesona, Williamsa, a potem Sartre'a i doszedł do wniosku, że wszystko zaczęło się od niego, został więc wyznawcą Sartre'a; później Nietzschego, bo tak naprawdę wszystko zaczęło się od niego; potem czytał Marksa i Engelsa i oczywiście został Marksistą. Wtedy zdał sobie sprawę z powtarzalności tego wzoru w miarę cofania się w historię i zamiast wyruszyć w intelektualną podróż do filozofii Zachodu, która wkrótce przywiodłaby go do monumentalnych dzieł Kanta i Hegla, po prostu ich pominął, biorąc się od razu za Heraklita i zostając wiernym uczniem tego najbardziej zbliżonego do zen Greka, którego zachowane dzieła można było przeczytać w dziesięć minut, ale o których myślało się potem całe życie. Tak, zamierzał teraz przemyśleć fragmenty z Heraklita i nigdy więcej nie zajmować się filozofią, a zamiast niej prawdziwym światem!

Val śmiała się wówczas z jego głupoty. Wydawało się, że świetnie się przy tym bawi. Ale skoro nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki, jak powiedział Heraklit, dlaczego ciągle natykał się na Val w jadalni? I dlaczego wciąż czuł ból? Jak mógł zacząć jeść, nie doświadczając tego bólu? I przede wszystkim, dlaczego ona sprawiła mu ból?

Myślał, że dobrze im ze sobą. Dlatego teraz cierpiał. Rozmawiali w jadalni, żartowali, razem wspinali się na Wzgórze Obserwacyjne, zakradali się do ciepłarni, kochali się; na wspólne wakacje pojechali do Nowej Zelandii, co w McMurdo oznaczało, że to już poważna sprawa, rodzaj zobowiązania. Iksowi wydawało się, że naprawdę wiele ich łączy. Oczywiście nie umiał się wspiąć tak doskonale jak Val, to było niemożliwe, a nawet podobna możliwość przejmowała go lękiem; od niechcienia pokazywała mu trasy, które pokonała, na prawie pionowych, a nawet zwieszających się ponad głową ścianach; kiedy wjechali na Mount Cook, mijając najbardziej turkusowe jezioro, jakie można sobie wyobrazić, wspomniła, że podczas swojego ostatniego pobytu wspięła się na Cooka, a Iks wpatrywał się w milczeniu w odległy, biały wierzchołek, jakby we śnie, po czym przyglądał się jej z otwartymi w zdumieniu ustami, aż parsknęła śmiechem. To wcale nie takie trudne, powiedziała, chociaż ściana jest do kitu, "pszenne musli", jak nazywali ją Nowozelandczycy; nie ci ręce w kawałki i kruszy się pod ciężarem ciała, a ostatnim razem zasypała nas lawina, było wspaniale...

Iks słuchał i kiwał głową, starając się ukryć przerażenie. Po wielu historiach o mrozących krew w żyłach wyprawach, które od niej usłyszał, kiedy wędrowali po stromych szlakach, przyznał, że kiepski z niego sportowiec.

W szkole ciągle rozczarowywał trenerów, bo choć był wysoki, to jednak obiecującym warunkom nie towarzyszyła sprawność fizyczna. Odkąd osiągnął swój ostateczny wzrost, jego zręczność przywodziła na myśl Frankensteina, jak to ujął, a Val spojrzała na niego dziwnie, nie odwzajemniając się podobną opowieścią o sobie. Widocznie w szkolnych czasach bez trudu radziła sobie ze sportem. Zwłaszcza z siatkówką.

Lecz Iksa sport nękał jak klątwa w baśniach. W szkole średniej na oczach trenera uderzył raz rzuconą piłkę baseballową, która poleciała na odległość pięciuset czterdziestu ośmiu stóp, jak później zmierzył trener; potem minęły dwa lata, w ciągu których Iks ani razu nie uderzył czysto piłki, przekonując trenera, że tamten strzał był fuksem. Zimą namówiono go, żeby wstąpił do drużyny zapaśniczej; zaczął występować w wadze ciężkiej i przegrał wszystkie walki, jakie stoczył w ciągu trzech lat, każdą przed czasem; był też chyba jedynym zapaśnikiem, którego położył na łopatki przeciwnik lżejszy o sto funtów; niewątpliwie był też jedynym tak głupim zapaśnikiem, że zgadzał się stawać do z góry przegranej walki.

Najgorsza ze wszystkiego była jednak koszykówka. Zwrócił na niego uwagę trener z UCSD, który namówił go na wstąpienie do drużyny i przez dwa lata poddawał intensywnym treningom w nadziei, że zrobi z niego środkowego. Niestety. Koszykówka w ogóle go nie interesowała i choć w końcu Iks opanował pewne tajniki gry, nie potrafił umieścić piłki w koszu, mimo długich godzin ćwiczeń pod twardą ręką trenera, który na każdym meczu gryzł z wściekłości ręcznik. Jednak kulminacją zawodu był decydujący mecz z ich odwiecznym rywalem, drużyną UC Banana Slugs z Santa Cruz; był to koszmar, podczas którego Iksowi nie wychodziło absolutnie nic, a środkowemu przeciwników wychodziło wszystko, aż do chwili, gdy Iks dostał podanie pod kosz i nagle cała frustracja, wynikająca z jego smutnych przygód ze sportem, wezbrała w atak wściekłości; obrócił się i skoczył obok rywala, zamierzając wsadzić piłkę wprost do kosza, ale chybił o włos i piłka walnęła o tylną część obręczy, odbiła się i poszybowała wysoko pod sufit budynku, niknąc na chwilę z oczu; Iks nieszczęśliwie uderzył nadgarstkiem w przednią część obręczy, a przy lądowaniu skręcił kostkę, więc z wybitymi dwoma stawami upadł na deski, niezbyt szybko, ale jak ogromne drzewo, ścięte tuż nad ziemią jednym precyzyjnym cięciem; a potem oszołomiony obserwował, jak jego koledzy i przeciwnicy tratując go, biegną za piłką, która wracała z orbity. Sprawozdawca sportowy gazety college'u napisał potem, że było to najwspanialsze pudło w historii koszykówki. Ów moment stał się ważny w życiu Iksa; nastąpił przełom, bowiem na zawsze zrezygnował ze sportu.

Val śmiała się z tej opowieści. Zamiast próbować zaciągnąć go na Mount Cook albo w podobne miejsce, zawiozła go w Alpy Południowe drogą z Christchurch przez Przełęcz Arthura, a przed samą przełęczą zaparkowała samochód obok hotelu Bealey, z którego rozpościerał się widok na pokryte szarym żwirem szerokie koryto, gdzie wiły się srebrne nitki rzeki; potem wzięła go na wycieczkę na Ostrogę Bealey, zielony grzbiet górski wznoszący się nad doliną, z którego była jeszcze lepsza panorama na rzekę i pokryte śniegową czapą góry, otaczające ich ze wszystkich stron. To był cudowny spacer, w czasie którego świat na pozór należał tylko do nich i poza nimi nie było nikogo.

Po lunchu, stając jedną nogą na czymś w rodzaju blanki na grzbiecie skalnym, Val zaczęła rozwiązywać sznurowadło buta. Gdy Iks zrozumiał, po co to robi, serce podskoczyło mu w piersi. I choć cudownie było kochać się w słońcu, na górskim szczycie, a potem leżeć na żółtej kępie trawy i patrzeć na Val, która przechadzała się nago po odkrytym zboczu - rozglądając się jak dzikie zwierzę, pełne gracji, jakby kozica zmieniała się w kobietę, żeby go olśnić swym czarem - to właśnie chwila, w której zobaczył, jak rozwiązuje but i zrozumiał, po co - była najcudowniejsza; na jej wspomnienie drżały mu potem ręce i z gardła dobywał się jęk, kiedy w środku nocy najdotkliwiej odczuwał swoją samotność. Po wakacjach dziewczyna wróciła do Stanów, żeby zająć się jakąś sprawą związaną z domem po babce, a Iks jeszcze trochę podróżował i odwiedził swój dom. Nie widział jej przez trzy miesiące antarktycznej przerwy; kiedy potem oboje wrócili do Mac, rzuciła go. Nie mówiąc mu nawet, dlaczego. Przyjechała dwa dni przed nim i od razu zaczęło się coś między nią i innym przewodnikiem, jak mu później powiedziano; ale najwyraźniej to jeszcze nie wszystko. Nie - ona wywiozła z Nowej Zelandii zupełnie inne wrażenia niż on, to było jasne, bo inaczej by tak nie

postąpiła. Zachodził w głowę, próbując sobie przypomnieć, czy zrobił coś złe, mając wątpliwą nadzieję, że uda mu się wszystko naprawić.

Siedział na podłodze warsztatu, machinalnie zbierając śruby i nakrętki; znów rozmyślał o tym, co było i przeklinał siebie za to, że opowiadał Val o filozofii politycznej i innych rzeczach. Przeklinał swoje prześmiewcze opowieści o własnej karierze sportowej - po co jej to mówił? Takiej sportsmence? Przecież jej się podobały, śmiała się z nich. Potem wycieczka na Ostrogę Bealey, fantastyczne widoki na szczyty górskie i srebrne warkocze rzeki; świetnie sobie radził, podobała mu się wspinaczka i obojgu sprawiła wiele przyjemności. Oczywiście, przy okazji bardziej stromego odcinka trasy, dysząc z wysiłku, rzucił jakiś żart o nieludzkich wymaganiach wspinacza profesjonalisty, a jej odpowiedź nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że nie bawią jej takie żarty; zrozumiał i od razu ją przeprosił. Nie mogło więc chodzić o to. Jeden głupi żart? Gdyby poczuła się obrażona i chciałyby go ukarać za jedną nieprzyjemną uwagę, jakie by sobie wystawiła świadectwo? To nie miało sensu. Była opanowaną osobą, pogodną i swobodną. Chyba nigdy się niczym specjalnie nie martwiła. O Boże... nie mógł o tym myśleć, za bardzo bolało. I cały czas o tym myślał. Jakby dotykał językiem bolącego zęba. Tak.

ciągle boli, idioto. Ale co, co on do cholery takiego zrobił?

Kręciło mu się w udręczonej myślami głowie, a palce zbierały śruby, gwoździe, nakrętki, podkładki, zawlecзки i kładły je do właściwych pojemników. I powoli tracił nadzieję na odzyskanie Val; wracając do swych poprzednich ponurych rozważań, porzucił też nadzieję na wzniecenie rewolucji przeciw nieczulej arystokracji świata; kiedy skradał się do jadalni, zziębnięty i głodny, banda Val roześmiała się przy stole, dziewczyny jajogłowych uśmiechnęły się i przeszły obok niego, na drugą stronę niewidzialnej granicy - granicy klas.

Później z powrotem do warsztatu. Syzyfowa sterta była oczywiście tak wielka jak przedtem. To jest robota, pomyślał Iks; taka jest prawdziwa robota.

W drzwiach stanął Ron.

- Cholera, Iks, ciągle to robisz?

Iks spiorunował go wzrokiem.

- Powiem ci coś, Iks. Mam dla ciebie propozycję. Coś zupełnie innego.

Praca, zresztą ciężka praca. Ale w porównaniu z tym gównem, to będzie prawdziwe opieprzaństwo.

Z Dulles do Los Angeles, z Los Angeles w nocy do Auckland, jednym okiem oglądał jakieś dwa filmy, podjadał dwa posiłki; patrzył na twarz śpiącej pielęgniarki z Anglii, która pracowała w Australii i która była bardzo wesoła, dopóki nie zapytał jej o pracę; ostatnio jej trzech pacjentów zmarło na czerniaka; śnili jej się chyba teraz, bo miała zmartwioną minę. Wade chciałby, żeby była jego pielęgniarką.

Później obudził go natrętny brzęczyk telefonu na nadgarstku.

- Wade Norton - powiedział niewyraźnie.

- Wade, tu Phil. Gdzie teraz jesteś?

- Gdzieś nad Pacyfikiem - odrzekł Wade, starając się nie rozbudzić.

- Co, jeszcze nie jesteś na miejscu?

- Nie wiem, co, ale nie jestem. - Wade spojrział na zegarek, lecz nie pamiętał, według jakiej strefy czasowej jest nastawiony.

- Przekroczyłeś już linię zmiany daty? A może mówię do ciebie z wczoraj?

- Nie wiem, spałem.

- Ja też, Wade. Ale potem obudziłem się, włączyłem CNN i zobaczyłem wywiad z Winstone.

Tak się wkurzyłem, że nie mogłem już zasnąć.

- I zadzwoniłeś do mnie.

- Jak zawsze.

Wade wyciągnął z teczki słuchawki do telefonu, nałożył je i podłączył do aparatu.

- Wiesz, co dzisiaj zrobił? Nie dość, że blokuje twój Traktat Antarktyczny i mój pakiet regulacji demograficznej - teraz hałasuje na temat porozumienia o wspólnym ograniczeniu emisji dwutlenku węgla, a dobrze wie, że na byle hałas Chińczycy się wściekną i zerwą umowę. Nazwał to pogwałceniem suwerenności narodowej. Nie możemy płacić za ich kłopoty! Jakby globalne ocieplenie było tylko ich kłopotem! Nie zauważył huraganu Velma?

Jego własny stan odchudził się o sto mil, a on mi mówi w CNN, że to problem Chińczyków? Skąd się biorą tacy goście? Tam chyba łamią przepisy o klonowaniu, cały czas wybierają tego samego faceta.

- Jest popularny - rzekł Wade, opierając głowę o chłodne i gładkie okno samolotu.

- Tak, ale dlaczego, Wade, dlaczego? Jak tacy ludzie mogą wygrywać wybory? Nie rozumiem, dlaczego tylu porządnych, ciężko pracujących Amerykanów potrafi lojalnie i tępo jak barany głosować na ludzi, którzy otwarcie deklarują, że chcą ich okradać!

- Ludzie inaczej to odbierają - powiedział Wade, zapadając w drzemkę.

- Ależ to przecież oczywiste! Obcinają etaty, redukują płace, wydłużają czas pracy, zmniejszają zasiłki i emerytury - wszystko ma prowadzić do zmniejszenia kosztów pracy, to znaczy mniej tego, co firmy zarabiają, dostaje się pracownikom, a więcej właścicielom i udziałowcom. Program republikanów! Głoszą potrzebę przeniesienia zysków! Piszą i uchwalają prawa, które na to pozwalają i sprzeciwiają się prawu, które próbuje to powstrzymać!

Dlaczego więc ludzie na nich głosują? Nikt, kto zarabia mniej niż siedemdziesiąt kawałków rocznie, nie powinien w ogóle myśleć o głosowaniu na nich! Nawet ci, co zarabiają więcej, powinni dobrze pomyśleć, co jest dla nich najważniejsze.

- Prawdziwy z ciebie demokrat, Phil. W czasie pierwszej kadencji reprezentował zielonych, a w drugiej był niezrzeszony.

- To prawda, ale jak oni to robią?

- Mówią ludziom, że to demokraci ich okradają, podatkami. Ludzie widzą, że biznes musi je płacić, a rząd je zabiera.

- Ale biznes też je zabiera! Zabiera pierwszy i znacznie więcej, a potem ucieka! Ludzie ledwie zipią, a ich pracodawcy są trylionerami! Jeżeli okrada cię rząd, to przynajmniej zbuduje za te pieniądze drogi, szkoły, lotniska, więzienia i tak dalej, i zbuduje całą pieprzoną infrastrukturę! Nie, podatki i ich wydawanie jest w porządku, tak uważam - duży podatek i duży wydatek, mówię to w Senacie.

- Wiemy, Phil. Oglądamy cię w biurze i płacemy.

- Płacecie, bo rząd to ludzie! Właściciele biorą forszę i stawiają zamki na Barbadosie. Jak oni mogą to wytłumaczyć, jak mogą sprzedawać taki program?

- Ideologia to potęga.

- Chyba tak. Chyba masz rację. Chociaż nie rozumiem, dlaczego nie można trzeźwo ocenić sytuacji i wreszcie zobaczyć, co się dzieje.

- Nierealny stosunek do rzeczywistości.

- Bardzo nierealny. Ale my musimy mieć jeszcze więcej wyobraźni niż oni, Wade. Nasza wyobraźnia jest potężniejsza!

- Być może. Ale teraz zdaje się, że to oni mają przewagę.

- Tak sądzisz? Nie uważasz, że ich doganiamy?

-A ty?

- Oczywiście, że tak! Wiem, że może trochę za wolno. Ale za dużo ludzi ma już dość tych redukcji. Dasz im okazję i wybiorą we właściwy sposób.

Wcale nie chcą rewolucji, ale jeżeli się przekonają, że reforma prowadzi do pożądanego celu, opuszczą tych kowbojów Götterdammerung i zaczną zakładać wspólne interesy - spółdzielnie.

- Kłopoty z kapitalizacją.

- Zgadza się, ale to legalne, w tym rzecz. To rodzaj powiększającej się luki prawnej. Tyle się już dzieje, pod samym radarem. Jakby dwie strony walczyły o to, w którą stronę ma iść historia.

- Ta twoja teleologia huśtawki.

- Co takiego? No jasne, ekologię mamy po swojej stronie. To rodzaj walki dobra ze złem. Tworzenie własnych spółek kontra Götterdammerung.

Ale wiesz, perspektywa, że wszystko zginie w płomieniach - raczej nie może się spodobać zwykłym ludziom z dziećmi, prawda, Wade? Będą musieli wybrać własne spółki.

- To twoje zdanie.

- Musimy o to zadbać. Zmęczyłem się, stary. Chyba drink wreszcie zrobił swoje, Wade. Uderzę w kimono. Jestem teraz w Kaszmirze, staraj się nie dzwonić do mnie w nocy, dobra? Ale zamelduj się, kiedy dojedziesz.

- Na pewno. Dobranoc, Phil.

- Dobranoc.

Drugi raz obudził się na lekkie dotknięcie stewardesy, godzinę później wysiadł z samolotu, przeszedł przez lotnisko i wsiadł do mniejszej maszyny, która poleciała na południe do Christchurch, ponad zielonymi wzgórzami obu Wysp Nowej Zelandii. Lądowanie w małym miasteczku, oczekiwanie na bagaż, późne popołudnie. Telefon na nadgarstku powiedział mu, że minęły trzy dni, odkąd Phil telefonował do niego w sprawie Antarktydy; ale stracił jeden dzień, przekraczając linię zmiany daty. Jego wewnętrzny zegar pokazywał chyba czwartą rano.

Pchał przed sobą wózek z bagażem, mijając parking i kierując się do ronda przy wjeździe na lotnisko, gdzie znajdował się hotel. Zaraz za rogiem, jak mu powiedziano, było Amerykańskie Centrum Antarktyczne. Tak więc zameldował się, zaniósł bagaże do pokoju, po czym, ledwie widząc na oczy, skierował kroki do Centrum w sprawie wydania sprzętu.

Wewnątrz niskiego budynku usiadł na długiej drewnianej ławce wraz z innymi mężczyznami i zaczął przymierzać całą zawartość katalogu L.L. Beana z zimową odzieżą, która niczym z rogu obfitości wysypywała się z dwu płóciennych, pomarańczowych toreb, spakowanych specjalnie dla niego.

Szczególne wrażenie zrobił na nim zestaw słonecznych i piezoelektrycznych rękawic, a kiedy wspomniał o tym jednemu z pomagających mu ludzi, ten spojrział na niego, wzruszył ramionami i powiedział:

- Jedzie pan do wielu miejsc.

- Doprawdy?

- Podobno.

Wade dźwignął więc swoje torby i powlókł się z powrotem do hotelu, a potem zjadł kolację w hotelowej restauracji. Wszystkie twarze wokół niego wyglądały jak żywcem wyjęte z Teatru Arcydzieł; Nowa Zelandia była zdecydowanie bardziej brytyjska niż Brytyjczycy. Wrócił do pokoju i zasnął twardo. Ledwie usłyszał dźwięk budzika, spojrział na swoją twarz w lustrze w łazience; zęgnaj, świecie wygód. Zataszczył torby z powrotem do Centrum.

Był blady świt, kiedy on i kilku innych mężczyzn przebierali się w ubrania przystosowane do ekstremalnych warunków.

- Ugotujemy się w samolocie - zauważył jakiś Amerykanin - a potem, jak wylądujemy, przez to cholerstwo wykitujemy w jednej sekundzie.

- Trzeba przebłagać bogów - poradził miejscowy urzędnik.

Urzędnik zabrał ich do większego pomieszczenia, które przypominało wielofunkcyjną poczekalnię na lotnisku, gdzie wielki czarny pies na smyczy obwąchał z zapalem wszystkie osoby oraz bagaże - pomarańczowe torby. Potem wsiedli do starego autobusu, który, przecinając pas startowy, zawiózł ich do dużego, zielonego śmigłowca z czterema silnikami, z wymalowanym na dziobie numerem 04. Wade wszedł za pozostałymi pasażerami po wysokich stopniach i minawszy małe, owalne wejście, znalazł się w półmroku wnętrza maszyny.

Poszedł w głąb słabo oświetlonego cylindrycznego pomieszczenia, które prawie całe wypełniał goły kadłub helikoptera w kolorze khaki. Na ścianach wisiały różne przedmioty; z podłogi wystawały aluminiowe rury, podtrzymujące parciane siedzenia, pokryte czerwonym nylonem. Pozostali pasażerowie porozsiadali się tu i ówdzie, a Wade zorientował się, że jest ich tylko dwunastu - połowa w czarnych kombinezonach i czerwonych skafandrach z kapturem, druga połowa w spodniach khaki i skórzanych kurtkach lotniczych. Ci ostatni należeli do nowozelandzkiej załogi helikoptera. Wade usiadł obok nich.

Nad głową były upchane dziesiątki rur, lin, prętów i kanistrów, opakowanych w owinięte szarym brezentem rulony i przymocowane czymś, co wyglądało jak bardzo długie sznurowadła; na wszystkich przedmiotach, pokrytych warstwą kurzu, widniały wymalowane numery, akronimy, zaszyfrowane instrukcje. Gdyby był to rekwizyt filmowy, oskarżono by kierownika planu o bezwstydną pretensjonalność: latająca machina z poprzedniego wieku, ależ osobliwy pomysł! Tylko że ten zabytek miał lecieć osiem godzin nad wzburzonym morzem, gdzie nie było żadnej wyspy.

Niespokojny Wade wepchnął do uszu zatyczki z pianki, które mu dano wcześniej i zapiął parciany pas. Włączono silniki i mimo zatyczek w uszach, ich ryk był ogłuszający. Dwunastu pasażerów znalazło się nagle w świetle bez dźwięków, gdzie trzeba się porozumiewać na migi, za pomocą uśmiechów czy gestów. Jeden z członków załogi w kurtce, która informowała, że jej właściciel należy do Straży Powietrznej Nowego Jorku, obrzucił wzrokiem pasażerów, po czym zniknął za włazem, za którym znajdował się kokpit. Samolot ruszył; być może już startowali. Pozostali pasażerowie w czerwonych skafandrach pograżyli się w lekturze albo w marzeniach; nowozelandzka załoga helikoptera wstała, znalazła sobie wygodne miejsca i położyła się, z zamiarem ucięcia sobie drzemki. Parciane siedzenia wokół Wade'a opustoszały, więc on także się położył. Czuł na skórze gorące powietrze na zmianę z zimnymi podmuchami.

Na chwilę udało mu się zasnąć. Kiedy się obudził, wstał i poszedł na przód kadłuba; uzyskawszy gestem zgodę jednego z pilotów, wszedł do kokpitu. W środku siedziało dwóch pilotów z przodu pod rzędem małych okienek; dwóch za nimi, a obok mechanik. Tu mimo hałasu dało się rozmawiać i na tle głuchego szumu silników załoga gawędziła przy lunchu, który jadła wprost z toreb z szarego papieru - jak dzieciaki w szkole. Zresztą wyglądali jak uczniowie.

- Kiedy zbudowano ten samolot? - zapytał mechanik Wade.

- W 1960 roku.

- A zmęczenie metalu?

- Wszystkie ruchome części zostały wymienione. Sam kadłub jest gruby jak magistrala kanalizacyjna. Herce są naprawdę niezłe. Ten przeleżał piętnaście lat pod śniegiem, po tym jak zgubił silnik i rozbił się. Potem go wykopali, włożyli nowy silnik i proszę.

- Zdumiewające.

- Tak. Tylko że herc, który przywiózł nowy silnik, rozwalił się, więc wyszło na zero.

-Aha.

Wade wrócił na miejsce. Rzeczywiście te samoloty to antyki. Technika z poprzedniego wieku. Która czasami zawodziła. Zmusił się, by zasnąć.

Gdy znów się obudził, w samolocie było już o wiele jaśniej. Podciągnął się w górę i wyjrzał przez iluminator. Biel światła poraziła go, aż się cofnął; oczy napełniły się łzami i zanim znów odważył się wyrzucić, włożył ciemne okulary.

Góry, białe góry. Tu i ówdzie czarne plamy skał, ale poza tym wszystko przykryte warstwą przypominającą bitą śmietanę, rozlaną po horyzont. Nigdy nie widział takiej puszystej bieli śniegu - jak gdyby w czasie, kiedy spał, stary herc przeskoczył granicę hiperprzestrzeni i znalazł się nad zupełnie inną planetą. Lodowy Świat. Zwały gęstego śniegu oblepiające krajobraz, nad którym błyszczało niebieskoczarne niebo. Wade ukląkł na parcianym siedzeniu i przycisnął nos do zimnej szyby, gapiąc się na przepływające dołem białe góry; trochę wolniej niż gdyby leciał odrzutowcem; tak więc oglądał krajobraz w płynnie zwolnionym tempie, powoli też zmieniał się kąt, pod jakim widział czarne skały. Obserwacjom towarzyszył ryk herca. O, rany, pomyślał Wade. Może to rzeczywiście będzie inne niż wszystko.

Gdy się odwrócił i usiadł, zauważył, że jeden z ludzi ze straży nowojorskiej chodzi po pokładzie z latarką w dłoni, kierując snop światła na sufit i umocowane tam sprzęty, po czym podchodzi do iluminatora z tyłu i przypatruje się uważnie lewemu skrzydłu. I tak kilka razy, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Potarł czoło; pocił się. Wyglądał na naprawdę przerażonego.

Przypominał mima w numerze Wielki Strach.

Wade rozejrzał się i spostrzegł, że nowozelandzka załoga też zauważyła nerwowe zachowanie pilota. Wychylił się i krzyknął najbliższemu w ucho:

- Co jest?

- ...klapy nie działają. - Powiedziane z wyraźnym akcentem z wysp, zabrzmiało to jak "Klepy nie działają".

- Jedna klapa nie działa?

- Żadna nie działa!

Wade drgnął i popatrzył na mego uważnie. Poczuł, jak kurczy mu się żołądek. Nowozelandzki pilot szerzył zęby w uśmiechu i kiwał głową, by pokazać Wade'owi, że dobrze zrozumiał. Potem nachylił się i dodał:

- Myli go w mieście... woda zamarzła... nie chcą się ruszać.

- I co będzie? - krzyknął Wade.

- Nie trzeba klap do lądowania.

-jak to?

Facet pokręcił głową, uśmiechnął się do Amerykanina i zawołał do Wade'a:

- On chyba o tym nie wie!

-Nie!

Najwyraźniej nie wiedział, ale Wade usłyszał to od pilota helikoptera.

Nie trzeba klap, żeby posadzić na ziemi samolot? Nowozelandzcy piloci nie wyglądali na przestraszonych. Patrzyli, jak Amerykanin poci się, patrzyli na siebie z uśmiechem, po czym przybierali śmiertelnie poważne miny, kiedy ich mijał, a potem chichotali z uciechy - cała ta pantomima odbywała się przy akompaniamencie ryku silników. Nowojorski lotnik nie zwracał jednak na nich uwagi, turlając się po pokładzie jak piłeczka i sprawdzając linki hydrauliczne na

suficje, biegnące od kokpitu do skrzydeł. Wade struchlał, kiedy zauważył, że samolot jest sterowany za pomocą płynów przepychanych przez rurki. Z pilota kroplami spływał pot, który co chwilę musiał ocierać, chociaż w samolocie było przeraźliwie zimno. Nowozelandczycy z trudem powstrzymywali śmiech, gdy odwracał się w ich stronę. Wade obserwował ich z otwartymi ustami, zastanawiając się, komu wierzyć. Oczywiście, wołał uwierzyć załodze helikoptera, ale oni pochodzili z Nowej Zelandii i kto wie, do czego byli zdolni. Lądować bez klap?

Po chwili pojawił się jeszcze jeden pilot i gestem rozkazał im zapiąć pasy. Z jego miny nie dało się wywnioskować, czy się boi, czy nie.

Wade siedział przez jakiś czas w ryku silników, który był swoistym rodzajem ciszy, i próbował wyobrazić sobie, jak samolot może wylądować bez użycia klap. Widział, jak z tysiąc razy podchodzą do lądowania, kołując jak kaczka. W każdym razie na pewno tracili wysokość.

Wreszcie samolot zaczął zwalniać. Hałas silników cichł; potem raptownie zamilkł. O Boże, pomyślał Wade, a serce biło mu jak szalone - wyłączyli silniki. Członkowie załogi biegali po kabine. Jeden z nich podszedł do drzwi z przodu i próbował je otworzyć. Otwierają drzwi? Chcą skakać ze spadochronami? Pozostali pasażerowie wstali, więc Wade drżącymi palcami rozpiął pas i skoczył na równe nogi.

Nagle do środka wpadło oślepiające światło, a w otwartych drzwiach Pojawił się człowiek w samej koszulce. Wade drgnął przestraszony tym widokiem.

Byli na ziemi. Nie wyczuł wstrząsu przy hamowaniu ani momentu zetknięcia z pasem. Okazało się, że samolot stoi na śniegu. Na trasie narciarskiej. Lądowanie na płozach bez sterowania klapami okazało się delikatne.

Lekko oszołomiony podszedł do otwartych drzwi. Wszędzie biały śnieg.

Lotnisko składało się z czterech herculesów stojących jeden za drugim i kilku rzędów czerwonych budynków na kółkach, z wielkimi zaczepami z przodu, niczym ogromne przyczepy. Było bardzo jasno i przejmująco zimno; człowiek w koszulce chyba przesadził, ubierając się tak lekko. Pomachał ręką do Wade'a.

- Witamy na Antarktydzie!

Witajcie, przyjaciele. Dziękuję, że towarzyszyście mi w podróży po dnie Ziemi. Jak widzicie, prawie skończył się mój lot z Nowej Zelandii. Niedługo znajdziemy się na mroźnym kontynencie. Podchodząc do lądowania, widzimy, że w głębokim wcięciu w kontynencie, zwanym Morzem Rossa, z dna morskiego wznosi się ogromny wulkan. Tworzy on trójkątną wyspę o szerokości siedemdziesięciu kilometrów i wysokości czterech lub pięciu tysięcy metrów ponad poziomem dna morza. Wszystkie pomiary wysokości wulkanu przynoszą inny wynik, co potwierdza nasze pierwsze wrażenie; otóż wewnętrzna linia formy Erebusa tworzy węzeł lung-mai, czyli smoczych tętnic, który przylega do formy zewnętrznej, dlatego od razu widzimy wulkan w pięciu wymiarach. Utrudnia to czasem normalny pomiar wysokości.

A więc wylądowaliśmy, przyjaciele, i wiozą nas przez lodowe morze do McMurdo. Jak widzicie, to małe miasteczko leży we wgłębieniu na końcu długiego cypla wyspy wulkanicznej, na ramieniu lawy, którą nie tak dawno wypuł Erebus, pozostawiając na zachodnim końcu stożek zastygłej lawy.

Ależ potężne są smocze tętnice tej wyspy!

Gdy zbliżamy się do końca półwyspu i naszego miejsca przeznaczenia, pozwólcie, że wspomnę historię lądowania pierwszego człowieka na Antarktydzie, które miało miejsce 24 stycznia 1895 roku. Kiedy wyprawa Borchgrevinka dotarła do Półwyspu Antarktycznego, wszyscy jej członkowie wiedzieli, że poprzednie lądowania odbywały się na przybrzeżnych wyspach i nikt jeszcze nie stanął

na samym kontynencie. Borchgrevink z kapitanem podpłynęli do skalistego brzegu wiosłową szalupą i zrozumieli niepowtarzalną okazję znalezienia dla siebie miejsca w historii. Borchgrevink zaczął się przesuwać w stronę dziobu łodzi, by wysiąść, ale kapitan zaczął się z nim mocować, przekonując go, że to on powinien wysiąść pierwszy. Obaj mężczyźni siłowali się, a tymczasem szalupa przybijała do skalistego brzegu i widząc to marynarz, który siedział przy wiosłach, wyskoczył za burtę do sięgającej pasa wody, po czym ruszył w stronę brzegu, zostawiając szczepionych ze sobą oficerów. I tak pierwszy człowiek postawił stopę na lądzie Antarktydy.

Jak się nazywał? Nie pamiętam.

Na zboczu naszego miasteczka spoglądamy za siebie na lotnisko na lodzie i dalej, gdzie za pięćdziesięcioma kilometrami Morza Rossa widać brzeg kontynentu. Znakomity widok. Wprost z oceanu wyrastają góry, których szczyty sięgają wyżej niż Fujiyama i Mont Blanc, wznosząc się dwanaście kilometrów od oceanu, a ich mieniący się jak kryształ łańcuch, jak widzicie, przecinają doliny lodowcowe, rozświetlone skośnymi promieniami żółtego słońca. W niektóre dni zjawiska optyczne w powietrzu są przyczyną fatamorgany: góry wydają się wtedy pięć razy wyższe niż naprawdę. O, tak. Widok z McMurdo jest rzeczywiście doskonały i dzięki niemu krajobraz jest pełen przeciwieństw, hsu-shih, czyli puste-pełne, yin-hsien, czyli widzialne-niewidzialne, chin-yuan, czyli bliskie-dalekie albo skończone-nieskończone. Dlatego też w naturalny sposób wyłania się piąty wymiar, ważniejszy od czasu i przestrzeni - li, pustka; i ta wymowa krajobrazu, wymykająca się wszelkim pojęciom piękna, i-ching, czyli głębia oraz shen-yun, czyli boskie echo.

W samym mieście każdy widok jest kao-yuan, z dołu; a więc przede wszystkim trzeba wspiąć się na szczyt Wzgórza Obserwacyjnego, czyli wulkanicznego stożka na końcu półwyspu, który wznosi się nad miasteczkiem.

Na górze, jak widzicie, perspektywa zmienia się w p 'ing-yan, rozległy widok na rozciągające się dalej, odległe góry, niknące w nieskończoności horyzontu. Bardzo mi się podoba 'ing-yan.

Budynki pode mną to Stacja McMurdo na Wyspie Rossa. Miasteczko przywodzi na myśl jedną z zapomnianych osad górniczych w Mongolii. Ale patrząc z tego miejsca shen-yuan, z góry, widzimy jedynie część obrazu.

Wkrótce się przekonamy, że ta na pozór opuszczona i zbudowana bez żadnego planu wioska należy do nowoczesnej cywilizacji, z całą futurystyczną techniką. Jak sami zobaczycie, to bardzo dziwne miejsce.

Ale cypel, wyspa, morze lodu przetykane górami lodowymi, odległy łańcuch gór, tak daleki, a jednak tak widoczny: to czyste piękno.

Schodzimy do miasta, więc chciałbym przypomnieć, że Wyspa Rossa jest głęboko związana ze smoczymi tętnicami historii. Właśnie owa wyspa była bazą Roberta Scotta i Ernesta Shackletona. To smutna historia. Po raz pierwszy w 1902 roku przybyła tu ekspedycja pod kierownictwem Scotta, na statku "Discovery". Shackleton był wówczas młodszym oficerem i służył przede wszystkim we flocie handlowej, nie w marynarce, lecz miał już wyrazistą osobowość. Scott był inny, zamknięty w sobie i z początku trochę zagubiony, jakby nie wiedział, co począć na nowym lądzie. Jak już mówiłem, ludzie stanęli na siódmym kontynencie ledwie siedem lat wcześniej. W ludzkim pojęciu była to więc niezapisana karta. Towarzystwa geograficzne imperialnej Europy zadeklarowały, że Antarktyda będzie głównym przedmiotem ich imperialno-naukowych badań, natomiast towarzystwo geograficzne w Anglii przekonało brytyjską admiralicję, że poświęcenie jednego statku na wyprawę na nowy kontynent jest strategicznie uzasadnionym krokiem.

Normalnym posunięciem w funkcjonowaniu imperium. W tym samym roku, kiedy my walczyliśmy w kraju w powstaniu "bokserów" przeciw brytyjskim kolonialistom, inni ludzie w

innych biurach Londynu, używając innej broni w tym obejmującym cały świat imperium, postanowili, że można poświęcić jeden kiepsko zbudowany statek, rozklekotany wrak, w imię nie najlepiej zapowiadającego się przedsięwzięcia. Z podobnym nastawieniem zgodzili się wysłać kapitana Roberta Scotta, który z nieznanых powodów został im rekomendowany przez szefa Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.

I tak dwa lata później Scott i jego ludzie przybili do Wyspy Rossa i zbudowali chatę, którą można zobaczyć po drugiej stronie miasteczka - to ten niski, kwadratowy budynek pośrodku ekranu, narażony na uderzenia wiatru.

Odwiedzimy ją później.

Jednak Scott nie spędził dwóch lat przygotowań zbyt owocnie i gdy znalazł się na Wyspie Rossa, nie miał konkretnych instrukcji do wykonania; dostał jedynie ogólny rozkaz dotyczący naukowego badania terenu. Lecz geologia i inne nauki o Ziemi były jeszcze w powijakach. Yǎezfeng shui nie mogli w żaden sposób zobaczyć wewnętrznej struktury ładu, a bez znajomości tektoniki nie potrafili zrozumieć, dlaczego Ziemia wygląda tak jak wygląda i co mogło się z nią dziać w przeszłości. Sądziło, że góry powstały w wyniku kurczenia się Ziemi, kiedy zbyt duża skorupa po prostu się zmarszczyła; lub też odwrotnie: Ziemia się powiększała i z powstałych pęknięć wynurzyły się góry magmowe. Wegener już wkrótce wygłosi teorię, dziś oczywistą dla każdego uczniaka, że Ameryka Południowa i Afryka musiały kiedyś stanowić jeden kontynent, ale przez pół wieku śmiano się z tego poglądu; wszyscy sądzą, że byłoby za mało czasu na ruch kontynentów, bowiem dopiero zaczynali poznawać wiek Ziemi. W tym czasie lord Kelvin utrzymywał, że Ziemia, ponieważ wciąż wykazuje radioaktywność, nie może mieć więcej niż kilka milionów lat. Tak więc nauka o Ziemi w roku 1902 opierała się na taksonomii, zbierając informacje w nadziei, że pomogą przyszłym pokoleniom naukowców przeniknąć tajemnice przeszłości.

W takiej sytuacji naukowcy Scotta wykonali pomiary pogody, zapisali wyniki, zebrali próbki skał, rozejrzeli się w terenie i wypróbowali techniki poruszania się, by się przekonać, które są najlepsze. Nigdy przedtem człowiek nie pracował w takim zimnie; przeciętna temperatura była o trzydzieści stopni Celsjusza niższa niż w Arktyce, a burze o wiele bardziej gwałtowne.

Z Wyspy Rossa wypuszczali się na krótkie wycieczki saniami. Ta metoda okazała się zupełnie dobra, poza Suchymi Dolinami na kontynencie, ponieważ sanie były przystosowane do poruszania się tylko po śniegu i lodzie. Anglicy nie wiedzieli jednak, jak używać psów pociągowych i nie przywieźli ze sobą nikogo, kto mógłby ich tego nauczyć; sądzą, że umieją, ale się przeliczyli. Nansen uczył się tego od Eskimosów i dzięki psom przejechał Grenlandię, a Amundsen nauczył się od Nansena. Nie było to takie trudne; psy lubiły ciągnąć sanie.

Wszystko było sprawą odpowiedniej tresury i doboru dobrej uprzęży; wówczas potrafiły biec, jak gdyby ciągnięcie pojazdów z ludźmi po lodzie było ich jedynym przeznaczeniem - zapewne można się w tym dopatrywać pierwszego przejawu ich przyjaźni z człowiekiem, kiedy cały świat był jeszcze skuty lodem.

Ale Scott nigdy się tego nie dowiedział. Dowiedział się za to o przyjemności, jaką psy czerpią z ciągnięcia sań. I tu tkwi sedno sprawy, moi przyjaciele. Scott i jego ludzie odkryli, że chociaż ręczne ciągnięcie sań było mniej skuteczne od innych metod, skuteczność wcale nie była najbardziej pożądaną wartością. O wiele ważniejsze było shen-yun samego aktu, czyli boskie echo.

Stwierdzili również, że holowanie własnego domu przez śnieg i lód, od obozu do obozu, daje mnóstwo zadowolenia. Przemawia do czegoś leżącego bardzo głęboko u podstaw naszej zbiorowej podświadomości. Bez wątpienia istnieje coś takiego jak zbiorowa podświadomość, moi drodzy; może nie dokładnie taka, jak definiował ją Carl Jung, ale na pewno funkcjonuje w strukturach naszych

umysłów. Ludzki mózg powiększył się, z trzech milimetrów sześciennych do około tysiąca pięciuset milimetrów sześciennych, w czasach, gdy wędliśmy żywot koczowniczy, przenosząc ze sobą własne domy z miejsca na miejsce; większa część tego procesu zaszła podczas okresu zlodowacenia, kiedy nawet Chiny przypominały Antarktydę. Tak więc struktura naszych mózgów jest odzwierciedleniem tej wspólnej ewolucji i nawet teraz, wśród śniegów i lodu, takich jak te, nasze mózgi wtórują całą swą strukturą wszystkim siłom ewolucji, dzięki którym rozdeły się jak balony.

Scott stwierdził, do diabła z psami, do diabła z ciągnikami silnikowymi, do diabła z balonami na gorące powietrze i z syberyjskimi konikami pony, które niestety nie umiały znosić zimna; do diabła nawet z nartami, które wówczas wyglądały jak długie klepki i na których Brytyjczycy poruszali się, używając tylko jednego kijka - tak mało obeznani byli ze śniegiem i budową własnych ciał. Wszystko to przestało się liczyć; odkryli przyjemność ciągnięcia swych domów własnymi siłami, pieszo. Szybko nauczyli się używać dwóch kijków i kroczyli na nartach jak na długich raketach śnieżnych, by lepiej się chodziło. Zakochali się w tym chodzeniu po Ziemi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

WZGÓRZE OBSERWACYJNE

Szałas w McMurdo był w istocie Antarktyczną Izbą Rządu, ale Amerykanie nie mieli Izb Rządowych, więc tylko Sylvia Johnston myślała o niej w ten sposób. Sylvia została obywatelką USA wiele lat temu, na skutek krótkotrwałego, lecz korzystnego małżeństwa; poza tym była angielska do szpiku kości, jak tylko angielski może być długoletni emigrant.

Przyjechała do Szłasasu (właściwie była to amerykańska drewniana chata z lat sześćdziesiątych i jeden z najstarszych budynków w stacji) o siódmej rano, jak co dzień poza niedzielami. Zrobiła sobie herbatę i weszła do biura. Pierwszym punktem porządku dziennego było dziś wstępne spotkanie z W-003, ostatnim uczestnikiem w Programie dla Artystów i Pisarzy. Tym razem był to Chińczyk, Ta Shu, pisarz i dziennikarz, który na całe szczęście nie potrzebował żadnego sprzętu ani biura. Sylvia przyjechała tu jako biolog i spędziła dużo czasu, badając wydrzyki i burzyki; nie bardzo interesowały ją "artyszczyki" z programu AP.

Weszli Alan, Debbie, Joyce, Tom i Jan, po czym usiedli na swoich stałych miejscach. Po chwili dołączył do nich Ta Shu, niski, krępy, z siwą kozią bródką i długimi włosami związanymi w kucyk; na twarzy prawie nie miał zmarszczek, więc Sylvia nie potrafiła odgadnąć wieku Chińczyka. Po spotkaniu sprawdzi jego papiery.

Usiadł na jedynym pustym krześle przy stole i skinął na powitanie głową. Sylvia poprosiła wszystkich, by mu się przedstawili.

- Jestem Debbie, z obsługi lotów helikopterowych. Będę planować wszystkie pana loty śmigłowcem z McMurdo.

- Joyce, Centrum Polowe Berga, gdzie dostanie pan cały potrzebny sprzęt, jakiego nie przywiózł pan ze sobą.

- Alan, w tym roku kieruję Laboratorium Crary. Mogę panu pokazać laboratorium i pomóc w pracy z naukowcami, gdyby było trzeba.

- Jestem Tom, pracuję z Alanem.

- Jan, łącznik między Narodową Fundacją Naukową i prywatnymi przedsiębiorcami, którzy tu pracują.

Sylvia odezwała się ostatnia:

- Sylvia Johnston, w tym roku jestem przedstawicielką NFN. Jak widzę, na czas pańskiego pobytu przydzielono panu dziesięć godzin lotów helikopterem. Będzie pan latał z innymi osobami, więc po podzieleniu wyjdzie trochę więcej niż dziesięć godzin, jeżeli się pan postara. Przed wyruszeniem w teren musi pan przejść krótki kurs śnieżny w bazie ratowników. Widzę, że zapisał się pan na wyprawę "Śladami Amundsena" z T-023, która rusza za tydzień. Słyszałam, że to niezła ekspedycja. Joyce pomoże się panu wyekwipować, więc proszę się skontaktować z jej biurem. Może pan w każdej chwili korzystać z centrum map i biblioteki, a gdyby miał pan jakieś pytania, proszę się zwrócić do kogoś z nas.

Potem omówiła plik dokumentów, które musiał wypełnić, opisując każdy po kolei. Kiwał głową, przyglądając się jej pogodnym wzrokiem.

Zakończyła rutynowym ostrzeżeniem, okraszając je poważną miną i unosząc palec:

- Musi pan wiedzieć, że choć bardzo nam miło gościć artystów i pisarzy, to proszę przyjąć do wiadomości, że nie wolno panu będzie wychodzić i medytować w samotności.

Ta Shu był wyraźnie zaskoczony.

- Ależ właśnie tym się zajmuję.

- Proszę?

- Zajmuję się geomancją, praktykuję feng shui. Często muszę być sam.

Przyjechałem medytować w kilku świętych miejscach na Antarktydzie i opowiedzieć ludziom, co widziałem. Napisałem to zresztą w mojej ankiecie Amerykańskiego Programu Antarktycznego. - Wskazał na stos dokumentów.

- Rozumiem. W każdym razie mimo to musi pan zrozumieć, że być może będzie pan musiał medytować w czymś towarzystwie, ponieważ w terenie działamy na zasadzie wzajemnej asekuracji. Antarktyda to naprawdę niebezpieczne miejsce.

- Prawda - rzekł Ta Shu, kiwając ze zrozumieniem głową, jak gdyby wiedział o tym lepiej niż ona. - Będę więc musiał się dostosować. Dziękuję bardzo za pomoc.

Po wyjściu Ta Shu siedzieli chwilę w milczeniu, patrząc w papiery. Trochę zirytowana Sylvia powiedziała:

- No dobrze, nie czytałam wszystkiego. Ale co oni najlepszego robią, przysyłając nam tu geomancera.

- Dają mu okazję do samotnej medytacji - podsunął Alan.

Sylvia spojrzata na niego, więc wznosił ręce w obronnym geście.

- Ten facet jest naprawdę znany. Przekazuje do Chin relacje ze swojej wyprawy i ma sporą widownię. Był tu już wcześniej w ramach Programu dla Artystów i Pisarzy, z piętnaście lat temu. Nazywał się wtedy Wu Li. To on chyba napisał tę książkę z bardzo krótkimi wierszykami?

- To ten sam człowiek?

Sylvia widziała książkę; był to jeden z tomów leżących od lat na stoliku w świetlicy laboratorium. Mówiono, że jej autor, kiedy tu przyjechał, pisał monumentalne wiersze, niczym chiński Walt Whitman, ale po pobycie na białym lądzie umilkł, a książeczka, którą wydał wiele lat później, była jedynym zbiorkiem poezji, jaką potem napisał. Czterdzieści stron wierszy, jeśli można je tak nazwać, bowiem każdy składał się z czterech słów, na przykład:

niebieskie niebo biały śnieg albo biała chmura czarna skała Sylvii, co dzień zalewanej nowymi falami dokumentów z Fundacji, bardzo się podobała zwięzłość wierszyków.

- Po napisaniu tej książeczki zajął się feng shui - powiedział Alan. - Jeździ po świecie i medytuje w różnych miejscach, żeby uchwycić ich istotę.

Korzysta ze starych chińskich metod, ale zajmuje się też chyba współczesną nauką. To rodzaj feng shui opartego na mechanice kwantowej. Nasze laboratorium jest tym bardzo zainteresowane.

- Daj spokój.

- Poważnie, to jest figura. Za pomocą feng shui urządził połowę wieżowców we wschodniej Azji. Mnóstwo ludzi będzie oglądać jego reportaż z wyprawy.

- Przypuszczam więc, że miliony ludzi zobaczyły, jak mu zakazuję wychodzić i medytować samemu, podczas gdy to jest istota jego sztuki?

- W trzech wymiarach - dodała Joyce.

Sylvia zacisnęła usta. Po raz pierwszy założyła okulary telewizyjne w zeszłym roku i stwierdziła, że efekty trójwymiarowe są oryginalne - mimo że obraz był trochę spłaszczony i migotał - jednak całość była piękna. Widocznie ludzie obrabiali komputerowo obraz na wiele sposobów, uzyskując efekt krystaliczny, kalejdoskopowy, van Gogha albo Rembrandta. Pewnie wielu widzów Ta Shu będzie się nimi bawić, próbując po trochu wszystkiego. Antarktyda w ujęciu Cezanne'a, Seurata albo Maxfielda Parrisha, z podkładem prowadzącego narrację Ta Shu.

- Chyba nie miał swoich okularów wideo - zapewnił ją Alan.

Sylvia przeglądała jego dokumenty. Chińczyk miał sześćdziesiąt jeden lat.

- Nie wydaje się wam, że ludzie z Programu coraz bardziej dziwaczejają?

- W porównaniu z jakim okresem? - zapytała Joyce.

- Sztuka podlega ewolucji - zawyrokował Alan.

- Może wyczerpuje im się zapas kandydatów.

- Pamiętacie tego artystę od dźwięku?

Uśmiechnęli się. Chciał się nauczyć dźwięków wydawanych przez wszystkie foki, pingwiny, wydryki i wieloryby w okolicy McMurdo, a także odgłosów helikopterów, wentylatorów, generatorów i wiatru, a potem zmiksował je we własnych kompozycjach. Jego pożegnalny występ w jadalni okazał się fantastyczny, była to prawdziwa symfonia antarktyczna, która mogła zawstydzić Vaughana Williatnsa.

- Pamiętacie Jerry'ego i Paula?

- Kto by mógł zapomnieć? - mruknęła Sylvia.

Tamci dwaj sprawiali nieustanne kłopoty administracji; podróżujący razem malarz i fotograf ze skłonnością do uciekania pożyczonymi pojazdami.

Zdołali też nakłonić Nowojorską Straż Powietrzną do lotu dwoma herculesami nad Górami Transantarktycznymi, tak by mogli filmować jeden drugiego.

Randi dostała pozycję od herca 02, a potem usłyszała w radiu głos z 04 i zapytała: "Gdzie jesteś, 04?". Głosy z 04 podały jej tę samą pozycję co 02, chichocząc jak grupka rozbawionych siedmiolatków.

- A Leslie, z niej był dopiero numer.

- To prawda - odrzekła Sylvia.

Leslie była fotografem obdarzonym nieomylnym instynktem wykrywania rzeczy nielegalnych i nieprzyzwoitych; obraz Antarktydy, jaki zawarła w swej opasłej książce, przywodził na myśl Berlin lat trzydziestych. Wywołała skandal w biurze Fundacji i Sylvia wzdrygnęła się na myśl, co się potem musiało dziać w ZLA. Na pewno poleciało parę głów.

Skoro już zaczęli, opowiedzieli sobie jeszcze raz o artystach, którzy szczególnie zapadli im w pamięć: malarz, który nadal pracował nad obrazem Przedstawiającym Przylądek Roydsa, a był tu już cztery razy; modelarz, który zbudował działającą replikę Erebusa, za ciężką, by mógł ją stąd zabrać samolotem, więc do dziś stała w składzie na drewno; powieściopisarz, którego książka przedstawiała ludzi z Fundacji jako faszystów (wyjaśnił w podziękowaniach, że Fundacja była miła dla niego, ale złośliwa w stosunku do jego bohaterów); filmowiec, który ślizgał się po morzu pływającego lodu, wiodąc życie młodej foki Weddella i przeżył niespodziewany atak orki (ten film wciąż chętnie wypożyczano); rzeźbiarz, który większość czasu spędzał na lepieniu bałwanów na uliczkach McMurdo; wybitny pisarz popularnonaukowy, który nie usłyszał, jak jego samolot zawrócił w drodze na Antarktydę tuż przed Punktem Bezpiecznego Powrotu i kiedy osiem godzin później wysiadł z herculesa w Christchurch, rozejrzał się wokół i zdumiony zapytał: "A skąd tu te drzewa?"

Wszedł Paxman i zapowiedział kolejnego umówionego gościa, więc opanowali się z pewnym poczuciem winy, bo przecież w większości lubili tych dziwaków z Programu dla Artystów, z których przed chwilą się śmiali. W porównaniu z naukowcami, często przesadnie ambitnymi, których denerwowała kontrola finansowa ze strony Fundacji, artyści stanowili komiczny przerywnik, tworzyli niekończącą się galerię trerhisiów. Wyglądało na to, że Ta Shu będzie do niej pasował.

Po chwili do pokoju wszedł szczupły, przystojny mężczyzna o ciemnych włosach i roztargnionym spojrzeniu. Przedstawivszy mu swoich współpracowników, Sylvia przeprosiła ich; musiała porozmawiać z nim sama. Wade Norton, doradca Wędrującego Senatora, przyjechał z

niezaplanowaną wizytą, a to nie zapowiadało nic dobrego.

Choć najwyraźniej zmęczony i zdeorientowany, był bardzo uprzejmy i przyjaźnie spoglądał na każdą z przedstawianych mu osób. Sylvii wydawało się, że Norton chce głęboko w pamięci wyryć każdą twarz. Człowiekowi na jego stanowisku na pewno bardzo pomaga dobra pamięć do ludzi. Wyglądał na skromnego; typ życzliwego słuchacza. Mimo wyczerpującego lotu z Christchurch, a wcześniej z Waszyngtonu, prezentował się nienagannie.

- Jaką miał pan podróż?

- Ciekawą.

Niezręczna pauza.

- Cóż - powiedziała Sylvia, wskazując na okno, za którym widać było fragment miasteczka. Jej okno wychodziło na suchy parów i rurociąg, prowadzący do gładkiej ściany Laboratorium Crary. - Proszę powiedzieć, co właściwie chciałby pan tu robić, a uczynimy wszystko, co w naszej mocy, by panu pomóc.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę: prośba o współczucie.

- Jak pani wiadomo, senator Chase był kiedyś przewodniczącym Senackiej Komisji Spraw Zagranicznych. Obecnie większość w komisji blokuje ponowną ratyfikację Traktatu Antarktycznego. Zauważono też, że choć nowa stacja polarna została już ukończona, co pochłonęło sporą kwotę, Fundacja złożyła wniosek o dotacje na program antarktyczny w takiej samej wysokości na następny pięcioletni okres budżetowy, co na okres budowy stacji. Jednocześnie dochodzą wieści o ostatnim, hm, zniknięciu ciągnika transpolarnego.

I o różnych innych problemach. Chyba można określić obecną większość w komisji jako sceptyczną wobec zamiaru kontynuowania przez Fundację Amerykańskiego Programu Antarktycznego. Oni by woleli, czy ja wiem, sprywatyzować parę projektów. ZLA z grupą uniwersytecką, czy coś w tym stylu. Ta sama większość popiera prywatyzację Towarzystwa Geograficznego i Agencji Ochrony Środowiska, więc nie wiadomo, co im może przyjść do głowy. Senator Chase chce, żeby NFN nadzorowała program, ale musi, by tak rzec, wesprzeć swoje poparcie. Dlatego przysłał mnie, żebym zorientował się w sytuacji i zrelacjonował mu wszystko, zwłaszcza szczegółowo, hm, ostatnie problemy. Podobno miały miejsce jakieś niezwykle wydarzenia.

- Tak - odparła Sylvia, odnosząc wrażenie, że powinna powtórzyć pełne zrozumienia kiwanie głowy geomancera: więcej niż się panu wydaje.

Przyglądał się jej uważnie.

- Senatora bardzo to interesuje. Chyba zastanawia się, czy tych wydarzeń nie mogą wykorzystać przeciwnicy Traktatu do tego, by wycofać go z komisji i odłożyć na półkę. Gdyby akurat nie pojechał do Azji, na pewno sam by tu przyleciał, bo bardzo wierzy w skuteczność osobistych interwencji.

Lecz w obecnej sytuacji wysłał mnie. Chciałby uzyskać więcej informacji, które mogłyby mu pomóc.

Sylvia powściągliwie skinęła głową. Wielu ludzi przyjeżdżało tu i deklarowało się jako życzliwi sojusznicy, a wszyscy mieli zwykle nadzieję wykorzystać sytuację na Antarktydzie do osiągnięcia własnych, konkretnych celów. Mniej więcej taki był sens tego, co powiedział ów człowiek o senatorze Chase. W każdym razie nierozważnie byłoby ujawniać coś poufnego osobie z zewnątrz. Wiedział o tym równie dobrze jak ona. Być może chciał przygotować grunt.

Tymczasem jego wizyta była kolejnym przyjazdem Specjalnego Gościa spoza komisji budżetowej, zainteresowanej kosztami. Dlaczego Antarktyda tyle kosztuje? Dlaczego mają za to płacić amerykańscy podatnicy? Co tu się takiego dzieje, że ma być tak cenne dla zwykłych

Amerykanów? Takie pytania często stawiali przyjeżdżający z rządów i komisji rewizyjnych ludzie i często stawiali je w przeciwnych zamiarach, bowiem starali się sprawiać wrażenie, że Potrafią świetnie zredukować koszty, gdy tymczasem budżet antarktyczny był już okrojony do granic możliwości, a Fundacji kazano robić za te pieniądze jeszcze więcej rzeczy w środowisku, w którym na bezpieczeństwie nie można było oszczędzać. Goście tacy jak ten mogli mieć wpływ na ludzi w Waszyngtonie, odpowiedzialnych za decyzje o przyznawaniu pieniędzy, czyli takich, którzy w pewnym sensie trzymali ich kasę, tak jak NFN trzymała kasę naukowców tu, na miejscu. Sylvia zrozumiała uczucie, jakie musieli do niej czasem żywić naukowcy - nieprzyjemna mieszanka przezorności, nadziei i lęku.

Ten człowiek mienił się jednak sprzymierzeńcem i miała wrażenie, że to może być prawda. Jak wszyscy, słyszała co nieco o senatorze Chase i choć nie uważała go już za ważną figurę w Waszyngtonie, podziwiała to, czego udało mu się dokonać.

- Na tym kontynencie panuje nauka - rzekł po chwili Norton. - NFN jest tu więc rodzajem rządu, prawda?

- Niezupełnie - powiedziała Sylvia, mimo że często właśnie tak myślała. - Jest jeszcze KNBA, czyli Komitet Naukowy Badań Antarktycznych, który pracuje pod auspicjami krajów sygnatariuszy Traktatu Antarktycznego i ma duży wpływ na rodzaje i sposoby prowadzonych tu badań. Pod wieloma względami Komitet jest równie ważny jak NFN.

- Ciekawe - powiedział. - A czy oni mają budżet? To znaczy, czy finansują badania?

-Nie.

Jego sugestia była jasna: pieniądze miał rząd, tak samo tu jak wszędzie indziej.

Zaprowadziła go do dużej mapy Antarktydy.

- Tu są wszystkie obozy rozmieszczone w terenie w bieżącym roku - niebieskie pineski - i wszystkie ekspedycje, zielone. Zaznaczyłam też miejsca, w których są znane nam obozy spoza krajów Traktatu, czerwone pineski.

- Wszystkie obozy, jakie teraz funkcjonują?

- Lokalizację tych możemy potwierdzić - odparła dyplomatycznie.

Skinął głową, patrząc na mapę. Wokół Morza Weddella było chyba dziesięć czerwonych punkcików, po kilka w rejonie Morza Rossa i w głębi lądolodu.

- A żółte pineski?

- To jakieś obiekty zlokalizowane na zdjęciach satelitarnych. Przedmioty, kształty, a przede wszystkim źródła ciepła emitujące podczerwień. Przyznaję, że nie mamy środków, żeby zbadać wszystkie miejsca, a w tych, do których udało nam się dotrzeć, nie znaleźliśmy nic na powierzchni. Oznaczyliśmy je więc i przyglądamy się tym szczególnie ciekawym, ale nie wiemy, co to może być.

- Rozumiem.

Patrzył na mapę zakłopotany; może zastanawiał się, co teraz powinien zrobić.

Sylvia zaproponowała mu rodzaj skróconej wycieczki dla Specjalnych Gości, którą wymyślono po to, by pokazać im szczególnie malownicze miejsca w nadziei, że kiedy wrócą do domu zostaną rzecznikami sprawy Antarktydy. Często działało to jak talizman.

- Proponuję Suche Doliny, oczywiście stację na biegunie południowym i Mount Erebus - mówiła, pokazując wszystkie punkty na mapie.

- Wspaniale - rzekł ochoczo. - Ale może zobaczę punkty wydobywania ropy? To, co lam robia, znacznie komplikuje proces ratyfikacji Traktatu. Mogłaby mi pani coś opowiedzieć o tych pracach i zorganizować jakieś spotkanie?

Sylvia machnęła ręką.

- Możemy oczywiście poprosić o pozwolenie na zwiedzenie jednej stacji. Ale zwracaliśmy się już kilkakrotnie i jak dotąd nie uzyskaliśmy żadnej odpowiedzi. Można na nich nasłać Greenpeace i wpaść bez zapowiedzi. Ale dyplomatyczne reperkusje takiego postępuku mogą być poważniejsze, niż pan przypuszcza. Południowa Grupa Antarktyczna zrzesza bardzo różne kraje.

- Tak, rozumiem. Ale jak poważne są ich działania? Wiemy, ile ropy albo gazu ziemnego może tam być?

- Są pewne szacunki, ale te wiercenia mają na pewno charakter rozpoznawczy.

- Przecież są pewni, że ropa tam jest.

- Trochę. Nie ma supergigantycznych złóż, tylko podejrzewa się, że jest kilka dużych i mnóstwo małych. Stare szacunki Towarzystwa Geograficznego mówiły o wielkości rzędu od pięćdziesięciu do stu miliardów baryłek. Dla porównania, na Alasce odkryto osiem miliardów, a pod Narodowym Parkiem Arktycznym pięć milionów. Ale tu złoża są dość niekorzystnie rozrzucone po całym kontynencie. Nawet przy dzisiejszym stanie ogólnoswiatowych zasobów wcale nie jest pewne, czy wydobycie będzie opłacalne. Można by pomyśleć, że paliwa kopalne będą powoli i skutecznie wypierane przez nowe techniki fotoelektryczne.

- Problemy z kapitałem. Poza tym słyszałem, że pozostałe złoża ropy będą ważne dla innych celów niż wykorzystywanie jej jako paliwa.

- Tak, podobno.

- Czy mogę z kimś porozmawiać na temat faktycznej wielkości tych złóż? I czy ktoś może mi powiedzieć o metanie pod lodem?

Sylvia zastanawiała się chwilę.

- Tak, zdaje się, że mamy kilka takich osób. Geoff Michelson mógłby chyba wiedzieć. Przyjeżdża tu od dawna i świetnie zna geologię Antarktydy.

jest też ważną osobą w KNBA, ma stanowisko w pionie decyzyjnym. Dałoby się więc upiec dwie pieczenie z jednym naukowcem.

- Gdzie go mogę znaleźć?

- W tym sezonie są w Suchych Dolinach. - Pokazała miejsce na mapie.

- Przez pewien czas przebywają w dolinie Barwick - to miejsce szczególnego zainteresowania nauki. W zasadzie ludzie nie mają wstępu dlatego, by do minimum ograniczyć możliwości zanieczyszczenia. Ich wizyta jest więc nietypowa. Właściwie nie będziemy tam pana mogli przewieźć, bo przelot helikopterem jest zabroniony. Chyba że pójdzie pan z jedną z turystycznych grup, które zwiedzają Suche Doliny.

Zmarszczył brwi; pewnie nie należał do zapalonych wędrowców. A może po prostu zastanawiał się, ile ma czasu.

- Chciałby pan z nim szybko porozmawiać?

-Tak.

- Cóż. - Sylvia myślała. - Możemy pana wysłać pod opieką któregoś z naszych górskich przewodników, jeżeli mamy wolnego. Podrzucimy pana na lądowisko helikopterów i dalej pójdzie pan z przewodnikiem.

- Świetnie.

Sylvia zadzwoniła do Joyce.

- Joyce, mamy jakiegoś wolnego przewodnika, który by mógł zabrać pana Nortona do S-375 w dolinie Barwick? Na dwa albo trzy dni? - Spojrzała na Wade'a, który skinął głową. - Dobra, może być. Kiedy wychodzi Amundsen? Tak, dostarczymy ich z powrotem na czas. Dzięki, Joyce. - Odłożyła słuchawkę.

Norton powiedział:

- A te grupy trekkingowe? Czy one też nie naruszają Traktatu?

- Traktat zapewnia wszystkim wolny dostęp do kontynentu. Oczywiście, wcześniej NFN wcale nie popierała turystyki. Ale to sprawa zderzenia z rzeczywistością tu, na miejscu. Z jednej strony mieliśmy coraz więcej prywatnych biur podróży, które zaczęły przywozić kolejne wyprawy małymi samolotami z Chile do Wzgórz Patriot i innych prywatnych obozów. Potem turyści poruszali się na nartach albo pieszo, albo się wspinali. Rosjanie zaczęli przyplýwać do Suchych Dolin starymi lodołamaczami i podrzucać coraz większe grupy. Naprawdę, turyści byli wszędzie. Tutejsze środowisko jest bardzo delikatne ze względu na zimno; jeżeli po obozie zostają śmieci albo ludzkie odchody, to zostają na całe wieki. Wciąż można tu znaleźć pozostałości po pierwszych ekspedycjach, to naprawdę niesamowite. Lecz jeśli są to rzeczy po ludziach Scotta lub Amundsena, mamy do czynienia ze znaleziskiem archeologicznym, a jeżeli zostawiła je wycieczka tydzień wcześniej, wtedy to zwykłe śmieci. NFN była bezsilna wobec takiego problemu, bo, jak panu wiadomo, Antarktyda nie należy do nikogo.

Norton skinął głową.

- To dziwaczna sytuacja.

- Tak. Kiedy natomiast Kongres żądał, by NFN prowadziła cały program przy ciągle zmniejszającym się budżecie, było nam coraz trudniej. Należało skończyć budowę stacji polarnej, żeby w ogóle nadawała się do zamieszkania i przez to zabrakło środków na cokolwiek innego. Tak więc mniej więcej dziesięć lat temu NFN postanowiła zrealizować plan, zgodnie z którym zaoferowaliśmy szczegółowo zaprojektowane wyprawy trekkingowe, obsługiwane przez naszą firmę, ZLA. W ten sposób ekspedycje poruszały się w określonym terenie, po konkretnych szlakach, a my mieliśmy gwarancję wysokich standardów czystości i poszanowania środowiska. Zebraliśmy nawet dodatkowe dane do kilku tras, wzorując się na ekspedycjach Earthwatch.

Spróbowaliśmy więc, i w porównaniu z każdą prywatną firmą, która organizowała wyjazdy na Antarktydę, jesteśmy najwięksi i najlepsi.

- Oferujecie więc lepsze wycieczki po mniejszych kosztach?

- Właściwie mamy najwyższe stawki. Ale wyprawy są lepsze pod każdym względem. I czystsze.

- I rzeczywiście mniejsze firmy przestały się liczyć?

- Tak, to był bardzo dobry ruch. Naturalnie musimy oferować wyprawy w małych grupach i według podobnych planów, bo inaczej nie wypełnilibyśmy luki rynkowej, że tak powiem. Ale ZLA świetnie się spisuje, przejęliśmy dziewięćdziesiąt procent rynku. Środowisko jest czyste i mamy jakiś zastrzyk do budżetu, wygrywamy więc na obu frontach. Oczywiście są tacy, którzy w ogóle sprzeciwiają się przywożeniu tu tylu ludzi, lecz prawda jest taka, że tyle samo przyjeżdżałoby bez naszej działalności, a w ten sposób mamy szansę kontrolować ich pobyt.

- Ciekawe.

- Prawda?

Oczywiście to rząd dusił prywatny biznes w sposób, jaki by się zapewne nie spodobał obecnemu Kongresowi. Ale senator Chase był teraz w opozycji, więc chyba mu to nie przeszkadzało. Trudno powiedzieć. Sylvii przyszło do głowy, że powinna wykorzystać przedstawiciela politycznego podobnie jak gubernatora dużej prowincji. Ale nie miała szczęścia.

Być może ten człowiek mógłby na razie odegrać taką rolę. W każdym razie nie czuł się urażony turystyczną działalnością Fundacji; wprost przeciwnie, chyba ją nawet pochwalał. Był przecież w służbie cywilnej.

Odezwał się teraz:

- A te dziwne zniknięcia - mam na myśli ciąglik z linii transpolarnej - i inne nieprawidłowości, o których słyszeliśmy?

Sylvia westchnęła i wyciągnęła z podajnika drukarki arkusz papieru, po czym szczegółowo wypisała na nim wszystkie wydarzenia z poprzednich dwóch lat.

- Jak wynika z chronologii, poważnie wzrosła liczba kradzieży.

- Rzeczywiście - powiedział Norton, przeglądając listę.

- Sprawę bada ZLA, a po ostatnim wydarzeniu wezwaliśmy inspektorów z Rady Bezpieczeństwa Transportu i ludzi z FBI.

- Jak pani sądzi, co się mogło stać? - Patrzył na nią uważnie.

Wzruszyła ramionami.

- Jest tu bardzo dużo ludzi. Przede wszystkim różni cywile. Sam ZLA zatrudnia mniejsze firmy, a mimo naszych wysiłków, ciągle przyjeżdżają tu prywatne grupy trekkingowe, więc...

- Twierdzi pani, że to może być zwykła kradzież?

- Owszem.

- Kradzież tutaj wydaje się jednak trochę dziwnym zjawiskiem. Dość niepraktycznym.

- Zgadza się.

Długa cisza. Należało coś jeszcze powiedzieć, lecz Sylvia uznała, że lepiej poczekać z tym aż Norton zobaczy parę miejsc z trasy wycieczki dla Specjalnego Gościa.

- No to - powiedział, jak gdyby sam doszedł do podobnego wniosku - jak się mam przygotować do drogi do Suchych Dolin?

Po spotkaniu młody człowiek, który przedstawił mu się jako Paxman, zaprowadził Wade'a do pobliskiego budynku, starego, obskurnego pudła o dwóch piętrach, na którym pysznił się malowany szyld: Hotel Kalifornia.

Paxman wprowadził go do jednego z pokoi na parterze, gdzie Wade rzucił na łóżko swoje pomarańczowe torby. Pokój przywodził mu na myśl jego akademik w college'u - podobnie jak tamten był mały, bezosobowy, z umywalką i lustrem w kącie, wspólną łazienką z pokojem obok. Zasłony zasunięte, zapewne dlatego, że w ciemności łatwiej zasnąć.

Paxman powiedział:

- Przykro mi, lepsze pokoje są w Holiday Inn, ale bez wcześniejszej rezerwacji...

- Wszystko w porządku.

Jednak na pewno nie było to miejsce na miłe spędzenie czasu. Kiedy więc tylko Paxman zniknął, Wade zszedł na dół po zimnych schodach znajdujących się na końcu budynku i wyszedł na mroźny wiatr. Słońce wisało na zachodzie nad biało-czarnymi górami, których ściany wydawały się pionowe jakby wycięto je z kartonu. Ruszył pozbawionymi nawierzchni magmowymi uliczkami osiedla - właściwie nie były to ulice, a przerwy między ciasno ustawionymi budynkami. Budynki były przeróżne: nowoczesne, w kształcie samolotowych skrzydeł, pokrytych niebiesko-metaliczną błoną fotoelektryczną; zniszczone drewniane albo zbudowane z bloków żuźlowych magazyny i budynki mieszkalne; wojskowe baraki i blaszane rotundy z czasów Marynarki, a może jeszcze z czasów, kiedy założono miasteczko w Międzynarodowym Roku Geofizycznym 1956-57.

Ciszę przerwał brzęczyk jego telefonu ręcznego.

- Cześć, Wade! Tu Phil. Gdzie jesteś?

- W stacji McMurdo na Antarktydzie.

- Nareszcie! Zimno tam?

- Zimno.

- Jak to wygląda?

- No - Wade rozejrzał się dookoła. - Chyba to ludzie mają na myśli, gdy mówią o "ad hoc-itekturze".

- Hokej na tekturze?

- To naprawdę wielka mieszanka. Wszystkie rodzaje budynków.

- Powiedz mi, co widzisz, Wade. Bądź moimi oczami.

- Teraz idę obok Laboratorium Crary. Jest dosyć małe, składa się z trzech budynków na zboczu i łączącego je przejścia. Jest tu tabliczka, z której wynika, że jestem na Beeker Street, ale nie bardzo to przypomina ulicę. Na ziemi jest mnóstwo rurociągów.

- A ruch duży?

- Nie bardzo. Teraz mijam budynek, wielki żółty sześcian, z kupą anten na dachu. Chyba budynek łączności. A teraz przechodzę obok małej kapliczki.

- Kościół?

- Tak, Matki Boskiej Śnieżnej. Wszedłem na drogę, która prowadzi do portu. W tej chwili port jest pusty, bo zatokę pokrywa lód. Po lodzie jeżdżą ciężarówki i skutery śnieżne. Za portem jest chyba małe centrum handlowe, w jakimś nowszym budynku. Na piętrze restauracja, z oknami. Chyba będzie stamtąd dobry widok na miasteczko. Znalazłem tablicę, która mówi, że idę w stronę Baraku Discovery zbudowanego przez wyprawę Roberta Scotta w 1902 roku.

- Jeszcze tam stoi?

- Tak. Mały, kwadratowy budynek.

- Niesamowite. Widziałeś się z reprezentantem Fundacji? Jak było?

- Interesująco. To Brytyjka, bardzo uprzejma. Obawiam się, że chciała przede wszystkim bronić dobrego imienia firmy. Była ostrożna. Ale w tym momencie nie spodziewałem się niczego więcej. Starałem się przygotować grunt. Rzecz w tym, że nie wiem, ile ona wie. Jeżeli jest tu tylko na rok, to za krótko i zbyt niebezpiecznie, żeby jej mówić o pewnych rzeczach.

- Jasne.

- Tak więc jadę spotkać się z profesorem Michelsonem, antarktycznym weteranem. To ważna figura w Komitecie Naukowym Badań Antarktycznych, jest jednym z rozdających tam karty.

- Świetnie. Rozejrzyj się dokładnie i do dzieła. Dzwon, jeżeli będziesz potrzebował pomocy, ja sam zadzwonię niedługo po nowiny.

- A gdzie teraz jesteś?

- W tej chwili w Turkiestanie, ale jutro jadę do Kirgizji. Będziemy w kontakcie. Trzymaj się ciepło!

- Postaram się.

To nie będzie łatwe. W miejscu lądowania Scotta wiatr był szczególnie dokuczliwy, tak zimny, że nie mieścił się w kategoriach zimna znanych Wade'owi i stanowił zupełnie nowe doświadczenie kinetyczne. Gdyby nie był zamknięty w szczelnej powłoce ciepłych ubrań, chyba by skamieniał. W jednej chwili.

Okazało się, że historyczny barak jest zamknięty. Brązowa tabliczka głosiła, iż ten obiekt należy do Dziedzictwa Światowego. Za barakiem postawiono pomnik człowieka nazwiskiem Vince, który utonął nieopodal w 1902 roku. Po drugiej stronie miasteczka stał wysoki stożek z popiołu wulkanicznego, zwieńczony krzyżem. Wade nie umiał sobie wyobrazić, jak wyglądało to miejsce w roku 1902. Powrotna droga do centrum trwała tylko dziesięć minut i choć nos i uszy miał zimne, ciało okryte warstwami ubrań rozgrzewał marsz.

Zanim zdążył się zorientować, już był po drugiej stronie miasteczka; ledwie kilkaset jardów. Wspiął się na wulkaniczny stożek. Paxman pokazał mu go z okna hotelu Kalifornia i wspominał, że

ze szczytu jest niezły widok i że krzyż postawiono na pamiątkę Scotta. W końcu był na Antarktydzie. Musiał się rozejrzeć tu i tam.

Nad rurociągami za ostatnim rzędem budynków biegł wyboisty szlak, pnąc się w górę po zastygłej lawie, wzdłuż grzbietu stoku, aż na sam wierzchołek. Szlak wił się, tworząc wiele odnóg, a pokruszoną lawę rozdeptały na proszek setki par nóg wspinających się na stożek, wśród których, jak przypuszczał Wade, były nogi Scotta i Shackletona. Mimo że powietrze wciąż było lodowate, spocił się, więc zaraz rozpiął skafander. Wchodził na antarktyczne wzgórze z rękami w kieszeniach. Znajdował się po osłoniętej stronie stożka i czuł się tak, jak gdyby tkwił w przylegającej do ciała powłoce gorącego powietrza, od której odbija się zimny wiatr.

Blisko szczytu skała przechodziła w jednolitą masę zastygłej lawy, sękatą i poskręcaną. Tu zimny wiatr od razu zdmuchnął jego gorącą powłokę.

Prędko zapiął skafander, przestraszony szybkością, z jaką zaatakowało go zimno.

Dotarł na wierzchołek. Rozciągał się stąd widok we wszystkich kierunkach świata. Panoramiczna tablica informowała go o obiektach, jakie stąd widział. U stóp wzgórza po przeciwnej stronie leżała nowozelandzka Baza Scotta, tuzin zielonych budynków stłoczonych na gładkiej, białej płaszczyźnie Lodowca Szelfowego Rossa. Z gładkiej powierzchni wyłaniała się ostro Wyspa Rossa i wznosiła się w oddali aż do olbrzymiego białego wulkanu, Erebusa, który wyglądał prawie tak jak stożek, na którym stał Wade, tyle że był biały i dziesięć milionów razy większy.

Jak okiem sięgnąć morze pokrywał lód, wieczny albo okresowy. Daleko na lodowym morzu Wade z trudem dostrzegł zarysy lotniska, na którym siadł herc. Ruchome budynki lotniska wyglądały jak ciemne punkciki na lodzie i Wade poczuł, jaki ogrom go otacza. Daleko za lotniskiem, według informacji z tablicy, leżały wyspy Czarna i Biała, których nazwy odzwierciedlały ich rzeczywisty wygląd, a dalej Mount Discovery, czarny stożek przystrojony białymi językami lodowców i pasmo Royal Society Gór Transantarktycznych, strzelających w górę z białego morza. W dół dolin spływały maślane strumyczki żółtego światła słonecznego.

Zakręciło mu się w głowie od widoków, ale kątem oka zauważył, że nie jest sam na szczycie wzgórza. Na skałach, tuż pod drewnianym krzyżem, który osłaniał go od wiatru, siedział jakiś człowiek.

- Dzień dobry - zawołał zaskoczony Wade.

Był to wysoki mężczyzna w przybrudzonej, ciemnozielonej kurtce. Szeroką, zamyśloną twarz krył za ciemnymi okularami i futrem, którym obsyty był kaptur kurtki. Brązowe spodnie robocze miały na kolanach ciemne plamy od smarów i oleju. Najwyraźniej pracownik ZLA.

Mruknął coś w odpowiedzi na pozdrowienie Wade'a, nie przestając kontemplować krajobrazu. Wade wyminął go i podszedł do dużego drewnianego krzyża, który wcześniej zobaczył z dołu. Zbudowany z prostokątnych belek, miał wysokość około dziesięciu stóp. Litery wyrzeźbione w 1913 roku pomalowano na białą farbę, która wytrzymała wściekłe uderzenia wiatru o wiele lepiej niż surowe drewno, a litery kiedyś wklęsłe, teraz trochę wystawały z powierzchni drewna. Słoje drewna też ocalały. Walczyć, szukać, znaleźć i nie ulec. A pod spodem pięć nazwisk ze stopniami wojskowymi. Wade skonsternowany przyglądał się przez chwilę napisom. Tennyson nie należał do poetów, których post-postmodernistom udało się zaadaptować do swoich celów. Z tego co pamiętał, wyprawa Scotta miała jakieś kłopoty. Nigdy nie studiował tamtych spraw.

Siedzący mężczyzna drgnął i Wade spojrzał w dół, znów skonsternowany. Wreszcie odezwał się:

- Często tu przychodzisz?

Mężczyzna popatrzył na niego obojętnie zza lustrzanych okularów.

- Często?
- Byłeś tu już wcześniej?
- Tak.
- Ładny widok.
- Wspaniały widok.
- Tak, wspaniały widok.

Obaj spojrzeli na McMurdo. Dachy budynków wykonano z przeróżnych metali: od historycznej już blachy falistej po najnowszą, błyszczącą - fotoelektryczną. Poza rzędem sześciu brązowych domów mieszkalnych, żadne dwa budynki nie były takie same: znajdowały się tu lśniące błękitem statki kosmiczne, rozlatujące się drewniane chałupy, czarne, metalowe rotundy, składy drewna na powietrzu, Holiday Inn, port, centrum turystyczne, rząd brązowych domków, małe laboratorium, jeszcze mniejszy Szalas obok, przy lądowisku dla helikopterów i wybrzeżu...

- Długo tu mieszkasz? - zapytał Wade.
- Nie.
- Czym się zajmujesz?
- Pewupe.
- Pewupe?

Człowiek obrócił na niego wzrok; Wade zorientował się, że tym pytaniem zdradził się jako świeży przybysz.

- Pracownik warsztatowo-polowy.
- Rozumiem.
- A ty?
- Pracuję w Waszyngtonie, dla członka Senatu.
- Którego?
- Chase'a.
- Tego, co go nigdy nie ma?
- Zgadza się.

Mężczyzna skinął głową.

- Pewnie przyjechałeś w sprawie piratów lodowych.
- Tak - odparł zaskoczony Wade. - Istotnie.
- To właśnie ja jechałem w transporcie, kiedy zniknął jeden ciągnik.
- Ach, tak... Zdaje się, że ostatnio zdarza się tu sporo podobnych rzeczy.
- Tak.
- Nie wiesz, dlaczego tak się dzieje?
- Ja? - Wyraźnie rozbawiło go to pytanie.

Usiedli, spoglądając na Mac.

- Niespecjalnie piękne miasto - odważył się zauważyć Wade.
- Spodoba ci się.
- Naprawdę?

Człowiek wzruszył ramionami.

- Jest brzydkie, ale... stąd widać wszystko. Jak na dłoni.

Kiedy kończył to zdanie, na stoku pojawiła się jakaś postać: kobieta, która wynurzyła się z za skalnego wzniesienia, idąc tym samym szlakiem co Wade. Ciężka grzywa włosów ciemnoblonde, długie uda w błękitnych spodniach narciarskich, rytmicznie poruszające się pod długą, czarną kurtką, która przykrywała szerokie ramiona. Obserwowali ją obaj. Towarzysz Wade'a nagle się skulił.

Wspinała się, stawiając długie nogi w niebieskich, mieniących się wielobarwnie butach wspinaczkowych. Popatrzyła w górę i dojrzała krótki lustrzany odbłysek błękitnych okularów, wydatne kości policzkowe, zgrabny nos, szerokie usta. Wade zdumiony uniósł brwi: prawdziwa piękność, tyle że z ramionami wioślarza albo ciężarowca. Dwaj mężczyźni gapili się na nią w milczeniu. Po chwili stanęła obok nich, lekkim krokiem i bez żadnej zadyszki.

- Cześć - powiedziała swobodnie. Promieniowała pogodą ducha, wypływającą z pewności siebie atrakcyjnej kobiety, wychowanej gdzieś na amerykańskim Zachodzie. Emanującej tężyzną.

- Cześć - odparli obaj mężczyźni.

Kobieta drgnęła zaskoczona i ponownie spojrzała na towarzysza Wade'a.

- A, cześć, Iks. Nie poznałam cię.

-Aha.

Aha, pomyślał Wade, patrząc na tych dwoje. Zgarbiony mężczyzna wyglądał jak wielki kamień.

- Valerie Kenning - powiedziała kobieta do Wade'a, wyciągając rękę.

- Wade Norton.

- Miło mi. Co cię do nas sprowadza?

- Rozglądałam się - odparł, po czym zacierając dłonie w rękawicach, znów wyjaśnił sprawę senatora Chase'a.

- Zimno? - zapytała. - Zejdźmy trochę, tam mniej wieje.

Wszyscy przeszli pod osłonę brązowej lawy. Kiedy mężczyzna, którego dziewczyna nazwała Iksiem, wstał, Wade zobaczył, że jest naprawdę wielki, miał prawie siedem stóp wzrostu. Wyższy od kobiety, ale wcale nie tak dużo; kobieta z kolei była sporo wyższa od Wade'a. Iks znów ciężko usiadł.

- A tobie nie zimno? - zwrócił się do kobiety Wade, zauważywszy, że jej skafander, spodnie i rękawiczki są bardzo cienkie.

- Och, nie. Nie skarzę się na zimno. - Roześmiała się. - Może to sprawa grubej tkanki tłuszczowej.

- Aha - rzekł Wade z powątpiewaniem, rzucając okiem na obojętnego Iksa. Rzeczywiście, niezła tkanka tłuszczowa. - A tobie nie zimno?

- Mnie zawsze jest zimno - oświadczył Iks.

Wade spróbował wciągnąć go do rozmowy.

- Mówiłeś, że w mieście wszystko widać?

Iks skinął głową.

- Wszystko jest na wierzchu. Widać całe miasto ze wszystkimi urządzeniami. Źródło energii - tam na przełęczy są zbiorniki z paliwem, a główne generatory tu, pod nami. Linie elektryczne, instalacja kanalizacyjna i oczyszczalnia ścieków. Tam są składy materiałów budowlanych oraz warsztaty, magazyny, parkingi. Ludzie zajmują niewielką część całej przestrzeni, tylko wokół jadalni i laboratorium.

- Żołądek i mózg - powiedziała Valerie. - Jak przezroczysty model ludzkiego ciała, ze wszystkimi organami na wierzchu.

Iks skinął głową, lecz nic nie powiedział. Wade domyślił się, że chyba nie chciał z nią rozmawiać; ignorował jej uprzejme próby nawiązania kontaktu. Valerie pokazywała mu dalej stację: lądowisko helikopterów, skutny lodem port, minicentrum handlowe, które nazwała dzielnicą rozrywkową, też zimne i nieczynne, aż do przybycia statku z turystami; dalej budynek radiowy - centrum łączności - i część zabytkowa w postaci Baraku Discovery, który mieli naprzeciwno.

- Jak myślisz, czego tu brakuje? - spytała.

- Posterunku policji? - nieśmiało spróbował odgadnąć Wade. - Więzienia?

- Rzeczywiście, bardzo dobrze. Ale nie o to mi chodzi.

- Gdyby trzeba tu było policji, przyjechaliby ludzie z Marynarki - powiedział ponuro Iks. -

Więzienia też nie trzeba, bo wystarczy człowieka stąd zabrać.

- Hm - odezwał się Wade. - Są tu w ogóle przedstawiciele prawa?

- Sylvia jest Marszałkiem Stanów Zjednoczonych - rzekł Iks. - z uprawnieniami mianowania szeryfów, gdyby chciała kogoś przymknąć i potrzebowała pomocy.

- Mieliśmy kiedyś w mieście pistolet - powiedziała Valerie, uśmiechając się na to wspomnienie. - Ale bali się, że komuś może coś przyjść do łba w czasie nocy polarnej i kazali go rozłożyć na części, które porozmieszczali po trzech czy czterech biurach. Niektóre się pogubiły.

Roześmiała się, a Wade jej zawtórował; Iks pozostał niewzruszony. Wyśiłki Valerie idą na marne, pomyślał Wade.

- To czego brakuje?

- Ludzi - powiedział Iks.

Val skinęła głową.

- Nikogo jak okiem sięgnąć, widzisz?

Wade widział.

- Za zimno.

- Zgadza się. Nikt nie wychodzi na dwór. McMurdo wygląda tak dwadzieścia cztery godziny na dobę. Od czasu do czasu ktoś przechodzi z budynku do budynku, ale stąd zawsze widać wymarłe miasto.

- Ciekawe - rzekł Wade.

Usiedli, patrząc na puste miasteczko, z którego mimo to dobiegały różne dźwięki pracujących maszyn. W składach drewna i między kontenerami jeździły jakieś pojazdy.

- Dokąd teraz ruszasz? - spytał Wade Valerie.

- W przyszłym tygodniu prowadzę wyprawę śladami Amundsena. Ale przedtem mam zabrać jakiegoś Specjalnego Gościa do Suchych Dolin.

- Pewnie chodzi o mnie.

- Naprawdę? Miło cię poznać. Szykuje się niezła wycieczka. Cieszę się, że zobaczę dolinę Barwick, rzadko tam można zajrzeć.

- Tak słyszałem. Jednak ciągle nie wiem, gdzie to jest.

Wskazała góry leżące na zachodzie, za lodowym morzem.

- Tam.

Wade skinął głową z powątpiewaniem. Iks popatrzył na niego i choć za okularami, szalikiem i kapturem trudno było dojrzeć wyraz jego twarzy, Wade'owi zdawało się, że piorunuje go wściekłym spojrzeniem. Może chodzi o wycieczkę w towarzystwie Val. Ale przecież to nie Wade ją wymyślił.

- A ty co masz w planach? - zapytał go, próbując ułagodzić jego tłumiony gniew.

Iks parsknął.

- Pewupe idzie, gdzie mu każą. Chociaż być może zrezygnuję, skoro już mowa o moich planach.

- Spoglądając na Val, dodał: - Może rzucę ZLA i przyjmę propozycję wyjazdu do pracy u nafciarzy z Afryki.

- Nie! - krzyknęła Val. - Iks, naprawdę?

- Tak - odrzekł krótko. - Naprawdę.

- Och, Iks. - Zacisnęła usta, potrząsając głową. Wade zorientował się, że nie chce o tym rozmawiać w jego obecności. Iks ponuro patrzył na miasto.

W końcu odwróciła się do Wade'a.

- Dalej ci zimno?

- Owszem. - Tak się trząsał, że drżał mu głos, wpadając w wibrację.

- Lepiej już zejdźmy. Pokażę ci na mapie, dokąd pójdziemy. Dostałeś już sprzęt?

-Nie.

- Dopilnuję, żeby ci dali najlepszy.

- Świetnie, dziękuję.

Wstali. Iks się nie ruszył, mierząc Val nieprzenikniętym spojrzeniem.

Dziewczyna rzuciła na niego okiem.

- Na razie, Iks.

Kiwnął jej głową.

- Na razie.

- Miło było cię poznać - rzekł z zakłopotaniem Wade, świadom, że wykorzystano jego obecność, by uniknąć jakiejś poważniejszej konfrontacji.

- Mnie też było miło.

Wielkolud siedział, patrząc, jak schodzą. Wade spojrział za siebie - zobaczył go pod drewnianym krzyżem, skulonego i pogrążonego w myślach.

Iks powlókł się ciężko w dół do miasteczka. Jego stopy przypominały dwa doczepione do nóg mrożone indyki. Miał zimne palce, ślimaczo ocięzwały puls i zdrętwiałe serce. Poszedł do jadalni i trafił na ludzi z ostatniej zmiany. Gęsty tłum składał się w większości z weteranów lodu i kilku jajogłowych, którzy właśnie skończyli wysyłać swoje e-maile. Iks wziął dwie kanapki z wołowiną i serem oraz kubek kawy, po czym usiadł przy jednym z pustych stolików. Najpierw opróżnił kubek, trzymając go przez chwilę w dłoniach, dopóki nie zaczął mu parzyć palców. Kiedy pałaszował drugą kanapkę, przysiadł się do niego Ron.

- Namyśliłeś się? - zagadnął, pochylając się z przesadnie konspiracyjnym uśmiechem. Iks przełknął.

- Wchodzę w to.

- Zuch! - skinął głową Ron, z początku zdziwiony, po chwili z zadowoleniem. - Wiedziałem, że się zgodzisz.

- Ja nie wiedziałem.

Ron wyszczerzył zęby w zbójckim uśmiechu.

Iks nieoczekiwanie wstał i chwycił tacę.

- Kiedy mam jechać?

- Pojutrze. Wpadną do stacji w Bezwietrznej Zatoce. - Był tam prywatny pas startowy, położony za Bazą Scotta, rodzaj pasożyta żyjącego między dwiema bazami państwowymi, już prawie nie działający. - Jeżeli tam dotrzesz, zabiorą cię do swojego obozu w Basenie Mohna.

Iks kiwnął głową.

- Idę się zwolnić.

Wyszedł z jadalni, minął laboratorium i skierował się do Szafasu.

W środku spotkał Paxmana, któremu powiedział, że rezygnuje z pracy. Ten bez zdziwienia i sprzeciwu dał mu odpowiednie formularze. Pomyślał więc, że chyba nie będzie się musiał tłumaczyć przed Janem czy Syla, czego się trochę bał. Od kiedy Helen rzuciła pracę w środku sezonu i ZLA zaskarżył ją za naruszenie umowy i przegrał sprawę, ZLA pozostawiał wolną rękę niezadowolonym pracownikom. W ten sposób paliło się za sobą mosty, bo ZLA na pewno nikogo nie zatrudni po raz drugi. Ale nie mogli ludziom zabronić zwolnienia się na własną prośbę.

Podpisał więc swój formularz, z trudem nie ulegając przemożnej pokusie, by podpisać się "Iks", lecz wpisał pełne imię i nazwisko, by mieć pewność, że wszystko jest zgodne z prawem, po czym oddał formularz Paxmanowi.

- Co teraz będziesz robił? - zapytał Paxman.
- Pracował dla afrykańskich nafcjarzy.
- Sam się nad tym zastanawiałem. Powodzenia.
- Dzięki.

Kiedy odwrócił się, w drzwiach stała Sylvia, patrząc na niego z miną wyrażającą lekką dezaprobatę. Wprawdzie reprezentowała NFN i teoretycznie to, co robił pracownik ZLA, nie powinno jej obchodzić, ale tu wszystko się łączyło. Miejsca odwiertów ropy były natomiast najbardziej widocznym znakiem, że Traktat Antarktyczny jest w stanie zawieszenia i w niebezpieczeństwie, że rozsypie się na zawsze. Iks starał się nie załamać pod jej ostrym spojrzeniem.

- Widzę, że nie podoba ci się praca warsztatowo-polowa - powiedziała.

- Nie. - Popatrzył jej w oczy i wytrzymał spojrzenie. - ZLA jest nie w Porządku w stosunku do pracowników. Traktują nas, jak gdyby pobyt na Antarktydzie był wielkim przywilejem, i w każdej chwili można nas wymienić- Dniówki są dłuższe niż pozwala prawo w normalnym świecie, sezon w sezon nie ma gwarancji pracy, nie ma emerytury, żadnych pieniędzy ponad minimum stawki. Nie ma nic, co jest albo było w normalnym miejscu pracy.

A warunki ustala NFN, sama im na to pozwalasz. Mogłabyś im powiedzieć, co mogą robić, a czego nie i byłoby nam o wiele lepiej. - Mówił spokojnym głosem, bez złości, po prostu stwierdzał fakty.

Sylvia powiedziała:

- Fundacja może się wtrącać w sprawy wynajmowanych przez siebie firm w bardzo ograniczonym stopniu. - Pokręciła głową, odwracając się w stronę swojego biura. - Powodzenia, Iks.

Z powrotem w zimnym wietrze i bez pracy. Powłócząc nogami, ruszył przez zryty śnieg i błoto w stronę magazynu Centrum Polowego Berga. Za starym budynkiem majaczyła sylwetka Wzgórza Obserwacyjnego. Będzie mu brakowało paru rzeczy z McMurdo. Joyce była w świetlicy CPB; pomieszczenie to znajdowało się na piętrze, stały tam kanapy, stojak z czasopismami oraz automat do kawy.

- Przyszedłem się pożegnać - rzekł Iks. - Wyjeżdżam do obozu naftowego.

- No nie, Iks - powiedziała ze złością Joyce. - Nie mówisz poważnie.

- Poważnie. I bardzo się z tego cieszę.

Nie uwierzyła mu. Zresztą on też chyba nie wierzył.

- W każdym razie wyjeżdżam - powiedział.

- Val wie o tym?

- Tak. Spotkałem ją na Wzgórzu Obserwacyjnym.

- I co powiedziała?

- Nic.

- Och, Iks. Dobrze wiesz, że tęskni za tobą.

- Taa.

- Serio. Moim zdaniem już się wyszumiała i stwierdziła, że popełniła błąd. Tamten facet, Mike, to kompletny dupek. Ona lubi cię najbardziej ze wszystkich tu, w Mac.

Iks wzruszył ramionami.

- Już za późno - odparł, starając się zdusić nutkę nadziei, która jak koliber zatrzepotała mu w sercu. Mimo zdenerwowania zachował pokerową twarz. Joyce wstała zmieszana, wyszła zza biurka i

uściśnięła go; jej głowa znajdowała się na wysokości jego brzucha. Z wdzięcznością przyjął ten serdeczny odruch, czując się jak żebrak.

- Ale się porobiło - powiedziała.

-No.

Cofnęła się, by mu spojrzeć w twarz.

- Nie powinieneś tam jechać, Iks. Nie tylko ze względu na Val. Pracujemy, żeby poprawić tu pewne rzeczy.

- Mhm.

- Poważnie. Słuchaj, Iks, pod koniec sezonu ma być odnowiona umowa z ZLA i możliwe, że stracą koncesję.

- Nie uwierzę, póki tego nie zobaczę.

- Mówię serio!

Ale to właśnie Joyce uczyła Iksa historii firm wynajmowanych przez NFN do obsługi baz antarktycznych, więc w dużej mierze właśnie ona była odpowiedzialna za jego sceptycyzm. Pierwsza firma, Holmes & Narver, wygrała przetarg w samym środku zimnej wojny; krążyły plotki, że stoi za nimi CIA. Druga spółka, ITT, właśnie skończyła pomagać CIA obalać rząd Allende w Chile, więc jej związki z CIA nie ulegały wątpliwości; poza tym miała też silne powiązania z przemysłem naftowym.

Joyce mówiła, że trzecia firma, Spółka Wspierania Antarktydy, była o niebo lepsza od dwu poprzednich. Zwykle i całkiem dobre przedsiębiorstwo - oczywiście dzięki odpowiednim ludziom, którzy stanowili w niej większość i starali się uczynić firmę jak najbardziej przyjazną. Joyce i wielu innych szefów z McMurdo, którzy zaczęli współpracę z SWA do dziś ich ciepło wspominają. Jednak umowę zawarto na standardowy okres dziesięciu lat, a Fundacja wymagała, by z potencjalnymi kooperantami zawierać subkontrakty, żeby zdążyli się czegoś nauczyć i w odpowiednim czasie przystąpili do przetargu z pewnym doświadczeniem. SWA sumiennie wypełniała ten warunek i w ciągu trzeciego dziesięcioletniego kontraktu zawarła umowę z pomocniczą firmą - wielonarodowym konglomeratem, który był prawdziwym utrapieniem nowej ekonomii światowej. Krążyły pogłoski, że firma ta skutecznie krecią robotę i podgryza SWA, jak tylko ma okazję; w rzeczywistości jednak ich agresywna polityka doprowadziła do takiego obniżenia kosztów pracy, że w kolejnym przetargu wystąpili z bardzo taną ofertą, proponując pracownikom w McMurdo kiepskie warunki, licząc na atrakcyjność miejsca i trudności z pracą na Północy. Fundację ograniczało żądanie Kongresu, by przyjęli najtańszą ofertę bez weryfikacji praktycznych doświadczeń firmy, tylko na podstawie spełnienia wymagań prawnych, więc nowa spółka łatwo wygrała z SWA. Kiedy przejęli obsługę McMurdo, właściciele firmy przechrzcili ją na Zaopatrzenie i Logistykę dla Antarktydy, przekształcając ją w jedną z najbezwzględniejszych korporacji XXI wieku.

Oczywiście była to katastrofa dla weteranów SWA, którzy chcąc zostać, musieli starać się o tę samą pracę za ledwie ułamek poprzednich zarobków i świadczeń, tracąc wszystkie prawa wynikające ze stażu pracy. Dla Joyce była to też katastrofa, pewnego rodzaju deja vu związane z jej poprzednią profesją, pielęgniarstwem; wtedy należała do personelu z ograniczonym pełnym etatem, co oznaczało, że pracowała w pełnym wymiarze godzin, kiedy w szpitalu zajęta była określona liczba łóżek; w przeciwnym razie dzwoniono do niej i kazano zostawać w domu, nie płacąc ani grosza. Wkurzyła ją ta sytuacja i uznała, że jeśli opieka nad chorymi ma być takim samym wyzyskiem jak wszystkie inne zajęcia, to rzuci tę robotę i ucieknie gdzieś daleko; w jej przypadku było to białe Południe.

Sceptycyzm Iksa związany z jej nadzieją na zmiany był więc wynikiem nauki, jakiej mu udzieliła sama Joyce. Ale teraz wyciągnęła rękę, jak gdyby nie pamiętała o tamtych opowieściach.

- Nie, słuchaj - powiedziała poważnie. - Mamy plany, naprawdę wzięliśmy się za to. I ty pasujesz do tych planów.

- Już złożyłem wymówienie.

- Cholera. - Pokręciła z dezaprobatą głową. - Niech cię szlag, Iks, powinieneś najpierw porozmawiać ze mną.

- Chcę wyjechać.

Zmierzyła go ciężkim spojrzeniem, które mówiło, że za bardzo bierze sobie do serca niektóre rzeczy; że jest nadwrażliwy i wyolbrzymia sprawę z Val, widząc w tym jakąś romantyczną historię. Patrzył na nią chmurnie, powstrzymując się przed przyznaniem jej racji.

Wzruszyła ramionami i zrezygnowana machnęła ręką.

- W porządku, ale pamiętaj, co powiedziałam. To prawda! Wszystko tu zmienimy!

Skinął głową i powlókł się w dół po schodach. Na zakręcie wisiała na ścianie duża fotografia Thomasa Berga w polarnej kąpieli; szeroko uśmiechnięty i mokry tkwił po pierś w lodowatej wodzie Cieśniny McMurdo, wyglądając w przerębli jak wielka foka. To zdjęcie zawsze stanowiło dla Iksa przejmujący pomnik, ponieważ niedługo potem Berg zginął w katastrofie helikoptera nad Suchymi Dolinami. Dziś czuł się bardziej poruszony niż zwykle - zobaczył kruchość i ulotność ludzkiego szczęścia. Wyszedł na chłoszczący wiatr, czując się gorzej niż kiedykolwiek przedtem.

Nie był w nastroju do rozmowy z nikim, zwłaszcza z Val, więc kiedy wyszła z drzwi jadalni, zobaczyła go i podeszła, jęknął. To cholerne miasteczko było zdecydowanie za małe. Jednak znów poczuł trzepoczącego w środku kolibra nadziei, który starał się wyfrunąć. Iks przyglądał się dziewczynie badawczo w poszukiwaniu potwierdzenia tego, co powiedziała mu Joyce - szukając oznak żalu, sympatii albo czegokolwiek, co nie było lekceważeniem, jakie okazywała mu, odkąd postanowiła zakończyć ich przyjaźń.

I rzeczywiście znalazł coś takiego w jej twarzy, pozbawionej osłony ciemnych okularów; nie mylił się, było jej przykro. Chyba że była na niego wściekła.

- Naprawdę wyjeżdżasz? - zapytała.

- Tak. Właśnie złożyłem wymówienie.

- Och, Iks. Do cholery, ci ludzie łamią Traktat, nie wiesz, co się stanie, jeśli Traktat przestanie obowiązywać, oni wszystko zniszczą!

Oczywiście nie robiliby tego, gdyby zostali razem. Oboje dobrze wiedzieli, ale o tym nie mówili. Krzyczała na niego tu, na pustyni rurociągów i kabli telefonicznych, a gdy stali na Wzgórzu udawała, że nic jej to nie obchodzi, nie chcąc się zdradzić przed tym ulizanym bubkiem z Waszyngtonu, który nosił skafander jak płaszcz z wielbłądziej wełny i rozmawiał przez ręczny telefon z tym swoim senatorem, wszystko jedno gdzie tamten się włóczył; przystojniak z forszą i widokami na wielką karierę, którego Val od razu się uczepiła. Kobiety lgną do władzy jak żelazo do magnesu; działały mechanizmy społeczne i biologiczne - samica czeka, aż ktoś zaopiekuje się jej młodymi; Iks nie mógł na to spokojnie patrzeć.

Spoglądał więc na nią ze złością i milczał. Nie przychodziły mu do głowy żadne słowa; był na nią wściekły, a jednocześnie koliber trzepotał coraz mocniej, jak gdyby chciał rozerwać serce.

- Ludzie od lat łamią Traktat - powiedział wreszcie. - Twoi turyści łamią Traktat, jeśli przyjąć poprzednią interpretację. Kraje południowe mają naprawdę bezpieczne technologie prowadzenia badań. Poza tym to tylko badania. Nic złego. Chcę dla odmiany zająć się jakąś prawdziwą robotą.

Machnęła zdenerwowana ręką, co wyglądało jak uderzenie w twarz - naprawdę go jednak nie uderzyła.

- Skończysz na tym samym, co robiłeś tutaj.

- Nauczają mnie czegoś więcej.

- Pewnie.

Spojrzał na nią z wyżyn swojego wzrostu. Przy niej nie były to zresztą wyżyny i to właśnie między innymi w niej lubił: była kobietą w jego rozmiarze. Nie tylko fizycznie, ale też emocjonalnie i intelektualnie. Kochał ją i nadal ją kocha. Ale tego już było za wiele. Gdyby go prosiła, żeby został albo złażała za to, że jedynym sposobem rozwiązania spraw osobistych jest dla niego wyjazd, gdyby chciała przeprosić go za to, że rzuciła go bez litości mogła to zrobić; stał przed nią i miała świetną okazję, ostatnią na co najmniej kilka miesięcy, a może ostatnią w ogóle; tymczasem bredziła coś na temat pieprzonego Traktatu Antarktycznego, jakby coś jeszcze znaczył albo był teraz dla nich najważniejszy.

Być może coś z tego dotarło do niej, kiedy na nią patrzył. Zacisnęła usta, odwracając oczy. Niezadowolona królowa radości - co za przykry widok.

Była zbyt uparta, żeby go przeproszać, a Bóg wie, że zasłużył sobie na przeprosiny. Kiedyś byli partnerami, spali razem; byli w sobie zakochani. Tak mu się przynajmniej zdawało. Potem odjechali do swoich spraw w świecie i po paru miesiącach wrócili. Jak zwykle po jej przyjeździe (trzy dni przed jego przybyciem) otoczył ją wianuszek facetów - wielka rzecz, to nie było usprawiedliwienie, gdzie zresztą bywa inaczej, kiedy się wygląda tak jak ona? Nie, McMurdo też jej nie usprawiedliwiał. Przeżyli jedynie lodowy romans - ona chciała go zakończyć z własnych powodów, a liczba mężczyzn w Mac była tylko wymówką i to cholernie marną wymówką.

Nie zamierzała go więc przeproszać.

- Muszę się spakować - powiedział Iks, z trudem panując nad głosem.

Odwrócił się i odszedł, by nie zacząć na nią krzyczeć albo się nie rozbeczeć.

Następnego dnia był już na małym lotnisku, które w Bezwietrznej Zatoce założyły prywatne firmy turystyczne - składało się z dwóch kontenerów i zbiornika z paliwem znajdującego się obok zrobionego pługiem śnieżnym pasa startowego - był to najmniejszy i najędzniej urządzony obóz, jaki Iks widział. Samolot się nie pokazał, więc spędził noc w jednym z kontenerów, który nazywał się "Random House", śpiąc niespokojnie na twardym, sfatygowanym materacu, słuchając szumu grzejnika niczym pełnych dezaprobaty głosów widmowej publiczności i oglądając film o swoim życiu, wyświetlany w jego własnej głowie: nową wersję "Człowieka bez ojczyzny", w której główną rolę grał Człowiek Bez Imienia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

MIEJSCE SZCZEGÓLNEGO ZAINTERESOWANIA NAUKI

Witajcie ponownie, przyjaciele. Jak widzicie, stoję teraz na powierzchni Lodowca Szelfowego Rossa, kilka kilometrów na południe od Wyspy Rossa. Przybyłem tu, by spędzić jeden dzień w amerykańskim Obozie Szczęśliwego Obozowicza, gdzie uczy się gości różnych przydatnych na lodzie umiejętności, by ich lepiej przygotować do pobytu na Antarktydzie. Obóz ma trafną nazwę; rzeczywiście jestem tu szczęśliwy.

Przewodnicy pokazali nam jak zapalać maszynkę, jak rozstawiać namiot i jak używać radia. Nauczyłem się zawiązywać parę węzłów. Już wiem, że kiedy trzeba wciągnąć ranną osobę do namiotu, a boimy się ją ruszyć, by bardziej nie zaszkodzić, musimy rozciąć dno namiotu i ustawić go nad rannym nieszczęśnikiem. Antarktyda to niebezpieczne miejsce. Kiedy rozglądamy się jak teraz, można by pomyśleć, że stoję na szerokiej śnieżnej równinie; tymczasem stoję na spękanym lodzie, pokrytym głębokimi szczelinami, pod którym płynie Ocean Antarktyczny.

Kapitan Cook, jeden z największych w historii mistrzów feng shui, opłynął Ocean Antarktyczny w latach 70-ych XVIII wieku, próbując dotrzeć jak najdalej na południe. Jego drewniane żaglowce wpadły na spiętrzony lód na siedemdziesiątym stopniu szerokości geograficznej południowej i jak okiem sięgnąć na południe, wszędzie rozciągał się lód. Przy ówczesnej technice nie mogli płynąć dalej. Później Cook napisał: "Mogę śmiało orzec, że nikt nie odważy się zapuścić dalej niż ja, i lądy, które jakoby leżą na południu, nigdy nie zostaną zbadane".

Nam wydaje się to dziwaczne, krótkowzroczne, a nawet głupie. Lecz musimy pamiętać, że autor owych słów był wyjątkowo inteligentny i zdolny, osiągnął też w życiu więcej niż ktokolwiek z nas. Jego krótkowzroczność, wynikająca z cytowanego stwierdzenia, nie jest więc jego osobistą cechą, ale jest charakterystyczna dla całego wieku. Cook żył bowiem tuż przed wielkim przyspieszeniem wieku przemysłu; wobec nadchodzącej rewolucji jego czasy są jak niskie pagórki przy górach tak strzelistych, że nie sposób odgadnąć, dokąd sięgają ich wierzchołki. Radykalny skrót perspektywiczny kao-yuan.

Cook żeglował statkami wykonanymi z drewna, ze względu na materiał przypominającymi te, którymi pływano w ciągu poprzednich dwustu lat; tylko ze względu na ulepszony projekt lepiej nadawały się do żeglugi, a Cook słusznie ocenił, że owe ulepszenia, będące wynikiem ciężkich doświadczeń ludzkich w ciągu wieków, poszły najdalej, na ile pozwalał rodzaj materiału. Dlatego nie mógł przewidzieć ogromnych zmian, które wkrótce miały nadejść w pędzących naprzód dekadach rozwoju przemysłu.

Jednak my nie mamy takiego usprawiedliwienia jak Cook. Mieszkamy na szczycie tych niebotycznych gór, w kulturze ulegającej tak szybkim przemianom, że trudno je nawet określić. Spoglądamy wstecz na dwa wieki nieustannego przyspieszania, które doprowadziło do obecnych niestabilnych czasów, powinniśmy więc umieć przewidzieć, że to samo będzie się działo po nas. Kto może zaprzeczyć, że przyszłość rychło nie stanie się zupełnie inna niż nasza współczesność, że nie stanie się jednym z niezliczonych możliwych światów?

Mimo to, ogólnie rzecz biorąc myślę, że poczynamy sobie niewiele lepiej od kapitana Cooka. Przyjmujemy założenie, iż panujące dziś warunki są trwałe. A co roku zmieniane są prawa i nawet lodowiec, na którym stoję, będący tu od trzech milionów lat, topi się. Nawet skały topią się w miarę upływu czasu. Chwila jest jak ważka, która zawisła nad kwiatem brzoskwini; potem odlatuje i znika.

Spójrzcie na ocean, gdzie teraz rozbito obóz. Biały ogrom; nic więcej nie można o nim

powiedzieć. W tle stoi Erebus, jak wszechwładne bóstwo.

Zanim zaczniesz czytać krajobraz, musi się on stać najgłębszą częścią twego serca. Kiedy przyjechałem na Antarktydę pierwszy raz jako dumny młodzieniec, zobaczyłem ten łąd i oszołomił mnie; nie mogłem go odmalować w swoich wierszach. Nie pojawiały się żadne skojarzenia. Tak jak powiedział brytyjski odkrywca Cherry-Garrard: "Ta podróż pokazała ubóstwo naszego języka".

Dopiero później, kiedy o tym śniłem, pokochałem ten łąd. Słowa, które odnalazłem, by go opisać, były najstarsze i łączyły się w najprostszy sposób.

Niebieskie niebo; biały śnieg. To wszystko, co język może powiedzieć o tym miejscu; reszta to komentarze i ludzka fantazja.

Wróciłem na Antarktydę i zwracam się do tych z was, którzy zechcieli towarzyszyć mi w podróży, oglądając i słuchając mnie w Chinach, czy gdziekolwiek indziej: witam was, ponieważ po tylu latach, mając w sercu te opowieści, wreszcie jestem gotów filmować łąd, który widzę i mówić wam o nim, przyjaciele; nie odtwarzać efekty światła, ale czerpać światło z samego źródła.

Dla ludzi Scotta podczas ich pierwszego pobytu w roku 1902 ta krawędź lodowca szelfowego była najbardziej na południe wysuniętym łądem, na jakim stanęła ludzka stopa i nikt nie wiedział, co leży dalej za horyzontem. Poza tym, że wiedziano, iż leży tam biegun południowy, przez który biegnie oś obrotu Ziemi. Na Wyspie Rossa byli od niego oddaleni o tysiąc dwieście kilometrów - tak wynikało z obliczeń - lecz nie mieli pojęcia, jak wygląda dzielący ich odeń łąd; czy zachodnie góry ciągną się cały czas na południe, blokując im drogę jak ogromny mur, czy też za ich barierą znajduje się wielki lodowy płaskowyż strzegący bieguna, co by mogły sugerować wyniki krótkich wypraw w góry. Mogli się tylko dowiedzieć, próbując tam iść. Przypominało to próby zdobycia bieguna północnego i poszukiwanie zachodniej drogi do Indii, które zdominowały brytyjską kulturę od czasów elżbietańskich. Dopóki Anglia była morską potęgą i mocarstwem, wysyłała dzielnych mężczyzn, by badali polarne krańce Ziemi, najpierw północny a teraz, uzbrojonych w najnowsze wynalazki - puszkowaną żywność i wzmocnione stalą parowce - na otaczającą południowy kraniec lodową płytę, o której Cook powiedział, że nigdy nikt jej nie pokona, gdzie potrafili urządzić dobrą bazę najbliższej celu jak mogli, na Wyspie Rossa. Na południe rozciągała się gładka, biała przestrzeń lodu. Musieli się więc z nią zmierzyć.

Na pierwszą podróż na południe Scott zabrał swego zaufanego przyjaciela, Edwarda "Billa" Wilsona i Ernesta Shackletona. Wybrał Shackletona ze względu na jego siłę fizyczną, zapał, odwagę i wolę zdobycia tego łądu.

Śnieg na lodowcu szelfowym okazał się jednak miękki i sanie ciągnęło się po nim jak po piasku: bardzo wolno i bardzo ciężko. Shackleton miał wadę serca, którą przez całe życie ukrywał i w surowych warunkach forsownego marszu na południe, podczas którego pokonywali pięć mil dziennie, już po czternastu dniach mozolnego ciągnięcia sań zapadł na szkorbut, dużo wcześniej niż jego dwaj towarzysze.

Po kilku dniach od rozpoczęcia marszu, po wolnym tempie zorientowali się, że nie zdołają dotrzeć do bieguna, więc dalsza droga na południe straciła swój wielki, pierwotny cel, chociaż starali się do utraty sił. To ich rozdrażniło. Nie zeszli nawet z lodowca, docierając tylko do wywołanych działaniem fal pęknięć, które oddzielały lód od brzegu. Potwierdzili swoje wcześniejsze Przypuszczenia, że zachodnie pasmo gór rozciąga się daleko na południe i Przecina każdy szlak, jaki mógł prowadzić z Wyspy Rossa na biegun; odkrycie nie najlepiej wróżące i zniechęcające, ale jedyne, jakiego udało im się dokonać, zanim zostali zmuszeni do powrotu.

A jednak Scott zwlekał prawie do ostatniej chwili. To on miał rzucić hasło do powrotu i mimo ostrzeżeń Wilsona jeszcze na początku grudnia, że Shackleton dostał szkorbutu, a im też niewiele

brakuje do choroby, Scott parł naprzód aż do pierwszego dnia po Nowym Roku. Od tej chwili walczyli o to, by ująć z życiem i wrócić na Wyspę Rossa. W drodze powrotnej skorbut pokonał Shackletona, który już nie dał rady ciągnąć sań; mógł ledwie iść na nartach obok nich, co i tak kosztowało go niewyobrażalną cenę - wreszcie po kilku dniach musiał się położyć na saniach i pozwolić, by ciągnęli go towarzysze.

Scott, nie wiedząc o jego wadzie serca, nie miał dla niego współczucia.

Shackleton był młodszy i na Wyspie Rossa aż tryskał energią; Scott uznał jego załamanie za skutek moralnej słabości, a ponieważ z tego powodu zagrożone było ich życie i tym samym reputacja Scotta jako doświadczonego podróżnika, przywódca wyprawy wściekł się. Wygłaszał pogardliwe uwagi o "bagażu" w zasięgu uszu Shackletona tak często, że Wilson musiał go odciągać na bok, kładąc, by przestał.

W końcu Scott i Shackleton otwarcie stanęli przeciw sobie. Gdy Shackleton i Wilson pakowali sanie, Scott krzyknął do nich: "Chodź tu, przeklęty głupcze!" Wilson zapytał: "Mówiłeś do mnie?" Na co Scott odparł: "Nie".

Wtedy odezwał się Shackleton: "W takim razie chodzi o mnie. Ale to ty jesteś największym głupcem wśród nas i jeśli jeszcze raz odezwiesz się do mnie w taki sposób, odpłacę się tym samym".

W ekspedycji Brytyjskiej Marynarki Shackleton był oficerem pod komendą Scotta. Jego oświadczenie nosiło więc znamiona buntu. Wilson musiał ich długo uspokajać i ponaglać do drogi. Ten incydent był dla nich tak bolesny, że nie ma o nim nic w dziennikach, które wszyscy trzej pisali podczas ekspedycji; taka wzmianka mogła być niebezpieczna. Skąd więc o tym wiemy? Ponieważ Wilson, powiernik wszystkich uczestników wyprawy, sam poczuł potrzebę opowiedzenia o tej historii i w jakiś czas potem zrelacjonował ją geologowi Armitage'owi. Później Armitage zapisał to, co usłyszał. Nie sposób dziś stwierdzić, jak wierna jest relacja Armitage'a i samego Wilsona. Wiemy jednak na pewno, że zanim grupa przedarła się przez lodowiec i wróciła do chaty, Scott i Shackleton byli już śmiertelnymi wrogami. Nie mogli się nawzajem znieść. Wykorzystując swoją komendę, Scott zwolnił Shackletona ze służby na Antarktydzie, wysyłając go do domu statkiem, który przywiózł im zapasy po roku spędzonym na białym lądzie. Reszta ludzi pozostała na kolejny rok, podejmując więcej wycieczek z saniami i sprawdzając nowe szlaki.

I tak Shackleton postanowił, że jeszcze tu wróci.

Val i Wade zostali podwiezieni pickupem do lądowiska helikopterów, chociaż od hotelu Kalifornia dzieliło ich tylko dwieście jardów, a cały bagaż, który mieli ze sobą idąc do obozu S-375 w dolinie Barwick składał się z dwóch plecaków. Kiedy stali, czekając aż obsługa da im sygnał wejścia na pokład, Val przyglądała się Wade'owi, który z zaciekawieniem obserwował okolicę, obojętnie słuchając nieprzekonujących objaśnień o zabezpieczeniach podczas lotu, o których informował człowiek od ładunku; w zasadzie był to tylko hełm, mogący chronić niewiele lepiej niż kask rowerowy i służył przede wszystkim do porozumiewania się w kabinie. Ale Wade nie uśmiechał się z wyższością, nie przewracał oczami ani nie bladł z przerażenia; zważywszy na rodzaj jego pracy, z pewnością nieraz już latał helikopterem. Wspiął się do kabiny na siedzenia dla pasażerów i zasiadł jak na tronie na odrobinę podwyższonym miejscu tuż za fotelami pilotów. Val usiadła za nim i widziała już tylko tył jego głowy, a właściwie hełmu; ale gdy startowali, zobaczyła, jak spogląda w dół na McMurdo, potem na Erebusa, a później na lód skuwający powierzchnię Cieśniny McMurdo, nad którym leciał śmigłowiec. Dwa razy zadawał jej pytania, najpierw o pokiereszowany lód; Val wyjaśniła, że to żwir przyniesiony z wiatrem z Czarnej Wyspy opadł na lód i wtopił się, tak że powstały koszmarnie, ciemnoszare miejsca pełne dziur, których nie sposób było pokonać żadnym pojazdem ani pieszo; drugie pytanie dotyczyło wielkich, zielonkawych, stołowych

gór lodowych, które wystawały z lodowego morza; Val wytłumaczyła, że są to kawałki Lodowca Szelfowego Rossa, oderwane jeszcze zeszłego lata i dryfujące w stronę morza. Lodowe morze było usiane takimi blokami, mimo że lodowiec szelfowy między Szafasem a Białą Wyspą nie pękał wcale szybciej niż u szerokiego czoła, na wchód od Wyspy Rossa. Wade skinął głową na znak, że ponad rykiem silnika usłyszał jej wyjaśnienia i nic więcej. Żadnych zdradzających zainteresowanie komentarzy, żadnych dalszych pytań.

Lecieli nad lodowcem piedmontowym, leżącym wzdłuż brzegu, potem między masywami gór Newell i Doorly, ostatnich szczytów w łańcuchach Asgaard i Olympus. Później znaleźli się w dolinie o gładkich ścianach pomiędzy tymi pasmami gór; była to dolina Wright, jedna z największych i najbardziej znana spośród Suchych Dolin. Drugi pilot powiedział:

- Niedługo zaczną je nazywać Mokrymi Dolinami, widzi pan, ile ostatnio leży tu śniegu? Latem stopnieje i popłynie do rzeki Onyx, to tamta biała nitka, która wpada do jeziora Vanda.

Leżało ono kilka stóp wyżej niż w poprzednich latach; jego błękitną, spękaną powierzchnię otaczał szeroki pierścień bielszego lodu. Drugi pilot wpadł w ton przewodnika wycieczek i zwracając się do ciągle milczącego Wade'a, zaczął podawać nazwy szczytów, które mijali i lodowców spływających spomiędzy gór masywu Asgaard po lewej. Wade kręcił głową we wszystkie strony, by móc szybko podążać wzrokiem. Po chwili drugi pilot przerwał gawędę i powiedział Val, że znad stawu Don Juan zabierają dwóch naukowców, zanim ich dowiozą na umówione miejsce. Helikopter skręcił w lewo nad samotnym płaskim wzniesieniem zwanym Podium, poleciał jedną z bocznych dolin i siadł obok stawu Don Juan, który był mały, płytki, brązowy i niezamarznięty. Powierzchni nie pokrywał lód, bo, jak powiedział pilot Wade'owi, woda w stawie była za słona, by zamarznąć. Nie spotkali naukowców, których mieli stąd zabrać, wyłączyli więc silnik, wysiedli i poszli na spacer wąską brązową doliną. Ziemię wokół stawu otaczała biała skorupa kryształków soli. Wade od razu wszedł na środek stawu, który wszędzie miał nie więcej niż kilka cali głębokości. Val podążyła za nim po części dlatego, by nie wszedł w żadne zagłębienie.

- Dlaczego ta woda nie zamarza? - Wszystkiemu ciekawie się przyglądał, jak gdyby był w galerii sztuki i oglądał dzieło artysty, któremu nie bardzo ufał.

- Za słona.

- Naprawdę? - Sięgnął w dół i nabrał w dłoń wody - idealnie czystej i przezroczystej, nieróżniącej się niczym od zwykłej wody - i zanim Val zdążyła się odezwać, przyłożył rękę do ust i napił się.

Natychmiast wypluł, prychnąwszy jak z fontanny.

- Khh! - zakrztusił się; twarz mu poczerwieniała, kaszlał i co chwilę spluwał.

Val odpięła od pasa butelkę z wodą, otworzyła i podała mu.

- Może się napijesz?

Skinął głową, wciąż kaszłąc. Wskazał dłonią staw:

- To trucizna? - wycharczał wreszcie.

- Nie, po prostu słona woda.

- Kurczę. - Napił się i splunął, znowu łyk i splunięcie. - Naprawdę słona. Jak elektrolit w akumulatorze.

- Wiem. Kiedyś kropla kapnęła mi na język.

Kiwnął głową, znowu spluwając.

- Jedna kropla to jeszcze. Nie miałem pojęcia.

Na kamienistym lodowcu ponad stawem pojawili się oczekiwani naukowcy i po chwili zeszli do helikoptera. Przywitali się i przeprosili za zwłokę.

- Nic się nie stało - powiedziała Val. - Przynajmniej Wade miał okazję napić się wody.

Wade posłał jej przelotne spojrzenie, a ona w odpowiedzi uśmiechnęła się. Naukowcy popatrzyli na niego zdumieni.

- I jak smakowała? - zapytał jeden z nich.

- Słona - potwierdził Wade. Ciągle jeszcze się krzywił.

- No, myślę - powiedział drugi, kiedy wsiadali do śmigłowca. - W tej wodzie jest sto dwadzieścia sześć gramów soli na litr. Dla porównania w wodzie morskiej jest trzy i siedem dziesiątych grama.

- Wydawało mi się, że chyba było więcej - rzekł Wade.

- To działa jak termometr do temperatur minimalnych. Staw nie zamarza, dopóki woda nie osiągnie minus pięćdziesięciu czterech stopni, a jeżeli już osiągnie, lód składa się z czystej wody i nie topi się, dopóki temperatura nie wzrośnie powyżej zera. Kiedy przychodzimy tu wiosną, możemy stwierdzić, czy zimą temperatura spadła poniżej minus pięćdziesięciu czterech.

Ostatnio prawie już nie spada.

Zapięli pasy, śmigło poszło w ruch i znów wzbili się w powietrze z hukiem silnika, kierując się w górę doliny stawu Don Juan zamiast w dół. Drugi pilot wyjaśnił, że chcieli przelecieć nad Labiryntem. Wade zapytał, co to takiego i jeden z naukowców wytłumaczył mu, że poplątane linie kanionów, które mieli teraz pod sobą, były prawdopodobnie efektem działania strumieni wypływających spod dużego lodowca.

- Widzi pan, lodowiec jeszcze tu jest, choć już mniejszy.

Potem znaleźli się nad Górnym Lodowcem Wright, szeroką i gładką przestrzenią niebieskawego lodu, przykrywającą czoło doliny - olbrzymiego kanionu, którego ściany stanowiły wielkie, zryte półkola klifu. Wszystkie ściany i występy rzeźbionej skarpy składały się z naprzemiennie ułożonych ciemnych i jasnych warstw, jak w torcie czekoladowo-waniliowym. Ten sam naukowiec objaśnił, że były to warstwy jasnego piaskowca i ciemnego dolerytu; doleryt jako twardszy ułożył się prawie pionowo, a miękki piaskowiec w nachylonych pod kątem warstwach. Ponad klifem wznosił się lód wielkiego Płaskowyzu Polarnego, rozciągającego się aż po południowy horyzont; w jednym miejscu przelewał się na skały, jak wodospad Niagara, który w jednej sekundzie zamarzł i znieruchomiał. Drugi pilot powiedział, że był to Lodospad Airdevronsix, nazwany tak na cześć dywizjonu śmigłowców Marynarki, który go odkrył. Pilot zawiesił helikopter tuż obok lodospadu, by mogli z wysokości paruset stóp patrzeć na otwory w lodzie, gdzie było widać warstwy skał; potem śmigłowiec pomknął w górę, nad klif, gdzie biały płaskowyzu biegł aż po horyzont.

Roztaczał się niesamowity widok, do którego Val nie mogła się przyzwyczaić. Była to oczywiście główna atrakcja wycieczek do Suchych Dolin, więc widziała owo miejsce już mnóstwo razy. Gdyby było ono tam, w świecie, na pewno zyskałoby podobną sławę jak Dolina Pomników, Yosemite albo Matterhorn - banał, widziano to przecież setki razy na filmach i w reklamówkach. Lecz tu, mimo coraz szerzej płynącego strumienia turystów, wciąż pozostawało najmniej znanym z największych cudów natury. Tym większych dostarczało emocji, przynajmniej Val. Jedna ze wspaniałości Lodowej Planety.

Istotnie, Wade też wychylał się do przodu nad ramionami pilotów, chcąc zobaczyć więcej, głowa latała mu w lewo i prawo, jak u marionetki. Ale nie skorzystał z interkomu, by podzielić się wrażeniami z innymi, tak jak robiło to wielu turystów, wydawali okrzyki zachwytu co najmniej pięćdziesiąt razy podczas lotu; nie fotografował bez opamiętania, jak niektórzy, tak zaabsorbowani rolkami, kłatkami, że przestawali już widzieć świat wokół siebie. Wprost przeciwnie, widok za szybko pochłaniał Wade'a bez reszty. Lecz może tak wypadało; już przy pierwszym spotkaniu Val

uznała go za typowego polityka z Waszyngtonu, którego nic nie obchodzi lodowy świat. Jednak spodobało się jej, że Antarktyda wywarła na nim takie wrażenie. I próbował napić się ze stawu Don Juan!

Piloci mogli skierować maszynę ponad szczyty łańcucha Olympus i najprostszą drogą dotrzeć do miejsca przeznaczenia, ale ponieważ był to teren szczególnego zainteresowania nauki oraz stanowił strefę zakazaną dla lotów, cała okolica dolin Balham i McKelvey, pasma Insel (jeszcze jeden wyniesiony między dolinami łańcuch) oraz doliny Barwick była niedostępna dla badań naukowych, helikopterów i wycieczek turystycznych. Zakaz miał na celu niedopuszczenie do zanieczyszczenia części Suchych Dolin, mającej być punktem odniesienia dla innych dolin, poddawanych intensywnym badaniom i zanieczyszczonej. Zespół, który zamierzali odwiedzić, musiał przedstawić argumenty nie do podważenia, by pozwolono mu rozbić na kilka tygodni pboz w dolinie Barwick. Poza tym Wade i Val mogli tam wejść tylko z minimalną ilością sprzętu.

Tak więc śmigłowiec poleciał z powrotem wzdłuż doliny Wright, nad turkusowo-lazurową taflą jeziora Vanda i białą linią rzeki Onyx, a potem w górę przez wietrzny wąwóz Przełęcz Buli, wiszącą dolinę, która łączyła Wright z doliną McKelvey. Później znaleźli się nad gołym dnem doliny Victoria i wylądowali na piaszczystych wydmach nad doliną jeziora Vida. Było to kolejne zamrożone jezioro, jakby wciśnięte między góry na wysokości dwudziestu pięciu tysięcy stóp; w rzeczywistości byli niewiele wyżej niż tysiąc stóp nad poziomem morza. Ale tu szerokość geograficzna miała podobny wpływ na krajobraz jak wysokość gdzie indziej. Val i Wade wysiedli z helikoptera i skuleni uciekli spod obracających się łopatek głównego śmigła, po czym wyprostowani stanęli na czymś, co wyglądało jak płaskowyż tybetański czy wręcz powierzchnia Księżyca.

Jaskrawoczerwony śmigłowiec wzbił się w niebo z hukiem i szybko zniknął w Przełęcz Buli. Hałas silnika oddalał się znacznie wolniej, aż w końcu zostali sami wśród gwizdającego w skałach wiatru, gdzie mimo to panowała cisza, choć wciąż jeszcze dudniło im w uszach. Dolina wyglądała jak odcięta od - od wszystkiego. Wade rozglądał się oszołomiony.

- Ładnie tu, prawda? - odezwała się rutynowo Val, jak gdyby zwracała się do turysty.

- Chyba bym użył innego słowa.

Mieli ze sobą niezbędne minimum sprzętu, a plecak Wade'a był wyjątkowo lekki; Val zadbała, żeby ważył mniej więcej piętnaście kilogramów.

Mimo to, zarzucając go na plecy, mruknął z niezadowoleniem, robiąc uwagę na temat ładunku.

- Kiedy zaczęłam tu pracować - powiedziała Val - osobisty ekwipunek ważył około stu funtów i był za duży, żeby go nosić. Dlatego rano do lądowiska zawiózł nas samochód; jeszcze się nie przyzwyczaili, że sam możesz udźwignąć bagaż.

- Hmm - mruknął Wade, nie do końca przekonany o słuszności tej opinii.

Val włożyła plecak (niosła około dwudziestu pięciu kilogramów) i ruszyła. Po kilku minutach marszu doliną Victoria wskazała wystający nad doliną Barwick Mount Insel.

- Są tam, pod lodowcem na początku doliny.

Wade spojrział we wskazanym kierunku i kiwnął głową.

- Zdamy na kolację.

Val roześmiała się i Wade stanął, zsuwając ciemne okulary na czubek nosa, by przyjrzeć się dokładniej.

- Będziemy później?

- Później. To prawie dwadzieścia pięć kilometrów.

- O rany. Myślałem, że najwyżej pięć.

- To się tu często zdarza. Nie ma żadnych drzew ani budynków, żeby mieć poczucie odległości,

a góry są bardzo wysokie. Powietrze jest czystsze niż gdzie indziej.

- Oczywiście.

Szli obok siebie, ponieważ na piasku i kamieniach nie było jednego łatwiejszego szlaku.

- Ludzie często się tu myślą, oceniając perspektywę - powiedziała Val. I biorą skuter śnieżny za górę, a paczkę papierosów za budynek. Albo odwrotnie.

- Mnie wszystko wydaje się duże.

- Ale wydawało ci się, że mamy do obozu tylko kawałek.

- Zgadza się.

Popołudnie minęło na pokonywaniu niskich wzniesień skalnych. Chociaż droga przed nimi wydawała się niemal równa, spotykali tylko wzniesienia i spadki - dwadzieścia stóp w górę, trzydzieści w dół siodła, przecinającego jeszcze głębszą misę - czterdzieści stóp w górę, by wydostać się z misy, potem dwadzieścia w dół, później strome stopnie w górę - i tak bez końca.

Przez nierówności i niewygodne kamienie przykrywające dno doliny szło się bardzo ciężko. Lecz Val zauważyła, że Wade prześlizgiwał się po nich jak tancerz, drobnymi i zręcznymi krokami; nie słyszała, żeby narzekał, utrzymywał też dobre tempo. Bardzo lubiła taki styl marszu, lecz zwykle chodziła po dolinach, prowadząc mniej więcej dwudziestoosobowe grupy turystów, spośród których zawsze ktoś zostawał z tyłu, potykał się, uskarżał na pęcherze i trzeba się nim było zajmować. Dlatego też bardzo jej się podobało to spokojne popołudnie; po kilku godzinach zaproponowała postój na przygotowanie czegoś do zjedzenia.

Między dwoma głazami znalazła zaciszny, nasłoneczniony kącik, usiadła i wyciągnęła torbę z prowiantem oraz maszynkę. Wade, siedzący obok, przyglądał się, jak gotuje zupę. Wskazała na jego plecak.

- Masz w termosie gorącą czekoladę.

Poczęstował się, ale nie zjadł dużo zupy ani mieszanki miisli. Apetyt nie bardzo mu dopisywał, jak często zdarzało się początkującym wędrowcom po Antarktydzie. Val pomyślała, że zanim dojdą do jezior Hourglass, będzie głodny jak wilk. Choć nie był specjalnie rostry. Jednak marsz w zimnym powietrzu wymagał spalania mnóstwa kalorii.

- A więc to jest ta zakazana ziemia - rzekł, kiedy dziewczyna posprzątała i spakowała plecak.

- Tak. Przyjemnie mocją zobaczyć.

- Pewnie robią coś bardzo ważnego, skoro pozwolono im tu przyjechać.

- Tak. Słyszałam, że to kontrowersyjna sprawa.

- Wpuszczenie ich tutaj?

- Też, ale w ogóle ich praca. Jeżeli mają rację, to lodowce mogą być dość wrażliwe na zmiany klimatyczne, jakie teraz mamy. Chodzi mniej więcej o coś takiego. Sam ich będziesz musiał zapytać.

Szli, aż nadszedł wieczór. Wade zwolnił kroku i od czasu do czasu potykał się, co świadczyło o jego zmęczeniu. Ale nie skarżył się ani nie prosił o postój. Zaimponował Val; był całkiem niezły jak na wąskiego chłopaka z miasta. Miała już pod opieką wielu turystów, którzy z entuzjazmem wyruszali w góry i nie radzili sobie nawet w połowie tak dobrze jak on.

Weszli na szczyt niskiej nadkruszonej ściany skalnej, którą mróz uformował w kształt wielokątnej wysadziny, kiedy nieoczekiwanie zza rudawej skały wyłoniła się biała, pochylona czapa lodowca, wypełniającego początek doliny.

- Już prawie jesteśmy - powiedział Wade.

- Tak naprawdę mamy jeszcze kilka godzin drogi - odparła Val. - Chcesz rozbić obóz na noc?

- Nie. Chyba wytrzymam.

- Dobra. To może jeszcze jedną kolację?

- Może być.

Tym razem spałaszował prawie cały garnek gulaszu. Szybko się zaadaptował, pomyślała Val, przepakowując rzeczy.

Obóz S-375 składał się z czterech małych, kolorowych namiotów igloo, ustawionych wokół dwóch namiotów Scotta - wysokich, czworobocznych piramid z grubego brezentu - które w przytłumionym świetle zmierzchu wyglądały dość archaicznie; jeden rozświetlał od wewnątrz żółty blask, a przez okrągły komin na górze umykały smużki pary. Kiedy do niego podchodzili, Val zawołała:

- Hej tam, w obozie!

Czekali na nich, więc z wnętrza odezwały się głosy, nawołujące bez zdziwienia:

- Wchodźcie, wchodźcie! Ale najpierw zdejmijcie buty, bo będzie tłoczno!

Rzeczywiście było. Nawet bez butów, w swoich grubych skafandrach zajmowali dużo miejsca, lecz ludzie przesunęli się, wciągając ich do środka; Wade wcisnął się w kąt, a Val wpadła między Misze, przewodnika grupy i maszynkę Colemana. Pod wielkimi garami wody paliły się obydwie palniki i poczuła miły dotyk gorąca na ciele. Wade'a pewnie zgniotą w tym rogu, zgiętego wpół jak krawca biorącego miarę z klienta, ale to będzie jego pierwsza lekcja ergonomii w namiocie Scotta. Zdaniem Val, jedną z przyczyn tragedii ekspedycji Scotta stanowił fakt, że namiot, który ze sobą mieli, był pomyślany jako schronienie dla czterech osób plus kuchenka, a nie pięciu. Ten, w którym się teraz znajdowali, wydawał się większy, ale i tak sześć osób nie mogło się w nim wygodnie pomieścić; w środku było tłoczno i duszno, wręcz gorąco; mimo to po wyjściu z ciemnej i chłodnej doliny, stał się bardzo miłym schronieniem.

- Zostawcie drzwi odrobinę uchylone - powiedział mężczyzna po drugiej stronie pieca. Miał brodę i wydawał się co najmniej dwadzieścia lat starszy od pozostałych ludzi w namiocie; bez wątpienia był to człowiek, z którym chciał się widzieć Wade: dr Geoffrey Michelson, brytyjski weteran, od czterdziestu lat badający geologię Antarktydy i uczący jej w Stanach mniej więcej tak samo długo. Przedstawiono pozostałych: w skład zespołu Michelsona wchodzili jego młodszy kolega z Uniwersytetu Los Angeles, Harry Stanton, nowozelandzki glaciolog Graham Forbes oraz Misza Kaminski, z którym Val pracowała przy paru pamiętnych akcjach ratowniczych. Istna mieszanka różnych akcentów, na tle której Val po raz pierwszy usłyszała u Wade'a lekki akcent z Virginii, kiedy witał się ze wszystkimi. Oboje dostali po kubku drambuie*, tradycyjnego trunku Nowozelandczyków z Antarktydy, który z wdzięcznością przyjęli. Val okropnie bolały stopy i wyobrażała sobie, że Wade musi się czuć jeszcze gorzej, choć na nic nie narzekał. W ciągu całodniowej wędrówki przeszli prawie trzydzieści kilometrów.

- Dokąd się potem wybierasz? - zagadnął ją Misza.

- Śladami Amundsena - odrzekła.

- Chyba tropem psów Amundsena!

- Fakt, ale my jak zwykle pójdziemy z saniami.

- To czyste wariactwo. Ludzie przyjeżdżają z daleka, żeby ciągnąć sanki po lodzie przez miesiąc...

- Sześć tygodni.

- ... a mogliby wspinać się w Asgaardach czy gdziekolwiek indziej, w jakimś pięknym miejscu.

A wszystko dlatego, że ktoś tego dokonał sto lat temu.

- Wielbiciele historii - odezwał się Michelson.

- Zwyczajni idioci! Zakochani w wyobrażeniach, a nie w prawdziwych miejscach. - Misza był Australijczykiem, który wychował się w Szwajcarii, natomiast rodzice pochodzili z Polski. Jego

akcent był dziwną mieszanką australijsko-środkowoeuropejską.

- To wyprawa dla przyjemności - powiedziała Val, ale oni zaśmiali się tylko.

- A pan? - zwrócił się do Wade'a Michelson. - Co pana sprowadza do Miejsca Szczególnego Zainteresowania Nauki?

- Cóż - odparł Wade. - Przyjechałem przyjrzeć się między innymi sytuacji afrykańskich poszukiwaczy ropy, którzy tu szperają. Pracuję dla senatora Phila Chase'a z Kalifornii; on się tym zainteresował. Ciekawy jestem, jak...

jak realistyczne są oczekiwania ludzi szukających tu ropy.

* Drambuw - mieszanka szkockiej whisky z miodem i ziołami.

- To nie moja dziedzina - rzekł Michelson.

- Nie - przyznał Wade.

Val widziała, że gorączkowo się zastanawiał, jak pozyskać zaufanie starego człowieka.

- Ale Sylvia powiedziała mi, że wie pan o Górach Transantarktycznych więcej niż inni i zapewne będzie mi pan mógł coś powiedzieć o uwarunkowaniach geologicznych.

- Tak, znam góry, ale nie ma tam ropy. Zresztą gdzie indziej wiercą.

Z tego, co wiem, są na płaskowyżu polarnym.

- Owszem, ale niedaleko Transantarktycznych?

- Dwieście kilometrów.

- Myślałem, że przedstawi pan hipotezę - żebym mógł wiedzieć, co pan sądzi o prawdopodobieństwie występowania tu ropy. Twierdzi pan, że Antarktyda Wschodnia była kiedyś pozbawiona pokrywy lodowej, prawda?

- Zajmujemy się badaniem pliocenu, okresu sprzed trzech milionów lat.

Ropa, jeżeli w ogóle występuje, musiała powstać kilkaset milionów lat wcześniej.

- Więc wtedy było tu cieplej?

- Rzeczywiście, ale wówczas Antarktyda nie leżała na biegunie, tylko bliżej równika. Była częścią Gondwany.

- Ach, tak!

Val zorientowała się, że Wade wiedział, iż Michelson się z nim bawi.

Lecz zachowywał spokój, przyjmując zasady gry. Szybka orientacja była przecież niezbędną umiejętnością w jego pracy.

- A więc złoża ropy mogły się utworzyć, kiedy ląd był bliżej równika?

- Prawdopodobnie. Prawie na pewno W części Gór Księcia Karola na samej powierzchni widać złoża węgla.

- Wielkie złoża - wtrącił Misza.

- Czyli ropa jest wielce prawdopodobna. Na przykład w Basenie Wilkesa, pod lądolodem po drugiej stronie Gór Transantarktycznych, całkiem możliwe.

- Czy tam prowadzi poszukiwania grupa z Południa?

- Jak dotąd nikt tam niczego nie szukał, bo zabrania tego Traktat Antarktyczny. Większość szacunków dotyczących ropy oparto na porównaniu kratonu Antarktydy i kontynentów, do których przylegała, gdy była częścią Gondwany oraz na analogiach. Ale przeprowadzono testy sejsmiczne, by ustalić inne rzeczy i niewątpliwie niektóre z nich mogły dać pewne wskazówki, gdzie trzeba szukać bardziej intensywnie.

- Jak pan sądzi, dlaczego zaczęli szukać właśnie teraz?

Kąciki ust Michelsona uniosły się pod wąsem w lekkim uśmiechu.

- To pan nam chyba wytłumaczy.

- Chcą ropy - rzekł Misza, wzbudzając wesołość pozostałych.

Wade skinął głową z uśmiechem.

- Czyli może być ropa.

- Raczej tak. Nie sądzę, by już wiedzieli gdzie.

- Ale nie można stwierdzić, że to... niemożliwe?

- Nie, nie. Złoża węgla i położenie kontynentu w triasie dowodzą, że prawdopodobieństwo jest dużo wyższe niż pięćdziesiąt procent.

- A jak będzie z wydobyciem spod lodu?

- Chyba podobnie jak z wydobyciem na oceanie.

- Z tą różnicą, że lód jest w ruchu - powiedział Graham. Zmywał naczy-f nia w dużej misce z parującą wodą i przysłuchiwał się rozmowie; nie chciał się wtrącać aż do chwili, gdy stwierdził, że przeoczyli pewien szczegół, dlatego się odezwał.

- To prawda. Wywiercone przez nich otwory z czasem zmieniają styl w wąskie szczeliny. Albo będą wiercić w bardziej stabilnych częściach lądolodu.

- Pod osłoną nunataków - podsunął Graham.

- Jak zamierzają transportować stąd ropę? - zapytał Wade.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

- Rurociągiem? - rzekł Michelson.

- Będzie więc niebezpieczeństwo rozlania.

- Tak. Podobnie jak na Alasce. Co zresztą nikogo nie powstrzymało, o ile sobie przypominam.

- Nie. Ale plama ropy na lodowym płaskowyżu...

- Będzie widać. Może jednak wykorzystają te nowe bakterie, które likwidują plamy na wodzie.

Zjadają ropę, zdychają i zdmuchuje je wiatr. Tak w każdym razie twierdzi kartel naftowy.

Michelson pochylił się, biorąc butelkę drambuie.

- Jeszcze trochę drambersa! Mieliście długą drogę. Może chcecie coś przekąsić? Batonika czekoladowego? - Wskazał pudło, w którym było ze sto pięćdziesiąt opakowanych batoników. - Krakersa?

- Dzięki, wystarczy drambers - powiedziała Val. Wade tylko skinął głową; potem spróbował krakersa.

- A może wywozić ropę statkami? - spytał.

- Tankowcami.

- To niebezpieczne?

- Każdego lata dowożą spory ładunek paliwa do McMurdo.

- Ale gdyby zdarzył się wypadek, taki jak na "Exxonie Valdezcie"...

- Paskudna sprawa. Kilkadziesiąt lat temu "Bania" zrzuciła duży ładunek ropy z półwyspu i minęły całe lata, zanim wybrzeże samo się oczyściło.

W końcu się jednak oczyściło. Jeśli się dobrze przyjrzeć, środowisko świetnie sobie radzi z ropą.

- I jeszcze te bakterie - rzekł Misza.

- Tak, bakterie.

Wade powiedział:

- Słyszeliśmy plotki, że nowa generacja tankowców to będą łodzie podwodne. Zdalnie sterowane łodzie podwodne, bez załogi.

- Pewnie to bezpieczniejsze niż pływanie po powierzchni, przynajmniej w tym oceanie.

- Pewnie bezpieczniejsze niż pływanie z marynarzami - zauważył Misza.

Wade skinął głową, bacznie im się przyglądając. W ciepłe namiotu Val poczuła ogarniającą ją senność, lecz Wade nie zdradzał żadnych oznak zmęczenia.

- A jak przebiega praca? - zapytał.

Geologowie spojrzeli po sobie.

- Porozmawiamy o tym jutro - zaproponował Michelson. - Jest już po północy, wszyscy są zmęczeni. Niech pan z nami pójdzie jutro w teren, to pokażemy panu, co porabiamy w tej głuszy. - I z nikłym uśmiechem upił łyk drambuie.

Była północ, a nad namiotem tkwiło oślepiające słońce i panował przejmujący ziąb. Z oczu Wade'a popłynęły łzy i łapiąc oddech po nagłym zetknięciu z zimnem, usiłował rękami w grubych rękawicach nałożyć na nos ciemne okulary. Na zeszywniałych nogach, które bolały przy każdym ruchu, poszedł za Val. Przyglądał się, jak wyciągała z plecaka namiot i słupki.

- Pomóż mi to ustawić - powiedziała. Kucnął więc i przytrzymał dół namiotu, podczas gdy ona przypinała go do prawdziwego labiryntu słupków.

- Ładny namiot - stwierdził, czując, że zaczyna się trząść. Zdaje się, że łzy zamarzały mu na policzkach.

- Niezły. W każdym razie lekki. Chociaż byle silniejszy wiatr z płaskowyzu może go rozszarpać na kawałki.

- Naprawdę?

- Pewnie. Byłam kiedyś w jednym, jak się rozpadał. Bardzo głośno.

Trzymaj, przywiąż to do kamieni. Do większych, nie do takich.

- Co wtedy zrobiłaś?

- Kiedy? No, zaraz potem mieliśmy helikopter. Ale zimno w nim było, metal wyciąga z człowieka całe ciepło. Innym razem mogliśmy uciec do namiotu Scotta, bo w pobliżu stało kilka.

- Są mocniejsze?

- O, tak. Pancerne, jeżeli je dobrze ustawić. Rzuć mi śpiwory.

Wade wyciągnął duże, ale lekkie śpiwory i cisnął w jej stronę, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że będą dzielić jeden namiot.

- Teraz maty.

-Co?

- Maty do spania. Są w długich, czerwonych workach.

- Ach, to. - Maty były równie lekkie. - Wszystko jest takie lekkie.

- Tak. Fantastyczne są te nowe aerozele. Masz, nadmuchaj.

- To materac na powietrze?

- Niezupełnie, ma konstrukcję podobną do thermarestu. Kombinacja powietrza i pianki, ale pianka jest niewiarygodnie lekka.

- A zwykły materac na powietrze nie byłby lżejszy?

- Może, ale są tak samo zimne jak helikoptery. Wydaje ci się, że śpisz wprost na gołej ziemi, a czasem jest jeszcze zimniej - bo ziemię można trochę nagrzać ciałem, a powietrze w materacu jest cały czas w ruchu i wyciąga z ciebie ciepło. Najbardziej zmarzłam na materacu, który kupił mi ojciec, kiedy byłam mała. Skończyło się tak, że spałam na samej poduszce. Dobra, gotowe. Możesz wejść.

- Chyba przedtem ostatni raz skorzystam z butelki.

- Dobry pomysł. Też to zrobię.

Wade myślał o tym przez chwilę, odchodząc parę kroków i próbując sikać; trochę przeszkadzały mu te obrazy i zimno. Aby zająć uwagę czymś innym, spojrzął na wielki biały lodowiec, spływający

ujściem doliny. Był środek nocy, a lodowa masa lśniła w słońcu jak przybysz z jakiegoś innego wymiaru.

Kiedy skończył, obejrzał podejrzliwie żółty płyn w butelce. Widocznie musiał się odwodnić. Wrócił do namiotu, ukląkł przed wejściem i wczołgał się do środka. Val leżała już w śpiworze; chyba całkowicie ubrana, nie licząc skafandra, który położyła na butach i służył jej za poduszkę. Wewnątrz namiotu było bardzo jasno; wszystko przybrało żółty odcień nylonu: niebieskie oczy Val wydawały się zielone, a jej blond włosy miały ten sam blask co lodowiec. Wade ściągnął buty, czując, jak biała guma wygina mu się w rękach.

Okazały się zadziwiająco wygodne podczas wędrówki i dość ciepłe. Było za zimno, żeby skarpety zaczęły wydzielać nieprzyjemny zapach; właściwie nic tu nie pachniało, poza jedzeniem z namiotu Scotta. Wsunął się do śpiwora i zamknął oczy. Z równym powodzeniem mógłby próbować zasnąć z twarzą sześć cali od zapalonych reflektorów samochodu.

- Jak można spać, kiedy jest tak jasno?

- Przyzwyczaisz się.

- Nikt tu nie używa tych czarnych maseczek, które nakładają ludzie w samolotach?

- Nigdy nikogo w takiej nie widziałam. Chociaż to niegłupi pomysł.

Zwłaszcza na śniegu albo lodzie. Wtedy jest jeszcze jaśniej niż tu.

Mówiła coraz bardziej sennym głosem. Chyba w ogóle nie przejmowała się tym, że leży w jednym namiocie z nieznanym mężczyzną. Robiła to pewnie tysiące razy. I już spała.

Zaraz potem Wade poszedł w jej ślady.

Obudził się i wciąż było jasno. Nie miał pojęcia, która może być godzina. Zerknął na zegarek: 7.04 rano. Val nie było w śpiworze, który leżał otwarty obok wejścia; widocznie przed chwilą go opuściła, bowiem na tkaninie widniał jeszcze zarys jej ciała.

Wyciągnął spod głowy buty i włożył je; potem skafander, bo bardzo szybko zrobiło mu się zimno. Z jękiem przesunął się do wyjścia i wczołgał na zewnątrz; był jasny, mroźny poranek. Słońce stało nad innym wzniesieniem, niewątpliwie nad wschodnią górą; w McMurdo zrezygnował z prób orientowania się w stronach świata, ale tutaj mogło to być łatwiejsze, gdyby został na dłużej w jednym miejscu. Musiał znów użyć swojej butelki, a na wzgórzu zauważył zbudowaną z kamieni ubikację, trochę dalej od białej powierzchni jeziora. Ponad górnymi kamieniami zobaczył jasne włosy. Odwrócił wzrok w stronę jeziora. Panowało przenikliwe zimno, ale kurtka dość dobrze przed nim chroniła. Poczuł, że jest głodny. Bardzo głodny.

Przyłączył się do grupy, która ponownie zebrała się w namiocie Scotta i pośpiesznie zajadała owsiankę, krakersy i czekoladowe batony, jak gdyby ludzie nagle zapragnęli możliwie najprędzej opuścić zatłoczony namiot, który jeszcze dwanaście godzin temu był miłym schronieniem. Po chwili wyszli na dwór, gdzie zaczęli pakować plecaki i na zmianę zajmowali kamienną latrynę.

- Mogę coś ponieść? - Wade zwrócił się do profesora Michelsona.

- Nie, dziękuję. Ale niech pan weźmie plecak - pomoże nam pan przynieść próbki.

Val i Misza poszli przodem, a naukowcy podążyli ich śladem w górę doliny. Widzieli ich przed sobą - przypominali dwie podskakujące na kamieniach czerwone kropki na tle białej masy lodowca.

Dlaczego Suche Doliny są suche? - spytał Wade idącego obok Michelsona.

- To nie do końca zrozumiałe. Zwykle uważa się, iż góry u szczytu dolin są tak wysokie, że blokują lód spływający z czaszy polarnej. W niektórych miejscach pojawia się lód, ale wiatry topią go, zanim zdąży spłynąć w dół doliny i dlatego widzi pan tu wiszące lodowce - pokazał przed siebie.

- Strome ściany to wynik ablacji. Są dość statyczne, przynajmniej od chwili ich odkrycia. Chociaż...

- Globalne ocieplenie?

- No, tak. Nie ma wątpliwości, że w ciągu ostatniego wieku klimat się ocieplił, głównie przez dwutlenek węgla emitowany do atmosfery.

Wade kiwnął energicznie głową, chcąc mu dać do zrozumienia, że wiedzą o tym nawet biurokraci w Waszyngtonie.

- Tak, tak - przyznał Michelson - wie pan o tym. Ale wpływ ocieplenia na Antarktydę nie jest jeszcze jasny. Z początku, jak pan widzi, ocieplenie powoduje zwiększone opady - śniegu, bo na deszcz jest tu za zimno.

Dlatego czasza lądolodu, lodowce i morze pływającego lodu powiększają się. Mamy więc jedną siłę. Suche Doliny mogą się znowu pokryć lodem, jak kiedyś, gdyby była to jedyna siła. W istocie śnieg, który tu pan widzi, o tej porze roku byłby czymś niezwykle trzydzieści lat temu. Dziś doliny są częściej zasypane śniegiem niż suche i nigdy nie przestają być srogate, jeśli wie pan, co mam na myśli. A to nie pomaga ludziom, którzy próbują je badać.

- A pękanie i obłamywanie lodowych szelfów?

- Okazało się, że są bardzo wrażliwe na nieznaczne podwyższenia temperatury. Przyczyną obłamywania jest ruch lodowców, temperatura i prądy w oceanie, tak przynajmniej ustaliliśmy. Kiedy oberwane fragmenty lodu odpływają na północ, lód schodzący z czaszy polarnej nie natrafia na żadną przeszkodę, mogącą zwalniać jego obsuwanie i stąd te olbrzymie lodowe jezory, które widzimy, strumienie lodu i lodowce, a nawet lekkie zapadanie lądolodu, jeżeli wyniki badań ludzi z Ohio są poprawne. Jednak biorąc pod uwagę większą ilość śniegu, trudno przewidzieć ostateczny rezultat.

Wade ponownie skinął uprzejmie głową. Jego obowiązkiem było ustalenie płaszczyzny porozumienia z ekspertami, którzy objaśniali mu różne rzeczy; jeśli będzie za często kiwał głową, ekspert prawdopodobnie da za wygraną, ale przy braku jakiegokolwiek reakcji z jego strony, niektórzy zaczęli tłumaczyć wszystko. Michelson zdaje się należał do tej drugiej kategorii, więc Wade powiedział:

- Jeżeli jednak globalne ocieplenie sprawi, że tutejsza temperatura przez dłuższe okresy letnie będzie się utrzymywać powyżej zera?

- To wszystko zacznie się topić.

- Aha...

- Szelfów lodowych w zasadzie już nie ma, a strumienie lodowe, które w Antarktydzie Zachodniej bardziej przypominają lodowe rzeki, płyną coraz szybciej - więc zaczną się obrywać same płyty lodowe. Pokrywa zachodniej części Antarktydy leży sporo poniżej poziomu morza, więc ubywa jej bardzo szybko. Pokrywa na wschodzie jest znacznie większa i utrzyma się dłużej, ale im będzie cieplej, tym prędzej będzie się kurczyć, bez względu na ilość opadów śniegu. Jeżeli stopnieje wschodnia płyta, poziom morza podniesie się o sześćdziesiąt do siedemdziesięciu metrów.

- Wystarczające zagrożenie, żeby wszyscy zwrócili na nie uwagę?

- Tak, choć będzie to bardzo kłopotliwa sprawa. Jeżeli mamy poważnie podejść do problemu globalnego ocieplenia, wszystko trzeba zmienić. Emisja dwutlenku węgla musi spaść, konieczne jest, by społeczeństwa przemysłowe przestały używać paliw kopalnych - musielibyśmy zacząć zupełnie inaczej żyć. Łatwiej jest oczywiście znaleźć gdzieś naukowca, który ochoczo pojawi się przed komisją senacką i oświadczy, że nie ma czegoś takiego jak globalne ocieplenie, a jeżeli nawet jest, to nie stanowi aż tak poważnego problemu, albo że paliwa kopalne nie mają z tym nic wspólnego. Wówczas w majestacie prawa ogłosi się, że taki problem nie istnieje i wszyscy wrócą do swoich spraw.

- Ma pan na myśli profesora Warrena?

- Tak - rzekł Michelson, kiwając z uznaniem głową.

Istotnie, pojawienie się profesora Warrena przed Senacką Komisją Spraw Zagranicznych było powodem sporego poruszenia, o którym Wade doskonale wiedział, ponieważ odpowiadał za przygotowanie mowy senatora Phila Chase'a przeciw tezom profesora. Istniała możliwość, że Michelson wiedział o opozycji Chase'a wobec profesora renegata, na tle entuzjastycznego poparcia, którego komisja udzieliła opinii Warrena, i którą potem wykorzystano jako pretekst zablokowania wspólnego z Chinami wprowadzenia w życie układu o ograniczeniu emisji dwutlenku węgla. Trudno to było jednak stwierdzić; za osłoną brody, okularów i skórzanego ochraniacza na nos krył się prawdziwy wyraz twarzy Michelsona. Twarzy jak z obrazu Breughla. Lepiej nie przyjmować pochopnych założeń.

- Tutaj idziemy? - zapytał Wade, wskazując boczną dolinę, w którą skręcił Graham Forbes.

- Tak. Proszę iść za Grahamem. W stronę Szczytów Apokalipsy - dodał z cieniem satysfakcji.

Wspinaczka po stoku pokrytym ośnieżonymi kamieniami nie była łatwym zadaniem i Wade spociał się z wysiłku. Rozpiął skafander i pozwolił, by zimne powietrze trochę go ochłodziło. Niestety bez względu na to, jak ciepło było mu w korpus, uszy i nos wciąż miał zmarznięte.

Wspinając się wyżej, zobaczyli dalszą część wiszącej doliny. Jej środek zajmował lodowiec, sięgając niemal do zamrzniętych jezior na dnie doliny Barwick. Jeszcze trochę wyżej ujrzeli źródło lodowca: wielki lodowy jezior, który wysuwał się pomiędzy dwóch czarnych, skalistych szczytów. Dalej za jeżorem był już tylko biały świat. Brzeg lodowej czaszy polarnej, co potwierdził Michelson; dość lodu, by przykryć razem Stany Zjednoczone i Meksyk.

- Musi pan pamiętać, że Suche Doliny są niezwykłym miejscem. Szkoda by było, gdyby lód je pokonał. - Michelson wchodził lekkim, równym krokiem i wydawało się, że nie jest mu ani zimno, ani gorąco. - To Bezkształtna Góra. Za nią widać Błędny Szczyt. A tam Mount Bastion i Ostroga Gibsona. Wszystkie to są szczyty łańcucha Willieta, a czasza lodowca opiera się o jego południowe zbocza i wciska w przełęcz, jak tu.

- Podobają się panu te nazwy.

- Tak - odrzekł zaskoczony. - Rzeczywiście.

Zaprowadził Wade'a pod boczną ścianę lodowca - mieniący się kryształowo klif, który w jasnym świetle słonecznym wydawał się błękitny. Tu i ówdzie ze ściany odprysły drobiny lodu, jakby maszyna do lodu musiała przerobić za dużo kostek.

- Widzi pan, jakie te kawałeczki są okrągłe? - rzekł Michelson. - Ulegają sublimacji w suchym wietrze i znikają, zanim w tym samym miejscu nastąpi obryw lodowca. Dlatego nie przybywa tu lodu i ściany są takie strome.

Pękają na skutek wolno narastającego ciśnienia z tyłu, a potem wiatr sprząta bałagan na dole.

W końcu weszli na kamienisty odcinek stanowiący granicę lodowca, który piął się aż do punktu, gdzie osiągał poziom powierzchni lodowca, a potem ciągnął się wyżej, więc mogli wyjrzeć poza lodowiec, na szeroką przestrzeń lodowca polarnego, wznoszącego się w kierunku południowym. Nie był idealnie gładki, lecz pofałdowany i na powierzchni uformowały się niskie wzgórza i doliny. Wade widział ich delikatne kontury, tylko w niektórych miejscach, gdzie lód był oberwany, traciły swą miękkość. Jak biały, zamrożony ocean, przelewający się przez wyrwę w brzegu do położonego niżej świata.

W niektórych miejscach nawet dotarł do samego brzegu, opierając się o niego falami, które nigdy nie miały się rozbić. Choć Wade dyszał ciężko i pot zalewał mu oczy, zafascynował go ten widok, który porażał nawet przez polaryzowane ciemne okulary; czysty surrealizm, jak subtelnie złowieszczy pejzaż Dalego, pełny zjawisk niemożliwych - ocean wznoszący się ponad ziemią, który

jedną, ogromną białą falą mógłby zmieścić ich stąd wszystkich.

Jednak naturalnie ocean pozostał na swoim miejscu. Michelson poszedł naprzód, dołączając do Forbesa między lodowcem a zwróconym w jego stronę splekanym klifem czerwonej skały. U stóp skały znajdował się pas jaśniejszego piaskowca, upstrzony osadzonymi w nim kamyczkami. Graham Forbes już tam klęczał, ostukując piaskowiec młotkiem geologicznym.

- Piękny przykład grupy Syriusza - rzekł Michelson, gdy zbliżał się do nich Wade. - Prawie podręcznikowy - byłoby to doskonałe zdjęcie. Widzi pan, jaka laminacja w dolerycie? Jak brudny osad na brzegu wanny. To skała osadowa, nazywana tillitem. Gлина morenowa ze starego lodowca.

- Nie z tego? - zapytał Wade, wskazując górującą nad nimi lodową masę.

- Nie, od jego poprzednika. Ten jest tu od niedawna.

- Od kiedy?

Forbes parsknął.

Końce wąsów Michelsona uniosły się.

- Oto jest pytanie. Naszym zdaniem niektóre piaskowce grupy Syriusza pochodzą sprzed trzech milionów lat.

- Inni się z tym nie zgadzają?

- Otóż to. Twierdzą, że wschodnia czasza lodowa jest stabilna i utrzymuje się od co najmniej czternastu milionów lat. Czyli... - wzruszył ramionami - przyglądamy się piaskowcom Syriusza, gdzie tylko je znajdziemy.

I oglądamy co się da.

- Jak pan ustalił ten wiek trzech milionów lat?

- W skale są mikroskamieliny, skamieniałe pozostałości okrzemków morskich i otwornic. Te stworzenia z biegiem czasu ewoluowały, tak więc w różnych erach żyły różne rodzaje, a warstwy okrzemków na dnie oceanu są świetnie zachowane. Kiedy znajdziemy jakąś skamielinę okrzemka, możemy ją porównać z zapisem warstwowym i z niewielkim błędem określić wiek skały.

- Czy to pewna, to znaczy uznana metoda?

Lekki uśmiezek.

- O, tak, dość pewna. Nazywa się biostratyfikacja i jest od dawna przyjęta.

- Rozumiem.

- Znaleźliśmy też dowody na istnienie bardziej złożonej formy biologicznej niż okrzemki morskie - należącej do biomu lasu bukowego. To by świadczyło o panowaniu takiego ciepła, że pokrywa lodowa musiała w zasadzie zniknąć, zachodnia Antarktyda była archipelagiem, a nawet wschodnią Antarktydę częściowo pokrywały płytkie morza.

- Określając wiek buku, korzystał pan z datowania radiowęglowego?

- Nie, nie, datowanie radiowęglowe jest skuteczne przy krótkich okresach czasu. Nasze skamieliny są dużo starsze. Poza tym buk nie ulegał zmianom ewolucyjnym od milionów lat, nie można więc ustalić wieku na podstawie rodzaju. Jednak w resztkach bukowych są fragmenty chrząszczy i innych roślin, mchów i porostów, których wiek można określić różnymi metodami, ołowiową, argonową, aminokarboksyłową... każda cząstka materiału biologicznego w Syriuszu może pomóc w ułożeniu tej łamigłówki.

- Popatrz - powiedział do Michelsona Forbes, pokazując swoim młotkiem skałę na zboczu na wysokości swoich kolan. - Tillit w diatomicie.

Wade zobaczył okrągły głaz piaskowca, w tym samym kolorze co reszta, lecz z większą liczbą kamyczków w środku, osadzonego w innym piaskowcu.

- Ciekawe! - rzekł Michelson, przyklękając na jedno kolano, by lepiej się przyjrzeć. - Ten głaz

musi być o wiele starszy od skały macierzystej.

- W każdym razie starszy - przyznał Forbes.

Ciągnęli dyskusję na temat piaskowca, pokazując sobie nawzajem jego cechy, niewidoczne dla Wade'a.

- Sądzisz, że to znowu wyszła niezgodność D-7?

- Wygląda, jakby niżej było surowe uwarstwienie, zobacz.

- A wyżej ogromny tillit, bogaty w skały klastyczne, z fragmentami dolerytu i ziarnami osadzonymi przez wodę.

Chodzili w tę i z powrotem, przerzucając się naukowymi terminami: zdeformowane laminy, ubogie w skały klastyczne, muliste tillity, prymitywne gleby, ostańce, metaosady.

- A na dnie być może znowu obszar erozyjny. Zobacz, jak równolegle ułożyły się ziarna dolerytu, na linii północ-południe.

- Pięknie - rzekł Michelson.

Zobaczyli w skale o wiele więcej, niż Wade mógłby sobie wyobrazić, podobnie jak on usłyszałyby więcej niż oni w nieznanym utworze Poulenca.

Czytali z krajobrazu jak z książki, w pewnym sensie jak z dzieła sztuki.

- Spójrz! - zawołał do Forbesa Michelson, pokazując białawą skałę osadzoną na jednym końcu pasa piaskowca. - Warstwy iłu, chyba kryształowy kalcytu na pewno osadziły się tutaj - nie mogły być naniesione, są za bardzo delikatne, widzisz? Można rozkruszyć warstwy jednym palcem. - Zademontrował to. - Przepiękne.

- Wezmę próbki - rzekł Forbes, wyciągając z plecaka płaski, prostokątny woreczek z płótna.

- Pierwszy raz znaleźliście coś takiego? - zapytał Wade. Było mu miło, że uczestniczył w odkryciu naukowym.

- W każdym razie tutaj pierwszy raz.

- Co to oznacza?

- Owe warstwy iłu albo glinki świadczą, że było tu dno jeziora i jak pan widzi, ziarna opadły na te warstwy, kiedy jeszcze były mokre i ugięły się pod ich ciężarem. Mogło to być jezioro na skraju lodowca i odłamane góry lodowe, topniejąc, osadziły ziarna na iłach na dnie jeziora. Takie same zjawiska widać wokół istniejących lodowców. Być może więc oglądamy teraz dno wybrzeża albo jeziora.

Michelson i Forbes uklękli i zaczęli rozbierać część cennego osadu, wkładając kawałki skał do torebek na próbki i rozmawiając w swym technicznym języku o ich niewidzialnych cechach.

- Proszę - powiedział do Wade'a Michelson. - Jeśli chce pan pomóc, może pan policzyć pionowe warstwy w tym osadzie.

Wade ukląkł i zabrał się do pracy, ale po minucie poczuł, że marznie. Ci dwaj badali piaskowiec cal po calu, zupełnie obojętni na przejmująco chłodne powietrze, choć byli ubrani lżej niż Wade.

Michelson spojrzał na Wade'a przez ramię.

- Niech pan sprawdzi, ile warstw mieści się na paznokciu, potem policzy ile wysokość ma paznokci i pomnoży.

Wade wstrząśnięty tą pomysłową metodą, którą proponował czystej krwi naukowiec, dalej liczył po kolei warstwy.

W końcu wszyscy wstali. Wade był zziębnięty i zeszywniały po wczorajszym marszu, a dłonie w rękawicach miał zupełnie zdrętwiałe.

- Sześćset sześć - zameldował. - Czyli przez sześćset lat była tu woda!

- Albo przez sześćset cykli pływów - powiedział Forbes. - Czyli około roku.

Wade znów dostrzegł uśmiezek, który pojawił się pod wąsami Michelsona.

- W każdym razie woda - powiedział Michelson. - Bardzo prawdopodobne, że ta niezgodność serii osadów świadczy o przejściu ze środowiska morskiego w lądowe. Nazwaliśmy to zjawisko D-7 w Cloudmakerze. - Z końca czarnego ochraniacza na jego nosie zwieszał się zakręcony sopel, sięgający niemal brody, przez który jego twarz z obrazu Breughla wyglądała jak wzięta z Boscha. - Wracajmy do obozu - powiedział, spoglądając na słońce, jakby sprawdzał godzinę na zegarze. - Umieram z głodu, a nie możemy się spóźnić na obiad. Dziś Misza ma dyżur w kuchni i chyba upichci coś specjalnego.

Rzeczywiście przygotował wspaniałe dania. Po długiej drodze powrotnej, objuczeni próbkami skał, wpełzli do namiotu, gdzie ich nozdrza zaatakował ostry zapach masła czosnkowego, drażniąc ich puste żołądki. Odetchnęli z ulgą i zaczęli się tłoczyć między brezentowymi ścianami namiotu, aż każdy wygodnie usiadł. Wade znów wylądował w swoim kącie, co mocno odczuły jego plecy - mocniej niż wysiłek całego dnia. Jednak dziś usiadła obok niego Val, a właściwie wcisnęła się, dotykając nogami jego nóg, tak więc przez cały wieczór przenikało go ciepło, pochodzące nie tylko z zewnętrznego kontaktu.

- Akurat zdążyliście - powiedział Misza, wręczając im kubki z zimną szkocką i na przystawkę krakersy z roztopionym brie, po których zaraz podał danie główne: homary smażone w maśle czosnkowym, kawałek peklowanej wołowiny, a na koniec deser - czekoladowe batony i drambuie.

Było niebiańsko. Wade kroił mięso homara wielkim wojskowym nożem, zdumiony, że jedzenie może być takie pyszne.

- Cztery gwiazdki - powiedział ktoś, a zewsząd dobiegały zadowolone pomruki, westchnienia, brzęk naczyń i odgłosy przełykania. Pod koniec uczyty Michelson oparł się na łokciu obok radia, przybierając pozę rzymskiego cezara i unosząc w uśmiechu końce wąsów.

- Niech pan opowie wszystkim - zwrócił się do Wade'a - o piekle, w jakim tu żyjemy.

- Rzeczywiście, jak w dziewiątym kręgu - zgodził się Wade, ocierając masło z podbródka i oblizując palce.

- Smakuje homar? - zapytał go Misza.

- Trochę słony - odparł Wade, a Val zakrztusiła się.

- Nie przejmuj się - powiedziała po chwili do Miszy, który zmarszczył brwi. - Wade'owi wszystkie rzeczy będą się wydawały słone do końca życia.

- Opowiedziała o jego wyczynie nad stawem Don Juan, wzbudzając ogólną wesołość.

Kiedy powoli kończyli deser i Misza grzał wodę do zmywania na maszynie Colemana, rozmowa zesza na pracę dzisiejszego dnia. Wade poprosił, by opowiedzieli mu więcej o kontrowersjach dotyczących Syriusza i Val poparta jego prośbę, którą naukowcy ochoczo spełnili. Wszyscy czterej brali udział w dyskusji, nawet Misza, który ku zdziwieniu Wade'a mówił najwięcej: było jasne, że przeszedł gruntowne szkolenie geologiczne.

- Według dawnej opinii - wyjaśniał - płyta Antarktydy Wschodniej jest stara i trwała. Zachodnia część jest w ruchu, ale lądolód wschodni powstał po tym, jak Antarktyda odłączyła się od Ameryki Południowej, czterdzieści albo pięćdziesiąt milionów lat temu. Od tego czasu powiększa się, nie licząc okresowych ociepleń, ale one miały miejsce dość dawno; ostatnie przed czternastoma milionami lat. - W latach osiemdziesiątych Webb i Harwood znaleźli okrzemki w piaskowcu Syriusza i określili ich wiek na trzy miliony lat.

Kiedy opublikowali dane i wnioski z badań, według których trzy miliony lat temu nie było tu wschodniej pokrywy lodowej, rozpoczęła się bitwa.

- Bitwa - powiedział Wade, mając w ustach ostatni słony kęs homara.

- No, wie pan, spór naukowy.

- Bitwa - potwierdził Harry Stanton.

- Żadna ze stron nie strzelała do drugiej bez ostrzeżenia - sprzeciwił się Michelson.

- Nie, nie - rzekł Misza. - To nie tak, jak ludzie po rozwodzie, którzy mszczą się na sobie nawzajem. Ale każda ze stron była przekonana, że pogląd przeciwnika jest nie do końca...

- Naukowy - podsunął ze swoim uśmiechem Michelson.

- Uważali się wzajemnie za osłów - powiedział Harry. - Oczywiście, w naukowym rozumieniu tego słowa.

- Tak - rzekł Misza. - Po jakimś czasie bardzo się zniechęcili.

- Przysłużyły się pewnie sugestie o bałaganie w laboratorium - dodał Michelson.

- Bałagan w laboratorium? - Wade spojrzał pytająco na Misze.

- Gdy Webb i Harwood po raz pierwszy ogłosili, że znaleźli okrzemki w piaskowcu Syriusza, niektórzy stabilisci zasugerowali, że okrzemki pochodzą z zupełnie innych badań prowadzonych w tym samym laboratorium. Wyobraża pan sobie, jak to przyjęli w Ohio.

- Wyobrażam sobie. Kim są ci stabilisci?

- Poprzednia grupa badaczy lodu. Bitwa toczyła się między stabilistami i dynamistami.

- Przynajmniej wygraliśmy bitwę o nazwy - mruknął Michelson.

- Potem, kiedy ustalono, że rzeczywiście okrzemki pochodzą z piaskowca Syriusza, niektórzy stabilisci utrzymywali, że taką małą liczbę okrzemków mógł po prostu nanieść wiatr z wybrzeża.

- Niesławny wiatr wiejący od wybrzeża do płaskowyżu - zauważył Harry.

- Taki silny, że wciska okrzemki pod lód, który zdaniem stabilistów był tu od zawsze - uzupełnił Michelson.

- Oczywiście - odparł Misza. - Być może wiał od Australii. Ale w lodzie na biegunie też znaleziono okrzemki, co by dowodziło słuszności stabilistów.

- Jak grupa z Ohio z tym sobie poradziła?

Misza uśmiechnął się.

- Ilością. Czasami są wyniki jakościowe, a czasami trzeba uzyskać wyniki ilościowe. Wysadzili w powietrze tony Gór Transantarktycznych. Dotarli z dynamitem i pozwoleniem od NFN do każdego miejsca, gdzie mogli znaleźć Syriusza, zabrali masę skał, zawieźli do domu i rzucili je na stabilistowskie biurka, że się tak wyrażę. Mieli tony okrzemków.

- Nie tony - zaproponował Michelson. - Bez przesady.

- Tony. Oznaczonych na mapie nunataków już nie ma. Wszystkie są w laboratoriach w Ohio.

- Ależ nie...

- Ależ tak - rzekł ze śmiechem Misza. - Przewodniczyłem jednej z tych ekspedycji. Sam zakładałem ładunki! To było dopiero coś. Powinien tu być lodowiec imienia stanu Ohio, bo wyrwaliśmy w Górach Transantarktycznych całą nową przełęcz.

W namiocie rozbrzmiał śmiech, a głośniejszy niż inni śmiał się Michelson, który widocznie miał swój udział w owym projekcie. Wade zorientował się, że młodszy naukowiec bardzo go lubią.

- I znaleźli przekonujące dowody? - zapytał Wade.

- Dość przekonujące - uznał Misza. - Okazało się, że kiedy osadził się Syriusz, były tu lasy bukowe.

- Część grupy Syriusza - uściślił Michelson. - Całkiem możliwe, że grupa Syriusza to skamieniała glina morenowa z kilku różnych okresów zlodowaceń.

- I tak stabilisci zostali przekonani i musieli uderzyć się w piersi - powiedział Wade,

wzbudzając nową falę śmiechu.

- Oczywiście, że nie - rzekł Misza, uśmiechając się szeroko i dolewając wszystkim drambuie. -

To nie na tym polega. Nikt nie może tu być niczego do końca pewien.

- Skąd się więc biorą nowe teorie?

- Starzy naukowcy wymierają - powiedział Misza, trącając nogą Michelsona, by zilustrować ten fakt.

Koniuszki wąsów uniosły się.

- W tym sedno - powiedział do Wade'a. - Chodzi o karierę. Na stanowisku stabilistów wyrosły całe kariery. Studenci ostatnich lat zdobywali tytuły doktorskie, docenci dostawali katedry, wszystko na podstawie prac opartych na stanowisku stabilistów. Nie mogą przyznać, że cały czas się mylili.

Jednak biostratyfikacja to solidna metoda określania wieku. Okrzemki były więc dla nich prawdziwym kłopotem. Nie mówiąc już o chrząszczach, mchach i bukach.

- I co na to powiedzieli? - zapytał Wade.

- Stwierdzili, że lasy bukowe mają więcej niż czternaście milionów lat, może nawet pochodzą z kredy. Okrzemki natomiast zostały naniesione skądinąd. Chrząszcze zupełnie zignorowali.

- Chrząszcze też przyfrunęły - zasugerował Misza. - Przyleciały z Lemurii.

Michelson zachichotał, po czym uniosł palec.

- W zasadzie lekceważą nas - rzekł. - Szukają przede wszystkim miejsc, które pozostały suche albo są pokryte lodem od ponad trzech milionów lat, co jest oczywiście możliwe. Nawet w najcieplejszych okresach musiały tu istnieć lodowce. Mówiąc o cieple, mamy na myśli warunki, w których woda nie zamarza przez co najmniej pięć miesięcy w roku, a to wystarczy do przetrwania gatunkowi Nothofagus.

- Twierdzi pan też, że wschodnia płyta lodowa zanikła - dodał Wade.

- Owszem, ale w wyżej położonych miejscach lub na południu musiały być lodowce, prawdopodobnie duże. Okrzemki pochodzą jednak z dna morskiego, więc znajdowało się tu morze. Lód stopniał w pliocenie! Tylko do takiego wyjaśnienia można dojść na podstawie naszych dowodów. Lodowce w górach, w wiecznym cieniu. Zimą morze pływającego lodu. Ale na pozostałym obszarze woda. Baseny wielkich lodowców pokryte fiordami.

- Niełatwo im będzie udowodnić, że mają rację - zauważyła Val. - Muszą spróbować wykazać, że wszędzie był lód.

- Racja - rzekł Michelson. - Trudne zadanie.

- Mogą znaleźć dane klimatyczne, które udowodnią, że zawsze było zimno - powiedziała Val.

- Tak. Trzeba przyznać, że współczynnik izotopu tlenu w osadach przybrzeżnych nawet działa na korzyść ich stanowiska. Lecz jest mnóstwo innych danych z północy, które dowodzą, że wczesny pliocen był dość ciepły. Podobnie jak dziś, w atmosferze było sporo dwutlenku węgla.

- Nie może pan dokładniej określić wieku pokrywy lodowej? - zapytał Wade. - Dowiercić się do dna i policzyć warstwy lodu, tak jak ja liczyłem dzisiaj warstwy osadów piaskowca?

- Poniżej pewnego poziomu nie ma już żadnych warstw. Zbijają się razem. Lód ma pewne właściwości chemiczne, które mogą coś powiedzieć o atmosferze, z której padał śnieg, ale nie jest to zbyt przydatne do precyzyjnego ustalania wieku.

- Aha. - Wade myślał przez chwilę. - Jeżeli więc klimat plioceński miał wysoki poziom dwutlenku węgla, taki jak dziś, a Antarktyda była morzem z wyspami i lodowcami, dlaczego dzisiaj tak nie wygląda?

- Cóż - powiedział Michelson. - Niewykluczone, że właśnie staje się morzem. Lodowce szelfowe stale się zmniejszają, strumienie lodu płyną coraz prędzej, linia wybrzeża pod zachodnią

plytą bardzo szybko się cofa.

Wschodnia płyta jest wyższa i grubsza, więc musi to potrwać dłużej. Ale może to się stać.

- Jak szybko?

- Naprawdę bardzo szybko!

- To znaczy?

- Może kilkaset lat.

Wade i Val roześmiali się, lecz Michelson pogroził im palcem.

- Nie, to naprawdę szybko. W mgnieniu oka!

- Powiem to senatorowi Chase'owi - rzekł Wade.

- Nie, nie - zaprotestował Michelson. - Niech mu pan powie, że nikt tego nie wie. Nikt nie umie określić. Pokrywa lodowa tarczy kanadyjskiej zniknęła bardzo szybko, w jakieś kilka tysięcy lat, a ludzie nie pompowali wtedy dwutlenku węgla do atmosfery. Istnieje jakiś mechanizm reakcji zwrotnej. Wszystko może się momentalnie zmienić. Złoża metanu na dnie morskim z początku tkwią w miejscu, bo utrzymuje je ciśnienie wody. Jeżeli jednak pod lądolodem są duże złoża i gaz zostanie uwolniony, znacznie przyspieszy to efekt cieplarniany.

Pili drambuie, Misza zmywał, a Val wycierała naczynia. W zaparowanym namiocie było ciepło. Wade'a okropnie bolał kark. Drambuie miał słony smak.

- Muszą być ludzie, którzy nie wierzą w pański scenariusz - powiedział Wade. - Oczywiście poza stabilistami.

- O, tak. Ci sami, co znaleźli profesora Warrena? Zawsze można wyciągnąć z lamusa jakiegoś profesora, żeby naukowym autorytetem poprzeć swoje odkrycia.

- A więc stabilisci są podobni do profesora Warrena.

- Ależ nie. Warren twierdzi, że człowiek nie ma wpływu na globalne ocieplenie, a cały świat nauki poza konserwatywnymi sztabami ekspertów jest przekonany, że według wszystkich dostępnych dowodów jest inaczej. Warren to szarlatan albo łgarz. Natomiast stabilisci to poważni naukowcy. Starają się udowodnić swoją hipotezę, co roku przyjeżdżają tu w poszukiwaniu dowodów, publikują wyniki badań w fachowych czasopismach. Wielu naukowców popełnia błędy, może nawet większość. Kończą zwykle jako adwokaci diabła tych, którzy mieli szczęście się nie pomylić. Nawet my możemy się mylić.

- Nie! - krzyknęła chórem reszta.

- Nie - zgodził się Michelson. - To są okrzemki z pliocenu i tu się rozwinęły. - Wzniósł w toaście kubek. - W tym zimnym, zamrożonym piekle.

Rozmowa przeszła na prace w terenie i plany na następny dzień. Wade i Val mieli wyjść z obozu rano i po południu dotrzeć do umówionego miejsca na skraju zamkniętej strefy, w którym wylądował helikopter. Naukowcy mieli iść w dół doliny i towarzyszyć im przez część drogi.

Harty powiedział:

- Albo znajdziemy Syriusza nad jeziorem Vashka, albo będziemy mieć dzień opieprzaństwa.

- Opieprzaństwa? - powtórzył Wade.

- Rekreacji - wyjaśnił Misza.

- Nie cierpię tego wyrażenia - oświadczyła stanowczo Val. - To tak jakby się nic nie robiło, jeżeli nie pracuje się dla nauki. Okropne.

- Przepraszam - odrzekł trochę zaskoczony Harry. - Tak mówią studenci ostatnich lat.

- Wiem.

- Studenci, którzy nie ruszają się z miejsca badań - dodał Michelson. - Mówię o tym gwoli sprawiedliwości.

- Gwoli.

W niezręcznym milczeniu, jakie zapadło, głośno i beztrzesko zahuczała maszynka Colemana.

- Przypuszczam, że niektórzy ludzie w Waszyngtonie uważają wszystkie działania tutaj za opieprzaństwo - powiedział Wade. - Naukowe i w ogóle wszystkie.

Val posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie, ale cisza trwała.

- Wracając do wschodniego lądolodu - ciągnął Wade. - Jeśli nie było go trzy miliony lat temu, musiał odrodzić się bardzo szybko, prawda?

Michelson uniósł brew.

- Trzy wydaje się mało. Ale trzeba pamiętać, że to są miliony. Akumulacja śniegu na biegunie południowym wynosiła dziesięć centymetrów rocznie, zanim pojawiły się występujące regularnie ogromne burze śnieżne i przy tym tempie po trzystu tysiącach lat mamy pokrywę lodową grubości trzech kilometrów.

- Lód jest zbity - zauważył Forbes.

- Tak, ale powstaje firn, który nie może już być tak ubity jak śnieg.

A nawet gdyby przyjąć, że od każdych dziesięciu centymetrów odejmiemy jeden, to...

- Trzy miliony lat - powiedział Forbes.

- No proszę. - Uśmiezek pod wąsem. - Otóż to! Ma pan grubość, jakiej się można było spodziewać.

Później wyszli wprost na blask i chłód jasnej nocy, a Val i Wade skierowali się w stronę swojego namiotu. Wade zauważył, że wykształciła się już pewna rutyna domowa: on sikał na dworze, ona w namiocie; kiedy wchodził do środka, Val leżała już w śpiworze, po swojej stronie namiotu. Ich druga wspólna noc; w żółtym, prześwietlonym wnętrzu wyglądała tak samo pięknie jak przedtem. Śmieszne: kiedy położył się obok, serce zaczęło mu bić szybciej. Mimo zmęczenia - spowodowanego, jak sądził, dzisiejszą walką z zimnem - nie mógł przez chwilę zasnąć; przynajmniej przez dziesięć minut.

Potem, podobnie jak ona, zapadł w sen.

Jednak w środku jasnożółtej nocy Wade obudził się i stwierdził, że leży na boku, mocno przytulony do pleców Val. Może przez nacisk albo ciepło tego kontaktu, albo treść snu, albo po prostu fizjologię fazy marzeń sennych, dostał erekcji. Gdyby nie gruby śpiwór, Val z pewnością poczułaby to.

Wade często przyjmował taką wygodną pozycję, kochając się ze swoją dziewczyną Andreą. Ona była również wysoką kobietą, wyższą od niego.

Lecz nie cierpiała Waszyngtonu i ich związek nie zdołał przetrwać przeprowadzki. Po odejściu Andrei Wade był zbyt zajęty, by wejść w jakiś nowy związek, tak w każdym razie sobie mówił; ciężko mu było bez Andrei.

Ale teraz nie o tym myślał. Czuł, że musi się od niej odsunąć; nie chciał być źle zrozumiany. Ale przecież śpiwór był za gruby, by cokolwiek przezeń poczuć. Poza tym w namiocie było bardzo ciasno. I przeraźliwie zimno; choć niebo wciąż pozostawało jasne, słońce chyba skryło się za Szczyty Apokalipsy. Przytulanie się w poszukiwaniu ciepła miało więc sens. W każdym razie Val spała, oddychając głęboko. Ze swojego miejsca nie widział jej twarzy, ale świetnie ją pamiętał. Dziś w namiocie dziewczyna była naprawdę niezła, swobodna w towarzystwie tylu mężczyzn, przekomarzała się z Miszą, bez skrępowania przytulała się do niektórych, włączała się do rozmowy, gdy miała na to ochotę albo słuchała tylko, kiedy nie miała ochoty mówić. Wszyscy na luzie, nawet gdy między nimi przebywała ta wysoka piękność. Mężczyźni cieszyli się bardziej niż w zwykły dzień, mieli w sobie więcej życia i energii, jak gdyby tego dnia drambars był mocniejszy; ale nic więcej, nic wartego

szczególnej uwagi. To było zřejczne: I podobało się Wade'owi jako dyplomacie. Nie każdy mógł sprawić, by taka sytuacja wyglądała normalnie.

Podobnie było ze spaniem z obcym mężczyzną w małym namiociku.

Kiedy Val drgnęła przez sen, Wade szybko przewrócił się na drugi bok, odrywając się od jej ciała.

Lecz nagle to ona przywarła do jego pleców. Przyłgnęła do niego mocno, od stóp do głów; była sporo wyższa, więc otuliła go sobą całego, tak że tył jego głowy znalazł się na jej piersiach. Bardziej niż kiedykolwiek poczuł się drobniejszy od towarzyszącej mu kobiety. Fantastyczne uczucie. Senna erekcja nie miała zamiaru ustąpić. Odwrócił się nieznacznie i zobaczył twarz kobiety w odległości kilku cali od swojej; znów żółty strumień światła w namiocie; znów to frapujące piękno. Bezustanne przebywanie na powietrzu zniszczyło jej twarz, przez co cera Val wyglądała jak u pięćdziesięcioletniej kobiety, chociaż podczas snu przypominała dziecko, podobnie jak wszyscy.

Uchylone usta, równy oddech, mocno przytulona do niego. Odwrócił głowę i wcisnął ją w kaptur skafandra, a po jakimś czasie jego serce wróciło do spokojniejszego rytmu i Wade ponownie zasnął.

Nazajutrz po śniadaniu, złożeniu namiotu i spakowaniu plecaków, Wade ruszył za Val w dół srokatą, pokrytą śniegiem i kamieniami doliny, kierując się w stronę jeziora Vida, które z wysokich miejsc, przez jakie po drodze przechodzili, wyglądało jak biała linia na dnie doliny. Cel znów wydawał się odległy o jakąś godzinę drogi, lecz tym razem Wade był już mądrzejszy.

Profesor Michelson towarzyszył Harry'emu i Grahamowi, którzy szli obejrzeć warstwy klifu nad jeziorem Vashka, tak więc przez pierwszą część drogi mogli dotrzymać towarzystwa Wade'owi i Val. Wade i Michelson zostali z tyłu, aby spokojnie porozmawiać.

W trakcie ich rozmowy, w oddali nad jeziorem Vida pojawiła się czerwona kropka. Nie słyszeli żadnego dźwięku, ale na pewno był to helikopter.

Zniżył się nad jezioro, a potem wzbił się w górę i poleciał w kierunku doliny Wright.

- Spóźniliśmy się, czy oni przylecieli za wcześniej? - zawołał do Val Wade.

- To nie po nas - odkrzyknęła.

- Chyba któraś z grup trekkingowych NFN - powiedział Michelson. - Zaczynają wyprawę albo kończą, albo i jedno i drugie.

- Dziwię się, że Fundacja zaczęła się parać czymś takim.

- Naprawdę? - Michelson zerknął na niego. Znów miał na nosie ten breughlowski ochraniacz. -

Potrzebują pieniędzy, jak wszyscy inni.

- Ale przecież są odpowiedzialni za cały kontynent...

- I mają mniejszy budżet niż większość uniwersytetów. Poza tym nie odpowiadają za kontynent, tylko za obecność na nim Amerykanów, co już samo w sobie jest zadziwiające. Zdumiewa mnie, że żaden z pańskich kolegów z Departamentu Stanu nie zajął się tą sprawą.

Wade ruchem ręki wskazał na otaczającą ich brązowobiałą pustkę.

- Prawdopodobnie nie widzą w tym większego sensu.

Michelson roześmiał się.

- No więc NFN ma tu władzę. Ale przy ciągle kurczącym się budżecie.

Najbardziej gorącym tematem jest teraz Mars, przynajmniej jeśli chodzi o naukę, i tam idą wszystkie pieniądze. Tu jest rodzaj naukowego zaścianku.

W każdym razie Fundacja jest tylko jednym z graczy. W Komitecie Naukowym Badań Antarktycznych jest około trzydziestu grup narodowych i to tam decyduje się o Antarktydzie. Na ogół NFN zgadza się z KNBA. Z kolei w samym KNBA istnieje klub starych wyjadaczy, złożony z

państw, które są na Antarktydzie od początku, od Międzynarodowego Roku Geofizycznego, a poza tym są nowe państwa, które pojawiły się później, by zapewnić sobie prawo głosu, gdyby kiedyś zaczęto eksploatować tu bogactwa naturalne. Między obiema grupami toczyły się konflikty, ale zapomniano o nich ze względu na spór KNBA z ONZ oraz KNBA z krajami spoza Traktatu. Teraz odnowienie Traktatu zostało wstrzymane - przez ludzi z amerykańskiego rządu, jak panu wiadomo, choć są i inni, którzy wcale nie płaczą z tego powodu - i zapanowała większa niepewność niż kiedykolwiek wcześniej. W ONZ są tacy, którzy chcieliby zająć się Antarktydą, ponieważ wówczas głosy w Zgromadzeniu Ogólnym przeważałyby w konfrontacji z radami naukowców i biurokracji z ONZ przejęliby tu władzę.

- Skomplikowane.

Michelson roześmiał się.

- Bardzo skomplikowane. Ziemia bez suwerenności! To zbyt dziwne, żeby nie miało być skomplikowane w naszym świecie. Traktat Antarktyczny jeszcze wtedy obowiązywał, ale dziś mamy zupełnie nowy świat.

- Traktat zawsze wydawał się kruchy.

- Kruchy, idealistyczny - można mu wiele zarzucić. Jednak nawet kiedy był w mocy, państwa sygnatariusze cały czas łamały jego postanowienia.

Francja, Rosja robiły, co chciały. Teraz stawka wzrosła i Traktat okazał się domkiem z kart, którym zresztą zawsze był.

- Rozumiem.

- NFN, prowadząca działalność trekkingową to naprawdę nic wielkiego.

Była tu już przed prywatnymi firmami, więc chce mieć kontrolę nad turystami - żeby na przykład powstrzymać ich przed przyjazdem tutaj. Żeby byli czysti, ładni i tak dalej. To chyba dobry sposób.

- Ciekawy.

- Tak. Konflikty nie mają końca. Podobnie chyba toczą się walki o wpływy w tym pańskim Senacie.

- Tak - odrzekł z roztargnieniem Wade, obserwując Val, która szła przed nimi z Harrym i Grahamem. Szła jak ktoś, kto pokonał w życiu miliony mil, zresztą pewnie tak było. Teraz tanecznym i pełnym wdzięku krokiem omijała głazy. Otrząsnął się z zamyślenia. - Bardzo podobnie. Właściwie obawiam się, że to ta sama wojna. Różne bitwy tej samej wojny. Tu przebiega po prostu najdalej położony front.

Geologowie pożegnali się z nimi i ruszyli na przeciwny brzeg jeziora Vashka. Wade i Val szli dalej sami doliną Barwick.

niebieskie niebo brązowa dolina

- Podobało ci się u naszych naukowców? - zapytała Val, kiedy odeszli już kawałek i naukowcy nie mogli ich słyszeć.

- Było bardzo ciekawie. - Do tego stopnia, że nie wiedział, co mógłby o nich więcej powiedzieć. Wciąż rozbrzmiewały mu w głowie echa ostatniej rozmowy z profesorem Michelsonem. Szkoda, bo chętnie powiedziałaby Val coś więcej. Nie chciał sprawiać wrażenia, że ukrywa przed nią karty, podczas gdy w ogóle nie miał kart.

- Niezupełnie wiem, co o nich myśleć - wyznał.

Skinęła głową.

- Jajogłowi to zabawni ludzie.

- Pewnie ciekawy wydaje ci się sposób, w jaki patrzą na góry.

- Tak, to niesamowite. I zauważają tyle rzeczy. A jak mówili o czasie...

- Ledwie trzysta lat! Mgnienie oka!

Roześmiali się. Val pokazała na strome ściany, stojące po obu stronach doliny.

- Dla nich te skały są jak pasta do zębów, pływają sobie z miejsca na miejsce.

- Dziwne. Czy któryś z nich chodzi po górach?

- No jasne. Bob, facet z doliny Taylor, dużo się wspina. I vice versa -

niektórzy przewodnicy skończyli geologię. Misza na przykład jest geomorfologiem.

- Wiedziałem, że musiał się tego uczyć.

- Tak, próbuje zabrać się do swoich badań, ale to trudne - nigdy nie trafiają w dobre dla niego miejsce, poza tym ciągle musi się nimi zajmować, to jego praca.

Spojrzał na nią.

- Mówisz o tym, jakby to była opieka nad dziećmi.

- No, wiesz. W tym miejscu można zginąć w parę godzin, jeżeli coś schrzanisz. W naszej pracy chodzi o to, żeby nie pozwolić ludziom nic schrzanić i żeby wiedzieć jak przeżyć, kiedy jednak coś się schrzani. Zaczekaj do pierwszej burzy, a będziesz szczęśliwy, że masz mnie przy sobie.

- Już jestem szczęśliwy, że cię mam przy sobie.

- Dzięki - powiedziała, kwitując krótko komplement. - Tak czy inaczej, niewielu jajogłowych myśli o przetrwaniu, najkrócej mówiąc. Góry to dla nich dane do prac naukowych. Wielu z nich chętnie zostałoby w domu, gdyby mogli na miejscu zdobyć te swoje dane. Kiedyś szłam zjedną grupą po lodzie, koło nunataka, po tym jak nie przyleciał umówiony śmigłowiec i było niewiarygodnie pięknie. Lód płynął wokół skały, a oni całą drogę narzekali, że nunatak składał się z samego dolerytu. Szli i śpiewali: "Doleryt, doleryt, doleryt, doleryt".

Wade uśmiechnął się.

- Drażnili się z tobą.

- Pewnie. Ale w ogóle nie zauważyli piękna krajobrazu. Dla nich to tylko...

- Dane.

- Tak. Dane też mogą być piękne, ale mimo wszystko.

- Jajogłowi.

- Zgadza się. A jednak trzeba ich kochać. Gdyby ich nie było, nikt z nas by tu nie przyjechał.

- Kontynent nauki.

- Aha. Nauka i niewiarygodne opieprzaństwo. - Potrząsnęła głową, jak gdyby to wyrażenie wzbudzało w niej niesmak.

- Drogie to opieprzaństwo.

- To nie żarty. Kiedyś Bob opowiedział mi, że razem z kolegą obliczyli, ile kosztują badania naukowe na Antarktydzie. Po prostu wzięli cały antarktyczny budżet i podzielili go przez liczbę "naukowcodni" - wiesz, takie jajogłowe obliczenia - i wyszło, że na jeden dzień jednego naukowca przypada dziesięć tysięcy dolarów.

- Żartujesz!

- On też tak powiedział. Tylko nie mów o tym swojemu szefowi. Nie chcę być za to odpowiedzialna, kiedy wyrzucą stąd Fundację. Sama i tak jestem do kitu, ale przyjaciele nigdy by mi nie wybaczyli.

Wade roześmiał się.

- Przysięgam, że nie powiem.

Przez większą część poranka wędrowali w milczeniu. Potem Val ogłosiła przerwę na lunch i usiedli w słonecznej plamie, pod osłoną głazu, gdzie jedli musli i pili gorącą czekoladę z termosów.

- Jak zostałam przewodnikiem? - zapytał Wade.

- Po prostu zostałam. - Myślała nad tym przez chwilę. - To było dawno temu. Chyba przez chłopaka. Chodziliśmy razem po górach, a on zarabiał tym na życie, więc pomyślałam sobie, że to niezły pomysł. Wtedy był. Potem kilka razy próbowałam to rzucić, bo nie lubię wielu rzeczy w tej pracy, ale lubię być w górach i zarabiać przy tym pieniądze. No i wracam.

- Rzucałaś to już?

- Nie tutaj - tu jest w porządku - ale kilka razy przedtem. Przez parę sezonów byłam przewodnikiem w Górach Skalistych i raz miałam klienta... Słyszałeś może o trzech regułach przewodników górskich?

-Nie.

- Po pierwsze, klient próbuje cię zabić. Druga reguła, klient próbuje sam się zabić. Trzecia reguła, klient próbuje zabić innych klientów.

- O rany.

- No. Mówiłam ci, że niektóre rzeczy mi się nie podobały, a jedna z nich polega na tym, że przez tę pracę stajesz się cyniczny wobec ludzi.

- W wielu innych zawodach też.

- Tak przypuszczam. No więc prowadziłam tego faceta na Grand Tetona i byliśmy właśnie na grzbiecie zbocza nad schroniskiem awaryjnym. Było pochmurno i wschodnia ściana tonęła w chmurach, tak że pod sobą widzieliśmy tylko wąski pasek czystego powietrza, jak szczelinę głębokości pięciu tysięcy stóp. Nie wiem, ale zdaje się, że miał coś do tej góry i nagle zaczęły działać reguły pierwsza i druga naraz.

- Próbował cię zabić?

- Próbował zabić nas oboje. Samobójca. Byliśmy związani liną i kiedy wspinaliśmy się po zboczu, wznoszącym się nad wschodnią ścianą, wydał z siebie jakiś dziwny skowyt i rzucił się ze zbocza w dół ściany.

- Celowo!

-Tak.

- I co się stało?

- Naturalnie chciałam nas uratować - rzuciłam się w drugą stronę i mocno się złapałam. Na szczęście byłam od niego dużo cięższa i utrzymaliśmy się.

Złamałam tylko kilka palców - dodała, na dowód wyciągając do niego rękę.

- Kurczę!

- Och, w górach złamałam sobie niejedną kość, to wcale nie takie straszne.

- I co było potem?

- Musiałam go odwieść od tego zamiaru albo przynajmniej spróbować.

Kiedy się uspokoił, a ja wstałam, znowu próbował to zrobić! Więc go trochę poddusiłam, zaciągnęłam do schroniska i stamtąd zabrał nas helikopter. Nie mam pojęcia, dlaczego spodziewałam się uczciwości od samobójcy, który chciał mnie zabrać ze sobą na tamten świat, ale mu zaufałam. Ta druga próba to był szok. Strasznie się wkurzyłam.

- Ja myślę! - Wade próbował sobie to wyobrazić, kręcąc z niedowierzaniem głową. -I wtedy zrezygnowałaś z tej pracy.

- Tak. Na jakiś czas. Ale... - wzruszyła ramionami. - Podobają mi się miejsca takie jak to. Zawsze mi się podobały. A prowadzenie ludzi po górach, to najlepszy sposób na sfinansowanie wyjazdu.

- Każda praca ma swoje cienie - rzekł Wade.

- Tak? - Przesunęła się, by lepiej go widzieć. - Opowiedz mi o cieniach twojej.

- No więc... - zaczął i machnął ręką. Właściwie po głębszym namyśle zdał sobie sprawę, że bardzo lubi swoją pracę. Lecz chciał jej w jakiś sposób pokazać, że on też jest w nieciekawej, a nawet trudnej sytuacji, więc powiedział: - Na przykład muszę mieszkać w Waszyngtonie.

- Nie podoba ci się? Byłam tam kiedyś i uważam, że to bardzo ciekawe miejsce.

- Niezłe miasto do zwiedzania, ale mieszkać w tym tłoku, zaduchu - nie wiem. Tam nie ma po prostu miejsca.

- Gdzie się wychowałeś?

- W Oakland - odrzekł. - Właściwie to pod.

- San Francisco to też fantastyczne miasto.

- Tak. I piękne. Przy nim Waszyngton wygląda jak bagno.

Skinęła głową.

- Poza tym cały czas muszę pracować z politykami.

- Są aż tacy źli?

Roześmiał się.

- Przypuszczam, że tak jak twoi klienci. Uważają się za profesjonalistów, ale wielu z nich nie ma o niczym pojęcia.

- Ach, tak. To pewnie ci ciężko.

- No. - Lecz właściwie lubił to i nie chciał wyjść na zrzęde; powiedział więc: - W każdym razie to ciekawe. Z reguły mi się podoba. Lubię senatora Chase'a. Nie, lubię swoją pracę.

Kiwnęła z aprobatą głową.

- Tak jak mówiłeś.

- Co mówiłem?

- Każda praca ma swoje cienie.

- Oczywiście.

- Chociaż muszę przyznać, że moja nie wygląda w tej chwili tak źle. - Uśmiechnęła się do niego.

Nagle przypomniał sobie przebudzenie dzisiejszej nocy i serce odezwało się w nim niczym perkusista walący w kotły. Odwzajemnił uśmiech i podał jej kawałek swojego batonika. Wzięła, a ich okryte rękawicami palce nawet się przy tym nie zetknęły.

- Słona czekolada?

- Bardzo.

Przez resztę popołudnia szedł za nią kamienistą doliną, wielką i cichą, przyglądając się swej przewodniczce. Był to cudowny widok: jakby patrzył na tancerkę z obrazu Chagalla, która ożyła i zaczęła tańczyć wokół kamieni, jak wcielenie wdzięku na strzaskanych fraktalach powierzchni dna doliny, w ogóle nie spoglądając pod nogi. Była wysoka i muskularna. Znów przypomniał sobie, jak leżał obok niej w namiocie i miał wrażenie, że leży obok dużo większego stworzenia; to był dreszcz, głęboko przejmujący erotyczny dreszcz, który przeszył go na samą myśl o tym. Wade mierzył równo sześć stóp wzrostu i nie miał zbyt wiele do czynienia z kobietami znacznie od niego wyższymi, by się przekonać o swojej... skłonności. Przypuszczał, że jest w tym jakieś odwrócenie ról, być może jakiś kobiecy pierwiastek; nie na tyle jednak znaczny, by mógł się go przestraszyć; był to jedynie składnik owego dreszczyku.

Lubił Val. Z początku wziął ją za typowego osiłka w spódnicy, lecz dziewczyna naprawdę dużo myślała; intelektualistka. Słyszał kiedyś, że wspinaczka górską ma w sobie element intelektualny, że to sport dla intelektualistów, gra w szachy, a przeciwnikiem jest natura. Tak czy inaczej podobała mu się, pociągała go; nie tylko swym powabem, który musiał działać na wielu mężczyzn. Było to coś więcej; ujęła go myśląca istota w ciele amazonki. Co za ciało. W żółtym namiocie - cóż tam się

mogło działać - fantazja podsuwała mu obraz tego ciała na nim, w jednym śpiworze...

Po chwili ze zdumieniem stwierdził, że schodzą po ostatnim usypisku kamieni na białą płaszczyznę jeziora Vida. Na jednym końcu jeziora stała grupka jasnych namiotów i Val skierowała się właśnie w tę stronę. Gdy zbliżali się do obozu, odwróciła się do Wade'a z uśmiechem.

- Z powrotem do pracy - powiedziała.

Serce mu się ścisnęło; poczuł, że na twarzy ma podobny uśmiech, który z pewnością go zdradził, jeśli Val go zauważyła.

Weszli do obozu. Val wyjaśniła mu, że jest to miejsce nad jeziorem Vida wyznaczone przez NFN, w którym rozbija namioty każda idąca tędy grupa; położone na ławie tuż nad jeziorem, pod splekaną ścianą Schist Peak i oznaczone kopcami z kamieni i kamienną latryną; nic nie rzucało się w oczy i nie psuło wspaniałego krajobrazu: był to punkt przecięcia dolin Victoria i McKelvey, gdzie wszystko wydawało się ogromne. Kamienne znaki były jednak niczym w porównaniu z jaskrawymi kolorami namiotów. W obozie stało pół tuzina igloo, w których turyści spali, a w środku wznosił się zielony namiot jadalnia, o wiele większy od namiotów Scotta w obozie naukowców.

Jak wszędzie, gdzie Wade był dotychczas, obóz z początku wydawał się opuszczony. Absurdalna konstrukcja z kolorowych klocków dla dzieci, rozrzuconych wśród kamiennego ogromu. Val podeszła do wspólnego namiotu i wołając z daleka na powitanie, wsadziła głowę do środka.

Natychmiast zaproszono ich do namiotu; był tam przewodnik imieniem Karl i grupa jego dziesięciorga podopiecznych. Chodzili z plecakami po Suchych Dolinach od obozu do obozu; przebywali tu już od dziesięciu dni, a zostało im tylko kilka; w większości wąsate towarzystwo - w grupie były tylko trzy kobiety - i z tłustymi, zlepionymi włosami, które Wade widział też u naukowców, a ostatnio u siebie. Przy gorących napojach i słonych zakąskach z zapałem opowiadali o trasie swej wycieczki: helikopter wysadził ich na Górnym Lodowcu Wright tuż pod Lodospadami Airdevronsix, potem pieszo przebyli Labirynt, minęli Podium, jezioro Vanda i wzdłuż rzeki Onyx doszli do jeziora Brownworth; wspięli się na Lodowiec Clarka, założyli raki i pokonali go, potem minęli jezioro Clarka i przebyli strome wydmy doliny Victoria, by wreszcie znaleźć się w obozie. Stąd zamierzali iść doliną McKeWey aż do skraju strefy zamkniętej, przez Przełęcz Buli i z powrotem do jeziora Vanda.

Dłuższy szlak wiódł przez łańcuch Asgaard, gdzie każda trasa była trudna, potem w dół doliny Taylor do obozu nad jeziorem Hoare albo nawet Nowego Portu, skąd skuterem śnieżnym lub poduszkowcem można było pokonać cieśninę McMurdo, zależnie od pory roku; ta wycieczka wybrała jednak krótszą trasę i helikopter miał ich zabrać z jeziora Vanda.

Większości tych wyjaśnień udzielili im dwaj mężczyźni, pokazując wszystkie miejsca na sfatygowanej mapie, natomiast przewodnik oraz reszta siedzieli z tyłu, nie przerywając im. Wyższy z mężczyzn, ciemny blondyn, był przystojnym Amerykaninem i zwracał się tylko do Val, która, jak sądził Wade, musiała najdokładniej znać program wszystkich wycieczek. Mężczyzna był ironiczny, co na swój sposób mogło być czarujące, lecz niewiele mieściło się w tym autentycznego dowcipu. Val słuchała uprzejmie, uśmiechając się w odpowiednich momentach, ale Wade zauważył, że rozmowa nie interesowała jej w tym stopniu, co dyskusja z naukowcami w Barwick.

- I tu kończy się Wielkie Okrążenie Suchych Dolin - powiedział Amerykanin.

- To w drogę - odezwał się inny trekker. - Potem chcę jechać do Nowej "Gwinei.

- Nie, na Tahiti.

Roześmiali się.

- Tu jest tak strasznie zimno - powiedział jeden z nich.

- I wszędzie jest to samo - dodał inny.

- I wszystko jest o wiele większe niż się wydaje - idzie się doliną i ma wrażenie, że to potrwa godzinę, a droga ciągnie się cały dzień. To odwrotność Himalajów. Dolina Wright ciągnie się bez końca.

- Dlatego, że nie ma tu mgieł.

- To przez zimno.

- Brak drzew.

- Może dlatego, że helikopterem przelecieliśmy całą drogę w dziesięć minut.

- Wszystko jedno. W każdym razie mnie wystarczy. Byłem tu, zrobiłem to.

Inni prychnęli pogardliwie, słysząc ową opinię.

- Przecież tu jest pięknie! Wszystko takie ogromne! I piękne!

Jednak zdaniem Wade'a piękna tego miejsca nie sposób było wyrazić, używając języka, jakim posługiwali się ci ludzie. Ale tak właśnie mówiono, kiedy ktoś był pod wrażeniem krajobrazu - tak zmalał zasób słów niektórych ludzi. Zubożony, jak Forbes powiedział do Michelsona, mając na myśli jakąś część osadu skalnego. Lecz gdyby Wade powiedział głośno, że to nie piękne, tylko wzniosłe, nikt by nie zrozumiał różnicy. Nie otwierał więc ust i słuchał tych banałów, tkwiąc w bagnie amerykańskiego bełkotu, który karmi się bezmyślnością typu talk-show...

- Samo w sobie jest nudne.

Być może, pomyślał Wade, bez nauki, bez polityki, kiedy się tylko łązi tu i tam - może stać się nudne. Nic tylko opieprzaństwo.

Przewodnik grupy uśmiechał się z obowiązku, słysząc tę falę krytyki, wygłaszanej jednak wesołym tonem, jak gdyby turyści chcieli mu niewinnie dokuczyć. Ci ludzie z pewnością po powrocie do domu będą piali z zachwytu nad tą wyprawą. Przewodnik kiwał więc głową i wzruszał ramionami, jakby nieraz już to słyszał i odgryzał się jak umiał. Ot, pogawędka z nową grupą.

- Powiedz, Val - rzekł, kiedy dali mu na chwilę spokój. - Gdzie się potem wybierasz?

- Amundsen - odpowiedziała.

- My też tam idziemy! - krzyknął przystojny dryblas, zerkając na Val i swojego kolegę. - Valerie Kenning?

- To ja - odparta obojętnie Val. - Zapowiada się niezła wyprawa.

Ten drugi powiedział:

- Słyszałem, że Axel Heiberg stał się wyjątkowo trudny.

Val wzruszyła ramionami.

- Na czołowej ścianie faktycznie jest dość stromo. Ale jeżeli w tym roku będzie kiepsko - rzuciła przelotne spojrzenie na przystojniaka, o którym Wade zaczął myśleć "ono" - wybierzemy szlak do schodzenia i zaoszczędzimy trochę energii.

- Damy radę oryginalnym szlakiem - zapewnił ją z przekonaniem dryblas.

- Mhm - odparła Val z zachęcającym uśmiechem.

Wade przypomniał sobie trzy reguły przewodników górskich i pomyślał w duchu: Jakie szczęście, że nie poznałem jej jako klient z grupy trekkingowej, ale występując w trochę innej roli! Mimo że był Specjalnym Gościem - ależ to brzmi - lepsze to jednak niż wycieczkowicz. Patrzył, jak wesoło rozmawia z grupą turystów i przyszło mu do głowy, że za parę godzin przyleci po nich helikopter, zabierze ich z powrotem do McMurdo i być może ostatni raz widzi Valerie Kenning. I poczuł się jakoś nieswojo.

Val siedziała we wspólnym namiocie trekkerów, ze wszystkich sił starając się ukryć zirytowanie z powodu tych dwóch ludzi, którzy mieli uczestniczyć w prowadzonej przez nią wyprawie śladami Amundsena. Ścisłe rzecz biorąc, chodziło przede wszystkim o jednego z nich;

drugi, Jim McFerris, był po prostu przytakującym mu bez przerwy kumplem, ale to ten wysoki facet, któremu gęba się nie zamykała, Jack Michaels, będzie zapewne prawdziwą zmorą wyprawy. Sposób, w jaki na nią patrzył i jak zwracał się do innych, zadowolony i pewny siebie, jak gdyby uważał się za gwiazdę filmową, szczególnie drażnił Val. Nie cierpiała takiego sposobu bycia. Woń zepsutego testosteronu wywoływała w niej mdłości i nawet na najłżejszy powiew tego szczególnego zapaszku robiło się jej niedobrze. Siedziała więc na jednym z superlekkich, lecz mało stabilnych krzesełek turystycznych przy końcu wspólnego stołu, bardziej pogodna i radosna niż zwykle; był to jej stary chwyt, którego nauczyła się jeszcze w szkole - czasem czuła nagły przypływ gniewu, często niewiadomego pochodzenia, ale wyjątkowo gwałtowny, a ponieważ wściekły krzyk był czymś niestosownym, odkryła, że potrzebę zrugania kogoś można z powodzeniem zaspokoić, kłamiąc w żywe oczy i potakując z promiennym uśmiechem. Ukrywanie prawdziwych odczuć i pokazywanie ludziom wyzywająco zadowolonej twarzy zawsze działało zaskakująco dobrze, na kilka różnych sposobów.

Siedziała więc rozradowana wśród trekkerów, chociaż była to chyba dość marna grupa, co potwierdziło rzucone ukradkiem, znaczące spojrzenie Karla. Perspektywa prowadzenia ich trudnym szlakiem śladami polarnej wyprawy Amundsena była doprawdy niewesoła, zwłaszcza że problemy stwarzać będą na pewno Jack i Jim. Oto Jack opowiadał na pozór swoim towarzyszom o wycieczce kajakiem po Dudh Khosi - ach, nie, mówi już o wspinaczce na Matterhorn - a spojrzenia obecnych świadczyły, że słyszeli owe relacje wiele razy i dobrze wiedzieli, że Jack w rzeczywistości opowiada o tym Val, od niechcenia rzucając okiem na kolegów, lecz spogląda na nią, starając się wciągnąć dziewczynę do audytorium. Mężczyźni tacy jak on przypominali foki, pokryte grubą warstwą tłuszczu samouwielbienia. Ten jednak wyraźnie interesował się Val; patrzył na nią, starał się dziewczynę czarować, zaimponować referencjami doświadczonego obieżyświata, które zamierzał przedstawić w najdrobniejszych szczegółach. Typowe. Oceniał ją podobnie jak wszyscy: uznał, że jest pogodnym, wysportowanym i bezmyślnym stworzeniem, i z pewnością nie ma takiej wiedzy jak on, ale chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej o dalekim świecie, który on tak dobrze znał.

Ależ gównie. Wszystko przez jej wygląd. Gdyby była niska, nieładna i nie rzucała się w oczy, Jack poświęciłby jej o wiele mniej uwagi i być może miałyby okazję zobaczyć go prawdziwego; teraz jakby oślepił ją jakiś blask i źrenice zwęziły się do minimalnych rozmiarów; wpatrywała się w światłocień namiotu, z zimną krwią roztaczając przed siedzącymi w nim ludźmi swoją rutynową radość z taką siłą, że po chwili miała wszystkich w garści; do całości obrazu brakowało tylko czterogłosowego chóru, śpiewającego w harmoniach o dziewczynach z Kalifornii.

Nic dziwnego, że Wade patrzył na nią zagadkowo, bez wątpienia skonsternowany. Ale o ileż inaczej było siedzieć w ciasnym namiocie Scotta, wokół syczącej maszyny i rozmawiać o geologii i polityce, o Antarktydzie poniżej poziomu lądu, niedostępnej dla soczewek obiektywów. Przy tamtych ludziach umiała się odprężyć i po prostu być sobą; czuła wówczas wielką ulgę, stawała się miłsza i zapewne bardziej atrakcyjna. Wszyscy tam byli tacy normalni i dlatego zasłużyli sobie na normalne traktowanie.

Właśnie to tak bardzo podobało jej się w Wadzie; jego stosunek do niej był taki sam, jak do jajogłowych, których poznał w obozie; im bardziej jednak nią się interesował, tym więcej o niej wiedział i tym częściej rozmawiali o wszystkim. Właśnie to jej się podobało; właśnie tego wręcz się domagała. Jeżeli chodzi o zachowanie mężczyzn wobec niej, była wymagająca i nietolerancyjna. Wiedziała o tym; od dawna nic się nie zmieniło. I było coraz gorzej.

Bo uroda to dopust boży. Jest coraz gorzej, bo uroda to dopust boży... na cztery głosy. Nie przypominała sobie, żeby Beach Boysi śpiewali taki kawałek, ale plażowe panienki (na wyciągnięcie

ręki) mogłyby o tym powiedzieć Brianowi, gdyby mógł je usłyszeć przez własną warstwę trującego tłuszczu.

Uroda to dopust boży. Oczywiście, przez nią była zauważana, ale nie o to chodziło. Val przez swój wygląd zawsze zwracała na siebie uwagę, lecz tego nie cierpiała. Nie lubiła, gdy się nią interesowano. Dlatego jeszcze w szkole średniej w każdy weekend urywała się w góry, a potem zaczęła po nich łązić bez przerwy, kiedy tylko skończyła się szkoła - cztery samotne lata w więzieniu amerykańskiego snu.

Tak czy inaczej, to było głupie - w najlepszym razie głupie. Nie uważała, że jest bardzo ładna, jeśli dobre się przypatrzeć; nie miała urody modelki - jej twarz w lustrze wydawała się całkiem zwyczajna i pełna krostek. Mężczyźni mylili się co do jej urody, jak zresztą w wielu innych sprawach. Była po prostu wysoką, dobrze zbudowaną blondynką o twarzy, którą można określić co najwyżej jako sympatyczna - o regularnych rysach, miła, choć może trochę zbyt radosna. I to wystarczało, by mężczyźni kłamali jej przez całe życie. Mijając ją samochodami, powodowali wypadki. Raz jakiś facet z piskiem opon zahamował na parkingu swoją toyotą-pickupem tuż przed nią, wystawił głowę przez okienko i krzyknął do niej na całe gardło: "Wyjdiesz za mnie?!"

Ten incydent szczególnie ją rozbawił, ponieważ przynajmniej facet szczerze i bez ogródek wyłuszczył swoje zamiary; lecz później stał się dla niej najbardziej wyrazistym dowodem na to, kim naprawdę była dla interesujących się nią mężczyzn. Nie miało znaczenia, jaka jest naprawdę; liczył się tylko wygląd - to dla niego mężczyźni naciskali hamulce i rzucali się do jej stóp. Cóż miała na to odpowiedzieć? Co miała począć z obcymi facetami, tłoczącymi się wokół niej i wrzeszczącymi: ja, ja, ja, bądź moja, zawsze cię będę kochał, wyjdiesz za mnie?! Jasne, że kierowały nimi znacznie niższe pobudki. Od samego początku ujawniali się więc jako ludzie o chorych zasadach, żalotne półgłówki, czasem tak jak ona niepewni własnego charakteru, a czasem idiotycznie pewni, że są najwspanialsii pod słońcem; ale i jedni i drudzy okazywali się nic warci, ich zainteresowanie było beznadziejne, głupie, irytujące, czasem nawet niebezpieczne, często doprowadzało ją do szału. Wściekała się przez nich.

Byli też oczywiście tacy, którzy, jak potem twierdzili, przelecieli ją i zostawili; przez tych bała się, wahała, ale i wściekała. Kilku z nich naprawdę kochała albo tak jej się wydawało; ci nie zaczynali znajomości z nią w tak idiotyczny sposób jak niektórzy, więc sądziła, że są inni; ale nic z tego. Dlaczego tak się działo, skoro była atrakcyjna? Uważali, że za dużo w niej suki, by mog nią być? A może była nudna? Nie, to nie to. Zawsze miała kłopoty z wyrażaniem własnych myśli; to, co mówiła głośno, jakimś dziwnym trafem zmieniało się we frazes, banał, będący tylko cieniem myśli, która naprawdę była znacznie ciekawsza. Nigdy nie nauczyła się sztuczki łapania w locie ważnych myśli, a gdy zdołała je chwycić i ubrać w odpowiednie słowa, często pakowała się w największe tarapaty, przekonując ludzi (facetów), że jest podła lub po prostu dziwna. Miała więc wybór: mdła słodycz albo żółć - albo trzymać język za zębami. Albo iść w góry, samotnie. To było najlepsze wyjście.

A później, żeby zarobić na życie, prowadziła na szlak grupy nieznanymi ludzi i cały czas działała jak na automatycznym pilocie, grając rolę szczęśliwej kobiety z gór, matki Ziemi, ducha natury, filozofa tężyzny fizycznej, dzikiej kobiety. Tą rolą do pewnego stopnia przesiąkła i sama stała się graną przez siebie postacią; narzuciła innym swoją rolę, jakby ciskała im w twarz piłkę nie do obrony; dobrze jej z tym było. Pozbywała się cynizmu i nieufności, co przynosiło ulgę. Trzymanie klientów na dystans było uzasadnione i stosowne; łączyły ich stosunki zawodowe, w ramach których mogła utrzymywać poprawne stosunki z miłymi mężczyznami, traktującymi ją tylko i wyłącznie jak przewodnika. Wystarczały jej relacje klient/przewodnik chociaż czasem miały charakter relacji

uczeń/nauczyciel albo nawet dziecko/rodzic, w zależności od tego, jakie role grali jej podopieczni. Opiekowała się ludźmi. Nawiązała wiele całkiem miłych kontaktów. Ale nie miała szczęścia do relacji męsko-damskich. Za dużo zmor, które w tym przeszkadzały. Pragnęła spokoju.

Niestety Antarktyda nie była najlepszym miejscem na wytchnienie. Stosunek liczby mężczyzn do kobiet ciągle utrzymywał się na poziomie siedemdziesiąt do trzydziestu i wszyscy byli jeszcze bardziej zwariowani niż w normalnym świecie. Kobiety często popadały tu w gorączkową euforię, zwłaszcza te, które nigdy nie miały szczególnego powodzenia; tu rozkoszowały się męskim zainteresowaniem, używały sobie na całego, łamiąc serca z równą łatwością, jakby patroszyły złowione przez siebie rybki. Sama tak z początku robiła. Pewnie trochę z zemsty. Wobec atakującego zewsząd testosteronu kobiety wariowały albo śmiały się głośno i mówiły "nie" całej gromadzie. Niektóre miały więcej oleju w głowie i bacznie się rozglądały za tym jednym, który mógłby się spodobać. W końcu było tu sporo facetów. Jak mówiły kobiety w McMurdo, szansę wygranej są duże, ale wygrane różne. Selekcja trwała więc jakiś czas - trzeba było wypróbować kilku, zanim się znalazło odpowiedniego. Co mogło wyglądać jak uganianie się za facetami.

I sprawiało kłopoty. Jeżeli spojrzeć na życie miłosne kobiet w lodowej krainie, przypominało ono perypetie bohaterki oper mydlanych. Kończyły jeden romans i już zaczynały następny. Niektóre przyjeżdżały tu na jednosezonowy kontrakt, te z ZLA. Oczywiście, dziewięć na dziesięć romansów miało smutny finał.

Jej przytrafiła się niestety ta historia z Iksem. Miał wiele cech, które lubiła - wysoki, łagodny, inteligentny. Jak mawiał Steve, dokuczając jej nawet pod koniec własnego życia, był akurat w jej typie. Tu wymieniał mnóstwo pozytywnych, najważniejszych cech: godny zaufania, lojalny, uczynny, miły, uprzejmy, posłuszny, pogodny, oszczędny, dzielny, czysty i pełen szacunku. Jak Steve. No, może niezupełnie. W każdym razie Iks miał sporo zalet, ale był przy tym idealistą, melancholikiem, był przeintelektualizowany, naiwny, skryty, uległy, niewysportowany, dziwnie bierny; i choć miała dosyć męskiej agresji, musiała jednak przyznać, że lubi odrobinę fantazji w mężczyźnie, trochę ognia i klasy, czego nie miał Iks. Ciągle narzekał na panujący tu system, ale zamiast się ruszyć, co dla Val zawsze było najlepszym sposobem na frustrację, snuł się bez celu tu i tam. Za dużo miał w sobie spokoju. Poza tym był młodszy od Val o cztery lata, dlatego też często traktowała go jak dzieciaka, jak studenta, choć ściśle rzecz biorąc, był już za stary na studiowanie.

Trochę się więc denerwowała podczas ich wakacji w Nowej Zelandii.

Na nic się zdało jego posłuszeństwo wobec autorytetu górskiego przewodnika, kiedy wspinali się na całkiem łatwe wzniesienie Ostrogi Bealey, a on rzucił jakąś uszczypliwą uwagę o narzuconym przez nią drylu; miała tego tak serdecznie dosyć, że nie potrafiła nawet wyrazić oburzenia. Za każdym razem, kiedy ktoś wspominał coś na ten temat albo nawet sugerował spojrzeniem, tak ją to wściekało, że cała wyprawa brała w łeb. A zdarzało się tak na każdej wyprawie. Nawet podczas wspinaczki na pokryte roślinnością góry, szlakiem łatwym jak ruchome schody.

Pozegnali się więc i Val odleciała do Stanów. Nie mając konkretnych planów, błąkała się przez cały czas po różnych miejscach, gdzie można się było wspinać. Dawniej wszystkie przerwy w pracy na Antarktydzie spędzała z babcią na starej rodzinnej farmie, która stanowiła dla niej prawdziwą i jedyną przystań. Opiekowała się staruszką, która na swój sposób opiekowała się nią, lecz dwa lata temu Annie umarła, kiedy Val była na Antarktydzie i odtąd nie miała już dokąd jechać po zakończeniu wyprawy. To były dziwne miesiące. Zanim wróciła na lód, zdążyła stracić całe zainteresowanie Iksem. Styl życia na Mac, dzielący czas na lodowy i pozalodowy, niedobrze wpływał nawet na udane związki damsko-męskie, a jeśli związek nie był zbyt mocny, długie przerwy bardzo ułatwiały zerwanie. Kiedy więc wróciła do Mac, zaczęła szukać pretekstu, by rozstać się z Iksem, z czego

zdała sobie sprawę dopiero później. Idealnym pretekstem stał się nowy przewodnik imieniem Mike, z którym przynajmniej na początku znajomości łączyła pewną nadzieję; musiała przyznać, że ją oczarował. Wkrótce okazało się, że Mike cierpi na zaawansowane stadium tego, co Val nazywała syndromem wspinacza, który polegał na tak głębokim zainteresowaniu własną osobą, że nie sposób było go zmierzyć; w porównaniu z nim zwykła męska otoczka (foczy tłuszcz) była niczym więcej niż cieniutką podskórną warstwą, z którą trzeba było sobie radzić. Mike oczywiście lubił z nią sypiać, ale minął miesiąc i nie zdołał niczego się o niej dowiedzieć; pewnie nie umiałby sobie nawet przypomnieć, jak miała na nazwisko. W dwa dni Wade Norton dowiedział się o niej tysiąc razy więcej. Powiedziała więc Mike'owi cześć; teraz Iks wyjeżdżał z Mac, a ona nawet go nie przeprosiła. Uganianie się za facetami miało się więc znowu zacząć. Albo i nie. W każdym razie zdobyła jeszcze jedno bolesne doświadczenie. Musiała przyznać, że właśnie ona tym razem schrzaniła sprawę.

W drodze powrotnej do McMurdo Wade siedział obok niej w bocznym przedziale kabiny śmigłowca, gdzie byli tylko oni. Silnik ryczał tak, że prawie się nie słyszeli, ale mogli się porozumieć, krzycząc sobie prosto do ucha. Spoglądając na połyskujące w dole lodowe morze, wymieniali spostrzeżenia. Myśląc o ich miłej wycieczce, skrzywiła się; teraz miała opuścić tego inteligentnego, uprzejmego, na pewno interesującego, w pewien sposób subtelnego, lecz zamkniętego w sobie mężczyznę i wyruszyć z Jackiem, Jimem oraz resztą klientów na wyprawę śladami Amundsena! Ponura perspektywa. Bardzo polubiła tego człowieka; miał w sobie spokój, który jej się podobał, ale i fantazję, którą także podziwiała - ważna figura z Waszyngtonu - miał także przewrotne poczucie humoru; poświęcał tyle uwagi jajogłowym w dolinie, jakby tylko oni na świecie go obchodzili; jej również poświęcał wiele uwagi, ale jako przewodnikowi, komuś, kto ma kłopoty w pracy, podobnie jak wiele osób; nie roztrząsał z nią waszyngtońskiej polityki ani sytuacji światowej, po prostu rozmawiali, interesując się sobą. Teraz oczywiście wyjedzie i to niebawem. Zawsze tak było.

- Masz jakieś rodzeństwo? - krzyknął jej do ucha.

Zdziwiła się.

- Nie - odkrzyknęła.

- Jedynaczka? - Zdziwionym tonem.

Patrzył na góry lodowe.

- Nie - powiedziała mu do ucha, zdziwiona własnymi słowami. Nigdy o tym nie mówiła. -

Miałam brata, ale umarł.

Skinął głową: popatrzył na nią przelotnie i wrócił spojrzeniem na lód.

Przez resztę drogi siedział obok niej i patrzył na lód, przyciśnięty ramieniem do jej ramienia, biodrem do jej biodra, nogą do jej nogi. Nacisk jego ciała mówił: "Przykro mi". Mówił też: "Nie wiem, co powiedzieć". Rzeczywiście.

Pocieszał ją tak jak Steve w ostatnim roku życia, siedząc przy niej i obejmując ją bez słowa ramieniem. Gdy jedno miało szesnaście, a drugie dwanaście lat, nie umieli wymyślić żadnych sensownych słów pocieszenia. Val przyglądała się żeglującym kawałom lodu pod nimi. Lubiała tego mężczyznę, który miał wkrótce wyjechać.

Z powrotem w Mac. Pograżona w myślach poszła do swojego pokoju.

Miała jedenaście lat, kiedy dowiedziała się, że coś jest nie tak. Wyjaśniono jej, że Steve jest chory, że ma mononukleozę i zanim wyzdrowieje, minie trochę czasu. Był w szpitalu, a potem zabrali go do Houston, do szpitala specjalistycznego. Właśnie wtedy powiedzieli jej, że to białaczka. Nie było go przez całe miesiące, ale przyjeżdżał w odwiedziny. Później nie pamiętała już z nich za wiele;

przeżyła szok, gdy zobaczyła, jaki jest chudy i jak wolno się porusza. Wszystkie jego mięśnie wydawały się zeszywniałe, nawet usta, dlatego miał trudności z mówieniem.

Przez większość czasu, jaki wówczas spędzali razem, grali w grę planszową, którą Steve bardzo lubił, kiedy byli młodszy. Nie mogła już sobie przypomnieć jej zasad, ale pamiętała, że plansza przedstawiała mapę świata i gra dotyczyła pogody; pionek stawiało się na przezroczystym kwadracie na wycinku mapy, a jeżeli wyrzuciło się szóstkę na kostkach, przesuwało się kwadrat do innej części mapy. Coś mniej więcej takiego. Grali w to godzinami, prawie się nie odzywając. Val miała wrażenie, że Steve w Houston bardzo szybko dorósł i przez to, co mu się przytrafiło, był już niemal dorosły. Patrzył na nią z wielkiego dystansu. Kiedyś udało mu się wyrzucić po dwie szóstki dwa razy z rzędu, potem trzy razy; cztery razy; pięć razy. Za każdym razem przesuwał się do następnego wycinka mapy. Następnie wyrzucił sześć razy z rzędu dwie szóstki za każdym razem. Patrzyli na siebie ponad planszą, potem spojrzeli na kostki, czując się nieswojo; mieli świadomość, że dzieje się coś dziwnego. "Chyba tym razem mi się nie uda", powiedział, więc Val przerwała jego kolejkę i sama rzuciła kostkami.

Zostało jej tylko to wspomnienie - długich godzin spędzonych na grze i jeszcze kilka innych obrazów, gdy Steve powoli szedł korytarzem na swoich pałkowatych nogach, żeby odłożyć grę na miejsce. Albo kiedy ostatni raz wyjeżdżał do Houston i powiedział do niej: "To na razie", a ona odpowiedziała: "Na razie".

Potem dokazywała na lekcji historii, a pod koniec lekcji przyszedł pan Sanders i wyprowadził ją na korytarz; był bardzo poważny, oznajmił, że bardzo mu przykro, ale umarł jej brat, i Val musi iść do domu. Przypomniała sobie, jak patrzyła z balkonu na piętrze na parking, na którym stały w nieładzie samochody nauczycieli i na korty tenisowe za siatką po lewej.

Umarł jej brat, Steve. Był od niej wyższy i silniejszy, miał w sobie więcej życia; nauczył ją kochać ruch na świeżym powietrzu i zawsze wszędzie ją ze sobą zabierał, podczas gdy wielu starszych braci nigdy tego nie robiło.

Mogła na nim polegać. Lojalny, uczynny, sympatyczny, uprzejmy... Był jej bohaterem.

I już nigdy nikt inny nie wydał jej się taki. Stanowił dla niej niedościgły wzór zachowania. Niewątpliwie zbyt łatwo się denerwowała. Właśnie owa cecha leżała u podstaw tego, co jej się często przydarzało. Niesamowicie, w jak wielkim stopniu sami tworzymy własną rzeczywistość. Wyobraźnia ma jakiś związek z rzeczywistą sytuacją; ale potem wydarza się rzeczywista sytuacja, fakt po fakcie, nad którymi z reguły nie mamy władzy, lecz wiele innych wynika bezpośrednio z działania naszej wyobraźni. Wiedziała więc, że jej kłopoty nie wypływają z faktu, że często mężczyźni są do kitu; bo czasem wcale nie byli, a mimo to niszczyła związki z nimi, czasem nawet i z tymi, którzy naprawdę jej się podobali. Ale żaden z nich nie był taki jak Steve. Prędzej czy później sprawiali jej zawód i wtedy wybuchała. I stawała się coraz bardziej kapryśna. Coraz łatwiej wpadała w szał. Jak gdyby się wypaliła; zajęcie przewodnika górskiego było ostatnią rzeczą, jakiej powinna w życiu próbować.

Chciała być plenerowym terapeutą, sama potrzebując terapii. Potrzebowała długich wakacji od ludzi w ogóle. Musiała znaleźć mężczyznę, którego by naprawdę i szczerze polubiła. Szansę wygranej są duże, ale wygrane różne.

Nie tylko w Mac.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ŚLADAMI AMUNDSENA

Lecąc helikopterem nad Morzem Rossa, nie mogę się oprzeć wspomnieniu o ekspedycji Shackletona z 1908 roku, jednej z najwspanialszych w historii Antarktydy, choć dziś niewielu o niej pamięta. Lodowe morze pod nami usiane jest teraz fragmentami starego lodowca szelfowego - wielkimi, białymi wyspami o pochylonych, urwistych ścianach; nie opisze ich żaden język, cieszę się, że widzicie ten obraz i nie muszę próbować opisywać go słowami. Lecimy z prędkością stu kilometrów na godzinę, może dwieście metrów nad górami lodowymi", niczym bogowie przemykamy nad powierzchnią świata! Lecząc dla Shackletona i jego ludzi droga nie była taka łatwa.

Kiedy Shackleton postanowił wrócić na Antarktydę, po tym jak Scott wysłał go do domu, nie spotkał się z entuzjastycznym poparciem ze strony Marynarki Brytyjskiej ani Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Pieniądze udało mu się zebrać dzięki własnym staraniom; wsparli go bogaci mecenasi angielscy; w 1908 roku wrócił więc na południe z własną załogą. Tymczasem Scott sam organizował kolejną wyprawę na południe oficjalnymi kanałami Marynarki oraz Towarzystwa Królewskiego i był oburzony ekspedycją Shackletona. Uważał, że powinien mieć wyłączność na próbę zdobycia bieguna, jak gdyby był świętym Jerzym i tylko on miał prawo walczyć ze smokiem do jego lub własnej śmierci. Każdy, kto by śmiał wystąpić przeciw temu przekonaniu, był dla niego zdrajcą.

Jednak Shackleton napisał do niego z prośbą, by Scott pozwolił mu skorzystać z chaty, którą zbudowali podczas pierwszej wyprawy i którą ostatnio zwiedzaliśmy w McMurdo. Scott odmówił! Co więcej, otwarcie oświadczył, że nikomu poza nim nie wolno podejmować próby zdobycia bieguna z Wyspy Rossa i Shackleton musi zatrzymać się w punkcie położonym na wschód od pewnej długości geograficznej, co oznaczało, że zmuszony był lądować po drugiej stronie Morza Rossa.

Shackleton przystał na te warunki! Brytyjczycy są doprawdy dziwni.

Grali w grę, która miała początek jeszcze w średniowieczu. Lecz nie powinniśmy się temu dziwić, gdyż wszystkie opowieści są nieśmiertelne i żyją zawsze, a tych ludzi przez całe życie karmiono historiami o średniowiecznych rycerzach. Pomyślmy o sobie, ileż razy stawaliśmy w szranki o miłość lub honor.

Shackleton dał więc słowo Scottowi, że nie pojedzie na Wyspę Rossa, jeśli nie będzie to sprawa życia lub śmierci. Scott zrozumiał to oczywiście jako "sprawa ocalenia naszego życia".

Lecz po drugiej stronie Morza Rossa Shackleton nie mógł znaleźć odpowiedniej bazy. Tam, gdzie teraz spoglądam, nie ma wysp takich jak Wyspa Rossa - ponieważ nigdzie indziej na Ziemi nie ma tak potężnych gór jak Erebus - to niepowtarzalna niezwykłość, meteor ognistego ch'i. Po drugiej stronie zatoki linia brzegowa jest zatopiona w lodzie i przybyszom w maleńkich statkach ukazała się tylko krawędź tego, co Ross trafnie nazwał Wielką Barierą Lodową. Shackleton nie zaufał Lodowej Barierze, w przeciwieństwie do Amundsena, który postanowił zaryzykować kilka lat później. Amundsen wspinał się na szelf lodowy w punkcie, który wyglądał na stałe wcięcie w ścianie; spoglądając na śnieżną przestrzeń na południe, doszedł do wniosku, że musi tam istnieć niżej położona wyspa, co później potwierdzono i nazwano ją Wyspą Roosevelta. Był to dobry przykład feng shui. Na tej podstawie Amundsen stwierdził, że lód Zatoki Wielorybów utrzyma się przez sześć miesięcy, które zamierzał tam spędzić. Było to ryzykowne, bo nawet stabilny lód od czasu do czasu odłamuje się i płynie do morza; jednak było to ryzyko wkalkulowane. Shackleton jednak wiedział za mało, by móc dokonywać takich kalkulacji. Równocześnie był ostrożny i wszystko dokładnie

planował. Tylko to pozwoliło mu dotrzeć tak daleko na południe, mimo kiepskiej znajomości sztuki radzenia sobie na śniegu.

Wrócił więc na Wyspę Rossa! Nieszczęśnik! Złamanie przyrzeczenia złożonego Scottowi bardzo go dręczyło; przez tydzień nie mógł zasnąć; napisał przepojony cierpieniem list do żony, w którym wyjaśniał, że zmienił nieco treść przyrzeczenia - nie wyląduje na Wyspie Rossa, jeżeli nie będzie to sprawa powodzenia lub klęski wyprawy. Ale nie był zbyt zadowolony z tego sformułowania. Scott też nie.

Shackleton zbudował nową chatę na brzegu Wyspy Rossa, dwadzieścia mil od domku Scotta. Nie korzystał z jego baraku, jeżeli nie był do tego zmuszony i zwykle rozbijał jeszcze kilka namiotów. Ludzie twierdzili, że wewnątrz namiotów jest zimniej niż na zewnątrz, które to osobliwe zjawisko obserwowano potem wielokrotnie. Z czasem zapomniał o swej średniowiecznej przysiędze i przygotowywał wyprawę. W końcu antarktyczną wiosną, w październiku 1908 roku, wyruszył ze swoimi ludźmi w kierunku bieguna.

Był lepszym przywódcą niż Scott i nauczył się paru rzeczy o podróży z saniami. Nie używał nart - błąd w wyekwipowaniu, nawet jeśli ktoś decyduje się sam ciągnąć sanie. Zabrał za to koniki pony, które po doprowadzeniu do punktów składu żywności zabijali i zostawiali jako zapas żywności, podobnie jak Amundsen zrobił to później ze swoimi psami.

Tak więc Shackleton, jego ludzie i kucyki ciągnęli sanie przez lód, który teraz widzicie w dole, wówczas oczywiście grubszy, płaski i gładki. My od godziny lecimy już z prędkością stu kilometrów na godzinę i nie widać końca; nawet Góry Transantarktyczne wciąż są za horyzontem przed nami i pojawią się dopiero za kilka godzin. Jak możecie sobie wyobrazić, ci ludzie ciągnęli sanie przez parę tygodni, by pokonać tę przestrzeń pod nami.

Wreszcie kiedy ujrzeli ziemię, odkryli Lodowiec Beardmore, czyli Wielki Lodowiec, jak go najpierw trafnie nazwali, który wylewał się z gór z tak wysoka, że nie mogli dojrzec początku. Czterej mężczyźni wciągali sanie na Wielki Lodowiec, radząc sobie o niebo lepiej niż Scott, Wilson i Shackleton w roku 1902.

Lecz pod każdym innym względem gonili resztką sił. Już na płaskowyżu polarnym zaczęli się załamywać. Cierpieli straszliwy głód; by zmniejszyć swoje brzemie, zostawili mnóstwo ubrań, tak więc mieli na sobie tylko ciepłą bieliznę, swetry i kurtki; byli tak zziębnięci, że gdy doktor Marshall próbował im zmierzyć temperaturę, nikt poza nim nie miał więcej niż minimum skali termometru - 94,2 stopnia Fahrenheita. Naprawdę było im zimno!

Mimo to uparcie ciągnęli sanie przez polarną czaszę lodu, aż do chwili, gdy od celu dzielił ich tydzień marszu. Po dwóch miesiącach ciągnięcia sań przez śnieżne pustkowia i dwóch latach przygotowań do wyprawy, tylko jeden tydzień.

Zaczęło im się jednak kończyć jedzenie. Ilość, jaką zabrali ze sobą, była za mała, aby mogli utrzymać tempo marszu. Brakowało im może pięciu procent, by mieć potrzebną energię. Gdyby wyruszyli z Zatoki Wielorybów; gdyby nauczyli się marszu na nartach; kto wie. Lecz jeszcze nie tym razem.

Shackleton zdał sobie z tego sprawę na płaskowyżu polarnym; dokonał obliczeń i zrozumiał, co oznaczają ich wyniki. Chciał mimo wszystko i za wszelką cenę dojść do bieguna, odrzucał myśl o wcześniejszym powrocie.

Wiedział, że Scott wykorzysta swoją szansę, mając określony szlak i sporą grupę ludzi. Wiedział, że dla niego to ostatnia szansa.

Stało się jednak jasne, że nie mogą dotrzeć do bieguna i przeżyć. Na pocieszenie, w ostatnim tygodniu Shackleton postanowił, że zbliżą się sto mil do bieguna. Jako pilot wyprawy przytomny

Marshall robił co mógł, by go przekonać, że już to zrobili. W końcu sam Shackleton postanowił zawrócić, gdy do bieguna mieli dziewięćdziesiąt siedem mil. Życie jego ludzi było w jego rękach, tak jak przed sześcioma laty jego życie było w rękach Scotta. W namiocie zanotował w swym dzienniku: "Muszę dokonywać rozsądnych ocen i mieć na uwadze życie tych, którzy są ze mną".

I zawrócili. Ostatniego dnia doszli jak najdalej na południe, po czym zawrócili. Jaką szerokość geograficzną osiągnęli? Nie pamiętam.

Lecz z pewnością ich droga powrotna udowodniła, że odwrót był konieczny. Kilka razy byli o włos od śmierci, aż w końcu Wild i Shackleton musieli rzucić się do chaty Scotta i co tchu wrócić, by uratować Marshalla i Adamsa; te rozpaczliwe wysiłki trwały około stu godzin bez przerwy, a dwa tygodnie wcześniej przeżyli zupełny upadek na szczycie Wielkiego Lodowca. Wtedy uratował ich Marshall, a Adams i Wild szli dalej, wylewając skargi na towarzyszy na karty dzienników, lecz uparcie i wytrwale prac naprzód - warczeli na siebie i szli, uśmiechali się i znosili wszystko. Podczas jednej z ostatnich rozpaczliwych nocy, jak mówi nam Huntford, słabnący Wild napisał w dzienniku, że tego ranka Shackleton "w tajemnicy przed innymi wmusił we mnie swego jedyne go biskopka, jakiego miał na śniadanie i gdybym mu na to pozwolił, wieczorem dałby mi następnego. Nie sądzę, by ktokolwiek na tym świecie mógł w pełni pojąć, ile wielkoduszności i współczucia było w tym uczynku: ja, NA BOGA, WIEM i nigdy tego nie zapomnę. Tego biskopka nie kupiłbym za tysiące funtów". Każde słowo w tym fragmencie było podkreślone.

W końcu przeżyli. Ale byłoby inaczej, gdyby wyprawa trwała dwa tygodnie, nie, dwa dni, dwie godziny dłużej! Istotnie była zaplanowana co do joty.

Shackleton wrócił do Anglii jako bohater. Niektórzy zaznaczali jego przytomność umysłu i poczucie wartości, dzięki którym zawrócił, mimo że był tak blisko celu i chwalili shen-yun tego czynu. Większość oklaskiwała osiągnięcie, jakim było wejście na płaskowyż polarny i dotarcie tak daleko na południe. Wówczas był to punkt położony najbliżej któregośkolwiek z biegunów, jaki udało się zdobyć człowiekowi. Zaś sam Shackleton po powrocie do domu powiedział do żony: "Lepiej być żywym osłem niż martwym lwem".

Przyznała mu rację.

Później, w swym ostatnim namiocie, Scott zapewne postawił tę kwestię odwrotnie, uznając, że lepiej być martwym lwem niż żywym osłem. Większość ludzi na świecie często tak właśnie uważa. Oczywiście nie można stwierdzić, czy Scott istotnie pomyślał coś takiego. Umysł Brytyjczyka jest nieodgadniony.

czarna biała skała lód Łańcuch Gór Transantarktycznych jest niepowtarzalny - nie ze względu na rodzaj skał magmowych, które można znaleźć w innych górach - lecz ze względu na lód. Całe pasmo działa jak zaporę, powstrzymująca polarną czaszę lodową. Lecąc nad górami lks widział to dokładnie, jak na makiecie. Surrealistyczny koszmar: o południowe ściany łańcucha opierało się białe morze lodu, sięgając niemal szczytów gór; po drugiej stronie, dziesięć tysięcy stóp niżej, leżało Morze Rossa; przez każdy przesmyk lód wylewał się do morza, rozdzierając skałę, tak jak woda robi wyrwy w wale przeciwpowodziowym, aż w niektórych miejscach utworzyły się rozległe koryta lodowych rzek, szerokości dwudziestu lub trzydziestu mil. W dole, jeden obok drugiego, leżało kilka największych lodowców na świecie, wciskając się w odarte czarne ściany skalne i wierzchołki, których nie sięgała lodowa powódź. Gdy lecieli na południe, lks zauważył, że część gór położona dalej została zupełnie zatopiona, a lód rozciągał się w nieskończoność gładką, białą falą, której nie mogła powstrzymać żadna zaporę. Lodowa Planeta w całej okazałości.

Mały twin otter wleciał w wyrwę utworzoną przez jedną z lodowych rzek. Był to Lodowiec Shackletona- nie taki wielki jak Byrd, Beardmore czy Nimrod, ale mimo to ogromny. Jeden z tuzina

największych lodowców na Ziemi, który z pewnością wyrzeźbiłby jeszcze szersze koryto i mógłby się mierzyć z lodowcami Byrd i Beardmore, gdyby na przeszkodzie nie stanęła mu skalna wyspa, blokując jego ruch, jak korek trzymany w miejscu przez prąd strumienia i niemal zupełnie tanlujący jego postęp.

Był to Masyw Roberta. Kiedy nad nim przelatywali, Iks spojrział przez swoje okienko, zafascynowany widokiem rudego, nierównego pustkowia pokrytego ostrymi wybrzuszeniami przysadzistego kawału dolerytu, którego główną część stanowił poprzeczny grzbiet, górujący nad czerwoną skałą i niebiesko mieniącym się lodem. Masyw mierzył dwadzieścia kilometrów wszerz i wzdłuż, a od strony południowej niczym fala przyływu wdzierał się weń lód, tworząc kilka zatok w linii brzegowej.

Samolot zniżył się i Iksa poraziła biel lodu oraz jego błękitny odcień, który miał taką barwę, jak gdyby kolor nieba wsiąkł w lód, zostawiając na nim plamy. Kiedy wylądowali na wąskim pasie wyrównanego śniegu jak na dywanie, nagle poczuł się szczęśliwy, po raz pierwszy od bardzo dawna. Estetyka jako etyka; oto nowe motto Iksa. To, co jest piękne, musi być dobre.

Samolot, podskakując, kołował z pasa w kierunku lodowej zatoki, wcinającej się w brzeg masywu, pod wyżłobionym czerwono-białym szczytem, który nosił nazwę Żłobionego Szczytu. Na jednym brzegu zatoki stał niski pomost na przysadzistych podporach. Na skalistym wybrzeżu ponad pomostem skupiła się niewielka grupka budynków wyposażonych w baterie słoneczne, jak metalicznie niebieskie kontenery - wszystkiego mniej niż tuzin.

Miniosiedle nie było większe od niektórych placówek jajogłowych, które Iks pomagał stawiać podczas zimy, co stanowiło dla niego pewne pocieszenie.

Operacje na tak małą skalę nie mogą czynić wielkiej szkody.

Mały twin otter zatrzymał się obok podłużnego zbiornika z paliwem, który leżał na lodzie przy końcu pomostu. Gdy zatrzymały się śmigła, Iks wyszedł za pilotem z kabiny i zszedł po schodkach. Już pod skrzydłem wyprostował się i zobaczył brodatego mężczyznę ubranego w kraciastą koszulę i kombinezon, który zbliżał się do niego z uśmiechem, wyciągając na powitanie rękę.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Jestem Carlos - powiedział mężczyzna. - Witaj na Masywie Roberta.

- Dzięki - odrzekł Iks. Było przenikliwie zimno i wiał wiatr, ale gołe ręce tego człowieka pozostawały ciepłe. Zaprowadził Iksa do jednego z tych budynków i otworzył ciężkie, metalowe drzwi.

- Trochę za bardzo wieje, żeby chodzić w samej koszuli - zauważył Iks.

- Tak, na Robertsie zawsze wieje. Nawet kiedy nie wieje, to wieje.

- Niedobrze - powiedział Iks, czując dreszcz. Wiatr był najgorszy.

- No wiesz, wiatr katabatyczny; powietrze pod wpływem własnego ciężaru cały czas dmucha z płaskowyzu, a my jesteśmy na samym skraju. Może więc być spokój na lodzie albo na Shackletonie, ale tu nigdy. Zgłosiliśmy się do konkursu "Najbardziej wietrzne miasto na ziemi", ale na razie nie ma żadnej odpowiedzi.

- To zdaje się konkurs organizowany przez ekologów?

- Zgadza się. Fantastycznie by było go wygrać, gdyby uznali, że u nas najbardziej wieje.

Podgrzewając zupę na lunch, Carlos powiedział Iksowi, że jest Chilijczykiem. Jego ojciec był oficerem w Chilijskich Siłach Powietrznych i podczas jednego z okresów, w których Chile i Argentyna aktywnie próbowały dowieść słuszności swoich pretensji do Antarktydy, stacjonował na Półwyspie Antarktycznym. Carlo spędził więc dziesięć pierwszych lat życia jako mieszkaniec chilijskich stacji Arturo Prat i Generał Bernardo O'Higgins, leżących w Pasie Bananowym, jak to

nazwał, gdzie było trochę cieplej niż w głębi kontynentu, lecz miejsce to służyło z częstych burz.

- To było cudowne dzieciństwo - powiedział wesoło. - Cudowne! Mogłem jeździć po lodzie rowerem, pilotować zodiaka, rozmawiać z pingwinami i wydrzykami. Nie wspomnę o zwykłych umiejętnościach. Jestem prawdziwym mieszkańcem Antarktydy, jednym z niewielu. Większość z nas pochodzi z Chile, choć jest też paru Argentyńczyków, ale są oczywiście gorsi. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie stąd pamiętam, jest pożar ich stacji Almirante Brown, po którym stary Hero zabrał stąd całą załogę. Byli smutni, a ich commandante zapadł na loco antartida. Teraz oczywiście oba kraje zrezygnowały z programu okupacji Antarktydy, nie rosną już tu dzieci, co też jest chyba smutne. Bo to naprawdę cudowne dzieciństwo. Najszczęśliwszy okres w moim życiu.

- A teraz mieszkasz na Masywie Robertsa.

- Tak. - Przelotny rzut oka znad maszynki, by sprawdzić, co Iks ma na myśli. - Wprawdzie ten projekt ma przeciwników, ale tylko wśród ludzi, którzy zupełnie nie wiedzą, co tu robimy i jak. To czysta sprawa, naprawdę czysta, z zastosowaniem najnowszych technologii, sam zobaczysz. Wszystko zostało zaprojektowane z uwzględnieniem zabezpieczeń na wypadek sytuacji krytycznych. Technika wydobywania poszła tak daleko naprzód, że to naprawdę bardzo bezpieczna robota. Zobacz, za oknem widać właśnie jeden z naszych nowych nabytków.

Pokazał na jedyne okno budynku. Iks ujrzał pojazd przypominający prom, który sunął przez błękitny lód z daleka w stronę zatoki, a potem powoli podjechał do pomostu.

- Poduszkowiec. Najnowszy model, hake 1500a. - Coś w jego uśmiechu świadczyło, że to świetny żart, lecz Iks nie pojął jego sensu.

- Nieźle.

Carlos pogładził czarną brodę, gęstą i lśniącą jak focze futro.

- Dobra, zjedźmy szybko i chodźmy go załadować, a potem pojedziemy do odwiertu. Będiesz kursował tam i z powrotem, ale głównie będziesz pracować tam, na lodzie.

Jazda poduszkowcem nie była tak płynna, jak wydawało się z daleka, ale gdy tylko obaj piloci poderwali go do pełnego ślizgu, zaczął się poruszać niemal tak płynnie jak samolot; szybciej niż łódź i trochę ciszej od helikoptera. Jeden rząd wentylatorów kierował strumień powietrza w przestrzeń pod kurtyną pojazdu, unosząc jego korpus, nazywany przez pilotów wanną, który odrywał się od lodu i siadał na poduszce powietrznej; potem wielka turbina zamocowana w wysokiej obudowie z tyłu popychała poduszkowiec do przodu, niczym łódź sunącą po bagnach. Na końcach poprzecznych wysięgników po obu bokach pojazdu przymocowane zostały skutery śnieżne, które zwykle pozostawały zawieszane w powietrzu, ale można je było opuścić tak, by dotykały płozami śniegu i poduszkowiec miał styczność z podłożem przy silnym bocznym wietrze lub większej nierówności terenu. Według słów pilotów boczne borney dodano do poduszkowca stosunkowo niedawno i byli z nich bardzo dumni. Pojazd okazał się starszy niż spodziewał się Iks, o funkcjonalnym wnętrzu, nosił ślady długotrwałego użytku - był poobijany. Możliwe, że właśnie tego dotyczył żart Carlosa. Iks zapytał o to poprzez ryk silników i Carlos skinął głową.

- Wyprodukowany ze złomu - odpowiedział głośno. - Miami Beach na Florydzie. Wypatroszono trzy hake'i, żeby zbudować tego. Z przeróbkami. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Lód po obu stronach wydawał się płynącym białym morzem, poprzecinany groźnie wyglądającymi miejscami, w których z niewiadomych przyczyn był połamany na kawałki; możliwe, że leżał tam jakiś grzbiet skały albo ścierały się dwa przeciwstawne prądy; Carlos wzruszył ramionami, kiedy Iks go o to zapytał. Drogę wyznaczały słupy z czerwonymi chorągiewkami, ustawione w kilometrowych odstępach, a u podstawy każdego słupka znajdował się transponder radiowy, sterujący pilotem automatycznym poduszkowca; w tym momencie piloci-ludzie, Geraldo i

German, wstali z miejsc, by ponownie napełnić kubki kawą. Poprzednie trasy poduszkowca pozostawiły tu ślady po strumieniu powietrza, który rozdmuchał śnieżne garby, więc poruszali się po wyraźnie odróżniającej się od otoczenia drodze, jadąc od matowej bieli do jaskrawej bieli i odwrotnie, mijając flagę za flagą. Poduszkowiec przechylał się lekko w górę i w dół, a chwilami na boki, gdy płynęli ponad płytkimi falami polarnego lodu, nadzwyczaj drobnymi pagórkami, dolinami, basenami i wzniesieniami.

- Widać już nasz obóz.

Czarna kropka na płonącym od słońca białym horyzoncie.

- Jeszcze z dziesięć kilometrów, ale będziemy na miejscu za kilka minut.

- Tak szybko jedziemy?

- Tak, popatrz - sto kilometrów na godzinę! To najszybszy pojazd na lodzie, nie ma lepszych. Nie tak szybki jak helikopter, ale o wiele więcej można do niego zapakować. A helikoptery, wiesz...

- Tak - powiedział Iks. Na Erebusie i w dolinie Wright widział ich wraki - spalone szkielety.

- Jak powiadają, latające lodówki. A co dopiero w czasie awarii! Ale gdyby ten się zepsuł, można wysiąść i iść dalej pieszo. Żadnej katastrofy i pożaru. Teraz widać główny budynek. Widzisz, to naprawdę mały obóz.

Geraldo i German przejęli stery i zwolnili prędkość, parkując poduszkowiec obok zbiornika paliwa i magazynu. Carlos zobaczył minę Iksa i wybuchnął śmiechem.

- Dobra, widzę, że ci się tu spodoba, nie? Niezły jesteś.

Stacja wiertnicza była jeszcze mniejsza niż baza na Masywie Robertsa.

W tym momencie jej załoga składała się z Carlosa, Geralda i Germana, dwóch Malezyjczyków, jednego człowieka z Namibii i jednego z Zimbabwe. Wszyscy powitali przyjaźnie Iksa, spoglądając na niego ze swoich krzeseł we wspólnym pokoju i uśmiechając się, kiedy jeden z Malezyjczyków powiedział:

- Możemy ci dać robotę na czubku wieży wiertniczej!

Po uroczystym toaście gorącą czekoladą, Carlos zabrał Iksa, by mu pokazać, co tu mieli. Iks zauważył, że Carlos na swój kombinezon włożył już ciepłą kurtkę; było bardzo zimno, mimo że wiatr nie wiał tak mocno jak na Masywie Robertsa. Gdy tylko wyszli na dwór, Iks zapytał:

- A gdzie Ron?

- Ron? - powtórzył Carlos, spoglądając na niego. Jak większość ludzi na Antarktydzie, na dworze nosił ciemne okulary, przez które nie sposób było odgadnąć jego wyrazu twarzy. - Nie słyszałeś? Puściliśmy Rona wolno.

- Puściliście?

- No tak. Musieliśmy go wylać. Nie wiem, jak dobrze go znałeś, ale... - wzruszył ramionami. - Miał niezbyt odpowiednie pomysły na organizację pracy.

- Hm, nie powiem, żeby mnie to bardzo dziwiło.

Ron, imperator Antarktydy. Tak się cieszył, że rzuca ZLA i przechodzi tu; pewnie sobie myślał, że będzie tajnym szefem systemu, jak w Mac. Iks nie miał wątpliwości, iż zrobił coś, co dawało powody do zwolnienia. Ale żeby to zrobić... Trudno było uwierzyć, że ktoś miał na tyle odwagi. ZLA przez lata próbował ignorować nadużycia Rona tylko po to, by uniknąć konfrontacji z nim, na którą ci ludzie zdecydowali się już po kilku tygodniach od przyjęcia go do pracy. To musiało rozgniewać Rona jeszcze bardziej. Żeby tu przyjechać, spalił za sobą wszystkie mosty, a teraz go wylali i pewnie siedział już w domu na Florydzie, trawiąc rum i urazę. Straszna myśl.

Iks wrócił myślą do Carlosa, który prowadził go do wieży wiertniczej i szybu. Cały obóz skupiał się wokół tej wieży, wysokiej wrzecionowatej konstrukcji, podobnej do pierwszych budowli

tego rodzaju, tylko obok niej stała spora suwnica, komora grzewcza, jak powiedział Carlos, gdzie znajdował się doskonały zespół wiertel i rur. Stosowano potężne, nowe świdy do lodu, zgodnie z technikami wydobywania ropy wykorzystywanymi od niedawna na Morzu Północnym. Większość operacji była oczywiście zautomatyzowana.

Iks miał się nauczyć różnych prac, które musieli wykonywać ludzie; nie miał znowu być pracownikiem warsztatowo-polowym, jak zapewnił Carlos, ale z konieczności wszyscy w stacji byli ludźmi do wszystkiego.

- To najlepsze wyjście - trzeba tu robić sporo rzeczy, a mamy niewielu ludzi.

Iks musiał mu przyznać rację. Stacja była bardzo mała, jadalnia z jedną kuchenką i zlewem bez bieżącej wody znajdowała się w starym kontenerze, który pełnił również funkcję wspólnego pomieszczenia i centrum łączności.

Jamesway naprzeciwko był sypialnią, ale dla tych, którzy nie przepadali za suchym, gorącym powietrzem i hałasem grzejnika, na twardym śniegu rozstawiono kilka namiotów. Na resztę zabudowań składało się jeszcze kilka ogrzewanych i nieogrzewanych magazynów, żółty buldożer, dźwig, parę wózków widłowych w szopie, warsztat mechaniczny i stolarnia oraz kilkanaście paneli słonecznych i piezoelektrycznych, ustawionych w szeregu od strony północnej.

- To stacja rozpoznawcza, sam rozumiesz - powiedział Carlos. Rozmawiając, poszli do jednej z ogrzewanych szop, gdzie Carlos otworzył małą zamrażarkę i wyjął kawałek lodu. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni zapalniczkę, zapalił ją i przytknął płomień do lodu; po chwili błysnęły na nim błękitne płomyki.

- O rany! - zdumiał się Iks.

-- Uwodniony gaz ziemny. Leży pod nami, na dnie płyty lodowej. Jeżeli stwierdzimy, że jest go dość dużo, może postanowimy powiększyć stację i zaczniemy regularne odwierty. Próbujemy też ocenić możliwości wydobywania ropy, ale nie to jest najważniejsze. Uwodniony metan - to się liczy.

- Co to właściwie jest?

- Pojedyncze cząsteczki metanu - gazu naturalnego - zamknięte w lodowych kryształkach. Takie klatki powstają tylko pod wysokim ciśnieniem, ale kiedy już się uformują, może tego być naprawdę dużo, ze trzydzieści litrów gazu z litra osadu. Pewnie, że na świecie jest kupa naturalnego gazu, ale krajom z Południa, które nie mają ropy i są zadłużone u Północy, bardzo by się przydały własne zapasy gazu.

- Można go transportować tankowcami?

- Nie, inaczej się to robi. Póki co nie ma jeszcze takich elastycznych i wytrzymałych rur, które by można położyć pod dnem oceanu. Możliwe, że poprowadzi się rurociąg stąd do Ameryki Południowej i na południe Afryki.

Są fantastyczne materiały, zrobione z siatki z kevlaru, z domieszką plastików uzyskiwanych z roślin sojowych. Rury są laserowo utwardzane, izolowane i tak dalej. Fantastyczne. Pod wodą wytrzymają wszystko. Dzięki nowym technikom metan jest o wiele bardziej przydatnym paliwem. Spalanie uwodnionego metanu może poprawić warunki klimatyczne na całym świecie. Gdyby lód polarny się stopił, co już się zaczyna, metan spod lodu dostałby się do atmosfery i spowodował taki efekt cieplarniany, że ten, który teraz mamy, będzie niczym. Doszliśmy do wniosku, że niektóre z gwałtownych ociepleń w historii były spowodowane właśnie uwolnieniem złóż uwodnionego metanu. Możliwe więc, że uda się nam zdobyć ten gaz i wykorzystać go do wytworzenia energii, a równocześnie zmniejszyć ilość gazów w atmosferze. Byłoby to bardzo eleganckie rozwiązanie.

Iks skinął głową, spacerując po warsztacie i przyglądając się sprzętowi.

- A co z ruchem lodu? - zapytał, wskazując w stronę wieży. - Musi się choć trochę przesunąć.

Jak sobie z tym radzicie?

- Tu ruch jest tak niewielki, że nie ma problemu - rzekł Carlos. - Mniej więcej pięć metrów rocznie i nie wydaje się, żeby miał przyspieszyć, jak w wielu innych miejscach. Możemy po prostu przedłużać rury, a zanim metan zostanie wydobyty, stacja przesunie się o kilkaset metrów na północ.

- A szybsze strumienie lodowe?

- Wypluj to słowo! Takie rzeczy nie zdarzają się na lądolodzie polarnym!

Lecz od czasu, kiedy Lodowiec Szelfowy Rossa zaczął się obłamywać i Strumień Lodowy C ruszył z miejsca, w którym tkwił od kilku wieków, wszędzie zaczęto zauważać szybkie ruchy lodu. Nie można było wykluczyć możliwości, że w każdym miejscu Antarktydy lód mógł zacząć pędzić z zawrotną prędkością, co po chwili przyznał Carlos:

- Jeżeli zaczną się szybkie ruchy, skończymy tu pracę. Ale otwór przykryje lód, więc nie będzie żadnego wycieku, nawet gdybyśmy pompowali ropę. Może z górnej części rury, ale wszystko posprzątam i nie wiem - chyba wrócimy do domu. Szczerze mówiąc, jesteśmy niedofinansowani, jak pewnie sam zauważyłeś. Ciężko by było po stracie takiej części rury; jeśli pojawi się jeden strumień lodowy, mogą ruszyć następne. Nie, nie może tu być żadnych strumieni! Zakaz wstępu! Chodź, pójdziemy się ogrzać. Dzisiaj Geraldo robi kolację, a jest w tym niezły.

Wewnątrz kontenera, zaparowanego i wypełnionego aromatem jedzenia, pozostali ludzie ze stacji rozmawiali o glaciologii i Punta Arenas, co chwilę wybuchając śmiechem; Iks doznał kolejnego przebiegu szczęścia.

Carlos i Geraldo wyjaśnili mu, na czym będą polegać jego najbliższe zajęcia; trwające prace rozpoznawcze wciąż obejmowały duży obszar i choć ustalono już, że można rozpocząć wiercenia w tym złożu, nie określono wielkości złóż ani lokalizacji innych, które prawdopodobnie znajdowały się w okolicy. Wyjeżdżali więc ze stacji skuterami śnieżnymi, by robić coś, co nazywali "trójwymiarową sejsmografią", która polegała na ustawieniu sieci geofonów, by za ich pomocą rejestrować wstrząsy spowodowane eksplozjami w lodzie i w skałach nunataków na północy. Geologowie szukali potem w zapisie "Jasnym punktów" i sporządzali mapę stratygraficzną skał i podłoża. Ich szyb był więc szybem "szacunkowym", jednym z wielu w tej części płyty lądolodu, które układały się w wielki krzyż. Potem wprowadzali do szybu różne narzędzia, żeby mierzyć promieniowanie gamma i, dosłownie, zajrzeć do środka za pomocą urządzeń z włóknami optycznymi, które też należały do nowoczesnego sprzętu wykrywającego.

- Na pewno siedzimy na dużym złożu uwodnionego metanu - mówił Carlos. - Pod spodem leży nieprzepuszczalna skała, jak litologiczna uszczelka przykrywająca skałę osadową, gdzie często występuje ropa. Wiercimy teraz w tej nieprzepuszczalnej skale - to bardzo stara i twarda warstwa magmowa.

Iks bez przerwy kiwał głową, ciesząc się, że znów słyszy mowę pewnych siebie jajogłowych; coraz większą przyjemność sprawiało mu przekonanie, że bez względu na to, co tu się działo, on nie przyczyni się do plądrowania nieskalanej Antarktydy. Był Człowiekiem Bez Imienia, zgadza się; Człowiekiem Bez Ojczyzny, jasne; ale nie Człowiekiem Bez Etyki Ekologicznej. Co oznaczało, że w duchu może stanąć twarzą w twarz z Val. Przekonał się też, że będzie pracował z ludźmi, którzy stanowili pewnego rodzaju mieszankę jajogłowych i pracowników ZLA - rzadko, prawie w ogóle niespotykaną w McMurdo, gdzie ostro rozgraniczono te funkcje, ze względu na "efektywność" - a jednak wszystko tu było zorganizowane jak należy:

każdy pracował i fizycznie, i naukowo, czerpiąc ze wszystkiego korzyść. Nie, tu było wspaniale. Nie natknie się nigdzie na Val i nie zepsuje sobie reszty dnia; będzie spędzał czas pod ogromnym, niskim, ciemnoniebieskim niebem, zajmując się prawdziwą pracą, otoczony hiszpańskimi i

afrykańskimi głosami i śmiechem, śpiąc we własnym namiocie. Raj dla pracownika warsztatowo-polowego. Niebo Iksa.

Pip, pip.

- Hej, Wade, nie śpisz?

- Śpię.

- Gdzie jesteś?

- ... Nie jestem pewien.

- Też mi się to czasem zdarza.

- Już wiem! W hotelu Kalifornia.

- Jesteś w Kalifornii?

- W hotelu Kalifornia. W stacji McMurdo na Antarktydzie. Kurczę, przez chwilę nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem.

- Mnie to się też często zdarza.

-Co jest?

- Nie mogłem zasnąć. Wiesz, Wade, czasami nie rozumiem, dlaczego połowa ludzi w Ameryce nie odchodzi z pracy i nie zakłada własnych firm.

Mówię o tym otwarciu w senacie.

- Tak, Phil. Czytamy o tym w "Post" i zgrzytamy zębami. Nie wierzymy własnym oczom. Ale masz szansę zostać wybrany tylko w Kalifornii, i to minimalną różnicą głosów.

- Wybierają mnie większością siedemdziesięciu procent, Wade.

- To pokazuje, do czego jest zdolna Kalifornia.

- Zdobyłem prawie sto procent głosów od hiszpańskojęzycznych.

- Bo jesteś demokratą, poza tym mówisz po hiszpańsku jak robotnik tekstylny z hiszpańskiej dzielnicy.

- Dlatego, że byłem tekstylnym robotnikiem w hiszpańskiej dzielnicy.

I wiedz, że naprawdę ciężko tam pracują. Do dzisiaj mam blizny na palcach.

Phil przepracował trzy miesiące w fabryce, która legalnie wyzyskiwała robotników - legalnych imigrantów; była to część jego Programu Ustawicznej Edukacji Zawodowej, jaki sam sobie ustanowił. W ramach tego programu pracował po trzy miesiące na pełnym etacie, mając się różnych zajęć, których liczba urosła tak bardzo, że ich lista zaczęła przypominać obwolutę powieści.

- Wiem - powiedział Wade. Wstał z łóżka, podszedł do umywalki i zaczął się myć. - Robiłeś wspaniałe rzeczy. Jesteś popularny i naprawdę na to zasłużyłeś. Ale tylko w Kalifornii. Nawet tam masz wysoki procent ocen negatywnych.

- Jak wysoki, jeżeli dostaję siedemdziesiąt procent poparcia?

- Możesz mieć trzydzieści i tyle masz. Deklarowanych ocen zdecydowanie negatywnych.

- Zawsze, kiedy się ma duże poparcie, rośnie odsetek ocen negatywnych. Nawet w Kalifornii.

- Zwłaszcza w Kalifornii.

- Niech Bóg błogosławi nasz stan.

- Najbardziej zmienny w całym kraju. Wahadło, które kpi sobie z praw fizyki i nauk politycznych. Można być na skrajnie lewym wychyleniu, razem z Brownami, Warrenem czy Boxerem, a z drugiej strony masz takich bezsensownych ludzi jak Reagan i Nixon. Wszędzie indziej w Ameryce takie skrajności mają najgorsze notowania.

- Więc porównujesz mnie z Richardem Nkonem. Budzisz mnie w środku nocy, żeby mnie porównywać z Richardem Nixonem.

- Był świetny w polityce zagranicznej.

- Proszę, Wade. Wybierają mnie, bo podoba się im to, co sobą reprezentuję. Populizm wraca do łask. W Kalifornii to bardzo ważne.

- Kiedyś to był populizm. A teraz, Phil? Główna postać Partii Demokratycznej? Po tym, jak w ciągu lat zmieniłeś ton i z nawoływania do reformowania wszystkiego zacząłeś popierać ustawodawstwo, by sprzyjało tworzeniu własnych spółek?

- W ciągu piętnastu lat dorosłem, lepiej teraz niż wcale...

- Wszyscy pośrodku tak mówią, to musi być jakiś chór stojący w jednej linii. Pięknie razem śpiewacie.

- Słuchaj, Gorz jest jeszcze gorszy niż ja. Zaczynał od zupełnie niemożliwych żądań, a teraz proponuje trzydziestogodzinny tydzień pracy.

- Ty też domagałeś się trzydziestogodzinnego tygodnia pracy.

- To dobry pomysł. Reforma metodą małych kroków, Wade, to jedyny sposób. Jeżeli domagasz się niemożliwych i Tsczy, nic nie osiągniesz.

W spółdzielniach ludzie są właścicielami swoich miejsc pracy, to już coś.

Potem można zacząć myśleć o następnych krokach.

- Jeżeli uda ci się zrobić ten pierwszy. Może dzisiaj domaganie się trzydziestogodzinnego tygodnia pracy i spółek pracowniczych to właśnie stawianie niemożliwych żądań.

- Być może. Nie dowiemy się, jeżeli nie spróbujemy, Wade. Najlepsza nauka przez praktykę. Lubię rzeczy, które można wypróbować, zamiast wielkich systemów, do których nie sposób się zbliżyć ani ich sprawdzić.

- Prawdziwy z ciebie demokrat, Phil.

- Zgadza się. Powiedz, co dalej zamierzasz robić tam, na Południu?

- Jutro lecę na biegun. - To zdanie dziwnie brzmiało w jego uszach.

- Bądź ostrożny. Jak podróż do Suchych Dolin?

- Ciekawa. Niezłe doświadczenie.

- A jak twój przewodnik?

- Była bardzo profesjonalna.

- Ona? Mhm.

- Proszę cię, Phil.

- Cóż, baw się dobrze, Wade. Zadzwoń, żebyś mi złożył meldunek z bieguna.

- Nie wątpię.

Pieski świat, zwłaszcza gdy trzeba zastrzelić połowę swoich husky i nakarmić nimi resztę. Ekspedycja Amundsena opierała się właśnie na takiej metodzie: wyruszyli w pięćdziesiąt dwa psy, z których większość nie tylko ciągnęła sanie, ale w drodze stawała się pożywieniem, dla psów i ludzi. Każdy pies dostarczał pięćdziesiąt funtów mięsa i o tyle lżejszy mógł być ładunek na saniach. Klasyczny przypadek ciągnięcia własnego ciężaru albo coś, co amerykański przemysł zbrojeniowy nazywał "sprawnością dwufunkcyjną", zwracając uwagę, że nowa broń laserowa może być z powodzeniem wykorzystana jako termiczne wiertła do lodu (i sprawdziła się w tej roli). Jednak dwufunkcyjne wykorzystanie psów przez Amundsena było w nie najlepszym stylu; potem spotkała go za to surowa krytyka, szczególnie w Wielkiej Brytanii.

Oczywiście ekspedycja Val "Śladami Amundsena", trzynasta wyprawa na biegun jego trasą, nie miała opierać się na metodach Norwegów. Po pierwsze, psy nie miały już wstępu na Antarktydę, po drugie, Lodowca Szelfowego Rossa, którego pokonanie zajęło Amundsenowi połowę wyprawy, już prawie nie było. Niegdyś był zdumiewającym zjawiskiem; trwała, pływająca płyta lodowa, grubości prawie tysiąca stóp i obszaru Kalifornii lub Francji, której zewnętrzna krawędź wznosiła się kilkaset

stóp nad poziom otwartego morza. Okazało się jednak, że była bardzo wrażliwa na drobne zmiany temperatury powietrza oraz oceanu i wystarczyło globalne ocieplenie, by większa część odłamała się i odplynęła w stronę morza. Teraz w tym miejscu znajdowała się bezładna mieszanina cienkiego, rocznego lodu pływającego, pozostałości gór lodowych z szelfu, ogromnych jezorów, spływających z lodowców z Gór Transantarktycznych i zachodnioantarktycznych strumieni lodowych; pozbawiony bariery lodowca szelfowego lód poruszał się coraz szybciej, spływając do morza długimi, białymi półwyspami, które od czasu do czasu odłamywały się, dołączając do armady gór lodowych.

W związku z tym Morze Rossa nie nadawało się już do pieszych wędrówek. Val była wśród tych, którzy uważali to za wielkie dobrodziejstwo, ponieważ przedzieranie się przez trzysta mil miękkiego śniegu, równego, lecz pociętego licznymi szczelinami, nie było wymarzoną sposobem na spędzanie wakacji dla współczesnych, żądnych przygody podróżników. Prawdę mówiąc, była to bardzo nieprzyjemna podróż, w którą lepiej nie wyruszać, jeżeli nie zachodziła potrzeba. Oczywiście znaleźli się też puryści, którzy się upierali, by iść tą trasą, bo szli nią pierwsi zdobywcy bieguna, więc przewodnicy dawali za wygraną, posłusznie prowadząc ich przez śnieżną przestrzeń i uspokajając zirytowanych, którzy szybko ulegali rozczarowaniu. Teraz porzucono już ten pomysł i nikt nie ucieszył się z tego bardziej niż Val.

Ekspedycja "Śladami Amundsena", jak i dwanaście poprzednich, ciągnęła na zmianę superlekkie, załadowane sprzętem sanie, bardziej więc przypominała wyprawę Scotta. Wyruszyli, co stało się już tradycją, idąc jeden dzień po pływającym lodzie, leżącym między jezorami lodowców Stroma i Axela Heiberga. Dzięki temu mieli pojęcie, czym była wędrówka po bezkresnym, białym pustkowiu lodowego szelfu; później od razu weszli na ląd tam, gdzie Amundsen ze swoją ekipą, na łagodny, północny stok Mount Berty, który nazwano na cześć opiekunki Amundsena z dzieciństwa. Kiedy pokonali pęknięcia w lodzie, wywołane działaniem morza i rozbili obóz na wysokości kilkuset metrów na stoku góry, poszli obejrzeć kopiec kamieni usypany przez Amundsena i jego ludzi na odsłoniętym grzbiecie Mount Betty, zwanym Siodłem Bigend. Kopiec oznaczał miejsce, w którym Amundsen założył jedyny podczas drogi na biegun skład żywności i dziś wysoki do ramienia stos płaskich kamieni był jedyną pozostałością po ekipie Amundsena na kontynencie, ponieważ ich obóz-baza leżał na części lodu, która obłamała się i odplynęła do morza wkrótce po ich wyjeździe.

Mieli więc przed sobą ten właśnie kopiec. W ciągu wieku, jaki minął od jego zbudowania, nic nie naruszyło konstrukcji, nie zdołał go zburzyć żaden wiatr ani trzęsienie ziemi, będące rzadkością na Antarktydzie. Podopieczni Val przyglądali się z czią, niemal bojąc się dotknąć kopca, by go przypadkiem nie przewrócić. Ale ustawiono go z wprawą, która cechowała wszystkie poczynania Amundsena, więc jeśli nikt nie rozebrałby go celowo, nie mogło być obaw, że się rozsypie. A nikt, kto odwiedzał to miejsce, nie zrobiłby czegoś takiego.

Val powiedziała swojej grupie, że w 1929 roku odkryła go ekspedycja admirała Byrda. W zagłębieniu pod kopcem znaleźli blaszaną puszkę z kartkami wyrwanymi z notesu Amundsena, na których napisał, że gdyby nie przeżyli powrotnej drogi przez lodowiec szelfowy, niech będzie wiadomo światu, że naprawdę dotarli do bieguna.

Pięcioro turystów kręciło głowami, słysząc tę informację. Niewiarygodne, że tę kupkę kamieni, otoczoną tysiącami mil kwadratowych skalno-lodowego pustkowiecia, w ogóle znaleziono, a zwłaszcza że zrobili to ludzie lecący małym fokkerem, dwanaście lat po zbudowaniu kopca. Val powiedziała im, że szczątki fokkera też mogą zobaczyć; samolot został zniszczony w burzy śnieżnej w marcu 1929 roku, a jego załogę uratował inny, lecący parę tygodni później w pierwszy lot nad biegunem.

Zdumiewające. Na nieosłoniętym zboczach było jednak bardzo zimno, więc po kilku minutach spędzonych nad kopcem grupa była gotowa wrócić do namiotu jadalnego na kolację. Mieli za sobą

ciężką drogę. Nikt nie proponował oglądania szczątków fokkera, które znajdowały się dziesięć kilometrów dalej, a poza tym był to tylko wrak samolotu - mało atrakcyjny pod względem archeologicznym obiekt.

Skierowali się więc do namiotu. Lecz kiedy schodzili ze skalnego grzbietu na zaśnieżony stok Mount Berty, Elspeth krzyknęła:

- Popatrzcie!

Wskazywała inny kopiec kamieni, niższy i mniejszy niż Amundsena.

Pozostali poszli mu się przyjrzeć. Było to ułożone z kamieni koło, otaczające czarne, pokryte warstwą śniegu pudełko i połączoną z nim kablem antenę satelitarną. Pewnie jakieś instrumentarium naukowe.

- Chyba któryś zespół naukowców przeprowadza eksperyment - powiedziała Val. - Pewnie używają kopca Amundsena jako punktu orientacyjnego.

- To głupie - rzekł Jim. - Dziwię się, że pozwala się im naruszać takie historyczne miejsce.

Pozostali mniej krytycznie odnieśli się do tego faktu. Przypuszczalnie krąg kamieni zostanie usunięty po zakończeniu eksperymentu; zważywszy na rozległy widok na przybrzeżny łańcuch górski i zamrożone morze, na którym tłoczyły się góry lodowe, trudno było utrzymywać, że to miejsce jest za bardzo uczęszczane. Mimo to w drodze powrotnej do obozu Jim cały czas narzekał, a Val obiecała mu, że zajmie się tą sprawą i sprawdzi, kto przeprowadzał ów eksperyment i co ci ludzie robili tak blisko kopca Amundsena.

Wrócili do obozu. Duży namiot jadalny był wciąż czysty od strony północnej, zwiększając maksymalnie swój własny efekt cieplarniany; gdyby temperatura wewnątrz osiągnęła czterdzieści stopni, tkanina zmieniłaby kolor na niebieski, więc różnica temperatur w środku i na dworze nie była zbyt duża.

Małe kolorowe igloo, w których mieli spać podróżnicy, osłonięto ścianami z bloków śnieżnych, by ochronić się przed silnym wiatrem stokowym. Tu śnieg był idealny - przypominał styropian - wycięli więc z niego dużą piłą równe bloki i ułożyli je w stos dość łatwo, ponieważ był lekki, a mimo to doskonale związany.

Wreszcie wszyscy zdjęli raki i pospieszyli do jadalni, z entuzjazmem oświadczając, że są wilczo głodni. Val poszła za nimi, spoglądając na lodowe morze: i tyle zostało z Lodowca Szelfowego Rossa. Jeden dzień drogi. Żeby dostać się tu z bazy w Zatoce Wielorybów, Amundsen ze swoimi ludźmi musieli go pokonywać trzy tygodnie. Miło jest mieć usprawiedliwienie, by dziś to sobie odpuścić. Dawni podróżnicy robili dużo rzeczy, które były po prostu za trudne, bez względu na to, jak bardzo ktoś jest nimi zafascynowany. Trzeba trochę naginać historię, by można ją było znieść.

Nie chciała być nieuczciwa w stosunku do swoich klientów. W końcu przemierzali na nartach albo pieszo trzysta mil, zmieniali się przy saniach i wciągali je z poziomu morza na wysokość dziewięciu tysięcy stóp. Ubytek kilkuset mil szelfu lodowego czy dokładne trzymanie się szczegółowej trasy nie miały aż takiego znaczenia. Liczył się przede wszystkim duch.

Jednak nie dla ludzi, którzy przyjeżdżali tu po to, by precyzyjnie odtwarzać historyczne trasy. Lecz nawet tacy musieli uwzględnić realia, podążając śladami Amundsena. Mimo starań, by zrekonstruować najdrobniejsze szczegóły - niektóre ekipy ubierały się nawet w takie same stroje i brały taki sam sprzęt, co zwykle kończyło się spektakularnym niepowodzeniem - naprawdę nie można było tego zrobić. Amundsen i jego ludzie podeszli pod część Gór Transantarktycznych, której nikt wcześniej nie widział. Musieli jakoś przebyć to nieznanne pasmo, a mieli tak niewielkie zapasy jedzenia, że nie mogli sobie pozwolić na luksus poszukiwań innych dróg, by znaleźć najłatwiejszy szlak na płaskowyż polarny, o którego istnieniu wiedzieli dzięki wyprawie Shackletona sprzed trzech

lat. Kiedy więc zbliżali się do nieznanego pasma, idąc lodowcem i wyciągając szyje, dzień po dniu patrzyli na góry równie wysokie i srogie jak Alpy, Amundsenowi nie było wesoło. W notesie naszkicował ich zarys, oznaczając szczyty A, B, C, D, E i F. Z lodowej czaszy szły wielkie lodowce, spływając spomiędzy szczytów na całej długości łańcucha; którą drogę mieli wybrać? W końcu Amundsenowi wydało się, że widział podejście obok jednej ze szczelin w lodowym jezorze, podejście, które wspinało się wysoko i prosto na południe, do stóp najwyższego położonego w głębi szczytu, skąd miał nadzieję bez większych kłopotów dostać się na płaskowyż polarny.

Nie mogli się o tym przekonać inaczej jak tylko ryzykując wejście. Poczęli się więc wspinać tym pomostem, ignorując szczelinę w lodzie zaledwie kilka kilometrów po lewej.

Wkrótce okazało się, że pomost wcale nie jest pomostem. Był to występ, wokół którego po lewej stronie zakręcał szeroki lodowiec. Tak więc po ogromnym wysiłku, jakim było wejście na ten skalisty próg, stanęli po lewej, patrząc w dół na lodowiec, na który mogli wspiąć się od razu, a teraz musieli zejść na niego i zacząć wspinaczkę od początku. I tu Amundsen popełnił jeden z największych błędów; kosztowało ich to kilka dni i olbrzymi wysiłek; później było już jasne, że szeroki, łukowaty lodowiec był właściwą drogą.

Wcześniej musieli bić psy, żeby weszły na skalne podejście, ponieważ wszystkie ciągnęły w stronę lodowca po lewej. Nawet psy były mądrzejsze.

Takie rzeczy często się zdarzały, kiedy badano nieznaną terytorium i po raz pierwszy zdobywano góry terra incognita. To doświadczenie, którego ludzkość nigdy już nie będzie mogła przeżyć, nawet na innych planetach.

Oczywiście, organizowano dziś wyprawy przygodowe, które pozostawiano na Alasce, w Mongolii albo w środku Himalajów bez map, kompasów, radia, GPSów, by dokładnie odtworzyć historyczną sytuację. Jednak mimo ich największych starań, Val nie wierzyła, by naprawdę mogli robić to samo. Nie sposób było wprowadzić się w tamten stan psychiczny, kiedy podróżnicy chcieli wiedzieć, a nie wiedzieli.

Dla wyprawy Amundsena błędny wybór trasy oznaczał początek kłopotów. Na nieszczęście okazało się, że lodowiec, który wybrali, Axela Heiberga, jest jednym z najbardziej stromych i splekanych podejść na płaskowyż polarny w Górach Transantarktycznych. W górnej części wznosił się na wysokość ośmiu tysięcy stóp na odcinku niecałych dwudziestu mil, serią lodowych katarakt, które przecinały lodowiec na całej szerokości, nie można ich więc było ominąć. Pokonali tę trasę tylko dzięki mistrzowskiej zręczności narciarza, który ich prowadził, Bjaalanda -jednego z najlepszych narciarzy w tych czasach - i w ogóle znakomitym umiejętnościom radzenia sobie na śniegu, które cechowały wszystkich Norwegów.

Odtworzenie szlaku Amundsena było więc piekielnie trudne, nawet gdyby zrezygnowali z powtórzenia błędu i od razu weszli na Heiberga. Większość poprzednich ekspedycji "Śladami Amundsena" wybierało szlak lodowcowy, który był dla Amundsena drogą powrotną i w ten sposób, idąc jego śladami (w drugą stronę) oszczędzali siły na trud, jaki czekał ich wyżej. To miało sens.

Grupa Val nie składała się jednak z norweskich championów narciarskich ani twardych polarników. Wprost przeciwnie, mieli jeszcze mniej wprawy niż inne grupy, które zdarzyło się jej prowadzić. Chociaż cała piątka nabyła pewnego doświadczenia w podobnych wyprawach; kiedy pałaszowali przystawki i gotowali główne danie, słuchali niekończących się opowieści Jacka i Jima o wspinaczkach na Koronę Ziemi (czyli najwyższe szczyty każdego kontynentu), spływie kajakowym na Baltoro, dopełnieniu hattricku (czyli bieguna północnego, Grenlandii i bieguna południowego) i tak dalej. Przygodom nie było końca. Lecz ich kwalifikacje wydawały się Val niewystarczające. Małżeństwo Jorge i Elspeth Royce-Paulo robiło zdjęcia i pisało dla magazynów turystycznych oraz

serwisów sieciowych; byli bardzo znani. Jack Michaels i Jim McFeriss byli przyjaciółmi z Zatoki; obaj prawnicy, wcześniej kilka razy brali udział w wyprawach górskich i innych. Piąty członek grupy, Ta Shu, spędził wiele lat na wędrówkach w Himalajach i miał około sześćdziesiątki. Przyjechał tu w ramach "Programu dla artystów i pisarzy" i był guru feng shui. W ciągu dnia nosił duże, ciemne okulary, w których zostały zamontowane minikamery z włóknem optycznym i telefon; dzięki temu mógł nadawać trójwymiarowy obraz i komentarz dla swojej widowni telewizyjnej w Chinach. Podczas marszu obracał głową we wszystkie strony, niemal bez przerwy mówiąc do swojej niewidzialnej publiczności, lecz w namiocie na szczęście zdejmował okulary. Val miała wrażenie, że feng shui to jedna z tych starożytnych form wiedzy, która jest tak głęboka i rozległa, że żaden żywy człowiek nie potrafi jej wyjaśnić; i rzeczywiście, kiedy pytała Chińczyka, co sądzi o krajobrazie, zwykle odpowiadał krótko: "To dobre miejsce". Chociaż możliwe, że mówił niewiele ze względu na swój słaby angielski; jednak zawierał analizę w tak niewielu słowach, że Val zastanawiała się, dlaczego nie skorzysta po prostu z elektronicznego tłumacza.

W każdym razie wszyscy jej podopieczni mieli zmierzyć się z czymś znacznie trudniejszym, niż dotychczas. Nie była pewna, czy powinni iść błędnym szlakiem Amundsena.

Lecz Jack był pewien.

- Moim zdaniem powinniśmy iść oryginalną trasą - powiedział, gdy Jorge i Elspeth nakładali sobie boeuf stroganow. - Zrobmy dokładnie tak jak oni. Po to przyjechaliśmy.

- Przecież nie szliśmy lodowcem szelfowym - zauważyła Elspeth.

- Bo go już nie ma! Gdyby był, to byśmy go pokonali. Ale ta część szlaku nie zmieniła się, powinniśmy więc iść ich śladem, inaczej nie byłoby sensu.

Pozostali siedzieli na swoich śpiworach i matach, jedząc i patrząc na Jacka i Val, jak gdyby była to konfrontacja tylko między nimi. Jednak Val za żadną cenę nie chciała do tego dopuścić. Powiedziała:

- To wasza wyprawa. Możecie robić, co chcecie.

Jack skinął głową z zaciśniętymi ustami, jak gdyby zwyciężył. Nie zwracając na to uwagi, Val spojrzała na pozostałych. Wyglądali na niepewnych, nawet Jim, rozłożyła więc wydaną przez Amerykańskie Towarzystwo Geograficzne mapę topograficzną okolicy i pokazała im dwie alternatywne drogi, po czym zajęła się jedzeniem, przysłuchując się argumentom za i przeciw.

Powoli zaczęli się skłaniać ku odtworzeniu dokładnej trasy. Widocznie nie mieli pojęcia, ile będą musieli włożyć wysiłku, chyba że naprawdę byli owładnięci tym pomysłem. Albo zostali zastraszeni przez Jacka. Prowodrzy w grupach byli prawdziwym utrapieniem.

Jack i Jim optowali za powtórzeniem błędu Amundsena; małżeństwu Royce-Paulo było chyba wszystko jedno, być może nie podchodzili do projektu z takim entuzjazmem, ale nie chcieli tego powiedzieć. Ta Shu mógł przeważać szalę, gdyby nie włączyła się Val. Popatrzył na nią, jakby szukał wskazówki. Powiedziała:

- Jest podobnie jak na lodospadach wyżej. Może idąc tędy, będziemy się mogli przygotować.

Ta Shu powiedział:

- Będziemy wiedzieć to, co zobaczył Amundsen.

- Porządny człowiek - powiedział Jack, mrugając do Jima.

Następnego ranka zwinęli obóz, załadowali sanie i ruszyli w górę zbocza Betty, kierując się w stronę fałszywego pomostu, który wystawał z boku łańcucha Herberta.

Stromizna natychmiast zaczęła im sprawiać kłopot. Nie było wiatru, słońce świeciło im prosto w twarz, a śnieg na zboczu był bardzo miękki jak na warunki antarktyczne. Val kazała zdjąć wszystkim narty i założyć rakiety, by mieli lepszą przyczepność, lecz mimo zimna, był to wysiłek

wyciskający z nich pot. Poza tym śnieg ukrywał szczeliny, którymi lód pod spodem był gęsto pocięty. Powietrze miało średnią temperaturę wyższą o dziesięć stopni Fahrenheita niż w czasach Amundsena i dlatego antarktyczny lód poruszał się w dół trochę szybciej. Z reguły zauważyć to mogli tylko jajogłowi, ale w bardziej stromych miejscach pojawiały się dowody tego przyspieszenia w postaci świeżych przelewów lodu, które można było spotkać znacznie częściej niż przed pierwszym pobytem Val.

Tak jak tutaj: błękitne kawały strzaskanego lodu, ułożone w wachlarz, nachodziły ukośnie na gładkie, białe zbocze, po którym szli; krawędzie lodu były jeszcze ostre. Suchy wiatr szybko by zaokrąglił wszystkie odsłonięte krawędzie i dosłownie rozdmuchał kawałki tej wielkości w rok czy dwa, musiał to więc być niedawny przelew. Oznaczało to, że powinni być bardzo ostrożni przy przechodzeniu przez szczeliny mostami śnieżnymi albo pod wielkimi serakami. Tego dnia mieli dość jednego i drugiego.

GPS Val pokazał jej dokładną mapę zbocza, z oznaczeniem ich pozycji i wszystkich niewidocznych szczelin, jakie ich czekały. Nie musiała się wspinać pierwsza, by znaleźć bezpieczną drogę, jak w ekipie Amundsena niemal bez przerwy robił Bjaaland. Mogła więc pomagać ciągnąc sanie. Był to ostatni lekki cud techniki rodem z Niemiec, pochodzący z tej samej firmy, która wykonała saneczki mistrzów olimpijskich. W lśniącej, niebieskiej konstrukcji mieścił się cały sprzęt oraz jedzenie dla sześciu osób i całość ważyła mniej niż trzysta funtów, z czego większość stanowiły zapasy jedzenia; cud w technice materiałowej; jednak cholernie trudno było to wciągać po tak stromym i miękkim zboczu.

Val szła z przodu, zaprzęgnięta do sań, w parze z Jackiem, potem z Jimem, potem z Elspeth, potem z Ta Shu, potem z Jorgem. W górę w lewo, w prawo, znowu w lewo, lawirując wokół stromych progów pokrytego śniegiem lodu, spoglądając w głąb kobaltowych szczelin. Ciężka praca, którą u Amundsena wykonywały przede wszystkim psy. Obie grupy miały swoje kłopoty, wzajemnie przeciwstawne: grupa Val знаła drogę, ale musiała sama ciągnąć swój bagaż, Norwegowie jako siłę pociągową wykorzystywali psy, lecz nie wiedzieli, dokąd idą. Val zdecydowanie wołała swój kłopot; ciężka praca, ale stosunkowo bezpieczna. Nie zazdrościła tamtym, którzy przemierzali nieznaną terytorium, bez map, z ograniczonymi racjami żywnościowymi i bez szans na ratunek. Teraz problemy były bardziej przyziemne:

- Starajcie się nie pocić - przypominała im Val po szczególnie forsownym wejściu na twarde, zaśnieżony pomost. - Regulujcie sobie temperaturę.

Nawet inteligentne tkaniny nie zrobią za was wszystkiego.

- Trzeba by się wspinać nago na taką wysokość, żeby się nie spocić - zawołał wesoło Jack. Ze znaczącym uśmiechem. Jego okulary lodowcowe miały barwę błyszczącego złota, przez co wyglądał jak owad. Ciemne okulary wszystkich były ustawione na pełną moc, a słoneczne opaski na uszy miały błękitnometaliczny, opalizujący odcień. Kosmici na lodzie.

- Wystarczy goła głowa - poradziła mu Val.

Śnieg rozświetlało słońce. Nawet przy ustawionych na maksimum okularach źrenice zwały się tak bardzo, że skąpany w blasku świat wydawał się ciemny. Wznosiła się przed nimi stroma, błękitnobiała ściana strzaskanego zbocza. Pokonywali właśnie trawersem wielki próg łańcucha Herberta i prawa stopa lądowała wyżej i głębiej w śniegu od lewej, co było dość uciążliwe.

Trawersy były ciężkie.

Val znalazła się w swoim żywiole. Właśnie w takich chwilach procentowały lata, które spędziła, zarabiając na życie jako zwierzę pociągowe. Naturalnie nie była zwykłym zwierzęciem pociągowym, jak tragarze w Himalajach; lecz dobry przewodnik górski najczęściej taszczył ciężary

jak tragarz, by użyć swoim podopiecznym. Był lepiej zaprogramowanym Szerpą, jak głosiło powiedzenie przewodników. Bez względu więc na to, w ilu wyprawach rocznie brali udział klienci i jak dużo ćwiczyli w domu, nie czuli się dobrze objuczeni ciężarami, jakie ona nosiła częściej i przez długie mile. Pewnie przez godzinę dziennie ćwiczyli na jakimś Step-masterze i uważali, że dzięki temu są w świetnej formie. Val pomyślała, nie bez kpiącego uśmiechu, że teraz są na piekielnym Step-masterze. Mieli już za sobą dwie wysokości World Trade Tower, a czekały jeszcze dwie wysokości Empire State Building. I już zaczęli się męczyć. Nawet Jack ciężko dyszał. Był to zresztą jeden z powodów, dla których Val nie próbowała go odwieść od pomysłu wspinaczki tym szlakiem; sama ciągnęła teraz sanie, lecz mimo to wychodziła daleko naprzód i musiała czekać, aż ją dogonią, po czym ruszała dalej; niezła lekcja i materiał do przemyśleń dla pana Jacka Michaela, przemknęło jej przez głowę. Tymczasem ona wspinała się lekkim krokiem i rozglądała się, snując bezwiednie myśli i podziwiając widoki, którymi zmęczeni wędrowcy nie byli w stanie się rozkoszować.

Łatwo przychodziło obojętne traktowanie lodowego krajobrazu, ponieważ był wszechobecny i wszędzie równie wspinały, lecz przypominał lustrzane odbicia, taki sam w każdej skali, tak że traciło się poczucie perspektywy. Jakby człowiek stał się mrówką i wędrował po tacy z lodem we własnej lodówce; w każdej lodówce jest mnóstwo pięknych form lodowych, ale ile osób to zauważa? Trzeba być koneserem lodu. Trzeba też być w dobrej formie, by móc zwracać na to uwagę; a ona zwracała; trzeba jeszcze więcej pracować i przestanie się zwracać uwagę i wszystko będzie łatwiejsze. Estetyka z fizycznym podłożem. Lecz Val umiała to robić lepiej niż dobrze i teraz ciągnęła sanie krok za krokiem, w swoim własnym, równym rytmie, ciesząc się marszem po spękanej powierzchni suchego śniegu i widokiem lodowych dolmenów, wyrastających ze śniegu z lewej i prawej - wyrzeźbionych przez wiatr błękitnych dzieł sztuki, które zdawały się pulsować życiem. Skrzyp jej raket i oddech były jedynymi dźwiękami, jakie słyszała, w równym rytmie, niczym muzykę. Cierpiała na porionanie, zakochana w tej wspinaczce. Ruch był przyjemnością, nadawał rytm jej myślom i wprowadzał ją w stan medytacji. Patrząc na delikatną fakturę śniegu, miała mnóstwo czasu na myślenie; marsz liczyło się na godziny. Nie miała władzy nad myślą, która również wędrowała. Przypomniła sobie Steve'a, dotykając każdego wygładzonego przez wiatr odprysku wspomnień i nie czując bólu. Pomyślała o swojej babce, po raz pierwszy nie czując przy tym bólu. Pomieszkiwały ze sobą w ciągu ostatnich pięciu lat jej życia w starym domu rodzinnym w Wyoming; babcia zmarła, gdy miała dziewięćdziesiąt pięć lat. Annie Kenning, twarda kobieta o perlistym, radosnym śmiechu. "Byłam kiedyś szalona, Val, możesz mi wierzyć.

Byłam wyższa od ciebie, zanim się tak zesłłam! W końcu po kimś odziedziczyłaś tę siłę!" Pewnego ranka, latem, które później okazało się ich ostatnim wspólnym latem, Val wyszła z domu i zobaczyła Annie, która stała na szczycie schodkowej drabiny i usiłowała dosięgnąć jabłka, zawieszzonego wysoko na jednej ze starych jabłonek - ledwie trzy miesiące po tym, jak spadła z werandy i potłukła sobie biodro; odtąd niepewnie poruszała się po schodach, a nawet po równej powierzchni. Przerażona Val podbiegła do niej, krzycząc tak, że staruszka o mało nie spadła ze strachu. Pomogła jej zejść, robiąc jednocześnie wymówki: "co ty wyprawiasz, mogłaś się zabić". Wtedy babcia wysunęła dolną wargę i u stóp drabiny powiedziała: "Zamknij się! Zamknij się! Kiedyś wspinałam się na wszystkie te drzewa! Nie mów mi, co mam robić! Kiedy miałam piętnaście lat, skakałam z drzewa na drzewo! Ledwie kilka tygodni temu". Usiadła na trawie, a Val usiadła przy niej, obejmując ją ramieniem. "Ledwie parę tygodni temu, upierała się. A teraz mam dziewięćdziesiąt cztery lata".

Pip, pip, pip! Przed nimi pęknięcie ukryte pod jasnym śniegiem. Val wzdrygnęła się i wróciła

do rzeczywistości. Rozejrzała się: reszta została w tyle i w dole. Zbadała pochyłość przed sobą, gwizdnęła, spojrzała na GPS. Dotarli do miejsca, gdzie wiedza o lokalizacji szczelin nie na wiele się zdawała, bo były wszędzie. Oznaczało to, że będą musieli pokonywać mosty śnieżne, co zawsze niosło ze sobą ryzyko, o wiele większe niż na lodospadzie, gdzie ściany szczeliny rozszczepiały się pionowo - tu górna część leżała dziesięć metrów wyżej niż ściana, na której teraz stała Val. Jedyne mosty śnieżne przez szczelinę kończyły się w górnej części przerwy. Val kucnęła na moście, popatrzyła, wzdychając, w głąb rozpadliny. Przedostanie się na drugą stronę będzie poważną operacją, a nie było innej drogi, co widziała gołym okiem i na GPSie. Tak wyglądała wspinaczka po lodzie. Ciągłe zwlekanie, kłopoty, ostrożność, a mimo to bezustanne poczucie niebezpieczeństwa, bo nie sposób było ignorować głębokich lodowych pęknięć pod nogami. Należało spróbować sobie poradzić. Szybko więc przygotowała linę asekuracyjną z blokiem, zakotwiczyła ją głęboko w śniegu, uważając jednak, by nie naruszyć struktury mostu. Zanim dołączyła do niej reszta, była już gotowa psychicznie. Poleciała Jackowi i Ta Shu asekurować się.

Przeskoczyła przez wąską wyrwę, lądując na lodowej ścianie i wczepiając się w nią czubkami raków oraz dwoma czekanami, jak mucha. Jak kobieta-pająk. Potem zaczęła powolutku iść w górę, zawsze przylegając do ściany w trzech punktach: czekan, czekan, ząb raka, ząb raka. Szybko dotarła na szczyt i znalazła się na górze, na twardym, syrkim śniegu. Zaraz zrzuciła w głąb szczeliny słup śnieżny, by mieć swobodę ruchu, po czym strąciła jeszcze kilka. Mimo napominania swoich podopiecznych, sama się spociła. Rozpięła skafander i zdjęła go, a stojąc teraz w osłoniętej od wiatru lodowej misie, jak na słonecznej patelni, zdjęła też sweter i koszulę, zostając jedynie w błękitnej koszulce. Z dołu patrzyły na nią owadzie oczy jej podopiecznych; pewnie sądzili, że pozuje na antarktycznego macho, nieczulego na zimno. Im bez wątpienia nadal było zimno, ale zobaczą potem. Teraz do liny wpiął się Jack i skoczył na drugą stronę, po czym zaczął się wspinać - oglądało to jak zabawa i rzeczywiście była to igraszka, kiedy miało się linę asekurującą z góry.

Czuła na obnażonej, spoconej skórze lodowaty dotyk powietrza, lecz nie pozostała ona długo mokra; pot wyparowywał. Promieniujące ciepło słońca uderzyło w jej ochłodzone ciało jak żywy ogień, więc odwróciła się, by przypiekło ją również z tyłu, jak gdyby obracała się na rożnie. Strona ciała zwrócona ku słońcu paliła gorącem, ta znajdująca się w cieniu pozostawała zimna; zdawało się, że pomiędzy nimi było z sześćdziesiąt stopni różnicy.

Wkrótce wszyscy członkowie wyprawy zostali wywindowani na górę, jeden po drugim. Potem wciągali sanie przez jumar, który pozwalał linie przesuwac się w górę, ale hamował ruch w przeciwnym kierunku. "Raz, dwa, trzy, w górę!" Później usiedli obok sań; wszyscy poszli w ślady Val, zdejmując wierzchnie ubrania, więc upodobnili się do grupy plażowiczów, w każdym razie na parę minut. Ale posunęli się tylko dziesięć metrów w górę, a czekało ich jeszcze dwadzieścia, nie mówiąc o kilku szczelinach, które będą musieli pokonać, zanim przejdą w mozolny marsz.

- Przez cały dzień przejdziemy ze sto jardów! - zawołał Jorge.
- To nie potrwa aż tak długo - odparła pogodnie Val. - Ale lepiej będzie, jak zaczniemy od razu.
- O Boże.
- Znowu.
- Dozorczynie niewolników.
- Już dobrze, dobrze. - Val nałożyła uprząż sań, a potem rękawice na baterie słoneczne. - Chodźcie, idziemy.

A więc poszli. Wyżej lód popękał, tworząc serię szerokich progów, niczym gigantycznych schodów. Co jakiś czas natykali się na szczelinę, a w niektórych miejscach z lewej i prawej otaczały ich ściany ściętego, zdeformowanego lodu. Pracowali bez wytchnienia, trzeba więc było uważnie

sterować temperaturą w skafandrach, by nie dopuścić do przegrzania, a potem by nie dopuścić do zbytniego oziębienia. Powoli zmieniał się widok. Czekać na pozostałych, Val spojrzała za siebie - dwa tysiące stóp w dół i czterdzieści mil w dal - ponad pokrytą kawałami lodu, zamrożoną powierzchnię Morza Rossa, które w tym miesiącu było białe aż po horyzont; wielkie góry lodowe wyglądały jak storpedowana flota lotniskowców. Mount Betty znajdował się już pod nimi; pozostała część łańcucha Herberta wciąż wznosiła się z prawej, skąd biegła skalna ostroga, przecinając im drogę. Aby się do niej dostać, musieli przeciąć misę położoną u czoła Lodowca Sargenta; był to mały lodowiec, tkwiący we własnym kotle i opadający do Axela Heiberga z lewej strony.

Wspinali się dalej. Słońce okrążyło już całe niebieskoczarne niebo, a gdy Val spojrzała do tyłu, oślepiła ją odblask światła z powierzchni. Rzuciła okiem na zegarek: choć wciąż trwało słoneczne popołudnie, naprawdę była dziewiąta wieczorem. Chciała dotrzeć do siodła ostrogi, żeby mieli widok na leżący w dole lodowiec Axela Heiberga, ale było już za późno na marsz.

- Czas rozbić obóz.

Rozstawili wspólny duży namiot i małe namiociki, a potem w jarzącym się, niebieskim blasku jadalni, roztopili na maszynie trzy garnki lodu. W fioletowobłękitnym świetle namiotu wszyscy wyglądali trochę jak własne zdjęcie pośmiertne, ale Jackowi chyba nie przeszkadzał ten efekt; kiedy jedli przystawki, popatrywał na Val: smak wędzonych ostryg, łyk herbaty, rzut oka na Val, trzy kęsy różnych smaków, powtarzanych bez końca. Lecz Val miała wprawę w ignorowaniu takich spojrzeń; potrafiła to robić na wiele sposobów, od zuchwałej kokieterii po skromną wdzięczność, od neutralnego lekceważenia przez zimne ostrzeżenie do bezczelnej zniewagi. Gdyby to było w normalnym świecie, potraktowałaby go jak natręta i na pewno by się odczepił; ale ponieważ był jej klientem, mogła mu okazać tylko lekceważenie.

Dobrze, że tego wieczoru dyżur przy kuchni wypadł na nią i Ta Shu, bowiem gotowanie nastrojało wielkodusznie. Siedzieli oboje przy maszynie, doglądając sosu do spaghetti, gotując makaron, smażąc suchary na maśle czosnkowym i co chwilę podając komuś kolejny kubek gorącej herbaty. Val nie zawsze lubiła gotować, nawet dla tak małego grona, lecz dzięki Ta Shu z jego łamanym angielskim i niezwykłym podejściem do jedzenia (chciał dodać imbiru do sosu spaghetti), naprawdę dobrze się bawiła. Spędziła kilka przyjemnych godzin, zaliczających się do tych atrakcji górskich eskapad, o których zwykle niewiele się mówiło: odpoczynek dla zmęczonych nóg, ciepło, napełnianie brzucha jedzeniem, smakującym wręcz niebiańsko, nawet jeżeli było bardzo proste; przy czym cały czas leżeli na miękkich śpiworach, odziani w kolorowe szaty, niczym baszowie z Dalekiego Wschodu, bez przerwy rozmawiając. W takich warunkach gotowanie dla innych stawało się zajęciem wykonywanym ze szczególną dbałością; wyrazem troski o ludzi; kucharz miał więc przynajmniej przez jakiś czas uczucie, które ciągle towarzyszyło przewodnikowi. Nawet Jack nie był takim palantem, kiedy gotowali razem z Jimem.

Dzisiaj jednak nie gotował i mógł bez przeszkód przyglądać się i rozmawiać. A wysiłek dzisiejszego dnia rozwiązał im języki.

- To dopiero było!

- Nie wierzę, że udało im się wciągnąć tu pięćdziesiąt dwa psy!

- Trzy tysiące stóp pionowej ściany, i to nierównej jak diabli.

- Żeby potem odkryć, że wszystko poszło na marne!

- A te lodospady przed nimi!

Lecz Norwegowie o nich nie wiedzieli, pomyślała Val. Być może dlatego nie obawiali się tak bardzo. Rozkosz niewiedzy. Czasem bywa błogosławieństwem.

- To dobrze, że idziemy tędy - powiedziała. - Miło zobaczyć dokładnie to co oni.

Jack z zadowoleniem skinął głową.

- I o to chodzi.

Po dłuższej chwili, która upłynęła na jedzeniu, Jorge powiedział:

- Wiecie co, to rzuca nowe światło na mit o tym, że Scott był wielkim partaczem, a Amundsen superskutecznym geniuszem. Dopóki nie zrobi się tego, co my dzisiaj, nie zrozumie się, jakie ryzyko podjął Amundsen. Dzisiaj były odcinki gorsze od tych, które widzieliśmy na Lodospadzie Khumbu.

Wszystko w jednym celu, myślała Val - Mount Everest, biegun - najwyższy szczyt, najbardziej na południe wysunięty kraniec Ziemi; wystarczyło, że coś jest "naj", a stawało się świętym Graalem, wartym podejmowania największego ryzyka. Dla osób pewnego rodzaju.

- Ale Norwegowie na śniegu byli świetni - wtrącił Jack. - Doświadczeni polarnicy.

- Tak - odrzekł Jorge - ale nic by to nie pomogło, gdyby runął most śnieżny albo spadł na nich serak. Przecież mogło się to stać w każdej chwili.

- Można sobie wyobrazić, że znikają bez śladu - dodała Elspeth. - Wtedy na biegun pierwszy dotarłby Scott, co miałoby dla niego duże znaczenie psychologiczne i ich droga powrotna wyglądałaby inaczej. Zupełne odwrócenie ról.

- Arogancy i nieostrożni Norwegowie z jednej strony - zadeklamował Jorge - a z drugiej amatorzy - ale twardzi i opanowani - Brytyjczycy. Takiej historii wszyscy by sobie życzyli.

- Ja nie - odrzekł Jack. - Scott był idiotą. Gdyby rzeczywiście tak się miała zakończyć jego wyprawa, to geniusz by został ukarany, a idiota nagrodzony.

- Prawie jak w życiu - mruknęła Val, lecz nikt tego nie usłyszał, bo Elspeth zawołała:

- No, co ty! - i pogroziła Jackowi palcem. - Scott nie był idiotą.

- Był - powiedział Jim. - Wszystko robił źle.

- Wszystko - dodał Jack, posyłając Val pewny siebie uśmiech.

Natychmiast on i Jim rozpoczęli wielkie, szydercze przedstawienie, "Tctóre dawali już zapewne nieraz, pod tytułem "Scott i jego głupstwa". Został porucznikiem na torpedowcu w wiktoriańskiej Marynarce Królewskiej, obejmując pozbawione perspektyw stanowisko w niedorzecznej, chylącej się ku upadkowi służbie. Zadanie zdobycia bieguna otrzymał przez własne koneksje, mimo że nie miał najmniejszego pojęcia o obszarach polarnych. Nie zwracał sobie głowy pytaniem o cokolwiek ludzi, którzy widzieli południowy ląd ani badaniem zwyczajów rdzennych mieszkańców Arktyki - niech ręka boska broni. W istocie popełnił te same błędy, co członkowie wcześniejszych wypraw - pogardził futrami Eskimosów na rzecz żeglarskich ubrań z płótna, pogardził psim zaprzęgiem na rzecz siły mięśni ludzi ciągnących sanie. Prawdę mówiąc, próbował używać psów, a nawet kucyków, mechanicznych pojazdów gąsienicowych i nart; ponieważ jednak ani on, ani jego ludzie nie umieli sprawnie posługiwać się tymi środkami transportu, musieli się w końcu zdać na własne nogi. Dopiero wtedy Scott ogłosił całemu światu, że jedyny uczciwy i godny sposób zdobycia bieguna, to samemu tam dojść.

- To nie była kwestia stylu - powiedział Jim - czy troski o zwierzęta.

Zabili przecież swoje kucyki i psy, nie przyznając się, że i tak będą musieli to zrobić i nawet nie mieli do tego pistoletów. Wilson musiał zarzynać je nożem, a tymczasem Scott siedział w namiocie, załamując ręce i użalając się nad swoim złym samopoczuciem. To była czysta nieudolność.

Jack dodał, że Scott kiepsko oceniał też charakter ludzi; był uczniem złych ludzi, którym schlebiał, wybrał sobie do współpracy złych ludzi i źle nimi kierował. Miał złych przyjaciół.

- Daj spokój - sprzeciwiła się Elspeth. - Nie możesz nazywać Wilsona złym przyjacielem. To był wspaniały człowiek.

- Za dobry, żeby mógł być dobry - odparł Jack, co spowodowało niepohamowaną wesołość

Jim. - Święty męczennik do szpiku kości. A reszta to bufoni.

Naturalnie poza tymi, którzy w swoich dziennikach nie zostawili na Scotcie suchej nitki i okazali się w końcu mądrymi ludźmi. Ale cała reszta - bufoni.

- Miał też kłopoty z jakąś amerykańską dziewczyną - powiedział Jack, znów posyłając Val znaczące spojrzenie. - A jego małżeństwo...

Poślubił kobietę zbyt piękną dla niego, zbyt inteligentną i ambitną.

Edwardiańska lady Makbet z początku wieku, która popchnęła go na Południe...

- a potem miała romans z Nansenem, w tym samym czasie, gdy Scott umierał na śniegu - dodał Jack, i przygnębiony potrząsał głową.

- Był również zupełnym dyletantem w sprawach nauki - ciągnął Jim - nauka służyła mu za przykrywkę własnej żądzy zdobycia bieguna. Cierpiał na załamania i depresje, które trwały niekiedy miesiąc. Wysłał Wilsona, Bowersa i Cherry-Garrarda na niebezpieczną i wyczerpującą wyprawę zimową, podczas gdy reszta jego ludzi siedziała w chacie, redagując własną gazetę i bawiąc się w teatrzyk, zamiast uczyć się jeździć na nartach albo powozić psami.

Jeśli chodzi o konie, to dostał syberyjskie szkapy zdatne do fabryki kleju, a potem zabił połowę z nich podczas bezsensownych wycieczek, które przypominały próbne wyprawy obecnych komercyjnych firm trekkingowych.

Potem w trakcie marszu na Południe przemęczał swoich ludzi, żądając od nich, by dorównywali jego niezdrowej wręcz sile. Rzucił psychiczne wyzwanie załodze drugich sań, którego nie wytrzymał porucznik Evans. Źle ocenił potrzeby czterech ludzi i zabrał zbyt szczupłe zapasy na drogę do bieguna i z powrotem; przy ostatnim założonym składzie żywności postanowił wziąć pięciu ludzi zamiast czterech, co ostatecznie przypieczętowało ich los.

- Rzeczywiście popełnił błąd - przyznała cicho Val, pochłonięta nad maszynką. Oczywiście słyszała już o tym wiele razy. Podczas takich ekspedycji Scott był częstym tematem rozmów. Każdy, kto szedł na wyprawę "Śladami"... był ekspertem; wystarczy przeczytać ledwie pół tuzina książek, by znać całą historię Antarktydy, a potem wszyscy mają już własne zdanie. Nie wyłączając jej samej. Lecz Val nauczyła się pozostawać na uboczu, nie włączając się do dyskusji, bo ilekroć to robiła, zbywano ją protekcyjnymi odpowiedziami, które tym bardziej ją irytowały, że padały z ust ludzi lubiących ruch i przygodę, ale przekonanych, że jeśli ktoś zarabia na życie pracą fizyczną, to na pewno nie posiada już umiejętności posługiwania się myślą. Wiedziała, że taka linia obrony jest typowa dla biernego telewidza i tym bardziej ją to wkurzało. W każdym razie zawsze dyskusja była taka sama.

Jim i Jack nie skończyli jeszcze litanii grzechów Scotta. Jak zauważyła Val, Jim skupiał się na nieudolności i wpadkach natury technicznej, a Jack na złu moralnym. Jim wspomniał, że Scott przeoczył nieszczelność kanistrów, z których paliwo do kuchenki ulatniało się przez nakrętki. Ignorował też pojawiające się oznaki szkorbutu. W drodze powrotnej z bieguna szli pod słońce, a równie dobrze mogli zmienić plan i iść, mając słońce za plecami, jak to uczynił Amundsen. Tu włączył się Jack i oskarżył Scotta, że najprawdopodobniej pod jego presją Oates popełnił samobójstwo, a potem zapewne to on wymyślił jego słynne ostatnie słowa: "Wychodzę i nie będzie mnie przez jakiś czas". Z pewnością zmienił też inne zapiski w dzienniku przed opublikowaniem ich w książkach. ("Niech Bóg broni", wtrąciła Elspeth). Ogólnie rzecz biorąc, był za dobrym pisarzem; w końcu przecież wykręcił się od odpowiedzialności za fiasko wyprawy - którą zamienił w legendę. Jack powiedział, że prawdopodobnie wolał umrzeć jako bohater niż wrócić do Anglii jako drugi zdobywca bieguna. I niewątpliwie zmusił Bowersa i Wilsona, by zostali w swym ostatnim zimowym obozie zamiast stawiając czoło burzy, przedrzeć się do następnego składu żywności, oddalonego

ledwie o dziesięć mil; burzy, przez którą Amundsen zapewne przeszedłby gładko, w ogóle nie wspominając o niej w dzienniku, może poza krótką notatką "trochę dzisiaj wieje".

Nie, według nich Scott był idiotą. Czytał Tennysona; wierzył Tennysonowi; był nieszczęsnym tworem chylącego się ku upadkowi imperium, którego poddani łudzili się i pocieszali nawzajem niezliczonymi historiami o ignorantach, którzy z niemałym trudem torowali sobie drogę do chwały, jak pod Waterloo czy na Krymie. W tym tkwiło sedno, co przyznał nawet Jim: Scott wierzył w kiepskie opowieści. J. M. Barrie, autor "Piotrusia Pana", był jednym z jego najlepszych przyjaciół. Scott i jego ludzie nigdy więc nie dorośli.

Wszyscy byli Piotrusiami Panami; byli Niewolnikami Obowiązku, jak Frederick z "Piratów z Penzance"; nie zorientowali się tylko, że "Piraci z Penzance" to satyra. Nie, dla nich dobry był Tennyson, Browning, G. A. Henty i "Tygodnik dla Chłopców", wszystkie idiotyzmy epoki wiktoriańskiej przekute w cnoty wychwalane w opowieściach dla chłopców. W dolinę śmierci wjechało sześciuset; na płaskowyż śmierci wciągnęło sanki pięciu.

- P. G. Wodehouse bez przerwy kpił z takich historii - rzekł Jim, gdy zaczęli deser, na który składały się ogromne batoniki czekoladowe i brandy. - Dlatego jest taki zabawny.

- Paczka Woosterów! - zawołał Jack. - Byli paczką Bertie Woosterów na śniegu, ale bez Jeevesów, którzy by mogli im pomóc w potrzebie.

- Gorzej - dodał Jim. - Jeevesi byli pod ręką, ale zostali zlekceważeni - byli przecież ludzie tacy jak Bowers, Crean albo Lashly - zdolni marynarze, pochodzący z rodzin robotniczych. Naprawdę mogli wiele wytrzymać i na przekór wszystkiemu prawie im się udało wyciągnąć stamtąd panów lordów.

Przecież Crean i Lashly zrobili tak z porucznikiem Evansem w czasie odwrotu z ostatniego składu żywności.

Jim przypomniał pozostałym, że po tym jak Scott zabrał ze sobą na biegun pięciu ludzi, z ostatniego składu wrócili tylko trzej, i to bliscy śmierci. Porucznik Evans padł ofiarą szkorbutu, tak więc marynarze Crean i Lashly musieli go ciągnąć na saniach przez pięćset mil, aż do Przylądka Evansa. Straszliwa droga obfitowała w dramatyczne chwile, na przykład kiedy marynarze musieli ogrzewać stopy porucznika własnym ciałem, przyciskając je do brzuchów przez cienki materiał ubrań - który stanowił też granicę klasową - by uchronić go przed odmrożeniem. Wreszcie Crean, pod koniec czterech miesięcy reżimu, w ciągu których maszerowali w takim tempie, że nikt poza Lashlym nie mógłby go wytrzymać, ruszył do przodu po pomoc, pokonując czterdzieści mil lodowego szelfu i docierając do chaty położonej na jego brzegu w ciągu trzydziestu czterech godzin nieprzerwanego marszu.

- Bowers zrobił prawie to samo, by ocalić Wilsona i Scotta - dodał Jim - tak jak w czasie zimowej podróży ratował Wilsona i Cherry-Garraida.

Mały Birdie Bowers, pomyślała Val, wspominając wiosenną wyprawę na przylądek Crozier. Henry Robert Bowers - nigdy nie było mu zimno, nigdy nie bywał zmęczony ani zniechęcony. Lecz nawet on nie zdołał odegrać roli Jeevesa i znaleźć sposobu na szczęśliwe zakończenie ostatniej wyprawy.

Brnął, kopiąc się w śniegu, podobnie jak biedne kucyki, aż stracił siły i umarł.

- Nie - upierał się Jim. - Gromada Bertie Woosterów. Scott był najgorszy z nich - bo przez niego zginęli. To on miał władzę, mógł przeanalizować sytuację i znaleźć rozwiązanie. Przecież nie było tak, że nie mieli żadnego wyjścia. Ale nie zawracał sobie tym głowy. Więc lekko popchnął wagę życia i śmierci. Na korzyść tej drugiej.

W trakcie całej rozmowy, prowadzonej tylko na dwa głosy, wszyscy łąpczywie jedli spaghetti,

przysłuchując się zapalczywej wymianie zdań, która stanowiła miłą rozrywkę; śmiali się, pojadając chleb czosnkowy i energicznie kręcili głowami, nie zgadzając się z jakimś zdaniem. Gdy Jack i Jim skończyli swe wywody i sączyli drugi kubek brandy, Elspeth podsumowała całą sprawę, z werwą machając batonikiem.

- To wszystko z Huntforda - oświadczyła stanowczo. - Nie możecie brać poważnie tego, co powypisywał.

Ta Shu uniósł głowę z nagłym zainteresowaniem; cały czas śledził przebieg rozmowy, jak gdyby przypatrywał się nieznannej dyscyplinie sportowej, obracając głowę od jednego do drugiego rozmówcy, zaciekawiony, ale i zdziwiony.

- Co masz na myśli? - spytał Elspeth.

- Cały ten antyscottowski wywód. Wszystko pochodzi z biografii Scotta i Amundsena, którą napisał Roland Huntford. Nawet niezła książka, ale powinna mieć tytuł "Scott był idiotą". Długa na pięćset stron lista głupstw.

W wielu przypadkach zarzuty są bez sensu.

- To znaczy? - zapytał zaczepnym tonem Jack.

- To znaczy, że Huntford przesadził - odparła Elspeth, patrząc prosto na Jacka.

Val zauważyła, że ona też za nim nie przepada.

- Czasem rzeczywiście miał rację, ale w innych sprawach po prostu dorabiał argumenty przeciw Scottowi. Jako pierwszy próbował obalić jego mit i tak się tym przejął, że zamiast sędzią stał się prokuratorem. Żeby oskarżać go o wybujałe ambicje, bo chciał być kimś więcej niż porucznikiem marynarki!

Obwinia Scotta, że miał kiepski statek. Albo, że jego ludzie byli wobec niego niełojalni. Albo, że Anglia była zła, a Norwegia dobra, choć niewielka; w tym samym czasie Norwegowie wybijali wieloryby na całym świecie, żeby zbić na tym fortunę i budować piękne miasta. - Potrząsnęła głową. - U Huntforda wszystko jest czarno-białe, a tamta rzeczywistość wcale taka nie była.

Jim zakrztusił się łykiem brandy i przerwał jej gestem.

- Nawet, jeżeli nie weźmiesz pod uwagę Huntforda - a rozumiem, że uważasz jego zdanie za skrajne - musisz jednak przyznać, że Scott naprawdę był dość nieudolny. Taka po prostu jest prawda.

- Nic nie jest po prostu prawdą - powiedziała Elspeth. Chyba bardziej lubiła Jima niż Jacka. - Cherry-Garrard nie uważał, by Scott był nieudolny, a Cherry-Garrard tam był.

- Był stronniczy.

- Huntford też.

- Ale Cherry-Garrard występował w roli obrońcy. Płatał się, chcąc powiedzieć prawdę i równocześnie ochronić pamięć Scotta.

Elspeth skinęła głową.

- Rzeczywiście, jego książka jest bardziej złożona, ma trochę szarości.

Dlatego jest wspaniała. Próbował być uczciwy. Pamiętaj, że w tamtej wyprawie zginęli jego wszyscy najlepsi przyjaciele. On był w grupie, która wiosną odnalazła ich ciała. Leżały ledwie jedenaście mil od następnego składu żywności, który założył sam Cherry-Garrard poprzedniej jesieni. Dostał od Atkinsona rozkaz, by złożyć zapasy w tym miejscu i wracać; sam ledwie się trzymał na nogach, więc musiał wykonać rozkaz. Ale gdyby założył skład piętnaście mil dalej, może znaleźliby go i cali wrócili do domu. Ta myśl dręczyła go przez resztę życia. Prześladowały go koszmary. Owej nocy, kiedy znaleźli ciała, napisał w dzienniku: "Boję się iść spać". A zaraz po powrocie do Anglii wysłali go na wojnę. Był kierowcą ambulansu i widział wszystkie jej okropieństwa. Wkrótce dostał zapalenia jelita grubego i zwolniono go do domu. Później długie lata

pisał tę książkę. Książkę życia. I cały czas musiał się zmagać z chorobą psychiczną.

Val przypomniała sobie fotografię Pontinga z nowej wystawy na przylądku Crozier i powiedziała:

- To widać na zdjęciu całej trójki z zimowej podróży.

- Rzeczywiście. Wygląda zupełnie jak szaleniec. W późniejszych latach, kiedy spoglądał wstecz na czas, jaki spędził na Antarktydzie, to jakby wracał do innego wieku. Do czasu przed upadkiem.

Do czasu, kiedy żyli jego przyjaciele, pomyślała Val, jego starsi bracia.

Bowers miał dwadzieścia osiem lat, Wilson czterdzieści pięć. Cherry miał dwadzieścia dwa.

- Ale nawet on twierdzi, że Scott bywał chimeryczny - zauważył Jim. - I źle oceniał ludzi. Nawet idealizując całą wyprawę, musiał to powiedzieć.

- Zgadza się. I ja mu wierzę, bo tam był. Jednak wciąż jest wobec Scotta lojalny, podziwia go mimo błędów, jakie popełnił. Jeszcze bardziej podziwia Wilsona i Bowersa, którzy też byli wobec Scotta lojalni. Nie możecie temu zaprzeczać, bez względu na to, co twierdzi Huntford.

Ta Shu odwrócił się od kuchenki, przy której zmywał naczynia w misce parującej wody.

- Jak Huxley - powiedział.

Spojrzeli na niego zaskoczeni.

- Thomas Huxley? - zapytał nieśmiało Jim.

- Aldous Huxley. Angielski badacz. Badacz wyższych stanów świadomości. Meskalina, LSD. W ostatnich godzinach życia brał LSD, żeby zobaczyć, co się stanie. Odważny! Jeden z waszych wielkich brytyjskich badaczy, jak Scott albo Shackleton. W jednej jego książce jest taka scena: Mężczyzna i kobieta kochają się w hotelu. Za oknem pokoju jest neon, który zmienia kolory, z czerwonego na zielony, z zielonego na czerwony. Bez przerwy. Światło pada na nich przez okno. I kiedy świeci na nich czerwone światło, wszystko jest różowe. Pełne życia. Tajemnicze i piękne. Kiedy światło się zmienia i świeci na zielono, wszystko staje się upiorne i blade. Mechaniczne. Światło zmienia się cały czas. Czerwone - zielone - czerwone. Kochankowie nie wiedzą, co myśleć.

- Jak Huntford i Cherry-Garrard - powiedziała Val.

Ta Shu skinął głową.

Jack parsknął śmiechem.

- Czerwony Cherry i zielony Huntford!

- Przecież to nie tylko kwestia interpretacji - sprzeciwił się Jim. - Niektóre wydarzenia miały miejsce, a niektóre nie. Historia musi przede wszystkim uwzględniać prawdę, a nie zajmować się kłamstwami. W opowieściach o bohaterstwie Scotta jest więcej kłamstwa. Kiedy przyjrzymy się faktom - przestajemy widzieć w czarno-białych kolorach i dostrzegamy szarości. I potem, gdy znajdziemy coś wspaniałego, jak Huntford znalazł u Amundsena i Shackletona, wtedy to jest coś naprawdę godnego podziwu. Prawdziwe dokonanie, a nie zbiór kłamstw i życzeń.

- Tak - rzekła Elspeth. - Ale Huntford posunął się za daleko. Stwierdził, że Scott wymyślił ostatnie słowa Oatesa - skąd mógłby o tym wiedzieć? Przecież go nie było w namiocie.

- Nie, ale mamy dziennik Oatesa. Miał dość Scotta; czuł do niego wstręt.

- Tak? Myślisz, że Scott kłamałby w takiej sprawie? Powiedzmy, że Oates wstał i powiedział: "Ty przeklęty głupcze, przez własną głupotę zgubiłeś nas wszystkich, teraz wychodzę i zabiję się, bo wszyscy wiemy, że właśnie tego chcesz". - Czy Scott napisałby wtedy w dzienniku: "Oates powiedział:

"Wychodzę i nie będzie mnie przez jakiś czas""? Co by było, gdyby trzej pozostali wrócili? Wilson i Bowers wiedzieliby, że to kłamstwo!

- Żaden z nich nie wspominał o tym incydencie w dzienniku - zauważył Jim.

- To nie jest dowód. O ile pamiętam, Wilson nie prowadził nawet wtedy dziennika. Nie, jestem pewna, że Oates powiedział właśnie coś takiego - może nawet dokładnie użył takich słów. Przecież oni byli u kresu wytrzymałości, musisz o tym pamiętać - półżywi z głodu, mieli odmrożenia i gangrenę. Oates był w najgorszym stanie. Scott też pewnie straciłby nogi, gdyby wrócili do domu. W tamtych czasach działały przede wszystkim rzeczy, o których mówiłeś, etos szkoły i kodeks wojskowy. Nie załamujesz się i nie oskarżasz innych - żyjesz według własnego, zakodowanego scenariusza.

- Być może - powiedziała Val, przypominając sobie wyspę Południowej Georgii.

- Co krok można to zobaczyć - upierała się Elspeth. - Mężczyźni idą na śmierć dla takiej czy innej idei. Postępują według scenariusza, żyją według ideologii - różnie można to nazwać.

- Niektórzy załamują się pod naciskiem stresu - powiedziała Val, wbrew sobie.

- Owszem. Ale to inna historia. To "Lord Jim", którego wszyscy ci ludzie doskonale znali. Ta opowieść była ostrzeżeniem - jeżeli raz się załamiesz, twój honor przepadnie na zawsze. Dlatego tak wielu zginęło w okopach, idąc na pewną śmierć, bo nie chcieli, żeby ktoś mówił, że chcą się wykręcić od obowiązku.

Jim pokręcił głową.

- Pierwsza wojna światowa na zawsze pogrzebała tę historię.

- Wiem, co masz na myśli - odparła Elspeth. - Ale wcale nie jestem tego aż tak pewna.

Znow odezwał się Ta Shu.

- Wszystkie historie żyją - powiedział. - Wszystkie mają w sobie kolory. - Popatrzył na nich; starszy człowiek, pochodzący z innej kultury, dziwak o zniszczonej twarzy, wyglądający w czerwonym skafandrze dość osobliwie.

- Ta chwila jest bezbarwna. - Choć światło w namiocie miało swój z.vykły, zjadliwie niebieski kolor, wiedzieli jednak, o co mu chodzi. - Przeszłość - wszystko historie. Nic tylko historie. W różnych kolorach. Wybieramy sobie kolory. Wybieramy kolory, które widzimy.

Wkrótce potem wyczerpanie całodzienną wspinaczką i ciepłe jedzenie w brzuchach zadziałały jednocześnie, przeszli więc po chrząszczącym śniegu, czując lodowate powietrze, do namiotów, wsunęli się do śpiworów i twardo zasnęli, nie zważając na oślepiającą jasność, która trwała całą noc. Następnego ranka wstali i zjedli śniadanie w milczeniu, rozmyślając pewnie o czekającym ich dniu. Zwinęli obóz, spakowali sanie i ruszyli w drogę. Val sama ciągnęła sanie, utrzymując z początku wolne tempo, by wszyscy stopniowo się rozgrzewali. Po twardym polu firnowym pokrywającym czoło lodowca Sargenta, szło się dość łatwo.

Potem musieli wspiąć się na siodło między Bell Peak a wysoką częścią łańcucha Herberta z prawej, i okazało się, że to niewielka, ale niewdzięczna ściana; wciągali na nią sanie przez trzy godziny.

Wreszcie im się udało i Val pociągnęła sanie przez siodło, aż dotarła na przeciwległy koniec, skąd rozpościerał się widok na całego Heiberga. Kapitalne miejsce na lunch.

Weszła na ostatnie wzniesienie, pod okryty śniegiem pagórek, gdzie rozbiła obóz podczas ostatniej wyprawy i ponagliła gestem pozostałych, którzy z mozołem szli jej śladem. Pokazała widok przed sobą.

- Czas na lunch! - zawołała.

Czekając na nich, zapatrzyła się w zapierający dech w piersiach widok. Ponad dwa tysiące stóp niżej, pod okrytym śnieżnym pledem, stromym zboczem ściany lodowca, leżała wielka lodowa rzeka - Axel Heiberg - która spływała z lądolodu polarnego straszliwym lodospadem, przypominającym gigantyczny, zamrożony, roztrzaskany w kawałki wodospad. Niżej przechodził w równą

płaszczyznę, zakręcając wokół występu, na którym teraz stali. Łatwo można było zobaczyć, że mogli wybrać płaską, szeroką, krętą drogę w niższej części lodowca, gdzie wylewał się do Morza Rossa, unikając tym samym wszystkich trudności, z którymi walczyli przez dwa dni, oraz skomplikowanego schodzenia ze szczytu, jakie ich czekało, by znaleźć się z powrotem na lodowcu.

Stojąc tu, można było również wyraźnie zobaczyć, jak ogromne i osobliwe są Góry Transantarktyczne. Zdumiewająco olbrzymi strumień lodu wyrył w łańcuchu rów o równych brzegach, tak szeroki, że trudno było ocenić jego wielkość; na pewno jednak był prawie tak głęboki jak Wielki Kanion, znacznie od niego szerszy, a kiedy człowiek oswoił się z tą skalą, musiał doznać lęku, czując się jak pyłek na skraju przepaści. Z tego miejsca widać też było jak na dłoni, że góry stanowią tamę, blokując polarną płytę lodową, a przez wyrwy w zaporze lód wylewa się do morza z wysokości dziesięciu tysięcy stóp.

Nigdzie na świecie nie można było zobaczyć czegoś podobnego, a patrząc na to człowiek utwierdzał się w owej prawdzie.

Ta Shu dołączył do Val jako pierwszy i w jednej chwili dokonał analizy feng shui.

- To bardzo duże miejsce - oświadczył, dysząc z wysiłku i uśmiechając się do Val.

Nadeszli Jorge i Elspeth. stając obok nich i wpatrując się w krajobraz.

Wyglądali na przestraszonych. Nadszedł Jim i osłupiał. Wreszcie nadszedł Jack i powiedział:

- Niech mnie diabli! - po czym huknął kilka razy - Kurczę, popatrzcie tylko.

- Niech cię diabli, zgadza się - rzekł Jim, przyglądając się urwistemu zbocz, po którym mieli teraz schodzić. - Dlaczego Amundsen nie posłuchał psów?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W DÓŁ KRÓLICZEJ NORY

niebieskie niebo biały śnieg

Na biegunie południowym było zimno. Z początku, kiedy Wade wysiadł z herculesa i ujrzał oślepiająco biały blask oraz ciemnoniebieskie niebo, wszystko wydało mu się znajome; wówczas pomyślał, że będzie tu podobnie jak w McMurdo albo w Suchych Dolinach. Po chwili jednak ziąb wdarł mu się przez nozdrza wprost do głowy, powodując łaskoczący, lekki ból. Momentalnie miał w nosie sople. W ten sposób sytuacja nosa ustabilizowała się i poczuł ciepło - ciepło z soplami w nosie! - a uczucie chłodu przeniosło się w miejsca, gdzie łączyły się części ubrania; między brzegiem butów i spodni, na nadgarstki, szyję i oczy. Zimno!

Okrzyknął dziób herculesa i przeciął ubity śnieg pasa startowego. Minał małą, oszkloną budkę, zwieńczoną dużą tablicą, na której widniał napis: "Centralny Terminal Bieguna Południowego".

Za budką znajdowała się nowa stacja polarna, błyszcząca w słońcu niczym błękitny liniowiec kosmiczny, który wylądował na śniegu. Właściwie jak trzy liniowce, stojące na grubych, niebieskich podporach i połączone niebieskimi kanałami korytarzy. Przy końcu modułu najbardziej wysuniętego na lewo wznosiła się cylindryczna wieża kontrolna. Dalej, po drugiej stronie połyskującej białej równiny, za kopcami odgarniętego śniegu i szeregiem żółtych buldożerów, zobaczył szczyty położonej niżej, małej wioski, złożonej ze starych Jameswayów. Jeszcze dalej ze śniegu wystawała bladoniebieska kopuła, która wyglądała, jakby ją sukcesywnie zakopywano; zapewne stara stacja.

Do Wade'a podszedł jakiś człowiek i przedstawił się: Keri Hull, reprezentant NFN na biegunie południowym. Zaprowadził Wade'a do tego kosmicznego liniowca i skierowali się na schody z metalowej siatki, jakie Wade widywał w ośrodkach narciarskich. Tu stacja wyglądała jak podzielone na części skrzydło o aerodynamicznym kształcie, odpornym na uderzenia polarnego wiatru. Przeszli przez grube, metalowe drzwi osadzone w zakrzywionej, niebieskiej ścianie.

Keri zaprowadził Wade'a przez hol do jasnej i ciepłej jadalni. Podeszli do długiego stołu, gdzie siedziało już kilka osób; ktoś podał mu kubek gorącej czekolady, który Wade przyjął z wdzięcznością, grzejąc o niego dłonie.

Sople w nosie zaczęły tajać. W zaparowanym pomieszczeniu siedzieli jacyś ludzie i rozmawiali.

- Najpierw parę słów o samej stacji - powiedział Keri. - Mamy o tym informować wszystkich. Jesteśmy na wysokości dziewięciu tysięcy trzystu stóp, a ze względu na ruch obrotowy Ziemi, atmosfera na biegunach jest rzadsza niż na równiku i naszym dziewięciu tysiącom trzystu odpowiada około dziesięć tysięcy pięćset stóp na równiku. Warunki są trudne, bo poza wysokością, jest tu zimno i sucho. Nie może więc pan dopuścić do odwodnienia organizmu i przez pierwsze dni za bardzo się forsować. Gdyby dostał pan uciążliwego bólu głowy albo stracił apetyt, proszę odwiedzić naszą panią doktor, ona już pana postawi na nogi. Oficjalnie zalecamy unikać kofeiny i alkoholu, ale, rozumie pan - umiar we wszystkim. - Uśmiechnął się i pociągnął łyk z ogromnego kubka z wypisanym na nim swoim imieniem. - Proszę po prostu zwracać uwagę na sygnały, jakie wysyła panu organizm i stosować się do nich, dobrze? A teraz, słucham, w czym możemy panu pomóc tu, na dziewięćdziesiątym stopniu szerokości geograficznej, panie Norton?

- Chciałbym się przyjrzeć całej stacji w związku z różnymi, hm, incydentami, o których meldowano, idąc, że tak powiem, krok po kroku ich śladem.

Keri zmarszczył brwi.

- Czyli chce pan iść do starej stacji?

-Tak.

- Obawiam się, że to wbrew przepisom.

- Oczywiście. Ale chyba to będzie konieczne, zważywszy że miały tu miejsce pewne... pewne ubytki.

Zdumiony Keri uniósł brwi.

- Konieczne?

- Przyjechałem, żeby zbadać sprawę tych incydentów - powiedział stanowczo Wade.

Spojrzenie siedzącego naprzeciw człowieka mówiło, że jego zdaniem to strata czasu.

- To może być niebezpieczne - ostrzegł go. - Pod ciężarem nagromadzonego śniegu zapada się kopuła.

- Ale z tunelu obok kopuły nadal, jak rozumiem, się korzysta?

-Tak.

- Więc można bezpiecznie tam podejść.

- Tak, ale...

- Możemy więc przejść tunelem i na chwileczkę wpaść pod starą kopułę. Mam nadzieję, że nie zawali się w tym właśnie momencie.

Keri nie był zachwycony pomysłem.

- Rozmawiał pan o tym z Sylwią?

Wade skinął głową.

- W porządku. Zabierzemy tam pana jutro, dobrze? Trzeba wziąć sprzęt i ludzi, żeby zapewnić bezpieczeństwo.

- Świetnie.

Czyli miał przed sobą cały dzień, z którym musiał coś zrobić. Keri zdaje się skończył swoje wstępne objaśnienia i z jakiegoś powodu był na niego zły. Do holu zabrała Wade'a młoda kobieta o imieniu Lydia, po czym zaprowadziła do jego pokoju - który wyglądał jak pokój hotelowy w miniaturze - i wręczyła klucz. Mógł robić, co chciał.

Jednak szybko okazało się, że na biegunie niewiele jest do roboty. Wyszedł na dwór z zamiarem sfotografowania stacji. Było tu mnóstwo miejsc, do których nie miał wstępu, ponieważ otaczający stację po horyzont śnieżny płaskowyż został podzielony na cztery części, z których trzy pozostawały zamknięte: ciemny sektor należał do astronomii, sektor ciszy do sejsmografii, a ostatni do wiatru, niemal bez przerwy napływającego z północy. Wade'owi został teren między stacją a pasem startowym, gdzie ogrodzony wianuszkami flag, stał krótki maszt w czerwono-białe pasy, zwieńczony lustrzaną kulą.

Miało to być oficjalne oznaczenie biegun, głównie po to, by robić zdjęcia.

Podszedł do kuli i spojrzał w okrągłe odbicie swojej zakapturzonej twarzy.

W lusterkach okularów dojrzał maleńkie odbicie dwóch masztów z kulkami na szczycie, w których z kolei odbijał się on sam. Próbował zrobić zdjęcie, ale się nie udało; być może bateria w aparacie zamarzła.

Cóż, w każdym razie nie był to właściwy biegun geograficzny, znajdujący się gdzieś na terenie starej, zamkniętej stacji, jak powiedział mu Keri, która będzie się przesuwać przez następne kilka lat, niesiona postępującym ruchem lądolodu na północ, w stronę morza, aż odsunie się od biegun.

Poza marznięciem, na dworze nie było nic innego do roboty. Wade zadzwonił do Phila ze swego ręcznego telefonu i trochę się zdziwił, słysząc jego głos.

- Phil, tu Wade! Jestem na biegunie południowym!

- To świetnie, Wade. Zimno tam? Jasno?

- Zimno, Phil. I jasno.

- To świetnie. Tu jest ciepło i ciemno. Śpię, Wade. Zadzwoń, jak u mnie będzie dzień. Wtedy mi wszystko opowiesz.

Dość z tym zimnem. Wade zrejterował do środka, czując wdzięczność do kosmicznego liniowca, który natychmiast otoczył go ciepłem. Spojrzał przez kolorowe okno: we wszystkie strony rozciągała się biała płaszczyzna, po horyzont, który według słów Keriego był oddalony o jakieś sześć mil; Wade'owi trudno było to ocenić. Powierzchnię śniegu znaczyły lekkie garby; setki drobnych fal i rzeźbiony, sypki śnieg, który między nimi leżał, z pewnością nie ułatwiał drogi narciarzom. Próbował sobie wyobrazić marsz na nartach przez tę najbardziej płaską z przestrzeni, dzień po dniu, setki mil, przez cały kontynent, jak marsz z Nowego Jorku do Los Angeles, cały czas z brzemieniem ciężkich sań i na pewno często w poprzek równoległych garbów. A jednak byli ludzie, którzy dalej to robili, jak mówił pilot herculesa; dla przyjemności szli przez kontynent lub szlakiem linii NTLBP z bieguna do McMurdo. Widok sznura żółtych ciągników, sterowanych automatycznie, który ich mijał, musiał zniechęcać. Ale zapewne motywy, które nimi kierowały, nie miały nic wspólnego z praktycznością.

Nie, to nie dla niego. Kiedy wracał przez hol do swojej klitki, by odpocząć po półgodzinnej wyprawie na dwór, pomyślał: Co by było, gdybym nie miał dachu nad głową? Gdybym musiał siedzieć na dworze w zimnie, dzień i noc, świeży o poranku i przeпоcony (gdyby można się tu było pocić) po południu? Nie sądził, by mógł wytrzymać dłużej niż parę godzin.

Jednak pod dachem trzeba było innego rodzaju hartu ducha. Jak długo można siedzieć w hotelowym pokoju? Wade nigdy nie uważał się za amatora pieszych wędrówek, ale lubił mieć możliwość chodzenia do różnych miejsc. Tu nie bardzo było dokąd iść. Poszedł do jadalni i niespiesznie zjadł lunch, obserwując mieszkańców stacji, którzy wchodzili, stali w kolejce, siadali i jedli, skupieni w małych grupkach, rozmawiając i nie zwracając większej uwagi na innych ludzi. Kiedy skończył jeść, umył talerz i poszedł głównym holem do wschodniej części, w której mieściła się biblioteka; potem skierował się do świetlicy i sali gimnastycznej; następnie do centrum łączności, najpierw do pokoju ogólnego, pełnego wielkich aparatów radiowych i innej maszynerii, a potem do pomieszczenia prywatnego, mieszczącego mnóstwo komputerów i monitorów. Większość stanowisk była zajęta - siedzieli przy nich ci, którzy skończyli pracę i chcieli skontaktować się ze światem.

Drugi moduł stacji mieścił przede wszystkim prywatne pokoje i łazienki, a także kilka barów, w większości zupełnie pustych. Z każdego okna holu rozpościerał się taki sam widok. Trzeci moduł był natomiast zamknięty na klucz. Wade wrócił do pierwszego modułu, by o to zapytać, a Keri uniósł roztargniony wzrok znad monitora i powiedział:

- Jest pusty, nie wie pan?

Wyjaśnił mu z kamienną twarzą, że kapryśny Kongres obciął fundusze na dokończenie stacji, a NFN postanowiła wykorzystać środki, które miała, na wybudowanie zewnętrznego szkieletu trzeciego modułu, pozostawiając urządzenie wnętrza jakiemuś hojniejszemu i bardziej sprzyjającemu badaniom antarktycznym Kongresowi. Japończycy byli gotowi zainwestować w dokończenie budowy pod warunkiem, że w części modułu powstanie hotel, ale jak dotąd NFN opierała się tej pokusie.

- Ciekawe - rzekł Wade. - Chciałbym zobaczyć tę część.

Keri, nie zmieniając wyrazu twarzy, pogrzebał po prostu w szufladzie i wręczył Wade'owi spory klucz.

- Niech pan nie zapomni zamknąć, kiedy będzie pan wychodził - powiedział, po czym wrócił do komputera.

Wade spojrzął na niego podejrzliwie, wzruszył ramionami i wrócił do zamkniętych drzwi trzeciego modułu. Drzwi były ciężkie. Wewnątrz zobaczył pustą przestrzeń, którą przecinały tylko pionowe podpory; pomieszczenie wydało mu się większe i zarazem mniejsze, niż się spodziewał. Widok z okna był taki sam jak wszędzie indziej.

Wrócił do pierwszej części i oddał klucz, po czym poszedł do biblioteki, w której dwie ściany zajmowały książki, noszące ślady wielokrotnego czytania. Przymusowi czytelnicy. Było to bardzo interesujące; jednak tylko fakt, że znajdowały się na biegunie południowym, czynił wyjątkowymi wszystkie te pokoje, które stanowiły dziwaczne skrzyżowanie bazy wojskowej, hali lotniska, laboratorium i motelu. Ku jego zdziwieniu, było tu potwornie nudno; nuda stanowiła kontrast dla jego dotychczasowych doświadczeń antarktycznych.

Nazajutrz rano Wade nałożył więc swój gruby strój i poczłapał przez hol za Kerim i jeszcze jednym mężczyzną imieniem George, ciesząc się, że wreszcie ma coś do roboty. Szedł za nimi, rozglądając się uważnie.

Na dworze chłód znów zaatakował jego nos. Zeszli na śnieg i po drodze minęli małą wioskę Jameswayów oraz mały, niebieski budynek mieszkalny na szczydach, który wyglądał jak model dużej stacji, a potem zeszli długim zaśnieżonym zboczem, przypominającym ścianę leżącego na boku lejka. Ślady gąsienic odcisnięte w śniegu świadczyły, że obniżenie jest dziełem buldożerów. Na końcu lejka znajdowało się ciemne, łukowate wejście z falistego metalu - początek tunelu, leżącego mniej więcej dziesięć metrów pod powierzchnią lodowej równiny.

Półkolisty, pokryty metalem tunel, kiedy go zbudowano, znajdował się na powierzchni, przed kopułą, która była wówczas znacznie wyższa. Gdy wchodzili do środka, Keri wyjaśnił, że stację zbudowano we wczesnych latach siedemdziesiątych i od tamtego czasu stopniowo zniknęła pod przykryciem gromadzącego się śniegu. Półkolisty sufit nad ich głowami był całkowicie pokryty warstwą szronu, którego lodowe kryształki w kształcie dużych płatków układały się w formy przypominające ciasno zbite chryzantemy. Idąc tunelem, po prawej stronie mieli rząd dużych skrzyń przypominających lodówki albo kontenery z kontenerowca. Z lewej była biała ściana, do której przyciskał się korytarz. Szli po twardo ubitym śniegu. Coraz szybciej robiło się ciemno. Minęli wbity w ziemię krótki słupek zakończony kulą; było to obecne usytuowanie bieguna południowego.

Doszli do skrzyżowania tuneli. Lewa krótka odnoga prowadziła do niedomkniętych drzwi, spoza których przez szparę wзираł śnieg.

- To stare wejście do stacji - powiedział George. Prawy tunel, z lodową brodą, prowadził w ciemność zalegającą pod starą kopułą.

Oświetlając drogę snopami światła z własnych latarek, skierowali się w ciemność prawej odnogi. Przez okrągłe okno w kopule wpadało do środka trochę światła. Spód ścian kopuły przykrywało fiitro z lodowych kryształków, tak grube, że sześciokątny układ wsporników starej kopuły ledwie było spod niego widać, jak gdyby stanowił twór procesu krystalizacji. W rezultacie Wade zobaczył wnętrza, które wyglądało jak ogromna katedra w kształcie igloo, a padające z góry światło ukazywało kilka wielkich skrzyń o czerwonych ścianach - były to budynki, przypominające piętrowe domki kontenerowe, zaopatrzone w zewnętrzne metalowe schodki, takie jak w nowej stacji, oraz metalowe podesty przy wejściach na piętro.

Keri i George pokazali Wade'owi każdy z tych domków po kolei; były bardzo podobne: wąskie przedpokoje, łączące maleńkie pokoiki zapchane pudłami, pustymi krzesłami lub szafkami na dokumenty. W jednym z pokoi na piętrze stał stół bilardowy.

- Chodźmy do jadalni - powiedział Keri, podczas gdy Wade wpatrywał się w ten smętny obraz.
- Tam się zwykle spędzało czas.

Wyszli na metalowy podest, potem pokonali kolejne lodówkowe drzwi, minęli garderobę i znaleźli się w ciemnej jadalni. W świetle latarek na ścianach kładły się kraciaste cienie. Wąskie pomieszczenie wydawało się za małe, by mogła się tu zmieścić cała załoga stacji. Z boku znajdowała się otwarta kuchnia; w środku nadal stały kuchenki, piecyki i lodówki. Tylko kilka dziur w meblach świadczyło, że zabrano stąd przydatne rzeczy i przeniesiono do nowej stacji lub gdzie indziej.

- Tak to zostawili? - zapytał Wade.

- Jak pan widzi. Zanim zbudowano nową stację, cały sprzęt zdążył się zestarzeć i popsuć. Nie pasowałby, nie odpowiadałby nowym wymogom energetycznym. Można go było przystosować, ale za dużo z tym zachodu. Wywózka stąd jest z kolei za droga. Właściwie były projekty, żeby zdemontować całą stację i kopułę, lecz koszty takiej operacji byłyby ogromne. I wszystko zostało. Kiedyś rozbijemy ten cały majdan i wyślemy do Mac, może go tam jakoś wykorzystają albo wsadzą na statek i wywiozą na złom.

- A może umieszczą w muzeum - dodał George.

- Tymczasem - odezwał się Wade - chyba zabiera się za to ktoś inny.

Zapadła cisza.

- Zgadza się?

- Sami nie wiemy, co się dzieje - powiedział Keri. - Faktycznie zniknęło stąd parę rzeczy. Ale to może być rodzaj, no nie wiem, rodzaj zabawy.

- Kawał? - spytał Wade.

- Coś w tym rodzaju. Nie jesteśmy pewni. Ale nie można tego inaczej sensownie wytłumaczyć. Przecież rzeczy, które giną, w ogóle nie są użyteczne. Stare lodówki, kuchenki, kartony starych papierów.

- Hmm - rzekł Wade.

- To nie ma żadnego sensu. Chyba że to zabawa.

- Ludzie często się tu tak bawią?

- Cóż...

- Większość z owych zniknięć miała miejsce zimą - wyjaśnił George.

Keri skinął głową.

- Podczas zimy jest tu tylko siedemdziesiąt osób. Oczywiście, wszyscy są oceniani przez ZLA oraz NFN wcześniej i spędzają razem dwa tygodnie, żeby się przekonać, jak sobie dadzą radę. Naturalnie zdarza się, że trafiają tu ludzie nie całkiem, hm, normalni. A może zaczynają jako zupełnie normalni, tylko podczas zimy coś im się...

Wade skinął głową. Obok drzwi prowadzących do toalety wisiała półka z przyprawami, na której wciąż stały pudełka i butelki z cukrem, solą, pieprzem, śmietanką w proszku, czekoladą w proszku, herbatą w torebkach, musztardą, keczupem Heinza. Butelka syropu truskawkowego miała okrągłą nalepkę Materiał niebezpieczny. Cała zawartość na pewno zamarzała na kość przy takim przejmującym zimnie.

- Byłem na ostatniej kolacji w Święto Dziękczynienia, która odbyła się w tej jadalni - powiedział George - i przygotowano chyba dwanaście potraw, prawdziwa uczta Dziękczynienia, ze wszystkimi tradycyjnymi daniami. Uwędziliśmy indyka w starej stalowej beczce, pojemności pięćdziesięciu pięciu galonów, zaraz za drzwiami. Najlepsze Święto Dziękczynienia, jakie pamiętam.

W tym nostalgicznym nastroju opuścili domek i depcząc po lodowych kwiatkach, skierowali się do półkolistego tunelu. Szli w stronę światła na jego końcu, które z każdym krokiem stawało się coraz jaśniejsze.

Po ciemnych pokojach, nieskończony, biały płaskowyż polarny był zbyt jasny, by wzrok funkcjonował normalnie. Pod wiszącym nisko błękitnym niebem i oślepiającym słońcem było szokująco wietrznie i przestrzennie. Jakby stali na płaszczyźnie geometrycznej. Na zamrożonym dnie świata. Trudno było znaleźć coś wspólnego między tymi dwoma miejscami, tu i tam, na drugim końcu tunelu.

- Zbudowali sobie jaskinię - powiedział Wade. Żeby dało się żyć na Lodowej Planecie.

- Raczej igloo - rzekł George. - Wtedy było tam jaśniej.

Jednak owo miejsce dawało schronienie. A teraz stała tu nowa stacja:

metalicznie niebieskie skrzydło, niczym pierwszy lepszy postmodernistyczny hotel w pierwszym lepszym miejscu na Ziemi. Oto czym jest biegun!

I tyle. Stara stacja, puste miejsca po jakichś nieistotnych przedmiotach, które zniknęły. Nic więcej godnego uwagi. Naturalnie Keri, George i inni uważali, że jego przyjazd jest zupełnie bezcelowy. Zawodowo zajmujący się takimi sprawami ludzie z NFN, Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu i FBI już tu byli, by zbadać porwanie ciągnika NTLBP. Logiczne więc się wydawało, że jakiś doradca z Senatu nie może zrobić więcej niż oni. Do pewnego stopnia mówiły o tym spojrzenia Keriego i George'a; a Wade niezupełnie wiedział, jak miałby ich przekonać, że tak nie jest - gdyby mu się chciało. Przysłał go tu Phil Chase i to był wystarczający powód; i być może dawało mu to więcej władzy, niż ci ludzie podejrzewali. Lecz musiał zrobić coś więcej, poza graniami roli wędrownych oczu Phila, jeżeli chciał z tej władzy skorzystać.

Tylko co? To miejsce go paraliżowało; pustka, biała plama na mapie.

Nie było żadnego powodu, żeby tu przyjeżdżać, poza abstrakcyjnym faktem, że przebiegała tędy oś obrotu planety, co stanowiło powód dość dziwny, gdyby się nad tym zastanowić. Wręcz śmieszny. Rzucił okiem na niezmienny, wszechobecny widok za oknem. Jakby był w minimalnie strzeżonym więzieniu dla bogatych przestępców inteligentów albo w prawdziwym statku kosmicznym. Gdyby nawet jednak statek leciał w rejs na rajską planetę, Wade odmówiłby w nim udziału, bojąc się nudy w drodze. Nie było tu absolutnie nic ciekawego, może poza ludźmi.

Lecz naukowcy mijali go w pośpiechu, najwyraźniej bardzo zajęci i, jak mówił Keri, zaabsorbowani sprawami ezoterycznymi zbyt skomplikowanymi, by mogli je objaśnić zwykłym śmiertelnikom. A ludzie z obsługi pracowali lub siedzieli w jadalni w małych grupkach, rozmawiając tylko ze sobą. Hermetyczni.

Wade poszedł do pokoju łączności. Przy monitorach siedziały dwie młode kobiety; jedna uniosła na niego wzrok.

- Keri mówił, że mógłbym skorzystać z e-maila - powiedział.

- Jasne - odrzekła jedna z nich, wstając. Poruszała się energicznie i miała wyraźnie południowy akcent. - Jestem Andrea - powiedziała. - Na długo przyjechałeś?

- Jeszcze nie wiem.

- Jesteś na wycieczce dla specjalnych gości?

- Coś w tym rodzaju - odparł Wade. - Jestem z Waszyngtonu.

- To znaczy, że jesteś specjalnym gościem.

Skinął głową i kiedy prowadziła go do komputera w drugim pokoju, krótko opowiedział o swojej wizycie.

- Ach, stara kopała, tak. Dobry pomysł. - Jej ton oznaczał, że to wcale nie jest dobry pomysł, że jest dużo lepszych. - Pokazali ci stary szyb?

-Nie.

Pokręciła głową. Spojrzała na niego ciekawie; pomyślał, że chce mu pomóc. Albo pokazać

stację, albo zrobić coś więcej, trudno powiedzieć. Żadnym drgnieniem twarzy nie zdradziła swojego stosunku do Keriego.

- Będziemy ci musieli pokazać przynajmniej stary szyb.

Po chwili gwałtownie otworzyły się drzwi do pokoju łączności i druga kobieta powiedziała:

- Wiktor przyjechał - wymawiając twardo k.

- Kto to jest Wiktor? - zapytał Wade.

- Nasz przyjaciel Rosjanin - odrzekła Andrea. - Nie mieszka tu, ale od czasu do czasu wpada.

Jest świetny.

- Nie mieszka tu?

- Nie. Chodź ze mną. - Skierowała się do świetlicy, więc Wade podążył za nią. Wyjaśniła mu, rzucając przez ramię:

- Jeździ na nartach między stacją Wostok, Kopułą C, biegunem niedostępności, naszą stacją i stacjami wydobywania ropy. Wszędzie. W saniach ma wszystko, czego mu potrzeba, często też stawia żagle, żeby jechać z wiatrem.

- A gdzie uzupełnia zapasy? - zapytał Wade, myśląc o zagadkowych zniknięciach.

- Ma swoje sposoby. Wiesz, że Wostok jest nieczynny, ale zostawili tam wszystko, więc Wiktor wpada tam od czasu do czasu i bierze sobie różne rzeczy.

- Ach, tak. Chciałbym poznać tego Wiktora.

- Poznasz. - Wsadziła głowę do świetlicy i krzyknęła: - Wiktor przyjechał! - Ze środka dały się słyszeć okrzyki radości. - Chodź ze mną, na pewno jest u Spiffa.

Poprowadziła go do wyjściowych drzwi pierwszego modułu i Wade wyszedł za nią na dwór; w niezapiętym skafandrze i z gołą głową; uderzenie zimna w głowę omal nie zważyło go ze schodów. Andrea biegła przed nim w stronę strefy ciszy i zobaczył, że nie ma skafandra, tylko ten sam lekki strój, jaki nosiła w biurze.

- Nie jest ci zimno? - krzyknął.

- A skąd!

Zaprowadziła go do półciązarówki, odłączyła ją od akumulatorowego grzejnika i pojechali przez pas startowy do Ciemnego Sektora, gdzie otoczony siecią słupów i lin stał na szczudłach niewielki, kwadratowy budynek. Weszli po schodach do środka. Andrea krzyknęła:

- Jest tu jeszcze?

- Jestem! - huknął z wnętrza donośny głos.

- Wiktor!

W pokoju pełnym różnorodnej maszyneryi stała grupa ludzi, otaczając wysokiego, potężnego mężczyznę, ubranego w fotoelektryczny strój tego samego koloru co zewnętrzna powłoka nowej stacji. Toczyło się tu kilka rozmów naraz, ale większość słuchała Wiktora, który dzielił się z nimi nowinami.

- Tak, robi się duży nowy projekt! Cześć, Andrea! Cześć! A to pewnie nasz gość senator. Cześć, Wade! Nowy projekt dla grupy na rzecz Sahary.

Mają kłopot z powiększaniem się pustyni i opracowałem plan pomocy, nawet dostałem pieniądze na początek. Wiesz - zwrócił się do Wade'a - że pod stacją Wostok leży jezioro Wostok - jezioro czystej wody pod lodem, duże jak wasze Ontario.

- Nie wiedziałem - odrzekł Wade.

- Tak, to jeden z największych zbiorników słodkiej wody na świecie.

I pod czterema kilometrami lodu, więc jest pod ogromnym ciśnieniem. Dzisiaj wiercenie w lodzie nie stanowi problemu, a naukowcy od materiałów w Chevron robią giętkie rury z kevlaru i

plastikowej siatki, bardzo mocne i tanie!

Dowiercimy się do jeziora i puścimy wodę rurociągiem do samej granicy pustyni.

- Nie! - zaprotestowało kilka głosów. - Chyba żartujesz!

- Niemożliwe! - powiedział jeden z nich z uśmiechem, który świadczył, że chce tylko podjudzić

Wiktora.

- Nie, Spiff! Jest możliwe! Jest całkiem możliwe! Wystarczy wysokość płyty lodowej i ciśnienie, żeby woda sama popłynęła do równika. Może dopompuje się trochę na końcu, by płynęła cały czas. Rura będzie leżeć kilkaset stóp pod morzem i wyjdzie na powierzchnię dopiero w Gabonie. A potem słodka woda za darmo! Grupa Sahary bardzo się do tego zapaliła.

- A po osuszeniu jeziora ciężar lodu spowoduje, że powstanie więcej wody - zauważył Spiff, znowu go podpuszczając.

- Nie, nie. Nie jest możliwe. Niemożliwe - powtórzył z naciskiem. - Jezioro Wostok wystarczy Saharze na całe lata.

Spiff wygrzebał z szafki ze sprzętem naukowym małe szklaneczki. Wiktor wyciągnął z plecaka sporą butelkę wódki i je napełnił. Wszyscy wychylili toast do dna, oprócz Wade'a, który powoli sączył alkohol. Wiktor wyjaśniał szczegóły swojego projektu Spiffowi, ten zaś przerywał mu uwagami, na które Wiktor musiał odpowiadać: "Jest możliwe" albo "Nie jest możliwe".

Wade już wcześniej słyszał w stacji jak kilka osób używało tych zwrotów, a teraz inni prowokowali mężczyznę siedzącego na biurku, by mówił "Jest możliwe, jest bardzo możliwe".

Wiktor podszedł do Wade'a.

- Podobno pracujesz dla senatora Chase'a. To dobrze, bardzo mi się facet podoba. Ziemię odziedziczą wędrowcy, wspomnisz moje słowa.

Wade skinął głową.

- Czasem też mi się tak wydaje.

- Jak się z nim pracuje? Widujesz go czasem?

- Rzadko - przyznał Wade. - Może dwa razy w roku.

- Dwa razy w roku! A to dobre! Jak równonoc.

- Raczej przesilenie - rzekł Wade, na co Wiktor uśmiechnął się szeroko, skwapliwie kiwając głową. Niewątpliwie wiedział więcej o różnicach między równonocą a przesileniem niż ktokolwiek inny na Ziemi.

Podszedł do nich Spiff, którego Wiktor objął ramieniem i uściskał.

- Mój przyjaciel szalony astronom. Zazdrościsz, bo jest projekt bardziej zwariowany od twojego!

- Chyba jednak dalej jestem górą - powiedział z uśmiechem Spiff.

Wiktor wybuchnął śmiechem.

- Chyba tak. - Spojrzał na Wade'a. - Wiesz coś o pracy Spiffa?

-Nie.

- To największy astronom na świecie.

Spiff przewrócił oczami.

- Nie jest możliwe - powiedział ktoś w pokoju.

- Otóż to - rzekł Spiff.

- Stąd Spiff obserwuje północne niebo - wyjaśnił Wade'owi Wiktor. - W ramach słynnego programu AMANDA. Wykorzystują całą Ziemię do łapania neutrin. Neutrino, które przepływają przez Ziemię z północy, z reguły w nic nie trafiają i bez przeszkód wylatują z drugiej strony, dobrze mówię, Spiff? To słabo oddziałujące cząstki, zupełnie jak ja. Ale czasem uderzają w atomy Ziemi i

wybijają miony, a miony od spodu wpływają w łądólód i wywołują szczególne niebieskie światło, światło Czerenkowa, tak? Astronomowie używają więc planety jako filtra, a płyty lodowej jako soczewki i rejestrują niebieskie światło za pomocą długich fotopowielaczy, które sięgają kilometr, dwa kilometry w głąb. Fotopowielacze działają jak odwrotność żarówki - pobierają światło i dają prąd elektryczny - ale co to za żarówki!

Wzmacniają odbierane sygnały setki milionów razy, tak mówiłeś, Spiff?

I z tego mogą ustalić liczbę neutrin, a nawet z której części nieba pochodzą.

- Żartujesz - rzekł Wade. - Niemożliwe.

- Nie, nie. Jest możliwe, jest całkiem możliwe.

Spiff śmiał się z Wade'a.

- Andrea - rzucił nad głowami stłoczonych ludzi. - Chyba niedługo zaczną się tańce?

-Tak!

- Znasz mnie - powiedział do Spiffa Wiktor. - Zawsze przyjeżdżam w porę, żeby wziąć prysznic.

- Jasne, masz klucz. Zobaczymy się na tańcach.

Wiktor zabrał klucz i wyszedł. Przyjęcie w pokoju Spiffa toczyło się dalej bez niego; ludzie szykują się na tańce, wyjaśnił Wade'owi Spiff.

- Tańce? - spytał Wade.

- Nie słyszałeś? - Pokręcił głową. - Pewnie Keri zapomniał ci powiedzieć. Wiesz, że jest dwunastego października.

- Z okazji Dnia Kolumba?

- Nie, nie, to rocznica pierwszego rozbicia obozu nad jeziorem Bonney.

- Parsknął śmiechem na widok miny Wade'a. - No, nie, żartowałem. Skunksy Południa - nasz zespół - próbuje przekonać NFN, że nadaje się na lodowy Woodstock, więc od jakiegoś czasu w każdą sobotę urządza tańce. Dzisiaj jest specjalna okazja, bo przyjechał Wiktor.

Zapytał Wade'a o cel jego pobytu na biegunie i Wade próbował mu wszystko wyjaśnić. Spiff, kiwając głową, zaprowadził go do biurka, by napełnić jego szklaneczkę.

- Zabrali cię do starej stacji, prawda?

- Zgadza się. Bardzo ciekawe miejsce.

- Aha. Zabrali cię do starego szybu?

- Nie, co to takiego?

Spiff pokiwał głową.

- Mówili ci o Rodwellu?

-Nie.

- O jeziorze Pattersona?

-Nie.

- O zakopanym herculesie?

- Zakopanym herculesie?

- Nie zabrali cię w żadne inne miejsce, tak?

- Nie zabrali.

- Nie jest możliwe. - Spiff pokręcił głową, zamyślając się nad tym. - Boją się takich peżetów jak ty. Po tylu latach nabawili się paranoi na tym punkcie.

- Peżetów?

- To skrót: pieprzonych żółtodziobów. Słuchaj, po tańcach najlepiej porozmawiaj z Andrea i zobaczymy, co da się zrobić. Prawda jest taka, że ludziom stąd trzeba będzie pomóc i to niedługo.

Potrzebują kogoś, kto nie jest ani z NFN, ani z ZLA i może wziąć ich stronę. Porozmawiaj z Andream.

- Dobrze.

- Zaraz idziemy, tylko coś tu dokończę.

Kiedy Spiff manipulował przy niezidentyfikowanej maszynie w kształcie wielkiej skrzyni, która zajmowała pół pokoju, Wade czytał przyklejony na ścianie wykres w formie algorytmu.

- Wygląda jak plan działania Waszyngtonu - zauważył Wade.

- Co? Ach, to. Człowieku, to plan całego świata. No, skończyłem, chodźmy, zespół miał już zaczynać o tej porze, a nawet jeżeli uwzględnić czynnik antarktyczny, może już niedługo zaczną.

- Czynnik antarktyczny?

- Prawo Murphy'ego do potęgi dziesiątej. Wszystko się sypie. Nie wytrzymuje ani środek, ani oś obrotu. Chodźmy.

Wyszedszy na zewnątrz, znaleźli się w blasku dnia. Pod schodami nie było już pickupa, więc ruszyli przez porozjeżdżany śnieg w stronę stacji; wydawało się, że jest niedaleko, ale po dziesięciu minutach nie zbliżyła się ani o metr, choć maszerowali dość szybko.

- Ile musimy przejść? - wysapał Wade.

- Dwa kilometry. Dobrze ci robi. - Spiff przyspieszył kroku.

- Spiff, skąd masz takie imię? - Zapytał w nadziei, że zwolni.

tak czy to cholera działa?

nie nie majstruj przy nim tak majstrowałeś przy nim?

ty cholerny kretynie nie nie ktoś o tym wie? tak nie puszczaj pary z gęby nie ty żałosny dupku fok zrzucą na ciebie winę?

nie możesz zwalić na kogoś winę?

tak olej to NIE MA SPRAWY - Naprawdę mam na imię Spliff*, ale tak często jeździłem przez Nową Zelandię, że musiałem je zmienić. - Uśmiechnął się do Wade'a przez ramię, szczerząc zęby.

- Masz na myśli psy?

- Tak. Czyste wariactwo. To w większości naród alkoholików, więc robią te hece z psami, żeby przekonać sami siebie, że są w porządku. Ale czasem naprawdę są kłopoty. Kiedyś leciałem tu prosto z pożegnalnej imprezy i nie przebrałem się wcześniej; psy w Auckland rozdarły się jak alarm przeciwpożarowy.

- Straszne.

- Jasne. Celnicy męczyli mnie potem godzinami, spóźniłem się na samolot do ChrisWurch, i w ogóle. Pociłem się ze strachu, bo miałem trzy grube skręty w pipetach pływających w butelkach z szamponem i nie byłem pewny, czy te cholerne psy tego nie wyniuchają. Są naprawdę niezłe. To by mi zburzyło całą teorię. Potem dałem sobie spokój. Za duży stres. Teraz strzelam dwie lufy szkockiej i próbuję sobie wyobrazić, że to porządna gorzala. Ale żeby tyle przy tym hałasie. Alkohol to okropny narkotyk. I tak zostałem Spiffem.

- Rozumiem. Ten eksperyment, AMANDA, to twój pomysł?

- Nie, nie. To dość stara koncepcja. Całkiem udana, ale ja wolałbym robić coś bardziej związanego z kosmosem. Zmiennefazowe wiry w pierwszej sekundzie wszechświata. Oto czym jesteśmy. Skazą w strukturze. Małym wirem w wielkich lejach. Drobnym zawirowaniem w trąbie powietrznej.

- Hej, chyba jesteśmy na miejscu?

Spiff minął błękitną stację i szedł dalej.

- Nie, tańce są w starym obozie letnim. Próbowali grać w pustej części stacji, wiesz gdzie, tam jest duża przestrzeń, ale są okna i nigdy nie można zupełnie odlecieć, jeżeli wiesz, co mam na myśli. -

Prowadził Wade'a między rzędami kopczyków - szczytami zasypanych Jameswayów, potem w dół z boczka usypanego przez buldożery, aż weszli na coś w rodzaju obniżonego placu, gdzie na lodzie wciąż stało kilkanaście Jameswayów i betonowych bunkrów.

- To letni obóz. Trzymali w nim tłumy ludzi, którzy przyjeżdżali na lato, zanim zbudowano nową stację.

- Chcieli go zlikwidować, tylko nigdy się za to nie zabrali.

- Zgadza się. Poza tym zawsze można skorzystać z tych budynków, kiedy trzeba się gdzieś schronić. Tu nigdy nic się nie likwiduje, przekonasz się.

Ludzie są jak kraby biernatki, wędrujące od muszli do muszli.

• spliff (ang. pot.) - skręt z marihuany Jameswaye, które mijali, miały nad drzwiami tabliczki z imionami: Larry, Curly, Moe, Shemp.

- Walimy do Moe! - zawołał Spiff, kierując się w stronę Jameswaya trochę większego od pozostałych. - Zdaje się, że już zaczęli. Naprzód!

Zatrzymał się przed drzwiami długiego Jameswaya, wyciągnął z kieszeni skafandra termos, odkręcił i podał Wade'owi. Wade pociągnął łyk zimnej, palącej whisky i podał termos Spiffowi, który zrobił to samo. Potem Spiff nacisnął klamkę - zupełnie zwykłą, metalową klamkę w zwykłych drewnianych drzwiach - i wszedł do ciemnego, wypełnionego hałasem wnętrza.

Wade wszedł za nim drugimi drzwiami. W środku było ciemno i gorąco.

Jamesway - jedno długie pomieszczenie - o półkolistych ścianach, jak wojskowa rotunda. Na drugim końcu zainstalował się zespół, który grał ogłuszającego rocka. Jedyne oświetlenie stanowiły czerwone reflektory na scenie i sznury zabytkowych lampek choinkowych. Za muzykami na ścianie wisiał transparent z napisem "Skunksy Południa".

Przypatrując się zespołowi, Wade zdjął skafander i zawiesił go na wieszaku, uginającym się pod ciężarem podobnych okryć. Gitarzysta solowy był niezły, co od razu dało się słyszeć; reszta przypominała muzyków z byle garażowej kapeli albo jeszcze gorzej. Jednego z astronomów, którego Wade widział u Spiffa, namawiano, by zagrał na saksofonie. Miał w dłoni luźne kartki z nutami, które basista przypiął po chwili do statywu mikrofonu, a gdy zaczęli grać, przerwał na chwilę, by skierować mikrofon do rury saksofonu; Wade usłyszał zduszony jazgot, wcinający się w melodię "Louie Louie". Pomyślał, że sam lepiej by sobie poradził, zresztą każdy na sali lepiej by sobie poradził. Astronom wybałuszał oczy, usiłując czytać nuty.

Natomiast basista, kiedy już umieścił mikrofon na statywie i zagrał, okazał się całkiem dobrym muzykiem; perkusista też; gitary rytmicznej w ogóle nie było słychać, a gitarzysta solowy okazał się świetny. Był to łysiejący facet w drucianych okularach, zza których wyzierały oczy o nieprzytomnym wyrazie. Wade wepchnął się w gęsty tłum tancerzy, żeby lepiej widzieć ręce gitarzysty, potem falował w górę i w dół ze wszystkimi i zorientował się, że przy samej scenie faktycznie odbywają się prawdziwe tańce. Kobiety ze stacji tańczyły jakiś rzeczywiście skomplikowany taniec, coś w rodzaju pługów licealistek albo pszczoł; kobiety były tu w mniejszości, co poważnie komplikowało stosunki społeczne na parkiecie, większość więc tańczyła po prostu ze sobą albo z całą grupą mężczyzn, lecz rzadko z jednym mężczyzną, wyłączając Wiktora. Wade zauważył, że wszyscy się tu znają; nawet obserwując tylko gesty i nie słysząc słów, raz za razem widział bezczelne i impertynenckie zaproszenia do tańca, a skępowani i nieśmiali mężczyźni usiłowali porwać którąś ze swoich koleżanek i uciec od codzienności, choćby na jeden taniec albo nawet pół. Wiele kobiet rozwiązywało problem, tańcząc z trzema lub czterema mężczyznami naraz. Nie pomogło w przewyciężeniu niezręcznych kontaktów na parkiecie wejście Spiffa i Andrei, którzy puścili się właśnie w jakiś wyzywająco nieprzyzwoity taniec, poruszając się z dużą wprawą i świetnie się przy

tym bawiąc. Spiff efektownie ruszał biodrami, Andrea kręciła się wokół jego wyciągniętej nogi; inni w ogóle się nie dotykali ani na siebie nie patrzyli. Trzymali się rytmu, wirując w swoim własnym świecie, który jednocześnie był wystawiony na widok publiczny; kiedy grano "Summertime Blues", wyglądało to dość dziwnie, ale przy "Wild Thing" - doskonale.

Wade stanął z brzegu falującego tłumu, podrygując do taktu i podziwiając umiejętności gitarzysty, który, w miarę jak rozgrzewał się cały zespół, był coraz lepszy i grał solówkę za solówką, które atakowały uszy, wdzierają do środka, skowyczały i szybowały w górę. Tłum stał się jednym ciałem, śpiewając chórem słowa, ponieważ nieszczęsnego wokalisty, który grał na gitarze rytmicznej, w ogóle nie było słychać w żadnej piosence, bez względu na to, jak głośno śpiewał i jak mocno szarpał struny; równie dobrze mógł mieć odłączony instrument i zapewne rzeczywiście tak było. Skład stanowiły więc gitara solowa, bas i perkusja, przy czym basista i bębniarz z trudem dawali sobie radę, by zbudować tło dla artystycznych poszukiwań swojego lidera.

Podpłynął Spiff i wrzasnął Wade'owi do ucha:

- ...grał kiedyś w pięciu zespołach naraz! W klubach - nigdy nic nie nagrał - co wieczór przez cały tydzień... New Hampshire, Vermont... - Wskazał na gitarzystę, kręcąc z podziwem głową. - Nie jest możliwe!

Wade skinął głową na znak, że usłyszał. Pociągnął jeszcze kilka łyków z termosu Spiffa. Ludzie tańczyli bez końca. Ktoś włączył lampę ultrafioletową, a nawet stroboskop, chyba zepsuty, bo co chwilę zmieniała się częstotliwość błysków. Ilekroć w pomieszczeniu robiło się za gorąco, ktoś otwierał drzwi z tyłu i w dwadzieścia sekund chłód wdzierał się do środka z takim impetem, że unosząca się w powietrzu wilgoć potu opadała na ziemię i zmieniała się w biały pył, który nie topniał. Temperatura tuż nad podłogą nie podnosiła się powyżej zera, co Wade zauważył, obserwując wiry kurzu pod nogami.

- Świetna klimatyzacja! - krzyknął do Spiffa.

Czas mijał, odmierzany kolejnymi kawałkami; nierówne błyski stroboskopu wydobywały z mroku pocięte obrazy tańczących. Zespół wyczerpał cały swój repertuar i zagroził, że skończy grać, ale tłum nie zamierzał ich wypuścić; Andrea, Lydia i dwie czy trzy inne kobiety klęczały u stóp gitarzysty, jak gdyby go błagały, by grał dalej, choć nie było wątpliwości, że gdyby im odmówił, rozerwałyby go na sztuki. Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech - zdaniem Wade' a jedyny wyraźny cień jakiegoś uczucia - po czym obejrzał się na kolegów z zespołu i uderzył w struny. Basista ziążył okleić sobie palce taśmą izolacyjną i grał dalej z zadowoloną miną.

Zagrali "Little Wing", którego Wade w pierwszej chwili nie rozpoznał, a po zduszonej sekwencji wokalu gitarzysta energicznie zagrał kilka hendriksowskich mollowych akordów, po czym powoli, ale zdecydowanie uwolnił się od reszty zespołu i sądząc po jego spojrzeniu, od reszty wszechświata - oddalił się od piosenki, od tej chaty, uciekając we własną, prywatną przestrzeń, zabierając ze sobą wszystkich ludzi zbitych w tym Jameswayu - do odległego miejsca, pełnego bólu i cierpienia, którym był cały świat; grał o wszystkich nocach spędzonych w barach, gdzie nikt nie słyszał jego muzyki, kiedy grał swojego bluesa o lodzie, Bluesa Biegunowego, bluesa kogoś, kto wrócił do lodowej krainy po raz enty, przysięgając wcześniej, że nigdy już tego nie robi; kogoś, kogo lód uwiódł i oderwał od barów, kumpli z zespołów i kobiet, by rzucić go tu, gdzie utknął w zimnej nudzie. Najpierw zakochujesz się w Antarktydzie, a potem ona niszczy ci życie, łamiąc je na pół, rok po roku, co roku to samo; jedziesz na północ i nie wiesz, gdzie jesteś, gdzie jest twój dom i co robić dalej i przysięgasz, że nigdy tu już nie przyjedziesz, a potem wracasz, żeby znowu pracować całe dnie w temperaturze na granicy życia biologicznego, gadając bez przerwy aż ludzie mówią Nie, Robbie, bądź cicho, nie mów ani słowa przez co najmniej dziesięć minut, dobrze?

Alę ja wypowiadam tylko jedną milionową tego, o czym myślę; a potem milkniesz, zasuwasz w ciszy, sam - aż nagle trafia się okazja, by zagrać na gitarze i wypowiedzieć wszystko, co ci chodzi po głowie - to co, że muzyką, lepiej jest mówić tak, bo to język mogący wyrazić więcej niż inne, choć nikt go do końca nie rozumie. Przejęty Wade, który dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakuje mu tu muzyki, przestał tańczyć i słuchał, wpatrzony w dłonie, które budowały takie piękne, nieprzetłumaczalne zdania.

Wielu innych tancerzy zrobiło to samo, stając w bezruchu, jakby grano hymn państwowy albo jakąś podniosłą pieśń; wszyscy byli w takiej samej sytuacji jak ten facet, wszyscy wiedzieli, co czuje, sami to przecież czuli, więc "Little Wing" miało głębię większą niż u Jimiego, Duane'a czy Stevie Raya - było potężniejsze, bardziej mroczne i wyraziste. Wade znalazł się obok Spiffa i próbował przekazać astronomowi wrażenie, które znów z ogromną siłą odczuł; że muzyka jest językiem, najgłębszym i jednocześnie najmniej zrozumiałym. Spiff, kołyszając się, kiwnął głową i odchrząknął w odpowiedzi prosto do ucha Wade'a:

- To znaczy, że cała koncepcja nauki idzie wstecz, im lepiej coś rozumiesz, tym mniej cię to porusza, teraz chcę to odwrócić, zacząć uprawiać antynaukę, żeby wiedzieć mniej, mniej rozumieć i tym lepiej czuć, chcę mniej zrozumienia. Jeżeli pójdziesz potem z nami, pokażę ci, co mam na myśli.

Wade skinął głową i wrócił do niekończącej się podróży gitary. Daleko od ziemi, daleko od Lodowej Planety, gdzie nie mógł ich osiągnąć wspólny los, od którego nie sposób uciec...

Na koniec wielkiego solo gitarzysta pochylił głowę, wyciskając ostatnie rżężące akordy i odwrócił się z gitarą w stronę wzmacniacza; usłyszeli przeraźliwy pisk sprzężenia. Wade'owi wydawało się, że nie tylko skończył się dzisiejszy popis - ten człowiek mógł już odwiesić gitarę na dobre, bo na pewno już nigdy nie zagra lepiej niż dziś; nikt już nie zagra lepiej.

Lecz kobiety znów go opadły, jak syreny lub demony w kobiecej postaci, ze śmiechem szarpiąc go za ręce i owijając się wokół jego kolan, błagając, by zagrał coś jeszcze, domagając się tego; gitarzysta ciężko westchnął i pokręcił głową nad ich nienasyconym i brakiem wyrozumiałości, po czym zagrał "Glorię", tym razem śpiewając sam i dyrygując ochrypłym śpiewem tłumu, który mnóstwo razy powtarzał refren; najwyraźniej zamierzał doprowadzić ludzi do utraty zmysłów, by zanim padną martwi na podłogę, pozwolili zespołowi opuścić scenę. Podczas nieśmiertelnej "Glorii" Andrea pociągnęła Wade'a w środek wianuszka kobiet. Zaczął przechodzić od partnerki do partnerki, przez kilkadziesiąt refrenów, przesiąkając zapachem wszystkich tych kobiet, które były silne, spocone, nosiły drelichowe kombinezony, miały dzikie spojrzenia; muskularne i wysokie, przypominały mu Val, bez butów wydawały się płynąć; przedstawicielki amerykańskiej klasy robotniczej ruchami w tańcu zdradzały wiele godzin spędzonych w barach, a drapieżne uśmiechy i ukradkowe, błyszczące spojrzenia mówiły Wade'owi, że oto ma przed sobą dzikuski, które dokonały już takich rzeczy, że teraz na biegunie czują się jak w zamknięciu. Patrząc na nie, Wade nie mógł powstrzymać myśli o Val i pragnienia, by teraz była obok niego; zatańczyłby z nią, nie tak bezładnie jak z tymi syrenami, wywrzaskującymi bez przerwy GLORIA, ale tylko z nią i być może w tak wyzywający sposób jak wcześniej Spiff i Andrea. Gdyby tylko tu była!

Kiedy wybrzmiała już "Gloria", gitarzysta zaczął biegać po scenie, wyszarpując wszystkie wtyczki ze wzmacniaczy. Muzyka umilkła w jednej chwili. Szeroko uśmiechnięty basista trzymał w górze krwawiącą dłoń; po plastrach nie zostało ani śladu. Ktoś wyłączył ultrafiolet i stroboskop, salę oświetlał więc tylko mdły blask lampek choinkowych.

Wade ze zdziwieniem stwierdził, że Spiff i Andrea dalej są na sali; sądził, że wymknęli się do jakiegoś pokoiku, zważywszy na ich płomienny taniec; ale nie - podeszli do niego, a Andrea wzięła go pod ramię.

- Chodźmy - powiedziała w hałasie braw i okrzyków. - Weź kurtkę.

Wade wyszedł za nimi, usiłując włożyć po drodze skafander.

W jego głowie wybuchło oślepiające światło słońca. Zimno uderzyło w niego niczym płat mrożonej wołowiny, nieomal zwalając go z nóg. Pod skafandrem był cały mokry i chłód przeniknął go do kości. Tamci zaczęli biec, więc z ulgą do nich dołączył, oślepiiony łzami, które wycisnął mu z oczu mróz. W biegu czuł pot zamarzający na różnych częściach ciała.

Zszedł za Spiffem, Andrea i paroma innymi osobami zboczem prowadzącym do tunelu starej stacji. W kanale było ciemno jak w kopalni. Zanim Wade odzyskał wzrok, minęli już słupek oznaczający biegun geograficzny i znaleźli się na środku okrytej kopułą przestrzeni. Obok kontenera, w którym mieściła się jadalnia, znajdowała się okrągła balustrada oraz okrągłe drzwi zapadowe, jak pokrywa wielkiego wlotu kanalizacyjnego.

- To właśnie stary szyb - powiedział do Wade'a Spiff. - Chodź za mną.

Wade zszedł po zimnej metalowej drabinie, z trudem odrywając ręce od lodowatych szczebli. U dołu drabiny snop światła latarki wydobył z mroku kwiaty z lodowych kryształków, które pokrywały wszystko i trudno byłoby odgadnąć, co pod nimi jest. Wyprawa speleologiczna do białej jaskini. Spiff zgarnął dłonią garść kryształków i wsadził sobie do ust, pociągnawszy przedtem łyk z termosu.

- Szkocka ze śniegiem - wymamrotał. - Niezła. Oto i stary szyb.

- To znaczy? - rzekł Wade, przyglądając się, jak jego oddech zamarza i opada na podłogę.

- Korytarz, którego używano, żeby grzebać w bebecach starej stacji.

Trochę tu zimno.

- Trochę.

- Cały czas sześćdziesiąt sześć poniżej zera.

- Minus sześćdziesiąt sześć?

- Fahrenheita. Zgadza się. Wyobrażasz sobie ludzi, którzy musieli tu naprawiać rurę albo łączyć jakieś kabelki? Wtedy nie było jeszcze ogrzewanych rękawic.

Szli teraz dość szybko, zgarbieni pod sufitem pokrytym lodowymi chryzantemami i kiedy Wade zwolnił, Andrea uszczypnęła go w tyłek.

- Tu zaczyna się tunel prowadzący do reszty kompleksu podziemnego.

- Kompleksu?

- Zgadza się. Nie opowiadali ci o starej-starej stacji?

-Nie.

- Niemożliwe! Ech, ci goście. Stara stacja nad nami wcale nie jest najstarsza. Pierwszą zbudowano w Międzynarodowym Roku Geofizycznym w 1956. Teraz leży mniej więcej trzydzieści metrów pod ziemią. Wszystkie budynki są ciągle zgniatane pod ciężarem śniegu, ale na dole ciągle jest dużo miejsca i sporo sprzętu.

Przecisnęli się przez dziurę na końcu szybu i weszli do tunelu o pokrytych szronem ścianach ze sklejki, która wybrzuszała się do środka z obu stron, z sufitu i podłogi, a miejscami była strzaskana.

- Nie ma obawy - powiedział Spiff. - Ten proces przebiega bardzo wolno. Teraz nie zawracamy sobie głowy sklejką, bo możemy rozmrozić dziury laserami.

- Więc to wy wydrążyliście tunel?

- Część wydrążyło sporo innych ludzi. Spójrz tutaj. - Wskazał na boczne drzwi, za którymi znajdował się rodzaj schowka z materacem na podłodze i kilkoma pudłami. - To naprawdę stare. Któreś zimy jeden facet pojawiał się tylko na kolację i nikt nie wiedział, gdzie on spędza czas. Parę lat później zespół seismologów przypadkiem znalazł to miejsce. Facet musiał tu chyba mieć lampę i jakiś grzejnik. Ale znaleźli tylko te rzeczy i jedną kartkę z "Playboya".

- O rany - Wade zajął do izby pamięci, której lokator musiał cierpieć na chorobę psychiczną.

- Niczego nie zlikwidowali, żeby ludziom przypominać o tym, by byli bardziej odporni i walczyli ze zniechęceniem. Widzisz, NFN i ZLA wydaje się, że są właścicielami stacji, wydaje im się, że stacja jest dla jajogłowych takich jak ja, ale ludzie, którzy tu pracują, są mądrzejsi. Wiedzą o tym miejscu o wiele więcej niż NFN.

Ruszyli dalej lodowatym tunelem, mijając boczną odnogę, która, według słów Spiffa, prowadziła do herculesa pogrzebanego na końcu pasa startowego; potem szli kanałem, wiodącym do strefy ciszy. W pewnej chwili podeszli pod jakieś drzwi i Spiff krzyknął:

- Hej, Ed, chodź, idziemy na zjeżdżalnię!

Żadnej odpowiedzi, podeszli więc do drzwi i załomotali w nie. Uchyliły się i wyjrzała zza nich głowa z kucykiem.

- Sześć osób, trzy w górskich butach, trzy w tenisówkach.

- Zgadza się. To jest Wade. Ed umie określić liczbę i rodzaj obuwia swoich gości z odczytu sejsmografów.

- Odczytuję też próby nuklearne Chińczyków, wybuchy w miejscach wydobywania ropy na całej półkuli południowej, starty rakiet z przylądka Canaveral, kłótnie mojej byłej z jej nowymi ofiarami i stuk kul w kręgielniach w Iowa.

- Czują aparatura - zauważył Wade.

- A jak.

Ed nagryzmołił jakieś objaśnienia do zygzaków na zwojach papieru, które powoli odwijają się z maszyn, po czym poszedł z nimi w głąb tunelu.

Po półgodzinnym marszu w mrozie dotarli do miejsca, gdzie w dół prowadziła kolejna drabina. Zeszli po niej i znaleźli się w zupełnie innej stacji.

Zaskoczony Wade rozejrzał się wokół.

Stacja była całkowicie skuta lodem. Ściany wygięły się do środka, sufit w niektórych miejscach miał nie więcej niż metr wysokości. W świetle latarek wyglądało to jak muzeum, w którym wystawiano eksponaty z lat pięćdziesiątych, potrzaskane i zamrożone. Grube kable zwieszały się w dół jak sznury drogich kamieni albo olinowanie dawno zatopionego statku.

- Bez obawy, nie ma tu już napięcia.

- Gadanie.

- No dobrze, więc nie ma prądu. Chodź, idziemy do jadalni..Popatrz tu.

Wade zauważył, że nikt już za nimi nie idzie.

- Gdzie oni poszli?

- Przygotować zjeżdżalnię. Zobacz.

Wade wszedł za astronomem do następnej białej jaskini o popękanych ścianach. Na stołach ciągle stały talerzyki i styropianowe kubki, a na ścianach wisiały półki z przyprawami i przedmiotami przydatnymi w jadalni - tak jak w starej stacji, którą odwiedził wcześniej, tyle że tu wszystko pokrywała o wiele grubsza warstwa lodu. Para brudnych butów górskich na stole.

Duży dzbanek do kawy. Ketchup Heinza. W kącie na podłodze leżało kilka steków z kością, pokrytych plamami po kiepskim zamrożeniu, a na ich szczycie coś, co przypominało ludzką kupę.

- Tu było pierwsze stałe osiedle - rzekł Spiff. - Mieszkali w nim około dwudziestu lat. Stały tu przede wszystkim Jameswaye, zakopane w śniegu, kilka większych pudeł ze sklejką, a wszystko połączone półkolistymi tunelami.

- Niewiarygodne.

- Tak, ale powiem ci coś lepszego. Jeszcze kilka lat temu pod ziemią była kupa sprzętu i już go

nie ma. Przede wszystkim zniknął duży generator.

Kiedy budowali nową stację, zastanawiali się nawet, czy go nie wyciągnąć i ponownie nie włączyć, bo działał bez zarzutu. Ale potem się okazało, że nie spełniał warunków bezpieczeństwa i tak dalej. W końcu zostawili go pod ziemią. Minęły dwa lata i już go nie było.

- Zniknął?

- Tak jest. Zapytasz pewnie, jak go stąd wyniesiono?

- Zapytam.

- Myśmy też pytali. Przetrzęsaliśmy wszystkie kąty stacji, które jeszcze ocalały. I na drugim końcu stacji, tam gdzie był generator, znaleźliśmy śnieżną ścianę, którą postawiono niedawno. Przebiliśmy się więc na drugą stronę, a tam był tunel taki jak nasz, tylko prowadzący w odwrotnym kierunku. Na dnie były ślady kół, a tunel ciągnął się przez dziesięć kilometrów.

- Niemożliwe.

- Zgadzam się, ale tak było! Tunel kończył się drzwiami ukrytymi pod śniegiem na powierzchni. Wokół był tylko lód, nic więcej. Nie widzieliśmy na horyzoncie naszej stacji. Cały czas szliśmy w tamtą stronę pod śniegiem. I zupełnie nie wiadomo, gdzie mogli pójść złodzieje.

- Zupełnie?

- Żadnego śladu, nic!

- Jak to możliwe?

- Nie wiem. Myślałem, że może ludzi przywiózł helikopter, ale na płaskowyż polarny nie latają helikoptery. Ed sądził, że może przyjechali poduszkowcem, ale nie było śladów po strumieniach powietrza.

- Na płaskowyżu są jakieś poduszkowce?

- Tak, w obozie nacierzy na Masywie Roberta mają starego hake'a.

- I myślisz, że to oni zabrali generator?

Spiff pokręcił głową.

- To bez sensu. Mieliby z tym szmelcem takie same kłopoty, jak ludzie tutaj.

- Więc kto?

Spiff wzruszył ramionami.

- Kto wie? Ale chcieliśmy, żebyś, zanim stąd wyjedziesz, miał pełny obraz wszystkiego, co się tu dzieje. Boję się, że obwinia ludzi, którzy tu pracują, tych, których widziałeś na tańcach. Ci ludzie potrzebują pomocy kogoś spoza ZLA. Chciałem więc, żebyś wiedział.

- Jestem ci wdzięczny - odparł szczerze Wade. Wstrząsnął nim przenikliwy dreszcz, od stóp do głów. - Zimno mi.

- Wiem. Chodź, zjedziemy króliczą norą, to cię trochę rozgrzeje.

- Zjedziemy?

- Tak. Byłeś kiedyś na wodnej zjeźdźalni?

- Byłem - rzekł Wade, myśląc o parku w Wirginii i hotelu w Vancouver.

- Ale...

- Dobra. Chodź, pokażę ci.

Tym razem szli dużo krócej niż poprzednio. Opuścili widmowe, wymarłe miasto, kurczące się pod naciskiem lodu i śnieżnym tunelem poszli do wielkiej sali o białych ścianach, większej od wszystkich pomieszczeń zasypanej stacji. Obok okrągłego otworu, o wiele mniejszego od korytarzy, którymi szli, na czymś, co przypominało wielką windę ręczną, piętrzyła się sterta skafandrów i ubrań.

- To też wasze dzieło? - zapytał Wade.

- Kilku osób. Nowe urządzenia grzejne bardzo łatwo tną lód. Mówili ci o Rodwellu?

- Nie.

- No pewnie, że nie. Nie przyszło ci do głowy, skąd stacja bierze wodę? Otóż z podziemnego jeziora, z komory w lodzie, którą podgrzewa się do chwili, aż wypełni się wodą. W miarę jak woda się zużywa, sięgają po prostu coraz głębiej. Tak samo jest z odprowadzaniem ścieków; to inny podziemny zbiornik, stare dobre jezioro Pattersona, a kiedy jest już pełne, umieszcza się urządzenie grzejne w innym miejscu, a stare zamarza i odsuwa się razem z płytą lodową na północ, z szybkością dziesięciu metrów na rok.

- Jezioro Pattersona?

Spiff zajrzał do środka, po czym wyciągnął głowę z dziury.

- Nazwane na cześć Pattersona. Dobra, chyba już gotowe. Ściągaj ciuchy i jazda w dół. - Spiff rozsuwał już zamek skafandra.

- Żartujesz.

- Nie. W rurze jest lód, ale wpuściliśmy do środka gorącą wodę, słyszysz? Powietrze też jest nagrzane, prawie dochodzi do zera. To zwykła zjeżdżalnia wodna, tylko trochę ciemniejsza. Zjeżdżasz zaledwie parę minut i pokonujesz różnicę powiedzmy pięciu pięter, ze trzysta metrów, a potem lądujesz w ciepłej kąpieli. Przygotuj się na to, bo mógłbyś dostać szoku, gdybyś walnął w wodę bez ostrzeżenia. - Ściągnął spodnie i stał przed Wadem zupełnie nagi. - Pospiesz się, bo zaczynam marznąć.

- Mnie już jest zimno - zaprotestował Wade. Rzeczywiście, nigdy w życiu nie było mu zimniej. Ale wykonał polecenie. Zanim ściągnął całe ubranie, trząśnięcie jak osika.

- Dobra, wskakuj i naprzód. Możesz na główkę albo na nogi, ale nie powinieneś próbować zmieniać pozycji w połowie drogi ani zjeżdżać na kolanach, przynajmniej nie za pierwszym razem.

- Nie będę. Cały czas będzie ciemno? - zapytał Wade, zaglądając do dziury.

- Ciemno jak w piekle. Miłej przejażdżki.

Wade dał krok do przodu i usiadł gołym tyłkiem na lodzie.

- O Jezu.

- Baw się dobrze! - krzyknął Spiff i popchnął go.

Wade zjeżdżał na tyłku, ale po chwili rura obniżała się w ciemność i zaczął jechać na plecach, jak saneczkarz. Właściwie było to bardzo podobne do zjazdu rynną saneczkową - szalona prędkość, szybkie skręty w lewo i w prawo, w górę i w dół, ale przede wszystkim w dół, w dół i w dół, aż żołądek podchodził mu do gardła, a on ślizgał się w strumieniu ciepłej wody na śliskim, zimnym lodzie, w egipskich ciemnościach, nie wiedząc, w którą stronę za chwilę skreśli. Wrzasnął. Zimno lodu było mniej ostre w miarę jak przyspieszał, ale świszczące powietrze smagało go przenikliwym chłodem. Krzyknął znowu, przy zapierającym dech zeskoku i skręcie w prawo: Roztrzaskam sobie czaszkę! Ale nie roztrzaskał.

Po trzech albo czterech dalszych skrętach zaczęło mu się podobać. Nagle poleciał w otwartą przestrzeń i z głośnym piskiem plusnął we wrzącą wodę. Poczł, że skóra mu wybucha, zwłaszcza na tyłku i plecach.

Wynurzył się, prychając i łapiąc powietrze; krzyknął parę razy, rozpaczliwie tłukąc w wodę. Było ciemno i nic nie widział.

- To pewnie nasz senator.

- Po prostu stań, stary.

- Jezu! - powiedział, odnajdując własne stopy. - Cześć! - Odkrył, że może stanąć na lodowym dnie. Gorąca woda w basenie sięgała mu do piersi.

W powietrzu unosiła się para. Słyszał rozmowy kilkorga osób, wśród których był Wiktor. Skóra

wciąż go paliła, ale już mniej boleśnie.

- Wszyscy macie świra.

Roześmiali się zadowoleni. Nikt mu nie zaprzeczył.

Z krzykiem wylądował w basenie Spiff i rąbnął w Wade'a, który znów zanurkował. Zaraz jednak ktoś wyciągnął go na powierzchnię i postawił na nogi. Kobieta. Jedna z tamtych tańczących siłaczek. W basenie było ich jeszcze kilka; w ciemnościach, plusku wody i gwarze rozmów, wszyscy poruszali się we wszystkie strony. "Łód to wspaniała izolacja". Kiedy Wade przyzwyczył oczy do ciemności, zobaczył, że jaskinia nie jest całkiem czarna, ale ma niebieski odcień. Mimo to dalej nie widział absolutnie nic, nawet zarysów kształtów ludzi wokół siebie. W ogólnej wrzawie usłyszał przyciszone głosy tuż obok i krótką rozmowę:

- Daj spokój.

- Nie rób tego, bo przestanę.

- Już dobrze, dobrze. -1 szalony śmiech.

Wade taplał się ostrożnie, żałując, że w basenie wśród tych niewidzialnych amazonek nie ma Val. Jeżeli ktoś miał słabość do wysportowanych kobiet, pomyślał, powinien koniecznie przyjechać na biegun. Łód na dnie basenu w niektórych miejscach przykrywało coś, co w dotyku przypominało gumowe maty łazienkowe. Pod niewidzialnymi ścianami znajdował się wąski występ, wyłożony podobnymi matami. Po jakimś czasie Wade był już całkiem rozgrzany i skóra przestała go palić. W mroku barwy indygo zaczął dostrzegać czarne kształty. Zderzył się ze Spiffem, który opowiedział mu więcej o zjeżdżalni; jego boku uczepliła się Andrea albo ktoś do niej podobny, tak się w każdym razie wydawało Wade'owi, bo w ciemności nie sposób było dokładnie tego stwierdzić. Przekrzykując hałas, Spiff powiedział mu, że kilka lat temu przyjechał Wiktor i opisał im system zjeżdżalni wodnych, zbudowany pod stacją Wostok. W skład miejscowej załogi BDLP, czyli Biura Drażenia Lodu Polarnego, wchodził ludzie liczący się w Klubie Nienormalnych i właśnie zaczęli używać nowej techniki cięcia lodu przy użyciu laserów topiących i systemu usuwania pary...

- ...prawdziwy sprzęt z Gwiezdných Wojen, to znaczy opracowali go ludzie w Livermore i Los Alamos, żeby wykorzystać w programie kosmicznym, ale okazało się, że jest do niczego, lecz bez problemów zamienia lód w parę, co bardzo przydaje się u nas - w poprzedniej technice drażenia lodu na jeden kilometr wyciętego lodu trzeba było zużyć trzy tysiące galonów oleju napędowego, po dziesięć dolarów galon, poza tym praca szła bardzo wolno. Jak gdybyś chciał roztopić lód strumieniem z prysznica. Ale tymi laserami można było wytopić w lodzie całe miasto, więc ci pomyłeńcy od drażenia lodu pomogli jakiejś zimowej załodze wyciąć tę zjeżdżalnię, dla zabicia czasu i trochę po to, żebyśmy nadążali za Ruskimi z Wostoka. Chociaż później Wiktor wyznał, że wszystko zmyślił i Wostok wcale nie ma takiego urządzenia. Po prostu pomyślał, że to dobry pomysł.

Wade usłyszał dudniący śmiech Wiktora, odbijający się od ścian pieczary.

- Dobry pomysł!

- Świetny pomysł - powiedział Spiff. - Ludzie muszą tu być wytrzymali. Przez długi czas nie było łatwo. To znaczy z SWA nie było tak źle, ale mimo to nawet wtedy ludzie zakradali się do starej stacji i myszkowali. Teraz jednak nikt nie lubi ZLA. Traktują ludzi jak szmaty, a NFN pozwala, żeby im to uchodziło na sucho. I ludzie są odporni. To jedyny sposób, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach. Wystarczy kilka tygodni, żebyś zaczął świrować.

- Mnie wystarczyło kilka godzin - wyznał Wade.

Roześmiali się i ktoś cmoknął go w policzek; tyle że ten ktoś miał brodę. Na pewno Wiktor.

- Zdaje się, że Wiktor ma ogromny wpływ na życie społeczne na biegunie - rzekł Wade.

Spiff wybuchnął śmiechem.

- Tak, tak. Ale przede wszystkim gada - powiedział głośniej.

Uderzyła w nich salwa strug wody.

- Przecież to prawda! Sam tak mówisz; Wiktor - człowiek od świetnych pomysłów. Jest bardzo możliwe! Sypie pomysłami jak z rękawa, ale ma za mało funduszy. Ten rurociąg na Saharę...

Poleciało więcej wody.

- Przecież już zostało postanowione.

- Na pewno technicznie jest to do zrobienia, co wcale nie znaczy, że projekt będzie skończony. Hej, przestań! Gdyby nawet tak się stało, to nie za sprawą Wiktora.

- Mam dotację. Jest bardzo możliwe.

Wtem któraś z kobiet krzyknęła:

- Wir, wir!

Ludzie zaczęli się poruszać wokół Wade'a po obwodzie koła, wszyscy w tym samym kierunku; po chwili i on został wciągnięty w coraz silniejszy wir.

- Na biegunie północnym kręcilibyśmy się w drugą stronę, tak?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Unosił się na wodzie w czarnoniebieskiej ciemności. Poddawał się sile wiru, oślepiiony. Starał się trzymać głowę nad powierzchnią, a potem z plusku i rytmu oddechu ludzi domyślił się, że większość z nich jest zanurzona. Nabrał głęboko powietrza i sam poszedł pod wodę, czując na twarzy gorąco; zszedł do samego dna, odepchnął się od niego i dołączył do unoszonych prądem ciał.

Walił w lodowe ściany występu. Zderzał się z ciałami innych ludzi, ich śliskimi, muskularnymi ramionami i nogami. Ciała mężczyzn czy kobiet nie sposób było odróżnić. Nurkował coraz dłużej. Pod wodą wywinął koziołka, odwracając się do góry nogami czy bokiem w górę, trudno powiedzieć, to nie miało znaczenia, oprócz chwil, kiedy trzeba było nabrać powietrza. Pozwolił, by woda miotała nim we wszystkie strony. Był jak wyrzucony za burtę ładunek.

- Poszukaj światła Czerenkowa - usłyszał w pewnym momencie zdyszany głos Spiffa. - Spójrz w dół, na północne niebo, zobacz, jak zbliżają się do nas miony. Ten lód ma przezroczystość czystego diamentu, widać przez niego światło z odległości trzystu metrów, PMT co sekundę rejestrują neutrino, błękitne światło.

Wade znów znalazł się pod wodą i spojrzał w dół. Ujrzał niebieskie smużki z bardzo, bardzo daleka. Światło odległych supernowych. Lód był przezroczysty. Wade zapragnął, żeby ten wir nigdy się nie skończył. Chyba wszyscy też tego chcieli, ponieważ bez przerwy zataczali bezwładnie koła, jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz... Wreszcie osiągnęli taki stan, jak gdyby znaleźli się poza czasem, w zapomnianym obszarze zapomnienia. Później Wade nie potrafił sobie przypomnieć, jak długo trwała ta kąpiel; może godzinę, może dwie. Cóż by ich mogło wywabić z tej rozkoszy pławienia się w antarktycznych wodach płodowych?

W końcu Spiff wyciągnął go na powierzchnię.

- Daj spokój, nie chcemy utopić senatora.

- A topcie.

Ze śmiechem wyciągnęli go ponownie.

- Chodź, bo się spóźnimy na śniadanie.

Jedzenie; a więc to miało ich wywabić. Czysta konieczność.

Wszyscy zaczęli wychodzić, wspinając się po gumowej macie i kierując do korytarza, którego Wade nie widział. Był ślepy i zziębnięty, choć go zapewniano, że jest tu ogrzane powietrze. Zapalono latarki i zobaczył ręczniki i ubrania spiętrzone na tej samej windzie, co poprzednio; okazało się więc, że winda łączy dwie przebieralnie, zapewne jedna była damska, a druga męska.

W każdym razie w tym pomieszczeniu, którego ściany składały się głównie z lodu zamiast ubitego śniegu, który dominował w tunelach i jaskiniach położonych wyżej, byli sami mężczyźni; Spiff, Ed, Wiktor i rozanielony basista, który zakwilił z cicha, próbując się ubrać za pomocą palców, które przypominały grube kiełbasy.

- Mogliby sprzedawać te łapska w barze.

Musieli mu pomóc zasunąć suwak skafandra. Potem, dzięki Bogu, sami się ubrali i poszli kryształowym tunelem, gdzie dołączyły do nich kobiety.

Wszyscy parowali jak stado koni. Para opadała na ziemię w postaci białego pyłu.

- Gdybyśmy nie podgrzali powietrza, nie mógłbyś szybko wyschnąć.

Można by wziąć garnek wrzątku i chlusnąć wodą w górę, a opadnie na podłogę w kawałkach - powiedział do Wade'a Spiff. - Zmarznięta na kość.

Wade'owi zdążyło już zamarznąć w nosie, ale w środku czuł ciepło i było mu po prostu dobrze.

Zbliżyli się do pionowego szybu, na ścianie którego wisiała drewniana drabina. Ponad nią nic nie było widać. Wade rozpoczął wspinaczkę. Drabina ciągnęła się bez końca, aż rozboleły go ręce. Potem szli korytarzem o ścianach ze śniegu, po śnieżnych schodach, wyciętych w zboczu, skręcili na śnieżnym podejściu i znowu się wspinali.

Wreszcie zderzyli się z drzwiami zapadowymi. Znaleźli się w małym oszklonym terminalu tuż za pasem startowym, w którym po chwili zrobiło się bardzo tłoczno.

Wyszli na dwór. Wade cofnął się przed oślepiającym światłem. Nie mógł powstrzymać mrugania i po chwili na policzkach zamarzyły mu dwie strużki łez, wyciśniętych przez mróz. Tym razem na pewno ośleplł, wychodząc z absolutnej ciemności wprost w czystą biel. Zaraz za drzwiami zaatakował wiatr, waląc go znów niewidzialnym płatem mrożonego mięsa. Wade poczuł, że jego ciało zmienia się w dzwon i kołysze od uderzenia zimna. Wydawało się, że to wciąż ta sama pora dnia, kiedy przyjechał Wiktor, całe wieki temu. W innym wcieleniu.

Powłócząc nogami, Wade wszedł po metalowych schodach nowej stacji i znalazł się w dusznym wnętrzu błękitnego skrzydła. Chwiał się na nogach, ledwie stojąc. Ledwie mógł zdjąć rękawice.

Szedł do swojego pokoju, podpierając się zdrętwiałą ręką o ścianę, gdy nagle zderzył się z Kerim.

- Jak się panu podobało w starej stacji?

Wade drgnął i wziął się w garść.

- Bardzo ciekawa - powiedział. - Jak w jaskini.

- Rzeczywiście. Niech pan słucha, dziś wieczorem przylatuje herc, chce pan nim wracać do McMurdo?

- Ja... hm - Wade spróbował pomyśleć. Gapił się w ścianę, a Keri przyglądał mu się z ciekawionym. - Właściwie chciałbym odwiedzić Masyw Robertsa.

- Robertsa? Nafciarzy?

-Tak.

- Rozumiem. Oczywiście, nie ma tam bezpośredniego połączenia. Musi pan wrócić do McMurdo, potem lecieć do obozu na Lodowcu Shackletona, a potem helikopterem na Robertsa.

- Świetnie - powiedział Wade. - Wszystko jedno jak.

Ominął go i wszedł do pokoju.

Sylvia stała przed ścienną mapą Antarktydy, usianą wieloma ponumerowanymi kropkami - czerwonymi, pomarańczowymi i żółtymi. Czerwonych i pomarańczowych było tylko kilka, choć każda oczywiście przedstawiała osobny problem. Najwięcej było żółtych, zwłaszcza wzdłuż wybrzeża Ziemi Wiktorii i łańcucha Gór Transantarktycznych. Niektóre z nich można było

wytłumaczyć ostatnim napływem grup poszukiwaczy ropy, a kilka innych obecnością prywatnych firm turystycznych. Inne pozostawały zagadką.

Wzięła z biurka pomarańczowy pisak i starannie wypisała "14" obok kopca Amundsena na Górze Betty. Jeszcze jeden niezidentyfikowany obiekt naziemny; rodzaj radia z anteną satelitarną, umieszczonego za blisko historycznego miejsca; właściciel nieznany; odkryty przez wyprawę śladami Amundsena T-023, kierowaną przez Val Kenning. Napisała to wszystko na kartce papieru opatrzonej pomarańczową czternastką i włożyła ją do segregatora. Piloci helikoptera widzieli jeszcze dwa takie obiekty, kiedy wzięli wycieczkę S-046 nad lodowcem Beardmore, a na jeszcze jeden natknęła się ekipa ZLA ze stacji Byrd w okolicach Strumienia Lodowego C. Tym razem jeden z pracowników przyniósł ten przedmiot i okazało się, że rzeczywiście jest to antena satelitarna i nadajnik niewiadomego pochodzenia. Wysłała to do Christchurch i Waszyngtonu w celu przeprowadzenia analizy, ale, póki co, nie dostała żadnej odpowiedzi. Geoff często mówił o "czarnych skrzynkach" w nauce; tu mieli autentyczne czarne skrzynki.

Wciąż wpatrywała się w mapę, w układzie kropek starając się dostrzec jakiś wzór, pełna obaw i zniechęcona, kiedy usłyszała lekkie pukanie do drzwi. Na pewno Paxman.

- Proszę.

Wsadził do środka głowę.

- Z bieguna wrócił Wade Norton i chce z tobą rozmawiać.

- Poproś go, jasne.

Wróciła za biurko i wszedł Wade. Wyglądał zupełnie inaczej niż tuż po przyjeździe, tak jak przewidywała: spalona słońcem twarz, poza miejscami wokół oczu. Wydawał się trochę rozkojarzony czy oszołomiony; włosy miał zlepione w strąki - typowa antarktyczna fryzura.

- Jak się panu podobał biegun?

- Bardzo ciekawe miejsce.

Długa przerwa, jak gdyby zatonał we wspomnieniach.

- W jakim sensie? - powiedziała w końcu Sylvia.

- Ach, tak, pod wieloma względami. Proszę mi powiedzieć, wie pani o innych incydentach na biegunie, podobnych do tych, o których mówiliśmy wcześniej?

Patrzyła na niego zdziwiona.

- Żadnych poza tymi, o których wspomniałam.

- Aha. - Następną pauza. - A reprezentant NFN na biegunie i kierownik ZLA w stacji; czy ma pani do nich pełne zaufanie?

- Ależ tak. Jest pan innego zdania?

- Nie wiem.

Teraz spoglądał już na nią z uwagą. Ich wzrok spotkał się na krótką chwilę.

- Nie byli zbyt uczynni - powiedział. - Zwłaszcza człowiek z Fundacji sprawiał wrażenie, jakby sądził, że stanowię jakieś zagrożenie dla stacji.

- Przykro mi to słyszeć.

Machnął ręką.

- To mało ważne. Ale... - Pomyślał przez chwilę, chyba zmieniając zamiar. - Zastanawiam się nad wyjazdem do obozu naftowego na Masywie Roberta, u czoła Lodowca Shackletona.

- Rozumiem - odparła, nieco zaskoczona. - A dlaczego właśnie tam?

- Cóż... - Podeszedł do mapy, odnalazł Shackletona i położył palec na Robertsie. - Widzi pani, to niedaleko bieguna. I niedaleko miejsca, w którym rzekomo porwano ciągnik.

- Tu jest właściwe miejsce obecnego próbnego odwiertu - powiedziała Sylvia, wskazując inną

czerwoną kropkę na lodolodzie polarnym, tuż koło bieguna. - To jeszcze bliżej bieguna i miejsca tamtego wydarzenia z transportem.

- Aha. Czy oni używają poduszki do podróży po lodzie?

- Zdaje się, że tak. Tak słyszałam.

- Wie pani coś więcej na temat tego poduszki?

- Tak - powiedziała, patrząc na niego uważnie. - To antarktyczny weteran, przynajmniej częściowo. Dawno temu stacjonował w McMurdo, potem zawieziono go statkiem do Christchurch, kiedy okazało się, że jest nieużyteczny. - Właściwie Sylvia słyszała plotki o parze pilotów poduszki, dwu szalonych kobietach, rozbijających się tym gratem, dopóki nie rozdrażniło to jednego z ważnych wówczas szefów SWA, który odebrał im pojazd. Ale była to tylko plotka, powtarzana w terenie, a błąd przekazu w takim wypadku jest olbrzymi i nie sposób dziś było powiedzieć, co się wtedy naprawdę stało.

- W każdym razie, kiedy tamci zorganizowali swój projekt, wytropili owego hake'a w magazynie w Nowej Zelandii, przerobili go i przywieźli z powrotem. Dlaczego to pana interesuje?

Wzruszył ramionami.

- Pewne znaki na biegunie sugerują, że w niektórych kradzieżach w starej stacji mógł mieć udział poduszki.

- Naprawdę? Jakie to znaki?

- Tak mówiło parę osób. Widzieli ślady, czy coś takiego. A może nic nie widzieli. Powiedzieli mi o tym w zaufaniu, więc nie powinienem mówić nic więcej. Tak sądzę, bo nie poinformowali o tym inspektorów z NRBT. Zapewne dlatego, że byli wówczas w jednej z zakazanych stref, gdzie nie powinni przebywać.

- Rozumiem.

- Tak czy inaczej, chyba odwiedzę Roberta i przekonam się, czy uda mi się tam coś ustalić. Keri na biegunie mówił, że muszę wrócić tutaj i polecieć do obozu na Lodowcu Shackletona, a potem helikopterem na Roberta.

- Zgadza się. Oczywiście, możemy to dla pana zrobić. Samolot na Shackletona odlatuje za... muszę sprawdzić... - Spojrzała na rozkład. - Ojej, za trzy godziny. Da pan radę?

Głęboko odetchnął.

- Czemu nie. Prześpię się w hercu..

- Dobrze. Pierwsze prawo podróży na Antarktydzie: jechać kiedy można.

-Tak.

- A co z ludźmi na Robertsie i przy tym odwiercie? Dlaczego sądzi pan, że będą chcieli mówić i w ogóle pana przyjmą? Nie odpowiedzieli na żadną wiadomość od nas.

- Senator Chase rozmawiał bezpośrednio z nimi i z biurem konsorcjum w kraju. Zdaje się, że nie będą mieli nic przeciwko mojej wizycie.

- Ach, tak! Dobrze. To pewien postęp. Proszę się potem podzielić ze mną swoimi odkryciami.

Skinął głową, przyglądając się jej dziwnie. Kolejna pauza. Wiedziała, że nie wyklada wszystkich kart na stół; on podejrzewał, że ona też nie. Samo życie: interesy NFN i Kongresu były rozbieżne. Oczywiście Fundacja podlegała Kongresowi i teoretycznie Sylvia powinna mu powiedzieć wszystko, co wiedziała, inaczej będzie miała kłopoty.

- Spotkamy się, kiedy pan wróci - powiedziała - i omówimy wszystko, na co teraz nie ma czasu. Lepiej będzie, jeśli pójdzie pan na nartostradę, bo inaczej spóźni się pan na samolot. Paxman da im znać, że mają jeszcze jednego pasażera.

- Dzięki. - Podniósł się ciężko i podszedł do drzwi. Dwa loty herculesem w ciągu dnia; już teraz

kiepsko wyglądał. Zatrzymał się w drzwiach i na jego twarzy pojawił się wyraz zniecierpliwienia i irytacji, ale zmienił się w krzywy uśmiech. - Gdybyśmy złożyli w całość części układanki, które każde z nas ma, może moglibyśmy ułożyć jakiś obraz.

- Tak - odrzekła.

Patrząc na nią, szedł do drzwi.

Kiedy wyszedł z Szafasu, Sylvia spojrzała na zegarek; dziewiąta wieczorem. Westchnęła; będzie musiała zaczekać, aż zjedzą ludzkie z ostatniej zmiany, a już umierała z głodu. Wyciągnęła z biurki pudełko krakersów, sięgnęła po telefon i poleciała Randi, by połączyła się przez radio z S-375.

- Geoffrey, tu Sylvia, słyszysz mnie, odbiór?

Zakłócenia, głośniejsze niż zwykle; po chwili głos Geoffa:

- Tak, Sylvia, słyszymy cię, co u was, odbiór.

- Właśnie był u mnie asystent senatora Chase'a. Wrócił z bieguna i leci do obozu nafcjarzy w Basenie Mohna.

- A tak. U nas też był, jak wiesz.

- Co o nim sądzisz?

- Wydaje się, że ma głowę na karku. Interesował się naszą pracą, takie przynajmniej miałem wrażenie. Zadawał niezłe pytania. Miło było. - Głosy i śmiech w tle. - Chociaż może z powodu jego przewodniczki, jak sugerują moi wygłodniaли płciowo młodzi koledzy. - Znowu śmiech. - Ja osobiście jestem ponad takie rzeczy, jak doskonale wiesz.

- Naturalnie, naturalnie.

- Myślisz, że przez niego Fundacja będzie miała kłopoty?

- Nie, niekoniecznie. Ale być może wpadł w miejscową kulturę bieguna i powiedzieli mu o rzeczach, o których jego zdaniem nie wiemy.

- Ach, rozumiem.

- Powiedz, Geoff, czy dyskusja w KNBA zeszłej zimy rzuciła jakieś światło na to, co nazywamy niefinansowanymi eksperymentami?

- Niezupełnie. Oczywiście krążą opowieści, że dalej się toczą, ale nikt naprawdę nie ma pojęcia o zasięgu tych działań. Na tym to zresztą polega, prawda?

- Tak. Myślisz, że Mai-lis ciągle się w to bawi?

- Chyba tak. Bardzo prawdopodobne.

Sylvia patrzyła na ścienną mapę. Kolorowe kropki wyglądały jak zarys liter obcego alfabetu.

- Dzięki, Geoff. Jak wam idzie praca?

- Nieźle, nieźle. Teren. Wiesz, jak to jest, Syhria.

- Wiem - powiedziała, czując lekkie ukłucie w sercu. W porównaniu z administracyjną robotą w McMurdo, chciał powiedzieć, że to raj. Tiaj jajogłowych, jak mawiali ludzie z ZLA. Ona jednak została już z rajy wygnana.

- Daj mi znać, gdybyś dowiedział się czegoś więcej.

- Jasne, chociaż tutaj nie mamy możliwości odbierania żadnych nowin.

Czasem wieczorami kręcimy dla zabawy gałką radia i jeśli usłyszymy coś ciekawego, dam ci znać.

- Dzięki, Geoff. Powodzenia.

- Nawzajem, Sylvia. Potrzebujesz go więcej niż my.

- Chyba masz rację. Na pewno miło by było mieć poważniejsze możliwości kontroli.

- Jesteś przecież Marszałkiem Stanów Zjednoczonych, nie? - Śmiech w tle.

- Zgadza się - odparła. - Ale być może będziemy potrzebowali większej siły ognia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

GRUPA SYRIUSZA

Graham szedł w pewnej odległości za Geoffreyem, Harrym i Miszą po pokruszonym dolerycie. Oglądali piękny, długi pas piaskowca Syriusza, którym oblepiony był dolerytowy klif Szczytów Apokalipsy. Pas był serią szerokich i wąskich ułożonych poziomo warstw. W diatomitach znajdowały się kamienie, otoczaki i warstwy mułu, otoczone z góry i z dołu widocznymi zaburzeniami ułożenia, biegnącymi poziomo i lekko ukośnie. Płaski, przechodzący w lekko falisty relief. Jedna z linii ciągnęła się przez około trzydzieści metrów, co Graham stwierdził, licząc kroki. Naturalnie ta seria osadziła się w pierwotnym miejscu, a potem została przeorana przez przechodzący lodowiec, zostawiając tylko ten jasny pas na skale, który był wynikiem siły przesuwającego się lodu.

Pochylił się, stuknął młotkiem geologicznym w biały diatomit i podrapał go. Niezgodność D-7, szerokości jednego centymetra. Pod spodem leżały diatomity morskie; na górze lądowe. Nie znaczyło to, że ta linia leżała na poziomie morza, tylko wypiętrzenie Gór Transantarktycznych wyniosło cały teren w czasie, kiedy warstwy zdążyły się już osadzić właśnie w taki sposób. Byli teraz około tysiąca pięciuset metrów nad poziomem morza, czyli ruch musiał mieć prędkość mniej więcej pięciuset metrów na milionlat, jeżeli przyjąć, że Syriusz pochodzi z pliocenu, a Graham przyjmował takie założenie. To dość szybkie wypiętrzenie było argumentem stabilistów w krytyce wniosków, do których doszli dynamiści. Jednak znano szybsze ruchy górotwórcze i trudno sprzeczać się z dowodem, który widniał na skale jak wykres na szkolnej tablicy. Graham miałby ochotę złapać za kark swojego pierwszego promotora, przywlec go tutaj i postawić przed ścianą, gdzie mógłby zobaczyć wszystko wyraźniej niż w Cloudmakerze. Zobacz! - powiedziałaby. - Jak można przeczyć faktom!

Nie był to oczywiście klif z faktów, tylko z kamienia. Interpretacje podlegały dyskusji, przynajmniej do czasu, gdy sporna kwestia zostanie złożona w czarnej skrzynce, jak mawiał Geoffrey, czyli zanim nie stanie się faktem to, co wszyscy tutaj przyjmowali za pewnik i na podstawie czego stawiali dalsze pytania. Niektóre kontrowersje naukowe bardzo szybko rozwiązywały się same, inne nie; ta sprawa miała dość wolny przebieg. Dopóki nie złożą jej w czarnej skrzynce, dopóty był to tylko osad, a nie fakt.

W początkach swojej naukowej kariery Graham nie rozumiał tego i dlatego miał poważne kłopoty. Po studiach zaczął pracę w katedrze geologii w Cambridge jako asystent profesora Martina, nieświadomy, że praca Martina nad określeniem wieku osadów popiołu w Górach Transantarktycznych stawia go po stronie stabilistów w sporze nad Syriuszem. Graham chciał po prostu pracować na Antarktydzie i wiedział, że Martin prowadzi tam badania.

Był bardzo naiwny; przede wszystkim interesowała go fizyka i dopiero później zabrał się za geologię, która pozwalała pracować w terenie, i której przedmiot badań - skały - był bardzo namacalny; stało się to właśnie w tamtym momencie jego życia i okazało się czymś więcej niż tylko przystąpieniem do grupy Martina. Pochłonęło go nadrabianie zaległości w podstawach wiedzy geologicznej i nie znał szczegółów kontrowersji na temat Syriusza ani stanowiska Martina, dlatego też nie rozumiał jego obojętności w geomorfologicznych badaniach nad pochodzeniem Gór Transantarktycznych. Udział Grahama w badaniach polegał na określeniu szybkości wypiętrzenia łańcucha; doszedł do wniosku, że sam łańcuch jest stosunkowo stary i pochodzi sprzed osiemdziesięciu milionów lat, kiedy płyta Antarktydy Wschodniej zaczęła wykazywać tendencję do

pękania, a mimo to wydawało się, że w ostatnim okresie nadal wznosiła się w dość szybkim tempie, być może (jak pochopnie ośmielił się stwierdzić Graham) z powodu litostatycznego ciśnienia lodolodu.

A Martin zachował obojętność, nigdy nie poświęcając czasu na krytykę opracowań Grahama na ten temat ani nie dodając nic, co mógłby dodać jako drugi autor i szef badań, by umożliwić opublikowanie owych prac. W przypiływie gniewu i rozczarowania Graham wysłał jeden artykuł do czasopisma, bez zgody Martina, ponieważ wydawało się, że nigdy nie doczeka się zgody; artykuł odrzucono, poinformowano o tym Martina i Graham został w zasadzie wykluczony z programu, bo przed następnym wyjazdem grupy na Antarktydę nie został po prostu zaproszony.

Doświadczenie to przepełniło go goryczą. Wrócił do Nowej Zelandii i pewnego wieczoru w pubie jego dawny nauczyciel z uniwersytetu w Christchurch otworzył mu oczy i wyjaśnił niektóre sprawy. Martin postawił wszystko na stabilistów w sporze o Syriusza, ponieważ jego wnioski z badania popiołów wulkanicznych przekonały go, że Góry Transantarktyczne i Antarktyda były skute lodem przez ostatnie dwadzieścia milionów lat. Jeden z aspektów sporu dotyczył tempa wypiętrzenia Gór Transantarktycznych; stabilisci utrzymywali, że nigdzie żadne pasmo górskie nie wznosiło się tak szybko, jak twierdzili dynamisci i w związku z tym formacje Syriusza musiały być starsze, skoro znalazły się na takiej wysokości. Dawny nauczyciel powiedział Grahamowi, że to oczywiste, iż jego wnioski nie były zbyt mile widziane.

Graham oburzył się. "Perwersja nauki!" - krzyczał. Lecz stary profesor zbeształ go. "Nie, nie, powiedział, to twoja wina; musisz być mądrzejszy.

Może to nawet moja wina; powinienem cię lepiej nauczyć, jak funkcjonuje nauka".

W reakcji Martina nie było nic szczególnie niewłaściwego, wyjaśniał mu profesor, żadnego oburzenia czy niechęci. Mówił, że gdyby Graham dołączył do zespołu jednego z dynamistów i zaczął pisać pracę, która miałaby na celu wykazanie, że lód zalegał Antarktydę przez miliony lat, też by nie był w lepszej sytuacji. W żadnym wypadku nie była to kwestia złego postępowania; prostota prawdy polegała na tym, że nauka to kwestia zawierania sojuszy, by zyskać wsparcie przy dowodzeniu tego, co chce się udowodnić oraz przy przekonaniu innych, że to, czego dowodzimy, jest bardzo ważne. Dlatego czyniło się zwykle sojuszników z własnych asystentów i doktorantów.

Wszystko stawało się jeszcze bardziej prawdziwe, kiedy toczył się spór i po przeciwnej stronie publikowano artykuły w podobnym tonie, jak ten zatytułowany: "Niestaly lód czy niestałe koncepcje?" i tak dalej, co znacznie zwiększało wzajemną niechęć obu stron.

Tak więc Graham, przemyślawszy słowa swego profesora, rad nierad doszedł do wniosku, że to nie Martin był zły, tylko on, Graham, okazał się naiwny, a wręcz głupi. Tak, czy inaczej, tępy. Gorycz była zdecydowanie nie na miejscu. Nauka nie polega więc na automatycznym szukaniu prawdy, ale na wysiłkach ludzi, starających się umieścić fakty w "czarnej skrzynce".

W rezultacie na nowo rozpoczął edukację po dwóch latach zmarnowanych na Cambridge. Z naukowego punktu widzenia nie był to wcale długi okres. Wielu naukowcom poznanie zasad rządzących ich dyscypliną zabierało znacznie więcej czasu. Graham pogodził się ze swym przykrym doświadczeniem i wkrótce podjął studia glaciologiczne na Uniwersytecie w Sydney.

Chociaż wszystko działo się bardzo dawno temu, spór o Syriusza wrzał nadal i każda ze stron znajdowała nowych sojuszników i studentów oraz publikowała coraz to nowe artykuły w fachowych czasopismach. Graham sądził, że część niezaangażowanych w konflikt zaczyna się skłaniać ku opinii dynamistów; ale ponieważ sam był już dynamistą, przypuszczał, że nie potrafi obiektywnie ocenić sytuacji. W każdym razie wraz z upływem lat to stanowisko zaczęło przemawiać do niego silniej, gdy gromadzono coraz więcej dowodów z innych części Antarktydy. W Górach Księcia Karola na

przykład, po drugiej stronie Antarktydy, Australijczycy znaleźli przekonujące dowody na istnienie plioceńskich mórz sięgających pięćset kilometrów za obecną linię brzegową. Udowodniono, że Lodowiec Beardmore jest paleofiordem, a niektórzy naukowcy nie stojący po żadnej stronie w sporze, przy innych okazjach często wspominali o "paleofiordzie Beardmore", a także o *Nothofagus beardmorensis*, gatunku buka znalezionego w formacji Cloudmaker i nazwanego tak przez dynamistów ze względu na miejsce odkrycia. Dowody na istnienie lasów bukowych zaczęły pojawiać się w innych miejscach, w formacji Syriusza, w postaci chrząszczy, nasion i innego materiału, wskazujących na pliocen lub późny miocen. Wreszcie wszystko zaczynało się kleić, po tylu latach; Geoff Michelson poświęcił na to całą swoją karierę naukową, a przed nim jego opiekun Brown, który także spędził na badaniu tej sprawy większość życia; właściwie Graham też poświęcił Syriuszowi sporą część swojej kariery. Wszystko po to, by zbudować mury, cegła po cegle, rok po roku i pokolenie po pokoleniu, w których można będzie złożyć na zawsze tę sprawę.

Bo naprawdę kamienie nie mówią. Ich mowę trzeba tłumaczyć.

Słońce obróciło się i teraz stroma ściana dolerytu rzucała na nich cień, w którym zrobiło się znacznie chłodniej. Góry wyglądały na znacznie młodsze niż inne łańcuchy w wieku osiemdziesięciu milionów lat; strome i postrzępione jak Himalaje czy Alpy, jednak wyglądały jakby były młodsze od nich co najmniej cztery razy; przed niszczącą siłą erozji wodnej uchroniło je zimno, były więc narażone tylko na działanie wiatru i wznosiły się tak szybko, że wypiętrzenie w znacznej mierze rekompensowało abrazję. Można by rzec, że zostały świetnie zachowane dzięki kriokonserwacji.

Żeby się rozgrzać, Graham zaczął brać próbki z warstw tuż nad swoją głową. Tillit można było zdrapać palcem w rękawicy, ale żeby wziąć dobrą próbkę, trzeba się było naprawdę namęczyć. Paleobotanicy twierdzili, że znajdowały się tu okrzemki denne i słona woda, co wskazywałoby na prawie normalne warunki morskie. Płytkie dno, prawdopodobnie fiord, a później jezioro, które wyschło z czasem. Linia brzegowa fiordu. Nad brzegiem niski, odporny las bukowy. W pliocenie bez wątplenia panowała wysoka temperatura, która umożliwiała istnienie *Nothofagus*; co do tego zgadzali się wszyscy, ponieważ już wcześniej zostało to dowiedzione przez inną grupę badaczy:

bezdyskusyjnie pliocen był ciepły. Ów fakt stał się podstawą stanowiska dynamistów; było to sedno całego sporu - jeżeli obecnie globalna temperatura zbliżała się do tej z pliocenu, to obie płyty lodowe Antarktydy, wschodnia i zachodnia, zaczynały topnieć, pozostawiając lodowe archipelagi i kratony otoczone zatokami, które każdej zimy pokrywały ogromne ilości pływającego lodu. Pomyślał, że to mogło wyjaśniać wyraźne uwarstwienie w tym miejscu; niekoniecznie musiało ono być wynikiem pływów morza, ale rocznych osadów opadających na dno morskie, które zimą przykrywał dach pływającego lodu.

- Hm... - rzekł Graham, zerkając na Michelsona.

Buki nie przechodziły większych zmian ewolucyjnych, więc wszystkie odnalezione tu skamieliny mogły pochodzić jeszcze sprzed pliocenu. Istotnie, kiedy pierwszy raz odkryli drewno buku w Syriuszu, przypuszczali, że materiał pochodzi z triasu i dopiero znacznie później naniósł go lodowiec.

Dopiero gdy trafili na tysiące bukowych liści, zdali sobie sprawę, że drzewo żyło, kiedy osadziła się formacja Syriusza. W lasach bukowych istniało wiele mniejszych form życia, współtworzących ekosystem, takich jak mchy i porosty, ale także ryjkowce i inne chrząszcze, ślimaki wodne i być może nawet jakieś płazy. Niektóre były gatunkami charakterystycznymi dla pliocenu, a jeśli nie, to można było określić ich wiek na podstawie specjalnych testów chemicznych. Badając skałę tego dawnego dna morskiego (założywszy, że faktycznie znajdowało się tu kiedyś morze) prawdopodobnie można było znaleźć o wiele większe skamieliny niż mikroskopijne okrzemki i

otwornice. Michelson często o tym wspominał na początku dnia, kiedy ruszali w teren albo gdy helikoptery zabierały część zespołu do odległego miejsca badań; wesoło, ale bez przekonania, wołał na pożegnanie "Szukajcie skorup małży!" Miał to być żart. Właściwie otwornice i okrzemki, choć za małe, by można je było dostrzec gołym okiem, stanowiły wystarczający dowód na twierdzenie, że grupa Syriusza była pozostałością dna morskiego i na ich podstawie potrafili określić wiek całej formacji. Jednak skamieniała skorupa małża byłaby mile widziana.

Kiedy więc palec Grahama odłupał duży płat tillitu, pod spodem ukazał się pasek żółtoczerwonej gliniastej substancji.

- Cóż my tu mamy?

Nie była to oczywiście skorupa małża, lecz mimo to niezwykle znalezisko.

Wspiął się na skałę, by przyrzeć mu się bliżej. Z kieszeni wyciągnął szkło powiększające i spojrzał na osad w trzydziestokrotnym powiększeniu.

Zgnieciony materiał roślinny.

Zawołał Harry'ego, który ślęczał nad okrągłym blokiem tillitu na zboczu.

Harry usłyszał go i odkrzyknął:

- Chyba jestem w starym estuarium!

- Całkiem możliwe! - rzekł Graham. - Chodź i popatrz na to!

Harry podszedł i spojrzał na rudawe warstwy w szarym piaskowcu.

-Hej!

- Tak. Popatrz, gdzie to siedzi. Prymitywna gleba, na powierzchni rzeczno-diatomitowej, a tu, zobacz, struktury korzeni ułożone pionowo, a potem rozchodzące się na boki.

- Las bukowy - powiedział Harry, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. - O Boże, wygląda, jakby był taki duży, jak na Cyplu Olivera albo Tarasie Bennetta.

- Tak. - Ostrożnie zdjęli tillit z żółtorudej masy zbitych liści. - Popatrz, najlepiej zachowało się pod naciskiem tych kamieni. - Graham wystukał młotkiem jeszcze trochę. Harry włączył swój ręczny telefon i połączył się z Michelsonem.

- Geoff, zdaje się, że znaleźliśmy następną matę liści bukowych, naprawdę niezłą. Są też ślady mchu, ale przede wszystkim buk. Dobrze zachowany.

- Zaraz u was będę. Jestem jeszcze niżej niż wy, tak?

- Zgadza się. Jesteśmy pod ścianą klifu, punkt numer trzy.

- Zaraz będę.

Harry był paleobotanikiem w zespole i teraz uśmiechał się ekstatycznie.

Graham zdał sobie w tym momencie sprawę, że sajak poszukiwacze skarbów albo złóż złota. Takie znalezisko zaowocuje artykułem, który pomoże bronić ich stanowiska, co pomoże im zrobić karierę, co z kolei pomoże im płacić rachunki. Znaleźli w ziemi grudki złota, by lepiej wytłumaczyć to, co się stało.

Kamień filozoficzny. Albo kolejną cegielkę do budowy muru.

Jednak Harry nie rozumował w tak prozaicznych kategoriach.

- Boże mój, tylko popatrz. Wyobrazasz sobie, jak wyglądał las, który tu rósł? Piękny. To piękna linia brzegowa fiordu, Graham, święte miejsce.

Świetna mineralizacja.

Zdrapali następną płat tillitu. Żółtawa masa uginała się pod kamieniami narzutowymi, spoczywającymi na warstwach osadu. Zaczątek maleńkiego złoża roponośnego.

- Wygląda, że liście miały sześć, siedem centymetrów. Duże.

- Umiarkowane temperatury.

- I być może spore zachmurzenie. Zobacz na to, żyłki w liściu. Niewiarygodne żyłkowanie.

- Bardzo ładne.

Oczywiście będzie to kolejna odsłona sporu o wiek materiału biologicznego. Mimo to wydawało się oczywiste, że w czasie osadzania grupy Syriusza było tu coś więcej niż tylko jałowe piachy, na które od czasu do czasu padały niesione wiatrem okrzemki; przynajmniej tyle - a więc główne wyjaśnienie obecności okrzemków udzielane przez stabilistów okazało się błędne. Jeżeli wówczas rosły tu lasy bukowe, na zimnym wybrzeżu, które musiało bardziej przypominać południowy brzeg Chile niż niegościnną, lodową ziemię, trzeba zatem przyznać, że Antarktyda musiała zaznać łagodniejszych warunków klimatycznych. Za pomocą pewnych metod biostratyfikacji łatwo można było ustalić, czy okrzemki pochodzą z pliocenu; przenikały przez piaskowce Syriusza tak gęsto, że niektóre tillity składały się po prostu ze sproszkowanych okrzemków i otwornic - gdzie więc leżał słaby punkt w ich rozumowaniu?

Jak wobec tego można było przeczyć hipotezie o okresie morskim? Trzeba chyba zignorować wszystkie dowody; udawać, że niektóre artykuły nie istnieją; udawać, że nie istnieją niektóre skały. Obiektywni naukowcy, którzy nie poświęcili kariery jednemu stanowisku, na pewno by tego nie zrobili.

Pod naciskiem ostrego końca młotka odprysnął następny płat szarej skały. Graham i Harry ujrzeni okrągłe wybrzuszenie i znajdującą się za nim skorupę. Kiedy stanął obok nich Michelson, obaj przywierali do skały z twarzami w odległości kilku centymetrów od kamienia, zdjawszy przedtem okulary przeciwsłoneczne, by lepiej widzieć.

- Cóż to jest? - zawołał Michelson.

- Nie jestem pewien - rzekł Harry. - Ale to może być kość kończyny żaby. O Boże.

- Masz swoją słynną skorupę małża - powiedział Graham, odsuwając się od skały i krzywo uśmiechając do Michelsona. Czuł jak słońce przedziera się przez chłodne powietrze i kładzie promieniami na jego twarzy. Bardzo przyjemne uczucie.

Świat jest ciałem. Skały to szkielet, rzeki i strumienie to arterie, drzewa są mięśniami, chmury oddechem. My jesteśmy myślą. Tutaj z ciała został sam szkielet, bo nie ma mięśni, żył i tętnic. Mimo to został oddech chmur. Szkielet, który oddycha pod białym całunem, od czasu do czasu budząc się z letargu i myśląc.

Idziemy w górę lodową drogą w głąb gór, w głąb ciała. Ranek w zalanym słońcem obozie: ćwiczenia w chih-fa, metodzie na palce. Valerie, nasza roshi, pasterz tej pielgrzymki, jest najczystsza formą sztuki chih-fa. Żadna ceremonia parzenia herbaty nie może się równać z czystością jej za-zen przy zwijaniu obozowiska. To prawdziwa radość widzieć, jak się nami opiekuje.

A teraz znów idziemy. Godzinami idziemy śladami Amundsena.

Co można powiedzieć o Amundsenie? Jego historia jest zawiła. Całe życie był człowiekiem Północy, jedynym jego zajęciem było badanie Północy.

Odnalazł Przejście Północno-Zachodnie; przez lata pragnął zdobyć biegun północny. Później nadeszły nowiny, że Cook i Peary tego dokonali, podczas gdy on był w środku przygotowań do własnej wyprawy. Nie pragnął jednak zostać trzecim zdobywcą bieguna ani nawet drugim. To rzuca inne światło na jego pragnienie. Wcale nie chciał zdobyć bieguna północnego, wokół którego obracała się jego praca. Chciał być pierwszy. To coś innego. Nie był to głód miejsca, tylko pozycji. Koncentracja na czasie zamiast na przestrzeni; pragnienie zapisania swojego nazwiska w historii, zamiast zajęcia miejsca na Ziemi.

Dlatego kiedy Amundsen pisał, że dziwnie się czuje, stojąc na biegunie południowym, podczas gdy całe życie chciał zdobyć północny, ma tylko częściowo rację. W głębszym sensie stał tam, gdzie

chciał: na pierwszym miejscu. I rzeczywiście zapamiętano go, zwłaszcza na tym kontynencie, gdzie historia ludzka była tak krótka, że to, co zdarzyło się na początku, usunęło wszystko w cień. Odcisnął swoje piętno w czasie. Pierwszy na biegunie. Kiedy go zdobył? Nie umiem sobie przypomnieć.

Metoda, jaką wykorzystał Amundsen, by zdobyć biegun, jest także zawiła i trudno nam się z nią pogodzić. Z jednej strony niewątpliwie umiał gruntownie przemyśleć swoje doświadczenia polarne i przeanalizować metody po to, by wprowadzać nieustanne poprawki do sprzętu i techniki. Jego wyprawa opierała się na wykorzystaniu świetnej kombinacji nowoczesnych i archaicznych sprzętów, dostępnych w tamtym czasie, z których wiele wykonano na zamówienie i pod jego osobistym nadzorem.

Lecz zmianę celu podróży, z jednego krańca Ziemi na drugi, ukrył przed wszystkimi ze strachu, że straci źródło finansowania. To jeden z dziwnych aspektów jego wyprawy, który od zawsze stanowił zagadkę. Nawet jego ludzie nie wiedzieli, dokąd jada; powiedział im dopiero kiedy opuścili Norwegię. Wtedy też wysłał do Scotta telegram, w którym napisał: "Jadę na południe". Ten fakt pokazuje, że on także pojmował wyprawę na biegun jako rodzaj pojedynku średniowiecznych rycerzy, w którym obowiązują zasady honoru. Amundsen nie zgadzał się z przekonaniem Scotta, że nikt poza nim nie powinien podejmować próby dotarcia na biegun, dopóki on nie zwycięży albo nie zginie. Lecz godził się na pojedynek. Wysłał więc do Scotta wiadomość.

A potem ciągnęły go psy, które potem zjadał. Oczywiście wielu z nas jada mięso zwierząt i na każdym bazarze w Chinach w ciągu jednego dnia można zobaczyć więcej zwierzęcej krzywdy niż Amundsen i jego ludzie wyrządzili psom w ciągu całego swojego życia polarników. Nie możemy ich oceniać. Ale w planach, które zakładały, że psy ciągnące sanie do bieguna będzie się po drodze zjadać jest coś, co umysłowi Brytyjczyka wyda się co najmniej zimne i wyrachowane. Brytyjczycy są pozbawieni sentymentów i równocześnie bardzo sentymentalni - jak Chińczycy. Psy są naszymi inteligentnymi towarzyszami i pomocnikami, więc zabijanie tych czujących i wrażliwych istot ma w sobie coś z morderstwa, zwłaszcza jeśli się do nich strzela, a potem zjada tylko po to, by przed innymi dotrzeć na miejsce.

Pojawia się też proste pytanie, dotyczące wykorzystania innych istot zamiast własnych sił. Scott, nie umiejąc opanować powożenia psami, w rezultacie podwyższył stawkę w grze, ponieważ liczyło się nie tylko kto pierwszy zdobędzie biegun, ale jak. Przypadkowo Scott i jego ludzie zakochali się w chodzeniu po ziemi, a później Scott oświadczył, że liczy się tylko zdobycie bieguna o własnych siłach; to co zdarzyło się później, potwierdziło słusność Scotta, działając na niekorzyść Amundsena. Na przykład pierwsi zdobywcy Everestu używali tlenu i pracował dla nich cały sztab logistyczny; później Messner i Habler wspięli się na szczyt bez aparatów tlenowych, a potem jeszcze raz Messner w pojedynkę, też bez aparatu. Swoim pięknym aktem feng shui Messner pokazał, że pierwsze wyprawy na Everest za bardzo polegały na pomocy z zewnątrz. Na Antarktydzie było tak samo. Ludzie jeździli na biegun ciągnikami, potem latali samolotami i wszyscy uznawali, że dla korzystających z takich środków transportu nie jest to żadne osobiste osiągnięcie.. Jeśli ktoś stoi na saniach ciągniętych przez psy, niewiele różni się to od siedzenia w pojeździe gąsienicowym, jak ostatnio zauważyła moja przyjaciółka Elspeth.

Kiedy Borge Ousland samotnie przeszedł ten kontynent, nie korzystając z niczyjej pomocy, było to zdumiewające osiągnięcie; jak gdyby posłuchał rad Scotta, a nie Amundsena, mimo że Ousland też był Norwegiem.

Lecz Amundsen miał przed sobą prosty cel: być pierwszym na biegunie. Żadnych badań naukowych, żadnych skrupułów wobec psów. Opracował doskonałą wyprawę, której celem było osiągnięcie idei. Pierwszy stanął na osi obrotu Ziemi, w miejscu siły planetarnej, w krajobrazie

naszej wyobraźni; gdzie wszystkie arterie smoka splatają się w jeden ciasny węzeł. Było w tym wiele feng shui.

Dlatego dla mnie jego ekspedycja jest pełna sprzeczności. Idąc teraz szlakiem Norwegów, mam mieszane uczucia na temat ich wyczynu i tego, co robi nasza wyprawa. Ziemia, którą szli, jest wspaniała, a podróż stanowiła dzieło sztuki. Lecz była to sztuka nie cofająca się przed mordowaniem psów, w której wszystko zostało podporządkowane idei pierwszeństwa; idea ta nie wydaje mi się zbyt interesująca. Północ, południe, wschód, zachód i inne atrybuty feng shui składają się na krajobraz wyobraźni, który jest oczywiście kluczowy dla całego krajobrazu; kluczem dla naszego miejsca w świecie rzeczywistym, na Ziemi. Jeśli jednak postrzegamy Ziemię jako materię, którą trzeba przejść, wówczas nie jest to w pełni miejsce i wyobraźnia staje się zubożona. Ziemia jest domem i ciałem wyobraźni. Jeżeli nie mieszkasz w jakimś miejscu - nie przebywasz, ale mieszkasz, jak ludzie pierwotni, którzy znali każdy krzak i nadawali nazwę każdemu kamieniowi - wtedy staje się to zbyt rozproszone i metafizyczne; mieszkasz w wyobrażeniu idei. Prawdziwe feng shui wyrasta jak organiczna część z samego krajobrazu, który zamiast tworzyć, widzimy, nauczywszy się całej Ziemi do najdrobniejszego ziarenka piasku.

Amundsen był więc pierwszy na osi obrotu Ziemi. Ale Amerykanie, którzy zaczęli tu mieszkać w roku 1956, byli tu pierwsi w pełnym sensie bycia.

Przed nami czołowa ściana lodowca, najważniejszy punkt naszej wspinaczki, serce naszej pielgrzymki. Najpoważniejszy przypadek perspektywy kao-yuan. Teraz poćwiczę milczenie, ale zostawię włączone kamery i pozwolę wam zobaczyć wszystko na nowo. Usłyszymy się na szczycie, na lodowym płaskowyżu.

Isniąca biel świetlisty błękit krucza czerń

* (z dziennika Amundsena, grudzień 1911 r.).

Kiedy wyruszyli w drogę, dolny odcinek Lodowca Axela Heiberga okazał się szeroką, równą rzeką lodu i grupa Val pokonywała długie dystanse gładkiego lodu, nie napotykając żadnych szczelin. Jakby szli po powierzchni rozlanej wody. równej, pokrytej lekkimi zmarszczkami powierzchni potoku, który zamarzał w jednej chwili. Z trudem wspinali się w rakach na ten gładki stok, co pół godziny zmieniając się przy saniach, najpierw Val i Ta Shu, potem Jack i Jim, po nich Jorge i Elspeth; jednak w porównaniu ze stromizną spękanego lodu omyłkowej trasy Amundsena, było to bardzo łatwe i trzymali dość dobre tempo. Właściwie byłaby to frazka, gdyby za każdym razem, kiedy spoglądali w górę, nie widzieli wznoszącego się przed nimi stromego lodowca, przechodzącego w gigantyczną pionową ścianę, znaną jako Lodospad Amundsena, górującą nad nimi szerokim łukiem, który sięgał od jednej czarnej ściany do drugiej, mieniając się w słońcu jak ogromna masa strzaskanych luster. Tysiąc metrów pionowej ściany w odległości niecałych pięciu kilometrów. Będą musieli ją pokonać, jeżeli chcą iść dalej.

Kiedy godzina za godziną zbliżali się do lodospadu, zaczęły się pojawiać szczeliny, jak progi w strumieniu. Tu nieoceniony był system GPS, ponieważ kiedy patrzyli na wielki, biały strumień, widzieli wystające bardziej strome odcinki, a odcinki płaskie wyglądały jakby były skrócone do minimum, przez co droga wydawała się bardziej stroma (i krótsza) niż w rzeczywistości; trudno było zobaczyć więcej, by wybrać najlepszą drogę. Amundsen wśród wielu talentów posiadał też umiejętność widzenia niewidzialnej części lodowca, dzięki czemu mógł uniknąć szczelin nie do pokonania i stref popękanego lodu, gdzie nie występowały większe rozpadliny, ale lód był starty na proch.

Ręczny monitor na podstawie informacji z satelity i radaru podawał Val pozycję z dokładnością do dwóch centymetrów, nie mówiąc już o radarze impulsowym, który ciągle szukał

szczelin przed nimi, tak więc jej zadaniem było zbudowanie ze wszystkich danych obrazu terenu i wybór spośród proponowanych tras najlepszej, jeżeli w ogóle był jakiś wybór. Zwykle był; błędzili w labiryncie wielu splątanych ścieżek; w żadnym punkcie dolnego odcinka lodowca nie natknęli się na szczeliny czy spękany lód, które przecinałyby całą szerokość lodowca. Choć raz czy dwa było blisko; musieli skręcać i maszerować dwa albo trzy kilometry, by pokonać jeden kilometr lodowca; posuwali się więc wolno, bardzo wolno. Mimo to dalej szli naprzód.

Mijały godziny. Val spoglądała na ekran na swoim nadgarstku, potem na oślepiająco białą masę i wskazywała swym podopiecznym drogę. Znow musieli schodzić na bok. Coraz częściej ciągnęła sanie sama i nikt nie protestował. W niektórych miejscach lodowiec pokrywał zbity, gruby śnieg zwany firnem i tam szli w dość szybkim tempie. Wszyscy mieli okulary nastawione na maksimum mocy, które tak silnie polaryzowały światło, że kobaltowe niebo przybrało czarny odcień.

Niektóre odcinki lodowca pokrywał czysty, błękitny lód, gładki lub usiany zagłębieniami wytopionymi przez słońce; musieli wtedy zakładać raki i krok po kroku piąć się z chrzęstem w górę. Często błękitny lód był podziurawiony regularnie i mieli wrażenie, że idą po powierzchni olbrzymiej piłki golfowej, przy każdym kroku stawiając stopy pod różnym kątem.

Trudno było się nie spocić, nawet przy rozpiętych kurtkach i temperaturze otoczenia znacznie poniżej zera. Sanie z klekotem sunęły za Val, wpijając się uprzężą w jej ciało i ciągnąc w tył, jakby chciały uciec w dół lodowca i ześliznąć się wprost do Morza Rossa. Kiedy rozglądali się wokół podczas postojów, wyraźnie widzieli, że lodowiec ogromną falą wylewa się przez wielką wyrwę w górskiej ścianie; widzieli wygięty w łuk strumień lodu, znaczony licznymi załamaniem albo po prostu zmarszczkami na powierzchni, podobnymi do zmarszczek na białym brzuchu wieloryba, które zbiegały się w każdej krzywiźnie doliny. Lodowiec wyrył głęboki rów; otaczające go góry wznosiły się na wysokość czterech tysięcy metrów nad poziomem morza i dziesięć tysięcy stóp nad punktem, w którym się teraz znajdowali, mieli więc wrażenie, że stoją na dnie ogromnej szczeliny. Czasem wydawało się im, że będą potrzebowali długich tygodni, by wydostać się z przepastnej głębi tego kanionu. W czasie przerw na odpoczynek wydawali okrzyki:

- Olbrzymie!
- Zgroza!
- Bomba!
- Ogromne!
- Duże.

To był Ta Shu. W czasie postojów trzymał się z boku, kręcąc się jak wirujący w tańcu derwisz, w bardzo zwolnionym tempie; chciał albo przekazać swojej niewidocznej publiczności pełny obraz krajobrazu, albo po prostu nie mógł się napatrzeć. Komentarz, który wygłaszał po chińsku ścisłym głosem, brzmiał jak świergot niewidzialnych ptaków.

Val pilnowała, by przerwy na odpoczynek były krótkie i tak mijała godzina za godziną, z których każda kosztowała ich wiele wysiłku. Posuwali się naprzód. Zaskakujące, jak gorąco może się człowiekowi zrobić na Antarktydzie, kiedy idzie po czymś w rodzaju lustra, będąc narażonym na palące słońce z góry i z dołu, wyężdżając wszystkie siły. Mimo to odczuwało się chłód, na czubku nosa, na uszach i jeśli akurat szło się łatwo, na palcach rąk i nóg. W pewnej chwili Val zmierzyła temperaturę; było minus piętnaście stopni Fahrenheita, a większość osób w grupie nadal miała opaski, które chroniły od mrozu uszy, ale nie resztę głowy, przez co nie pocili się zbyt obficie pod grubym strojem. Głowa była najważniejsza dla sterowania temperaturą.

Tego dnia większość z nich miała na sobie koszule i nieprzepuszczające wiatru spodnie, pod nimi kalessony z inteligentnej tkaniny, a części grzejne w fotoelektrycznych spodniach były wyłączone

przez całą drogę. Błyszcząca, niebieskofioletowa tkanina ładnie współgrała z jaskrawoturkusowym lodem i ciemnym kobaltem bezchmurnego nieba. Ono zdawało się pulsować nad blaskiem śniegu i lodu, jak gdyby oddychało - zjawisko, które Val dawno temu nauczyła się przypisywać własnemu pulsowi, w jakiś sposób bijącemu w jej wzroku. Pracowała ciężko, a jej podopieczni jeszcze ciężiej, ale wciąż dotrzymywali kroku. Uwielbiała te godziny: nie musiała się martwić o klientów, wykonywała prostą, męczącą pracę, skupiając myśli na niej, odczuciach w nogach i całym ciele oraz otaczającym ją zewsząd krajobrazie, gdy powoli pięli się coraz wyżej i widok potężniał z każdym krokiem. Pociła się, ciężko dyszała, miała suche usta; jej myśli odbijały się rykoszetem od ścian kanionu, odlatując w przestrzeń poza nią; ale też co pewien czas skupiały się na lodzie pod jej stopami i na dziesięć metrów naprzód. Czuła się szczęśliwa.

Poriomaniaczka w transie.

Dane na ekranie monitora i widok, jaki ukazywał się jej oczom, nie pozostawiały wątpliwości, że zbliżają się do stóp właściwego lodospadu. Wyżej, tysiąc sześćset metrów nad nimi, lód wylewał się z polarnej czapy w miejscu, którego stąd nie widzieli; w dół lejkowatej rynny, między trójkątnym masywem Mount Don Pedro Christophersen - nazwanej imieniem dobroczyńcy, który wsparł finansowo Amundsena - a wysokim południowym krańcem pasma Herberta, zwanym Mount Fridtjof Nansen - na cześć mecenasa i przyjaciela Amundsena. Skalne wzniesienie pośrodku lejka ludzie Amundsena ochrzczili Mount Ole Engelstad, na cześć norweskiego oficera marynarki, który był zastępcą Amundsena i który zginął od uderzenia pioruna jeszcze w Norwegii. Jeżeli ktoś pozostawał w dobrych stosunkach z Amundsenem, mógł zostać patronem niesamowitych szczytów, pomyślała Val, przyglądając się mapce na ekranie monitora.

Ze względu na pola szczelin lodowych, Norwegowie zostali zepchnięci na prawo w swojej wspinaczce i byli zmuszeni wchodzić na lejek z prawej strony Góry Engelstada, a dopiero potem skręcili w lewo i na południe. Lecz Val widziała na ekranie, że w ciągu ostatniego wieku lodowiec zmienił się; wprost na południowe zbocze, w lewo wiodła całkiem znośna droga. Gdyby tędy poszli, zaoszczędziłoby to im parę kilometrów i nie musieliby wspinać się na prawą stronę lejka, która wydawała się trochę bardziej popękana niż sto lat wcześniej.

Zaczekała, aż wszyscy do niej dołączą, po czym zarządziła postój. Kiedy pili wodę ze śniegu roztopionego w termosach - nosili je przewieszane przez ramię i podłączali do fotoelektrycznych części w ubraniu, a przy dobrym słońcu w godzinę udawało im się uzyskać pół kwarty wody - pokazała im to, co przed chwilą zobaczyła na ekranie.

- Może pójdziemy w lewo, prosto na Ostrogę Butchera.

- Och, co ty - powiedział Jack, odrobinę zdyszany. - Miał zaczerwienioną twarz i ślady po zaschłych strużkach potu na policzkach. Uśmiechnął się do niej czarująco. - Szliśmy dokładnie ich trasą przez dużo trudniejsze miejsca, a jak wejdziemy na płaskowyż, do bieguna będzie już łatwo. Dlaczego mamy teraz pękać, przed ostatnim odcinkiem?

Pozostali niepewnie wzruszyli ramionami, spoglądając na spękany lód nad nimi. Prawdę mówiąc, obie drogi wyglądały źle. Elspeth mruknęła coś pod nosem. Było im chyba wszystko jedno, którą drogą pójdą.

To Val miała teraz zdecydować i dobrze o tym wiedziała. Gdyby warunki na lodospadzie zmieniły się tak, że droga w prawo byłaby zbyt niebezpieczna, powinni iść w lewo i tyle. Nikt nie próbował powtarzać czyjejs trasy przez lodospad, to byłby absurd; lodospady zmieniały się co miesiąc i należało na to odpowiednio reagować.

Zirytowana jeszcze raz spojrzała na monitor. Trudno powiedzieć, jak będzie z którejkolwiek strony, dopóki nie spróbują.

- Rozbijmy na dzisiaj obóz - powiedziała w końcu. - Być może to ostatnie płaskie miejsce na dłuższy czas i jest za późno, żeby pokonywać następną wysokość. Poza tym muszę jeszcze trochę pomyśleć nad trasą.

- Dlaczego? - zapytał Jack.

- Muszę zobaczyć, czy da się przejść - odparła krótko Val. Podeszła do sań i zaczęła wypakowywać sprzęt.

Tego wieczora siedzieli we wspólnym namiocie i jedli w milczeniu. Byli zmęczeni, a najważniejsza część wyprawy czekała ich nazajutrz; obozowali tuż pod stokiem, który wydawał się stąd niezwykle stromy i ilekroć wyglądali na zewnątrz, mieli przed oczami lodospad, z którym przyjdzie im się zmierzyć. Jack powiedział, że przypomina mu to noc spędzoną w Hornlihutte na zboczu Matterhornu, kiedy spoglądał na majestatyczny szczyt i zastanawiał się, w co tak naprawdę się wpakował.

- Wyruszyliśmy, kiedy było jeszcze ciemno i nic nie widzieliśmy. Przez pierwszą godzinę wspinałem się z latarką w zębach, żeby mieć wolne ręce.

Potem jednak okazało się, że to kaszka z mleczkiem.

Wszyscy pokiwali głowami. Val pomyślała, że te przechwałki brzmią dziwnie, zwłaszcza że nikt się na nie nigdy nie nabierał.

- Wspinałaś się na Matterhorn? - zapytał ją Jack.

- Co? A, tak. Dawno temu.

- Przez Normalweg?

- Ścianą od strony schroniska? Nie, nie. Wtedy trawersowaliśmy.

- Ach, tak - najpierw w górę Zmuttem, a potem w dół Lwem? Słyszałem, że to niezła trasa.

- Nie, wtedy weszliśmy północną ścianą i zeszliśmy południową.

Jack zrobił zaskoczoną minę, rumieniąc się trochę.

- Rany - powiedział. - To musiała być jazda!

- Tak. Moja partnerka była w piątym miesiącu ciąży, więc mieliśmy trochę nerwów.

Ludzie zaśmiali się, nie wyłączając Jacka, który spoglądając na nią, jeszcze bardziej poczerwieniał.

- Jak Alison Hargrove! - wykrzyknęła Elspeth ze złośliwym błyskiem w oczach.

- Zgadza się. Meg sama mówiła, że robi numer Hargrove.

Jak wiele kobiet alpinistek, Val szanowała pamięć Hargrove, Brytyjki, która w jeden dzień zdobyła północną ścianę Eigera, będąc w piątym miesiącu ciąży. Później zginęła na K2, kiedy jej dzieci miały cztery i sześć lat. Lecz po tym wydarzeniu jakiegokolwiek kobiecie alpinistce trudno było zrobić coś bardziej antymacierzyńskiego.

Jack przestał mówić o Matterhornie i rozmowa zesłała na inne tematy, kiedy skończyli gulasz z chili i zabrali się do czekolady, a potem przyszła kolej na zmywanie. W pewnej chwili Elspeth powiedziała do Ta Shu:

- Widzisz, to właśnie na Ostrodze Butchera zastrzelili połowę swoich psów.

- Ach, tak. Widzę.

Naturalnie zanim Norwegowie dotarli do tego miejsca, zdążyli polubić swoje psy: każdy z nich pracował z pełnym poświęcenia, radosnym entuzjazmem, niczym kudłaty Birdie Bowers. Kiedy więc musieli je zastrzelić, zrobili to ze smutkiem. Każdy zastrzelił połowę najsłabszych psów w swoim zaprzęgu, czyli po dwa albo trzy psy. Tak więc mimo niewiarygodnego dokonania, jakim było zdobycie lodospadu, które wciąż czekało Val i jej podopiecznych - mimo że w ciągu czterech dni pokonali wysokość od poziomu morza do płaskowyzu polarnego, idąc najtrudniejszym szlakiem w

historii ludzkości - spędzili bardzo, bardzo smutny wieczór. Co nie przeszkadzało im (i ocalałym psom) zjadać się stekami z nieżyjących towarzyszy.

- To coś w rodzaju kanibalizmu - powiedziała Elspeth.

- Brytyjczycy też zabijali psy - przypomniał jej Jack. - Na początku chcieli z nich skorzystać, tylko nie mogli wykombinować jak.

- I przez cały czas potępiali za to Amundsena - rzekł Jim, potrząsając ze smutkiem głową. - Wiecie, że wiele lat później Brytyjskie Królewskie Towarzystwo Geograficzne wydało uroczystą kolację na cześć Amundsena, a człowiek, który go przedstawiał, powiedział na koniec: "Proponuję wznieść toast za psy!"

- Żartujesz! - powiedziała Elspeth.

- Nie żartuję. To był lord Curzon, jak potem napisał Amundsen w autobiografii. Ten toast naprawdę wkurzył Amundsena.

- I co zrobił?

- Po kolacji wyszedł, wrócił do hotelu i zażądał przeprosin, ale się ich nigdy nie doczekał. Wystąpił z Królewskiego Towarzystwa Geograficznego i nigdy już nie przyjechał do Anglii.

- Niewiarygodne.

- Nikt nie potrafi być tak bezczelny jak Brytyjczycy, kiedy chcą okazać komuś pogardę.

Rozmyślając o tym, przez chwilę jedli w milczeniu. Val próbowała to sobie wyobrazić: gromki wybuch śmiechu brytyjskiego audytorium, wściekłość i upokorzenie Amundsena, który siedzi, niezdolny do żadnego ruchu. Ależ scena.

Ta Shu skończył swój batonik.

- Te psy zasługiwały na toast - zauważył.

- Ale to Amundsen powinien go wznieść - powiedziała Elspeth.

- Wtedy nie zaryzykował. Ale przy innych okazjach zawsze wspominał, jak ważną rolę odegrały.

Siedzieli, jedząc, odpoczywając i rozmyślając. Dziwne, pomyślała Val, jak silne piętno pierwsze ekspedycje wycisnęły na ludziach Antarktydy; oni naprawdę tworzyli wspólną kulturę tego kontynentu. Nikt nie wiedział, co się tu dokładnie działo podczas Międzynarodowego Roku Geofizycznego, nikt nie wiedział, jak wyglądały lata panowania Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, nikt nie znał historii sektora australijskiego ani historii Nowozelandczyków nad jeziorem Vanda, ani szczegółów nieustannych prób samotnego pokonania kontynentu i tak dalej. Pamiętano tylko o początkach.

Jim zwrócił się do Ta Shu:

- Myślałem o tym, co mówiłeś wczoraj o kolorowych światłach we wszystkich opowieściach. Wiem, co masz na myśli i, do pewnego stopnia, oczywiście, przyznaję ci rację. Ale dobry historyk stara się zobaczyć wszystko w czystym świetle - najpierw, o ile to możliwe, zobaczyć, co naprawdę się działo, a potem, jaki wpływ miały opowieści o tych wydarzeniach na rzeczywistość. A kiedy zbierze razem wszystkie historie, może je ze sobą porównać i dokonać oceny, która nie będzie tylko kwestią kolorowych światła. Własnego nastawienia. Będzie w pewien sposób obiektywna.

Ta Shu skinął głową, dumając nad tym i pochłaniając drugą porcję gulaszu oraz krakersów. Val pomyślała, że je jak człowiek, który kiedyś w życiu zaznał prawdziwego głodu.

- Szlachetny cel - zauważył między jednym a drugim kęsem. Wstał, podszedł do huczącej kuchenki i nałożył sobie jeszcze trochę jedzenia. Pozostali spojrzeli po sobie.

Jack mruknął pod nosem:

- Masz swoje ciasteczko z maksymą na dziś.

Nazajutrz rano Val postanowiła, że zgodzi się iść szlakiem Norwegów.

Na monitorze i gołym okiem widziała całkiem dogodny szlak przez lodospad, sięgający aż do prawego skraju lejka, przez mały nunatak na brzegu płaskowyżu polarnego, znanego jako Próg Hellanda Hansena. Tak też powiedziała wszystkim i Jack z zadowoleniem skinął głową. Zwinęli obóz, spakowali i ułożyli rzeczy na saniach, po czym wyruszyli.

Nie poszło jednak tak łatwo jak powinno. Przecież była to najmniej stroma część lejka; Val rozumiała, dlaczego Norwegowie wybrali tę trasę. Jednak coś - być może lekkie obniżenie wysokości lodu polarnego, przez co górna część lodowca stała się cieńsza - spowodowało, że lód pękł na całej szerokości jęzora. Być może pod spodem przecinało go w poprzek skalne wzniesienie, położone między Mount Engelstad a Hansenem, ponieważ z mapy wynikało, że te dwa wzniesienia mogą być wysuniętymi częściami wygiętego łukowato i pokrytego lodem siodła.

W każdym razie była to bardzo ciężka wędrówka. Szli zygzakami, z jednego wąskiego podejścia albo lodowego bloku na drugi, czasem przechodzili śnieżnymi mostami nad wąskimi szczelinami, innym razem z trudem przeciągali sanie przez jeszcze węższe przerwy w lodzie, ciągnąc wszyscy razem.

Norwegowie w takich miejscach radzili sobie w pojedynkę, każdy ze swoim zaprzęgiem, a potem pisali w dziennikach, że zupełnie zobojętnieli na niebezpieczeństwo nieustannie czające się pod nimi; fotografowali się nawzajem, jak stoją okrakiem nad szczeliną, zaglądając do środka albo jedzą lunch, siedząc z nogami zwieszonymi z krawędzi lodowej przepaści. NFN oczywiście nie pochwałała takiej ułańskiej fantazji i w strefach tak spękanych jak te, grupa Val musiała wiązać się liną i postępować jak przy pokonywaniu każdego niebezpiecznego stoku. Val szła przodem, wkręcała w lód śruby i asekurowała wszystkich po kolei w szczególnie niebezpiecznych miejscach; potem wciągali sanie; a później Val wracała, żeby zabrać śruby, wspinała się z powrotem i szli dalej. Trwało to dość długo i wszystkim robiło się raz gorąco, raz zimno, zależnie od tego czy napędzani adrenaliną pięli się w górę, czy stali, czekając na resztę i przytupując. Nawet inteligentne tkaniny nie radziły sobie z tak wielkimi wahaniami temperatury i gdy słońce stanęło tuż nad szlakiem, oblewając ich potopem fotonów, różnica temperatur coraz bardziej dawała się im we znaki; czuli, jakby między nasłonecznionym a zacienionym miejscem albo między twarzą i plecami różnice te zbliżały się do stu stopni; a pomiędzy wysiłkiem i odpoczynkiem - dwieście stopni. Nawet Val to przeszkadzało, a przecież właśnie to lubiła najbardziej ze wszystkiego. Gdyby była sama albo w towarzystwie innych alpinistów, wpadłaby w stan hiperczujnego zestrojenia myśli z krajobrazem, stanowiącego swoiste zen wspinaczki, źródło radości i jednocześnie uzależnienia. Teraz jednak niebezpieczeństwa czyhające w głębi lodu sprawiły, że przede wszystkim musiała się troszczyć o swoich klientów. Przewodnik mógł być zadowolony tylko w takim stopniu, jak najmniej zadowolony członek grupy, a otaczała ją gromadka okrytych szronem, owadziokkich, milczących ludzi. Ta Shu i Jack chyba nieźle się bawili, ale reszta marzyła, żeby już się to skończyło.

Im wyżej wchodzili, tym bardziej było stromo i musieli iść coraz wolniej. Jak gdyby wpadli w pułapkę paradoksu Zenona z Elei, pokonując coraz mniejszy dystans w takich samych odcinkach czasu. Czuli na zmianę gorąco i mroźny chłód; czekali, aż Val wkręci albo wykręci śruby, patrzyli w głąb szczelin albo odwracali wzrok od błękitnych przepaści, z których każda mogła być śmiertelną pułapką.

Była trzecia po południu, kiedy wreszcie dotarli pod Próg Hansena, gdzie wąski wał lodu prowadził prosto pod wysuniętą skałę i prosto na płaskowyż polarny. Między lodowym podejściem a dolerytem skalnego występu, wygładzonym przez wietrzną ablację w niemal pionową ścianę, ział jednak szeroki bergschrund. Niestety, po lewej stronie lodowej rampy widniały duże i spękane seraki, przecięte na pół głębokimi szczelinami, które biegły w poprzek pierwszego dużego spadku

lodospadu. Nie mieli więc żadnego pola manewru i mogli tylko przeć w górę rampy, wbijając raki w błękitny lód.

Lecz jak wynikało z obrazu na monitorze, powinni ją pokonać bez przeszkód.

Zanim jednak weszli na górę, trzeba było minąć pojedynczy wysoki blok lodu, wypełniający bergschrund po prawej i zwisający nad ich rampą - gładki, błękitny kiel, który musiał upaść z góry z Hansena, albo z drugiej strony rampy, z pola seraków po lewej. Szerokość rampy zakręcającej pod tą lodową bryłą miała szerokość niewiele większą od ich sań, ponieważ szczelina biegła tu równolegle z lewej strony rampy. Val widziała, że szczelina jest dość głęboka. Znajdowali się więc na lodowym moście, wspinającym się po zboczu między szczeliną a bergschrundem. Miejsce, w którym szczelina przecinała lodospad, wypełniał most śnieżny, pod którym otwierał się szeroki lodowy tunel. Nie był to niezwykły widok, ale przejmował dreszczem i uzmysławiał im głębię po obu stronach wąskiej rampy.

Nie mogli dalej iść. Wyglądało na to, że rampa bez przeszkód biegnie wokół zwisającego bloku i dalej znów staje się szersza. Do przejścia, ale na tyle wąsko, że należało użyć liny. Val zwinęła jedną z lin w luźne zwoje, by się za nią nie plątała. Z nosidla ze sprzętem wyciągnęła śrubę lodową - pustą w środku, metalowy walec, nagwintowany z zewnątrz, zaostrzony na końcu i zaopatrzony w otwory na przeciwnym końcu, by można było włożyć w nie koniec czekana i przekręcić - po czym ostrym końcem śruby wybiła głęboką na ćwierć cala dziurę i zaczęła w nią wkręcać gwint, który pisał za każdym obrotem, najpierw ręką, a potem dźwignią, zaimprovizowaną z czekana - aż śruba prawie zupełnie pograżyła się w lodzie. Pancerna asekuracja. Poprosiła Jacka, by wpiął się do śruby prowadnicą, która była pętlą ze zwykłego parcianego pasa, i asekurował ją, kiedy będzie się wspinała. W chwilę potem wyruszyła w górę rampy, a Jack popuszczał linę z wyczuciem, tak że Val czuła, jak lekko pociągają do tyłu. Tak się jakoś składało, że zwykle Jack ją asekurował i był w tym naprawdę dobry; lina była napięta, a luzu miała dokładnie tyle, ile trzeba, więc prawie nie dotykała lodu.

Val zatrzymała się za zakrętem nad blokiem lodowym i wkręciła w lód jeszcze dwie śruby, łącząc je ze sobą pasem zaczepionym do nich dwoma karabinkami, tak by zrównoważyć każdą siłę, jaka by na nie zadziałała. Koniec liny asekuracyjnej związała w ósemkę i za pomocą jeszcze jednego karabinka doczepiła do powstałej pętli.

Zanim wróciła do pozostałych, z powrotem wpięła się do liny, używając pętli autoasekuracyjnej. Była to mała pętla z liny, przywiązana do liny asekuracyjnej prostym węzłem, który zaciskał się, kiedy na pętli zawieszono jakiś ciężar, ale który dawał się rozluźnić i przesunąć ręką w górę lub w dół liny, jeśli z drugiej strony nie było żadnego ciężaru.

Wróciła do pozostałych.

- Dobra, możemy wchodzić.

Ustawiła wszystkich wzdłuż liny, pilnując, żeby każdy przypiął się do liny asekuracyjnej i własnej uprząży, po czym puściła ich naprzód. Wchodzili, wbijając raki w rampę, lekko pochyleni. Jack został, żeby jej pomóc wciągnąć sanie.

Inni obeszlili już lodowy blok i odpięli się od liny. Val i Jack przypięli do niej swoje uprząże i szykowali się do wciągania sań, kiedy lodowy blok nad nimi przechylił się z trzaskiem i runął w dół. Val skoczyła w głąb szczeliny; był to jedyny sposób, by uniknąć zmiżdżenia przez lód. Uderzyła w ścianę uniesionymi przedramionami, osłaniając głowę. Wreszcie zawisła na linie, która szarpnęła ją w górę za uprząż; po chwili została pociągnięta w dół, kiedy Jacka porwała ta sama lina. Przez kilka sekund była szarpana w górę i w dół jak marionetka, obijając się boleśnie o ścianę. Lina napinała się niemal jak guma bungee - musiała być odrobinę elastyczna, żeby zmniejszyć ryzyko szarpnięcia - ale

Val zupełnie nie miała kontroli nad swoimi podskokami.

Lecz asekuracja wyżej trzymała; reszta grupy, która ich ubezpieczała, też. Jednak gdy tylko Val przestała podskakiwać na linie, obróciła się, wczepiając w lód czubkami raków, po czym chwyciła czekan i wbiła go ostrym końcem w lód.

Chwila bezruchu. Nic nie bolało jej szczególnie dotkliwie. Tkwiła głęboko w szczelinie, mając tuż przed nosem jej błękitną ścianę. Czekan wbiła w drugim miejscu, ale to było za mało. Niżej, na tej samej linie wisiał Jack, trzymając się jej jedną ręką nad głową. Ani śladu sań.

Z góry odezwały się głosy.

- Wszystko w porządku! - krzyknęła. - Trzymajcie linę! Nie ruszajcie nią!

Nic nie róbcie! - miała ochotę dodać.

- Jack! - zawołała w drugą stronę. - Nic ci nie jest?

- Chyba nic.

- Możesz się obrócić i wbić się w lód?

- Staram się.

Okazało się, że Jack wisi pod niewielkim występem, a ona nad nim. Typowa sytuacja, jeśli się wpadnie do szczeliny; reszta grupa kilka metrów nad nimi, asekurując ich i o ile mieli szczęście, słysząc jej krzyki, trzymała linę i nie próbowała ich wyciągać, co mogłoby zakończyć się katastrofą. Val nie chciała nawet wołać, żeby się owiązali; kto wie, co by wtedy zrobili. Nie mogąc im zaufać, sięgnęła do swojego nosidła i wyciągnęła śrubę, wybiła dziurę w ścianie przed sobą, osadziła w niej śrubę i lekko przekręciła. Z aluminiowego cylindra poleciały drobiny lodu. Minęło przy tym sporo czasu i powoli stawało się jasne, że są nieodpowiednio ubrani; było tu chyba minus dwadzieścia i nie mogło ich ogrzać słońce ani rozgrzać wysiłek; poza tym spocili się z emocji. Szybko robiło im się zimno i dlatego ruchy Val stały się pospieszne. Musiała zastosować wariant operacji zwanej "Ucieczka z Niebezpiecznego Położenia" - standardową technikę radzenia sobie w szczelinie, jeden z tych pomysłowych manewrów górskich, które działały lepiej w teorii, niż w praktyce, a w praktyce lepiej niż w rzeczywistości niebezpiecznej sytuacji.

Śruba siedziała już w lodzie, Val przypięła się do niej karabinkiem i pętlą swojej uprząży, po czym lekko odchyliła się od ściany. Teraz oboje z Jackiem mieli dodatkowe zabezpieczenie w postaci śruby.

Z powierzchni dało się słyszeć więcej krzyków.

- Nic nam nie jest! - zawołała. - Śruby trzymają się mocno?

W dole usłyszeli wołanie Jima.

- Co mamy robić?

- Po prostu trzymajcie linę! - odkrzyknęła, zdjeta nagłym niepokojem.

- Owińcie się nią najmocniej jak możecie! - Choć nie miała na to ochoty, musiała pamiętać, że znalazła się na dole, a na górze zostali jej podopieczni, którzy często bywali bardziej niebezpieczni niż szczelina.

Przywiązała jeszcze jedną pętlę autoasekuracyjną do liny, po czym wsunęła w nią prawą stopę. Oparta się na pętli, składając się jak scyzoryk, odpięła swoją uprząż od śruby w lodzie i powoli wyprostowała się, przesuwając pętlę przypiętą do uprząży w górę, jak daleko mogła sięgnąć. Stojąc w dolnej pętli, zacisnęła górną i zawisła na niej uczepiona w pasie, a potem sięgnęła w dół i pociągnęła w górę liny dolną pętlę, nie wysuwając z niej stopy. Przez chwilę miała ochotę pociągnąć ją do punktu, w którym była górna pętla, ale znalazłaby się w tak niewygodnej pozycji maksymalnie zgiętego scyzoryka, że nie mogłaby oprzeć ciężaru ciała na nodze, by przesunąć górną pętlę. Musiała więc przesuwać kawałeczek po kawałeczku to jedną, to drugą pętlę; ciężka i mozolna praca, ale nie

tak ciężka, jeżeli miało się tyle praktyki co Val i nie pragnęło się wejść jak najwyżej w jak najkrótszym czasie.

- Jack, możesz się podciągnąć?

- Czekam tylko, aż zlejesz z liny - powiedział krótko.

- To zacznij już! - odparła ostro. - Trochę szarpania liną nie zrobi mi już krzywdy.

Niedługo potem dotarła do krawędzi szczeliny, a tamci na górze pomogli jej wydostać się na wierzch. Ostry blask słońca oślepił ją. Odpięła się od liny i poszła sprawdzić jej zamocowanie. Śruby tkwiły w miejscu jak gdyby nigdy nic. Rzeczywiście pancerne.

Potem przyszła kolej na Jacka, który sapiąc z wysiłku, zaczął wspinać się po linie, co wymagało szczególnej uwagi; musiał przyjmować niewygodne, akrobatyczne pozycje, kołysząc się cały czas w przestrzeni, jeżeli nie udało się utrzymać równowagi przy ścianie szczeliny. Jack zdaje się popełniał klasyczny błąd i próbował wspiąć się za wysoko za jednym przesunięciem pętli, nie opierał się też o ścianę. Bardzo długo wspinał się po linie, a kiedy wreszcie podciągnął się do miejsca, z którego reszta pomogła mu wyjść ze szczeliny, cały parował i miał ponurą minę.

- Dobrze - powiedziała Val, kiedy siedział już bezpiecznie na lodowej rampie. - Nic ci nie jest?

- Nic mi nie będzie, jak złapię oddech. Przeciąłem gdzieś rękę. - Pokazał im zakrwawiony wierzch prawej rękawicy, szokująco czerwony. Krew musiała płynąć dość obficie.

- Cholera - powiedziała, zgarnęła w dłoń garść firnu i podała mu. - Przyłóż to i trzymaj, zanim krwawienie się nie zmniejszy.

- Płoza sań mnie zahaczyła.

- Rany, blisko było!

- Bardzo blisko.

- Gdzie są sanie? - spytał Jorge.

- Na dole! - odparł Jack, wskazując szczelinę. - Blok nie zmiażdżył ich na miejscu, tylko wleciały do środka obok nas. Jak skoczyłem, pociągnąłem je za sobą.

- Dobra robota. - Val spojrzała na nich. - Wróć na dół i poszukam ich.

- Idę z tobą - powiedzieli chórem Jack, Jim i Jorge.

- Wszyscy możecie mi pomóc, ale najpierw sama zejść na dół i się rozejrzeć.

Wyjęła metalowy uchwyt do zjeżdżania, znany jako "kontroler lotów", i zaczepiła go na linie, a drugi koniec przypięła do swojej uprząży za pomocą dużego karabinka. Odchyliła się do tyłu, by zlikwidować luz w linie, po czym zaczęła się cofać w kierunku szczeliny, przesuwając przez "kontrolera lotów" linę, którą napinała ciężarem całego ciała. Pokonanie krawędzi szczeliny było dość skomplikowane; na samym brzegu musiała się przechylić do tyłu, przeskoczyć przez krawędź i wczepić się w ścianę zębami raków na podszwach, z wyprostowanymi nogami i ciałem ugiętym pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Lecz Val wiele razy wykonywała ten manewr i teraz, w chwili emocji, wykonała go niemal automatycznie. Potem zaczęła powoli przekładać linę przez otwór uchwytu, trzymając jedną rękę nad nim, a drugą popuszczając linę za sobą, by odrobinę zwolnić swój zjazd w głąb szczeliny.

W dół i w dół, w pozycji półleżącej, minęła śrubę, którą przedtem wkręciła, i sunęła dalej, w dół, prosto w błękitny chłód. Starła się skoncentrować na obecnej sytuacji, ale jej puls był szybszy niż mógłby to usprawiedliwić wysiłek; zorientowała się, że jakaś część jej umysłu dokonuje przeglądu zestawów awaryjnych, jakie wszyscy uczestnicy wyprawy mieli zainstalowane w ubraniach. Odsunęła jednak wszystkie rozprasające ją myśli, bo teraz nie było z nich żadnej korzyści.

Zaraz za występem w szczelinie, który zasłaniał widok z góry, znajdowało się jakieś dno. Lina

prawie się już skończyła, a ona głupio nie zawiązała na końcu ósemki, co dowodziło, że po prostu nie myśli. Ale liny wystarczyło do samego dna, po którym dało się chodzić, choć było raczej strome; nigdzie nie spostrzegła sań, tylko wszędzie mnóstwo kawałków połamanych bloków lodu, których ślad prowadził dalej w głąb szczeliny; zawołała w górę, że schodzi z liny, odpięła się i ostrożnie zaczęła iść przez zasy śniegu i lodu, wypełniające obszar, w którym przecinały się ściany szczeliny - dno w ogóle nie było płaskie, ale miało kształt litery V albo U, albo W, a pochyłe podłoże pokrywały zwały. Nie miała też żadnej pewności, czy nie jest to fałszywe dno - rodzaj wąskiego mostu śnieżnego, pod którym czai się kolejna otwarta szczelina; zostałaaby na linie, gdyby miała jej więcej. Teraz jednak posuwała się ostrożnie, przylepiona do ściany szczeliny, wbijając w nią szpic czekana i dokładnie sprawdzając teren przed każdym krokiem w nadziei, że dno nie zarwie się pod jej ciężarem.

Weszła pod most śnieżny, który zauważyła jeszcze z góry i szczelina zmieniła się w błękitny tunel. Ruszyła w głąb tego tunelu. Czasem nad głową miała lodowy sufit, czasem most śnieżny, którego dolną część okrywały wielkie kalafiory z kryształków lodu, lśniące białym światłem. Widok od dołu mógł jej uzmysłwić, dlaczego mosty śnieżne nad szczelinami są tak niebezpieczne - miały słabą konstrukcję, a przepaść pod nimi była potwornie głęboka. Dlatego przed wejściem na podobną przeprawę ludzie wiązali się linami.

Tunel skręcał pod pewnym kątem i obniżał się, przechodząc w znacznie większe pomieszczenie. Val szła dalej.

Ta nowa przestrzeń pod lodem była naprawdę duża i miała o wiele głębszą niebieską barwę niż wszystko to, co Val dotychczas widziała; rozpraszanie Rayleigha światła słonecznego osiągało fazę, w której na tę głębokość docierało tylko najbardziej niebieskie światło, oblewając wielką lodową komnatę gęstą, półprzezroczystą poświatą barwy turkusa, a właściwie nienazwanego błękitu, jakiego nigdy przedtem nie widziała. We wnętrzu tej przestrzeni panował fantastyczny bałagan. Odłupane ze ścian w całości istne kolumny bladoniebieskiego lodu leżały w poprzek dna komnaty, niczym złamane filary w zawalonej świątyni. Ściany popękały, tworząc olbrzymie, półprzezroczyste płaszczyzny; wszystko było tu wielkie i wydłużone - jak gdyby Bóg zajrzał do jaskiń w Carlsbadzie* i innych jaskiń wapiennych na całym świecie, po czym stwierdził: "Nie, to nie to, za ciemno, za ciasno, za ciężko, chcę czegoś jaśniejszego i lżejszego", po czym stuknął Swoim Palcem w wielki lodowiec i w lodzie pojawiły się te ogromne bańki, przy których wapienne jaskinie wydawały się prostackie i prymitywne. Oczywiście lodowe komnaty takie jak ta miały o wiele krótszy żywot niż normalne jaskinie, lecz ta sprawiała wrażenie, jakby istniała od dawna, może nawet od lat, trudno powiedzieć. Wszystkie ostre brzegi wygładziły się i zaokrągliły w wyniku sublimacji lodu w wyjątkowo suchym powietrzu, strzaskane bryły przypominały więc kawałki błękitnego szkła, przyniesionego przez fale morza, błyszcząc się, jakby topniały, choć przecież temperatura utrzymywała się sporo poniżej zera.

Val oczarowana weszła do tej komnaty. Rozbita katedra z gigantycznych kolumn z niebieskiego szkła; pokój tysiąca kształtów; wszystkie w barwie błękitu, którego nie sposób nazwać i który ledwie można było objąć umysłem, kiedy zalewał oczy powodzią błękitu, oślepiając przybysza.

* Carlsbad Caveras - park narodowy w pd.-wsch. części Nowego Meksyku, USA; złożony z wapiennych jaskiń.

Val wpatrywała się w komnatę jak urzeczona, starając się wchłonąć obraz, zdając sobie sprawę, że jest to zapewne jeden z najpiękniejszych widoków, jakie miała w życiu zobaczyć - nieziemski, surrealistyczny - wstrzymywała oddech, policzki jej płonęły, czuła mrowienie na plecach; wszystko z powodu tego widoku.

Lecz nigdzie nie było sań. Z tyłu, przy wejściu do błękitnej komnaty, widniała wąska szpara,

prowadząca w przeciwną stronę i niewiele szersza od sań; spoglądając w głąb otchłani jeszcze ciemniejszego błękitu, Val zobaczyła smugę białego śniegu i odłamków lodu, a dalej zarys sań, zaklinowanych między ścianami lodu ze sto stóp niżej; trudno było ocenić odległość, ponieważ szczelina ciągnęła się jeszcze głębiej, przechodząc w ciemny granat. Nie było sposobu, żeby zejść w dół i wrócić na górę; nawet gdyby Val to zrobiła, sanie i tak utknęły na amen, zakleszczone w lodzie. Chyba uderzyły przy tym w ścianę, otwierając się, więc ich zawartość wysypała się jeszcze niżej. Koniec. Mogli się pożegnać z saniami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

TARAPATY

Wade przespał cały lot do obozu na Lodowcu Shackletona, a potem krokiem lunatyka przeszedł z herculesa do helikoptera, w którym znów zapadł w sen. Kiedy się obudził, odkrył, że wisi w plastikowej bańce Squirrela nad górną częścią Lodowca Shackletona. Lód szerokim łukiem zakręcał w stronę morza, a ze wszystkich stron wpadały doń mniejsze strumienie lodu, niczym rzeczne dopływy, lecz zamiast zawirowań i skrzyżowanych prądów rzecznych, w punktach, gdzie łączyły się lodowe prądy, tworzyły się zmarszczone smugi szczelin lub całe połączenia turkusowego lodu, zmiażdżonego na szerokie ostrza.

Nowozelandzki pilot helikoptera pokazał jedno z takich miejsc.

- Widział pan kiedyś takie coś z bliska?

- Nie.

Maszyna zapikowała w dół jak trafiony pociskiem ptak, przechylając się w lewo, potem do przodu i kreśląc w powietrzu spiralę. Wade zacisnął zęby.

Ci piloci z antypodów byli straszni, jak się przekonał już podczas lotu z Christchurch. Młodzi Amerykanie, pracujący jako piloci dla ZLA, prowadzili swoje wielkie maszyny niczym powietrzne ciężarówki i robili na nim wrażenie, tak jak dobrzy kierowcy ciężarówek; ale Nowozelandczycy, starsi i bardziej doświadczeni, latali jak gdyby helikoptery były jeszcze jedną częścią ich ciała. Pilot z beztrąską miną pozwolił maszynie opadać niczym wielkiej ważce, aż zawisała nad aleją między ogromnymi serakami, które wyglądały jak lodowe drapacze chmur; Wade był wstrząśnięty ich rozmiarami - z wysokości tysiąca stóp wszystkie bloki wydawały się niewysokimi zmarszczkami na powierzchni lodu.

Pilot poderwał śmigłowiec i bez słowa leciał dalej. Z wysokości pola szczelin znów wyglądały jak kostki lodu; lecz teraz, znając ich prawdziwe rozmiary, Wade odzyskał poczucie skali, jak niektórzy odzyskują słuch po wyrównaniu ciśnienia na wysokości, i zrozumiał, że lodowiec oraz otaczające go góry są gigantycznych rozmiarów. Helikopter leciał wzdłuż tego ogromu z bzykiem, jak pszczołka przez zimowy kanion. Duża planeta.

Przed nimi pojawiła się rudawa wyspa. Przez dolny odcinek najdalej wysuniętego grzbietu przelewała się fala lodowca i opadała w stronę mniej więcej wypełnionej skalnej misy, której nie mogła jednak dosięgnąć. Mijając wysepkę. Wade zobaczył płaskowyż polarny, ciągnący się w nieskończoność na południe. Na najbardziej na południe wysuniętym punkcie wyspy przycupnęła grupka zielonych, prostokątnych dachów, które przypominały domki z "Monopolu". Zawrót głowy od zmieniającej się skali: patrzył na niknące w oddali maleńkie budowle jak na przelatujące owady; nunatak stawał się coraz mniejszy i bardziej odległy, aż znaleźli się nad płaskowyżem i jak okiem sięgnąć był tylko lód, a świat powiększył się do rozmiarów Jowisza albo Słońca. Potem śmigłowiec znów zaczął się obniżać. Lądowali na lodzie.

Kompleks budynków, nad które zeszli, był oczywiście większy niż wyglądało to z góry. Kiedy Wade wysiadał z helikoptera, budynki zdawały się opuszczone, jak zwykle na Antarktydzie; wszyscy siedzieli w środku. Pusty kontynent.

Po chwili otworzyły się jedne z drzwi i wyłonił się zza nich człowiek, którego Wade spotkał w McMurdo, na Wzgórzu Obserwacyjnym. Wydawało się, że to całe wieki temu; w rzeczywistości minęły niecałe dwa tygodnie.

- Cześć! - odezwał się Wade.

Iks przyjrzał mu się bliżej i też go poznał.

- Cześć. Witamy na lodzie.

Wade skinął mu głową i rozejrzał się po zalanej jasnym światłem okolicy. We wszystkie strony aż po horyzont ciągnął się gładki, płaski lód; pod tym względem owo miejsce bardzo przypominało biegun. Delikatny wietrzyk przeszył go chłodem do szpiku kości. Główny budynek kompleksu był małym kontenerem zaopatrzonym w te same drzwi do mięsnej chłodni, co większość budynków; stał za czymś podobnym do wieży wiertniczej, spoczywającej na szerokich pontonach, które od strony południowej były lekko przysypane śniegiem. Do zwykłych, "chłodniczych" drzwi prowadziły schodki z metalowej kratownicy i obaj mężczyźni, rozejrzawszy się trochę wokół, weszli do środka.

Wnętrze pokoju przypominało mostek na niewidzialnym statku; wzdłuż ścian stały konsole jakiejś nieznannej maszynerii. Z tej wysokości na lodowej równinie można było dostrzec szerokie przestrzenie płytkich basenów i niskich wzniesień.

- Ładnie - powiedział Wade.

- Tak - odparł Iks i zawołał do kogoś w pokoju obok. Wszedł jakiś mężczyzna. - To Carlos, szef całej grupy.

- Miło mi - rzekł Wade do brodacza. Podali sobie ręce.

- Mnie też - odparł Carlos. - Cieszę się, że przyjechałeś. Chodźmy na jakiś lunch, a potem pokażę ci parę miejsc.

- Chętnie.

Na lunch składał się pikantny chilijski gulasz z ostryg i małży. W pokoju byli jeszcze inni ludzie - Latynosi i Afrykanie - którzy jedli gulasz i rozmawiali po hiszpańsku albo angielsku. Potem wyszli razem, kierując się do warsztatu maszynowego, a Carlos, Wade oraz Iks usiedli przy stole laboratoryjnym pod jednym z okien na końcu budynku i rozmawiali, spoglądając przez okno. Wade opisał charakter swojej misji na Antarktydzie i opowiedział o tym, czego udało mu się dowiedzieć na biegunie i w McMurdo. Carlos kiwał głową, po czym wyraził swój podziw dla Phila Chase'a.

- Jest teraz kimś bardzo ważnym, bardzo ważnym.

Wade zapytał:

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeżeli transmitowałbym mu naszą rozmowę? Jestem pewien, że chciałby posłuchać.

- Jasne, nie ma sprawy.

Wade wcisnął guzik na swoim ręcznym telefonie z zakodowanym numerem senatora w nadziei, że u Chase'a nie jest teraz środek nocy; albo że trafi na jego kolejną bezsenność. Nocne głosy: tak właśnie Phil spędzał wiele bezsennych godzin.

- Po pierwsze - rzekł Wade - czy wasz poduszkowiec był kiedyś na biegunie, z wami w środku albo prowadzony przez kogoś innego?

Na twarzy Carlosa odbiło się zdumienie.

- Na biegunie? Przecież to ponad dwieście kilometrów stąd.

- Poduszkowiec nie mógłby tam dotrzeć?

- Na jednym tankowaniu nie.

- A po drodze nie mogłoby być składów paliwa?

- No tak, przypuszczam, że to możliwe. To znaczy są, przy naszych stacjach w terenie. Ale wszystkie znajdują się w basenie pod lodem, gdzie prowadzimy poszukiwania, w Kotle, jak go nazywamy. Nie zapuszczamy się za daleko w stronę bieguna.

- A nikt inny nie korzystał z poduszkowca?

- Nie ma mowy.

Wade kiwnął z namysłem głową.

- Opowiedz mi coś więcej o tym miejscu.

Carlos opisał prace prowadzone na stacji, podkreślając ich rozpoznawczy charakter, wykorzystanie mechanizmów zabezpieczających i fakt, że w tym miejscu głównym celem wydobywania jest uwodniony metan, który można wykorzystać jako paliwo, zamiast pozwolić mu ulotnić się do atmosfery, co w rezultacie może pomóc w walce z globalnym ociepleniem. Wymienił odpowiednie punkty zawieszonego Traktatu Antarktycznego i wyjaśnił, że w istocie podporządkowują się tym zapisom: "zwłaszcza teraz, kiedy dokonujemy odwiertów głównie dla celów naukowych".

Wade słuchał go, kiwając głową, po czym powiedział:

- To bardzo ciekawe, ale zgodzisz się ze mną, że wasz projekt spotyka się z oporem i krytyką.

- Natury politycznej.

- Ale też ze strony niektórych naukowców z Antarktydy. Jeżeli naprawdę projekt jest taki bezpieczny i korzystny, to dlaczego mu się sprzeciwiają?

Carlos przewrócił oczami.

- Na nieszczęście jest wielu naukowców, którzy z nauką nie mają nic wspólnego. Niedobrych naukowców, jeśli chodzi o cokolwiek spoza ich dziedziny. To część ogólniejszego kryzysu nauki na świecie, który polega na rozwiązaniu kwestii, jak naukowiec ma się zachować w świecie poza własną dziedziną. Mam nadzieję, że jesteś tu na tyle długo, by zauważyć, że całym kontynentem rządzą naukowcy i robią to przede wszystkim z myślą o własnych korzyściach. Dostają pieniądze od swoich rządów, przyjeżdżają tu i jak dotąd jedyny eksport z kontynentu to prace naukowe. Można powiedzieć, że to wiedza, ale przede wszystkim artykuły, kariery, źródło utrzymania.

Iks skwapliwie przytakiwał słowom Carlosa i Wade spojrział na niego zachęcająco, żeby wyjaśnił, dlaczego.

- Tak to właśnie wyglądało w McMurdo - powiedział Iks. - Utopia jajogłowych. Inni ludzie są tu po to, żeby naukowcom żyło się łatwiej i żeby mieli więcej wolnego czasu, a sami mają tylko zarabiać na życie. To system kastowy.

- Otóż to - przytaknął Carlos. - Większość naukowców analizuje życie naukowo i dochodzi do wniosku, że naprawdę potrzeba im tylko tyle, ile jest niezbędne, a uganiecie się za pieniędzmi ponad podstawowe potrzeby jedynie ich poniża. Tak więc to wcale nie przypadek, że bogacze często są głupi albo szaleni, a naukowcy to ludzie inteligentni, którzy stworzyli swoją utopię, kierując wysiłki w stronę zdobywania wiedzy zamiast pieniędzy. Mają świadomość, że wiedza może stać się władzą, a nauka u władzy oznacza, że to oni mogą wszystko kontrolować. Nawet świat polityki, ale bez potrzeby zwracania sobie głowy samą polityką. Po prostu doradzają decydentom, co można zrobić, co należy zrobić i proszą ich o pieniądze, a potem wyjeżdżają, gdzie chcą i robią, co chcą.

- Twierdzisz, że naukowcy nie rządzą tylko na Antarktydzie, ale na całym świecie? - spytał Wade.

Carlos wstał i zabrał ich talerze, żeby nałożyć po jeszcze jednej porcji.

- Tak jest! To ilustruje ważną dla mnie zasadę: cokolwiek jest prawdą na Antarktydzie, jest prawdą wszędzie indziej. Ale na Antarktydzie nie ma... - wskazał przez okno gładką powierzchnię lodowej równiny - nie ma nic, co mogłoby odwracać uwagę. Żadnych drzew, tablic reklamowych. Jak na dłoni widać, co jest prawdziwe. Jeżeli więc tym kontynentem rządzą naukowcy tak jak im wygodnie, można mieć pewność, że tak samo dzieje się na innych kontynentach.

- No tak, ale... - Wade miał wątpliwości. - Nie wiem, nie przyzwyczałem się myśleć o naukowcach jako ludziach u władzy. Nie sądzę, żeby większość z nich zgodziła się z takim twierdzeniem. Wątpię, czy nawet by tego chcieli.

- Ależ nie w sensie dosłownym! Oczywiście, że nie! Kto by tego chciał, to przecież taki bałagan! Politycy... - spojrzał na Wade'a, wznosił dłoń w geście, który mówił: "No sam powiedz". - Żaden rozsądny człowiek nie chciałby się w to pakować, z przeproszeniem senatora Chase'a. To przecież gwałci zasadę podstawowej niezbędności. A kto twoim zdaniem rządzi światem?

- Rządy - odparł Wade.

- W porządku, ale nie sami politycy. Cały rząd.

-Tak.

- Czyli ty sam. Wyjaśnię, o co mi chodzi. Politycy są wybierani i mają swoich ludzi, którzy wiedzą, jak działać w systemie. Kiedy chcą coś zrobić, pytają ludzi ze swojego sztabu, jak to zrobić i jeżeli sztabowi podoba się projekt, mówią politykowi jak, a jeżeli im się nie podoba, to go obalają.

- Tak, panie ministrze - odezwał się Iks. - Świetne widowisko.

Wade musiał się zgodzić.

- Naturalnie mam pełną władzę nad swoim politykiem - powiedział wyraźnie do telefonu. - Sir Humphrey nic do mnie nie może mieć.

- Ale gdy podejmujesz decyzje - rzekł Carlos - z kim je konsultujesz?

Jesteś biurokratą?

- Nie, niezupełnie.

- Bo biurokrata to tylko funkcjonariusz, który nie ma wpływu na politykę?

- Zgadza się.

- A technokraci? A sztab naukowców, którzy mówią politykom, co jest fizycznie możliwe, a co nie? Jesteś technokratą?

- Być może - powiedział Wade. - Ale zwykle nie. Mam pewną wiedzę, jak przypuszczam, ale nie jestem naukowcem.

- A więc biurokratą! Albo asystentem czy doradcą politycznym.

Wszystko jedno. Wróćmy do rządu, jak wspomniałeś na początku. Podejmujesz decyzje, konsultując je ze sztabem technicznym, z technokratami, którzy z kolei podejmują decyzje, konsultując je z ciałami naukowymi, z naukowcami. Czyli to naukowcy pociągają za sznurki!

Iks i Wade spojrzeli na siebie skonsternowani.

- Właśnie przekroczyliśmy zdolność nośną Ziemi - ciągnął Carlos, podając im pełne talerze. - Mamy o dwa albo trzy miliardy ludzi więcej niż da się utrzymać. Poza tym mamy globalne ocieplenie i złą pogodę. To wyjątkowa sytuacja. Rządy muszą nas przeprowadzić przez ten trudny czas w historii, jeżeli chcemy uniknąć wielkich katastrof. Ale jak to zrobić? Kto im powie, jak to zrobić?

- Jajogłowi - powiedział Iks.

Carlos skinął głową.

- Ale oni nawet nie próbują! - sprzeciwił się Iks. - Mają swoją utopijną wyspę, jak mówisz, przyjeżdżają tu i gdzie indziej i włączają się w terenie albo ślęczą w laboratorium i robią swoje. Z tego, co widzę, nie robią nic, żeby ratować świat. Są częścią maszyny kapitalizmu.

- I tak i nie - powiedział Carlos. - Kapitalizm to dominujący układ ekonomiczny, który dąży do podporządkowania sobie wszystkiego innego i chce wszystko ujarzmić. Ale jest system, którego kapitalizm nie może podporządkować - nauka. Te dwa systemy nie zgadzają się ze sobą i jeden próbuje pokonać drugi. To wielka wojna naszych czasów!

- Kapitalizm kontra nauka? - zapytał z powątpiewaniem Wade.

- Tak jest. Najpierw toczyła się wojna kapitalizm kontra socjalizm, potem kapitalizm kontra demokracja, a teraz na placu boju została nauka! Zresztą sama nauka, będąca stroną konfliktu, jest podatna na korupcję. Ale w gruncie rzeczy, jak naukowiec mówię ci, że to utopia. Nauka stara się

stworzyć utopię wewnątrz samej siebie, według naukowych zasad organizacji, próbując wywierać wpływ na cały świat i pchając go w utopijnym kierunku. To prawda! - krzyknął, widząc sceptyczne miny kolegów. - Widziałeś tę książkę? - Przechylił się przez stół i spod sterty brudnych naczyń wyciągnął książkę. - Znacie to? To hiszpańska wersja, napisana przez Chilijczyków. "Los Elementos Eticos Politicos y Utópicos Incorporados en la Estructura de la Ciencia Moderna". Niedawno przetłumaczono ją oczywiście na angielski, bo przecież to najważniejszy język nauki. "Pierwiastki etyczne, polityczne i utopijne w strukturze współczesnej nauki". Książka wzbudziła wielkie emocje i wywołała prawdziwą rewolucję w kręgach naukowych. Wyraźnie pokazuje, że to co uważamy za neutralną i obiektywną naukę, w rzeczywistości jest utopijną polityką i gotowym światopoglądem. Duża część jest poświęcona historii; opisuje rozwój nauki i dowodzi, że nauka sama potrafi się organizować i aktualizować, stale się ulepszając, żeby być bardziej naukowa, co jest jedną z jej naczelnych zasad. Środkowa część wykazuje, że różne przejawy działalności naukowej, metodologii i tak dalej są w istocie deklaracjami etycznymi. Takie rzeczy jak odtwarzalność, ekonomia myślenia - brzytwa Wilhelma Ockhama - czy recenzje innych naukowców - prawie wszystko, co nauce nadaje naukowy charakter, to utopia. Ostatnia część mówi o konsekwencjach tego zjawiska; wyjaśnia, jak powinni się zachować naukowcy, kiedy to wszystko sobie uświadomią. Ta książka stała się prawdziwym podziemnym bestsellerem! Krąży z laboratorium do laboratorium, czytają ją młodzi doktoranci i poważni naukowcy, którzy jeszcze myślą - wszyscy! Moim zdaniem to jest prawdziwa przyczyna niedawnej eksplozji nowych technologii, tak zwanej rewolucji materiałowej, ruchu proekologicznego, powrotów do kultury pierwotnej, wszystkich ruchów i prądów naukowych, połączonych oczywiście wspólną filozofią tej książki!

- Chciałbym to przeczytać - powiedział Iks, sprawdzając niecierpliwie, czy książka jest w jego spisie elektronicznym.

- Ja też - dorzucił Wade.

Carlos skinął głową.

- Powinna być w większości elektronicznych bibliotek, takich jak ta Iksa, chyba że trafi się na starą, której się nie uzupełnia. Tłumaczenie ma około pięciu lat. W każdym razie podałem wam utopijny opis sytuacji. W rzeczywistości jest mnóstwo naukowców, których nie interesują przyczyny, dla których robią to, co robią. Dlatego są złymi naukowcami. Ze złą pracą można się spotkać wszędzie, w każdej dziedzinie. Widzisz, tu też trafiają się naukowcy przyzwyczajeni do starego myślenia, panującego wówczas, kiedy wprowadzano tu techniki i rozmieszczano urządzenia niebezpieczne dla środowiska. Na przykład reaktor atomowy, przywieziony przez amerykańskich naukowców do McMurdo.

- Reaktor atomowy? ~~ zdziwił się Wade.

- Już go nie ma. Zniknął razem z wielkim kawałem Wzgórza Obserwacyjnego, który został skażony. Sto tysięcy ton ziemi wywieziono do składowiska odpadów nuklearnych w Karolinie Południowej. Nazywają je Południowe Atomowisko.

- Jeśli przyłoży się dozymetr do niektórych miejsc, ciągle można jeszcze usłyszeć sygnał - potwierdził Iks. - Niektórzy ludzie robili tak dla zabawy.

- Dla zabawy? - zapytał Wade.

- W McMurdo - wyjaśnił Iks.

- Tak czy inaczej - powiedział Carlos, zabierając puste talerze i ustawiając je na wąskiej półce - jeżeli więcej ludzi zrozumie, co tutaj robimy - włączając wysoki współczynnik bezpieczeństwa - zrozumie potrzebę przechwycenia jak największej ilości metanu, zanim przedostanie się do atmosfery i dołączy do cieplarnianych gazów - jeżeli zrozumieją rozpaczliwą potrzebę energii w krajach

konsorcjum - wszystkie te głosy protestu ucichną. Tymczasem - uśmiechnął się, wskazując drzwi - coś ci pokażemy.

Hej, jesteście tam, odbiór?

Jesteśmy.

Wszystko gotowe?

Wszystko gotowe. Sprzęt na miejscu, nawiązaliśmy kontakt z przyjaciółmi, którzy usuną cały personel z czynnych miejsc. Są na stanowiskach, więc możemy przystąpić do realizacji planu.

Świetnie. Mają namiary na wszystkich?

Tak. Wszyscy są w swoich obozach.

Super. Dobra, przechodzimy do planu. A potem życzę wszystkim miłej drogi do domu i pamiętajcie, żadnych rozmów. Ekoradykalizm, nie egoradykalizm. Prawdopodobnie to nasza ostatnia okazja do wspólnego kontaktu, chcę więc wszystkim powiedzieć, że miło było z wami pracować.

Z tobą też.

Z tobą też.

Bez odbioru.

Na dworze Iks i Carlos przygotowywali do drogi skutery śnieżne. Obserwując ich, Wade ponownie zadzwonił do Phila Chase'a.

- Słyszałeś coś z tego, Phil?

- Słyszałem. Spałem, kiedy zadzwoniłeś i potem od czasu do czasu trochę przysypiałem, ale trzymałem telefon przy uchu. Usłyszałem ciekawe rzeczy. Miałeś rację z tym sir Humphreym. Chcę przeczytać tę książkę. Brzmi niezłe. Dobrze by było, gdyby to, co mówił ten facet, okazało się prawdą. Ale chyba nie bierze pod uwagę prawdziwej władzy władzy. Wszyscy pod stołem mają naładowane spluwy, Wade. W ciele społeczeństwa tkwi rak, a komórki guza to mózgi tych cholernych szefów Gotterddmmerung, którzy kierują ruchem samolotów nad przepaścią, a sami lecą na swoje wyspy na Karaibach. Chciałbym opracować jakąś nową chemoterapię... to może wyglądać jak coś w rodzaju "Głowy do wycierania". - Połączenie zerwało się albo Phil zasnął.

Iks i Carlos byli gotowi do drogi; Wade przeszedł krótki, trwający minutę kurs prowadzenia skidoo, małego skutera, zaopatrzonego w jedną szeroką płożę z przodu. Wkrótce ruszyli, jadąc gęsiego przez białą płaszczyznę; Wade jechał w środku. Nigdy przedtem nie jeździł skuterem śnieżnym, ale stosunkowo łatwo sobie radził, bo gaz miał w uchwycie kierownicy, która była taka sama jak w rowerze. Czuł się, jakby dosiadał wielkiego, niezgrabnego i zbyt szerokiego harleya davidsona; takie miał wrażenie, ponieważ nigdy też nie siedział na motorze. Utrzymanie równowagi nie sprawiało mu żadnego kłopotu, z wyjątkiem rzadkich przechyłów na zagłębieniach, których na początku nie zauważał i reagował na nie nerwowym szarpaniem pojazdu w przeciwnym kierunku.

Jednak ogólnie rzecz biorąc, podróż nie wymagała prawie żadnego wysiłku, zwłaszcza gdy rozluźnił kurczowy uścisk na uchwytach kierownicy, które były ogrzewane. Obie dłonie i nadgarstki miał wprawdzie otulone w pożyczone olbrzymie rękawice, zwane "łapami niedźwiedzia", lecz gdyby nie ogrzewana kierownica, czułby chłód.

Po kilku minutach jazdy po białym firnie poczuł, że może już oderwać wzrok od pleców Carlosa i trochę się rozejrzeć. Po lewej horyzont przecinała grzebieniasta grań czarnych skał. Carlos jechał trasą wyznaczoną przez ledwie widoczne zielone chorągiewki, słabo powiewające na bambusowych tyczkach. Przy jednej z nich zwolnił, skręcił w lewo i dodał gazu, kierując się w stronę innego pasma górskiego, które wyłoniło się wprost przed nimi.

Gdy się zbliżyli, Wade zobaczył więcej szczegółów, brązowoczarna ostroga skalna, pokryta poziomymi bruzdami, wyraźnie odcinająca się od białej równiny. Góra zakopana po szyję w śniegu.

Podjeżdżając jeszcze bliżej, Wade zobaczył, że skała rozerwała lód wokoło, tworząc kręgi zamrożonych wirów i coś na kształt zamrożonych fal przyboju, zastygłych na zawsze tuż przed uderzeniem w niższy stok skalnego klifu.

Zatrzymali się przed tym miejscem lodowego zawirowania i Wade ściągnął "łapę niedźwiedzia", by spojrzeć na swój ręczny GPS. Wyglądało na to, że są w Basenie Mohna; skalna ostroga okazała się być Cyplem D'Angelo; za nim wznosił się czarny wierzchołek Mount Howe. Lód między dwoma nunatakami pokryły pęknięcia i bruzdy, tworząc całe metropolie błękitnych bloków. Carlos znowu ruszył, kierując się w stronę jednego z tych spękanych miejsc; manewrował, kreśląc wielkie łuki, aż wjechał wprost w szeroko otwarty lodowy wąwóz. Z jednej ściany zwieszały się lśniące błękitem seraki; nad nimi wznosiła się wysoko czarna skała.

niebieskie niebo czarna skała niebieski lód Na szczęście Carlos zatrzymał się w tym miejscu powiększającej się rozpadliny i wyłączył silnik skutera. Iks i Wade zrobili to samo. Nagle ogarnęła ich cisza tak zupełna, że zdawała się dźwięczeć.

Z wyjątkiem jednego dźwięku; wśród lodu szumiął lekki wiatr. Kompozytorem nadwornym tego kontynentu powinien być Debussy, pomyślał Wade. Debussy albo Satie, albo Sibelius, mistyczna dusza śnieżnej Finlandii. Sibelius mógłby pisać muzykę tej ziemi, a Dali malować jej obrazy. A może Escher. Albo Rockwell Kent, albo kanadyjska Grupa Siedmiu, albo Nisbet z Antarktydy. Niewielu potrafiłoby to uchwycić. Pusty błękit nieba. Dziwnie tu było.

Iks i Carlos podeszli do Wade'a; Carlos pokazał mu wielki blok śniegu.

- Widzisz to?

Wade wpatrzył się w biały śnieg.

-Co?

Zaśmiali się.

- Chodźmy.

Szli po firnie, który nie ugiął się pod stopami, nie zostawiali więc na nim śladów. Gdy byli blisko lodowej ściany, Carlos znów pokazał bryłę.

- A teraz widzisz?

Wade przyjrzał się uważniej. Na białym tle zarysował się jakiś kształt.

Nagle pojął, o co im chodzi; a właściwie zobaczył, tak jak nieoczekiwanie wyłania się rysunek z trójwymiarowej gmatwaniny linii: białe metalowe pudło na gąsienicach, podobne do starych hagglundów, które widział w McMurdo, ale trochę mniejsze; ledwie siedem czy osiem stóp wysokości.

Żeby wejść do środka, trzeba by się skulić - Rany - powiedział Wade.

Podeszli bliżej. Boki pojazdu pokrywał szron i naniesiony wiatrem śnieg, ale pod spodem widać było białą farbę. Gąsienice spoczywały na małych metalowych kołach zębatych. Wszystko pomalowane na biało, tak jak kabina.

Trzej mężczyźni stali na wprost pojazdu. Iks mógł zajrzeć do środka przez wybite okno.

- Co to jest?

Carlos i Iks spojrzeli na niego.

- Sporo czasu zajęła nam odpowiedź na to pytanie __ rzekł Carlos. - Znaleźliśmy go tutaj zupełnie przypadkowo, ustawiając w zeszłym toku sieć geofonów. Przecież to daleko od uczęszczanych miejsc Amkanie nie zgubili żadnego ciągnika, w każdym razie jeszcze nie wtedy Tak czy inaczej, to weasel wyprodukowany w Anglii w latach pięćdziesiątych Weasela miała grupa Edmunda Hillary'ego w wyprawie ciągnikami na biegun w 1958 roku. Większość z nich to były fergusony, ale mieli jednego weasela, którego zajeździli tak, że się rozleciał, a potem zostawili go na

płaskowyzu.

- Ale...

- Pewnie musiał być zupełnie zasypany. Być może z dziesięć metrów pod lodem i daleko na płaskowyzu, tam gdzie przez setki kilometrów nie ma nic.

- Rany. Kto go mógł znaleźć?

Carlos wymownie wzruszył ramionami.

- Ktoś z wykrywaczem metali - powiedział Iks.

- I z buldożerem - dodał Carlos.

- I nowymi świdrami do lodu.

- I znający szlak Hillary'ego - zasugerował Wade.

- To akurat najprostsze - rzekł Carlos. - Hillary napisał książkę o swojej wyprawie.

- Nigdy nie słyszałem o jego ekspedycji - wyznał Wade.

- A kto słyszał o czymś podobnym? Jechać ciągnikami na biegun południowy?

- Trudna droga - zauważył Iks.

- Tak, ale jaki w tym sens? Siedzisz sobie na fotelu kierowcy, starasz się, żeby ci było ciepło i uważasz na szczeliny.

- Trudna droga.

- Ja myślę. Ale to nie najlepszy sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Moglibyśmy pojechać na biegun na tych skuterach, nie? I co z tego?

- Możemy zajrzeć do środka? - zapytał Wade.

- Jasne. - Carlos podszedł do drzwi kabiny i nacisnął klamkę - zamka nie było - po czym otworzył cienkie metalowe drzwi. Weasel nie wyglądał na ciepłe schronienie. Pudełko z cienkiego metalu, prymitywne urządzenia sterujące, ławki wzdłuż boków. W środku można było chyba wytrzymać tylko przy rozgrzanym silniku.

- Ktokolwiek go wykopał, nie zawracał sobie głowy odnowieniem - zauważył Wade, przesuując dłonią po drewnianej ławce.

- Nie. Chyba z wyjątkiem malowania. Nie ma jednak żadnej wskazówki, kto to mógł być. Jak gdyby do czegoś go wykorzystali i potem porzucili.

- Albo ukryli - rzekł Iks.

- Być może. W każdym razie jest tutaj.

- Na chodzie?

- Tak. Pół baku benzyny.

- Ulatnia się przez korek wlewu - powiedział Iks. - Nie tak dawno mógł być pełen.

Wyszli z cienia z powrotem w oślepiający blask słońca. Okulary Wade'a znów zaczęły działać na pełnej mocy; wciąż pusty lodowy pejzaż i czyste, błękitne niebo. Weasel Hillary'ego stał na tle lodowej ściany - biała osobliwość, wyglądająca zupełnie nie na miejsce, jak człowiek prehistoryczny, odkryty w śniegach Austrii. Wyrzucony przez lód na powierzchnię.

Albo wykopany. Ktoś tu grasuje, pomyślał Wade. Ktoś, kto lubi ratować strzępki przeszłości. Wyciąga stare, jeszcze przydatne urządzenia i sprawdza, czy są na chodzie. Być może porzuca je, kiedy się okazuje, że nie działają i zostawia na widoku, niczym eksponaty w muzeum albo w galerii sztuki pod gołym niebem. Wszystko jedno. Potrząsnął głową i dosiadł swojego skidoo.

Jechali na skuterach, wracając po swoich śladach; w pewnym momencie skuter Wade'a przechylił się i gwałtownie skręcił; Wade pociągnął go lekko, od niechcienia i skidoo wrócił w swoje koleiny. Zdał sobie sprawę, że pojazd się nie wywróci, choćby robił wszystko, by do tego doprowadzić. Teraz nie myślał o wszystkich troskach i tajemniczych wydarzeniach, lecz po prostu

cieszył się z tego, że przemierza śnieg na samym dnie świata, jadąc wielkim motocyklopodobnym pojazdem, wspaniałym okazem techniki antarktycznej, który sam nadawał się do muzeum albo galerii sztuki. Nucił sobie jakąś melodię Wagnera, którą nazwał "Jazda Valerie", bo znów myślał o tej dziewczynie. Lubiła drogę i pewnie czuła się w górach tak samo jak on tutaj. Żyła dla tego uczucia. Entuzjazm to piękno! I te dalekie, niskie góry, czarne na białym horyzoncie, i to niebo! Wade'a ogarnął euforyczny nastrój; jechał po lodzie, nucąc Wagnera, co było słychać przez gęstą tkaninę kominiarki.

Takie chwile są ulotne. Zastanawiał się, w jakim stopniu jego eufonia wynika z warkotu pędzącego skidoo: na ile jest to zachwyt techniką, a na ile pięknem samej Antarktydy - kiedy daleko przed skuterem Carlosa zobaczył ogromny błysk, jakby blask słońca odbił się od lustra. W chwilę potem w powietrze wzniosł się słup dymu, wąski i ciemny, po czym nagle się urwał. Został z niego tylko duży kłęb, niesiony przez wiatr.

Skidoo Carlosa ruszył z kopyta. Najwidoczniej przedtem Carlos jechał wolno, powstrzymując się przed wciśnięciem gazu do dechy z uprzejmości, mając na względzie niedoświadczenie Wade'a, a teraz pomknął jak strzała w kierunku stacji, szybko zostawiając z tyłu Wade'a oraz Iksa. Wade ścisnął obolałym kciukiem gaz i skidoo ruszył przez śnieg szybciej niż przedtem. Mimo to Iks podjechał do niego i wyprzedził go, przetaczając skuter z dudnieniem przez nietknięte garby śnieżne, nie zwracając uwagi na wstrząsy, wpatrzony tylko w kłęb dymu przed nimi. Wjechał w pozostawione wcześniej koleiny, dzięki czemu mógł jeszcze zwiększyć szybkość.

Potem Iks i Carlos zatrzymali skutery. Wade pozwolił odpocząć zdrętwiałemu kciukowi i jego skidoo zaraz zahamował. Wade stanął na płozach, wpatrując się w stację. Główny budynek był spłaszczony, a jego fragmenty porozrzucane na lodzie. Jeden zbiornik z propanem jeszcze się palił, nierównymi, niebieskopomarańczowymi płomieniami, które w świetle słońca wydawały się blade. Żadnych oznak jakiegokolwiek ruchu. Namioty leżały bezwładnie na lodzie. Jameswaye i warsztaty rozerwane na strzępy. Wieża wiertnicza leżała na boku, miała roztrzaskaną podstawę. Nikogo nie było widać.

Z wahaniem podeszli do ruin. Na szczęście nigdzie nie leżały ciała; dziwne, ale prawdziwe; mogli zajrzeć do szczątków głównego budynku i warsztatów, które najwyraźniej pozostawały puste. Carlos wpadł w szal, podskakiwał wokół ruin, potrząsał pięścią, wykrzykując: „J~Iijo deputa” i temu podobne - najbardziej soczyste przekleństwa hiszpańskie, jakie Wade kiedykolwiek słyszał. Iks chodził wokół szczątków, powtarzając:

- Gdzie są wszyscy, gdzie są wszyscy? Nikogo tu nie ma. Dziwne. Jak to możliwe, że nikogo tu nie było? Gdzie poszli? O Boże, mam nadzieję, że nie przygniotły ich ściany.

Rzucił się na kolana, zaglądając pod większe fragmenty głównego budynku.

Wstał. Wszyscy trzej spojrzeli po sobie. Na stacji nie było nikogo. Wade miał wrażenie, że budynki opustoszały tuż przed wybuchem. Może zdążyli uciec? Lecz gdzie teraz byli?

- Dziwne, że nie ma tu nikogo - powiedział do Wade'a Iks. - Tak jak wtedy, gdy ukradli ciągnik z transportu. Coś w tym rodzaju, no nie wiem. To chyba jakaś grupa.

- Ta sama, która wykopała weasela Hillary'ego? - zastanawiał się głośno Wade. - Albo wynosi rzeczy ze starej stacji na biegunie?

Iks zatrzymał się w pół kroku.

- Ktoś coś wynosi ze starej stacji na biegunie?

- Tak.

- Myślałem, że ciągle używają jej jako magazynu.

- Nie ze starej stacji. Mówię o starej-starej stacji.

Iks wytrzeszczył oczy.

- Rany.

Wszyscy trzej podeszli do przewróconej wieży wiertniczej; żaden z nich nie chciał odchodzić za daleko od pozostałych dwóch. Metal u stóp zawałonej konstrukcji był rozerwany i nadtopiony, tworząc nieregularne kształty pod przewróconą nadbudówką. Oczywiście nie było żadnych śladów wycieku gazu. Niewątpliwie siła eksplozji zaczopowała otwór. Carlos bluznął kolejną wiązką przekleństw.

- To się nie mogło stać, przenigdy, wszystko było bezpieczne, zadbaliśmy o wszystko, było pełno zabezpieczeń, nie mógł się zdarzyć żaden błąd, musieli to wszystko wysadzić, ci hijos de putas. - Podskakiwał w miejscu, łkał, krzyczał. - Mieszkam tu, tu się urodziłem, to mój kraj, wiem jak o niego dbać, zabiję tych pieprzonych terrorystów, pozabijam, pozabijam ich!

Iks i Wade kiwali głowami, bez emocji, ale ze współczuciem.

- Jak się dostaniemy do domu? - zapytał Iks.

- Do domu? - zdziwił się Wade.

- Do McMurdo albo chociaż do Robertsa.

- Wezwiemy helikopter - rzekł Wade. - Albo wasz poduszkiwiec.

Iks skinął głową.

- A jeżeli to samo stało się na Robertsie?

Wade zmrużył oczy w przejmującym chłodzie. Nie przyszło mu to do głowy.

Iks wzruszył ramionami.

- Całkiem możliwe.

Wade wcisnął numer Chase'a na swoim telefonie. Równie dobrze mógł poprosić o pomoc samą górę.

Lecz nie było połączenia. Szybko wybrał kilka innych numerów, centralę. Telefon milczał. Poczł dreszcz, który nie miał nic wspólnego z zimnem ani w ogóle z cielesnym doznaniem; był to metafizyczny lęk, lęk, że został odcięty od informacji. Jakby pozbawiono go jednego ze zmysłów.

- Telefon nie działa - powiedział.

Carlos w jednej chwili przestał lamentować.

- Naprawdę?

Pobiegł do swojego skutera i zza siedzenia wyjął walizkowe radio. Ustawił je na siedzeniu i rozwinął druty anteny w kształt dużej litery V, następnie połączył miniaturowe, kolorowe wtyczki, które spinały ze sobą kilka metrów kabla. Próbował nadawać.

Najpierw usiłował nawiązać kontakt z Robertsem; szum i zakłócenia.

Potem bezpośrednio z McMurdo.

To samo. Tylko szum.

- Mądre. - Carlos spojrział na Iksa i Wade'a. - Chyba załatwili radio w Mac. I satelity.

Poruszył ramionami anteny, zmieniając kierunek jej ustawienia, przełączył kilka wtyczek i przeszukiwał inny kanał.

- Tu przynajmniej brzmi jak prawdziwe zakłócenia. Ale półwysep jest za daleko. Trochę ich słyszę, ale oni nas nie usłyszą. - Mimo to znów próbował nadawać, najpierw po hiszpańsku, potem po angielsku. Żadnej odpowiedzi.

Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie; kominiarki i ciemne okulary zasłaniały ich twarze. Skutery wydały się Wade'owi tłustymi motocyklami, a zapasowe kanistry z benzyną - galonowymi butlami mleka ze sklepu spożywczego. Zupełnie nie pasowały do zadania, jakie ich czekało. Carlos dokonywał szybkich obliczeń.

- Jeśli załadujemy skutery do oporu, wystarczy nam paliwa, żeby dojechać do Roberta. Gdyby skończyła się benzyna, będziemy ledwie parę kilometrów od stacji i po prostu dojdziemy pieszo.

Spojrzał na dwóch pozostałych.

Iks wzruszył ramionami.

- No to chodźmy.

Razem z Carlosem wyjęli krótkie łopaty z bagażników skidów i odeszli w śnieg, do miejsca nieco oddalonego od obozu. Carlos miał tam schowek ze sprzętem awaryjnym, zakopany na wypadek pożaru na stacji.

- Kiedyś zapalił się Jamesway i w siedem minut spalił się do gołego lodu. Siedem minut! Gdybyśmy pod łózkami nie mieli kuchennych noży, żeby przeciąć ściany, chyba byśmy się stamtąd nie wydostali. Ale kiedy już się wydostaniesz, trzeba poszukać innego schronienia, bo inaczej można umrzeć z zimna zamiast z gorąca. To chyba lepiej, pieprzone sukinsyny.

W zgłiszczach Iks znalazł małą, ręczną pompę, której używano do napełniania baków skuterów i innych pojazdów, pompując je z wielkich, stalowych beczek o pojemności pięćdziesięciu pięciu galonów. Iks przyniósł pompę i włożył jeden koniec węża do kanistra, który Carlos wyciągnął z zakopanego schowka, a drugi, kolejno, do baków skuterów, po czym zaczął machać dźwignią, aż opróżnił kanister. Tymczasem Carlos pakował na skutery namiot, maszynkę, torby zjedzeniem, narty, raki i tak dalej.

brze jest mieć ze sobą to wszystko - zauważył Wade.

skinął głową.

- Czwartą raz muszę korzystać ze sprzętu awaryjnego. Zawsze przypomina mi to, że nigdy nie powinienem o nim zapominać.

Przed opuszczeniem ruin Carlos jeszcze raz próbował manipulować przy radiu. Znów żadnej odpowiedzi, na żadnym paśmie. Szum i nic więcej.

- Co się dzieje? - krzyknął.

Iks i Wade uznali to za pytanie retoryczne i nałożyli swoje "niedźwiedzie łapy". Wade spojrzał wcześniej na zegarek: od chwili, gdy ujrzeli eksplozję, minęły trzy godziny; miał wrażenie, że jakieś czterdzieści pięć minut. Uruchomili silniki skidów i ostatni raz popatrzyli na obóz; ze względu na kominiarki i okulary Wade nie mógł zobaczyć min tamtych dwóch.

Odjechali.

kobaltowe niebo turkusowy lód W blasku słońca Val poprowadziła wszystkich w górę pozostałej części rampy, która - oczywiście - wyżej była szeroka, równa i łatwa jak tylko sobie można życzyć. Niedługo potem stanęli na białej masie pokrytego firnem lodu, na południe od Progu Hansena; innymi słowy znaleźli się na lądolodzie polarnym. Owszem, dokonali tego, ale znaleźli się w sytuacji, jakiej na pewno sobie nie życzyli.

Posadziła swoich podopiecznych na skałach, które spadły na lód z Hansena, po czym odeszła kilka kroków; musiała połączyć się z Mac, by rozpoczęli akcję ratunkową. Krępująca sytuacja, ale nie sposób jej było uniknąć.

Wstukała kod odpowiedniego kanału i czekała, pełna wstydu, złości i niepokoju. Nie powinna była do tego dopuścić. Naturalnie wypadki się zdarzają. Ale jej zadanie polegało na tym, żeby dbać, by nikt nie doznał poważniejszej krzywdy. Nie powinna była ulec namowom Jacka i wybrać szlak Amundsena, wiedząc o zmiennych warunkach marszu przez lodowiec. Nie powinna też była ryzykować przeprawy pod tym lodowym blokiem. Obie decyzje niewłaściwe; w komplecie z katastrofą na Południowej Georgii mogły zapewnić jej miejsce w krótkiej historii Antarktydy, na którą, podobnie jak na historię alpinizmu, składała się lista ekspedycji, uwzględniająca przede

wszystkim pierwsze wejścia i największe porażki. Głupota!

Obrzucając się w duchu oskarżeniami, w pierwszej chwili nie zauważyła, że Mac nie odpowiadał. Czasem Randi ociągała się, ale nie do tego stopnia. Val jeszcze raz wcisnęła guzik i powtórzyła wiadomość:

- Halo, McMurdo, tu T-023, słyszysz mnie, odbiór?

Szum przestrzeni radiowej; biały szmer. Ani śladu McMurdo! Sprawdziła radio. Działało normalnie, ale nic nie odbierało, na całej długości zwykłej skali. Nigdy się to jeszcze nie zdarzyło. Szybko przełączyła się na pasmo awaryjne, po czym jeszcze raz zaczęła przeszukiwanie. Nigdzie żadnej odpowiedzi. Radio umilkło.

- Jasna cholera - powiedziała, gapiąc się w mały wyświetlacz. Wcisnęła guzik funkcji i zobaczyła, że GPS też nie działa.

- Słuchajcie - zwróciła się do swoich podopiecznych. - Spróbujcie włączyć ręczne telefony, a Ta Shu okulary, dobrze? Mam kłopoty z połączeniem i chcę zobaczyć, czy to wina mojego sprzętu.

Jeden po drugim próbowali nawiązać łączność, bez rezultatu. Ta Shu ściągnął ciężkie okulary wideo i przyjrzał im się, mrużąc oczy.

- Ktoś namieszał w satelitach - skostatowała Val, patrząc w ekran na nadgarstku. Oczywiście, doskonale wiedziała, gdzie w tej chwili są, ale to nie rozwiązywało problemu. Prawdopodobnie wszystkie łącza satelitarne zostały przerwane; dziwne, ponieważ nad nimi wisiało mnóstwo satelitów. Jednorazowe uzyskanie danych z GPS zależało od połączenia z co najmniej ośmioma satelitami. Jeszcze raz spróbowała połączyć się przez radio. Z podobnym skutkiem jak poprzednio. Może to plamy na Słońcu? Ale przecież satelity miały złagodzić problemy komunikacji radiowej na Antarktydzie, związane z plamami na Słońcu.

Być może duże radio, które mieli na saniach, poradziłoby sobie; małe, ręczne radyjka miały za małą moc, by połączyć się z satelitami geostacjonarnymi, a czasem kłopot sprawiała nawet komunikacja z niższymi satelitami.

Nie było jednak sposobu, by to sprawdzić. Sanie utknęły pod lodem i koniec.

- Hm. - Val rozważała sytuację. Podróż z jednym saniami była tak pomyślana, że jeżeliby sanie wpadły do szczeliny (co, jak pamiętała, zdarzyło się już co najmniej trzy razy), w odwodzie miało się ręczne odbiorniki i helikopter ratunkowy. Bez łączności z ratownikami pozostawali zdani wyłącznie na siebie.

Paskudna sytuacja. Przede wszystkim musieli jak najszybciej zapewnić sobie jakieś schronienie. Jeśli o to chodzi, byli w lepszej sytuacji niż pionierzy; w Górach Transantarktycznych znajdowało się sporo obozów i stacji. Patrząc na zwykłą, papierową mapę, którą na wypadek takich właśnie sytuacji miała w kieszeni, Val stwierdziła, że najbliższej leży obóz naftowy PGA na Masywie Roberta, za Basenem Mohna na zachodzie. Ale od obozu dzieliło ich około stu kilometrów.

Usiadła na kamieniu pośrodku swych podopiecznych i poleciła im, by przestali sprawdzać telefony.

- Dajcie spokój, już wystarczy. Nie działają żadne łącza satelitarne, nie odbieramy też GPS. Musimy więc dostać się do najbliższej stacji. Nie jest źle, wiem, gdzie to jest; musimy tylko pokonać kawałek płaskowyżu. Nic nam nie będzie.

- Gdzie jest najbliższa stacja? - zapytała spokojnie Elspeth.

- Na zachód stąd, za Basenem Mohna. - Pokazała im. - To jeden z tych afrykańskich obozów naftowych, na południowym stoku Masywu Roberta.

Jesteśmy właśnie po tej stronie, czyli musimy tylko przejść przez płaskowyż.

Cały czas równo i łatwo.

- Jak to daleko? - zapytał Jorge.

- Mniej więcej sto kilometrów - odparła Val, spoglądając na nich po kolei. - Daleko, ale damy radę. Spokojnym tempem, z przerwami, powinniśmy dojść.

- Nie ma sprawy - rzekł Jack. - Kiedyś biegałem na pięćdziesiąt mil.

Val skinęła głową, powstrzymując rozdrażnienie.

- Dobra. Nie musimy się zanadto spieszyć. Nasze ubrania mogą służyć jako awaryjne schronienie. Są cieplejsze niż trzeba i mają zaszyte zapasowe racje żywnościowe, poza tym mamy termosy do topienia śniegu. - Poklepała się po ramieniu. - Gorzej, że nie mamy nart, ale mamy raki i kijki. Powinno się udać. Zresztą łatwiej jest iść niż jechać na nartach.

Była to prawda, ale tylko w pewnych warunkach. Jednak w Basenie Mohna mogli natknąć się na błękitny lód i strome garby albo wydmy śnieżne, które niekiedy powstawały w wyniku nadmiernych opadów; w takich miejscach narty niewiele by im pomogły. Tak więc była to prawda częściowa.

W każdym razie Val uznała, że wszyscy potrzebują zachęty. Nikt wprawdzie nie wyglądał na szczególnie zalęknionego; mieli miny poważne, lecz zdecydowane. Jack przyciskał do siebie skaleczoną dłoń, zacisnąwszy usta, ale nie zdradzał niepokoju.

Tak czy inaczej nie było sensu zwlekać. Im prędzej wyruszą, tym lepiej.

- Chodźmy - powiedziała Val. - Spróbujmy nadawać przez radio na każdym postoju, prawdopodobnie łączy niedługo zaskoczą i będziemy mieli ratowników, zanim zdążymy ująć większy kawałek. Nawet gdyby nie przylecieli, nic nam nie grozi. - Wstała. - No, wreszcie zaczyna się prawdziwa przygoda.

Nikt się nie zaśmiał. Wyczuwali grozę sytuacji, nie mogło więc być zabawnie; siedzieli w przenikliwie zimnym wietrze, który dał z płaskowyżu polarnego w dół lodowca. Podnieśli się zeszywniali i poszli za Val, która wyprowadziła ich z brzegu Progu Hansena. Było to trudne zadanie; lód w tym miejscu opadał w stronę lodowca i deformował się na małym nunataku, przez co utworzyły się tam szczeliny i strefy spękanego lodu, które trzeba było ominąć. Lecz Val przeprowadziła ich przez płaski lód i wkrótce stanęli na wielkiej, pokrytej firnem płaszczyźnie, na zachód od nunataka - na płaskowyżu lądolodu polarnego. Przed sobą mieli tylko biały śnieg i lód, nad sobą ciemnobłękitne niebo.

Sześcioro ludzi, samych w tej olbrzymiej przestrzeni; dziwny widok; dziwne uczucie; wobec skrajnej jednostajności lodu polarnego ciemny zarys Gór Transantarktycznych za nimi stanowił jakieś pocieszenie, choć były urwiste i ponure. W porównaniu z lodowym płaskowyżem, były znajome, niemal przytulne. Jednak z ich drugiej strony nie mogli znaleźć nic dobrego, poza popękany lodem i pustymi lodowcami, które schodziły do morza. Będą maszerować, aż góry znikną za horyzontem i wokół nich nie będzie już żadnego lądu, jak gdyby znaleźli się na otwartym białym oceanie.

Val poszła przodem.

niebieska kopuła biała przestrzeń Inaczej się teraz czuł, jadąc skuterem przez polarny lód. Wade wiedział, że ta zmiana ma przede wszystkim podłoże psychologiczne, lecz nie umniejszało to jego odczucia, które było tak odmienne od poprzednich wrażeń zjazdu, jak słoneczny dzień różnił się od pochmurnego. Akurat bladoniebieskie niebo przecięło kilka cirrusów, które płynęły o wiele niżej niż zwykle, co było dowodem, jak wysoko położony jest płaskowyż albo jak specyficzna fizyka panuje na Lodowej Planecie; w efekcie świat wydawał się ogromny. Wade nie potrafił przywrócić mu poprzednich rozmiarów.

Większy świat i bardziej pusty. Powierzchnia płaskowyżu stawała się coraz bardziej szorstka. Skuter poruszał się tu mniej stabilnie, natomiast silnik pracował głośniejsze, zgrzytając i krztusząc się, jak gdyby za chwilę miał zgasnąć. Przechylenie pojazdu mogło być fatalne w skutkach, a cały czas

gwałtownie kiwało nim na boki. Słońce jak zwykle stało wysoko, jak odłamek oślepiającego blasku w ciemnym ogromie. Wade'owi zdawało się, że od czasu do czasu za ciemnoniebieskim niebem dostrzega przestrzeń. Było jeszcze zimniej, a od uderzeń wiatru drętwiała mu twarz. Za każdym razem kiedy skidoo się przechylał, kontrolował jego ruch. Puls bił mu w zawrotnym tempie.

Musiał przyznać przed sobą, że się bał. Czuł zimny strach. Ani przed nim, ani za nim nie było nic. Biała płaszczyzna śniegu we wszystkich kierunkach. Obraz jedyny w swoim rodzaju. Jak gdyby byli sami na świecie, obserwowani przez gorejące oko zimnego boga. Sami na gładkim, białym dachu wszechświata.

Nie pozostało mu nic innego, jak jechać śladem Carlosa, starając się nie zwracać uwagi na obolały kciuk. Myślał o dwu ludziach, którzy mu towarzyszyli i których prawie nie znał. Wszystko zależało tu od wsparcia z ich strony. Bez nich byłby tylko ziab, który za kilka godzin mógł przynieść śmierć - czuł to na twarzy i w odrętwiałym ciele - który powodował odmrożenia, a potem koniec. Jego ciało chciała pokonać hipotermia. Każdy przechył skutera mógł być przechyleniem szali zwycięstwa na jej korzyść; złamana płoza, złamana noga, wszystko jedno. Odbijaj w lewo! Nie w prawo! Nie, w lewo!

Wciąż jechał dalej.

Trzy długie godziny później - choć Wade'owi wydawało się, że minęło osiem - Carlos machnął do niego ręką i jego skuter stanął w miejscu. Cały czas jechał drogą, którą w śniegu wyrzeźbił poduszkiwiec, znacznie spłaszczając śnieżne garby, po czym wszyscy trzej zeszli z maszyn i zaczęli chodzić po drodze, starając się pobudzić krążenie w rękach i nogach. Iks i Carlos poradzili Wade'owi, by wymachiwał ramionami jak wiatrak, wówczas krew zacznie krążyć szybciej i będzie mu cieplej w ręce. Przez chwilę stali, obracając ramionami jak gromada Pete'ów Townshendów*. Potem Carlos wyjął z bagażnika skutera łopatę i ręczną piłę. Wcisnął piłę w śnieg i zaczął ciąć.

- Nie powinniśmy jechać dalej? - zapytał Wade.

Carlos pokręcił głową.

- Żeby było nam ciepło, musimy coś zjeść. Roberts nam nie ucieknie.

Wyciął więc kilka śnieżnych bloków, a Wade podważył je łopatą i podał Iksowi, który przeniósł je w pobliże skuterów, gdzie wzniesli łukowaty mur jako osłonę przed wiatrem od południa. Wielkie bloki miały zwartość styropianu i były niewiele od niego cięższe.

Później usiedli za osłoną, a Carlos zajął się przygotowaniem prymusa, szkieletowego urządzenia, które musiało pochodzić z początków rewolucji przemysłowej. Wade obserwował z nie pozbawionym grozy zafascynowaniem kolejny przejaw fizycznej specyfiki Lodowej Planety: Carlos przytknął płomień zapalniczki do porcji paliwa pod kuchenką, co powinno skończyć się niewielkim wybuchem, a paliwo pozostawało zupełnie obojętne na płomień i dopiero po dłuższej chwili błysnęło niebieskim płomyczkiem, jak brandy na płonących naleśnikach.

* Pete Townshend - gitarzysta grupy The Who, podczas gry wywijający ramieniem słynne "młyńce".

- Nie do wiary - powiedział Wade. - Niemożliwe.

Carlos spojrzał na niego przelotnie.

- Tak, zimno dzisiaj.

Już się trochę otrząsnął z szoku po zniszczeniu stacji; poruszał się bez pośpiechu, był spokojny, niemal pogodny; najwyraźniej w ogóle nie odczuwał lęku, który Wade'owi ścisnął trzewia. Naładował śniegu do garnka i zaczął go powoli topić nad rosnącym płomieniem, przygotowując torebki z zupą i lemoniadą w proszku. Z garnka śniegu powstała jedna trzecia garnka wody i kiedy zawrzała, Carlos zrobił im po kubku zupy i lemoniady. Kilka następnych garnków śniegu zmieniło się

potem w gulasz, gorącą czekoladę i wreszcie gęstą, mocną kawę. Gulasz nie do końca dał się rozmiękczyć, więc smakował jak kreda w kawałkach, ale Wade się nie skarżył; z pierwszym kęsem stwierdził, że gulasz jest wyśmienity, a on wściekle głodny. Kredowe kawałki nadawały mu tylko pożądaną konsystencję.

Po jedzeniu spakowali się. Wade poczuł, że ciepło rozchodzące się z żołądka promieniuje na całe ciało. Carlos sprawdził radio i GPS; radio nadal milczało, ale satelity GPS zaczęły chyba nadawać, bo zanim sygnał znów zniknął, zdążył zobaczyć jeszcze swoją pozycję.

- Jeszcze ze trzy godziny - obwieścił. - Niedługo.

Uruchomili skutery - dla Wade'a był to moment wielkiego strachu, po którym przyszła ulga - i ruszyli dalej. Wade jak zwykle jechał za Carlosem; spokój Chilijczyka przy lunchu zrobił na nim wrażenie. Obecność tubylca była niejakim pocieszeniem.

Znów podążali w ustalonym szyku: na początku Carlos, za nim Wade, na końcu Iks. Z bzykiem silników jechali przez ubity firn. Od czasu do czasu mijali nowo powstałe wydmy śnieżne, o których mówili ludzie; przestrzenie pokryte polami rogalikowatych wydm psuły gładką płaszczyznę; śnieg przypominał piasek, a wydmy - Białe Piaski w Nowym Meksyku. Z bliska wydmy miały o wiele grubszą fakturę niż jakikolwiek piasek i wyglądały jak stylizowane wydmy Georgii O'Keeffe, pomyślał Wade, albo jak fragment hiperrealistycznej halucynacji. Lecz trasa zrobiona przez poduszkowiec nie przecinała żadnej z nich.

Ziąb znowu począł kęsać kolana, twarz i ręce Wade'a. Wyraźniej niż kiedykolwiek czuł, jak w jego ciele walczy ciepło z zimnem, tocząc wojnę na wielu frontach, ze zmiennym szczęściem - zależnie od wiatru i słońca.

Na pewno górą było na razie wewnętrzne, promieniujące ciepło po gorącym posiłku, które rzucało coraz to nowe oddziały na dalekie fronty walki z zimnem, leżące na rękach i nogach. Tu bitwy toczyły się o każde naczynie włosowate.

Na najdalej wysuniętych frontach ciepło przegrało. Tułów wciąż się nie poddawał; ale im dalej od tego rozgrzanego pieca, tym śmieiej panoszyły się tępy ból, brak czucia i odrętwienie. Carlos zarządził postój, żeby pomóc im w walce i nie wyłączając silników, zaczęli przytupywać, tańczyć w kółko i podskakiwać jak Pete Townshend, rozcierać obolałe tyłki i kciuki. Z żołądków do oddalonych frontów popłynęła nowa fala ciepła. Po chwili ruszyli w dalszą drogę.

Niedługo musieli się znowu zatrzymać, tym razem po to, by napełnić baki, co samo w sobie było bardzo zimną operacją. Potem znów długa jazda na skuterze, nieznośnie długi czas bólu kciuka i ogarniającego zewsząd zimna, które przenikało wszędzie, aż w końcu Wade poczuł się na skidzie równie niewygodnie jak na początku; za bardzo dokuczały mu zeszywniałe z zimna ramiona.

Zastanawiał się czy nie przyspieszyć i nie zrównać się z Carlosem, by dać mu znak, że pora na kolejną porcję gimnastyki i kubek czegoś gorącego, gdy nagle zrozumiał, że nie ma już potrzeby prosić o postój. Silnik prychnął, zaskoczył, prychnął, zaskoczył, prychnął i zgasł. Skidoo zatrzymał się. Carlos obejrzał się, słysząc albo czując innym zmysłem, że coś się zmieniło. Kiedy zawracał, jego skuter też zwolnił i stanął. Iks podjechał do Wade'a, kręcąc głową. Nie mieli już paliwa.

- Jesteśmy blisko - powiedział do Wade'a Carlos. Zielone chorągiewki, wyznaczające trasę poduszkowca, były ponumerowane, a na ostatniej widniała dziesiątka, czyli mieli do stacji jeszcze dziesięć kilometrów. Rudawe góry na horyzoncie to już był Masyw Roberta. Niedługo zobaczą stację. Mogli założyć narty lub, jeśli by Wade nie chciał maszerować na nartach, mogli iść w rakach.

- Spróbuję nart - rzekł. Dziesięć kilometrów to wcale nie tak dużo; ledwie sześć mil. Przed przyjazdem na Antarktydę roześmiałyby się z takiego dystansu - pięć minut autostradą; tyle co nic. Ale miał w pamięci marsz z Val doliną Barwick i wiedział, co to znaczy przejść dziesięć kilometrów.

Właściwie to wspomnienie ciągle pulsowało mu w lewym kolanie. Poważny dystans. Ale mógł dać radę.

Teraz jednak nie mieli wyboru. Wade zdjął swoje górskie buty i założył ciężkie biegowe buty narciarskie, czując w trakcie tej czynności przenikliwy chłód, od którego drętwiały stopy i dłonie.

- Cholera.

Nie sposób było przyspieszyć tej operacji, mimo jego największych starań.

Prawdę mówiąc, samo jej przeprowadzenie wymagało wielkiego wysiłku.

Kiedyś kilka razy próbował swoich sił w narciarstwie, ale ciągle się przewracał. Musiał teraz robić błyskawiczne postępy. Narty na masywnych, niczym pnie drzew, nogach Iksa przypominały patyczki z lizaków. Trudno było uwierzyć, że go utrzymają. Iks też nie wydawał się przekonany; na widok swoich nart pokręcił głową. Dziwne, jak dobrze udawało im się porozumiewać mimo kominiarek i okularów na twarzach. Język ciała.

Kiedy byli już gotowi, stanęli na nartach. Iks i Wade oparli się na kijkach. Wyglądali jak trójka zamaskowanych i owadziokich włamywaczy do banku. Słońce tęczo odbijało się od ich fotoelektrycznych rękawic, od kombinezonów i skafandrów. Wade czuł wdzięczność za ciepło, jakie mu dawały, lecz końce palców, nos, uszy i stopy marzły mu coraz bardziej.

Carlos twierdził, że jazda na nartach zaraz ich wyleczy. Ruszył przodem, z plecakiem, w którym mieściło się wszystko, co dało się zdjąć ze skuterów. Wade podążył za nim.

Iks zahaczył o jakąś nierówność i padł niczym ścięte drzewo. Jak gdyby uderzony falą powstałą w wyniku jego upadku, przewrócił się też Wade.

Śnieg był twardy i padając na niego, Wade uraził się w łokieć. Podniósł się niepewnie, szybciej niż Iks, który na swoich przykrótkich nartach poruszał się bardzo niezgrabnie. Carlos bez wysiłku jechał naprzód. Kiedy się obejrzał i zobaczył, co się przydarzyło jego towarzyszom, zawrócił szerokim łukiem i podjechał do nich.

- Jedźcie za mną, będę szukać najbardziej płaskiej trasy, żeby było łatwiej.

Jechali więc za nim i rzeczywiście było łatwiej, choć czasem narty Wade'a zawadzały o brzegi śnieżnych garbów i rozjeżdżały się mimo jego rozpaczliwych wysiłków. Często się przewracał, tak jak Iks. Wygramolić się i stanąć na nogi było bardzo ciężko. Zaczął się pocić, czuł gorąco wszędzie, poza zmarzniętymi palcami, uszami i nosem, które dalej uparcie marzły. Przypomniał sobie przeczytany kiedyś artykuł o kłopotach, jakie czyhają na biegaczy zimą i fragment o "odmrożeniu penisa". Miał nadzieję, że ciepła krew w korpusie ciała dostarczy mu tam odpowiednią ilość ciepła, tak jak pozostałym częściom ciała, a zimna krew z rąk i nóg ochłodzi jego rozgrzany tułów, niczym woda z chłodnicy. Ale ten mechanizm chyba nie działał; wciąż było mu jednocześnie za zimno i za gorąco. Jednak się nie poddawał.

Widok Iksa, który przewracał się równie często, a nawet częściej niż on, był dla Wade'a pewnym pocieszeniem. Obaj padali jak kręgle. Po jednym z takich upadków, kiedy obaj się podnosili i ruszali dalej, Iks powiedział:

- Szkoda, że nie mamy tych skafandrów kosmicznych, które dostają wycieczki.

- Jakich skafandrów? - zapytał Wade. - To znaczy, że jest jeszcze lepszy sprzęt?

-Tak.

- Jest lepszy sprzęt i ja go nie mam?

-Ha.

- Są jacyś superspecjalni goście, którzy go dostają?

- Mowa. Pewnie są. Ale my mamy normalny przydział rządowy, a lepszy sprzęt można kupić. Te rzeczy nie mogą zmienić energii piezoelektrycznej generowanej w marszu w ciepło, nie mogą stopić

śniegu w wodę, nie mogą nakarmić...

Wade znowu upadł.

- Nie jeżdżą na nartach.

- Nie jeżdżą, racja. Nic nie umieją robić.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego nie mamy najlepszego sprzętu?

- Za drogi! To, co mamy, powinno nam wystarczyć do wykonywania czynności, jakie tu wykonujemy. Nie mieliśmy jeździć na nartach po płaskowyżu. To dobre dla wycieczek trekkingowych.

- Gdyby więc była tu Val, byłoby nam lepiej?

- Pewnie tak.

Jechali obok siebie. Śnieg stał się gładziwy i przez jakiś czas ślizgali się po nim dość bezpiecznie. Carlos zmienił się w czarny znaczek na horyzoncie przed nimi; Masyw Roberta był większy i dostrzegali już brzeg lodu u stóp skały, więc niedługo powinna ukazać się stacja, choć jeszcze nie mogli jej dostrzec. Potem Iks powiedział do Wade'a:

- Jeżeli to jest niebieski lód, to, kurwa, koniec z nami.

- Jak to?

- Twardy jak kamień i śliski. Wyboisty, ale śliski.

- Rany. - Serce w nim zamarło. Jego jedyna próba jazdy na łyżwach skończyła się złamaniem kości ogonowej. Potem trzy miesiące musiał siedzieć na nadmuchiwanym kółku do pływania.

- Cholera. To na pewno niebieski lód.

Podjechali do Carlosa stojącego na ostatnim półwyspie białego śniegu, który wrzynał się w morze niebieskiego lodu.

- Nie umiem jeździć po lodzie - powiedział Iks.

- Niewielu to potrafi - odparł Carlos. - Będziemy musieli nałożyć raki i iść.

Usiedli więc, odpięli narty, wyjęli z plecaków buty i raki, zdjęli buty narciarskie, włożyli zwykłe, nałożyli raki, spakowali plecaki, wstali i zaczęli iść z nartami i jednym kijkiem na ramieniu, przytrzymując je jedną ręką, a drugą trzymając kijek, którym podpierali się w marszu przez lód. Przy każdym etapie tej skomplikowanej operacji czuli wściekłość, odrętwiającą zimno.

Lecz marsz w rakach w porównaniu z jazdą na nartach był absurdalnie bezpieczny, jakby szli po powierzchni lepu na muchy. Chrzęst pod stopami przywodził Wade'owi na myśl wyjmowanie lodu z pojemnika własnej lodówki i wspomnienie to wywołało w nim chwilę rozpaczliwej nostalgii; zatęsknił za światem, w którym lód istnieje tylko w formie kostek o boku długości cala. Zamiana nart na raki wyziębła go tak bardzo, że drżały mu nogi.

Miał wrażenie, że jego uda zmieniły się w galaretę. Szybko poczuł zmęczenie w stopach i kostkach, ponieważ raki za dobrze trzymały się podłoża. Od za słabej przyczepności do za dobrej; żadna mu nie odpowiadała.

- Jesteśmy prawie na miejscu - zawołał do nich Carlos.

- Zaczyna tak mówić już w połowie każdej drogi - ostrzegł Wade'a Iks.

- Bardzo w tym przypomina Val.

-Aha.

Iks cały czas odgrywał rolę narratora ich wyprawy, mruczając pod nosem; ze strzępków, które dochodziły do jego uszu, Wade wywnioskował, że kominiarka musi kryć twarz jakiegoś wyjątkowo cynicznego komentatora sportowego. Za lekkim wzniesieniem nagi niebieski lód na powrót okrywał

się śniegiem. Po krótkiej naradzie cała trójka usiadła i z powrotem nałożyła narty, co Wade powitał z niejaką ulgą, bowiem ciężar nart na ramieniu powoli stawał się nie do zniesienia; przy kolejnej zamianie butów jeszcze bardziej przemarzł. Prawie nie mógł poruszać rękami. Carlos kazał im zjeść po czekoladowym batoniku. Czując wilczy głód, Wade ugryzł zmrożony baton i w środku trafił na coś, co było twarde jak kamień; natychmiast ząb przeszył mu straszny ból.

- Au, cholera jasna!

- Uwaga na mrożone rodzyнки! - zawołali równocześnie Iks i Carlos.

- Dzięki za ostrzeżenie!

- Przepraszam. Kiedy zamarzną, zamieniają się w kamyki.

- Mowa.

- Nie cierpię tych batonów właśnie przez rodzyнки.

Z powrotem nałożyli rękawice na zdrętwiałe i niezdarnie poruszające się ręce. Lodowate powietrze przenikało do szpiku kości. Stanęli na nartach i ruszyli w dalszą drogę. Wade miał dziwne wrażenie, że poszczególne części mózgu zaczynają mu drętwieć tak jak palce; najpierw zewnętrzna warstwa kory, potem delikatne płatki tuż za nosem, wszystko powoli ustępujące przed mrozem. Gładka biała płaszczyzna i czyste niebieskie niebo. W górę i w dół, na szczęście niezbyt stromo. Jechało się jak zwykle źle, może nawet gorzej niż przedtem. Nad nimi wisiało niskie niebo. Kiedy spojrzano się w lewo, trochę do tyłu, zdawało się, że to południe; blask słońca odbijał się w milionach lusterek, którymi były drobiny śniegu. Patrząc na wprost, miało się wrażenie, że jest świt, ponieważ grzbiety płaskorzeźby garbów na śniegu rzucały niezliczone cienie. Kiedy nie widziało się słońca, był środek nocy, wśród której ziarnista powierzchnia śniegu połyskiwała ciemnym blaskiem.

Jedyny krajobraz tworzył tu kąć padającego światła. Krajobraz był natomiast zminiaturyzowany, sięgając ledwie cholewy buta, więc poruszali się w nim jak trójka olbrzymów, w lewo, w prawo, w lewo, w prawo - w zimnie, do którego nie sposób się przyzwyczaić; lodowate powietrze wdierało się przez nos wprost do mózgu jak niebezpieczny narkotyk, którego pragnęli, a jednocześnie się bali - uzależnienie od tlenu było fatalną koniecznością. Coraz zimniej, mimo energicznych ruchów na nartach. Coraz więcej obszarów mózgu obumierało i powoli tracili zdolność mówienia, a nawet myślenia; wszystkie słowa, które przychodziły im do głowy, gasły jak gwiazdy o świcie. Skała przed nimi zdawała się przybliżać i Wade ujrzał jakieś jaskrawe kolory na jej brzegu; zapewne stacja. Na ten widok poczuł tępy skurcz nadziei. Uda się.

Śnieg obniżał się w kierunku masywu, więc Wade mógł jechać, odpychając się kijkami oburącz - niewysłowiona ulga. Lecz niżej przechodził w biały lód i Wade zjeżdżał w ogóle się nie odpychając - jakby brał udział w zjeździe olimpijskim, coraz szybciej i szybciej, jak na rowerze bez hamulców. Narty szorowały z piskiem o lód, a on zgął kolana i pochylił się, trzymając kijki pod pachami, wyglądał więc jak kiepska karykatura prawdziwego narciarza; dopóki nie najechał na niewidzialną muldę i nie wylądował na tyłku, co wcale go nie zatrzymało i dalej jechał w dół zbocza, prawie tak samo szybko jak przedtem, wirując na tyłku jak fryga. Narty odpięły się i zniknęły, lecz wciąż trzymał kijki, które kręciły się wokół niego. Chwycił więc prawą dłońią koniec lewego kijka, przekręcił się na bok i wbił jego czubek w lód. Kijek prawie nie zostawił rysy, ale odrobinę przyhamował jego szalony zjazd, drapiąc po lodzie jak kreda po tablicy i po chwili zwolnił na tyle, że mógł wbić w lód brzeg butów, nie ryzykując złamania nóg. Wreszcie zarył się i zatrzymał może sto metrów od poduszkowca i krótkiego pomostu, który wystawał ze skały nad lodem. Potem lekko odpychając się dłońmi w rękawicach, zsunął się po łagodnym zboczu, pokonując dziesięć metrów za jednym odepchnięciem. Z tyłu Iks i Carlos schodzili z góry wyprostowani, zatrzymawszy się wcześniej, by zdjąć narty. Wade pomachał do nich słabo, a oni krzyknęli, ciesząc się z jego ocalenia.

Jednak radość nie trwała długo, bo Stacja Roberta była zniszczona - budynki rozwalone i spalone. Weszli na skały i wspięli się na brzeg ruin. Carlos znów wykrzykiwał hiszpańskie przekleństwa, ale tym razem z dziwnym roztargnieniem, przetrząsając równocześnie zgliszcza w poszukiwaniu sprzętu, który mógłby ich uratować od zamarznięcia. Wśród ruin gwizdał przejmujący wiatr, a oni zataczali się jakby byli z drewna. Nic nie znaleźli. Ruiny uzmysłowiły im, jak małe były budynki, jak przyczepy na campingu, a zostały po nich tylko czarne patyki i kupka gruzu.

- Gdzie są wszyscy? - chrypiał Iks. Wade potykał się na każdym kroku, z ogromnym wysiłkiem podnosząc nogi.

- Nie ma - powiedział Carlos. - Chodźcie do poduszkowca.

Poduszkowiec stał na lodzie jakieś sześć albo siedem stóp od pomostu, odepchnięty zapewne przez podmuch eksplozji, która zrównała z ziemią stację. Iks znalazł kawałek deski, przyniósł go i przerzucił przez szparę, tak że powstało coś na kształt trapu, po którym przeszli na pokład poduszkowca, otworzyli drzwi i znaleźli się w kabinie. W środku było tak samo zimno jak na zewnątrz. Wade prawie nie mógł się ruszać. Carlos otworzył z hukiem schowek i wyciągnął stamtąd zieloną maszynkę Colemana, po czym postawił ją na półce pod oknami i otworzył. Starannie przykręcił zbiornik z paliwem do wlewu z boku maszynki i zaczął grzebać w kieszeniach skafandra w poszukiwaniu zapalniczki. Przyłożył ją do palnika, przekręcając pokrętło i zaczął pstrykać zapalniczką; chrzęst pocieranego kamienia zabrzmiał jak dźwięk z prehistorii. Po chwili wyskoczył płomyk. Mieli ogień.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

MASYW ROBERTSA

Dziś wieczorem znów gotował Misza i żółty namiot Scotta wypełniły niebiańskie zapachy gulaszu z peklowanej wołowiny. Spałaszowali kolację, po czym zwolnili tempo i spokojnie przeszli do ostatniej fazy wieczoru, na którą składało się zmywanie i sączenie drambersa. Graham Forbes rozsiadł się wygodnie, odbierając od Harry'ego mokre naczynia i wycierając je do sucha, natomiast Geoffrey Michelson ułożył się jak cesarz i wystukał na ręcznym telefonie kod McMurdo, by jak zwykle pod wieczór połączyć się z Randi.

Jednak tego wieczoru nie usłyszał Randi. W ogóle nie usłyszał Mac. Na całej skali nic tylko szum i zakłócenia.

- Co jest? - rzekł Michelson, patrząc na swój telefon.

- Spróbuj na pudle - zaproponował Misza, wskazując duże, stare radio stojące w rogu namiotu.

- Niezły pomysł. - Michelson włączył radio, wybrał częstotliwość McMurdo, spróbował uzyskać połączenie. Znów nic, tylko szum. Graham odłożył ścierkę do naczyń i pochylił się nad radiem, by mu się przyjrzeć.

- Dzieje się coś dziwnego - rzekł Michelson.

- Więcej niż coś - zauważył Misza ze zdumioną miną. - Przecież to dwa różne systemy. Żeby obydwie naraz przestały działać... - Pokręcił głową i napił się drambersa.

- Twoim zdaniem to coś więcej niż przypadek? - spytał Michelson.

- To w ogóle nie wygląda na przypadek.

- A na co?

- Nie wiem. Sabotaż?

Wszyscy czterej zamyślili się, spoglądając na siebie.

- Łączy satelitarne są bardzo czułe - powiedział Misza. - Wystarczy tylko namierzyć satelitę anteną śledzącą i wysłać trochę mocniejszy sygnał, niż zwykle odbiera satelita i tyle.

- Ale przecież jest bardzo dużo satelitów - sprzeciwił si Myślałem, że system jest w dużej mierze zabezpieczony rezerwowymi nadajnikami.

Harry i Misza kręcili głowami.

- Jest dużo satelitów, bo jest tłok komunikacyjny - powiedział Misza. - Wszystkie należą do różnych powiązanych ze sobą sieci; wiele przekaźników i satelitów centralnych, zanim wyślą wiadomość na Ziemię, przekazują ją między sobą. Jeśli więc ktoś ma talerze tu na dole, może rozwalić sporą część systemu.

- Zwłaszcza tutaj - dodał Harry. - Nie ma aż tylu satelitów polarnych.

- Ale gdyby jeden się zepsuł, nie przełączyliby się na innego?

- Jasne - odrzekł Misza. - Ale to można wykryć i tam też przerwać połączenie. Wystarczy znaleźć centralnego satelitę i skierować talerz w tym kierunku. Założę się, że wystarczy do tego jeden program.

- Nie sztuka wszystko zepsuć - powiedział Graham, przypomniawszy sobie rozmowę w pubie z przyjacielem, który pracował w łączności. - Sztuką jest sprawić, żeby to w ogóle działało.

Michelson spojrzał na swoich trzech towarzyszy.

- Będę wam wdzięczny, panowie - powiedział - jeżeli to nie Greenpeace. Poza tym jestem wstrząśnięty, że żyjemy w tak czułym systemie.

- Satelity są tam - rzekł Misza, wskazując na niebo. - Łatwo je namierzyć, łatwo uszkodzić.

Może to zrobić każdy, kto ma przekaźnik o mocy czternastu gigaherców.

- Ale to nie wyjaśnia milczenia McMurdo - zauważył Graham.

Myśleli o tym w ciszy.

- Uszkodzili budynek radiowy - wyraził przypuszczenie Misza.

- W mieście jest pełno takich odbiorników jak ten - powiedział Harry.

- Bez względu na to, co się stało, powinni się za chwilę pojawić.

Michelson skinął głową.

- Powinniśmy też mieć już kontakt z Burtem. Spróbujmy.

Przekręcił gałkę strojenia i wcisnął guzik nadawania na mikrofonie.

- S-374, tu S-375, jesteście tam, Burt i jego załoga, słyszycie mnie, odbiór?

Przerwa, cichy szum połączenia radiowego:

- Słyszemy cię, Geoff! Nie mamy kontaktu z Mac, nie możemy nadawać i nasz GPS nie działa!

- U nas to samo, Burt, chociaż nie wiemy, co z GPSem.

- To znaczy jeszcze więcej satelitów szlag trafił - wtrącił Misza.

- To nie wszystko, Geoff, nasz helikopter też się dzisiaj nie pokazał!

Musieliśmy wracać do bazy pieszo, było dość ciężko!

- Musieli przejść kawałek lodu - zakpił Misza.

Michelson uciszył go gestem i wcisnął guzik nadawania.

- Boję się, że coś się stało w Mac. Ale niedługo powinni wrócić w eter, więc proponuję czekać, aż dowiemy się czegoś więcej.

- W porządku, Geoff. Nie mamy ochoty wracać do domu pieszo. A poza tym znajdujemy tu fantastyczne rzeczy. Co u was, macie coś?

- Harujemy, Burt, ale na razie nie mamy nic specjalnego. - Posłał Miszy ostrzegawcze spojrzenie, by ten się nie roześmiał w trakcie nadawania. - Będziemy w kontakcie, póki sytuacja się nie wyjaśni, Burt. Pogadamy jutro o dziewiątej rano, dobra? Jeżeli usłyszysz się z Randi albo z kimś innym, zaraz daj nam znać.

- Jasna sprawa, Geoff! Założę się o wszystko, że to znowu Greenpeace, który ściga obozy naftowe! t - Mac chyba nie ma z tym nic wspólnego. Ale zobaczymy. Dobrej nocy dla wszystkich, bez odbioru.

- Nawzajem, bez odbioru.

Michelson odłożył mikrofon. Siedzieli przy huczącej kuchence, popijając drambuie.

Misza powiedział:

- Nie chcesz powiedzieć koledze po fachu o naszym odkryciu?

V Misza. - Michelson pociągnął łyk. - Nie przez radio. Każdy mógłby nas usłyszeć. „

- Wszyscy ludzie stamtąd - rzekł Graham, dokuczając Michelsonowi w stylu Miszy. Zdaje się, że to było zaraźliwe.

- Są przecież inne obozy - rzekł Michelson. - Poza tym, mimo że to tylko Burt, mógłby wypaplać wszystko ludziom z Mac albo tym z północy.

Graham skinął głową. Podobała mu się ostrożność Michelsona, bo chyba rozumiał jej powody. Przedwczesne ujawnienie nowiny, jeszcze przed ukończeniem wszystkich prac i opublikowaniem wyników, mogłoby poważnie zaszkodzić samym wynikom. Pod tym względem równie niebezpieczne były Internet i prasa. Graham był pewien, że mata ze zbitego materiału bukowego, jaką znaleźli w Syriuszu Apokalipsy, była kluczowym znaleziskiem; ale tylko pod warunkiem, że odpowiednio je wykorzystają do potwierdzenia swojej teorii. Wówczas będą mieli bardzo ważną cegiełkę do konstrukcji, może nawet dzięki niej uda im się przeważyć szalę na korzyść stanowiska dynamistów.

Lecz na razie byli bardzo daleko od tej chwili. W tym momencie mieli tylko rudożółtą substancję organiczną i nic więcej; równie dobrze mogła mieć dwieście milionów albo dwieście lat. Stabilistom udało się zakwestionować ich racje na tej podstawie i na każdej innej, jaka tylko przyszlaby im do głowy. Musieli więc zbudować ramy dla tych fragmentów i ubiec wszystkie możliwe protesty wobec ich interpretacji; konkrety pozostawały konkretami, dopóki nie pojawiły się protesty. Należało wpleść je w gęstą siatkę historii, aby stały się faktami, które zaczną potwierdzać teorię. Ten etap procesu był kluczowy przy każdej pracy, mającej wywołać trwałe i pewne skutki. Michelson będzie teraz musiał pozyskać wielu paleobotaników, paleobiologów, geomorfologów, geofizyków, paleoklimatologów i glaciologów, takich jak Graham, którzy poświęcą sprawie wszystkie swoje umiejętności i których kariery, jeśli uczeni zgodzą się wziąć udział w pracach, będą w jakiś sposób co najmniej związane z sukcesem albo porażką stanowiska dynamistów.

Tak było z Grahamem, pracującym nad problemami sedymentacji glacialnej. Oczywiście był już w pełni zaangażowany w sprawę i jego los został spleciony z losem Michelsona. Styl Geoffa dodawał mu otuchy i sam starał się go naśladować we własnej pracy - podobała mu się jego rezerwa i poczucie historii dziejów Ziemi, konsekwentna powściągliwość i żartobliwy stosunek do wszystkiego; w trakcie sporu wydarzyło się wiele rzeczy, które z pewnością doprowadziłyby Grahama do wściekłości, gdyby był na miejscu Michelsona; zresztą przypuszczał, że Geoff musiał być wtedy naprawdę zły. A jednak mówił o stabilistach nie jak o wrogach, których trzeba zniszczyć, ale odnosił się do nich z ogromną, niemal przesadną uprzejmością, zaznaczając szacunek do nich jako naukowców, zwłaszcza do tych, którzy najrzetelniej wykonywali swoją pracę i przez to podnosili poprzeczkę. Być może odzwierciedlało to po prostu jego zdanie, że adwersarzy należy rozgnieść jak miazgę bukowych liści za pomocą najpewniejszej albo, jakby można powiedzieć, najbardziej naukowej metody walki; w każdym razie trzymał się tej zasady przez cały czas, nawet tu, we własnym obozie. Może prywatnie, w domu, był zupełnie inny. Lecz po kilku tygodniach spędzonych na Antarktydzie nabierało się przeświadczenia, że świetnie się poznało wszystkich towarzyszy. W końcu ich wspólne życie tutaj miało w sobie wiele z domowej prywatności.

Zanim więc będą mogli powiedzieć o swoim cennym znalezisku komuś spoza grupy, musieli popracować nad próbkami w laboratorium, zajrzeć do literatury, poprosić o współudział innych naukowców; trzeba też napisać i zredagować artykuły, by potem je przesłać najważniejszym czasopismom, gdzie z kolei anonimowi recenzenci z pewnością zasugerują poprawki, jakie zwykle się wprowadzało, ponieważ umacniały stawianą tezę; dopiero potem artykuły będzie można opublikować. Wówczas wnioski, do których doszli na podstawie znalezionych konkretnych obiektów, uzyskają formę zgrabnych i wytrzymałych konstrukcji, takich jak rozstawione przez Misze namioty:

pancerne budowle ze słupków i linek. Dopiero w takiej postaci będzie o nich można przeczytać i staną się tematem rozmów wąskich grup ludzi, którzy posiadali specjalistyczną wiedzę, by móc ocenić wagę argumentów, wskazać słabe punkty; ludzi, którzy dokonają autentycznych ocen; potem w swoich własnych założeniach naukowych będą brać pod uwagę ten zbiór nowych faktów i opierać się na nowej teorii; zgodnie z nią zaczną opracowywać nowe projekty; dostrzegać pewne rzeczy, których nie zobaczyliby w innej sytuacji; i dialog potoczy się dalej, tak jak toczył się od czasów Lyella, Newtona czy Arystotelesa, czy nawet pierwszych naczelników, obdarzonych zdolnością mowy, w zależności od tego, jak szerokie rozumienie nauki przyjąć. Zdaniem Grahama, nauka w swoim podstawowym sensie sięgała bardzo odległych dziejów.

Zanim ich odkrycia ukażą się w druku, miną więc trzy albo cztery lata, a skutki publikacji pojawią się dopiero w następnych latach. Ze względu na takie tempo, dysputa na temat Syriusza toczyła się już od ponad trzydziestu lat.

Podobnie jak lodowce, które stanowiły główny przedmiot jej uwagi, szła naprzód wolno, ale konsekwentnie, nie pomijając po drodze niczego.

Zatem Michelson nie odkrywał kart; szybko zmienił temat rozmowy, mówiąc o tym, co w ciągu następnych kilku dni mogą zrobić w terenie, by ułatwić sobie późniejsze prace laboratoryjne. Później na północy nie będzie możliwości uzyskania jeszcze jednej próbki skał; trzeba je zdobyć teraz.

Kiedy jednak opracowano już tę część zadań, Harry włączył swojego laptopa i wyświetlił mapę plioceńskiej Antarktydy, nad którą pracował od dłuższego czasu, wprowadzając do niej wszystkie dane zebrane w ciągu dziesięcioleci badań dynamistów. Teraz zabrał się za przeróbkę linii brzegowej fiordu, który badali. Michelson przyglądał się jego pracy zza okularów, uśmiechając się nieznacznie.

- Bez względu na to, jak to się skończy - rzekł z zadowoleniem - kwestia Syriusza na pewno dobrze wpłynęła na rozwój geologii kenozoiku na Antarktydzie.

Harry skończył przerysowywać fiordy i wzgórza. Cały pas terenu, na którym teraz znajdowały się Góry Transantarktyczne, był znacznie niższy i głęboko poprzecinany fiordami - jak obecne wybrzeża Labradoru lub Norwegii, lub południowego Chile. Zachodnia Antarktyda była archipelagiem, trochę przypominającym Filipiny. Michelson zawsze zachęcał Harry'ego, by szukał możliwych połączeń lądowych między Półwyspem a Górami Transantarktycznymi, ponieważ *Nothofagus* niezbyt dobrze migrował w środowisku wodnym i wydawało mu się, że musiały istnieć lądowe drogi rozprzestrzeniania się buków, by można było wytłumaczyć obecność lasów na osiemdziesiątym czwartym stopniu szerokości południowej. Albo drzewa miały własne ścieżki, którymi przychodziły i odchodziły, zależnie od zmieniającego się klimatu, albo też na samej płycie kontynentu istniały miejsca, które nawet w najzimniejszych okresach w ciągu minionych czternastu milionów lat funkcjonowały jako refugium dla biomu bukowego.

- Półwysep wydaje mi się bardziej prawdopodobnym miejscem refugium drzew, jeśli potem wracały na południe, kiedy się ocieplało.

Za Górami Transantarktycznymi, tam gdzie teraz rozpościerał się okrywający wszystko polarny lód, na mapie plioceńskiej widniał ląd, wyglądający jak mocno poszarpana Australia. Kraton zaczął się już rozpadać jak basen i obszar górski Ameryki Północnej, tworząc baseny biegnące na wschód od Gór Transantarktycznych, od Morza Weddella do Oceanu Indyjskiego, który wcinał się w ląd zatoką większą od Morza Rossa. Te dawne morza śródlądowe wyznaczały tereny, którymi obecnie interesowały się grupy naftowe, ponieważ jeżeli morza utrzymały się tam dostatecznie długo, na dnie mogło osiąść dość materiału organicznego, by powstały złoża ropy.

Paleoifiord, który dziś badali, przebiegał przez Góry Transantarktyczne do plioceńskiej Zatoki Wilkesa, tak w każdym razie narysował go Harry. Nie mogli tego potwierdzić, gdyż cały ten region leżał pod lodem. Lecz oszacowane przez nich tempo wypiętrzenia gór i głębokość basenu subglacjalnego po obu stronach gór zdawały się przemawiać na korzyść tej hipotezy. A może istniał siodłowy półwysep, oddzielający obydwie morza; siodło, z którego można było spojrzeć w głąb obu fiordów. Stanowiące most lądowy, którego istnienie postulował Geoff.

Kiedy już omówili różne możliwości, śledząc mapę, Harry przywołał na ekran zdjęcie lasu bukowego, który porastał zbocza nad zatoką w południowym Chile. Wieczne wiatry wygięły wierzchołki niskich drzew do tyłu.

Wszystkie rosły razem, tworząc rodzaj maty, podobnej do porostów oglądanych pod mikroskopem. Dolne partie miniaturowego lasu porastały jasno ciemnozielone mchy. Dywany mchów wciąż służyły jako namiastka gleby na Półwyspie Antarktycznym, a mikrośrodowisko tych małych biomów było o kilka stopni cieplejsze niż powietrze.

- To zdjęcie zrobiono na północ od Ziemi Ognistej - powiedział Harry.

- Biom okolic Cieśniny Magellana prawie idealnie pasuje do listy gatunków, które znaleźliśmy tutaj.

- Prawdopodobnie tak właśnie wyglądał tu pliocen - rzekł Michelson, znów spoglądając zza okularów na ekran. - Dziwne, iż temperatury wzrosły do tego stopnia, że taki las znów mógłby tu rosnąć. Ludzie musieliby go uprawiać, ale potem...

Harry pokręcił głową.

- Traktat zabrania sprowadzać tu egzotyczne rośliny.

- Ależ to wcale nie jest egzotyczna roślina! Po prostu tutejsza roślinność, przywrócona po pewnym okresie wygnania. Chilijczycy i Argentyńczycy już próbowali sadzić buki na Półwyspie. Wtedy się nie udało, ale teraz jest znacznie cieplej.

Pozostała trójka zbyła tę uwagę milczeniem. Nie był to plan, o jaki im chodziło; zresztą nie mieli pewności, czy w ogóle Michelson mówi poważnie.

Przez jakiś czas przyglądali się fotografii na ekranie laptopa, zatopieni we własnych myślach; za chwilę mieli wyruszyć do namiotów.

- Ciekawe, co się dzieje w McMurdo - powiedział Harry.

- Niedługo się dowiemy - odrzekł Michelson. - Randi skontaktuje się z nami jak tylko będzie miała łączność. Tymczasem jesteśmy zdani na siebie na trochę dłużej niż potrwa ta dziwna sytuacja. Możemy popracować, czekając na jej rozwiązanie.

Wade usiadł w części pasażerskiej poduszkowca, chwyciwszy w obie dłonie kubek z gorącą czekoladą i popijał ją, parząc sobie podniebienie i powoli, bardzo powoli powracając do życia z głębi hipotermii. Wracał z największego zimna, jakiego w życiu doświadczył; najpierw do stanu, w którym mógł się trząść, potem przez jakiś czas gwałtowne drżał; wreszcie się uspokoił i tylko co chwilę wstrząsał nim krótki dreszcz.

Carlos kolejny raz wyszedł na obchód spalonej stacji. Iks siedział naprzeciw Wade'a, pochylony nad kuchenką, by wchłonąć jak najwięcej ciepła, popijając czekoladę.

- Zrobiła się niezła wyprawa - zauważył Iks.

- Tak. - Wade rzucił na niego okiem. - Szkoda, że Val nie jest już moim przewodnikiem. Lepiej bym się czuł, gdyby tu była.

Iks chrząknął.

- To by była dla niej pestka.

- Naprawdę?

- Nie takie historie opowiada.

- A więc jest wyjątkowym przewodnikiem.

- Tego nie wiem. Chyba jest taka jak inni. Wszyscy przewodnicy opowiadają o strasznych rzeczach. Często są o włos od katastrofy, mówię ci. To naprawdę straszne.

- Mnie wygląda to na dekadencję.

- Dekadencję?

- No, na przykład kiedy słyszę dobrą wersję La Mer, czuję dreszcz.

Mam na myśli prawdziwy dreszcz. Jeśli ktoś musi ryzykować własnym życiem, żeby poczuć ten dreszczyk, to nie wiem. Wydaje mi się, że trzeba się wszystkim znudzić, żeby szukać aż takich podniet.

- Może. Nie wiem, czy im chodzi o ten sam rodzaj dreszczyku. Nie jestem pewien, czy ci ludzie są uzależnieni właśnie od ryzyka. To chyba coś innego. Nigdy tego nie umiałem zrozumieć. Dużo o tym myślałem. Kiedyś Val opowiadała mi, jak ze ściany Mount Cook porwała ją lawina i poniosła w

stronę bergschrunda w dole zbocza, takiej rozpadliny u stóp góry. Pewna śmierć.

Ale lawina poniosła ich nad*rozpadliną. Wylądowali po pas w śniegu, na równym terenie, cali i zdrowi; tylko Val potłukła sobie zebra. Mówiła, że bolało jak diabli, a musieli maszerować jeszcze dziesięć mil, żeby się dostać na drogę. Idąc tak się zaczęli śmiać, że mało nie umarła z bólu, ale nie mogła przestać. Powiedziała, że było świetnie. Czasem mówi z lekkim australijskim akcentem - świeetnie. Zupełnie jak Australijka. Straszne.

- Więc wy dwoje byliście...

- Tak, tak. Mieliśmy taki lodowy romans, pod koniec ostatniego sezonu.

- Rany.

- No. - Zasepił się. - Ale potem, kiedy przyjechaliśmy do Mac, przestała się mną interesować.

-Co?

- Tak jest. Skończyło się.

-Nie.

-Tak.

- Nie mów. Nie cierpię takich rzeczy.

- No. - Iks pociągnął łyk czekolady. - W każdym razie ty masz u niej szansę, nie?

-Co!

- Daj spokój.

- Sam daj spokój! - Wade pokręcił głową. - Dlaczego w ogóle miałaby zwrócić na mnie uwagę.

Biurokratę z Waszyngtonu, funkcjonariusza.

- Podobasz się jej.

- Nawet nie umiem jeździć na nartach.

- To prawda.

- Zaraz. Ty też nie umiesz, a chodziła z tobą.

- Widzisz?

- Może więc jest dla mnie jeszcze jakaś nadzieja. Może będę miał na tyle szczęścia, że potraktuje mnie tak jak ciebie.

Chichotali przez chwilę.

- Nikt nam nie zabrania marzyć - powiedział Iks.

Do kabiny wpadł Carlos i podszedł do maszyny.

- Niedobrze - powiedział. Najwidoczniej wybuch rozwalił wszystkie budynki, a zbiorniki z paliwem zajęły się ogniem i prawie wszystko spłonęło. Siła eksplozji musiała zerwać cumy poduszkowca i wyrzucić go parę stóp przez lód, dzięki czemu ocalał. Carlos zaczął grzebać w torbie, do której wrzucił to, co udało mu się znaleźć, przeklinając po hiszpańsku, lecz tym razem z roztargnieniem.

- Ale gdzie podzieli się wszyscy? - zapytał Iks, powtarzając to, co mówił na stacji. Wade pomyślał, że pokonali polarny płaskowyż tylko po to, by znaleźć się w takiej samej sytuacji jak przedtem, tyle że teraz byli bardziej zmęczeni, głodni, zziębnięci i obolali. Nogi leżały przed nim jak dwa balony wypełnione galaretą i okropnie bolała go kość ogonowa, choć nie sądził, by znowu ją złamał podczas swego widowiskowego upadku.

Carlos zalał wrzątkiem sproszkowaną czekoladę w kubku. Przez moment Wade poczuł jej aromat. Wciąż byli sami, w sercu Antarktydy, w samym środku czegoś, co wyglądało jak po napadzie terrorystów; ale przynajmniej mieli dach nad głową.

- Najpierw coś zjemy - rzekł Carlos, wsypując do garnka więcej lodu. - I jeszcze trochę się ogrzejemy. Potem włączymy radio i spróbujemy skontaktować się z Shackletonem albo McMurdo.

Albo z kimkolwiek.

Dwaj pozostali skinęli głowami, wpatrując się w stojące na ogniu garnki. Siedzieli w grubych śpiworach, które Carlos wyjął ze schowków poduszkowca; po pierś opatulał ich czerwony nylon. W zrolowanych kominiarkach, które wyglądały teraz jak grube czapki, zaczęli przypominać ludzi.

- Ile mamy jedzenia? - spytał Wade. - A jeżeli będziemy musieli czekać na ratunek?

Carlos zmarszczył brwi.

- Jadalnia spłonęła. Jest trochę żarcia w różnych budynkach, w torbach ze sprzętem awaryjnym. I trochę tutaj na pokładzie. Powinno wystarczyć dla nas trzech na tydzień czy dwa.

- Na pewno nie będziemy musieli czekać tak długo.

- Chyba nie. Miejmy nadzieję, że dowiemy się przez radio.

- Można tym pojechać przez lodowiec do obozu na Shackletonie?

Iks i Carlos spojrzeli po sobie.

- Zastanawiałem się nad tym - rzekł Carlos. - Prowadziłem go może kilka minut, wiem, jak to się robi, ale do tego trzeba dwóch... - popatrzył na Iksa.

- Przyglądałem się - powiedział Iks, unosząc rękę. - Chyba mogę być drugim pilotem. Jeżeli trzeba, możemy spróbować.

- Może wspólnie go rozpracujemy - rzekł Wade. - Myślicie, że to trudne?

Tamci dwaj znów spojrzeli na siebie.

- Zobaczymy - powiedział Carlos. - Najpierw sprawdzmy, co mówi Mac. Jeżeli w ogóle mówi.

A potem usłyszeli okrzyki na zewnątrz.

Lód jak biały papier przed pierwszym dotknięciem pędzla. Pierwotna pustka, od której wszystko się zaczyna. Piąty żywioł poza przestrzenią i czasem, pustka w najwyższym wymiarze.

Lód i skała. Świadomość bieli, pojemność czerni.

Nieustająca zima. Planeta Zima. Jeden dzień, jedna noc. Yin i yang ciemności i światła. Kamera, zapisać te obrazy i komentarz do późniejszej transmisji.

Biały ocean. W oddali tył smoka, zagrzebany w lodzie. Idziemy w jednej linii, a jednak jest to ruch, który równocześnie zakręca się wokół własnej osi i otwiera na nieskończoność. Spiralny rozwój. Znaleźliśmy się w dziwnej sytuacji, o czym się sami przekonacie, kiedy dotrze do was ta transmisja. Stanowi ona wyjaśnienie naszego celu. Musimy znaleźć schronienie i jedzenie, inaczej zginiemy. Inne zadania zeszły na dalszy plan, ponieważ przetrwanie ma pierwszeństwo przed wszystkim.

Nasza sytuacja dziwnie przypomina tę, w jakiej znalazła się wyprawa Shackletona na statku "Endurance", rozpoczęta w roku 1914, po tym jak zakończył się dramatyczny wyścig Scotta i Amundsena na biegun. Skoro biegun został zdobyty, kolejne ekspedycje antarktyczne musiały znaleźć dla siebie jakieś inne racjonalne uzasadnienie, a w tamtych czasach to wcale nie było łatwe. Shackleton nazwał swą podróż "Transantarktyczną Ekspedycją Imperium Brytyjskiego", ale szumny tytuł w części maskował fakt, że wyprawa nie ma żadnego konkretnego celu. Wymyślono przejście przez kontynent jako przedsięwzięcie, które miało zastąpić zdobycie bieguna; nikt o tym wcześniej nie pomyślał. Był to pretekst dla kogoś, kto po prostu chciał tam pojechać dla samego miejsca. Badania, nauka - nic z tego nie interesowało Shackletona; liczył się tylko pobyt na Antarktydzie. Właśnie tam jako pierwszy doświadczył bycia-na-świecie, które jest podstawą naszej rzeczywistości i naszym prawdziwym domem; zamiast jednak szukać tego doświadczenia w pustkowiu, jakim jest Anglia, powracał na południe.

Tak więc Shackleton i jego ludzie wsiedli na okręt, rozpoczynając projekt, który pod wieloma względami jest podobny do organizowanych dziś komercyjnych wypraw przygodowych. Takich jak

ta, w której teraz uczestniczymy.

Widzicie, każda ekspedycja ma inny charakter, spełniając różne losy karmy. W istocie wiele ekspedycji zawiera w sobie całe istnienia karmiczne, w ciągu czasu swego trwania. Cykle karmy są krótsze od ludzkiego życia i każdy z nas w ciągu naszego biologicznego istnienia przechodzi przez wiele różnych istnień. To fakt, o którym, jak stwierdziłem, niewiele wiadomo na Zachodzie, mimo że w dziejach ludzkiego życia dokładnie to widać.

W każdym razie Shackleton i jego ludzie wpłynęli na okręcie "Endurance" do Morza Weddella, leżącego po przeciwnej stronie kontynentu i Morza Rossa. Morze Weddella pokrywa kora o wiele grubsza niż Morze Rossa i statek Shackletona utknął w lodzie. Podróżnicy byli zmuszeni mieszkać na nim przez dziesięć miesięcy, a okręt tańczył, posłuszny ruchowi lodu po wielkiej zatoce; potem lód zmiął statek i go zatopił, a ludzie przez pięć miesięcy mieszkali w obozach na lodzie, dryfując na północ i zachód.

Plany Shackletona dotyczące wyprawy zostały zaprzepaszczone. Mogli jedynie koczować na krach dryfujących w stronę morza i czekać, aż lód ustąpi, by spróbować dopłynąć na trzech maleńkich szalupach do stałego lądu.

Wówczas podjęliby jedną z największych wypraw w historii. Lecz czekać, miesiąc po miesiącu, było bardzo trudno. Inne ekspedycje przez podobną wymuszoną bierność popadały w szaleństwo.

Jednakże wszyscy ludzie Shackletona potwierdzają fakt, iż umiał czekać spokojnie, nie tracąc przy tym pogody ducha, a jego niezmiennie dobry humor i troska, jaką okazywał swoim ludziom, pomogła im przetrzymać długie oczekiwanie.

Stworzył wspólnotę zaufania. W znaczeniu duchowym miesiące spędzone na oczekiwaniu stały się najwspanialszym osiągnięciem jego grupy - niezwykłym doświadczeniem bycia-na-świecie, które gruntownie i nieodwołalnie ich zmieniło: mieszkali na lodzie i odwoływali się do swej zbiorowej paleolitycznej podświadomości. "Zdaliśmy sobie sprawę, że nasza obecna egzystencja jest jedynie fazą" - jak ujął to Worsley. Ponieważ to prawda w każdym miejscu - zdali sobie sprawę z bardzo cennej rzeczy. A wszystko dzięki Shackletonowi. On nigdy się nie wahał.

Nie możemy się jednak dziwić zdolności Shackletona do utrzymania dobrego nastroju przez cały ten czas. Choć byli rozbitkami, przecież znalazł się tam, gdzie chciał. Mieszkał na Antarktydzie, przeżywając niepozbawioną trudów przygodę - właśnie tego chciał! Potrafił więc podtrzymywać na duchu swych ludzi, bo miał w sobie radość życia. Był u siebie. To ważne dla wielkości Shackletona: znalazł swoje miejsce, pojechał tam i był szczęśliwy. Dzielił tę radość z innymi, którzy to czuli.

Bardzo ważne, żebyśmy właśnie teraz o tym pamiętali. Zaczęliśmy iść śladami Amundsena, lecz musimy zacząć myśleć jak Shackleton. Jak dotąd Valerie przejawia jego optymizm, który będzie bardzo ważny dla powodzenia naszych wysiłków i bezgranicznie ufam, że zachowa go do końca. Sprzyja nam szczęście; możemy iść przez lód, co nie jest tak samo trudne jak czekanie. Mamy przed sobą cel, do którego dążymy, tuż za horyzontem.

Żyjemy przez godzinę i nadal wszystko jest tak samo. Żadnych zmian w duchu. Biała płaszczyzna, ciągnąca się w nieskończoność. Nie jest to znieczulenie zmysłów; raczej nadmierne ich obciążenie słońcem, niebem, lodem, światłem, zimnem; wszystko jest tu skrajnie intensywne, nieomal przytłaczające umysł. Lecz czas mija i wciąż tu tkwimy. Drobinę śniegu pod moimi stopami to prawdziwa nieskończoność światów. Niebo ma kilka różnych odcieni błękitu. Słońce jest gwiazdą.

W tej chwili wszystko jest jasne. Nie ma przeszłości, nie ma przyszłości.

Mantra Messnera: Przeszliśmy kawał drogi i jeszcze kawał drogi przed nami.

Jesteśmy gdzieś pomiędzy.

Zawsze jest tylko ta chwila. Nigdy nie uda nam się zmienić przeszłości.

Nigdy nie uda nam się poznać przyszłości. Nie ma powodu, by woleć jedno miejsce od drugiego; nie ma powodu mówić: chciałbym być w domu albo:

chciałbym być w jakimś nowym egzotycznym miejscu, które nie jest moim domem. Tu doświadczenie istnienia jest czyste. Ten świat jest naszym ciałem.

Teraz musimy pokonać pewien dystans w tym świecie. Zapasy pochłonał nam lód, tak jak ludziom Shackletona. I choć nasze trwające godzinę oczekiwanie jest niczym w porównaniu z ich piętnastoma miesiącami, w końcu i tak znaleźliśmy się w tej samej łodzi. Musimy przejść ten biały ogrom. Musimy znaleźć schronienie i jedzenie. Robimy pierwsze pociągnięcie pędzlem na czystym papierze. Jesteśmy w takiej sytuacji jak oni, kiedy lód pod nimi zaczął pękać i zaczęła się naprawdę niebezpieczna przygoda.

niebieskie niebo biały lód Na początku szli po firnie twardym jak chodnik. Oczywiście, był pokryty garbami śnieżnymi, ale mogli je łatwo przekraczać i ich buty stykały się z twardym podłożem pod różnymi kątami, dzięki czemu stopy i kostki miały jakieś urozmaicenie i mięśnie nie męczyły się tak bardzo jak podczas chodzenia po miejskich chodnikach albo ciągnących się bez końca korytarzach w muzeum. Szło się więc dobrze.

Rozciągnęli się w małe grupki: na czele szła Val z Jackiem i Jimem; Jack szedł mocnym krokiem, przyspieszając nawet tempo; za nimi podążali Jorge i Elspeth; Ta Shu nadal trzymał się z tyłu, rozglądając się wokół, tak jak przed wypadkiem. Val narzucała tempo, nie pozwalając wrywać się naprzód Jackowi.

- Oszczędzaj się - powiedziała do niego ostrym tonem, kiedy poczuła, że trzyma się tuż za nią. - Rozłóż siły na długi dystans.

- Rozkładam.

Ale trochę zwolnił i został z tyłu. Szli dalej. Radzili sobie całkiem nieźle.

Jak zawsze podczas długiej wędrówki, Val zatrzymywała grupę co półtorej godziny i robiła piętnastominutowe przerwy, podobnie jak czynił to Shackleton. W ciągu dziewięćdziesięciu minut ich termosy roztopiały ładunek śniegu, każdy więc miał dwa duże kubki wody. Zjadali też po kilka cali swoich pasków, jak ujęła to Elspeth; awaryjne racje żywnościowe zaszyte były bowiem w wewnętrznej kieszeni, która opasywała całe ciało. Jedzenie przypominało trochę energetyczne batony dla triathlonistów - rzeczywiście miało postać spłaszczonego, szerokiego paska. Było odpowiednie do sytuacji, w jakiej się znaleźli. W trakcie niektórych przerw żuli łąpczywie, podczas innych mieli trochę mniejszy apetyt, zapewne ze względu na wysokość i wysiłek. Val dbała, by się nie forsowali. W rzeczywistości najważniejsza w ich marszu była woda; w lodowatym, suchym powietrzu wydychali całe jej galony i trochę się też pocili. Dwa termosy co półtorej godziny to było zdecydowanie za mało, ale przynajmniej powstrzymywało najgorsze skutki odwodnienia, które mogły być bardziej niszczące dla organizmu, niż wychłodzenie i czyniły człowieka mniej odpornym na zimno.

Posuwali się więc naprzód w stałym tempie. Jednak po kilku cyklach marsz-odpoczynek dotarli do obniżonych miejsc, wypełnionych miękkim śniegiem, z którego wiatr usypał wysokie garby, jak krzyżujące się wydmy.

Zaspy były świeże i powstały w wyniku wyjątkowo obfitych opadów na obrzeżach polarnego lądolodu w ciągu ostatnich lat, co wiązało się z efektem globalnego ocieplenia i krótszym okresem utrzymywania się lodu morskiego.

Klimatolodzy wciąż spierali się o powody powstawania różnych rodzajów gwałtownych zjawisk atmosferycznych, poza ogólnym wzrostem temperatury w atmosferze. W każdym razie mieli przed sobą sypki śnieg, jeden z efektów zmian w pogodzie.

Val zatrzymała swoich podopiecznych, by się z nimi naradzić.

- Idźcie po moich śladach, tak będzie o wiele łatwiej.

- Powinniśmy się zmieniać na prowadzeniu, żeby każdy mógł zaoszczędzić tyle samo energii - powiedział Jack.

- Nie, ja poprowadzę.

- Daj spokój. Wiem, że to długa trasa, ale nie ma sensu zgrywać macho.

Val patrzyła na niego przez chwilę, licząc na to, że kominiarka i okulary dostatecznie dobrze zasłaniają wyraz jej twarzy. Kiedy udało się jej rozewrzeć zaciśnięte zęby, powiedziała:

- To ja mam detektor szczelin.

- Każdy, kto będzie prowadził, może go nieść.

- Dzięki, wolę już sama go obsługiwać. Znam jego wszystkie fanaberie.

Nie możemy sobie pozwolić na następny wypadek.

- Wtedy też miałaś radar i jakoś nas przed tym nie uchronił.

Stali pod ciemnym, niskim niebem.

- Idź drugi i rób jej ślady lepsze - poradził Jackowi Ta Shu.

- Nikt z nas nie powinien tracić więcej energii niż inni.

- Po pierwsze, mam jej więcej niż inni - powiedziała Val. - Może poza tobą, ale ty jesteś ranny.

Skaleczyłeś się w rękę na ścianie szczeliny. Nie marnujmy energii na kłótnie, żeby nie zabrakło nam na marsz.

Trudno było zachować wobec niego uprzejmość. Nie wiedziała, jakich argumentów mogłaby jeszcze użyć, więc ruszyła naprzód, zanim zdążyła powiedzieć mu coś nieprzyjemnego.

Trzymał się tuż za nią jak podchodzący zdobycz myśliwy. Słyszała jego oddech i skrzypienie butów na śniegu. Niegodny zaufania, niełojalny, samolubny, nieprzyjazny, nieuprzejmy, niemiły...

Szli teraz za nią gęsiego przez śnieżne wydmy. Val utrzymywała umiarkowane tempo, mimo naciskającego z tyłu Jacka. Śnieg nie był oczywiście tak miękki jak puch w Górach Skalistych, ale wyjątkowo suchy, a wiatr powoli zaczynał zamieniać go w firn. Bardziej przypominał sypki piasek niż normalny śnieg, sypki piasek, który ugiął się pod nogami, więc marsz wymagał więcej wysiłku niż na firnie. W miejscach, gdzie śnieg stawał się bardziej lepki, musiała przy każdym kroku wyciągać z niego buty, a potem unosić nogę wyżej, co także utrudniało marsz. Lecz wędrowce poświęciła dużo czasu - prawie całe życie - i musiało minąć naprawdę wiele godzin, by poczuła zmęczenie. Nie, nic jej nie będzie; mogła chodzić bez końca. Martwiła się tylko o swych podopiecznych. Była za nich odpowiedzialna i sama wpakowała ludzi w kłopoty, jak zauważył Jack; ale nie mogła ich nieść, musieli iść sami. Jej zadaniem było więc ułatwienie im marszu.

Robiła co mogła. Ale w miarę pokonywania przestrzeni i upływu czasu, pod krążącym nad nimi słońcem, które wciąż stało nachylone pod takim kątem, jakby cały czas było wczesne popołudnie, zaczęli zwalniać i zostawać z tyłu. Jack już nie stawiał stóp na jej śladach w chwilę po tym, jak je odcisnęła, podczas odpoczynku nie wspominał też o zmianie prowadzącego. Przerwy spędzał w milczeniu - niema, zakapturzona postać z twarzą ukrytą za kominiarką i ciemnymi okularami. Niewiele też jadł. To zmartwiło trochę Val, która próbowała dowiedzieć się, co mu jest, zadając wszystkim ogólne pytania o samopoczucie. Elspeth sądziła, że zrobiły się jej pęcherze na piętach; Jorge uskarżał się na ból w kolanie; Jim i Ta Shu nie zgłosili żadnych konkretnych dolegliwości, tylko jak wszyscy stwierdzili, że są zmęczeni, narzekając zwłaszcza na sztywniejące od miękkiego śniegu mięśnie ud. Tylko Jack powiedział:

- Wszystko w porządku. Rozkładam siły na długi dystans.

No, dobra. Koniec odpoczynku. Ruszyli dalej.

GPS dalej nie działał, lecz od czasu do czasu kiedy go włączała, migał, podając odczyt, po czym znowu gasł. Według ostatnich wskazań w godzinę pokonywali przeciętnie trzy kilometry, co było normalnym tempem na płaskowyzu; z pewnością na miękkim śniegu posuwali się wolniej, a trochę szybciej na firnie.

Potem doszli do pasa niebieskiego lodu i Val jęknęła w duchu. Musieli się zatrzymać i nałożyć raki, po czym ostrożnie weszli na lód, który w tym miejscu pokrywało mnóstwo wytopionych przez słońce dołków. Stąpienie po zdradliwej powierzchni stanowiło nie lada gimnastykę dla stawów, ponieważ bez względu na kąt nachylenia płaszczyzny, szpice raków zmuszały ich do stawiania stóp płasko. Najlepiej było stawać na złączeniach i wystających grzbietach pomiędzy zagłębieniami; raki czepiały się wtedy stromizn po obu stronach grzbietu i utrzymywały stopę w poziomie; wymagało to jednak uwagi i precyzji. Szli więc jeden za drugim, zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt, posuwając się w najlepszym razie z szybkością dwóch kilometrów na godzinę. Val zmierzała prosto do najbliższego obszaru pokrytego śniegiem, jaki dostrzegła, więc szybko dotarli do przeciwległego końca oblodzonej powierzchni, wydając westchnienia ulgi, po czym usiedli, zdjęli raki i poczęli pić wodę z dna termosów, których zawartość uzupełnili płatami niebieskiego lodu; z niego powinno powstać więcej wody niż ze śniegu. Później wstali i zaczęli iść po czymś, co wyglądało jak ląd, po niebezpiecznej przeprawie przez wodę.

Jorge i Elspeth byli wyraźnie zmęczeni, choć się nie skarżyli. Jim również stawał się coraz bardziej wyczerpany, a Jack szedł obok niego, założywszy ręce na piersiach. Jack wciąż niewiele jadł w porównaniu do pozostałych, ale uparcie ignorował jej pytania na ten temat.

- Nie jesteś głodny?

- Niespecjalnie.

- W drodze spalamy mniej więcej dwieście albo trzysta kalorii na godzinę.

- Nic mi nie jest. Daj mi spokój.

Wzruszała ramionami i szła dalej. Z powrotem weszli na wygodny firn, co pozwoliło zwiększyć tempo przy minimalnym wysiłku. Po prostu szli, co było wielką ulgą po poprzednich zmaganiach.

Jednak kiedy kolejny raz spojrzała za siebie, zobaczyła, że Jim i Jack zostali w tyle za Ta Shu, zamykając kolumnę i co godzinę tracąc kilkaset jardów do swych towarzyszy. Dystans nie wydawał się duży, ale cały czas się powiększał. Zmartwiła się. Nie mogła jednak nic zrobić, więc szła dalej, stopniowo zwalniając kroku, by nikt nie musiał się przemęczać, zwłaszcza ci z tyłu.

Szli już dziesięć godzin, kiedy Val zdołała odebrać kolejny sygnał GRSa.

Przeszli jakieś trzydzieści kilometrów - zupełnie nieźle; lecz ona prowadziła ich dalej na południe, by ominąć szczeliny na szczycie Przejścia Hump, u czoła Lodowca Liv. Wciąż więc mieli przed sobą przynajmniej siedemdziesiąt kilometrów, w zależności od tego, jak daleko na południe będą się musieli zapuścić, żeby obejść lodowy grzbiet, sięgający na południe od nunataka zwanego Ostatnim Składem. Za tym grzbietem lodu leżał lodowiec Zanevelda, pokryty mnóstwem szczelin; muszą ominąć go od południa; po drugiej stronie Zanevelda leżał Masyw Robertsa. Oczywiście na razie wszystko to znajdowało się za horyzontem; widoczność we wszystkich kierunkach wynosiła około dziesięciu kilometrów, co oznaczało, że widzieli jedynie lodową platformę, nie licząc wierzchołków Gór Królowej Maud, wystających zza horyzontu po prawej.

Znów wpadła w swój rytm. Jak dotąd ze wszystkich jej klientów skutki długiego marszu najmniej odczuwał Ta Shu. W czasie przystanków kontemlował odległe wierzchołki Gór Królowej Maud, zapewne odcyfrowując ich przekaz feng shui. Szedł równym krokiem, a od czasu do czasu doganiał ją i szedł obok.

- Dobrze nam idzie!

-Tak.

Wskazał na góry - tylko one zakłócały idealny białobłękitny krąg horyzontu.

- To dobre miejsce - powiedział. Pokazywał w stronę, gdzie jak miała nadzieję Val, znajdował się Barnum Peak, wznoszący się po zachodniej stronie Przejścia Hump. - Otwarte na południe. Osłonięte od północy górami.

Dobre.

- Na półkuli południowej nie jest odwrotnie?

- Nie. Jest takie samo wszędzie. Łańcuch gór to grzbiet smoka. Ogień nad wodą. Czasem złe zdrowie. Musiałbym lepiej się przyjrzeć.

- Nie mamy czasu - powiedziała uprzejmie Val. - W każdym razie wygląda na to, że twoje zdrowie jest bez zarzutu. Świetnie sobie radzisz.

- Dziękuję - odrzekł. Szedł z odsłoniętą twarzą i teraz, kiedy się uśmiechnął, jeden z soplei zwisających z jego siwych wąsów odłamał się i spadł na ziemię. - Na razie żadnych kłopotów. Umieć chodzić; jedna z niewielu rzeczy, jakie umiem. W dzieciństwie zbierałem ryż. Chodziłem do miasta pieszo. Chodziłem do szkoły. Chłopskie życie. Potem dostałem miejsce na uniwersytecie, szczęście. Potem, zaraz jak się tam dostałem - reedukacja! - Roześmiał się. - I z powrotem na pola na kilka lat.

- Dobry sposób, żeby być w formie.

- O, są lepsze sposoby, mówię ci. - Wciąż się śmiał. - Naprawdę lepsze.

Widzisz, nie było co jeść. Ale stałem się silny. Teraz jestem stary, ale taka siła, ha - musisz siedzieć wiele lat, żeby odeszła.

Val skinęła głową. Wiedziała, co ma na myśli; często widziała przykłady takiej siły w Nepalu, gdzie ludzie mieli wytrzymałość, do której nie mógł się zbliżyć żaden mieszkaniec Zachodu. Kilku Szerpów, których знаła, szło z Bazy Everestu do Kathmandu trzy dni, po prostu po to, żeby sprawdzić, jak szybko mogą pokonać tę odległość - najlepsi alpiniści z Zachodu potrzebowali na tę trasę dwóch tygodni, jeśli w ogóle by ją przeszli. Nie, Val przeszła wiele mil z Szerpami i Rawangami - tragarzami - i widziała, że mimo ich pogody ducha, w rzeczywistości byli zwierzętami jucznymi, jak konie pociągowe albo osły - w ten sposób zarabiali na życie, ciężką pracą, po południu byli wykończeni, a wieczorem jedli z łapczywością wygłodniałych psów. Val imponowało wielu spośród tych ludzi; podobał się jej sposób ich pracy; kochała ich, mimo że górowała nad nimi wzrostem i nie mówiła ich językiem.

Nie była to jednak miłość, która potrzebowała jakiegokolwiek kontaktu. Lecz czasami, gdy ich obserwowała, pragnęła, by wysocy mężczyźni Zachodu mieli tego ducha, tę moc i wytrzymałość, jak Ta Shu. Z takimi ludźmi chciała wędrować.

Tymczasem miała tylko grupkę z jednym Ta Shu: z reszty powoli uchodziła siła. Jack i Jim zaczęli zostawać coraz dalej w tyle. Trochę zaskoczona, Val zatrzymała się i przez chwilę przyglądała im się badawczo. To nie Jim zwalniał tempo; wydawało się, że to Jack zupełnie opadł z sił.

- Niech to szlag - powiedziała. Za szybko parł do przodu i to go zgubiło. Albo zaczął odczuwać ubytek krwi, broczącej z rany na dłoni. A może jedno i drugie. Tak czy inaczej, wyraźnie zwolnił.

Val zarządziła wcześniejszy odpoczynek i przeklinając pod nosem, czekała na tych dwóch z tyłu. Przyszli dopiero po dwudziestu minutach od chwili, gdy do Val dołączyli Jorge i Elspeth; przez ten czas inni posilili się, wypili wodę z termosów, ponownie napełnili je śniegiem i powoli już marzli.

Zaczynały się kłopoty i Val nie mogła przestać myśleć, że winien im jest Jack.

Często zdarzało się, że tacy faceci jak on wyrywali do przodu pod wpływem zastrzyku

adrenaliny, w przekonaniu, że ich nadzwyczajna energia będzie niewyczerpana, po czym pierwsi wysiadali. Narzucenie odpowiedniego tempa wymagało wielkiej samodyscypliny. Silni, muskularni mężczyźni nie byli najlepsi na długich dystansach: musieli wykarmić za dużo mięśni, a gdy kończył im się dzienny zapas węglowodanów, mieli za mało tłuszczu, by móc dorzucić do ognia.

Kiedy więc Jack i Jim dowlekli się ciężkim krokiem do reszty grupy, Val zaproponowała, żeby zjedli po kęsie zapasów z pasa i trochę się podładowali. Jim skinął głową, wyciągnął z pasa kawałek, oderwał go i wsunął pod kominiarkę, zanim jedzenie zdążyło zamarznąć na kość.

Jack zirytowany pokręcił głową.

- Po prostu rozkładam siły - warknął. - Tak jak mówiłaś. Nie zamartwiaj się tym, tego akurat najmniej nam trzeba. Pozwól ludziom iść we własnym tempie.

- Jasne. Mimo to spróbuj coś zjeść. Musimy trzymać się mniej więcej razem, inaczej ci z przodu zamarzną, czekając na resztę.

- To niech nie czekają!

Patrzyła na niego.

- Powinieneś jeść - powiedziała w końcu. - Wypij chociaż wodę z termosu i naładuj do niego śniegu, na litość boską.

Po krótkiej chwili znów ruszyła przodem. Dzięki Bogu, radar milczał; byli na wielkim lodowym bloku - zwartej masie o niewielu spękaniach. Mogli po prostu iść przed siebie, panując nad tempem. Val zmieniła cykl, robiąc co godzinę dziesięciminutowe przerwy, co było dokładnym naśladownictwem Shackletona. Często spoglądała za siebie przez ramię. Jack ciągle zostawał w tyle i dystans ten się zwiększał; cały czas towarzyszył mu Jim.

W pewnym momencie, kiedy Val nie patrzyła w niebo, słońce przykryła chmura, która pojawiła się znikąd. Biała warstwa, spolaryzowana przez jej ciemne okulary, tak że widziała rozszczepione światło jak w pryzmacie.

Jak zwykle wystarczyła najmniejsza chmurka, by dzień z ciepłego i oślepiająco jasnego zmienić się w ponury i zimny. Osłaniali twarze kominiarkami i zapinali wyżej skafandry: w tym czasie chmura gęstniała, przechodząc w cienkie, zmarszczone pasmo, zupełnie zakrywając słońce. Zwykle tak się właśnie zdarzało; chmura mogła się pojawić w każdym miejscu na niebie, ale zatrzymywała się między Val a słońcem. Zdarzało się to tak często, iż Val sądziła, że to jakiś figiel perspektywy, a nie autentyczne zjawisko. W każdym razie chmura znów nad nią zawisała.

I była to bardzo zła wiadomość. W rezultacie ich ubrania nie będą już tak ciepłe i, co gorsza, termosy nie będą już mogły topić tak szybko śniegu i lodu; dwa, może trzy razy wolniej. Zacznie im dokuczać pragnienie.

Chmura miała też przykry wpływ na psychikę. Jasna przestrzeń przykryła się nieprzyjaznym cieniem. Misterny wzór śniegu pod stopami stał się wyraźnie widoczny: fraktalna nieskończoność ostro wyciętych mikrotarasów.

Ten skomplikowany świat w bardziej płaskich miejscach był równie pryzmatyczny co chmura i, patrząc w kierunku słońca, Val zobaczyła bezcielesne lodowe łuki, biegnące na chmurze i na powierzchni śniegu. Szli naprzód przez geometrycznie ułożone tęcze. Val spojrziała za siebie na Ta Shu, który gestem ręki, w której trzymał kijek, dał jej znak, że też zauważył to zjawisko i dziękuje jej za to, że chciała zwrócić mu na nie uwagę.

Piękny widok, a jednak świat wciąż wydawał się ciemny i wrogi. Chmury na płaskowyżu polarnym często zapowiadały jeszcze gorszą pogodę, co zapewne w części składało się na wywoływany przez nie nastrój. Miała nadzieję, że jej podopieczni nie wiedzieli o tym i cień będzie miał mniejszy wpływ na ich samopoczucie. Do Roberta zostało im jeszcze wiele godzin marszu i w

tym czasie wiele się mogło wydarzyć w pogodzie antarktycznej.

Nie pozostało nic innego, jak tylko podążać naprzód, w głąb odmienionego, obcego ładu, który z powodu jednej chmurki, w ciągu zaledwie kilku minut, zbrzydł i z zapierającego dech w piersiach stał się odpychający. Oni stali się natomiast maleńkimi plamkami na wysokim płaskowyżu Lodowej Planety, na której ludzie mogą przetrwać tylko w skafandrach kosmicznych.

Przekonywał ich o tym przenikliwy dotyk zimna.

Na następnym postoju pili i jedli w milczeniu. Val uznała, że nie ma sensu ich pocieszać. Mogła im znów powiedzieć, że oto w końcu mają przygodę, po wielu próbach i wydaniu mnóstwa pieniędzy. Nie sądziła jednak, żeby odniosło to skutek. Val odkryła, iż jedną z cech charakterystycznych dla prawdziwej przygody jest fakt, że często w ogóle nie była przyjemna, kiedy trwała. Mniej więcej to samo mówił kiedyś podczas rozmowy w obozie Jim, cytując Amundsena, który stwierdził, że przygoda jest wynikiem złego planowania. Jeśli tak, mogą za to winić tylko ją. Jack był już gotów to zrobić.

Zresztą sama się obwinięła. Wybrała niewłaściwą drogę. Jednak - jak rozmyślała, próbując się pocieszyć - wydawało się, że to, co się stało, dowodziło błędu Amundsena; przygoda może też się zdarzyć w wyniku pecha.

Można wszystko świetnie zaplanować, a potem paść ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Zdarzało się tak bez przerwy. Los był bezlitosny; dlatego takie zajęcia niosły ze sobą ryzyko. Dlatego życie było niebezpieczne. Nie sposób zaplanować sobie wyjścia z różnych sytuacji. Trzeba z nich wyjść, jeśli tylko się da.

W każdym razie skoro nie było sposobu, by ich pocieszyć podczas postojów, nie było też potrzeby ich poganiać ani nakłaniać do marszu. Sytuacja była jasna; albo będą szli, albo zginą. W każdej chwili przypominało im o tym intensywne zimno.

Włączyła GPS i aparat podał jej pozycję; byli na sto siedemdziesiątym drugim stopniu długości geograficznej. Mniej więcej w połowie drogi. Zupełnie nieźle, gdyby nie byli tak zmęczeni. Przeszli w końcu około trzydziestu mil i zaczynało brakować im sił. Val widziała, jak szli. Jorge lekko utykał. Elspeth od czasu do czasu ciągnęła za sobą kijki, zapewne dając wytchnienie zmęczonym rękom. Jack robił tak samo, idąc krokiem żałobnika.

Jim starał się iść w takim tempie jak przyjaciel, ale często wrywał się do przodu, po czym musiał stawać i czekać, co nie było najlepszym rozwiązaniem. Jedyne Ta Shu nadal szedł krokiem kogoś, kto ma jeszcze spory zapas energii, stawiając stopy dokładnie na śladach poprzedników i swobodnie posługując się kijkami. Wydawało się, że mogłby tak maszerować jeszcze bardzo długo.

Val sama czuła przebyte mile, lecz utrzymywała swój długodystansowy rytm; była w nieustannym ruchu, który wprawdzie wymagał pewnego wysiłku, ale ograniczonego i opanowanego, na który zawsze będzie ją stać; takie przynajmniej miała wrażenie. Naturalnie przyjdzie czas, kiedy to odczucie zniknie. Jednak rzadko dochodziło do tego, zwłaszcza kiedy prowadziła grupę ludzi, a w tej chwili mieli przed sobą jeszcze kawał drogi.

Jej wytrzymałość nie była zresztą najważniejsza. Tempo poruszania się powinno być dostosowane do najwolniejszej osoby w grupie, a ona nic nie mogła dla nich zrobić. No, niekoniecznie; mogła im oddać swoją wodę. Tak też zrobiła na następnym postoju, dając połowę wody Elspeth, a drugą Jackowi, nie zważając na ich protesty.

- Pijcie - rozkazała kategorycznym tonem, jakim nigdy przedtem się do nich nie zwracała. - Mnie się nie chce pić.

Oczywiście potem poczuła pragnienie. Pieczenie w ustach i gardle przywodziło jej na myśl wielodniowe górskie wspinaczki, kiedy na dzień mieli kwartę albo dwie wody i ostatnie dni spędzali

wisząc na oblanych słońcem granitowych ścianach, umierając z pragnienia, ale mimo to dalej się wspinali, pokryci białym potem. Suche usta, suche gardło, opuchnięty język, który po jakimś czasie wydawał się obcym przedmiotem włożonym w usta, utrudniającym oddychanie; fizyczne uczucie, że była stworzeniem złożonym z wody, które wysychało i traciło ciało; kurczyło się. Wyschnie i umrze, spali się. Było to o wiele bardziej bolesne niż zmarznięcie, choć tu często występowało razem z zimnem, które przenikało człowieka jeszcze szybciej, można więc było wyschnąć i zamarznąć, jak zmumifikowane foki w Suchych Dolinach.

No, dobrze. Jednak tak jak na stromych górskich ścianach, Val zaciskała zęby, zagryzając lekko wargi i parła naprzód. Napije się wody na następnym postoju, a potem znów zrobi sobie przerwę. Nic jej nie będzie. Mogła iść bez końca, w przeciwieństwie do uczestników wyprawy.

Chmura gęstniała, zmieniając się w biały pled, który całkowicie przykrył słońce i nie zdradzał najmniejszej ochoty, by ruszyć z miejsca. Można się było śmiać z epoki wiktoriańskiej, która mówiła o wojnie z Naturą, ale kiedy zobaczyło się taką chmurę, mimo silnego wiatru uparcie tkwiącą w miejscu, można było powziąć podejrzenie, że działa tu jakaś złośliwość; chochlikowa satysfakcja z dręczenia ludzi. Śmieszne przekonanie, ale nabierało tragicznego wymiaru, gdy konało się z pragnienia jak Val.

Zwolniła i szła kolejno obok każdego z nich, pytając o samopoczucie.

Z wyjątkiem Ta Shu i chyba Jima, wszyscy uskarżali się na ból; wyglądało na to, że ledwie stoją na nogach, a mieli przed sobą jeszcze ponad trzydzieści kilometrów. Postanowiła, że jak pasterz zaprowadzi tam swoje stadko. Do domu. Napoi ich i pocieszy. W opiece nad nimi było coś o wiele ważniejszego od własnych trosk. Oni liczyli się przede wszystkim. Buddyzm Szerpów, ich poczucie posługi. Była pasterzem albo owczarkiem w stadzie. Prowadziła je do zagrody.

Na następnym postoju znów jednak spróbowała dać Jackowi swoją wodę i namówić go najedzenie. Odmówił wody, wyszarpnął z pasa baton i oderwał kawałek, mrużąc:

- Odczep się, na litość boską. Staramy się jak możemy.

Jim, Elspeth i Jorge przytaknęli.

- Naprawdę nam ciężko - zmęczonym głosem powiedziała do Val Elspeth.

- Jasne - odrzekła Val. - Wiem. Wszystkim nam ciężko. Świetnie sobie radzicie. Przeszliśmy w niezłym czasie kawał drogi. Wszystko będzie dobrze, tylko się oszczędzajcie.

I jak najszybciej dała sygnał do drogi, mimo propozycji Elspeth, by zrobili sobie trochę dłuższą przerwę. Mogły im zeszywnieć mięśnie; poza tym było to niemożliwe ze względu na zimno. Musieli iść, żeby było im ciepło.

Ruszyła więc, starając się wyznaczyć granicę między szybkim tempem, które byłoby zbyt męczące a wolnym, przez które mogliby zamarznąć. Straciła tamten żar, który poprzednio czuła, wpływający z moralnego poczucia służenia innym; zaczęła w niej przeważać złość na nich, że tak szybko ulegają zmęczeniu. Pewnie, że mogła do tego wszystkiego nie dopuścić. Ale po co tu przyjeżdżali, skoro nie mieli odpowiedniej formy. Nawet ci tak zwani wyczynowcy niewiele się różnili od miejskich mózgowców - w najlepszym razie byli bojownikami niedzielnymi, którzy ćwiczą tylko koniuszki palców, a reszta ich ciała przypomina miękką watę. Gapią się w monitory komputerów, w telewizory, siedzą w samochodach - wszystko sprowadzało się do oglądania. Mózgi z wytrzeszczonymi oczami. A jej klienci byli przecież jednymi z najsprawniejszych, najlepszych na świecie! W każdym razie najlepszych w świecie dostatniego Zachodu. Jednak nawet oni wysiadali po siedemdziesięciu kilometrach marszu. I sądzili, że dokonali czegoś naprawdę trudnego.

W kosmicznych skafandrach nie byłoby wcale tak strasznie, gdyby się nauczyli odpowiednio sterować temperaturą. Przekonanie, że wyprawa antarktyczna jest straszną męką, która wymaga

nadzwyczajnej odwagi, wydało się Val totalną bzdurą, zwłaszcza teraz. Wszystko sprowadzało się do ekspedycji śladami kogoś - ludzie szli z kiepskim sprzętem, by powtórzyć wcześniejsze, równie źle wyekwipowane wyprawy i uważali, że dokonują czegoś trudnego, wymagającego wielkiej odwagi, a to było po prostu wielkie głupstwo. Owszem, ich wyczyn był niebezpieczny, ale nie odważny. Nie było związku między niebezpieczeństwem a odwagą, tak jak nie było związku między męką a cnotą. Oczywiście, jeżeli ktoś jak Scott szedł na biegun ze sprzętem harcerskim, cierpiał. Lecz nie można tego nazwać cnotą ani przejawem odwagi.

Idąc naprzód, Val uznała, że większość ludzi, którzy przyjeżdżali na Antarktydę w poszukiwaniu przygody i trudności, robiła tak, bo było to o wiele łatwiejsze niż zostać w domu i zmagać się ze zwykłymi problemami. W porównaniu z normalnym życiem, marsz przez polarny lód nie wymagał żadnej odwagi; był prosty, bezpieczny, niemal radosny. Odwagi trzeba było, żeby zostać w domu i borykać się z codziennymi sprawami; trudniej było namówić babcię, by zeszła z drzewa, czytać ogłoszenia w przekonaniu, że i tak nic się nie znajdzie, czy wybiegać z domu na dźwięk zderzenia aut. Albo czekać na wyniki badań ze szpitala. Albo prowadzić psa do weterynarza po to, by go uspić. Albo wyjść na mecz z chorymi na białaczkę dziećmi. Albo czekać na męża i zadawać sobie pytanie, czy dziś wróci pijany czy nie. Albo pomagać matce czy ojcu podnieść się z podłogi w łazience o czwartej nad ranem. Albo grać przez całe popołudnie w grę planszową. Tę listę można by ciągnąć bez końca. Świat roił się od rzeczy o wiele trudniejszych niż wędrówka przez Antarktydę. W porównaniu z nimi marsz przez lód, by uratować własne życie, był niczym. Tylko zabawą. Można było zginąć, ale to wciąż była zabawa; śmierć w wyniku zabawy. Istniało mnóstwo innych sposobów utraty życia, nieporównanie gorszych niż śmierć na skutek zimna; właściwie zamarzenie można określić jako jedną z najprostszych metod rozstania się z życiem. Cała zabawa w komercyjnej wyprawie przygodowej polegała na ucieczce od codziennych kłopotów. Niekoniecznie było to złe; Val sama nieraz w ten sposób rozwiązywała własne problemy; nie można jednak uznać tego za nic nadzwyczaj trudnego ani bohaterskiego. Trudne było normalne życie, a bohaterstwem stawienie mu czoła.

Val otrząsnęła się z potoku myśli, przystanąła i spojrzała za siebie; szła za szybko i ludzie, którymi się miała opiekować, zostali daleko w tyle.

- No chodźcie! - zawołała. - Cholernie się wleciecie. Świetna zabawa!

Macie swoją przygodę! Nie podoba się wam? - Prawie krzyczała. Ale byli tak daleko, że na pewno nie mogli jej usłyszeć.

Mieli za mało energii, a ona za dużo. Jeszcze jedna rzecz związana z wielogodzinną marszrutą; pozostawało niewiarygodnie dużo czasu na myślenie.

Czasem to dobrze, czasem źle. Gdy bywało źle, zachowanie jej wrodzonego optymizmu wymagało odrobiny wysiłku.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że minęło pół godziny; śnieg w termosie prawie stopniał. Zawróciła, by zrównać się z tamtymi, już opanowana, mogąca znów odgrywać przed nimi wielką optymistkę, co było teraz bardzo trudne. Boże, ależ z niej pocieszycielka! Była w najgorszym nastroju, jaki może mieć przewodnik; czuła pragnienie, ale i siłę; wpadła już w swój zwykły długodystansowy rytm i złościła się na klientów, że nie mają własnego rytmu długodystansowego. Gardło miała tak wysuszone, że wymówienie każdego słowa sprawiało jej ból; jeśli jednak ona była spragniona, to klienci z pewnością czuli się jeszcze gorzej. Potrzebowali jej pomocy; w tej sytuacji oznaczało to, że musi do nich mówić, bo nie mogła zrobić nic więcej. Podciągnęła kominiarkę, by zobaczyli uśmiech na jej twarzy i powiedziała:

- Lada chwila na horyzoncie zobaczymy Masyw Roberta! Jesteśmy prawie na miejscu!

Ponieważ do stacji mieli dobre dwadzieścia pięć kilometrów, była to chyba rekordowa odległość, o jakiej kiedykolwiek zdecydowała się powiedzieć: Jesteśmy prawie na miejscu, choć miała w tej konkurencji niemałe osiągnięcia. Uznała jednak, że musi to powiedzieć i tak też zrobiła. Dzięki temu mogli się jeszcze ruszać.

Jej zapowiedź nie podzielała tylko na Jacka. Dowlókl się do postoju, popatrzył na Val, która oznajmiła mu radosną nowinę, a kiedy znowu ruszyli, kolejny raz został daleko z tyłu.

Potem obejrzała się i zobaczyła, że Jack kuca na piętach, przyjmując najgorszą pozycję do odpoczynku, w której krew spływała poniżej kolan i przestawała tam krążyć. Wyglądało na to, że zasłabł. W jej stronę biegł Jim, by dać znać o kłopotach.

Wracając do Jacka, dała Jimowi detektor szczelin i kazała iść ze wszystkimi. Być może przyszedł czas, by odegrać przed Jackiem numer pod tytułem "przewodnik faszysta" i pognać go batem jego własnej buty, dla jjsgo własnego dobra i całej grupy. Nie chciała żadnych świadków.

Doszła do Jacka i stanęła nad nim. Umósl oczy i zaraz je opuścił.

- Jak tam? - zapytała.

Machnął ręką: Odejdź. Daj mi spokój.

- No już - powiedziała ostro. - Nie możemy zostawić cię tutaj. Jesteśmy z tobą, a ty jesteś z nami, musimy więc iść razem. Inaczej wszyscy będziemy w biedzie. Powiedz, czego chcesz, żeby poczuć się lepiej. Boli cię?

Patrzył w dół.

- Nic mi nie jest. Zaraz będzie mi lepiej. Muszę tylko chwilę odpocząć.

- Mocno uderzyłeś w ścianę szczeliny? Myślisz, że mogłeś doznać wstrząsu mózgu?

- Nie wiem.

- Pamiętasz upadek? Czujesz mdłości?

Żadnej odpowiedzi.

- Myślisz, że miałeś wstrząs mózgu, czy po prostu jesteś w szoku?

- Nie wiem! Daj mi odpocząć, dobrze? Bez przerwy nas poganiaasz.

Chcę chwilę odpocząć.

- Dobra, więc odpoczywajmy. - Usiadła obok niego.

- Nie, nie! Idź. Masz radar, powinnaś być z przodu, co ty wyrabiasz?

- Czekam na ciebie. Dałam radar Jimowi. Bez ciebie nie możemy iść dalej, bo się rozdzielimy.

- Pójdę po waszych śladach - powiedział. - Zostaw mnie.

Val przyglądała mu się zirytowana, ale także zmartwiona. To, co mówił, brzmiało bezsensownie. Musiała jednak coś zrobić, żeby poszedł dalej.

- Daj spokój - powiedziała, wstając. - Nie możemy iść bez ciebie! Narażasz wszystkich na niebezpieczeństwo, nie rozumiesz? O Boże, dlaczego wszyscy macho miękną pierwsi?

- To ty jesteś tu macho! - krzyknął. - Cały czas pędzisz do przodu, tak że wypadamy na słabeuszy!

- Dobra - powiedziała. - Kto się upierał, żeby iść szlakiem Amundsena, mimo że lód się zmienił? No, dalej! 1 na litość boską, wstań albo usiądź, bo w kucki blokujesz sobie przepływ krwi. Nie bądź przynajmniej głupi.

Usiadł ciężko.

- Idź. Dogonię was.

- Nie możemy iść dalej. Co się z tobą dzieje? Straciłeś trochę krwi, rozciąłeś sobie rękę, rozumiem. Zdaje się, że doznałeś też szoku i nie masz już siły. Ale musisz iść. Po prostu wstań i postaw jedną stopę trochę dalej niż druga. Przynajmniej spróbuj! Nie możemy cię nieść i nie możemy

ićć bez ciebie.

Musisz to zrobić. Chociaż raz pokaż, że masz jaja.

Odwróciła się i odeszła kilka kroków, zacisnąwszy z niesmakiem usta.

Odstawiła numer trenera ze szkoły średniej, szkoda gadać; ale pamiętała, jak bojowy duch w nią kiedyś wstąpił po wrzaskach szkolnego trenera koszykówki, a Jack wyglądał na faceta, który mógł na to zareagować podobnie.

Spojrzała na niego. Z wysiłkiem starał się podnieść na nogi. Coś z nim było nie tak; może rzeczywiście miał wstrząs mózgu? Przypomniała sobie Evansa, członka ekipy Scotta, który pierwszy umarł w drodze powrotnej z bieguna. Mężczyzna padł na śnieg i nie mógł już potem dojść do siebie. Silni mężczyźni nie wytrzymywali w tych warunkach. Macho często tak, musiała to przyznać; ale machismo stanowiło słabość i zniknęło w obliczu sytuacji takiej jak ta, kiedy trzeba było rozłożyć siły na długi dystans. Może właśnie na tym to polegało; Jack wolał krótki pożar adrenaliny - szybko się wypalał, a potem szukał czegoś lub kogoś, na kogo mógłby zwalić winę.

Dogoniła Jima, który czekał na nich oboje. Pozostali szli rozciągnięci z przodu, daleko przed osobą z detektorem szczelin, co nie było dobre, nawet gdyby szli po Wielkiej Kostce Lodu. Było więcej chmur niż przedtem i panował okropny ziąb.

- Miałeś być z przodu.

- Słuchaj, przecież on jest ranny - powiedział ze złością. - Stracił dużo krwi.

- Wiem. Ale musi iść. Nie możemy go nieść.

Jim patrzył na nią, nie starając się ukryć złości i zawodu. Wahał się. Stali twarzą w twarz w gwizdzącym wietrze.

Val obejrzała się. Jack już szedł, powoli, lecz równym krokiem, odpychając się kijkami. Starał się chronić rozciętą rękę.

- Widzisz, idzie. Rób co się da, żeby szedł cały czas. Daj mi radar.

Odebrała mu detektor szczelin i poszła naprzód, starając się trzymać tempo takie jak reszta, choć musiała wyjść na czoło z radarem, bez względu na to, czy lód był bezpieczny, czy nie. Mozolnie stawiając kroki, czuła się coraz gorzej. Jasne, że to, co powiedziała Jackowi, sprawiło jej trochę przyjemności, zwłaszcza po tylu uwagach z jego strony, które musiała znosić w milczeniu. Chyba jednak przyjemności było za dużo. W każdym razie pozostał jej niesmak. Shackleton zrobiłby to lepiej. Chociaż po zatonięciu "Endurance"

McNeish nie chciał już ciągnąć szalup po lodzie; Shackleton wziął go na bok i dał mu wybór: albo będzie dalej ciągnął, albo on sam go zastrzeli? McNeish zdecydował się ciągnąć.

Miło by było móc zrobić to samo. I bardziej uczciwie, zamiast przystawiać nóż do czyjegoes ego. Lecz Val nie miała takiego wyboru. Musieli zmusić Jacka do marszu. I maszerował. Ale w wyschniętych ustach pozostała gorycz - mdły smak Wyspy Południowej Georgii - i Val już nie chciała się oglądać na tamtych.

Szli dalej. Val trzymała tempo maruderów. Zbliżyli się do niskiego, stromeego wzniesienia w lodzie, które stanowiło przedłużenie grzbietu biegnącego od nunataka Ostatniego Składu i musiała pospiesznie wyjść na czoło. Dobrze, że zaszli tak daleko, ale mogli się tu natknąć na szczeliny, a od strony wzniesienia śnieg był dość głęboki i pocięty przez wiatr na naprawdę wysokie garby. Robiła tak głębokie ślady jak się dało, przypominając wszystkim, żeby szli gęsiego dokładnie po jej śladach. Nad zakopaną w śniegu granią przepływał lód, więc omiatała radarem teren przed sobą i uważnie przyglądała się lodowi, w poszukiwaniu charakterystycznych spadków albo zmian w teksturze śnieżnej. Nie zobaczyła nic i mogli iść bez przeszkód. Ale nawet tak łagodne wzniesienie uzmysłowiło Val, że jest naprawdę zmęczona. Znaczyło to, że klienci muszą być wyczerpani do cna.

Zerknęła na zegarek i dokonała szybkich obliczeń: szli już dwadzieścia sześć godzin. Oceniała, że zostało im jeszcze jakieś dwadzieścia kilometrów.

Usłyszała słaby okrzyk i szybko obejrzała się do tyłu. Jack upadł na śnieg, a reszta otoczyła go wianuszkami, stojąc lub pochylając się nad nim.

Val zbiegła do nich w dół zbocza. Jack był półprzytomny; próbował wstać, a inni mu nie pozwalali. - Leż! - powiedziała ostro Val, błagając go w duchu, by posłuchał.

Zmierzyła mu puls, zbadała go jak umiała najlepiej. Wyglądało to na hipotermię i coś jeszcze; chyba szok na skutek upływu krwi oraz ogólne osłabienie.

Pomyślała przez chwilę. Potem wzięła kijki narciarskie Ta Shu i swoje, po czym przywiązała je do pleców Jacka, tak że tworzyły podwójną literę Iks.

Nędzne nosze, ale kiedy przywiązała je liną do swojej uprząży, mogła go ciągnąć; głowa i szyja Jacka opierały się o kijki i konstrukcję z liny, a siedzenie i pięty od czasu do czasu szorowały o śnieg. Ciągnęło się go trochę gorzej niż sanie. Jeżeli nie będzie szedł, oczywiście bardzo szybko się wychłodzi, ale nic nie mogła na to poradzić; jedynie włączyć w urządzeniu fotoelektrycznym jego ubrania maksymalną moc i co tchu gnać do Robertsa.

- Dotrzymujcie mi kroku, jeżeli dacie radę - poleciła pozostałym, kiedy byli gotowi do dalszej drogi. - W każdym razie idźcie po moich śladach. - I ruszyła.

Teraz zaczął się prawdziwy wysiłek. Szczególnie brakowało jej kijków, które były bardzo pomocne w chodzeniu po śniegu. Nie mogła ich jednak niczym zastąpić. Dopóki nie natknęli się na goły lód, szła pełną parą, nie zatrzymując się, prosto w kierunku obozu Robertsa. Drogę tamtym będą wskazywać jej ślady, w razie gdyby zostali za daleko w tyle, a pięty Jacka pozostawią jeszcze lepszy trop, naruszając wszystkie śnieżne garby. Przy odrobinie szczęścia, na skutek wypadku towarzysza, tamci też poczują nowy napływ energii i przyspieszą, by nie stracić jej z oczu. Kiedy tylko dotrze do Robertsa, zostawi Jacka i wróci po resztę.

Maszerowała więc ze zdwojoną energią, nie zapominając jednak o odległości, którą miała jeszcze do pokonania. Miała sporą rezerwę i z ulgą porzuciła wreszcie tempo klientów i po prostu ruszyła. Pomyślała ponuro, że ze wszystkich umiejętności przewodnika górskiego, w tej była najlepsza.

białe niebo ruda skała biały lód Kilka godzin później najbliższy klient był daleko za nią na horyzoncie, sześć a może osiem kilometrów z tyłu. Zatrzymała się, by złapać oddech i przyglądała się im, pijąc wodę z termosu. Na czele szli chyba Jim i Ta Shu.

Jack wciąż był półprzytomny, ale na tyle świadom swego położenia, że leżał spokojnie i nie usiłował zrzucić więzów. Zastanowiwszy się, Val doszła do wniosku, że rzeczywiście mógł mieć wstrząs mózgu po upadku do szczeliny.

Choć potem przez długi czas tryskał wyjątkową energią. A może doznał szoku wskutek upływu krwi - z początku łagodnego, potem znacznie poważniejszego. Trudno powiedzieć. Teraz śmiertelnym niebezpieczeństwem było zimno; poważna hipotermia stała się kwestią czasu. Chroniły go przed nią tylko fotoelektryczne urządzenia w ubraniu, ale nie mogły ogrzewać go z maksymalną mocą, ponieważ słońce przesłaniały chmury.

Lecz po chwili zobaczyła Masyw Robertsa w całej okazałości; do celu zostało im więc mniej niż dziesięć kilometrów. Obóz naftowy leżał niedaleko za najbardziej na południe wysuniętym punktem masywu. Prawie się udało. Kiedy doszła grupa, Val wskazała na Robertsa w nadziei, że ten widok da im zastrzyk adrenaliny. Potem ruszyła dalej, jeszcze szybciej niż poprzednio.

Żaden długi dystans nie kończył się zwykle ostrym finiszem, ale Val szła z początku nadzwyczaj wolno, więc na odwrót podzieliła swój zapas energii.

Niemniej chciała włożyć całą siłę w finałowy rzut na taśmę; pozostali mogli iść w tempie, na jakie ich było stać. Choć wyglądali na wykończonych, wydawało się, że wytrzymają do końca. Ta Shu wykonał nawet obrót, by sfilmować krajobraz albo odprawić jakiś obrzęd, albo jedno i drugie. Val podobał się jego spokój, na który żadne okoliczności zdawały się nie mieć wpływu.

Przed nią wyłonił się czerwony doleryt Roberta. Po chwili ruszyła po nagim lodzie, który schodził do masywu; musiała pociągnąć Jacka i pozwolić mu zjeżdżać przed sobą. Pochyliła się, by spojrzeć mu w twarz; chyba spał.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedziała. - Zaraz ktoś ci pomoże.

Potem skręciła za występem i zobaczyła, że mała stacja spłonęła. Była zupełnie zniszczona. Serce zmroziła jej nowa fala strachu. Krzyknęła kilka razy, ale w ruinach nie pokazał się nikt. Potem na poduszkowcu, wciąż stojącym nieopodal pomostu, pojawiła się jakaś postać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

EKSTREMALNE ZJAWISKO ATMOSFERYCZNE

czerwona skała biały lód

Iks otworzył drzwi i krzyknął do zbliżającej się nieznajomej postaci. Wysoka kobieta ciągnęła rannego człowieka na czymś w rodzaju zaimprovizowanego indiańskiego toboganu, składającego się ze związanych liną kijków narciarskich. Zdumiony Iks przyjrzał się im bliżej. To była Val. Serce podskoczyło mu do gardła.

- Hej! - zawołał. Spojrzała w jego stronę, zobaczyła, że jest na poduszkowcu i zmęczonym krokiem ruszyła w kierunku pomostu. Iks przeszedł przez deskę, z której zbudował trap i pomógł jej wciągnąć poszkodowanego na pokład. Pewnie miała kłopoty na trasie i nie przyleciał po nich helikopter z Mac. Znów wróciła do niego myśl, która prześladowała go podczas jazdy skuterem do Roberts'a; myśl o ich bezbronności na lodzie. Sądziła, że uda im się przetrwać o własnych siłach, gdy tymczasem byli absolutnie zależni od pomocy z zewnątrz.

- Iks, to ty? - zapytała, patrząc na niego zza kominiarki i okularów.

-Tak.

Pomógł jej przenieść człowieka przez burtę poduszkowca i wnieść do kabiny. Położyli go na wznak na podłodze. Val jęknęła:

- Wody... - po czym ściągnęła kominiarkę; miała o wiele bardziej zawziętą i ponurą minę niż kiedykolwiek przedtem. - Macie tu jakichś lekarzy?

- Nie. - Podeszedł do maszyny, nalał do kubka ciepłej wody i podał jej.

- Ledwie tu przyszliśmy.

Napiła się wody i popatrzyła przez okno na stację.

- Co się stało?

- Nie jesteśmy pewni. Poza nami nie ma tu nikogo. Sami przyszliśmy ta niedawno i stacja wyglądała właśnie tak.

- Została wysadzona - powiedział siedzący obok maszyny Wade; Iks uznał to za niepotrzebną uwagę, bo w grę nie wchodziło żadne inne wytłumaczenie.

Val spojrzała na niego zdziwiona.

- Wade? Jezu, co ty tu robisz? Miałeś lecieć na biegun.

- Już tam byłem.

- Aha. - Trzymała kubek przy ustach rannego mężczyzny. Całkowicie pochłaniał jej uwagę, więc rzuciła tylko: - Jak było?

- Interesująco.

Val go nie słyszała. Nie mogła wlać wody w usta mężczyzny; był nieprzytomny. Uniosła głowę i spojrzała na Iksa.

- A potem obaj trafiliście tutaj?

- Obóz przy odwiercie też został wysadzony - wyjaśnił Des. - Potem się okazało, że Roberts też. Przypuszczamy, że obozy naftowe zaatakowali terroryści.

- Przypuszczacie?

- Nie mogliśmy się z nikim połączyć przez radio.

- Naprawdę? My też nie.

- Co się z wami stało? - spytał Wade.

- Straciliśmy sanie. Spadł na nie blok lodu. Przyszliśmy więc tutaj. Poczekałabym na ratunek,

gdyby udało mi się nawiązać z kimś kontakt. Wszystko to wydaje mi się bardzo dziwne.

- Gdzie byliście? - spytał Wade.
- Na szczycie lodowca Axela Heiberga.
- Jak daleko stąd?
- Jakieś sto kilometrów.

Obaj mężczyźni patrzyli na nią bez słowa.

- Za mną idzie jeszcze czterech klientów - powiedziała.
- Pójdę im pomóc - rzekł Iks.
- Dzięki.

Kiedy Iks zakładał buty, raki i skafander, Wade z typową dla siebie poważną miną wyjaśnił, co się przydarzyło im trzem od chwili, gdy pojechali obejrzeć weasela Hillary'ego; Iks miał wrażenie, jakby wszystko zdarzyło się kilka tygodni temu, choć w rzeczywistości było to wczoraj.

- Zakładamy, że ludzie z obu obozów zostali w jakiś sposób ostrzeżeni i udało im się uciec. Albo ich zabrano. Wszystko jedno - w każdym razie nigdzie nie natrafiliśmy ani na żywych, ani na martwych.

- A co z radiem w stacji? - zapytała Val, słuchając z niepokojem relacji Wade'a.
- Jest chyba tylko to na pokładzie poduszkowca. Nie próbowaliśmy go jeszcze włączać.
- A worki ze sprzętem awaryjnym?

- Znalazłem kilka - powiedział Carlos, wchodząc do kabiny i ciągnąc za sobą jeden worek. - Mamy radio na pokładzie, ale nie sądzę, że to kwestia odbiornika.

- Wiem. My mieliśmy tylko ręczne telefony i chciałam spróbować mocniejszego sprzętu.
- Ja też.

Carlos i Val zaczęli rozmawiać o bazie i zapasach, jakie mogły się w niej znajdować. Ponieważ zniszczony został główny kompleks, na pewno zapasy były szczupłe; jak dotąd mieli dwa worki na dziewięć osób. Wystarczy na kilka dni, poza tym Carlos twierdził, że na poduszkowcu jest jeszcze jakieś jedzenie. W normalnych warunkach powinno wystarczyć na przetrwanie do czasu, gdy doczekają się ratunku z Mac. Tyle że to nie były normalne warunki.

Iks zostawił ich i wyszedł na ziąb. Pokonał w rakach oblodzone zbocze i znalazł się na właściwym płaskowyżu. Zamachał do nadchodzących maruderów. Pierwszy szedł mężczyzna z odkrytą twarzą, o orientalnych rysach; jego uśmiech zamarł, kiedy człowiek ujrzał stację.

- Och! Chyba więcej kłopotów.
- Chyba tak. Jesteśmy w poduszkowcu, jest cały.
- Poduszkowiec, dobrze. Gorąca czekolada?
- Jasne, idź tam. Ja zaczekam na resztę.
- Ja też. Zaraz dojdą. Nic im nie jest.

Kiedy jednak ich zobaczył, wyglądali na zupełnie wycieńczonych, choć byli szczęśliwi, że im się udało. Widok spalonej stacji wywołał u nich szok, jednak bez większych trudności pokonali oblodzoną pochyłość. Po trapie weszli do kabiny poduszkowca, która w porównaniu z wiatrem hulającym na zewnątrz wydawała się miła i przytulna, choć w rzeczywistości było tam dziesięć albo dwadzieścia stopni cieplej niż na dworze. Mieli jednak schronienie.

Przez chwilę zrobiło się głośno; ludzie przedstawiali się sobie nawzajem i opowiadali o swoich przejściach. Dopiero potem do przybyłych dotarło, że ich kłopoty wcale się nie skończyły; ale przede wszystkim cieszyli się, iż szczęśliwie za jednym zamachem pokonali siedemdziesiąt mil polarnego lodu. Iks wrócił do maszynki i przygotowywał dla nich kubek za kubkiem gorącego kakao, stwierdziwszy przy tym, że na jedno posiedzenie pójdzie prawie połowa zapasu czekolady, jaki w tej

chwili mieli. Val podziękowała, kiedy podał jej ostatni kubek, ale przede wszystkim uwagę dziewczyny zaprzętał nieprzytomny mężczyzna. Carlos badał go z wprawą, która mogła dawać złudzenie, że nieraz miał do czynienia z medycyną. Val postanowiła przy najbliższej okazji skończyć kurs pierwszej pomocy. Iks nie znał się na tym najlepiej. Chciał jakoś ją pocieszyć (nawet jej zaimponować), ale nic nie przychodziło mu do głowy; nie mógł wiele zrobić dla nieprzytomnego, który, jak sobie naraz uświadomił, był prawdopodobnie najnowszym obiektem zainteresowania dziewczyny. Cóż.

Poszedł za przedział pasażerski i zaczął grzebać w schowkach w ścianie, które były zapchane pudłami wypełnionymi przede wszystkim częściami do maszyny.

- Moim zdaniem on po prostu zmarł - usłyszał głos Carlosa. - Nawet po silnym wstrząsie nie powinien popaść w śpiączkę, a twierdzisz, że to nie był duży wstrząs.

- Tak mi się wydaje - powiedziała Val.

- W takim razie hipotermia. Jak długo go ciągnęłaś?-

- Ze cztery godziny. Nastawiłam mu ogrzewanie na pełną moc.

- Ale były chmury. Bardzo długo pozostawał bez ruchu. Zmierzymy mu temperaturę i spróbujemy go ogrzać.

-Jak?

- W poduszki powinien być worek do ogrzewania ciała.

Iks właśnie znalazł ten przedmiot w schowku i przyniósł go do przedziału pasażerskiego. Tylko raz widział, jak się używa czegoś takiego, na pokazie ZLA w Christchurch, lecz Carlos rzekł:

- Dobra, o to chodziło - po czym wziął od niego pakunek i szybko go otworzył, rozwijając coś w rodzaju śpiwora uszytego z wypełnionej pęcherzykami folii. O ile Iks dobrze pamiętał, urządzenie to działało na podobnej zasadzie jak starodawne ogrzewacze rąk, które co starsi weterani w Mac wciąż nosili w swych kombinezonach; kiedy do worka wkładało się człowieka, pękały wewnętrzne kieszenie pęcherzykowej tkaniny i mieszały się jakieś substancje, ukryte w osobnych kieszeniach, wchodząc w reakcje chemiczne, w których wyniku powstawało ciepło. Na człowieka spoczywającego w śpiworze emanowało ciepło, jakby był w letniej kąpieli; to wszystko, co można było zrobić dla osoby z hipotermia.

- Najpierw musimy mu rozciąć ubranie - oświadczył Carlos, manipulując wielkimi nożycami, które znalazł w jednym z awaryjnych zestawów. Przecinając tkaninę, powiedział: - Niebezpiecznie jest zbyt szybko ogrzewać kogoś z hipotermia, bo może dostać szoku termicznego. Wszystkie zamknięte naczynia włosowate rozszerzają się równocześnie i nagły spadek ciśnienia może spowodować zaburzenia pracy serca.

Z zapałem, który Iks uznał za nieco niesmaczny, zaczął opowiadać im historię z własnej młodości. Pływał na statku, który z morza w pobliżu Ziemi Ognistej wyłowił sześciu argentyńskich marynarzy; załoga wysuszyła ich, dała im coś ciepłego do jedzenia i picia w kabinie, a potem patrzyła, jak cała szóstka umiera. Carlos przerwał opowieść, wpatrując się w zamontowany w worku mały wyświetlacz komputerowy, który podawał temperaturę ciała.

- Osiemdziesiąt sześć stopni? Co to, skala Fahrenheita? - Nacisnął parę guzików. - A, tak, trzydzieści stopni. No to na pewno mamy przypadek hipotermii. Ale widziałem już gorsze.

Człowiek w worku wyglądał jak pogrążony we śnie gwiazdor filmowy.

O ile dopisze im szczęście, zagra Łazarza. Carlos mówił o skomplikowanym systemie sterowania temperaturą, w jaki wyposażone było urządzenie; pełne termometrów, reostatów, nawilżaczy i dodatkowych grzejników, ale nagle sam sobie przerwał i powiedział:

- O Boże, popatrzcie na to. Był ranny, prawda?

- Rozciął sobie rękę - odparła Val. -1 chyba uderzył się w głowę. Zaraz po wypadku zdawało się, że nic mu nie jest, ale potem nastąpiło pogorszenie.

- Tak, ale popatrz na jego obojczyk. Widzisz to wygięcie? Musiał też złamać obojczyk.

Iks zerknął na Val. Miała okrągłe ze zdziwienia oczy.

- Nic nie powiedział - rzekła. - Nie wiedziałam.

- Pewnie nie używał kijków narciarskich?

- Przez większą część drogi tak. Czasami tylko je opuszczał. Myślałam, że po prostu jest zmęczony. Niech to diabli - dlaczego nic nie powiedział?

Carlos wzruszył ramionami.

- Miejmy nadzieję, że z tego wyjdzie. Złamany obojczyk to nic strasznego, a jeżeli po uderzeniu w łód przez jakiś czas wszystko było w porządku, nie będzie źle. Zobaczymy. Zdaje się, że teraz po prostu zasnął. Spróbujemy podać mu coś ciepłego do picia jak tylko się obudzi.

Na razie nie można było zrobić dla niego nic więcej, więc Carlos i Val zajęli się przetrząsaniem poduszki, by się zorientować, czym dysponują.

Iks nie chciał spać do roli klienta wraz z resztą grupy, więc przyłączył się do poszukiwań. Spędził na stacji ledwie parę dni, lecz zapamiętał ją na tyle dobrze, by jeszcze raz wyjść na dwór i szybko przeczesać teren w poszukiwaniu czegoś, co mogło przetrwać wybuch i pożar w głównym kompleksie.

Pech. Ogień nie oszczędził niczego. Iks wrócił z ulgą do poduszki, chuchając w zziębnięte dłonie. W środku było prawie tak samo zimno jak na dworze, ale mieli tu osłonę przed wiatrem, a poza tym we wnętrzu poduszki zaczęło się robić trochę cieplej. Klienci Val nadal siedzieli na ławkach, jedząc i pijąc bez przerwy. Val i Carlos majstrowali przy radiu.

- Zawadza Misery Peak - mówił Carlos. - Niemożliwe, żebyśmy mieli dobre połączenie.

- Misery Peak, Cypel Dismal - powiedziała Val, studiując mapę. - Ludzie, którzy nadawali nazwy tej okolicy musieli być w tak samo kiepskiej sytuacji jak my*.

- Nie, to były po prostu imiona ich psów.

- Ach tak.

- Fale radiowe nie mogą odbijać się od jonosfery? - zapytał Iks.

- Nie tutaj. Jesteśmy na końcu magnesu, że tak powiem. Fale radiowe strzelają prosto w górę.

- Aha.

- Ale może trafimy do przekaźnika. Warto spróbować. To o wiele mocniejsze radio niż tamto, przez które chcieliśmy się połączyć przedtem.

Radio miało słuchawkę taką jak telefon, połączoną z korpusem kablem telefonicznym. Carlos wziął słuchawkę i wcisnął na niej guzik, który pozwalał nadawać; rozległ się przesywający pisk. Carlos zwolnił przycisk i ostry dźwięk się urwał; spróbował jeszcze raz, z tym samym skutkiem.

- Cholera. Coś nie tak z tym radiem.

Wepchnął zaciski kabla na obu końcach, walnął słuchawką w konsolę i pięścią w obudowę. Gdy znów spróbował nadawać, usłyszeli ten sam ogłuszający pisk.

- Au! Przypuszczam, że siła eksplozji mogła coś uszkodzić. Mimo to zobaczymy, czy w ogóle da się coś nadać. - Wcisnął przycisk, zasłaniając drugą ręką słuchawkę, co trochę stłumiło pisk i powiedział głośno do mikrofonu - Centrum Mac, tu Stacja Robertsa, Centrum Mac, tu Stacja Robertsa, słyszycie mnie, odbiór?

Po kilku sekundach głośnego szumu radiowego usłyszeli słaby głos i wszyscy skoczyli na równe nogi, jak psy gończe, które zwierzyły zwierzyne:

- Kkkkkkkchchchch Stacja Robertsa, tu Centrum Łączności Mac kkkkkkkchchchch zniszczone

kkkkkkkchchch powtórz, jeżeli możesz kkkkkkkchchch.

- To Randi - powiedziała Val. - Powiedz jej, że jest tu też T-023.

- Dobra. - Carlos znów wcisnął guzik i przekrzykując stłumiony pisk, wrzasnął: - Mac, słyszymy cię, tu Stacja Roberts'a i T-023, odbiór!

Szum. Po chwili:

- Kkkkkkchchch mówisz T-023 kkkkkkkchchch, przed chwilą mówiłeś, że Stacja Roberts'a, odbiór.

1 misery (ang.) - nieszczęście, bieda; dismal (ang.) - ponury, smętny Carlos krzyknął:

- Tak, Mac, tu Stacja Roberts'a i jest u nas T-023! Musimy ewakuować chorego z T-023 ze Stacji Roberts'a, odbiór!

- Kkkkkkkkchchch ewakuować chorego, odbiór?

Carlos odczekał chwilę, przewracając oczami. Iks zauważył, że odkąd nawiązali łączność, znacznie polepszył mu się nastrój; Val też.

- Tak, Mac, trzeba ewakuować chorego. Powtarzam, trzeba ewakuować chorego, odbiór!

- Kkkkkkchchch większa część Antarktydy potrzebuje ewakuacji, Roberts!

- Mimo zakłóceń Iks wyraźnie słyszał, że Randi też się cieszy z udanego połączenia. - Jaki macie problem? Gdzie Val? Co T-023 robi w Stacji? Odbiór.

Carlos krzyczał:

- T-023 przyszła tu pieszo, Mac. Stacja Roberts'a jest w ruinie, spalona.

To samo w obozie w Basenie Mohna. Stacja i obóz zostały wysadzone. Mamy tu dziewięć osób, jedna z hipotermią, i bardzo mało jedzenia. Możecie nam pomóc, odbiór?

- Kkkkkkkkchchch straciliśmy helikopter i organizujemy ewakuację.

Zniszczono wiele obozów, powtarzam kkkkkkkchchch ekipa ratunkowa zajęta, helikoptery ani łączność kkkkkkkchchch chodźcie, dostaniecie się o własnych siłach na Shackletona, odbiór?

- Randi, powtarzam, mamy tu przypadek hipotermii, odbiór.

- No to go ogrzejcie, na litość boską, odbiór.

- Jest też ranny, Randi. Kiedy możecie nam przysłać helikopter, odbiór?

- Kkkkkkkkchchch sami na Shackletona, odbiór?

Carlos i Val spojrzeli na siebie. Wreszcie Val wzięła słuchawkę i wcisnęła guzik. Przez głośnię wycie powiedziała głośno:

- Randi, tu Val! Nie sądzę, żebyśmy byli w stanie pieszo dostać się do Obozu na Shackletonie! Musieliśmy iść z Axela Heiberga i ludzie są wykończeni! Ktoś nas musi podrzucić, odbiór!

- Nie słyszę dobrze, Val. Trochę nam przerywa, możesz kkkkkkkchchch.

Val wdusiła przycisk, krzyząc:

- Musi nas ktoś stąd zabrać! Odbiór!

- Kupa ludzi czuje się teraz porzucona, Val, ale ekipa ratownicza nie daje sobie rady! Mamy dwadzieścia dwa wezwania pomocy, a reszta usiłuje się dowiedzieć, co się stało z łącznością kkkkkkkchchch sześć albo siedem grup. Właśnie przed chwilą nawiązaliśmy łączność i czekamy na dostawę paliwa! Cieszę się, że was słyszę, ale jeżeli nie możecie się dostać do Shackletona, musicie siedzieć tam przez kilka dni albo dłużej, odbiór!

Val i Carlos znów spojrzeli po sobie. Val zawołała:

- Dobra, Randi, słyszymy cię! Co się stało w McMurdo, odbiór?

- Kkkkkkkkchchch prawie cię nie słyszę, Val, mam zaraz łączenie kkkkkkkchchch następne łączenie godzina dziewiętnasta, sły... kkkkkkkchchch.

- Słyszymy cię, Randi, następne łączenie godzina dziewiętnasta, porozmawiamy później, odbiór!

- Godzina dziewiętnasta, bez obioru.

Carlos wyłączył radio i głęboko odetchnął.

- Ależ to cholerstwo hałasuje!

Jednak mimo odmowy udzielenia pomocy i rozrywającego uszy hałasu, rozmowa z Randi dobrze im zrobiła. Nawet złe wiadomości były lepsze niż żadne; brak kontaktu przygnębiał ich, a nawet przerażał. Wreszcie go nawiązali i ustalili godzinę następnego łączenia. Pociuszająca była także wiadomość, że nie są osamotnieni w kłopotach na Antarktydzie. Nieszczęście nie znosi samotności; oni siedzieli właśnie pod Misery Peak.

Odezwał się Jim:

- Co robimy? Jak się przedostaniemy do obozu na Shackletonie?

Carlos machnął zniecierpliwiony ręką i odrzekł:

- Nie czas się tym jeszcze martwić. Najpierw zrobmy sobie coś gorącego do jedzenia, a potem zobaczymy, co dokładnie mamy na stacji i zdecydujemy, co dalej robić. Może dowiemy się czegoś więcej przy następnym łączeniu. - Rzucił okiem na radio i zmarszczył brwi. - Zobaczymy.

Wade, Ta Shu i Elspeth poszperali w workach, gdzie znaleźli jeszcze dwie maszyny Colemana, które postawili na szerokiej półce, biegnącej wzdłuż boku kabiny; gotowali wodę na gulasz i gorące napoje.

- Zjemy gulasz z sucharami - oznajmił Carlos. - Jak Shackleton i Scott!

- Jak Amundsen - poprawił go Ta Shu. - Jesteśmy ekspedycją "Śladami Amundsena".

- Dobra. Norweski gulasz. Z kawałków renifera. - Chichocząc, przeglądał wyblakłe etykiety na paczkach z jedzeniem.

Patrząc na niego Iks doszedł do wniosku, że Carlos cieszył się nie tylko z nawiązania kontaktu z McMurdo, ale także z wiadomości, że jego stacja nie była jedynym obiektem ataku na Antarktydzie. Nawet jeśli traktował to osobiście, ani przez moment nie sądził, że coś im może grozić w tym opuszczonym miejscu. Iks i jak podejrzewał wszyscy pozostali czuli się niczym rozbitkowie z wyrokiem śmierci w zawieszeniu. Carlos czuł się jak w domu - trochę niebezpiecznym, ale nie przerażającym. Dobrze było mieć go przy sobie.

Val poszła do małego magazynu, który znajdował się za przedziałem pasażerskim, by sprawdzić, co u rannego klienta; Iks poszedł za nią w nadziei, że może jej jakoś pomóc. Gdy stanął w drzwiach, ujrzał ją pochyloną nad głową przystojniaka; z wyrazem głębokiej troski na twarzy słuchała jego oddechu. Spojrzała na Iksa, który zatrzymał się i uniósł dłoń.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Nie chciałem przeszkadzać.

- Nie przeszkadzasz - odrzekła równie cicho.

- A więc bardzo ci na nim zależy - powiedział, wskazując na leżącego.

- Co? - Po chwili zrozumiała, co miał na myśli i na jej twarzy odbiło się tak szczere zdumienie, że Iks natychmiast pojął, iż jego przypuszczenia były błędne. Patrzyła na niego jak na szaleńca. Iks podniósł drugą rękę i wyglądał, jakby podwójną gardą bronił się przed nieuchronnym ciosem.

- Przepraszam - powiedział szybko. - Nie chciałem...

- Och, Iks - rzekła, potrząsając głową. - Jesteś taki... - nie mogła znaleźć właściwego słowa.

Pochylił głowę i westchnął. Miała rację.

- Jak się czuje? - zapytał, by zmienić temat.

Spojrzała na twarz mężczyzny.

- Zdaje się, że śpi. Z termometrów wynika, że temperatura ciała podniosła się do dziewięćdziesięciu czterech stopni. W każdym razie worek ledwie go ogrzewa.

Za Iksem pokazał się Carlos.

- Co z nim? - Wszedł i spojrzął na cyfry na wyświetlaczu. - Dobrze.

Wolny i stały wzrost temperatury. Puls i ciśnienie krwi w normie. - Popatrzyl w twarz leżącego.

- Hej! Hej! - Pokręcił głową. - Wciąż nieprzytomny. Chodźcie. - Pokazał drzwi za sobą. - Zaraz będzie kolacja i ciepłe picie.

Po posiłku Iks i Carlos ubrali się, po czym wyszli, żeby przeprowadzić gruntowne przeszukanie zniszczonej stacji. Nie znaleźli już więcej zapasów żywności.

- Hm, hm - mrucał Carlos, kiedy wracali do poduszkowca. - W Bernardo CHigginsie zawsze mieliśmy duży skład żywności zakopany w śniegu, na wypadek pożaru w zimie. Tu powinienem być zrobić to samo. Przyznaję, że bardziej zależało mi na Basenie Mohna. Trudno uwierzyć, iż w dzisiejszych czasach cały system transportowy może się tak łatwo załamać na tak długo. Musimy o tym pamiętać na przyszłość.

- A co teraz? - zapytał Iks.

- No, mamy cztery, nie, pięć worków awaryjnych... dziewięć osób... - Obliczał coś w myśli, kiedy szybko przechodzili po trapie do poduszkowca. - Powinniśmy chyba przedostać się do Shackletona.

- To długa trasa.

- Lepiej iść niż umrzeć z głodu. Poza tym może wcale nie będziemy musieli iść.

- Jak to?

Carlos walnął dłonią w burtę poduszkowca.

- Wiesz, jak to prowadzić?

- Jasne. Chyba tak.

Carlos uśmiechnął się do niego szeroko i klepnął go po ramieniu; weszli do środka, gdzie choć wciąż panowała temperatura w okolicach zera Fahrenheita, było nadal ciepło i przytulnie. Dobrze, gdyby mogli znaleźć się w obozie na Shackletonie bez potrzeby opuszczania tego schronienia, to oczywiste.

- Myślę, że powinniśmy spróbować pojechać poduszkowcem - powiedział Carlos do wszystkich, kiedy usiedli przy następnym kubku gorącej lemoniady. - Ma pełen bak, a to w zupełności wystarczy, żeby dostać się do Shackletona.

- Wiesz, jak to pilotować? - zapytała Val.

- Tak. Nieraz widziałem, byłem też drugim pilotem. Nic trudnego. Przy sterach musi być dwóch ludzi, ale mogę powiedzieć Iksowi, na czym polega rola drugiego pilota, a sam będę pierwszym.

- Iksowi?

- On też widział, jak się prowadzi, więc ma najlepsze pojęcie, jak to działa, nie?

Iks skinął głową.

- Drugi pilot musi tylko obsługiwać dmuchawę podnośników i wysięgniki. Przez większość czasu nie ma nic do roboty.

Mina Val wyrażała jednak powątpiewanie; miny pozostałych - nadzieję.

- Ile mamy żywności? - spytała Val.

- Pięć worków awaryjnych - rzekł Carlos. - Dla dziewięciu osób wystarczy na tydzień, może dziesięć dni przy większej oszczędności. Nieźle, ale to znaczy, że dla McMurdo spadamy niżej na liście czekających na ratunek.

- Możemy jeszcze poczekać - powiedział Wade. - A kiedy zostanie nam zapasów na dwa, trzy dni, ruszyć do obozu.

- Owszem, ale do tego czasu Shackletona mogą ewakuować. I znowu będziemy nisko na liście. Proponuję, żebyśmy zaczęli działać już teraz. Mamy jeszcze człowieka z hipotermią. Wprawdzie już

się rozgrzał, ale dalej jest nieprzytomny. Nie wiem, co to może znaczyć, ale...

Val skinęła w zamyśleniu głową.

- Dobrze by było szybko zabrać go do McMurdo - rzekł Jim.

- Racja - przytaknęła Val.

Jorge i Elspeth też zdawali się zgadzać z tą propozycją. Ta Shu tylko im się przyglądał, jak gdyby on tu nie miał prawa głosu.

- Powinniśmy się tam dostać - powiedziała w końcu Val do swojej grupy.

- Nie sądzę, żebyśmy zdołali tam dojść - powątpiewała Elspeth.

- Przecież mamy poduszkowiec.

Spojrzała na wszystkich po kolei; kiwnęli głowami ze zrozumieniem.

Iks widział, że dużo już przeszli i ufali Val.

- Zrobimy tak - rzekł Carlos. - Uruchomię poduszkowiec i na próbę pojeździmy trochę niedaleko pomostu, żeby się przekonać, czy damy sobie z nim radę. Jeżeli wszystko będzie w porządku, możemy ryzykować.

Iks i Carlos podeszli do sterów, zasiedli w fotelach pilotów i ogarnęli spojrzeniem groźnie wyglądającą tablicę rozdzielczą. Przez chwilę Iks miał wrażenie, że znalazł się w kokpicie samolotu. Wprawdzie widział, jak Geraldo i German pilotowali poduszkowiec do Mohna i z powrotem, ale jak się teraz przekonał, to było za mało.

Kiedy razem sprawdzali sterowniki, Iks zrozumiał, że zawarli milczącą umowę, iż nie będą mówić o rzędach włączników, przełączników, wskaźników i pokręteł, o których nie mają pojęcia. Skupili się natomiast na tych niewielu rzeczach, które w ich przekonaniu były kluczem do sterowania pojazdem, czyli włączniku zapłonu, kole sterowym, manetkach ciągu, sterownikach podnoszenia, przełącznikach wysięgnika. Iks kiwał głową, gdy Carlos podawał nazwy kolejnych instrumentów. Drugi pilot był odpowiedzialny tylko za uniesienie pojazdu i operowanie wysięgnikami. Chyba nic trudnego.

Obaj uśmiechnęli się do siebie nerwowo.

- Proste jak drut - oznajmił Carlos.

- Przekonajmy się - rzekł Iks.

Carlos włączył silniki. Z tyłu i pod nimi rozległ się przytłumiony ryk, od którego w wibracje wpadły wszystkie metalowe części poduszkowca. Zaczekali, aż silniki się rozgrzeją. Po wysłizganych od wielokrotnego dotykania przełącznikach Iks przekonał się, że poduszkowiec jest naprawdę stary. Hake i500a. Kiedyś, zapewne podczas jego pobytu na złomowisku, zamontowano mu wysięgniki, by uczynić pojazd bardziej odpornym na uderzenia bocznego wiatru i nierówności terenu. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, był to pojazd przeznaczony do poruszania się po płaskim terenie, jak woda czy pływający lód; przy silniejszym wietrze albo wspinaniu się na wzniesienie, miał skłonność do ślizgania się na boki, jadąc na własnej poduszce powietrznej i prawie nie mając kontaktu z podłożem. Inżynierowie, by ulepszyć poduszkowiec, przyspawali i przykręcili mu do boków borny, wyposażone w hydrauliczny system, który pozwalał opuszczać je na lód i podnosić. Z obu końców wysięgników zwieszały się szkielety skuterów śnieżnych; kiedy borny obniżały się i włączały się silniki skuterów, ich gąsienice zaczynały przesuwac się po lodzie i pomagały ciągnąć pojazd do przodu, zwiększając przyczepność poduszkowca.

Iks widział, jak to działa i rzeczywiście system był zupełnie niezły, pomagając pokonywać pojazdowi niewielkie nierówności polarnego lodu i nie pozwalając mu ześliznąć się do basenów leżących z boku.

Carlos jeździł z Geraldem i Germanem ustaloną przez nich trasą przez strome odcinki Lodowca

Zanevelda, prowadzącą do obozu na Shackletonie, a teraz znalazł jej mapę w komputerze pokładowym, który jak stwierdził Iks, był stosunkowo niedawno zamontowany i podłączony do tablicy rozdzielczej.

- Dobra, włącz turbiny podnoszące.

Iks odkrył, że dźwignie sterujące turbinami chodzą bardzo ciężko i trzeba je przesuwac na siłę; kiedy jednak to zrobił, wloty powietrza znajdujące się z tyłu, w dachu, zaświstały, silniki turbin jęknęły, a kurtyna poduszkowca, która utrzymywała strumień powietrza, wybrzuszyła się i pojazd uniósł się nad lód, z pojedynczym drgnieniem metalowego korpusu.

Gdy wzniósł się na pełną wysokość, Carlos zwiększył lekko moc turbiny napędowej. Okazało się, że silnik zwiększa obroty o kilka tysięcy razy na minutę z każdym centymetrem, o jaki Carlos przesuwiał dźwignię, więc pojazd rzuciło do przodu i odrobinę przechyliło.

- Jezu - powiedział Iks. - Kto pracował nad ergonomią tych sterowników?

- Jakiś idiota - odparł Carlos. - Gdzie są Geraldo i German? Cholerni Argentyńczycy...

- Myślałem, że są Chilijczykami.

- Teraz są Argentyńczykami.

Carlos delikatnie przekręcił koło steru. Tym razem zbyt delikatnie; żeby poduszkowiec odrobinę zmienił kierunek, trzeba było wykonać prawie cały obrót.

- Kompletny idiota. Co tam, poradzimy sobie. Zobacz, jeździmy w kółko. Lepiej zwolnić. - Szarpnął dźwignię ciągu, ustawiając ją z powrotem na jałowym biegu.

- A hamulce? - spytał Iks.

- Nie ma hamulców. Jeżeli chcesz się zatrzymać, musisz obrócić poduszkowiec i pociągnąć dźwignię, to zwolni.

- Świetnie.

- Jakbyś hamował, jeżeli nie dotykasz ziemi? Chyba żeby opuścić oba wysięgniki.

Iks pokręcił głową.

- Wszystko w porządku - rzekł Carlos. - Możemy go obrócić i zjechać po najbardziej stromych odcinkach tyłem.

-Aha.

Iksowi wydało się to niezbyt przekonujące, ale Carlos zaczął jeździć teraz po lodzie wokół Roberta, wykonując szerokie łuki, jakby dokładnie wiedział, co robi.

Za ich plecami stanęła Val.

- Zdaje się, że już to opanowaliście.

- Jasne - odrzekli chórem.

- Chyba Jack powoli odzyskuje przytomność.

- Dobrze, bardzo dobrze! Zaraz będziemy się łączyć z McMurdo. Powiemy im, co zamierzamy zrobić. Przypomnijcie mi też, żeby ich zapytał, co się stało z Geraldem, Germanem i całą resztą.

Podprowadzili poduszkowiec z powrotem do pomostu i Iks opuścił z całej siły dźwignię turbiny podnoszącej; metalowa wanna opadła twardo na lód.

Carlos wstał.

- Przygotujmy się; lepiej jak wyruszymy, kiedy silniki są jeszcze ciepłe.

Poszli na tył kabiny. Rannego trekera, Jacka, obudziły dźwięki próbnego rozruchu poduszkowca. Ta Shu i Jim kucali po obu jego bokach, wlewając mu w usta ciepłe płyny; pozostali tłoczyli się w drzwiach, ciekawi, jak czuje się ich towarzysz. Między łykami Val i Carlos zadawali mu pytania. Był trochę oszołomiony i nie pamiętał wypadku, podczas którego został ranny; powiedział jednak, że pamięta ich marsz; posłał przy tym Val spojrzenie, którego znaczenia Iks nie

umiał odczytać. Powiedział, że boli go ramię, ale poza tym wszystko z nim w porządku. Iks miał wrażenie, że facet jest wkurzony, ale nie chce o tym mówić. Coś się musiało stać tam, na lodzie. Val nie czuła się przy nim swobodnie, w przeciwieństwie do reszty klientów.

- Dobra - powiedział Carlos, gdy Jack skończył pić. - Spróbujmy połączyć się z Randi.

Podszedł do radia, włączył je i przykrył dłonią piszczącą słuchawkę; zaczął wywoływać Mac.

- McMurdo, tu Stacja Robertsa! Stacja Robertsa, wyznaczone łączenie o dziewiętnastej, odbiór! Jakość nie była lepsza niż poprzednio. Jednak przez trzaski dał się słyszeć przerywany głos

Randi.

- Kkkkkkchchch słyszę cię, Roberts! Co u was kkkkkkchchch...dbiór?

Carlosowi z trudem udało się potwierdzić odbiór, a Randi opowiedziała im trochę więcej o tym, co się stało. O ile dobrze zrozumieli przez szum i trzaski, jeden z wielkich zbiorników paliwa na McMurdo został czymś zanieczyszczony.

- Trochę paliwa ma nam podesłać Marynarka, w drodze jest też tankowiec, a na razie chłopcy odfiltrują to gówno z tego, co zostało. Od razu to spalamy. Szkoda, że przy filtrowaniu nie ma Rona. Akcje ratunkowe podejmujemy w koniecznych sytuacjach, odbiór.

- Najpierw najcięższe przypadki - zauważył Wade.

Carlos uciszył go ruchem ręki.

- Randi, czy to znaczy, że nie będziecie nas mogli stąd zabrać helikopterem, odbiór?

- W tej chwili loty do Shackletona wstrzymane, T-023! Zniszczono paliwo. Wciąż potrzebujecie samolot dla ranego?

- Ma złamany obojczyk.

- Kkkkkkchchch może poczekać. Powinniście się dostać do Shackletona, jeżeli tylko możecie. Jutro zamierzamy wysłać tam herculesa i wszystkich ewakuować. Zdaje się, że większość ludzi z Robertsa wylądowała właśnie tam, wiedzieliście o tym? Ze stacji i z Basenu Mohna.

- Hej! - wykrzyknęli równocześnie Iks i Carlos, ściskając się.

- ... do Shackletona albo wytrzymajcie na Robertsie i czekajcie, aż was zabierzemy.

- Nie mamy tyle żywności, żeby długo czekać - przekrzykując pisk, poinformował ją Carlos, za plecami Jorgego wyciągając rękę do Wade'a.

- To próbujcie się przebić do Shackkkkkkkkchchch...

- Dobra, dobra - rzekł Carlos - ale kto to wszystko zrobił, wiecie już, odbiór?

- Nie słyszę cię, Roberts, możesz powtórzyć, odbiór?

- Kto to wszystko zrobił!

- Kkkkkkchchch.

- Halo, Mac, tu Roberts, słyszysz mnie?

- Roberts, jesteś tam? Powtarzam Roberts, słyszysz mnie, odbiór?

- Tak, Mac, potwierdzam odbiór, słyszymy cię!

- Też cię słyszymy, Roberts, odbiór!

- Powtarzam - kto to wszystko zrobił?

- Żadnych informacji, Roberts. Podejrzewamy sabotaż, ale kkkkkkchchch.

- Tośmy się dowiedzieli - rzekł Carlos, kręcąc głową i wpatrując się w słuchawkę. - Randi, słuchaj! Chcemy pojechać na Shackletona poduszkowcem! Możesz nam podać prognozę pogody, odbiór?

- Kkkkkkchchch chcesz prognozę pogody, Roberts?

- Tak, Randi, tak! Potwierdzam!

- Roberts, powtórz wiadomość, mam cię połączyć ze stacją prognoz, odbiór?

- Tak, Mac, Tak! Tak! Potwierdzam, po-twier-dzam!

- W ogóle was już nie słyszę, ale przełączam cię do stacji prognoz, Roberts. Słuchaj, wiesz, że z twoim radiem jest coś nie tak, odbiór?

Carlos pomachał nad głową słuchawką, wybałuszając oczy. Potem krzyknął:

- Tak, Mac, wiemy o tym! Odbiór!

- Słuchaj, Roberts, możesz połączyć się za pół godziny? Nie mogę cię na razie połączyć z prognozą, a ja kkkkkkchchch.

- Zrozumiałem, Mac! Spróbujemy połączyć się za pół godziny, ale teraz jedziemy na Shackletona! Odbiór!

- Co powiedziałaś, Roberts, odbiór?

- ZACZEKAMY i połączymy się za PÓŁ GODZINY. Odbiór.

- Roberts, już cię nie słyszę. Zaczekajcie, proszę, odbiór.

- Dobrze, niech to szlag! Zrozumiałem! Zaczekamy! - Carlos zaczął się śmiać jak szalony.

- Kkkkkkchchch co?

- Nie, co jest drugie. Najpierw kto!

-Co?

- Nie! Co jest drugie! Najpierw jest kto!

- Co? Och! Ha ha! Bardzo śmieszne, Roberts! Wiesz co, sam się baw w Abbotta i Costello, ja muszę iść na występ Trzech Frajerów! Cholera, zgłoś się za pół godziny, bez odbioru!

Carlos wyłączył z hukiem radio i potrząsnął słuchawką, jakby chciał ją rozwalić na kawałki. Jeszcze się śmiał.

- Ha, ha, ha! Śmialiśmy się z tego jak głupki, kiedy byliśmy mali. Najlepsza lekcja angielskiego, jaką mieliśmy. Trzecie jest nie wiem! - wrzasnął do słuchawki.

Potem popatrzył na pozostałych.

- Dalej, jedziemy. Cel - Obóz Shackletona.

Wade pomagał Carlosowi, Iksowi i innym zabezpieczyć wszystko w poduszkowcu na czas podróży do Obozu Shackletona, kiedy nagle zadzwieczał jego ręczny telefon. Skoczył jak oparzony i wbiegł po kilku schodkach do kabiny, znajdującej się bliżej rufy, gdzie było ciszej, a mniejsza przestrzeń redukowała zakłócenia. Wcisnął guzik.

- Halo!

- Wade, Wade, to ty?

- Ja, Phil! Gdzie jesteś?

- Mniejsza o to, Wade, powiedz mi lepiej, gdzie ty jesteś! Co tam się u was dzieje?

- Jeśli mam zacząć od początku, to najpierw był atak na stację naftową, którą pojechałem obejrzeć, a teraz jesteśmy w bazie grupy naftowej na Masywie Roberta, przy początku Lodowca Shackletona, a baza też została zniszczona. Właśnie jedziemy poduszkowcem do Obozu NFN na Lodowcu Shackletona, skąd zabiorą nas samolotem do McMurdo.

- Żartujesz.

- Nie, Phil; słuchaj, dowiedziałeś się czegoś, wiesz, co się dzieje?

- Nie mam jeszcze wszystkich informacji, dzwonił do mnie John i powiedział, że łącza satelitarne z Antarktydą zostały zerwane, nie wiadomo dlaczego, ale jest jasne, że coś się stało. Wtedy zacząłem do ciebie wydzwaniać i nie odpowiadałeś! Nie odpowiadałeś!

- Wiem.

- Teraz dzwonię przez numer Pentagonu, który udało mi się zdobyć, mają własne satelity, trochę pewniejsze, ale niechętnie się nimi dzielą. Musiałem kazać Johnowi skontaktować się bezpośrednio z

Andym w Pentagonie i zdobyć od niego kod, ale zdaje się, że działa bez zarzutu.

- Na pewno lepiej niż nasze radiowe połączenie z McMurdo. Jak myślisz, mógłbyś mnie połączyć z McMurdo?

- Jasne, spróbuję. Poczekaj chwilę.

Telefon umilkł.

- Co jest! - zawołał Wade, wciskając raz za razem guzik. Cisza. Ta sama pustka, która panowała od momentu, gdy zobaczył dym unoszący się nad stacją w Basenie Mohna. - Niech to szlag.

- Coś nie tak? - spytała Val, która przyszła zobaczyć, co się stało.

- Właśnie rozmawiałem z Philem Chasem. Skorzystał z wojskowego łącza satelitarnego i powiedział, że będzie mnie mógł połączyć z McMurdo.

- Pewnie nie zadziałało. Już prawie jesteśmy gotowi do drogi. - Opadła na siedzenie obok niego i głęboko odetchnęła.

- Musisz być zmęczona - powiedział Wade.

- Nie, to nie zmęczenie.

- Martwisz się o swoją grupę. O tego chorego gościa.

Przytaknęła, a potem pokręciła głową.

- Wiedziałam, że coś z nim nie tak, ale nic mi nie powiedział. Złamał obojczyk i nic nie powiedział.

- Niektórzy tacy są. Może zresztą sam nie do końca wiedział, co mu jest. Pewnie był trochę oszołomiony.

- Może masz rację - powiedziała głucho, w zamyśleniu.

- W Suchych Dolinach wyglądało na to, że ten facet będzie...

Skinęła głową.

-Tak.

- A więc doszło do czegoś... do jakichś trudności? Był na ciebie wściekły?

- Może.

- Chyba chciał cię po prostu ukarać. Ale to naprawdę tylko jego problem. Nic nie poradzisz.

- Wiem. Ale nie chcę, żeby umarł przeze mnie.

Wade ostrożnie położył jej rękę na ramieniu, bardzo delikatnie.

- Carlos sądzi, że po prostu doznał lekkiego wstrząsu i trochę przemarzł.

Zawieziemy go na Shackletona, a potem do McMurdo i nic mu nie będzie. Poza tym jest za bardzo przekonany o swojej ważności, żeby pozwolić sobie umrzeć, prawda?

Nikły uśmiech. Spojrzała na niego przelotnie. Zeszli do przedziału pasażerskiego.

- Cały czas próbuj się skontaktować z tym senatorem - przypomniała mu Val.

- Jasne - rzekł Wade, patrząc na swój telefon. - Ustawię funkcję ciągłego wybierania numeru.

Co minutę.

białe niebo niebieski lód Poderwali poduszkowiec z tym samym delikatnym stukiem; Iks podejrzewał, że turbina z tyłu po lewej działa słabiej niż pozostałe, lecz Carlos posłał mu dwuznaczne spojrzenie, jakby sądził, że to on popełnił jakiś błąd.

Wszystko jedno; najważniejsze, że podnieśli już maszynę z lodu.

Z początku poduszkowiec sunął gładko jak marzenie, więc Iks i Carlos uśmiechali się do siebie z zadowoleniem. Po chwili opuścili płaską drogę, prowadzącą do Basenu Mohna i zaryzykowali wjazd na pokrytą garbami, dziewiczą powierzchnię lodowcowego firnu. Tu poduszkowcem trochę rzucalo, gdy strumień powietrza spod kurtyny trafiał w różne nierówności terenu.

Mimo to jazda była o wiele płynniejsza, niż na przykład skuterem śnieżnym; gdy Carlos

ostrożnie manipulował dźwignią przyspieszenia stwierdzili, że im szybciej jadą, tym łagodniej maszyna się zachowuje. W niedługim czasie pokonali lód rozciągający się za Żłobionym Szczytem i okrążyli wschodnią ścianę Masywu Robertsa.

Jak zauważył Iks, jeszcze podczas lotu tutaj masyw był wciśnięty w Lodowiec Shackletona niczym korek, niemal powstrzymując jego ruch; jak gdyby skalistą wyspę otaczały wartkie strumienie, płynące z jeziora do rzeki. Wąski przesmyk po zachodniej stronie, między Misery Peak a Dismal, wypełniał strzaskany niebieski lód, całkowicie blokując drogę. Nie mieli więc wyboru i musieli objechać wschodnią ścianę masywu, gdzie szersza rzeka lodu, nosząca nazwę Lodowca Zanevelda, łączyła się z zachodnim strumieniem i samym Lodowcem Shackletona. W niektórych miejscach Zaneveld był poprzecinany wieloma szczelinami, lecz między równymi odcinkami biegły gładkie rampy, a Carlos powiedział, że Geraldo i German jeździli opracowaną przez siebie trasą kilka razy.

Oddalając się od Robertsa i kierując się na coś w rodzaju lodowej szosy, położonej na wysokim nasypie, pomiędzy dwoma pełnymi szczelin zapadliskami, zauważyli, że poduszkowiec zachowuje się trochę jak samolot podczas lotu, ponieważ czuli częste boczne uderzenia wiatru, więc dziób schodził nieco z kursu, odchylając się pod pewnym kątem od kierunku jazdy. Wiatr jak zwykle był silny, pędząc z wysokości lodowca w dół, do morza i spychając ich w prawo, prosto w spēkane zapadlisko - nieznacznie, ale mimo to Carlos skręcił odrobinę w lewo, by skontrolować ruch maszyny. Zyskał tyle, że poduszkowiec odchylił się bardziej w lewo.

- Spróbuj lewy wysięgnik - rzekł, gładząc brodę.

- Dobra.

Iks wcisnął dźwignię. Gdy niewielki skuter zetknął się z lodem i Iks wdusił manetkę gazu, spod tylnej gąsienicy prysnął kawał lodu i poleciał w stronę poduszkowca; poczuli, że mają oparcie po zawietrznej.

- Wystarczy - powiedział Carlos i Iks przytrzymał manetkę. Po chwili:

- Dobra, minęliśmy najgorsze, teraz wiatr powinien wiać nam w plecy. Podnieś wysięgnik.

- Lewy wysięgnik w górę - rzekł Iks, ciesząc się, że tak dobrze pełni funkcję drugiego pilota.

Nagle radar impulsowy zaczął wysyłać głośnie i szybkie sygnały. Carlos rzucił okiem na ekran: szczeliny na kursie, na ostatnim odcinku rampy między obniżeniami.

- Cholera. - Popatrzył na mapę Geralda. - Aha. To dlatego tu skręcali, widzisz? Musimy pojechać prosto na linię masywu. Leży tam lity niebieski lód, który zakręca i obniża się w stronę skały, nie możemy więc podjeżdżać za blisko i przelecieć nad tym zakrętem. Zjeżdżamy na równe.

Zwolnił i obrócił poduszkowiec w kierunku Robertsa. Iks zrozumiał, o co mu chodzi; o brzeg masywu opierał się szeroki pas turkusowego lodu, gładkiego i równego, jak gdyby istniała tam spokojna mielizna, gdzie lodowiec nie poruszał się tak szybko, jak w środku strumienia. Jedyne problem polegał na tym, że jezior lodowca wznosił się znacznie wyżej niż skała na skraju masywu, górując ponad nią, co sprawiało, że widok nabierał surrealistycznego wymiaru: jak wzbierająca fala, która lada chwila rozbija się o brzeg. Carlos powiedział, że to efekt wietrznej ablacji lodu położonego na masywie. Gdyby wjechali na to zbocze, zarzuciłoby ich w bok i rozbiliby się na skale.

Lecz Carlos twierdził też, że równy, kremowy lód nad zakrętem jest na tyle szeroki, że da się po nim jechać. Sunęli więc dalej lodowcem, spoglądając w lewo i w dół na brzeg Masywu Robertsa, którego czerwień wystrzępionego dolerytu wyraźnie odcinała się od błękitu lodu. Po prawej paskudna strefa popękanego lodu połyskiwała milionem błękitnych odłamków. Nie mogli więc za bardzo zbaczać ani w prawo, ani w lewo, dlatego trzymali się drogi.

Sunęli z szumem silników. Z lewej pojawił się niewielki boczny strumień lodu, oddzielający Masyw Robertsa od trochę oddalonej skalistej wyspy, zwanej Nunatakiem Everetta. Znaleźli się na

wzniesieniu, skąd mieli widok na szeroki pas Zanevelda. Z góry ich trasa wydawała się wyraźna: mogli prześliznąć się między dwiema z wielu równoległych kamienistych linii, którymi poznaczona była powierzchnia lodowca i które powstały ze skalnych odłamków, spadających z Roberta; stopniowo ułożyły się w równe linie, co dowodziło, że lód wolno porusza się naprzód.

Val podeszła do mostka.

- Według podręcznika, który znalazłam, poduszkowiec nie powinien jeździć po zboczach nachylonych do poziomu pod kątem większym niż trzy stopnie.

Carlos pokręcił głową.

- Podręcznika nie pisano z myślą o Antarktydzie.

- Poduszkowca nie produkowano z myślą o Antarktydzie.

- To prawda. Ale świetnie tu sobie radzi. Możemy zjeżdżać tyłem, z opuszczonymi wysięgnikami. Wybierzemy sobie jedną z tych linii i będziemy się jej trzymać.

- Aha - powiedziała z powątpiewaniem Val.

A jednak Iksowi wydawało się, że tryskający optymizmem Carlos ma rację. Płynęli majestatycznie lodowcem Zanevelda, wzdłuż jednej z utworzonych z kamieni linii, z łatwością pokonując drobne pęknięcia i skały, na których skuter z pewnością by się wywrócił; spłynęli w dół łagodnego obniżenia, bez wysiłku i gładko. Iks i Carlos siedzieli wygodnie rozparci w fotelach, zadowoleni z siebie, a Val podejrzliwie na nich spoglądała.

Potem lód obniżył się pod trochę większym kątem niż dotychczas i nagle poduszkowiec zaczął się zachowywać jak kula w doświadczeniu, demonstrującym działanie grawitacji, znacznie przyspieszając i co gorsza, ześlizgując się w prawo. Ze stukiem maszyna przetoczyła się nad kamienistą linią na lodzie i poczęła osuwać się w dół zbocza - naprawdę urwistego - prosto w strzaskany lód, leżący u stóp Cypla Wiest, na drugim brzegu Zanevelda.

Carlos uniósł się w fotelu i skręcił w lewo, a poduszkowiec zareagował na ruch steru, obracając się wokół własnej osi; wciąż jednak sunęli bokiem w tym samym kierunku co poprzednio.

- Lewy wysięgnik - rzucił krótko.

Iks opuścił wysięgnik na lód i wdusił gaz skutera do oporu.

- Może zjedziemy tyłem, jak mówiłeś? - zaproponował.

- Tak, tak - odrzekł Carlos, kręcąc kołem steru.

- A hamulce? - spytała Val.

- Nie ma hamulców.

- Nie ma hamulców!

- Jak w łodzi. Wyłącza się silniki i maszyna zaczyna zwalniać.

- Z wyjątkiem takiego spadku jak ten!

- Musimy się obrócić. Podnieść wysięgnik.

Carlos przekręcił ster bardziej w lewo, tak że poduszkowiec zaczął jechać mniej więcej tyłem, wciąż jednak zsuwając się w stronę Cypla Wiest, w ogóle nie zmieniając zasadniczego kierunku ruchu.

- Teraz prawy wysięgnik.

Iks opuścił prawy. Przez chwilę pojazd rzeczywiście miał dziób skierowany w górę, zsuwając się tyłem; Carlos zwiększył do maksimum obroty turbiny napędowej, ale w tym samym momencie gaśienice skutera opuszczonego przez Iksa zetknęły się z lodem i poduszkowiec wykonał jeszcze jeden obrót, po czym znów zaczął zjeżdżać bokiem. Carlos zaklął i zakręcił sterem w przeciwną stronę, ale nim się zatrzymali w kolejnym obrocie i zaczęli obracać w drugą stronę, tył zamiast ustawić się w górę, znów tylko przemknął przez tę pozycję.

- Spróbuję opuścić kadłub na ziemię - powiedział nerwowo Iks, sądząc, że zadziała to jak hamulec. Oparł się całym ciężarem ciała na sztywnych dźwigniach podnośników.

- Nie - rzekł Carlos. - Lód jest zbyt nierówny. - Gdy mówił te słowa, poduszkowiec zaczął strasznie stukotać i podskakiwać.

Iks pośpiesznie szarpnął z powrotem dźwignie podnośników.

- A na gładkiej powierzchni? - zapytał.

- To właśnie jest gładka powierzchnia.

- Aha. No to może kiedy będziemy na śniegu.

- Jasne.

Lecz lodowiec lśnił błękitnym lodem jak daleko mogli sięgnąć spojrzeniem, we wszystkich kierunkach: jak ogromny, przelewający się strumień, w którym wszystkie fale i zawirowania zastygły w miejscu.

- Gdy uda mi się ustawić go tyłem, wypuść obydwaj wysięgniki - powiedział Carlos. - Potem jeżeli skręcimy w lewo, przyspiesz lewy, a prawy, jeśli zniesie nas na prawo. Zrobię to samo sterem.

- Dobra.

- Jak zwolnimy, opuść kadłub.

- Dobra.

- Niech was diabli - powiedziała Val, spoglądając w dół zbocza. - Jedźcie prosto na pole szczelin.

- Wiemy.

Carlos znów zaczął obracać sterem. Nabrał już sporego wyczucia i po jakimś czasie udało mu się utrzymać poduszkowiec tyłem do kierunku zjazdu na tyle długo, że Iks zdążył opuścić wysięgniki na lód, dzięki czemu maszyna stała się trochę bardziej stabilna. Niestety w tym miejscu zbocze spadało w dół bardziej stromo, więc przecięli kilka rzędów kamieni i skuter z prawego wysięgnika oderwał się z bomu, po czym koziółkując zniknął im z oczu.

Poduszkowiec znowu wirował, od czasu do czasu opadając, kiedy przelatywali nad szczelinami pod potwornym kątem, walił dnem w lód, a potem podnosił się na wzdętej kurtynie; gdyby kadłub trafił w szczelinę równoległą, z pewnością zniknąłby w jej czeluściach. Carlos ponownie usiłował ustawić się tyłem. Przez przednią szybę widzieli połyskującą niebieską toń, którą dotychczas zdołali pokonać; nieruchomą i oddalającą się od nich z zawrotną prędkością. Zbocze było bardzo strome.

- Ciągłe zjeżdżamy na pole szczelin - ostrzegła Val. Okrzyki, które wydawali pasażerowie z tyłu, ustąpiły miejsca martwej ciszy.

Carlos spojrział przez ramię i skręcił ster w prawo.

- Lewy wysięgnik na ful - powiedział do Iksa. - Musimy mocno skręcić w lewo.

Wcisnął dźwignię ciągu do końca i ujął ster w obie ręce, obracając bez wytchnienia głową, jak gdyby chciał w jednej chwili objąć wzrokiem wszystkie strony świata. Mknęli bokiem przez lodowy stok, w dół, ale pokonując równocześnie sporą odległość w poprzek zbocza. Gdyby teraz zaczęli się kręcić, byłiby już skazani na upadek w pole szczelin i katastrofę. Iks regulował prędkość lewego silnika w zależności od przechyłu poduszkowca, a Carlos robił to samo sterem i nagle stali się dwiema częściami jednego umysłu, który doskonale wiedział, co robi, kierując szaleńczym trawersem przez Lodowiec Zanevelda; pędzili jak statek całą naprzód, precyzyjnie operując przyrządami i nie odrywając oczu od pędzącego wprost na nich lodowego krajobrazu; w tym miejscu lodowiec opadał łagodną falą, pokrytą nieznacznymi szczelinami, które leżały na kursie; przemykali tuż nad nimi; niżej, z prawej, błyszczał istny Manhattan błękitnych seraków. Okrążali Cypel Wiest z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę.

Lecz gdy pokonali kolejny szeroki łuk, znów wyrosła przed nimi bezładna masa niebieskiego lodu, ciągnąca się w poprzek lodowca jak okiem sięgnąć. Carlos bez słowa skręcił, tak że poduszkowiec znów celował dziobem w górę, a Iks robił co mógł, by utrzymać równowagę za pomocą tylko jednego wysięgnika; cały czas działali w idealnej harmonii; poduszkowiec, nadal zwrócony tyłem w stronę swego przeznaczenia i z turbiną na pełnych obrotach, zwalniał, zwalniał i zwalniał; ale spękany lód zbliżał się szybko, Val aż zasyczała. Iks skoczył na dźwignie turbiny podnoszącej i opuścił je, wyęzając wszystkie siły; z kurtyny uszło powietrze i kadłub uderzył w lód; wszystkich w środku zaczęło rzucać po kabynie jak podczas potężnego trzęsienia ziemi, Carlos i Iks pozostali na miejscach, starając się utrzymać pozycję maszyny dziobem w górę. Zwalniali coraz bardziej. Po chwili z przeraźliwym metalicznym trzaskiem maszyna wpadła tyłem do pierwszej szczeliny i zastygła w bezruchu, nachylona pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Iks zerwał się z podłogi. Carlos pierwszy przypadł do sterowników i wyłączył silniki. Poduszkowiec nadal tkwił przechylony, z dziobem zadartym w niebo. Tył utknął w szczelinie, na szczęście dla nich wąskiej i płytkiej.

Wprawdzie na pewno nie uda im się wydobyć z niej pojazdu, ale przynajmniej nie pochłoneła ich lodowa przepaść. Carlos, Iks i Val spojrzeli po sobie okrągłymi oczyma, biali jak śnieg.

- Nic się nikomu nie stało? - krzyknęła Val w stronę reszty.

Z tyłu dobiegały jęki i przekleństwa.

- Co to, kurwa, było! - odezwał się Jack.

- Cieszę się, że lepiej się czujesz - odrzekła Val.

- Nic nam nie jest! - zawołał Ta Shu. - To dobre miejsce!

Kolejne przekleństwa.

- Wydostaliśmy się stąd, zanim to żelastwo wpadnie na amen - powiedziała Val. - Musimy znowu iść.

Nikt nie protestował. Poduszkowiec już nie nadawał się do użytku, co było dla wszystkich oczywiste. Poza tym, kiedy z trudem szli do wyjścia, Val zauważyła, że zdołali pokonać najbardziej stromą część lodowca.

- Do Obozu Shackletona mamy stąd dwadzieścia mil, a różnica poziomów to tylko kilkaset metrów. Bardzo łatwa trasa! Wszystko będzie dobrze!

Już prawie jesteśmy na miejscu!

- Gdybyście ominęli tę dziurę, byłibyśmy tam już za pół godziny - powiedział Jack.

Val zacisnęła szczęki tak mocno, że Iks zobaczył jak napinają się wszystkie mięśnie jej twarzy. Carlos i Iks po prostu popatrzyli na siebie. Uścisnęli sobie dłonie.

- Chodźmy - powiedział Carlos.

białe niebo biały lód Val wybiegła co tchu z poduszkowca i po chwili wszyscy stanęli na lodzie obok uwięzionej maszyny: dziewięć osób objuczonych całym sprzętem, jaki mógł się przydać w najgorszych warunkach atmosferycznych, z rakami na butach, dwie z toboganami załadowanymi sprzętem i workami. Do sań były przywiązane narty i kijki, ale stali na litym lodzie, gdzie niezbędne były przede wszystkim raki. Niebo przykrywały wysokie, rzadkie chmury, a na lodowcu, między jego urwistymi ścianami, przysiadł kłębiasty cumulus. Mocno wiało, choć na szczęście z góry, więc wiatr będzie im dmuchał w plecy podczas marszu. Było zimno. Nikt nie wyglądał na zadowolonego.

Zanim ruszyli w drogę, Val jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem grupę.

- Pójdziemy do Obozu Shackletona i będziemy robić postój co godzinę - powiedziała. - Wszystko będzie dobrze.

Odpowiedziało jej milczenie. Odkąd opuścili pokład poduszkowca i znaleźli się w lodowatej,

jasnej przestrzeni, Jack nie odezwał się ani słowem. Pewnie powinni od początku ciągnąć go na saniach, ale odmówił, a gdyby było trzeba, miał tobogan do dyspozycji; w każdym razie to dobry znak, że doszedł do siebie. Wszyscy klienci wyglądali na znużonych i spiętych, z wyjątkiem Ta Shu, który trzymał się z dala od pozostałych, zataczając niewielkie koła i cały czas gadając po chińsku. Reszta skupiła się wokół niej. Wade i Iks stali obok siebie, wpatrzni w nią. Do Wade'a nikt już nie zadzwonił ani on nie dodzwonił się do senatora. Wydawał się pogodzony z tym, co ich czekało, lecz zdecydowany, mimo siekającego w twarz wiatru.

Iks jak zwykle zachowywał postawę stoika. Przynajmniej ci dwaj mieli zapas sił, w przeciwieństwie do jej klientów, którzy i tak przeszli już więcej niż pozwalały im siły. Przebycie odcinka dodatkowych dwudziestu mil było dla nich ciężkim zadaniem. Musieli jednak zabrać Jacka do szpitala w McMurdo i brakowało im jedzenia. Nie mieli więc wyboru, trzeba było przejść pozostałą część drogi.

Val ruszyła, ciągnąc tobogan i starając się trzymać umiarkowane tempo, by nie wysunąć się za bardzo przed wszystkich. Carlos ciągnął drugie sanie; oboje mieli wszystko, co mogło się przydać podczas marszu.

Mimo że obciążeni saniami, szli znacznie szybciej niż pozostali. Jej klienci byli zeszywniali i wyczerpani; Iks i Wade nie mieli wprawy w chodzeniu po zdradliwym lodzie. Jim szedł obok Jacka, służąc mu za oparcie, gdyby się pośliznął. Facet ukrywał fakt, że złamał obojczyk. Co za dureń!

Val westchnęła i pokręciła głową. Wielu wspinaczy miało duszę bohaterów; znali wszystkie opowieści o wielkich dokonaniach rannych alpinistów: Doug Scott schodził z Ogre z połamanymi nogami, Joe Simpson, którego lawina zmiotła z grani jak lalkę, wczołgiwał się po partnera w Patagonii. Niezliczone historie. Ale żeby nie powiedzieć współtowarzyszom o swoim urazie? Co chciał przez to osiągnąć, poza wzbudzeniem we wszystkich poczucia winy za to, że tak się dziwili, iż wolno szedł? Głupota. Val nie miała zamiaru czuć się winna. A potem stracił przytomność. Ona zamartwiała się, nie wiedziała, czy mocno uderzył w ścianę szczeliny. Upadek oszołomił go i Jack umilkł, jak ranne zwierzę. Stało się. Smutne.

Jednak znów wysunęła się za daleko, zostawiając za sobą nawet Carlosa. Zaczekała, aż dogonią ją powłóczący nogami pozostali. Najgorszy był wiatr. Tam, w normalnym świecie, mawiano (zbyt często): Upał nie jest najgorszy, najgorsza jest wilgotność. Na Antarktydzie równie często mawiano:

Zimno nie jest najgorsze, najgorszy jest wiatr. Święta racja. W bezwietrzny dzień odpowiednie ubranie pozwalało wytrzymać największe mrozy antarktyczne - można się było nawet przegrzać. Lecz najłżejszy wietrzyk zabierał ciepło i unosił je daleko. Najlepsze z najnowocześniejszych urządzeń w "kosmicznych" skafandrach nie mogły stanowić tarczy chroniącej przed bezwzględną siłą wiatru. Kiedy zmieniał się w wichurę, stawał się nie do zniesienia. Po prostu nie sposób było stawić mu czoła.

Niestety, Val zobaczyła, że prawdopodobnie właśnie taki wiatr nadchodzi z czoła lodowca. Jak gdyby siedzieli w rozklekotanym pociągu, sunącym w zwolnionym tempie; mieli wiatr z tyłu, silny, ale dmuchający w plecy, więc mogli się skulić i wytrzymać jego uderzenia, które w pewien sposób nawet im pomagały, popychając do przodu nogi; wiatr w plecy nie był wcale taki zły, mimo przejmującego zimna. Lecz pod prąd wiatru z bieguny szedł im na spotkanie cumulus, który przysiadł na lodowcu w pobliżu obozu NFN, jak gdyby wbrew prawom fizyki.

- Niech to diabli - powiedziała do siebie Val, obserwując chmurę. Na dole musiało się dziać coś innego; chmurę pchał przeciwny, północny wiatr, chyba znad Morza Rossa, który parł w górę, pod prąd katabatycznego strumienia polarnego. Wszystko jedno. Burze na Antarktydzie były zdolne do wszystkiego. W normalnych warunkach Val przejrzałaby zdjęcia satelitarne, skontaktowałaby się z

Mac i poprosiła o dokładną prognozę, a gdyby ta była niepomysłna, zarządziłaby postój i kazała rozbić namioty. Teraz mogła jedynie przyglądać się chmurze, w nadziei, że wreszcie zwolni, i przeklinać jej zdolność poruszania się pod prąd wiatru. - Niech to diabli. Nad tą wyprawą ciąży jakaś klątwa.

Obejrzawszy się, stwierdziła, że znów powinna zwolnić tempo. Za nią szedł Carlos, ciągnąc tobogan, dalej szli Iks i Wade. Za nimi Ta Shu, który co parę kroków rozglądał się, wciąż mówiąc do swej niewidocznej publiczności, a może nagrywając komentarz. Dalej Jorge i Elspeth, wyraźnie już wykończeni; na końcu wlekli się Jim z Jackiem, który lewą ręką trzymał się za prawy łokieć. W porównaniu z Val cała ósemka poruszała się jak w zwolnionym tempie. Wiatr stał się porywisty, jego silne uderzenia przerywały chwile martwej ciszy. Val trudno było nie współczuć Jackowi, który choć z pewnością był palantem, to przy każdym krzywym stąpieniu na lodzie złamany obojczyk musiał mu okropnie dokuczać. Na pewno był na nią zły, że go popędzała w Basenie Mohna. Iks też był na nią zły, jeszcze za McMurdo. No jasne. Nad ich wyprawą naprawdę ciążyła klątwa.

Wade trzymał swój telefon przy ustach i krzyczał do niego w kolejnej bezowocnej próbie połączenia się ze światem; a może ktoś zadzwonił do niego i Wade próbował odpowiedzieć. Nagle pośliznął się i pospiesznie złapał kijek, którym na chwilę przestał się podpierać. Tak czy inaczej nie mieli szans na pomoc z zewnątrz, bez względu na to, czy Wade'owi udało się nawiązać kontakt czy nie. Val ruszyła dalej, szczęśliwa, że odwróciła twarz od wiatru.

W tym miejscu powierzchnia lodowca była prawie płaska, lekko nachylając się w dół. Niebieski lód jak zwykle pokrywały drobne zagłębienia, lecz poza tym nic więcej nie przeszkadzało w marszu. Po lewej, równoległe do ich trasy, ciągnął się pas czarnych i rudawych odłamków skalnych. Ściany czarnego klifu po obu stronach lodowca musiały zostać ścięte i wygładzone przez znacznie wyższy lodowiec, który zapewne niegdyś tędy przechodził i miał o tysiąc stóp więcej niż obecny, ponieważ klif był ścięty właśnie na tej wysokości, aż do stóp wałów, które dalej wspinały się do szczytów rysujących się na niebie nad nimi. Nie było tu tak ciasno i głęboko jak w kanionie Lodowca Axela Heiberga, ale szerokość rynny wywarła na Val znacznie większe wrażenie; wydawało się, że są jak maszerujące w niej mrówki. Wszystko tu było ogromne. Od Obozu Shackletona dzieliło ich siedemnaście mil; placówka NFN leżała w miejscu, gdzie do Lodowca Shackletona wpadał Lodowiec McGregora i obydwa łączyły się w gigantyczny strumień pod Mount Wade.

Ale wszystko to przykrywała teraz ciężka chmura, wspinająca się w głąb kanionu i widać było tylko wznoszący się wysoko Mount Wade - biały śnieg ponad białą chmurą. Nadchodziła burza.

Ci ludzie nie zdołają iść w burzy, niezależnie od jej siły. Niejako wbrew sobie Val przywołała w pamięci przejmującą relację Krakauera o słynnym katastrofalnym sezonie na Evereście, kiedy w jeden dzień zginęło dziesięć osób, przede wszystkim dlatego, że przewodnicy byli zbyt pewni siebie; za ogromne opłaty brali na szczyt Everestu kompletnych amatorów i musieli stawić czoło rozlicznym kłopotom, prowadząc ich w górę i w dół, znosząc nieprzytomnych ze szczytu na sam dół góry; sądzili, że poradzą sobie w każdej sytuacji, ale nigdy wcześniej nie przeżyli burzy na grani. Kiedy więc stało się to, co nieuniknione i w dniu zdobywania szczytu rozpętała się burza, zginęła większość klientów, a główny przewodnik został wysoko na szczycie, próbując ratować jednego z nich i w końcu sam zginął. Kiedy nadchodził jego koniec, baza połączyła jego radiotelefon z telefonem satelitarnym, by mógł odbyć ostatnią rozmowę z ciężarną żoną w Nowej Zelandii. Był to jeden z pierwszych przykładów dwuznaczności dobrodziejstw wieku łączności globalnej.

Gdy Val czytała książkę Krakauera na początku swej kariery przewodnika, przyrzekła sobie, że nigdy nie popełni podobnych błędów. I dotrzymała słowa, przynajmniej do tej pory. Nigdy nie

prowadziła żadnej grupy na ośmiotysięcznik ani na żadną skrajnie niebezpieczną wspinaczkę czy wyprawę. Inni przewodnicy oczywiście nadal brali amatorów na Mount Everest i ludzie ginęli tam regularnie; południowo-zachodnia grań przypominała wówczas przełamany w pół cementarz, który sięgał stratosfery, a ciała (kilkaset) leżały po obu stronach stoku. Val nie zgodziła się na taką pracę. Brała ze sobą tylko klientów, którzy mieli pewną wprawę, nigdy nie szarżowała, mając ich pod opieką, nie lekceważyła zmian pogody. Na Antarktydzie trzeba było uważać na pogodę. Wiele razy musiała przeczekiwać burze, czasami nawet nie ruszając się z miejsca przez dwa tygodnie, odporna na błagania zduszonych klientów, by iść dalej. Długo by wymieniać. Naprawdę uważała się za bezpiecznego przewodnika!

Aż znalazła się w takiej sytuacji jak teraz. Była prawie pewna, że nad wyprawą zaciążyła jakaś klątwa; mieli do czynienia ze złośliwym splotem kłopotów. To samo zresztą spotkało grupę Halla na Evereście. Ale tu wchodził w grę dodatkowy czynnik, bezprecedensowy o ile wiedziała - sabotaż ze strony innych ludzi. Z tego, co mówili Carlos, Iks i Wade wynikało, że sabotażyści próbowali zniszczyć obozy naftowe, nie zabijając przy tym nikogo.

Ale jeżeli cokolwiek tutaj się zepsuło, niebezpieczeństwo śmierci z zimna stawało się nieuniknione.

Wiatr ucichł. Val zatrzymała się. Po chwili jak cios poczuła uderzenie wiatru na lewym policzku; znów chwila spokoju, choć wycie wokół wzmagало się; potem kolejne uderzenie, tym razem z prawej. Wreszcie wiatr z ogromną siłą smagnął ją prosto w twarz. Nagle okazało się, że maszerują pod wiatr zamiast z wiatrem.

Val zmeła w ustach przekleństwo. Okulary zaczęły pokrywać się lodem i poprzez ich spolaryzowane szkła widziała świat w różnych odcieniach jasnej i ciemnej szarości. Widziała jednak wyraźnie, że chmura, idąca w górę lodowca, zawisła już nad nimi.

Ostro skręciła w lewo, w kierunku pasma kamieni, oglądając się za siebie i machając do pozostałych, żeby szli za nią. Zrozumiała, że ledwie zdążyła z tą decyzją, bo cały czas przede wszystkim, i za wszelką cenę, chciała dotrzeć do Obozu Shackletona przed burzą. Carlos zorientował się, co się święci i biegł już w stronę odłamków skalnych. Zła pogoda zmieniała wszystko.

W bezwietrzny, słoneczny dzień mogliby spokojnie dojść do Shackletona.

Ale nie dziś.

Teraz tkwili po uszy w chmurze. Wiatr gwizdał przeraźliwie. Widoczność spadła do kilku jardów - nie była to zwykła śnieżycy, ale prawdziwa burza śnieżna. Lodowy pył, z którego składała się chmura, ciał poziomo w ich twarze niczym strumień piasku. Ubranie Val przyklepiło się jej do ciała i zeszywniało, a wiatr bez trudu przenikał przez tkaninę. Widziała, jak w chmurze kłębi się jakaś ogromna bańka, rozświetlona od dołu, ponieważ lodowiec wydawał się jaśniejszy od ciemnej chmury. Val bolała twarz i z coraz większym trudem stawiała kolejne kroki, walcząc z wicherem. Uderzenia wiatru waliły ją jak ciosy niewidzialnego boksera wagi ciężkiej. Wicher gwizdał niewiarygodnie głośno, jakby silniki odrzutowe otaczały ją ze wszystkich stron:

krkrkrkrkrkrkrkrkrkrkrkrkrkrkr.

Jednak udało się jej dojść do skalnego gruzu. Odwróciła się i pomachała do pozostałych. Chwiejnym krokiem wchodził jeden po drugim za kamienną osłonę. Val wróciła, by pomóc Jimowi przeprowadzić Jacka przez pozostałe im jeszcze pięćdziesiąt jardów; z trudem utrzymywała równowagę - Jack kulił się i nie mógł przerzucić jej przez ramię prawej ręki. Szła, obejmując go w pasie i starając się osłonić od wiatru. W lodowatej wicherze złamanie musiało go bardzo boleć, a obojczyk w ogóle był pozbawiony ochrony.

Hałas wokół nich brzmiał jak jazgot floty odrzutowców; nie mogli się nawzajem słyszeć.

Doszli do kamienistego pasa i Val posadziła Jacka za głazem, który był wyższy od niej o dobre dwie stopy. Na pierwszy rzut oka wydawał się najlepszy, by tu urządzić schronienie. Potem ruszyła do pozostałych i dała im znaki, żeby przysunęli się do skulonego Jacka. Pas skalny składał się z wielu rozmaitych kamieni, od masywnych głazów do drobnego żwiru i piasku, ułożonych w zaskakująco równą linię na lodzie, w płytkim obniżeniu. Z początku widok ten wydawał się dziwny. Pas kamieni często ciągnął się przez wiele kilometrów, daleko od gór, z których spadały skalne odłamki; były czymś w rodzaju skalnego gruzu, gromadzącego się wokół wirów w strumieniu; Val nie znała się na tym najlepiej, ale chyba kamieniste linie znaczyły najszybciej poruszające się części lodu. Jak przystało na jeden z największych lodowców na ziemi, pas skalny był także wielki, tworząc rodzaj kamiennej drogi z głazów i kamieni ułożonych na sobie jak dolmeny.

Val schyliła się i podniosła największy głaz, jaki mogła unieść w smagającym wietrze; gestem kazała to samo zrobić Iksowi. Zaczęła wypełniać przerwę między tamtym wysokim głazem a znajdującym się obok dużo niższym, równocześnie usuwając wszystkie większe kamienie z przestrzeni leżącej po zawietrznej stronie zaimprovizowanej zasłony. Carlos pojął jej plan i wciągnął w przesmyk swoje sanie, przewracając je na bok i robiąc z nich zasłonę w dole ściany. Iks skakał, umocowując tobogan kamieniami, poruszając się szybko, na najwyższych obrotach. Potrafił unieść kamienie, których nikt inny nawet by nie próbował ruszyć z miejsca. Układając je, w pewnej chwili zderzyli się z Val i złapali się nawzajem, by nie upaść. Spojrzał na nią, jak gdyby chciał ją o coś zapytać, lecz nie mogli dojrzeć swoich twarzy, ukrytych za okularami i szczelnie opatulonych, a ryk wiatru uniemożliwiał jakąkolwiek wymianę zdań. Równie dobrze mogli stać na przeciwległych bokach lodowca. Val czuła w sobie spory zapas energii; poszła po następny kamień, niema wobec burzy, która tu wcale nie wyła ciszej niż na lodowcu; wiatr z gwizdem wpadał przez skalną ścianę. Wszyscy byli odcięci od siebie. Dziewiątka obcych sobie ludzi w sercu burzy. Współczynnik temperatury i ruchu powietrza musiał sięgać setki poniżej zera i gwałtownie opadał wraz ze wzrostem prędkości wiatru. Wiało za mocno, by można było rozstawić namioty. Ale skalna ściana rosła z każdą chwilą. Należało uważać, ponieważ wiatr mógł zrzucić im na głowy źle osadzone kamienie. Musieli je porządnie ułożyć. Val mogła zająć tym uwagę; poza tym była to jedyna rzecz, jaką w tej chwili mogła zrobić, by poprawić ich położenie. Zabrała się więc do budowy najlepszego skalnego muru, na jaki było ją stać. Bardzo pomagał jej Iks; zdumiewające, jak ciężkim kamieniom potrafił dać radę. Carlos, Wade i Ta Shu też jej pomagali. Jorge, Elspeth i Jim wyciągali z toboganu śpiwory, rozkładali je i przyciskali kamieniami, żeby nie odfrunęły. Ściana była już wysoka prawie do pasa i powoli zaczynała potwierdzać swoją przydatność; choć wiatr nadal wściekle i głośno gwizdał, za głazem Jacka można się już było ukryć przed jego uderzeniami, a z każdym rzędem ułożonych kamieni, uformowana w łuk osłona stawała się coraz szczelniej sza. Dzięki pracy nie było im wprawdzie cieplej, ale przynajmniej się ruszali, mieli też nieograniczony wybór kamieni do wznoszenia budowli. Na początek skonstruowali ścianę w kształcie litery U, zamierzając zamknąć jej obwód z drugiej strony, aby nie groził im atak wiatru w razie zmiany jego kierunku. Potem może będą mogli ustawić wewnątrz zaimprovizowanego schroniska przynajmniej jeden namiot, w którym uda się rozpalić maszynkę. Val pomyślała, że wygląda to całkiem nieźle; gdyby nie Jack, który kulił się u podnóża największego głazu, mogłaby pomyśleć, że opanowała sytuację, na ile pozwalały na to warunki. Jim i Jorge wciągali śpiwór na nogi i korpus Jacka. Gdy skończą ścianę, będą mogli wszyscy schronić się w śpiworach. Nic im się nie stanie. Tyle że mieli za mało jedzenia i paliwa do maszynki, by przeczekać dłuższą burzę. Może szczęśliwie powróci łączność i poznają prognozę pogody. Dziwne, że wszystko przebiegało w milczeniu, przy ogłuszającym ryku burzy. Światło też stało się dziwne- zmieniające się co chwilę, kiedy słońce przysłaniały to gęste, to rzadsze chmury;

nim to było dość jasno dzięki słońcu, które krążyło po niebie gdzieś nad ich głowami, choć był środek nocy. Nieważne. Migotanie sprawiało, że Val miała uczucie, jakby była bohaterką starego filmu. Iks przyłożył usta do jej ucha:

- Dobrze schronienie!

Skinęła głową na znak, że usłyszała. Ucieszyły ją te słowa. Pozostali siedzieli za kamienną zasłoną, ciasno otaczając Jacka, by jak najlepiej go ogrzać; wyglądał, jakby znów popadał w hipotermię; Val wcale by się nie zdziwiła, gdyby tak było - leżał tu przecież ze złamanym obojczykiem i rozciętą ręką, stracił sporo krwi, doznał szoku, a może nawet miał wstrząs mózgu. Kiepsko z nim było.

Dlatego ona nie mogła sobie pozwolić na odpoczynek. To schronienie nie załatwiało sprawy. Musiała się dostać do Obozu Shackletona, sprowadzić skuter śnieżny i duże sanie, by przewieźć Jacka do prawdziwego schronienia i zapewnić mu pierwszą pomoc, jakiej ludzie z Shackletona będą mogli mu udzielić. To już będzie coś. Żeby to zrobić, musiałyby się wymknąć podczas przerwy w nawałnicy. Musiałyby też mieć GPS, by móc trafić z powrotem.

I wziąć ze sobą towarzysza, ze względów bezpieczeństwa; najlepiej Carlosa, choć on powinien raczej zostać tu i zająć się wszystkimi. Więc Iksa. Prawdę mówiąc, nie wiedziała, co począć. Mogła oczywiście pozostać na miejscu, lecz z uwagi na słabnącego z każdą chwilą klienta, nie zamierzała tego zrobić.

Zresztą i tak mieli za mało żywności i paliwa. Tutejsze burze niekiedy trwają nawet ponad tydzień. Trzeba zrobić coś więcej. Chodziła już w burzach podobnych do tej, wspinała się w burzach podobnych do tej; niełatwa praca, ale możliwa do wykonania, jeżeli tylko nie traciło się głowy.

Kucnęła, by krzyżując naradzić się z pozostałymi. Skinęła na Iksa, który kucnął obok niej. Ta Shu wciąż chodził w tę i z powrotem, uszczelniając ścianę kolejnymi kamieniami; nagle Val odniosła wrażenie, że leży przed nią kilka martwych ciał, a Ta Shu usypuje na mogile kamienny kopczyk.

biała chmura Iks bez wytchnienia umacniał ścianę, dopóki mógł dostrzec odpowiednie kamienie w najbliższym otoczeniu. Praca rozgrzała go, choć same kamienie były zimne i tak ciężkie, że z łatwością kruszyły izolację jego rękawic, więc ręce miał zdrętwiałe od mrozu i zmęczenia. Val przywołała go gestem. Weszła do śpiwora leżącego obok Wade'a i gestem kazała Iksowi zrobić to samo.

Z trudem wgramolił się do o wiele za małego śpiwora i oparł się o ścianę obok Val.

Na legowisku z kamyków było nadzwyczaj spokojnie. Jeśli dodać jeszcze izolację ciepłą ubrania i ciepłą, czerwoną tkaninę śpiworów oraz zmyślną zasłonę od wiatru, którą zbudowali, Iks mógłby przypuszczać, że poczuje się miło i przytulnie jak we własnym łóżku; w rzeczywistości jednak każde uderzenie wyjącego wiatru przenikało go na wskroś, jakby porażał go prąd.

Nie mógł się przyzwyczaić do ataków wichru; były tak potężne i tak wyraźnie od siebie oddzielone, że nie wyglądały na podmuchy wiatru, raczej przypominały fale uderzeniowe potężnych eksplozji, z których każda mogła rozsadzić ich ścianę. Przerywały je krótkie chwile spokoju, względnej ciszy; a potem znów ŁUP - i konstrukcją wstrząsał kolejny cios.

Val czołgała się w śpiworze, krzyżując najpierw do Carlosa, potem do Wade'a. Była spokojna i opanowana; zdawało się, że w ogóle nie przejmuje się siłą wiatru. Iks natomiast bardzo się przejmował. W Mac nigdy przedtem warunki pogodowe nr jeden nie przypominały tej straszliwej wichury. Nie wiedział, że wiatr może osiągać tak potworną prędkość.

Val podpełzła do niego i przycupnęła obok, pochyliła się, obejmując go ramieniem i krzyknęła mu do ucha:

- Chyba będę musiała iść do Obozu Shackletona! Sprowadzić pomoc dla Jacka! - Pokazała jego

sylwetkę. - Martwię się o niego!

- A burza? - wrzasnął jej do ucha Iks.

Pokręciła głową i krzyknęła:

- Może jeszcze długo potrwać! Za długo!

- Ale jak chcesz iść w takim wietrze! - Zdumiał go sam pomysł.

- W rakach - i kiedy się leży płasko w najgorszych chwilach - można to zrobić! Prosta sprawa!

Mamy przecież skafandry kosmiczne!

Iks odsunął się i utkwiał w niej spojrzenie. Prosta sprawa? Kpiła sobie z niego?

Nie, nie kpiła. Była alpinistką, a to, co oni potrafili wymyślić, przekraczało wyobraźnię. Serce zaczęło mu szaleńczo walić. Carlos był najlepszym kandydatem na towarzysza w takiej wyprawie. Ale na pewno chciała, żeby Carlos został tu i zajął się ludźmi. Pochylił się i przytknął dłoń do jej ucha.

- Pójdę z tobą!

Teraz z kolei ona odsunęła się, by spojrzeć mu w twarz. Okulary, kominiarka; kto wie, o czym myślała. Krzyknęła mu do ucha:

- Będę szła szybko!

Skinął głową, na znak, że zrozumiał. Powiedziała:

- Carlos gotuje nam coś do jedzenia.

Rzeczywiście. Schowana za toboganiem maszynka paliła się niebieskim, trochę chybotliwym, ale mocnym płomieniem. Iks był zdumiony, że w potępieńczo wyjącej wichurze udało im się znaleźć tak zaciszny punkt.

- Wade ma odczyt z GPSa! Mówi, że system powoli zaczyna działać. Jego senator połączył się z nim przez wojskowe łącza satelitarne, z których my też możemy skorzystać. Jak tylko zjemy, powinniśmy iść!

Znów skinął głową. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że naprawdę będą szli razem. Serce wciąż mu waliło.

Nagle nad ich głowami pojawiły się jakieś ciemne kształty, przypominające orki, które leciały wysoko w chmurach. Zdumiony Iks skoczył na równe nogi, ale wiatr zaraz wyrwał go ze schronienia i rzucił nim o ziemię. Wygramolił się na kolana; zgadza się - wysoko, widoczne mimo zasłony ciemnych chmur, wśród burzy błyskały sterówce, przepływające wprost nad nimi. W dół pomknęły harpuny na linach i z hukiem wbiły się w lód. Sterówce obróciły się, uwięzione na linach kotwicznych i przywarły do lodowca, tuż obok skalnego pasa, w którego stronę poszybowało więcej harpunów, by sterówce mogły lepiej trzymać się lodu. Zawisły w rzędzie, falując na wietrze. Z tyłu miały długą część ogonową, zakończoną śrubą w okrągłej osłonie. Z napiętych boków kadłubów wystawały krótkie, szerokie skrzydła, a pod kadłubami znajdowały się wąskie gondole, które stały bezpośrednio na lodzie. W jednej gondoli otworzyły się drzwi i na wiatr wypadły trzy postacie na uwięzi, ubrane w fotoelektryczne kombinezony, podobne do stroju trekkerów.

- Podrzucić was gdzieś? - zapytała pierwsza postać, która do nich dotarła, przekrzykując gwizd wiatru. Akcent z Południa. Niewysoka młoda kobieta.

Wszyscy w kamiennym schronisku stali; nawet Jack wychylił głowę, żeby popatrzeć. Pytanie kobiety wydawało się retoryczne. Val i Jim położyli Jacka na toboganie, zanieśli go do najbliższego sterowca i wsadzili do gondoli. Potem wsiadł Jim, a za nimi Ta Shu.

- Po trzech w jednym sterowcu! - zawołała kobieta. - Spotkamy się tam! - Pokazała gdzieś poza kamienny pas i powiedziała coś, czego Iks nie usłyszał.

Val spojrzała na niego, jak gdyby pytała, co powinni zrobić i na przekór wszystkiemu Iks

poczuł, że koło serca robi mu się ciepło. Odpowiedział jej gestem, który oznaczał: a co nam innego pozostało? Skinęła głową i wróciła za kamienną ścianę po jakiś sprzęt. Iks podążył za nią i kiedy pochyłali się nad saniami, zawołała:

-Kto to jest?

- Nie wiem! - odkrzyknął Iks. - Ale to mi przypomina historię z moim ukradzionym ciągnikiem!

Spojrzała na niego zdumiona.

- To niedobrze!

- Nie, ale... - nie wiedział, co powiedzieć. - Zdaje się, że nas ratują!

- To prawda! Popatrzyli na siebie.

Wrócili do przybyszów i pomogli Carlosowi, Jorge i Elspeth wsiąść do gondoli drugiego sterowca. Potem Wade i Val wcisnęli się na tylne siedzenia w kabine gondoli trzeciego sterowca, która przywoziła Iksowi na myśl wnętrze sąwirrela; dwa przednie fotele przy dużych, łukowatych oknach, tylne opierające się o ścianę kabiny i miejsce na sprzęt na dole. Iks usiadł z przodu obok pilota - kobiety, która sprawdzała tarcze wskaźników i pstrykała przełącznikami, mówiąc przez interkom do mikrofonu przymocowanego do słuchawek. Wcisnęła jakiego guzik i sterowiec wpadł w okropną wibrację, wznosząc się, wciąż trzymany przez liny kotwiczne; po chwili wcisnęła następny guzik i harpuny albo odleciały, albo zostały odcięte, bo nagle znaleźli się w powietrzu, miotani wiatrem, który cisnął ich w sam środek chmury; światło migotało, zmieniając się co chwilę od ciemnej szarości do wirującej bieli, przechodząc przez całą gamę pośrednich odcieni. Z początku hałas był okropny, później trochę ucichł, a lot stał się spokojniejszy.

Kobieta za sterami obserwowała ekrany monitorów, migające różnymi barwami, których Iks nie potrafił zinterpretować. Z tyłu warkotały potężne silniki i przez ich hałas oraz wycie wiatru wciąż było za głośno, by coś powiedzieć. Kobieta pokazała wiszące na hakach u sufitu gondoli słuchawki - zupełnie jak w sąwirrelu; Iks nałożył więc swoje i przez stłumiony ryk usłyszał Val, która mówiła:

- ...nas zabieracie?

Kobieta pokazała przed siebie.

- Na Drugi Taras Bennetta. - Jej głos w słuchawkach brzmiał czysto; miała zdecydowanie południowy akcent. Iks wyciągnął z otwartego schowka przed sobą mapę topograficzną i począł ją studiować. Taras Bennetta był trójkątną płaszczyzną nagiej skały, wychodzącej na Lodowiec Shackletona, po drugiej stronie lodowego jezora w stosunku do Obozu, u stóp Mount Black.

Ale Drugi Taras Bennetta? Kobieta nie kwapiła się z dalszymi wyjaśnieniami; ani Val, ani Wade, ani Iks nie chcieli przeszkadzać, bowiem jej uwagę całkowicie zaprzętnął sterowiec, którym zaczęła rzucać turbulencja. Mruczała coś do siebie, używając do pilotowania obu rąk i obu nóg; częściej niż na monitory patrzyła przez okna, choć nie mogła tam zobaczyć nic poza mgłą.

- Czy to nie jest niebezpieczne? - zapytał Iks.

Kobieta obrzuciła go przelotnym spojrzeniem.

- Co, to? A co tu się może stać? - Zaśmiała się perliście. Potem zaczęła znów mówić do sterowca albo do chmur i wiatru: - Spokój, no już. Przestań, przecież to śmieszne. - I tak dalej.

- Skąd jesteś? - spytał Iks w przerwie, kiedy ten monolog na moment ucichł.

- Z Mobile w Alabamie.

- Nie. Chodzi mi o to, skąd na Antarktydzie.

Wzruszyła ramionami. W następnej chwili znów musiała walczyć z uderzeniem wiatru.

- Daj sobie na wstrzymanie. Poważnie, nie masz szans. - Po długiej walce ze sterami, powiedziała: - No dobra, nareszcie. Daj spokój, bydlaku. Zachowuj się przy gościach.

- Możecie udzielić pomocy medycznej człowiekowi w drugim sterowcu? - zapytała Val.

- Jasne. Po to właśnie odważyliśmy się lecieć w takim wietrze. Wyglądało na to, że potrzebujecie pomocy.

Zza pędzących chmur wyłoniła się pod nimi czarna skała, na widok której Iks wzdrygnął się gwałtownie, podskakując w fotelu.

- Nie bój się! - powiedziała kobieta-pilot i znów wybuchnęła śmiechem.

biel biel czerń biel biel Iks'jednak się bał. Trudno było nie czuć lęku, będąc tak blisko skały, w zawieszonym nad nią w powietrzu niestabilnym wehikule. Pilotowi udało się jednak zręcznie wymanewrować sterowcem, ustawiając go pod wiatr; potem kobieta zaczęła się siłować ze sterami, by go posadzić; tak im się w każdym razie zdawało. Nagle z chmury wyskoczył wycelowany w nich pomarańczowy słup i kobieta podjęła swój przerwany monolog, opuszczając sterowiec tuż za masztem cumowniczym. Zaczęła manipulować jakimiś dźwigniami, znajdującymi się przed Iksem, i po chwili jak pazur sztucznej ręki pod gondolą pojawiło się metalowe ramię, zaciskając się na maszcie.

- Mam cię!

Potem powoli się zniżyli. Tył sterowca musiał zostać też do czegoś przymocowany, jak się domyślił Iks, bo statkiem prawie już nie rzucało; po chwili stanęli w miejscu, mniej więcej dziesięć stóp nad płaską czarną skałą, otoczeni kłębiącą się ze wszystkich stron zmarzniętą mgłą. Kobieta sięgnęła przez Ikxa i otworzyła drzwi.

- Wsiadamy! - zawołała.

Iks odpiął klamrę pasa, zdjął słuchawki i zszedł po kołyszącej się drabince, czując przez rękawice metalowy chłód szczebli. Gdy stanął na ziemi, odkrył, że drżą mu kolana. Pomógł zejść Wade'owi i Val, a potem zeszła kobieta, zatraskując drzwiczki. Zeskoczyła z drabinki, stając obok nich i pokazując drogę.

- Chodźmy!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

TRANSANTARKTYKA

Val poszła za pilotem przez wiatr, mając Wade'a i Iksa po obu bokach.

Przed nimi z mgły lodowych igiełek wyłoniła się niska skarpa z rudawych skał. Znajdowali się na nunataku lub jakiejś większej skalnej grani. O ile Val pamiętała, właśnie tak wyglądał Taras Bennetta; była tam raz z zespołem paleontologów, którzy za pomocą helikopterów wyciągali pniaki skamieniałych drzew. Skała, na której stali, przypominała chropawy parkiet, złożony z kamienia i lodu.

Przed sobą zobaczyli coś w rodzaju skalnej zatoki, wielkości dwóch stojących jeden przy drugim Jameswayów. Powietrze w zatoce było czyste, a śnieżny tuman rozbijał się o nią i lądował u jej stóp; pustą przestrzeń przykrywała jakaś tkanina, napięta i najwyraźniej bardzo wytrzymała. Namiot.

Wewnątrz tego zakątka, leżącego jakby z boku burzy, na kamieniach ustawionych pod ścianami jak ławki, siedziało sporo ludzi. Ich strój stanowił prawdziwe przemieszczenie stylów; od najnowocześniejszych i drogich strojów do grubych futrzanych kurtek i wytartych kalesonów; Val przywodziły one na myśl wełnę z jaków, którą nosili Szerpowie. Znów zastanawiała się, czy to są właśnie sabotażyści.

Potem ujrzała resztę swojej grupy, wyłaniającą się z chmury i pobiegnęła do nich, by zobaczyć, jak czuje się Jack. Leżał na toboganie, ale był przytomny. Wyciągając szyję próbował zobaczyć, co się dzieje i dokąd idą; ten ruch pewnie sprawił mu ból. Wyglądał marnie, musiał porządnie zmarznąć.

- Słyszałam, że jest tu lekarz - powiedziała Val, ale on tylko wytrzeszczył oczy.

Kobieta, która ich tu przywiozła, doszła do namiotu i rozsunęła zamek błyskawiczny w przezroczystej tkaninie tuż przy skalnej ścianie, po czym gestem zaprosiła ich, by weszli. W środku zobaczyli przezroczystą ściankę wewnętrzną; znaleźli się więc w rodzaju przezroczystej śluzy albo przedsionka.

Piloci zaczęli zdejmować skafandry i buty; były to dwie kobiety i jeden mężczyzna. Ciemne okulary Val zaparowały; zdjęła je i ściągnęła z twarzy kominiarkę, potem skafander i buty. Wszyscy tłoczyli się w niewielkiej przestrzeni przedsionka. Po chwili któryś z pilotów otworzył wewnętrzną ściankę i weszli do środka.

Ich przybycie powitała obojętność większości obecnych w namiocie.

Rzucając tylko przelotne spojrzenia, wszyscy wrócili do przerwanych na moment czynności: jedzenia, szycia odzieży przy stole zasłanym ścinkami tkanin i futer, czytania i rozmowy przy radiu, które, jak się okazało, było wyłączone.

Z tego, co usłyszała Val, wywnioskowała, że mówią po niemiecku.

- Jest tu lekarz? - zapytała ich pilota.

- May Lee - odrzekła kobieta. Później Val dowiedziała się, że jej imię pisze się Mai-lis. - Mai, masz pacjenta.

- Wiem - odrzekła krótko starsza kobieta. Jej okrągłą twarz pokrywała sucha, pomarszczona skóra i Val wzięła ją za Eskimoskę. - Dajcie go tutaj.

Poszli za starą kobietą; Jim i Jorge nieśli tobogan. Postawili go na kamiennej ławce pod dolerytową ścianą, a Mai-lis przysunęła sobie drewniany leżak i usiadła obok Jacka.

- Jak się czujesz, młody człowieku? - zapytała, otwierając sporą, podłużną torbę i przytwierdzając mu do ramienia monitor.

- Złamałem obojczyk - odrzekł Jack.
- Ach, tak. Rzeczywiście. Objawy hipotermii?
- Zimno mi. Ale już nie tak jak przedtem. Płuca mnie bołą.
- Obejrzę je. - Zdejmowała mu górną część ubrania; pomagał jej Jim.

W zaimprovizowanym namiocie było ciepło, więc bez obaw mogli go rozebrać. Wiatr wciąż gwizdał, lecz do środka jego ryk dochodził na tyle przytłumiony, że mogli się nawzajem słyszeć.

- Wstrzyknę w obojczyk środek znieczulający - powiedziała kobieta - a potem nastawię kość. Potem nie będziesz mógł poruszać ręką. Zrobimy temblak. - Mówiąc, rozpakowywała igłę oraz strzykawkę i delikatnie przemywszy skórę wokół złamania, wstrzyknęła mu zawartość strzykawki. Potem następną. Val, widząc prawdziwie fachowe zabiegi, poczuła taką ulgę, że ledwie mogła ustać.

Kobieta sprawdziła odczyty na monitorze i przez stetoskop osłuchiwała płuca Jacka.

- Prawe płuco jest trochę zajęte. Kaszlałeś krwią?
- Nie przypominam sobie.
- Trzeba to sprawdzić. Może się wywiązać zapalenie płuc. Temperatura jest niska, ale nie ma już ryzyka hipotermii.

- Zimno mi.

- Nie wątpię. Obejrzyjmy stopy. Hm... lekkie odmrożenia palców. Damy sobie z tym radę. - Przez chwilę opatrywała stopy za pomocą plastrów. - Masz jeszcze czucie w obojczyku?

-Nie.

- Dobrze. Teraz go nastawię. Na pewno poczujesz dotyk, ale powiedz mi, gdyby zaboląło, wtedy zrobimy następny zastrzyk.

- Wszystko w porządku - powiedział Jack. Patrzył obojętnym wzrokiem w twarz lekarki, gdy położyła obie dłonie na jego ramieniu.

- Addie - powiedziała do kobiety, która była pilotem Val - pomóż mi.

- Jasne, Mai.

- Przytrzymaj ramię w tym miejscu. Nie patrz, młody człowieku. Głowa w drugą stronę. Lewe ramię w lewo. Tak jest. Dobrze. Teraz wstrzyknę środek rozluźniający mięśnie. Zostanie zsinienie, ale jeżeli nie będziesz zmieniał pozycji, wszystko się pięknie zaleczy. O, jest gorąca czekolada dla wszystkich. Teraz odpoczywaj, młody człowieku. Będziemy obserwować twoje płuca. Jeśli wywiąże się zapalenie, zaaplikujemy antybiotyki. Ale powinniśmy poczekać, żeby wiedzieć na pewno. Możesz zasnąć, ale na wznak.

Addie i Elke pomogą ci wejść do spiwora. Ostrożnie - powiedziała do dwu zajmujących się nim kobiet. Potem zaprowadziła Val i Jima w głąb pomieszczenia, gdzie z dużego garnka stojącego na zwykłej, zielonej maszynie Colemana rozchodziły się smakowite zapachy. - Jedzmy - powiedziała.

Usiedli na matach złożonych wpół na ziemi, wpatrując się w kucharza.

Zapachy gotującego się jedzenia uzmysłowiły Val, że jest wściekle głodna.

- Jesteśmy wam wdzięczni za to, co dla nas robicie - powiedziała do Mai-lis.

- Addie, Lars i Elke ucieszyli się z takiej okazji. Lubią robić różne głupstwa, takie jak lot sterowcem w środku burzy, ale to trochę niebezpieczne, więc w normalnych warunkach nie decydują się na podobne wyprawy. Akcja ratunkowa to dla nich świetna okazja, żeby poszaleć.

- Skąd wiedzieliście, że mamy kłopoty?

- Usłyszeliśmy was przez radio, a potem zobaczyliśmy, jak idziecie lodowcem. Później rozpętała się burza i wyglądało na to, że nie znajdziecie żadnego porządnego schronienia. Więc po was poleciali.

Kucharz, potężny mężczyzna, którego ramiona pokrywały liczne tatuaże, rzucał na gigantyczną patelnię białe płaty ryby. Kiedy zaczęły skwierczeć, przyszła do nich Addie i widząc skupione spojrzenia Val i jej towarzyszy, roześmiała się.

- Masz wdzięczną publiczność, Claude!

- Widzę.

- Co się gotuje? - zapytał Ta Shu, podchodząc i zaglądając do patelni.

Miał zadowoloną minę, jak gdyby od dawna znał tych ludzi i czuł się jak u siebie w domu.

- Mawsoni* - rzekł Claude. - Smażona w foczym tłuszczu w ziołach z miejscowych cieplarni.

Danie lokalne pod każdym względem. Do tego ciasteczka z kryli, też miejscowe. Duszone warzywa już niestety nie za bardzo miejscowe - dodał, wskazując garnek.

Zabijanie ryb i fok było nielegalne w świetle postanowień Traktatu Antarktycznego, jeśli Val dobrze pamiętała. Lecz uznała, że nie czas, by o tym przypominać.

- Mawsoni? - zapytała. Słyszała o tej dużej rybie antarktycznej, ale nigdy jej nie widziała.

Addie otworzyła pudło i wydobyła zeń głowę wielkiej wypatroszonej ryby.

- Och, nie pokazuj, to im tylko zepsuje apetyt - roześmiał się Claude.

Rzeczywiście pysk nieszczęsnej ryby był najeżony monstrualnymi kolcami, spomiędzy których spozierały wielkie oczy. - Dorsz antarktyczny! - Oświadczył żartobliwym tonem Claude. - Tak ją nazywają w sklepach, chociaż nie ma nic wspólnego z dorszami. Wszystkie paskudne ryby nazywają dorszami, żeby je sprzedać. Nikt przecież nie kupi *Dissostichus mawsoni* albo *Pagotenia borchgrevinki*, tylko dorsza antarktycznego! Mniem, mniem!

- Chyba że zobaczą pysk - powiedziała Addie.

- Smakuje zupełnie jak kurczak - odezwał się ktoś.

- Nie, właściwie smakuje jak ryba, ale nie tak rybio jak jaja pingwinów.

Poza tym jest duża. Jedna wystarczy, żeby przez tydzień karmić całą grupę.

- Więc tym się odżywiacie? - spytała Val, przyglądając się nowo poznanym ludziom. Tamta kurtka jest pewnie z foczego futra. Miejscowe ryby...

- To dla nas główne źródło białka - mawsoni, białka jaj pingwinów, bo żółtka są ohydne, smakują jak zgniła ryba; czasem mięso fok. Zboża i warzywa z cieplarni i terrariów, choć nie ma ich tu za dużo. Sporo rzeczy przywozimy statkami.

- Skąd?

- Z Nowej Zelandii, jak wszyscy.

Claude manipulował łopatką i widelcem niczym wytrawny mistrz z baru szybkiej obsługi i wkrótce wszyscy zaczęli w milczeniu pochłaniać jedzenie. Wielu spośród gospodarzy było równie głodnych jak Val i jej grupa.

* *Dissostichus mawsoni* - drapieżna ryba występująca w Antarktyce w wodach szelfowych i otwartego oceanu, długość ok. 2 m, waga 70 kg

Smażona mawsoni była smaczna, a jej mięso jędrne i soczyste; lepsza niż dorsz, mimo że miała pysk potwora z głębin morskich. Zresztą Val uznała po chwili, że pysk dorsza też nie jest zbyt piękny.

Kiedy skończyli jeść, Val usiadła ciężko obok Wade'a, opierając się o skalną ścianę. Na ławce leżał w swoich saniach Jack.

- Wydobrzeje? - spytała lekarki.

Kobieta skinęła głową, przetykając kęs jedzenia.

- Moim zdaniem nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

- Zachowywał się naprawdę dziwnie. Jakby był w szoku albo miał wstrząs mózgu.

- Całkiem prawdopodobne. Ale wszystkie funkcje ma w porządku.

Val poczuła, jak ogarniają ją fala ulgi, ciepła i macalna jak grzejące ją od środka jedzenie. Jack będzie żył; wszyscy będą żyć; wróci do domu ze wszystkimi klientami i w tej chwili nic jej nie obchodziło, że to nie jej zasługa ani że wyprawa skończyła się zupełną kląpą. Val nie przyłożyła ręki ani do wypadku, ani do akcji ratunkowej; lecz gdyby zginął choć jeden z jej klientów, nigdy by sobie tego nie wybaczyła. Nie powinna była pozwolić im wspinać się na Próg Hansena.

Teraz jednak wszystko wskazywało na to, że ów błąd nie będzie miał fatalnych skutków, dlatego poczuła tak ogromną ulgę, że nie miała już siły o tym myśleć. Zaczęła powoli zapominać o trudach drogi; oparła głowę o skałę, czując wyczerpanie w każdym mięśniu. Wade czuł się chyba podobnie i rozglądał się ciekawie wokoło.

Potem Mai-lis usiadła przed nimi z pełnym talerzem w dłoni, a Wade, nie poruszając głową, zapytał:

- Kim więc jesteście?

- Ja jestem Mai-lis - odparła staruszka. - To jest Addie, to Lars...

- Tak, ale co tu robicie?

- Dlaczego pytasz? - odezwał się zaczepnie Lars z przeciwnej strony namiotu. - Dlatego że wyciągnęliśmy was z burzy, myślisz, że możesz nas przesłuchiwać?

- Po prostu pytam.

- Uspokój się - powiedziała do Larsa Mai-lis. - Po tych atakach sytuacja się zmieniła. - A do Wade'a i Val rzekła - Jesteśmy grupą prowadzącą długofalowe badania.

- Jakiego rodzaju?

- Badamy warunki mieszkania na Antarktydzie.

- Na własną rękę? - zapytała Val.

- Mamy oczywiście pomoc z Północy, jak wszyscy.

- Ale mieszkanie tu. W Górach Transantarktycznych.

- Tak. Właściwie jesteśmy koczownikami. Nie tkwimy w jednym miejscu.

- Ilu was jest? - spytał Wade.

- To się zmienia. W tym roku mniej więcej tysiąc.

- Tysiąc! - wykrzyknęła Val.

- Tak. Niedużo jak na jeden kontynent.

- No nie, ale... sporo jak na grupę, o której nikt nic nie wie. Ludzie z McMurdo nie wiedzą, że tu jesteście?

- Kilka osób wie. Mamy w Mac paru pomocników. Ale większość nie.

- Nie widać was z góry? Na zdjęciach satelitarnych?

- Gdyby dobrze się przyjrzeć, to widać. Ale tyle tu obozów naukowych, naftowych i wypraw trekkingowych. Niewielu spośród analizujących zdjęcia szuka miejsc pobytu ludzi tam, gdzie jesteśmy; poza tym chowamy się jak tylko się da. Mamy też kilku zaprzyjaźnionych analityków zdjęć satelitarnych. Z nową porą roku przeprowadzamy się, czasami w ciągu nocy polarnej albo pod osłoną chmur, jak dzisiaj. Z góry niewiele więc można zobaczyć.

- Skąd jesteście? - zapytał Wade.

- Skąd na Północy? Z całego świata. Ja jestem z Samilandii. - Widząc zdziwione spojrzenia Wade'a i Val, wyjaśniła - Z Laponii, jak ją pewnie nazywacie. Na północy Skandynawii. - Pokazała resztę grupy. - Addie, jak już wiecie, jest Amerykanką. Pracowała kiedyś w ZLA. Lars jest Szwedem, Elke Niemką. Anna jest Eskimoską z Kanady. Jest jeszcze kilku Eskimosów. John to Nowozelandczyk. Mamy sporo ludzi z Australii i Nowej Zelandii. I tak dalej.

- A mieszkanie tutaj - powtórzył Wade.

- Zgadza się. Niektórzy nazywają to zdziczeniem. Mnie się to słowo nie podoba. Wolę mówić, że badamy, jak stać się tubylcem. Rodowitym mieszkańcem Antarktydy. To coś zupełnie nowego. Trochę podobne do kultur arktycznych, ale inne. Nie wszyscy z nas są zgodni co do charakteru naszych działań. - Gdy to mówiła, jej twarz pochmurniała; spojrziała w stronę przedsionka, gdzie pojawiła się nowa grupa przybyszów. - Przepraszam na chwilę - powiedziała i poszła w stronę wejścia.

Val siedziała pośrodku swojej grupy, Wade po jej jednej ręce, Iks po drugiej. Klienci wyglądali na sytych i sennych; z wyjątkiem Ta Snu, który rozmawiał z jakimś Azjatą. Natomiast Carlos dyskutował z ożywieniem po hiszpańsku z małą grupą "dzikusów". Jack spał w swoim łóżu na toboganie.

Val, zadowolona i z lekkim sercem, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

Jednak kiedy Mai-lis do nich wróciła, wciąż miała tę chmurną minę.

- Ci sabotażyści wszystko zmienili - powiedziała, na wpeł do siebie. - Spowodowali wielkie zagrożenie. - Popatrzyła na Val. - Muszę was prosić, żebyście się przygotowali do wyjścia.

- Teraz? - zapytała zaskoczona Val.

- Niedługo. Zamierzamy wymierzyć sprawiedliwość. Chcę, żebyście przy tym byli i opowiedzieli później ludziom z McMurdo, co tu się dzieje.

Usiadła na macie, podniosła talerz i jadła dalej. Pomiędzy kęsami wyjaśniała:

- Widzicie, istnieją między nami pewne podziały. Niektóre z nich są zupełnie normalne; mamy swoich fundamentalistów i pragmatyków. Fundamentalisci chcą tu mieszkać bez żadnej pomocy z Północy, przygotowując pożywienie, szyjąc ubranie i budując dach nad głową eskimoskimi i lapońskimi sposobami. Pragmatycy chcieliby wypróbować najnowsze wynalazki z Północy i zobaczyć, czy przydadzą się tutaj. Jak widzicie, większość ł nas, to pragmatycy, ale jak we wszystkich grupach "dzikusów", w naszej też jest mieszanka obu stanowisk. Większość nosi w sobie oba stanowiska. Jak mówię, to całkiem normalne. W końcu z tego też składa się praca nad antarktycznym stylem życia.

Przerwała, by włożyć do ust następny kęs. Kręciła głową w zamyśleniu.

- Inne podziały są bardziej niebezpieczne. Znajdują się między nami i tacy, którzy gardzą innymi ludźmi na Antarktydzie - zespołami naftowymi, trekkerami, nawet naukowcami. Nigdy nie pomagają nikomu spośród nich.

Czasem utrudniają im pracę. I okradają ich bez żadnych skrupułów.

- Jak mój transport - odezwał się Iks.

Skinęła głową.

- Tak, ciągnik z tego transportu zabrała jedna z takich grup, najbardziej skrajna ze wszystkich.

- To oni zabrali stary generator z zasypanej stacji na biegunie? - zapytał Wade.

- Nie. - Spojrzała na niego nieco zdziwiona. - To my. Widzimy różnicę między ratowaniem rzeczy a kradzieżą. Na Antarktydzie porzucono mnóstwo bardzo dobrego sprzętu, a ponieważ nikt nie zamierza go już używać, wykopujemy go spod lodu i możemy z niego korzystać. Stary generator z bieguny ogrzewa teraz cieplarnię na jednym z pobliskich nunataków.

- Podobnie było z weaselem Hillary'ego - rzekł Wade, kiwając głową, zadowolony, że rozwikłał tę zagadkę.

- Zgadza się. Ciągnęliśmy nim różne rzeczy i być może wykorzystamy go jeszcze w sytuacjach, w których nie poradzą sobie sterowce.

- Zabraliście generator sterowcem?

- Tak. Uratowaliśmy sprzęt ze starej kopuły na biegunie, ze stacji Wostok, Byrd, ze stacji na

biegunie niedostępności i tak dalej. Zabieramy rzeczy porzucone i zakopane pod lodem. Ale nowe świdry lodowe mają dużą moc.

Nowe zdalne urządzenia wykrywające też. Wiemy nawet, gdzie jest namiot, który Amundsen zostawił na biegunie. Zostawiliśmy go na miejscu. Inne rzeczy, bardziej użyteczne i mniej... mniej historyczne wykopaliśmy.

Znów wzięła do ust kęs jedzenia, przełknęła.

i - Ale to wszystko przykłady ratowania sprzętu, a ratowanie to nie kradzież. Kradzieży nie pochwalamy. Ludzie, którzy tu kradną, twierdzą, że nie ma różnicy. Każdą ocaloną przez nas i ukradzioną przez siebie rzecz nazywają "zdobyczą". Bezczelność. Buntują się przeciw nam na każdym kroku. - Jej nachmurzona twarz przybrała na chwilę wyraz surowości. - Stanowią więc zagrożenie dla nas wszystkich. Może się tak zdarzyć, że pojawi się wojsko, żeby zrobić porządek z ekosabotażem i przez tych ludzi wyrzuci nas stąd wszystkich. Nie możemy do tego dopuścić.

- Ale jak ich możecie powstrzymać? - zapytał Wade.

- Oto jest pytanie. Jesteśmy niezorganizowani w sensie politycznym.

Oni zagrażają też naszemu ustrojowi, bo, jeżeli w ogóle jakiś mamy, można by go nazwać czystą demokracją.

- Mai-lis sądzi, że to demokracja - wtrącił zza jej pleców Lars, uśmiechając się krzywo. - Właściwie to matriarchat, a ona jest najwyższą kapłanką.

- A Lars nadwornym błaznem - powiedziała Mai-lis, w ogóle na niego nie patrząc. - Jestem tylko lekarzem, ale taka władza zupełnie mi wystarcza.

W każdym razie staramy się podejmować decyzje wspólnie. Kilka lat temu postanowiliśmy, że jeżeli jeden "dziki" skrzywdzi innego "dzikiego" czy jakkolwiek osobę na Antarktydzie, wówczas będzie sądzony przez pozostałych, nawet pod jego nieobecność.

- Więc to oni zniszczyli mój obóz? - zapytał Carlos.

Kilku "dzikich", którzy siedzieli, słuchając Mai-lis, pokręciło głowami.

- Nie - odpowiedziała Mai-lis, choć nie zabrzmiało to przekonująco. - Nie wiemy, kim są sabotażyści. Chociaż chcielibyśmy, nie wiemy, kto to zrobił. Większość ataków poszła na obozy naftowe, a potem został zerwany system łączności. Zanieczyszczono zbiorniki paliwa w McMurdo. Wiemy na pewno, że to nie była robota zbuntowanych "dzikich", z którymi się kłócimy, bo między nimi mamy swoich informatorów. To nie był ich pomysł. Widocznie jednak niektórzy z nich byli w kontakcie z sabotażystami i pomagali im usunąć ludzi z obozów naftowych, zanim zostały wysadzone. Myślą, że o tym nie wiemy. Myślą, że mogą robić, co im się podoba. Ale się mylą. Wiemy też, gdzie teraz są. Osądziliśmy ich i odbyliśmy głosowanie; postanowiliśmy wymierzyć im najwyższą karę, jaką przewiduje nasz system.

- Jaką? - zapytał Wade w poważnej ciszy, która zapadła; Val widziała, że niektórzy z "dzikich" pierwszy raz usłyszeli o tej decyzji.

- Wygnanie z Antarktydy.

Mai-lis powiodła spojrzeniem po twarzach członków swojej grupy, jak gdyby chcąc zdusić każdą próbę protestu wobec wyroku.

- Najwyższy czas - oświadczyła Addie. - Te pajace wszystkich nas stąd wykopią, jeżeli się ich szybko nie pozbędziemy.

Lekarka skinęła głową.

- Słuchaliśmy McMurdo i wiemy, że Marynarka Stanów Zjednoczonych jest już w drodze. Chcemy, żeby oni i NFN dokładnie wiedzieli, co tu się stało. Że nie jesteśmy terrorystami ani złodziejami. I że złodziei wśród nas już niema.

- Jak sądzicie, kim są terroryści? - spytała Val.

Mai-lis wzruszyła ramionami.

- Chyba jakaś radykalna grupa ekologów z Północy. Ludzie, którzy są w stanie posunąć się w czynnych protestach dalej niż Greenpeace; może "Earth First!" albo "Pasterze Morza". Dla nich Antarktyda musi zostać dziewiczą ziemią, bez śladu obecności ludzkiej. Wielu z nich nie toleruje tu nawet naukowców.

- Czyli tym ludziom nie spodobałaby się wasza grupa? - powiedziała Val.

- Na pewno nie. Mamy z nimi niewiele wspólnego.

- Mają głęboką świadomość ekologiczną! - rzekł pogardliwie Lars. - Bardzo głęboką! A my jesteśmy tacy płytki!

Mai-lis znów wzruszyła ramionami.

- Kierują się słuszną filozofią. Na Ziemi powinno być mniej ludzi, by zużywali mniej jej zasobów. Sami próbujemy robić coś takiego. Ale robić z niektórych części Ziemi cenne rezerwy, a z innych, w których mieszkamy, dalej robić śmietnik - nie. Nie ma ziemi świętej i ziemi przeklętej. Jest po prostu ziemia. Wszędzie równie cenna.

Ta Shu, przyglądając się uważnie Mai-lis (Val wydawało się, że są kuzynami), skinął głową, słysząc to.

- Wszędzie święta - powiedział.

Mai-lis wzruszyła ramionami.

- Próbujemy znaleźć inną drogę. - Popatrzyła na Ta Shu. - Mówimy, że ziemia jest święta, tak. Mieszkamy na tej świętej ziemi. I dla złodziei nie ma tu miejsca.

Lars energicznie pokręcił głową.

- Żeby tak gloryfikować własność i przez nią wyrzucać stąd ludzi...

- Ale przez ich złodziejstwo wszyscy możemy stąd wylecieć - przerwała mu ostro Mai-lis.

Lars wstał i oddalił się, a w ślad za nim poszło kilku jego stronników.

- A Traktat Antarktyczny? - odezwał się Wade.

- Słucham?

- Nie łamiecie jego postanowień, przebywając tutaj?

Gniewne pomruki "dzikich", którzy ich słuchali.

Mai-lis znów wzruszyła ramionami.

- A wy go nie łamiecie, przebywając tu? - Wstała. - Nikomu nie przeszkadzamy, poza tym nie mieszkamy długo w jednym miejscu. Nie mamy nawet w jednej dziesiątej takiego wpływu na Antarktydę jak sama stacja McMurdo. Możemy więc dowodzić przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości, że żyjemy w zgodzie z Traktatem, jeżeli chcecie. Póki co musimy posprzątać we własnym domu. - Popatrzyła za Larsem. - Bo ja jestem pragmatykiem i chcę, żeby pozwolono mi tu zostać. - Skrzywiła się. - Dlatego chcę, żebyście przy tym byli.

Czasami życie daje nam takie szansę. W chwilach pełnych napięcia wszystko zaczyna szybko płynąć w nowym kierunku. Wchodzimy przez szczelinę w górach i jesteśmy na całkiem innej ziemi. U źródeł strumienia kwitnących brzoskwiń, w zielonej dolinie ukrytej w świetle lodu, jak nasz bladobłękitny punkcik w kosmosie. Przyjaciele, mam nadzieję, że mój głos do was dociera, lecz nie mogę mieć pewności. Na wszelki wypadek często wszystko nagrywam. Jeżeli mi towarzyszycie, zwróćcie uwagę, jak szybko opuszczamy to niewielkie schronienie wcięte w górę, gdzie ludzie urządzają sobie dom pośród lodu. Wygląda jak jaskinia paleolityczna. Umysły tych ludzi są w pełni zaangażowane; nie błądzą już jak lunatycy. Mógłbym u nich zostać dłużej i niczego by mi nie brakowało. Jednak moi towarzysze zgodzili się wyjść, więc idę z nimi. Być może nie mamy innego

wyboru.

Chmura - góry, góra - chmury. Wiatr jest prawdziwym darem od świata; podróż podczas takiej burzy jest także darem. Ależ pulsuje krew! Jak budzi się umysł! Czasem wydaje mi się, że tylko podczas burzy naprawdę żyję, jak gdyby wiatr naprawdę niósł mojego ducha i napełniał ciało radością.

Ruszamy dalej, wśród podmuchów wiatru. Jak niesamowicie nasza wyprawa przypomina doświadczenia ekspedycji na "Endurance". Ostatnio często myślę o tamtych ludziach. Tak jak oni, mamy przewodnika, który przez cały czas wszystko razem z nami znosi. Tak jak oni mieliśmy szczęście; w sumie okoliczności nam sprzyjały. Dały nam szansę!

Kiedy łód wreszcie zaczął pękać, ludzie Shackletona musieli wsiąść do swoich trzech szalup, tak jak my do trzech sterowców. Lecz oni płynęli przez zatarasowane lodem morze, przemykając przez wąskie szczeliny i wciągając łodzie z powrotem na kry, gdy wydawało się, że mogą zostać zmiażdżone między zderzającymi się górami lodowymi. Gorączkowe dni wypełnione szalonym wysiłkiem, bez chwili snu; natchniona żegluga, pracuj bez przerwy albo zginiesz. Czasami życie właśnie tak wygląda!

Pod koniec trwającej tydzień żeglugi wylądowali na Wyspie Elephant.

Lepsze niż utonięcie, ale była to niezamieszkana, pokryta lodem skała na końcu Półwyspu Antarktycznego, którą rzadko ktoś odwiedzał. Nikt by tu ich nie szukał, a zimą mogła im zająrzeć w oczy śmierć głodowa. Tak więc po krótkim odpoczynku i naprawie największej łodzi, Shackleton, Worsley i czterej inni ludzie wyruszyli na Wyspę Południowa Georgia, gdzie Norwegowie urządzili obsługiwaną przez cały rok stację wielorybniczą. Mieli do przebycia tysiąc dwieście kilometrów, płynąc wprawdzie z silnym wiatrem i zgodnie z kierunkiem przeważających prądów - lecz przez ocean, na pięćdziesiątym stopniu szerokości południowej, gdzie cały świat składa się wyłącznie z wody, gdzie potężne bałwany nieustannie kołyszającej się fali dennej łamią się i pękają pod naporem najbardziej wietrznych sztormów na ziemi.

Ich przeprawa na szalupach przez morze była znakomitym dokonaniem bycia-na-świecie. Człowiek, którego umiejętności żeglarskie pozwoliły im w ogóle przedsięwziąć ten rejs, nazywał się Frank Arthur Worsley. Shackleton nigdy nie odbył nawet najkrótszego rejsu w małej łodzi. Drugiego dnia powiedział do Worsleya: "Wiesz, że nie mam pojęcia o pływaniu łodzią?"

A Worsley odparł: "W porządku, Wodzu. Ja mam. To moja trzecia wyprawa łodzią". Urażony Shackleton stwierdził: "Naprawdę nie mam o tym pojęcia".

Chciał powiedzieć, że mimo iż był dowódcą, to Worsley teraz odpowiadał za sukces lub porażkę wyprawy; Shackleton stał się uczniem, a Worsley nauczycielem i Shackleton chciał, by Worsley wiedział, że on także ma tę świadomość.

Worsley podjął to wyzwanie. Nawigował ich przez tysiąc dwieście kilometrów pustego oceanu, aż trafili na małą samotną wysepkę, która nie miała nawet stu kilometrów długości: brytyjskie feng shui najwyższej próby.

Nie chodziło o techniczne aspekty nawigacji, polegające na stosowaniu wzorów matematycznych, które każdy może opanować; zegarek, jaki dziś dziecko dostaje w prezencie, może dokonać takich obliczeń. Lecz przedtem trzeba zdobyć dane, a to wymaga odczytu na sekstansie wysokości Słońca nad horyzontem o określonej porze dnia. Mając tę wiedzę, można obliczyć szerokość i długość geograficzną. Ale dla tych obliczeń zasadnicze znaczenie ma przede wszystkim dokładność danych. Sekstans musi być równy z linią horyzontu; stychny z jednym punktem gigantycznej sfery. Trzeba widzieć oraz czuć świat i siebie w nim z nadzwyczajną dokładnością! A Worsley robił odczyt na kolanach, na podskakującym na falach pokładzie łodzi, trzymany przez

towarzyszy w pozycji wyprostowanej, ponieważ musiał trzymać sekstans obiema rękami. W czasie podróży było niewiele chwil, w których, nad nieustannie wzburzonym morzem, zza chmur ukazywało się Słońce i Worsley mógł odczytać jego wysokość. Cóż może być równe, jeśli stoi się na korku miotanym w górę i w dół przez szalejące morze? Równie dobrze mógłbym to zrobić tutaj, obracając się wysoko w chmurach, jak ptak! Właśnie to w nawigacji Worsleya było tak piękne i niebywałe. Musiał poczuć swoje miejsce na planecie, stać się wrażliwym na przyciąganie grawitacyjne do momentu, kiedy wyprostowany, wyłącznie na podstawie skaczącego horyzontu mógł stwierdzić, że sekstans jest równy. W tym momencie "strzelał odczyt", jak mawiali nawigatorzy, patrząc na półkolistą skalę przyrządu. Liczbę tę poddawał prostym obliczeniom i na ich podstawie oraz na podstawie precyzyjnej pory dnia - zwróćcie uwagę, że zegarek był dla nich przedmiotem, od którego zależało życie, dzięki któremu mogli zlokalizować swoje miejsce w strumieniu czasoprzestrzeni - znajdował w tablicach szerokość i długość geograficzną. Wszystko to działo się we mgle, przy zachmurzonym niebie, w deszczu i śniegu, na powierzchni kołyszącej się wody.

A jednak wylądowali. Worsley napisał: "Wspaniale jest stwierdzić, że lądowanie było całkiem poprawne, choć byliśmy trochę cofnięci ze względu na niedoskonałe wskazanie chronometru na Wyspie Elephant". Ha! Przez chronometr! Ale powinniśmy wybaczyć mu ten drobny przejaw dumy, bo naprawdę na to zasłużył. Wspaniale jest stwierdzić "wspaniale jest stwierdzić w tych okolicznościach, gdy dzięki swemu dokonaniu uratowali życie. Czasem dostajemy szansę i ją wykorzystujemy, świetnie się spisując; ta historia będzie żyła wiecznie; a teraz my mamy swą chwilę boddhisattwy*.

Po ich wspaniałym lądowaniu i niewiarygodnym przebyciu Południowej Georgii, Norwegowie zabrali sześciu ludzi na Falklandy, a Shackleton rozpoczął gorączkowe negocjacje; w środku pierwszej wojny światowej niewiele osób obchodził los dwudziestu rozbitków; uzyskał pomoc nie mniej niż czterech statków, zanim można było w końcu przeszukać krę; zdołał ich uratować jeszcze przed nadejściem zimy. I tak zakończyła się największa w historii przygoda z Antarktydą.

* boddhisattwa - w buddyzmie: istota oświecona, która poświęca się dla innych, by pomóc im w osiągnięciu wyzwolenia.

Ludzie ci wrócili potem do świata, który sam rozdzierał się na strzępy.

Nigdy nie wrócili do swego rajy utraconego. Nigdy nie wiemy, dokąd pójdziemy; plany zawsze są tylko planami. Jak przez mgłę pamiętam opowieść, którą znam chyba od zawsze; być może zetknąłem się z nią na kolorowych stronicach książeczki dla dzieci - o grupie podróżników zagubionych w polarnej krainie, którzy przedarli się przez lodowe przestrzenie, wkraczają do zielonej doliny ukrytej między lodowcami i ogrzewanej gorącymi źródłami; odkrywają, że w tej oazie mieszkają potomkowie Eskimosów i wikingów w pokoju, odcięci od reszty świata; po czym opuszczają dolinę, nie pamiętam z jakiego powodu, może chcąc sprowadzić tam rodziny i przyjaciół - ale później nie potrafią odnaleźć swych poprzednich śladów. Przetrwiała tylko opowieść.

W tej chwili wznosimy się w przestrzeń, omiatani wiatrem i zmierzamy do kolejnego lądowania, zostawiając tę oazę spokoju nadszpiekowanie szybko; tak pewni, że nie stracimy z oczu ścieżki, którą tu przyszliśmy. Lecz lodowce i szczyty nigdy nie są tymi samymi lodowcami i szczytami. Nawet gdybyśmy patrzyli i patrzyli przez resztę życia; oaza spokoju, jak ją znaleźć?

Gdzie jej szukać?

- Wade! Jesteś tam, Wade!

- Jestem, Phil. Mów głośniej, jeżeli możesz, trochę tu hałasuje.

- Gdzie jesteś?

- W sterowcu.

- W sterowcu! W czym sterowcu?

- W sterowcu Addie. Teraz jesteśmy w chmurach. Phil, trochę tu wieje, więc naprawdę musisz mówić głośniej, żebym cię w ogóle słyszał.

-Co?

- Mów głośniej!

- Gdzie jesteś, Wade? Gdzie jest ten sterowiec?

- Gdzieś nad Antarktydą, Phil. Więcej nie potrafię ci powiedzieć. Próbowaliśmy dotrzeć poduszkowcem do Obozu Shackletona, ale wpadł w szczelinę. Później próbowaliśmy iść, ale zaskoczyła nas burza. Bardzo gwałtowna.

Sam słyszysz. Schowaliśmy się za skalną ścianą, a potem uratowali nas ludzie, którzy mieszkają samotnie w Górach Transantarktycznych.

- Jezu, Wade, to brzmi świetnie! To ci sami ludzie, którzy zorganizowali ten sabotaż i zabierali sprzęt?

- Twierdzą, że to nie oni. Zdaje się, że są tu jakieś frakcje...

- No nie, tam też!

- ...tak, to nieuniknione. Grupa, która nas uratowała, twierdzi, że to inny odłam kradnie sprzęt, a oni nic nie wiedzą o sabotażu, choć najwyraźniej ta druga frakcja w jakiś sposób pomagała w owych akcjach. Wciąż nie wiemy, co tu się naprawdę stało.

- Słuchaj, Wade, to dopiero nowiny. Przez cały dzień dzwoniłem do ciebie co pięć minut!

- Przepraszam, nie mogłem odebrać.

- To nie twoja wina! Dokąd więc teraz lecisz? Co zamierzacie zrobić?

- Nie wiem, dokąd lecimy, ale chyba zabierają nas, żebyśmy byli świadkami wygnania tej przestępczej frakcji z Antarktydy.

- Ach, tak. Mogą z tego być kłopoty, lepiej uważaj, Wade.

- Będę uważał.

- Powiedz mi, co widzisz, jeżeli nie wiesz, gdzie jesteście.

- No, jesteśmy w sterowcu Addie i w tej chwili lecimy nad chmurami.

Świeci słońce. Patrzymy z góry na szczyty chmur, które przykrywają ziemię jak sięgnąć okiem. Wieje. Po prawej spod chmur przebijają się wierzchołki jakichś gór.

- Dobra! - powiedziała przez interkom Addie. - Ruszamy na nich.

Wade wcisnął swój ręczny telefon pod prawą słuchawkę.

- Jak chcecie wyrzucić tych ludzi z Antarktydy? - spytał Addie.

- Mamy swoje sposoby.

- To znaczy?

- Znajdziemy ich i wciągniemy w pułapkę.

- To niebezpieczne? - zapytała zza pleców Addie Val, w której głosie zabrzmiało zaskoczenie.

- Niebezpieczne? Och, nie, zupełnie nie! - Addie znów wybuchnęła perlistym śmiechem. - Nigdy nie robimy tu nic niebezpiecznego!

- Nie chcę, żeby moja grupa wdała się w jakąś bijatykę - powiedziała ostro Val.

- Nie, nie. Zanim dolecimy na miejsce, będzie już po wszystkim. Mai-lis chce tylko, żebyście zobaczyli skutki i mogli być jej świadkami w McMurdo, jeśli będzie trzeba. Pod tym względem bardzo praktyczna z niej dama.

- Zdaje się, że ma autorytet i władzę - nieśmiało zauważył Wade.

- Tak, jest wodzem, bez względu na to, co opowiada o demokracji. Akurat tu Lars ma sporo racji.

- Jak osiągnęła taką pozycję?

- Jest tu najdłużej ze wszystkich i najlepiej ze wszystkich wie, co i jak należy robić. Wie, jak tu przetrwać. Eskimosi znają się na śniegu i tutejszej pogodzie. Poza tym świetnie się orientuje w nowoczesnej technice. Umie wykorzystywać energię słoneczną i hydroponikę. Wszystko. Na pewno lepiej niż większość z nas. Mamy własnych specjalistów, ale sami rozumiecie, nasza praca jest cały czas w toku. To eksperyment, jak mówiła Mai-lis. Nikt jej nie dorównuje. I to może być trochę niebezpieczne.

- Jak latanie sterowcami podczas burzy? - zapytał Wade.

- Och, nie. Nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa. - Uśmiechnęła się. - Wcale nie takie złe. Te maleństwa naprawdę dobrze sobie radzą w powietrzu i trudno je zepchnąć z kursu. Dlatego są prawie przeciwieństwem helikopterów.

- Nigdy nie znosi was na góry?

- Rzeczywiście, trzeba uważać, ale jeżeli leci się wysoko nad nimi, nie ma problemu. To świetne maszyny. Mogą lecieć trzysta kilometrów na godzinę, więc nawet gdyby dostały się w środek wichury, zwykle wystarcza, żeby posuwać się naprzód. Wpadają w turbulencje, jak sami widzieliście, ale lecą.

Naprawdę, sterowce to jedyny bezpieczny sposób transportu w tych warunkach. Piesze wędrówki są za ciężkie, jak się pewnie przekonaliście. Zostaje droga powietrzna. Ale samoloty i śmigłowce są o wiele bardziej niebezpieczne i kłopotliwe.

- Kto produkuje te sterowce? - zapytał Iks.

- Firma japońska.

- A czym za nie płacicie? - spytał Wade.

- Pieniędźmi.

- Jak je zarabiacie? Przecież nie sprzedajecie kotletów z mawsoni ani płaszczy z foczej skóry.

- Nie. Niektórzy z nas spędzają zimę na Północy i tam zarabiają. Inni pracują dla firm z Północy, nie ruszając się stąd, na odległość.

- Ty też? - zapytał Wade.

- Ja? Nie, skąd. Nie jestem sieciowcem. Dobrze mi tutaj. Prawdziwy czas i przestrzeń, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Po czym nachyliła sterowiec w dół. Przez okna Wade zobaczył, że przed i za nimi lecą inne sterowce, szybko- opadając podobnie jak oni. Oparł się w fotelu i wyplątał spod słuchawek telefon.

- Słyszałeś coś z tego, Phil?

- Trochę - nie słyszałem ciebie, tylko innych. Chyba trochę u was wieje, nie? W tle jest straszny hałas.

- Tak. Słuchaj, Phil, znowu jesteśmy w chmurach, lecimy w dół. Chcesz się wyłączyć, czy będziesz dalej słuchał?

- Chcę słuchać! Po prostu zostaw włączony telefon! Interesuje mnie.

dlaczego ta grupa się podzieliła. Poważnie, ciekawi mnie, jak to jest, że podobnie myślący ludzie zawsze w końcu stają po przeciwnych stronach i skaczą sobie do gardeł. Nigdy nie zrozumie...

- Przepraszam, Phil, zrobiło się tu trochę ruchu i nie za bardzo mogę cię słuchać...

- Nie przeszkadzaj sobie, ja po prostu głośno myślę!

Manewrując śmigłem, Addie obniżała sterowiec, który podskakiwał uderzany podmuchami wiatru. Addie znów zaczęła sprzeczać się z wichurą. Wade poczuł lekkie mdłości, kiedy sterowiec spadał w kierunku błękitnego zbocza lodowca, strzelając harpunami kotwic i zakręcając w dół w

ostatniej konwulsji. Gdy tylko wylądowali, Addie zdjęła z głowy słuchawki, otworzyła drzwi gondoli i wyskoczyła.

- Zaczekajcie minutkę - zawołała do nich i pobiegła w kierunku przykrytej przezroczystym dachem szczeliny, wyciętej w wielkim płacie lodu lodowcowego; z pewnością była to kryjówka podobna do tej, jaką niedawno opuścili. Kilka innych sterowców stało już na kotwicach, a ich załogi zgromadziły się przed lodowym schronieniem, celując weń z jakiegoś przyrządu.

- Co oni im robią! - zawołała Val, otwierając już drzwi; Wade złapał ją za ramię.

- Popatrz - powiedział, wskazując gdzieś w bok. - Cokolwiek robią, nie ma tam wszystkich, widzisz?

- Wade, uważaj - odezwał się z jego nadgarstka słaby głos Phila. - Miej oczy otwarte, nie podoba mi się ten hałas, pilnuj się z każdej strony, zawsze to powtarzam...

Białe poruszenie; maleńkie czarne kropki na tle pola błękitnych seraków; Wade zobaczył, że były to przyciemnione okulary i zorientował się, że ich "dzicy" sami zostali wciągnięci w pułapkę, być może przez ludzi, którzy wymknęli się ze schronienia.

- Chodźmy - powiedziała Val, otwierając drzwi i zeskakując na ziemię.

Za nią podążył Iks, a po ułamku sekundy wahania dołączył Wade, również wyskakując z gondoli sterowca.

Val pobiegła do jednej z kotwic sterowca i podniosła leżące tam dwie duże bryły lodu. Jedną rzuciła w "dzikich" stojących przed wejściem do lodowego schronienia, by ich zaalarmować; drugą cisnęła w białe postacie idące w ich stronę. To skupiło na nich uwagę białych postaci, z których jedna pokazała w ich kierunku - po czym wycelowała w nich broń, na widok której Wade poczuł dreszcze. W panice rzucił się naprzód, trafiając ciałem w kostki Val i Iksa, podciął im nogi, tak że upadli na niego. Suche dźwięki, które usłyszał poprzez wiatr, spowodowały, że żołądek skurczył mu się do rozmiarów orzecha; strzały! Wtulił się w lód, lecz zdążył zobaczyć, jak "dzicy" przy wejściu do lodowej jaskini odwrócili się i skierowali swoją dziwną broń w stronę tych, którzy chcieli ich zaskoczyć. Białe sylwetki skurczyły się, zatoczyły i padły jak marionetki, którym odcięto sznurki.

Na chwilę zapanował zupełny bezruch, jeśli nie liczyć wiatru. Głos Phila dobiegający z nadgarstka Wade'a brzmiał jak cykanie świerszcza. Minęło zaledwie kilka chwil, lecz dla Wade'a, który wpadł w panikę, czas wydłużył się w nieskończoność; umiałby szczegółowo zrelacjonować przebieg każdej sekundy. Serce waliło mu niczym najszybsza partia kotłów, dostępna w jego programie "Maestro".

Val oraz Iks próbowali się podnieść. Oboje byli solidnie zbudowani.

Wreszcie coś się ruszyło przed przezroczystym namiotem kryjówki. Pokazały się Mai-lis i Addie, kierując kroki w stronę spóźnialskich. Wade przyłożył telefon do ust.

- Posłuchaj teraz, Phil.

Zanim Mai-lis i Addie doszły do nich, zdążyli już wstać. Val zawołała ze złością:

- Podobno miało nie być żadnego niebezpieczeństwa! Coście tam, kurwa, robili?

- Przepraszam - powiedziała krótko Mai-lis, posyłając Addie spojrzenie, które ta zignorowała. - Mieliście przyjść dopiero po zakończeniu operacji.

Dzięki za pomoc.

Pozostali członkowie jej grupy zbierali leżące postacie, bezceremonialnie wlokąc je po lodzie do największego sterowca. Jeszcze więcej ludzi, nieprzytomnych lub sparaliżowanych, wyciągnięto z samej kryjówki. Było kilkunastu. Sterowiec, do którego ich załadowano, wydawał się większy od pozostałych, lecz mimo to i tak musiał być wypchany.

Twarcz Addie oblała się bladym rumieńcem.

- To zamykana gondola - wyjaśniła Wade'owi, Val i Iksowi - nic w środku nie zrobią. Pojazd jest zdalnie sterowany, a ten jest zaprogramowany na lot do bazy na Półwyspie, gdzie zatankuje, a potem polecą nad Cieśniną Drake'a do Chile.

- Co im zrobiliście? - zapytała Val.

- Strzeliliśmy do nich czymś, czego używają w japońskich bankach do obrony podczas napadów. Poraża koordynację mięśni jakimiś ultradźwiękami czy prądem, nie wiem dokładnie. Oglusza po prostu.

- Oni strzelali czymś innym - zauważył Iks.

- Pewnie, strzelali z prawdziwych pistoletów! Cieszę się, że was nie trafili. Dzięki ładnej akcji senatora. Chodźcie, Mai-lis ogłosi wyrok i wyśle ich w drogę.

Cała grupa zebrała się wokół największego sterowca. Carlos wykrzykiwał jakieś wyzwiska pod adresem ludzi za szybą gondoli, potrząsając oskarżycielsko palcem. Gdy podchodzili, Wade powiedział do telefonu:

- Słyszysz, Phil? - Po czym przyłożył telefon do ucha.

- Trudno coś zrozumieć, ale nie wyłączaj się.

Niektórzy ze schwytanych wychodzili już z paraliżu nerwów mięśniowych i stali przy oknach, wołając coś do Carlosa i innych, z twarzami czerwonymi od wściekłości; ktoś płakał; ktoś inny krzyczał; jakaś kobieta waliła w okno z całej siły - gdyby mogła, przebiłaby pięścią szybę, nie bacząc na konsekwencje. Przez szyby, wiatr i szum śmigła sterowca do uszu stojących na zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk.

- To Ron! - zawołał Iks, wskazując kogoś w gondoli. - W środku jest Ron Jasper! Przysłał do lodowych piratów!

Mai-lis miała w dłoni walkie-talkie, prawdopodobnie po to, by mówić do zamkniętych w gondoli przez radio w sterowcu. Wade podbiegł do niej i zbliżył telefon do jej ust, tuż obok mikrofonu walkie-talkie. Mai-lis skinęła przyzwalająco głową, po czym ciągnęła:

- ...dziewięćdziesiąt procent głosowało za wygnaniem, więc zostajecie wygnani. Nie możecie wrócić, pod groźbą śmierci. Zapamiętajcie tę lekcję na resztę swojego życia, które spędzicie na Północy. - Utkwiła w nich wzrok. Jej skośne oczy były zimne. Dała znak i człowiek z jej grupy zaczął manipulować przy jakimś zdalnym sterowniku. Wielki sterowiec oderwał się od cum i pomknął w górę, unosząc uwięzionych w gondoli ludzi wysoko w chmury i wiatr.

Później Val, Iksa, Wade'a i Carlosa zaprowadzono do nory piratów, jak nazwała to miejsce Addie. Jama była znacznie głębsza niż kryjówka, w której byli poprzednio i ciągnęła się w głąb lodu nieskończonym, błękitnym tunelem. Znaleźli tam mnóstwo ustawionych pod ścianami pudeł i skrzyń, w których znajdowały się rozmaite sprzęty. W tyle korytarza przycupnął duży żółty pojazd, który przypominał Wade'owi spychacz drogowy.

- To on! - krzyknął Iks. - Mój ciągnik z transportu!

- Mówiłam - odezwała się Addie. - Chodźmy stąd. Damy wam współrzędne GPS tej kryjówki, żeby ludzie Mac mogli zabrać stąd swój sprzęt.

W chwili, gdy ich sterowiec znalazł się w powietrzu, Addie powiedziała przez interkom:

- Uff, cieszę się, że już po wszystkim! Dzięki za pomoc. Przepraszam, że przylecieliśmy trochę za wcześnie, ale prawdę mówiąc bardzo chciałam przy tym być. Nie cierpię tych gnojników i ich złodziejstwa. Zachowują się, jakby im wszystko było wolno.

- Naprawdę ich zabijecie, jeżeli wrócą? - zapytał Wade.

- Nieee. Nie sądzę. Może byśmy to zrobili, ale pewnie znowu ich tylko stukniemy i wywieziemy. Prawda jest taka, że chyba już nie wrócą. Nikt by im nie pomógł, a żeby dać tu sobie

radę, musieliby należeć do "dzikich". Gdyby więc nawet wrócili, będą się błąkać samotni, jak grupy trekkingowe.

- Dalej jednak nie rozumiem, jak to się wam udaje - dociekał Wade. - Sam wasz sprzęt musiał kosztować o wiele więcej niż zdołalibyście zarobić.

Długa chwila milczenia, wypełniona odgłosami wiatru i szumem śmigła.

- No, wiecie jak to jest - powiedziała w końcu Addie. - Mamy swoją publiczność; mam na myśli sponsorów. Żaden z twoich klientów nie przysyłał relacji podczas trekkingu? - zwróciła się do Val.

- Pewnie - odparła dziewczyna. - Ta Shu. Ciągłe chyba to robi, jeżeli może nadawać.

- Też robimy coś takiego. Niektóre firmy, które wykonują sprzęt, chcą testować swoje prototypy w naprawdę ciężkich warunkach. Mamy więc sojuszników.

- A Traktat Antarktyczny? - przypomniał Wade. Znów wcisnął ręczny telefon między prawe ucho i słuchawkę, próbując sobie wyobrazić, jakie pytania chciałby zadać Phil. Przypuszczał, że Phil mógłby sam zadać własne pytania, ale na razie milczał i Wade przekonał się, że to najprostszy sposób, by skłonić Addie do mówienia.

- Tak, tak, Traktat. Teraz jest zawieszony, nie? Nawet kiedy jeszcze obowiązywał, był tylko kartką papieru. Głosił czyste wartości, bo gra szła o małe stawki! Kiedy tylko wydobycie ropy stało się opłacalne, kraje spoza Traktatu zaczęły tu węszyć, a rządy krajów, które podpisały Traktat, zaczęły walczyć o przywództwo, nie przebierając w środkach. Sami więc widzicie, że w rzeczywistości Traktat nigdy nie był przestrzegany. I nikt nie przyjeżdżał, żeby stuknąć osoby naruszające jego postanowienia i wywieźć je, jak przed chwilą postąpiliśmy z tamtymi złodziejami. Francuzi podpisali Traktat, a potem buldożerami wyrąbali szeroki pas startowy, który przebiegał prosto przez kolonię pingwinów obok francuskiej stacji. Przyjechali ludzie z Greenpeace i stanęli u stóp zbocza, na które buldożery spychały kamienie, a operatorzy spychaczy dalej pracowali jak gdyby nigdy nic. O mały włos nie zabili kilku z nich. To chyba była najbardziej niebezpieczna rzecz, jaką zrobili, groźniejsza nawet niż jeżdżenie zodiakami przed nosem wielkich statków wielorybicznych Japońców. Greenpeace robił tu fantastyczne rzeczy, naprawdę wiele zmienili; niczego jednak nie wysadzali jak ci nie-wiadomo-kto. Ale nie mogli upilnować wszystkich, bo wszyscy łamali Traktat. Rosjanie złamali Traktat, Polacy złamali Traktat, Amerykanie złamali Traktat - powinniście zobaczyć dno zatoki przy McMurdo! Nie byliśmy wcale lepsi od innych, aż kiedyś Greenpeace przyjechał na stację i wywalił wszystkie śmieci na środek podłogi w Szalasiu podczas ważnego zebrania. To była dopiero akcja. Facet z NFN oszalał ze złości i zabronił nam rozmawiać z ludźmi z Greenpeace, a na koniec sezonu przeszedł na emeryturę. Ale cała heca dała Fundacji do myślenia.

W tym samym czasie Fundusz Obrony Środowiska wytoczył im proces w Waszyngtonie o złamanie umowy NEPA. Prawdziwa walka na dwóch frontach. NFN w końcu postanowiła się poprawić, ale to przede wszystkim zasługa Greenpeace, Greenpeace i FOŚ. Słowo daję, że lekceważono Traktat na każdym kroku! Na świecie za dużo się działo, żeby ktoś miał się wściekać o taką drobnostkę jak Antarktyda. Traktat obowiązywał, ale nikt się nim nie przejmował, chyba że miał w tym jakiś interes. Mai-lis pilnuje, żebyśmy wszystko robili zgodnie z postanowieniami Traktatu, jak przedszkolanka, lepiej niż niejeden kraj; sami zajrzyjcie, co tam jest napisane. Prowadzimy ewidencję wszystkich zwierząt, jakie zabijamy, żeby je zjeść albo do celów badawczych i w tym w ogóle nie różnimy się od naukowców, tyle że potem zjadamy materiał badawczy. Art Devries też tak robi. Nie możecie więc oczekiwać, żebyśmy brali Traktat zbyt poważnie.

- Jeżeli nie wylecicie przez niego z kontynentu.

- To nie tak. - Pokręciła głową. - Po to właśnie wywieźliśmy tych gnojzków, a tamci, którzy wysadzili stacje naftowe i zerwali łącza... - Podmuch wiatru zarzucił sterowcem i Addie chwyciła

mocno stery, nie kończąc myśli.

- Uspokój się.

- Co cię tu sprowadziło? - zapytał Wade.

- Samolot. - Addie wybuchnęła śmiechem. - Żartuję. Jestem z Alabamy, nie? Nigdy w życiu nie myślałam o Antarktydzie. To był jakiś fluid.

Sprzedawałam kiedyś ziemię, którą przyszedł obejrzeć jakiś facet i zaczęliśmy rozmawiać. Odkąd skończyłam dziesięć lat, byłam hydraulikiem, stolarzem, elektrykiem - mój tato miał firmę budowlaną i robiłam u niego wszystko. Po wojsku latałam helikopterami w Louisiana Pacific. Opowiadałam o tym tamtemu człowiekowi, pokazywałam mu studnię i pompownię, którą zbudowaliśmy, a on zapytał: "Myślałaś kiedyś o tym, żeby pracować na Antarktydzie?"

Ja na to: "Skąd, nigdy". - Śmiech. - Okazało się, że był z ZLA i powiedział, że nadawałabym się do jego firmy. I rzeczywiście przez jakiś czas tam byłam.

- W McMurdo? - zapytał Iks.

- I na biegunie. Pięć sezonów letnich i dwie zimy. Drugiej zimy na biegunie pokazali mi różne rzeczy...

- Zjeżdżalnię wodną? - spytał Wade.

- Tak, skąd wiesz? Kim ty w ogóle jesteś? Aha, no tak, senatorem.

- Właściwie nie jestem senatorem.

- Zjeżdżalnia wodna? - Iks i Val spojrzeli równocześnie na Wade'a.

- Potem przyłączyłaś się do "dzikusów" - podpowiedział Addie Wade.

- Tak. Któregoś dnia wylądowywałam herca, miałam wszystkiego dość, spojrzałam w górę i zobaczyłam kołującego wydrzyka. Od czasu do czasu ptaki dolatują do bieguna, ale wtedy o tym nie wiedziałam i kiedy go zobaczyłam, pomyślałam sobie, że to, sama nie wiem, Bóg. Tego samego wieczoru Herb zapytał mnie, czy nie chciałabym stąd zwać. Pomyślałam o wydrzyku i powiedziałam: "no pewnie", i nie oglądając się na nic, uciekłam.

- Nie żałujesz, że straciłaś... - Głośnie uderzenie wiatru zagłuszyło jego słowa.

- Że co straciłam?

- Cały świat!

Perlisty śmiech.

- A czego tu żałować? Świat to jeden wielki ZLA, wiecie, co mam na myśli. Człowiek jeździ w pudełkach, żeby siedzieć w innych pudełkach i gapić się w mniejsze pudełka - co to za życie? Nawet budowanie pudełek za pięćdziesiątym razem przestaje cię kręcić. Nie, nie tęsknię za niczym. Z wyjątkiem Tahiti oczywiście! - Śmiech. - Jeżdżę tam każdej zimy.

- Nie zimujesz na Antarktydzie?

- Nie ma mowy. Spędziłam tu w sumie dwie zimy, co najmniej o jedną za dużo. Życie jest za krótkie. Oczywiście mam obowiązek zimowania raz na siedem lat, żeby pilnować tu wszystkiego. Ale moje siedem lat jeszcze nie minęło, a kiedy minie, będę musiała o tym pomyśleć. Może uda mi się wykręcić albo w ogóle to rzucę. Nie wiem, pomyślę o czymś. Może jak znajdę odpowiedniego faceta, wezmę przydział dla dwojga. To jedyny sposób; hibernacja i spędzenie całej zimy w ciepłym łóżku.

- Czyli większość z was tu nie zimuje - powiedziała Val.

- Nie, tylko ekipa obsługi, jak w Mac czy na biegunie. Jesteśmy mieszkańcami Antarktydy, w porządku, ale nie masochistami, z wyjątkiem paru osób, o których mogę tak powiedzieć. Dla nas to po prostu dobra zabawa.

Wszystko polega na tym, żeby być elastycznym. Żyjemy jak koczownicy.

Tak jak Eskimosi i Lapończycy. Większość wyjeżdża na zimę na Tahiti, inni do Nowej Zelandii, na Alaskę czy gdzie indziej. Ale niech mnie diabli, jeżeli będę musiała, spędzę tu zimę, żeby wszystko działało jak należy.

Pod nimi ukazała się szpara w chmurach, przez którą zobaczyli część szerokiego jęzora lodowca, sunącego pomiędzy czarnymi szczytami.

- Wygląda jak Beardmore - powiedziała Val.

- Nie mówmy o tym. I byłabym ci wdzięczna, gdybyś przestał sprawdzać GPS - dodała, oglądając się na Wade'a.

- Dokąd nas wieziesz? - spytał Wade.

- Do Mac oczywiście, ale przedtem polecimy do Quviannikumut, żeby zatankować. Chyba Mai-lis chce, żebyście zobaczyli nie tylko naszą ciemną stronę, że tak powiem. Nie tylko pranie brudów - wykonywanie wyroków. - Pokręciła głową. - Co za gnoje.

- Zdaje się, że Mai-lis naprawdę ma tu sporą władzę - zauważył Wade.

- Ktoś musi to wziąć na siebie. Pewnie, że jest dla nas mamuszką. Ta cała demokracja jest dobra, dopóki nie zamienia się w chaos. Ktoś musi mieć ostatnie, a raczej pierwsze słowo. I to jest Mai-lis.

- Ciekawe, skąd ona się tu wzięła.

- Musicie ją o to sami zapytać. Ale chyba sobie przypominam, jak kiedyś mówiła, że miała już dość Norwegów. Traktują Lapończyków tak jak my Indian, wiecie? O, jest Quviannikumut, widzicie? Wade widział tylko białe chmury.

- Zaczy: "Czuć głęboką radość". Ładna nazwa, co? Dobra, schodzimy. Dalej, piesku. Siad! Siad!

biel biel biel biel zieleń biel biel biel biel Val zdumiona weszła do Quviannikumut. Kryjówka wydawała się o wiele większa niż pierwsze schronienie "dzikich", w którym poprzednio byli:

składała się z kilku segmentów pokrytych przezroczystym namiotem - zakoli dolerytowego zbocza, którego poszarpane ściany łagodnie opadały na powierzchnię lodu, a potem wznosiły się, tak że warstwy skał i lodu przeplatały się. Skała przypominała trochę Labirynt w dolinie Wright; drobne kaniony wcięły się wysoko w zbocze, zamieniając się we wpuszczone w ścianę pokoje. Gładkie półwyspy niebieskiego lodu, wciskające się w zakola, stanowiły część większego lodowca albo lądolodu polarnego - w wirującym białym pyle burzy nie sposób było tego stwierdzić - a lód także stał się częścią kryjówki, jak w plastrze miodu, ułożony na przemian z tunelami, odkrytymi komnatami i długimi, błękitnymi galeriami. W górze kotłowała się biała chmura, więc kryjówka wyglądała jak wioska pod szkłem. Była piękna.

Wszyscy klienci Val z pozostałych sterowców zebrali się w pomieszczeniu, które okazało się wielką salą jadalną; nic im się nie stało i Val uspokoiła się. Właściwie zaczęła się uspokajać, bo to zawsze trwało pewien czas.

Znowu dostali wielki posiłek; maczali krylowe ciastka w sosie salsa i rozmawiali z towarzyszami przy stole. Jack powoli chyba dochodził do siebie; miał temblak i w tej chwili bawił jakąś wysoką blondynkę ze Skandynawii opowieścią o przeprawie przez Basen Mohna.

- To kwestia rozłożenia sił i odpowiedniego tempa.

Jim, Jorge i Elspeth przepytywali kucharza. Carlos rozmawiał po hiszpańsku z jakimś Latynosem; Ta Shu przyglądał się lodowemu krajobrazowi, kiwając z entuzjazmem głową.

- Bardzo dobre miejsce!

Iks i Wade siedzieli obok Val, przepychając się i cały czas gawędząc z Addie. Było głośno; towarzystwo hałaśliwie świętowało wygnanie lodowych piratów.

- Ciężka sprawa - zauważyła Val, zwracając się do Mai-lis. - Przypuszczam, że im się tutaj

podobało.

Mai-lis wzruszyła ramionami.

- Sami są sobie winni. Poza tym wcale nie wtrąciliśmy ich do więzienia.

Zabrała Val, Wade'a i Iksa, by pokazać im kryjówkę; dołączył do nich Ta Shu. W kilku wąskich wąwozach wciętych w zbocze ponad lodem urządzono cieplarnie, odgradzając je od reszty obozu potrójnymi drzwiami zaopatrzonymi w zamki. Wewnątrz minikanionów ściany i dno pokrywały warzywa i zboża, w większości rosnące w wodzie; niektóre rośliny rosły w skrzynkach z ziemią lub dużych szklanych terrariach. Dachy były przezroczyste.

- W słoneczne dni ta tkanina staje się biała. Z góry nic nie widać - powiedziała Mai-lis. - Przenosimy to z miejsca na miejsce, zgodnie z drogą słońca.

Staramy się uprawiać jak najwięcej. Oczywiście nie wystarcza, ale idzie nam coraz lepiej. Nowoczesne cieplarnie potrafią być cudownie wydajne.

Wade zadawał jej mnóstwo pytań, podobnie jak wcześniej przepytawał Addie; widać było, że frapuje go owo zjawisko.

- Na czym więc opiera się wasza dieta?

- Na rybach, naturalnie. I ciastkach z kryli. Być rdzennym mieszkańcem Antarktydy oznacza mieszkać na wybrzeżu i żywić się tym, co daje morze, bo w głębi lądu nie ma nic. Na szczęście po tym jak zniknął Lodowiec Szelfowy Rossa, Góry Transantarktyczne leżą właściwie na wybrzeżu. Możemy więc mieszkać tu albo w każdym innym miejscu blisko linii brzegowej.

Latem nawet na lądolodzie, skąd możemy dotrzeć na przeciwległy brzeg.

- Ale dlaczego? - spytał Wade.

- Bo to lubimy. - Val po raz pierwszy ujrzała na jej twarzy uśmiech. - Sporo można zyskać, prowadząc koczowniczy tryb życia. Stopień rozwoju techniki pozwala nam korzystać z bardziej skomplikowanych form koczownictwa. Już nie myślistwo i zbieractwo, ale myślistwo i ruchome uprawy rolnicze. Dzisiejsze ubrania są tak nowoczesne, że często potrafią zastąpić dom.

To bardzo ważne. Można podróżować bez zbędnych ciężarów, a mimo to cały czas mieć ze sobą schronienie. Zawsze ma się zabezpieczenie. Sami się zresztą o tym przekonaliście, prawda?

- Mnie się wydawało, że to było niewystarczające zabezpieczenie - powiedział Iks.

- To częściowo kwestia przyzwyczajenia do skuteczności sprzętu. Albo nabrania zaufania do niego. Jak on kiedyś wyglądał! Czasem to sobie uświadamiamy, kiedy wychodzimy w starym sprzęcie; tym bardziej doceniamy to, co mamy teraz. W ten sposób okazujemy też szacunek pierwszym polarnikom i mamy wyobrażenie, co musieli znosić. Widzicie, to oni byli pierwszymi mieszkańcami Antarktydy. Też byli tym zachwyceni.

- Macie tu jakieś ich stroje? - zapytała Val.

- Wierne kopie, wykonane dla wypraw trekkingowych, które szczegółowo odtwarzają dawne ekspedycje.

- Ach, tak - powiedziała Val. - Znam te wyprawy. Prowadziłam kilka z nich.

- Kupiliśmy je z dużą zniżką.

- Nie wątpię.

Mai-lis zaprowadziła ich do następnego modułu kryjówki o skalnych ścianach, przykrytego namiotowym dachem koloru skał. Była to sypialnia podzielona na małe przegródki, oddzielone od siebie zasłonami i od korytarza, który biegł pośrodku.

- Chyba trochę tu ciasno - zauważył Wade.

- Kiedy jesteśmy wewnątrz rzeczywiście mamy kłopoty - powiedziała Mai-lis. - Prawdziwe ćwiczenie ze sprawności. Ale w żadnym miejscu nie przebywamy zbyt długo, więc to nie jest aż taki

problem. Poza tym to prawdziwa przyjemność obmyślać nowy sposób życia. Otwiera się mnóstwo możliwości, co jest ważne dla poszukiwań w takim świecie jak nasz. Lars często mówi o linii Plimsolla. Znacze ów termin? To linia na kadłubie statku, oznaczająca maksymalny ciężar ładunku. Lars twierdzi, że świat pod ciężarem ludzi zanurzył się już poniżej poziomu linii Plimsolla. Wyliczył, ile energii może dziennie spalić każda osoba, żyjąca dziś na Ziemi, żeby świat nadal utrzymywał się powyżej linii Plimsolla. Wyszło niedużo. Mniej niż moglibyście pomyśleć.

- I dlatego tu mieszkacie? - spytał Wade. - Żeby ludziom na Północy było lżej?

- Ależ nie. Antarktyda nie jest w stanie pomóc. Jest o niebo za mała jak na skalę problemu.

Ludzi wszędzie musi być mniej, to jedyne rozwiązanie.

Redukcja populacji i stabilizacja klimatu to teraz jedno i to samo. Nie, mieszkamy tu, bo się nam podoba. W taki sposób ludzie powinni traktować mieszkanie wszędzie indziej. Ale nam sprawia to po prostu przyjemność.

- Żeby utrzymywać owo miejsce, musicie przecież spalać jakieś paliwo - powiedział Iks. - Słyszę odgłos generatora.

Mai-lis uśmiechnęła się.

- Mówisz jak fundamentalista. A gdybyśmy napędzali generator tłuszczem wielorybów, byłbyś zadowolony? Przecież to odnawialne lokalne źródło energii.

Iks wzruszył ramionami.

- W innych miejscach mamy lepsze sposoby - rzekła Mai-lis. - Tam, gdzie to możliwe, dowiercilismy się do terenów geotermicznych i ogrzewamy nasze kryjówki gorącymi źródłami. Są najlepsze.

- Ten generator pochodzi ze starej stacji na biegunie? - odezwał się Wade.

Mai-lis skinęła głową.

- Zgadza się. Mamy z nim kłopot, bo jest napędzany jakąś starodawną mieszanką, którą musimy specjalnie przygotowywać. Ale jak słyszycie, jest na chodzie.

Na drugim końcu korytarza płachta namiotu schodziła do ziemi, tworząc drzwi przedsionka. Za nimi, w głąb błękitnego cielska lodowca ciągnął się rząd pomieszczeń z misternie wyrzeźbionymi filarami i sufitami. Był tam jeden z pilotów sterowców, Lars, który ujrawszy ich, dał znak, by weszli.

- Tak, wejdźmy popatrzeć - powiedziała Mai-lis. - Jesteśmy dość ciepło ubrani, a tam jest trochę poniżej zera. Sami zobaczycie.

Przeszli przez przedsionek i znaleźli się w lodowej galerii; rzeczywiście było tu niewiele chłodniej niż w pomieszczeniach o skalnych ścianach. Idąc dalej zobaczyli, ile lodu wydrążono, by urządzić w nim pokoje i komnaty; mieli wrażenie, że cały jezior lodowca został pocięty jak plaster miodu, którego segmenty przykryto namiotowymi dachami, a niektóre pozostały otwarte; przywodziły na myśl jedną z wielkich Lodowych wiosek, jakie rzeźbi się na skandynawskim festiwalu, lecz na olbrzymią skalę. Jeden ogromny dziedziniec w całości zajmowała grupa rzeźb z gładkiego błękitnego lodu.

- Niesamowite! - zawołał Wade, przyciskając się do przezroczystej ściany i wpatrując w pozbawiony zadaszenia ogród rzeźb. - Kto to...

Lars stanął obok Wade'a, zwracając się do nich bardziej przyjaźnie niż dotychczas.

- Nie tylko my bawimy się na Antarktydzie. To dzieło jednego z artystów z McMurdo. Wystąpił do NFN o pozwolenie na użycie nowych świderów lodowych, żeby rzeźbić na lodowcu Canada w Suchych Dolinach, ale mu odmówiono. Spędzał więc czas w McMurdo lepiąc bałwany i udawał, że to jego jedyne zajęcie. Ale tymczasem trzy razy odwiedził nas tutaj i zrobił te rzeźby.

Nikogo specjalnie nie obchodzi, co robią ci artyści w terenie. Tamten jakoś nas znalazł i przyprowadził go tu, kiedy budowaliśmy kryjówkę. Byłem z nim, widziałem jego pracę i przysięgam, czułem się jak Rilke przy Rodinie.

- Wierzę - rzekł Wade z nosem przyciśniętym do przezroczystej tkaniny. - Co za poczucie formy.

- Tak, to był prawdziwy artysta. Posługiwał się świdrem lodowym jak własnymi palcami. Musicie wiedzieć, że to wcale nie wyglądało tak, kiedy skończył pracę. Zakładał, że lód będzie sublimował i z upływem czasu rzeźby zmieniał kształt. Nie można było dokładnie określić, jak się zmienia, więc jest tu też element przypadku. Ale chciał wiedzieć, jakie wiatry dominują, żeby mieć wpływ na rodzaj zmian. I tak to teraz wygląda. Za kilka lat wiatr zniszczy je zupełnie.

- Rany.

- Dzięki niemu inaczej zaczęliśmy traktować świdry lodowe. Pomógł nam zrozumieć, co powinniśmy zrobić w naszych kryjówkach.

Ta Shu z szerokim uśmiechem uderzył się kufakiem w pierś.

- Ja też artysta.

- Naprawdę? - zainteresował się Lars.

Iks wskazał przez wnętrze lodowca na następne zadaszzone zakole, które było wypełnione gęstą mgłą.

- Co tam jest?

- Sauna - odparła Mai-lis. - Nasz sposób na odprężenie i ogrzanie się po dniu spędzonym na powietrzu. Właśnie tam idę. Jeśli macie ochotę, możecie się przyłączyć.

Przeszli z powrotem przez część sypialną ku drzwiom prowadzącym do wilgotnej przebieralni, gdzie na skalnych półkach piętrzyły się stosy ubrań, niektóre ułożone starannie, inne niedbale rzucone. Mai-lis rozsunęła suwak ubrania, zostając w długiej bieliźnie, po czym przez przezroczystą, rozpinaną ścianę weszła do długiego, zamglonego pomieszczenia, na którego dnie znajdował się parujący basen. Okazało się, że większość ludzi już tam była. Basen zajmował część podłogi namiotu, gdzie skalne zakole obniżało się, i wypełniała go gorąca woda, sięgająca pasa. Przezroczysta ściana za nim sięgała podłogi, a tuż za nią widniał lód lodowca, pochylony w dół, jak błękitna fala, która za moment się roztrzaska.

Val rozebrała się do szortów i koszulki, nie patrząc na Iksa i Wade'a, którzy też unikali spoglądania na nią, zataczając się i wpadając na siebie, kiedy zdejmowali ubrania. Przeszła przez wewnętrzne drzwi do pomieszczenia z basenem. W środku panowały zaskakujące gorąco i wilgoć. Tu nie było widać błękitnej ściany lodowca wznoszącej się nad nimi po przeciwnej stronie; unosiła się tam po prostu mgła, bardziej błękitna niż otaczające ją opary. Val weszła do basenu i zanurzyła się po szyję, a potem usiadła na skalnej półce, położonej trochę wyżej. Gorąco! Gorąco! Ależ luksus. Nagle poczuła, jak zimno było jej przez ostatnie miesiące.

Sauna znajdowała się nad basenem; wokół parującego kotła ustawiono kilka ławek. Powietrze składało się wyłącznie z pary; w saunie musiała unosić się po prostu bardziej gorąca para. Głosy i donośny plusk wody odbijały się od skalnych ścian. Val usiadła, obserwując twarze ludzi. Nie spała od trzech, czy czterech dni - za długo, by móc dokładnie określić jak długo - ogarnęła ją więc szumiąca w uszach bezsenność, której od czasu do czasu doświadczali wszyscy mieszkańcy Antarktydy, kiedy z jakiejś przyczyny nie kładli się tak długo, że przestali wierzyć, by kiedykolwiek jeszcze mogli zasnąć. Czuła się oszołomiona, oddalona i bezcielesna; wokół niej, we mgle i w wodzie, wszędzie było mnóstwo różowych i brązowych ciał, widziała rozmaite kształty na rozmytym tle błękitnego lodu; widziała też własne ciało, nareszcie odprężone, różową rękę pulsującą tuż przed oczami, której każdy szczegół dostrzegała z mikroskopijną dokładnością, jak gdyby miała

półprzeźroczystą skórę. Lecz jej świadomość szybowiała gdzieś daleko od tej różowości. Wielu "dzikusów" było nagich; inni mieli na sobie kostiumy kąpielowe, bieliznę albo długie kalessy, wszystko z tkanin, które wysychały natychmiast po wyjściu z wody; nawet zanurzona w basenie Val czuła suchą, ciepłą warstwę tkaniny tam, gdzie pozostała ubrana. Spoglądając na swą różową skórę z punktu położonego znacznie wyżej niż głowa, Val cieszyła się, że jest choć trochę okryta; mimo to czuła, że wygląda fatalnie. Okropnie się poraniła podczas dwóch ostatnich upadków, miała też ślady po dawnych urazach; jej ciało wszędzie pokrywały blizny i wyglądała trochę jak narzeczona Frankensteina, pozszywana z różnych kawałków, które nie bardzo do siebie pasowały. Cóż. Iks siedział obok w długich kalessach, jak sam Frankenstein obok narzeczonej; wielki, zwalisty i niezgrabny. Jego obecność stanowiła dla niej pewne pocieszenie. Wyglądali jak para futbolistów, obrońca i rozgrywający, moczających siniaki po trudnym meczu.

Wade z kolei był bardzo szczupły i wysportowany. Pływał teraz wokół gorącego basenu jak wydra. Przystojny facet. Lars też wyglądał atrakcyjnie, niczym skandynawski bożek; z twarzy przypominał trochę Stinga. Nie miał grama tłuszczu. Ciała "dzikich" świadczyły, że ciężko tu pracują, czemu Val wcale się nie dziwiła.

Mai-lis stała pośrodku basenu, okrągała i pokryta zmarszczkami, słuchając Carlosa i Ta Shu. Mamuśka. Cała trójka okrążała powoli basen, zbliżając się do Val i Iksa, zamieniając po drodze parę słów z innymi. Tubylcy, którzy mieszkali tu i pracowali. Iks nachylił się do Val i pokazał na nich.

- Mamy cholerne szczęście. Chilijczyk, Chińczyk i Laponka rozmawiają sobie po angielsku.

- Możemy podziękować za to Brytyjczykom.

- Chyba tak.

- To prawda - upierał się Carlos, zwracając się do Mai-lis i Ta Shu. - Jeśli to prawda na Antarktydzie, to jest prawdą wszędzie indziej. I koniec!

Ta Shu niepewnie zmrużył oczy.

- Tu jest zimniej. Nie jest łatwo ludziom żyć z ziemi.

- Oczywiście - odrzekł Carlos - ale nigdzie nie jest łatwo ludziom żyć z ziemi! Prawda tu, prawda gdzie indziej, jak mówię! Gdzie na świecie ktoś opuszcza dom i tak po prostu zaczyna żyć z ziemi? To nie takie łatwe!

- Przypuszczam, że nie - rzekł z namysłem Ta Shu. - Może na sawannie.

- Ale jeżeli udaje nam się tutaj - powiedziała Mai-lis - wszędzie indziej może być tylko łatwiej. Dlatego nie zgadzam się z fundamentalistami, że powinniśmy wyłącznie używać rzeczy, które możemy zrobić tutaj sami. Nie ma powodu, żeby bawić się w takie sztuczne ceremonie. Właśnie najnowsze techniki pozwalają nam robić to wszystko. Kiedy ubranie może zastąpić ci dom, a namiot farmę, możesz iść dokąd masz ochotę. Nawet na Antarktydzie da się zamieszkać, jak widzicie.

Przez plusk wody przebiły się wyższe głosy i Carlos spojrział na wejście.

- To dzieci? Hej, patrzcie! Chłopcy i dziewczynki!

Do wody wskoczyły przypominające stadko zwierzaków dzieci i ochlapwały się wodą, nie zwracając najmniejszej uwagi na dorosłych.

- Nie wiedziałem, że macie tu dzieci! - powiedział Carlos. - Nic nam nie mówiłaś!

- Ach, tak. Mamy tu parę rodzin, które zwykle trzymają się razem, żeby dzieciaki miały towarzystwo. Ta kryjówka to wielki obóz rodzinny.

- O to właśnie chodzi! - zawołał Carlos. - To są rdzenni mieszkańcy Antarktydy, rozumiesz? Poza nią niczego nie znają. Właśnie tak się wychowywałem - szkoda, że nie mieliśmy takiego gorącego kąpieliska, ale było nas piętnaścioro dzieciaków w Bernardo O'Higginsie i jeszcze dzisiaj mogę wymienić z imienia i nazwiska każdego, i o każdym coś opowiedzieć, pamiętam wszystko

dokładnie! Słuchajcie, byliśmy jak rodzeństwo. Iks, Iks, tak się wychowałem, tylko na nie popatrz!

- Patrzę - zapewnił go Iks.

- Musisz mieć dużo wspomnień z tamtego miejsca - rzekł Ta Shu.

- O Boże, no pewnie. Kiedyś w Bernardo - rzekł Carlos, zwracając się do wszystkich, włączając Jima, który przyłączył się do nich, przyglądając mu się uważnie - kiedy miałem cztery lata i fascynował mnie buldożer, używany do odśnieżania, lubiłem siadać z kierowcą i prowadzić. I pewnego dnia wyszedłem z domu i wlałem do buldożera. Udawałem, że sam nim kieruję, a wiecie, że buldożer zapala za naciśnięciem guzika, kiedy w stacyjce jest kluczyk - wcisnąłem guzik i silnik zaskoczył. Buldożer ruszył, bo zostawili go na biegu. Nie wiedziałem, co robić, ze strachu nie mogłem się ruszyć. Poza tym buldożer był tak zaparkowany, że stał zwrócony przodem w stronę klifu, pod którym leżało morze, pokryte cienkim lodem. Buldożer jechał prosto w tę przepaść, a ja to widziałem i nie mogłem wykombinować, co robić.

Ktoś z jadalni zobaczył mnie przez okno i wszyscy ruszyli na ratunek; z przodu biegł mój ojciec, widziałem wyraźnie jego twarz, jeszcze dziś ją widzę.

Jednak byli za daleko i nie zdążyliby, bo buldożer znajdował się już o krok od skały. I nagle stanął. Silnik zgasł, no wiecie, zakrztusił się i zdechł. Później go sprawdzali i wszystko było w porządku, dopływ paliwa i reszta. Ale zatrzymał się na skraju klifu! Wszyscy nieśli mnie z powrotem. To właściwie pierwsze zdarzenie, które tak dobrze zapamiętałem.

- Prawdziwy z ciebie mieszkaniec Antarktydy - oświadczył Ta Shu.

- Tak, tak, tak. Antarktyda powiedziała do mnie: "No dobrze, Carlos, żyj sobie. Ale pamiętaj, musisz mi służyć".

Po chwili przez basen przemknęła grupa ludzi zmierzających z sauny do drzwi po drugiej stronie namiotu, które prowadziły na zewnątrz.

- Chodźcie! - zawołała, mijając ich Addie (wciśnięta w kwiecisty kostium kąpielowy, zaróżowiona i seksowna). - Chodźcie wszyscy, w saunie jest sto pięćdziesiąt stopni Fahrenheita, a na dworze minus pięćdziesiąt, jeżeli doliczyć wiatr! Możecie zostać specjalnymi członkami Klubu Dwóch Setek, mniej ekskluzywnego niż Klub Trzech Setek, ale i tak warto!

- O Boże - powiedział Iks, nawet nie drgnąwszy.

- Słyszałam o tym - rzekła Val. - To jak kąpiel polarna w Mac.

- Murowany zawał. - Rzucił na nią okiem. - Chcesz spróbować?

- Nie... A, do diabła, dlaczego właściwie nie? Jestem taka skołowana, może to mnie rozbudzi.

Iks wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Jeżeli to cię nie obudzi, to już nic cię nie obudzi.

Wstali i w tym momencie Val nagle stwierdziła, że Iks jest zupełnie rozluźniony. Gdy wchodzili z chlupotem do basenu, myślała o tym przez chwilę bez związku. Minęło okropnie dużo czasu, odkąd natknęła się na niego i tamtych na Robertsie. Już nie patrzył na nią jak zbity pies ani nie oskarżał jej spojrzeniem jak w McMurdo. Nie, żeby nie miał wówczas powodów! Owszem, miał powody. I miał je nadal. Lecz chyba jej wybaczył. A ona nawet go nie przeprosiła. Chwyciła go za ramię, by zachować równowagę, ponieważ w pobliżu wyjścia nadepnęli na zimne tenisówki; trzymała się go dość mocno, bo do śluzy tłoczyli się ludzie.

- Trzymaj się za plecami innych - powiedziała do niego Val. - W szparze między namiotem i lodem może wyjątkowo mocno wiać.

- Myślisz, że będą nas osłaniać?

- Cholera.

W tłoku razem z resztą wyszli na zewnątrz.

Błyskawiczne uderzenie zimna, brutalny, natychmiastowy atak, na wszystkie punkty ciała jednocześnie. Wiatr przeniknął jej przez skórę i dotknął mrozem rozgrzanego wnętrza. Wszyscy wrzeszczeli i Val zorientowała się, że ona też wrzeszczy. Para buchnęła z nich i pognała z wiatrem; stali się różowymi petardami, które eksplodowały parą! Ziąb był niewiarygodny. Val poczuła przez chwilę strach. Przyszło jej do głowy, że tak właśnie będzie wyglądał koniec na Antarktydzie - lodowa śmierć. Potem razem z innymi śmiała się z ich szaleństwa; ludzie z krzykiem próbowali lepić kule ze śniegu twardego jak beton, a ich różowa, parująca skóra lśniła w przyćmionym, wszechobecnym świetle. Widziała to wszystko bez ciemnych okularów, przez łyzy zamarzające natychmiast na policzkach; jej szorty i koszulka zamarły na kość. Miała mosiężny stanik, jak Amazonka. Ze zdumienia wybuchnęła śmiechem.

Naraz, popychając się, wszyscy weszli do przedsionka, a potem rzucili się do wody, reagując na gorąco jeszcze głośniejszym krzykiem niż na zimno.

Skóra bolała Val po ataku gorąca/zimna, a jej system naczyń włosowatych zdrętwiał pod wpływem skrajnych bodźców mrozu i żaru, które zlały się w jedno parzące dotknięcie. Wokół rozbrzmiewały piski i krzyki. Musiała się roześmiać.

- Ale jazda.

Po tej kuracji wstrząsowej Val na dobre oprzytomniała. Skóra szczypała ją i piekła; widziała wszystko ze zdwojoną ostrością. Senność zniknęła bez śladu; miała wrażenie, że już nigdy nie zaśnie. Wszystkie mięśnie w niej topniały, lecz umysł pozostał czujny, hiperwrażliwy jak skóra.

Popadła rzeczywiście w dziwny stan, obserwując "dzikusów" oraz ich kryjówkę. Wyszła z basenu, nim zdążyła zupełnie się rozleniwic, włożyła bluzę i spodnie. Zaczęła spacerować, przypatrując się wszystkiemu, wolna od jakiegokolwiek odpowiedzialności. We wszystkich pomieszczeniach zrobiło się cieplej, a ludzie chodzili przeróżnie ubrani; wielu wciąż miało na sobie tylko długą bieliznę, która schła po ich wyjściu z wody. Niektóre pomieszczenia wyglądały jak fotografie z katalogu "Victoria's Secret", w całości poświęconego Antarktydzie. W jednym z pomieszczeń znalazła Jacka, który opowiadał o czymś kilku Skandynawkom. W jadalni przy stole siedział Jim, rozmawiając z Ta Shu i Carlosem, w widoczny sposób czymś przejęty: Zajmuję się prawem społecznym, ale zobaczcie, że jeżeli system sam się nie zmieni...

W głębi Jorge i Elspeth gawędzili z kucharzem, Jorge zapisywał coś w notatniku. "Dzicy" niedługo już pozostaną w ukryciu.

Spacerując po ich małej wiosce, Val zauważyła, że kobiet jest mniej więcej tyle, ilu mężczyzn. Gdyby to okazało się prawdą, byłby to pierwszy taki przypadek w historii Antarktydy. Istniały więc jeszcze miejsca, gdzie coś zdarzało się po raz pierwszy.

Tutejsze kobiety pod wieloma względami przypominały Val grupę jej towarzyszek z Mac. Dziewczyny ze Skandynawii, Japonki, Eskimoski, Nowozelandki i tak dalej. Muskularne albo okrągłe, wysokie, niskie, poznaczone bliznami i sińcami, niedożywione lub przyjemnie pulchne; nie dostrzegła wśród nich klasycznych piękności, choć niektóre dziewczyny były podobne do Larsa. Wszystkie podobały się Val. Lubiły spędzać czas na tym dzikim pustkowiu i nie bały się ciężkiej pracy. Poza tym nie należały do przemysłu turystycznego. Wiodły życie polarnych myśliwych i rolników, korzystając z najnowszych zdobyczy techniki. Z czego żyjesz? Poluję i uprawiam ziemię.

Właściwie uprawiam lód. Roześmiała się.

Zatrzymała się i zagadnęła jedną kobietę, pytając jak im się żyje, a ta natychmiast skierowała na nią życzliwą uwagę. Mówiła z niemieckim akcentem. Powiedziała:

- Chodź z nami, idziemy opróżnić pułapkę na ryby w zatoce.

Val wciąż czuła, że jej mięśnie przypominają galaretę, przelewającą się pod skórą, ale

pomyślała, że taka okazja może się już nie powtórzyć.

Powiedziała więc Ta Shu i Jimowi, dokąd idzie, po czym ubrała się i wyszła z namiotu wraz z pięcioma kobietami. Znow znalazła się w zamrażającej mgle, lecz w ubraniu nie było wcale tak źle; po poprzednim wypadzie półnago, w mokrej bieliźnie, wyraźnie czuła efekt działania "kosmicznego" skafandra; wiatr nadal wiał, ale miała już ciepłą ochronę, tkwiąc w zacisznym wnętrzu skafandra.

W pełnym rynsztunku! Poza tym nie wiało już tak jak na Lodowcu Shackletona.

Szły tropem liny, którą kobiety nazwały nicią Ariadny, w dół lodowca, do szerokich schodów, wyciętych w lodowym zboczu za pomocą świdra laserowego. Val zobaczyła, że są na lodowcu piedmontowym, który był pozostałością po Lodowcu Szelfowym Rossa. A więc obóz znajdował się w miejscu, gdzie Góry Transantarktyczne wpadały do Morza Rossa, wciśnięty w odsłoniętą część jakiejś góry, być może Mount Betty. We mgle, daleko na morzu było widać fragmenty gór lodowych ze starego szelfu, jak mknące na horyzoncie wielkie miasto białych budynków. Widoczność zmieniała się w zależności od ruchu chmur; czasem nie przekraczała kilku metrów, innym razem sięgała kilku kilometrów, lecz nie było widać nic poza kłębiącą się chmurą.

Na popękany lodzie, pokrywającym morze, stała mała chatka rybacka, obok której widniał zamrażony przerębel. Po kolei próbowały skruszyć nowy lód łomem. Val uderzyła w lód raz i podała łom dalej, ponieważ uznała, że jej waga stanowi zagrożenie dla wszystkich. Potem pomagała wyciągnąć łańcuch, od czego szybko zmarzły jej dłonie w rękawicach; z początku czuła tępy, zimny ból, który przeszedł w odrętwienie, tak że po chwili zamiast dłoni na końcach ramion miała parę grubych buł obleczonych w rękawice. By przywrócić w nich czucie, wywijała ramionami młynki, po czym pomogła kobietom wydobyć z wody metalową pułapkę, umocowaną na końcu łańcucha.

Skrzynka wynurzyła się, rozpryskując wokół wodę, która w ułamku sekundy zamrażała. W środku tkwiła potężna mawsoni; rzucała się w ostatnich drgawkach. Wszystkie kobiety stały, obserwując ją w milczeniu.

- Ale smok - powiedziała z podziwem jedna, kiedy ryba znieruchomiała. Otworzyły pułapkę, która wyglądała jak wydłużona siatka na homary, zaopatrzona w drzwiczki, otwierające się tylko od zewnątrz. Wyciągnęły ze środka martwego potwora i położyły go na saniach. Val złapała za jeden koniec sań i pomogła kobiecie z niemieckim akcentem, gdy ta poprosiła ją, by razem wniosły sanie po lodowych schodach wyciętych w zboczu obłamanego szelfu. W nogach czuła wyczerpanie po długim marszu przez Basen Mohna; była bardzo, bardzo zmęczona.

Potem pociągnęła sanie z rybą przez lód, powoli i ciężko stawiając kroki. Znow miała na sobie uprząż sań. Droga wydawała się długa, prowadziła pod górę i pod wiatr. Chmura pędziła teraz prosto na kobiety; wszystko utonęło w bieli; nie była to klasyczna śnieżycy, w której traci się poczucie kierunku, lecz nawałnica lodowych igiełek, bombardujących lodowiec. Val czuła się pokonana, jej obolałe nogi drżały, jakby zaraz miała dostać skurczów.

Lecz umysł pozostał jasny i czuła w nim mrowienie, podobnie jak w dłoniach, które powoli tajały. Miała dość. Droga przez biały wiatr rozciągnęła się w nieskończoność; Val pokonywała cały świat i wtopiona weń widziała każdy najdrobniejszy szczegół ziarnistej powierzchni lodowca, półprzezroczystej jak jej skóra w basenie; wszystko płynęło, lecz bez jednego dźwięku, wszystko na swoim miejscu. Wpadła w równe tempo i mogła już ciągnąć tę rybę bez końca.

Wróciwszy do obozu, usiadła w jadalni, grzejąc się przy kuchence i słuchając rozmów.

- Wszyscy Eskimosi, jakich widziałem, musieli się uczyć życia na śniegu od początku, mieszkali na półciążarówkach albo żyli z dotacji rządowych.

Byli albo za biedni, albo za bogaci. Ale nigdy nie stracili swoich zalet. Otóż Eskimosi uważają zadowolenie za bardzo ważne. Na trudne sytuacje trzeba reagować radością. Zadowolonego

człowieka uważa się za osobę zdolną i dobrą. Sądzi się, że niezadowolony musi mieć jakąś poważną Wade. Według nich niezadowolenie jest nieodpowiednią reakcją. Trzeba wyznawać Naartsuka, ducha burzy, największego boga w ich panteonie. Eskimosi nie są dziś zbyt religijni, ale na pewno wciąż wierzą w Naartsuka.

Carlos opowiadał ludziom przy stole o znalezionych na Półwyspie grotach strzał, co dowodziło, że byli tam kiedyś prehistoryczni żeglarze, bez wątplenia przybysze z Chile. Znalaziono też starożytne mapy, na których z zadziwiającą dokładnością narysowano linię brzegową Antarktydy; na niektórych nawet ukazany jest obraz linii brzegowej pozbawionej lodu, jak gdyby cywilizacja, z której pochodziły mapy, była niewyobrażalnie starożytna. Słyszając to, Ta Shu kręcił głową, mrużąc pod nosem:

- Nie, nie. Von Daniken bardzo zły. Jesteśmy pierwsi, mamy obowiązek.

Wade też chyba miał wątpliwości, czy wcześniej żyli tu ludzie:

- Nie jest możliwe - powtarzał. - Nie jest możliwe.

A jednak wielu "dzikusów" nie zgadzało się.

- Przez miliony lat rosły tu lasy bukowe - powiedziała jedna z Niemek.

Przysunęła do stołu maszynę do szycia z nożnym napędem i z pomocą Larsa zszywała kawałki czegoś, co wyglądało jak focze futro. - Kto wie, co tu wtedy mogło żyć?

- Przywrócimy tu bukowe lasy - rzekł Lars. - Akurat znów mamy korzystny klimat. Trzeba je tylko zasadzić. Prehistoryczny i posthistoryczny las.

W nich znajdą schronienie nasze dzieci. Będą mogły zbierać drewno i robić z niego wszystko, czego będą potrzebować, ustawią terraria pod osłoną drzew.

Znowu pojawią się fiordy.

Kucharz postawił przed Val talerz ze smażoną rybą i ryżem oraz wielką misę kapusty i sałaty. Kiedy spałaszowała wszystko, podeszła do niej Mai-lis i powiedziała:

- Chcielibyśmy zawieźć was teraz do McMurdo.

- Teraz? - zdziwiła się. Na dworze wciąż szalała burza, chmury kłębiły się tuż nad lodem i nadal mocno wiało. Oczywiście, jak dotąd nie była to dla nich żadna przeszkoda.

- Tak, teraz. Proszę. Najlepiej będzie, jeżeli się rozstaniemy, zanim McMurdo zacznie znów normalnie działać. Przez te ataki sabotażystów wezwali Marynarkę. W tej chwili, ze względu na burzę, loty z Christchurch są chyba jeszcze wstrzymane, ale zanim pojawi się tu wojsko, wolelibyśmy zniknąć.

- To naprawdę takie ważne, skoro ludzie już wiedzą o was? Gdy zaczną szukać, na pewno was znajdą.

Mai-lis skinęła głową.

- Nie podjęliśmy jeszcze decyzji, co robić. Ratowanie ludzi było ważniejsze niż pozostanie w ukryciu, to jasne. Nie sądzimy, żeby ktoś mógł nas próbować stąd wyrzucić, więc... cóż, zobaczymy. Chcemy rozpocząć nowy etap w pewnej odległości. Kiedy więc ty i twoja grupa będziecie gotowi, sterowce zabiorą was na Wyspę Rossa.

- Jasne. Pewnie masz rację. - Właściwie Val nie pragnęła niczego więcej jak spróbować zasnąć; senność wróciła, co znaczyło, że gdyby tylko mogła się położyć, zostałyby pod kołdrą cały dzień, może dwa. Wyjątkowo niemiłe uczucie. Nie chciała się jednak sprzeczać z gospodarzami.

Chodziła po obozie, zbierając swoją trzódkę. Chciała też powiadomić Carlosa, Wade'a i Iksa. Wielu ludzi było chyba równie wykończonych jak ona; musiała ich wyrwać z klasycznego, pustookiego antarktycznego otępienia, mówiąc:

- Chodźcie, zbierajcie się, lecimy do McMurdo.

Pół godziny później, wraz z ich niewielkim dobytkiem, wsadzono ich do dwóch sterowców. Za sterami tego, w którym była Val, siedziała znowu Addie. I jeszcze raz oderwali się od ziemi, mknąc w gnane wiatrem chmury.

Potem rozkojarzona Val, mimo gwizdzącego i huczącego wiatru, który rzucał sterowcem i niebezpieczeństwa, w jakim znów się znaleźli, zaczęła tracić świadomość i zapadać w sen, jakby zjeżdżała na linie z urwistego klifu; prędzej czy później - prędzej - na dobre zatonie we śnie. Ze względu na sytuację próbowała zwalczyć ogarniającą ją senność, a pomagała jej w tym niecodziennosc wszystkich ostatnich wydarzeń - więc w rezultacie zapadła w specyficzny stan, w którym czuła pod powiekami piasek i balansowała na granicy między jawą a nieświadomością. Słyszała, że Iks, Wade, Ta Shu i Addie rozmawiają przez interkom i wiedziała, że lecą nad Górami Transantarktycznymi wspianym sterowcem; ale nie trzymało się to wszystko kupy. Widziała migające między szparami w chmurze strome góry, jak w chińskim pejzażu. Nunataki w morzu białego kremu. Znów mignął pod nimi skrawek zieleni. Addie powiedziała: "To Shangri-la, nie będziemy się tam zatrzymywać".

- Dlaczego nie lecimy prosto do Mac? - To Iks, jej przyjaciel.

- Wiesz, gdyby istniał jeszcze lodowiec szelfowy, moglibyśmy. Ale teraz lód na morzu pęka i w zatoce jest otwarta woda, a ja nie lubię latać nad otwartą wodą, nawet sterowcem. A gdyby ptak zrobił dziurę w balonie czy coś. Polecimy sobie wzdłuż łańcucha i będziemy podziwiać widoki. To najpiękniejsze góry na ziemi, tylko popatrzcie.

- Obudź się, Val, następny obóz.

To Wade. Miły facet. Lubiła go. Myślał o niej.

-Aha.

Próbowała przerwać senne odrętwienie. Czuła, że porusza się w morzu gęstego syropu. Uderzyła się po twarzy. Iks przyglądał się temu ze zdumioną miną, jakby miał ochotę jej pomóc. No jasne, cały on. Nadal ją lubił. Nie powinna go wtedy rzucić w ten sposób, to było paskudne. W ogóle uganianie się za facetami było paskudne. Sterowiec obniżył się gwałtownie i żołądek podjechał jej do gardła; spojrzała w dół zamglonym wzrokiem: mknące chmury, a potem pas zieleni na tle matowego szkła; kolejna kryjówka. Zielona dolina w lodzie. Potem znowu biała chmura. Val potrząsnęła głową, zbyt oszołomiona, by mogła zapamiętać to, co przed chwilą widziała. Senne majaki i tyle.

- To Norumbega.

- Ilu ludzi tam mieszka? - zapytał Wade.

- Właściwie to nie miasto, tylko baza na skrzyżowaniu szlaków. Pilnują jej Johan i Friedrich, i chyba kilkanaście innych osób.

- Masz coś przeciwko temu, żebym zadzwonił do senatora Chase'a?

- W zasadzie nie, ale nie rób tego teraz, dobrze? Nie chcę, żeby nas ktoś podsłuchiwał przy podchodzeniu. Poza tym sam jesteś senatorem, nie?

Iks i Wade spojrzeli na siebie okrągłymi oczyma, udając wielkie zaskoczenie tą nowiną. Chyba byli przyjaciółmi. Val oparta czoło o zimną szybę, spoglądając przez okno pustym wzrokiem. Dopóki się porządnie nie wyśpi, nie będzie mogła kontaktować, choćby ze wszystkich sił się starała. Przymknęła oczy i zapadła w lekki, przeplatany majakami sen, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Pokój Tysiąca Kształtów, uwięzione w lodzie sanie.

Chmury pędzące nad Lodowcem Zanevelda, leżące na śniegu ciała. Ocknęła się z jękiem, po czym wróciła do wirujących przywidzeń.

Shambhala.

Ultima Thule.

Szczęśliwa Dolina.

Lodowiec Byrda, największy na świecie, tylko popatrzcie na to cielsko.

Jego szerokość jest większa niż długość największego lodowca w Europie.

Ależ potężna rzeka lodu.

Gwałtowny przerywnik, wirowanie i raptowna utrata wysokości. To Lodowiec Skeltona, który działał jak pompa ssąca, ściągając w dół katabatyczny strumień powietrza. No już, spokojnie, mały.

Skelton? Wjeżdżałem tędy moim transportem transpolarnym.

Tak. Cholernie stromy spadek.

A więc prawie jesteśmy na miejscu.

Tak. Słuchajcie, nie mogę was zawieźć prosto do Mac, zrozumcie. Nie lubimy tam latać. Teraz jest me najlepszy na to czas, zwłaszcza jeżeli wylądowali już Marines.

Gdzie chcesz nas wysadzić?

Chciałam na Czarnej Wyspie, ale Mai-lis ma duszę romantyka.

Za chmurami surowy, czarno-biały krajobraz. Czarne morze, poznaczone białymi kropkami gór lodowych. Wyspa, niczym czarna forteca, wyrastała prosto z czarnych odmętów.

Potem Addie w zawrotnym tempie poczęła obniżać sterowiec: coraz niżej i niżej, a Val wyczerpała wszystkie siły i wyrwała się z oblepiającej ją warstwy snu, oszołomiona i zdezorientowana. W tym momencie drzemka na nic się nie zda, musi czuwać. Addie unieruchomiła sterowiec, wyrzucając dużą, pokrytą rdzą kotwicę, która do połowy pograżyła się w czarnym piasku.

- Dobra! - powiedziała. - Powinniście się teraz bez kłopotów połączyć z McMurdo przez radio.

Pchnęła drzwi gondoli, po czym wręczyła im klucz.

- Otworzycie tym barak. Miło było was wszystkich poznać.

Wyszli na czarny piasek plaży. Drugi sterowiec przybił do skał na Wzgórzu Windvane. Ludzie Val stali, jak gdyby przed chwilą wysiedli razem z pociągu. Potem sterówce wzbiły się i odpłynęły, niesione wiatrem, szybko znikając w chmurach.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Wade, - Na Przylądku Evansa - odparła Val. - Wejźmy do środka, schowamy się przed wiatrem.

Widzicie teraz, przyjaciele, domek na Przylądku Evansa. Zbudowała go ekspedycja Scotta w lecie 1910-11. Mieszkali w tym baraku przez jesień i zimę 1911 roku. Wilson, Bowers i Cherry-Garrard wyruszyli stąd na zimową podróż i tu powrócili. Następnej wiosny Scott i jego ludzie wyszli stąd, by zdobyć biegun. Ruszyło szesnastu ludzi; nie wróciło pięciu. Tamtej jesieni i zimy w domku mieszkali ci, którzy przeżyli, w ciągłych ciemnościach i w przekonaniu, że towarzysze nigdy już nie wrócą. Kiedy wraz z wiosną przyszło słońce, jeszcze raz wyprawili się na południe w nadziei, że znajdą ciała przyjaciół. I znaleźli - trzech, zamrzniętych w namiocie, z całym sprzętem i dwudziestoma kilogramami próbek geologicznych, z dziennikami i listami, z których wszystkiego się dowiedzieli. Udało im się zdobyć biegun i znaleźli tam namiot i norweską flagę; grupa Amundsena zdołała dotrzeć tam wcześniej. W drodze powrotnej umarli wszyscy - Evans, Oates, Wilson, Scott i Bowers.

Ci, którzy ocaleli, zostawili trzy znalezione w namiocie ciała na lodowcu szelfowym i wrócili do chatki. Wreszcie przyplłynął po nich statek, którym odpłynęli stąd na zawsze.

Stoimy przed chatą. Zajrzyjmy do środka. Oni już nie żyją; ich historia jest wiecznie żywa. A jednak pozostało tak wiele pytań. Dlaczego przybyli tutaj? Jak da się tu mieszkać? Jak mamy mieszkać w każdym miejscu naszej Ziemi?

Miejsca mówią o nas. Przestrzenie przemawiają przez nas. Ta chata wciąż snuje swą historię.

Wejść i będą milczał, żebyście sami jej mogli posłuchać.

szare światło brązowy pokój Dziewięcioosobowa grupa stanęła przed zniszczonym barakiem Scotta.

Iks wziął klucz, który dostali od Addie i otworzył nim masywną kłódkę wiszącą na drzwiach. Weszli do środka gęsiego, tylko Ta Shu został na zewnątrz i poszedł w stronę Wzgórza Windvane, chcąc przypuszczalnie sfilmować budynek z zewnątrz. Val zamachała do niego, a on odpowiedział gestem, że za chwilę do nich przyjdzie. Weszła za resztą do chatki.

Minęła ciemną sień. Za wewnętrznymi drzwiami znajdował się główny pokój, w którym panował półmrok; wszyscy już tam się zgromadzili. Korytarz w zamiśle budowniczych miał być przedsionkiem, a równocześnie schowkiem i spiżarnią: na podłodze leżały kawały foczego tłuszczu, w kącie wisiało ubite jagnię, na ścianie końska uprząż.

Weszła do dużego pokoju. Jedną połowę pomieszczenia zajmowały piętrzące się pod ścianami pudła, w których zostały zgromadzone zapasy na tragiczną wyprawę roku 1911; nigdy nie zostały wykorzystane. W głębi pokój zwężał się, ponieważ pod obiema ścianami znajdowały się drewniane piętrowe łóżka. Za dużym stołem, pod południowym oknem stały ławy, a po przeciwnej stronie, w przeciwległym rogu, był kącik Scotta i Wilsona. Pod drugą ścianą czarna wnęka ciemni Pontinga. W szarym świetle wszystko tonęło w półmroku.

Jack, Jim i Carlos usiedli ciężko przy końcu stołu i Val, patrząc na nich natychmiast przypomniała sobie zdjęcie Wilsona, Bowersa i Cherry-Garrarda zrobione przez Ponjtinga po ich powrocie z Najgorszej Wyprawy. Siedzieli na tych samych miejscach, przy tym samym stole. Po trzydziestu sześciu dniach spędzonych na otwartej przestrzeni, w środku antarktycznej zimy. Val wstrząsnął dreszcz. W środku było tak samo zimno jak na dworze albo nawet zimniej. Stwierdzili to z obojętnością.

- Ktoś chce keczupu Heinza? - zapytał Jorge pochylony nad stertą pudeł. Wade stanął obok niego.

- Dziwne - powiedział, dotykając jednej z butelek ustawionych na szczycie najwyższego pudła. - Widziałem taki sam keczup na starej stacji na biegunie, na pierwszej stacji polarnej też. Jedyna różnica jest taka, że te mają korki zamiast nakrętek. - Opuścił palec, zdezorientowany. Nasze rzeczy, które się nie zmieniają, pomyślała Val. Codzienne drobiazgi, dzięki którym kiedyś ludzie rozumieją, że my też istnieliśmy naprawdę. Bo jedliśmy keczup Heinza.

- Spróbuję wywołać McMurdo - powiedziała. Poszła do korytarza; zbliżał się właśnie Ta Shu, więc pokazała mu, by wszedł do pokoju. Potem włączyła ręczny telefon.

- McMurdo, tu T-023, tu T-023, zgłoś się, odbiór.

Ku jej zaskoczeniu usłyszała natychmiastową odpowiedź, czystą i bez zakłóceń.

- T-023, tu McMurdo, ponownie w łączności z resztą świata. Cześć, - Val, gdzie jesteś?

- Cześć, Randi. Jesteśmy w domku na Przylądku Evansa.

- Na Przylądku Evansa! Jak się tam dostaliście?

- Ktoś nam pomógł.

- Ach, tak! Powiem ci, że nie tylko wam. Podrzucili was nasi znajomi z prowincji?

- Tak. Słuchaj, możesz wysłać po nas jakąś łódź? Nie wiem, czy damy radę dojść.

- Jasne, nie ma sprawy. Ile jest osób?

- Dziewięć.

- Jak tam złamany obojczyk?

- W porządku.

- To dobrze. Powiem im, żeby zaraz wysłali po was zodiaka.

W chacie Jim trzymał pod światło butelkę z marmoladą.

- Czytałem, że kiedyś Nowozelandczykom z Bazy Scotta skończył się dżem i jeden z nich wyprawił się skuterem tutaj i zabrał trochę tej marmolady. Zjedli ją potem z bułkami. - Uśmiechnął się do stojącego obok Ta Shu. - Zamrożoną przez mniej więcej pięćdziesiąt lat.

- Bardzo smaczne.

- Myślę, że teraz też nadaje się do konsumpcji.

Mimo to nie ruszali jedzenia. Jim opowiadał dalej o historii domku: jak Scott kazał przegrodzić chatę ścianą z pudeł, by oddzielić oficerów od starszych marynarzy; jak sprowadzili sobie pianolę; jak plądrowano domek w poszukiwaniu pamiątek podczas Międzynarodowego Roku Geofizycznego, a przed odnowieniem wnętrza, aż po dach zasypał go śnieg i lód.

Val bez przerwy krążyła po chacie, słuchając jednym uchem tych opowieści. Ława pod południowym oknem wyglądała jak laboratorium alchemika. Małe, ciemne buteleczki, białe proszki, retorty, całe dumne instrumentarium wiktoriańskiej nauki; antyczne, prymitywne, robione ręcznie. Takie same przyrządy stały na półce wiszącej nad pryczą Wilsona i w ciemni.

A wszystko nieskazitelnie czyste, bez odrobiny kurzu czy śladów pajęczyn.

Półki na książki, wypełniające ścianę nad łóżkiem Scotta, były puste. Na stole do pracy leżał martwy pingwin cesarski. Ten kął bardzo pasował do Scotta. Człowieka bez wyrazu, surowego, skrytego; zarozumiałego waśniaka; ale chyba też kogoś więcej.

Piętrowe prycze wydawały się bardziej ludzkie. Tu, jeden nad drugim, spali jej ulubieńcy, Birdie Bowers i Apsley Cherry-Garrard. Do drewnianej ściany nad łóżkiem wciąż były przyszpilone wycięte z czasopism zdjęcia: nad pryczą Cherry'ego wisiały portrety młodych dam epoki edwardiańskiej, rozmarzonych, ubranych z nieskazitelną elegancją, po szyję w koronkach; portrety osób, które nigdy nie przyjechałyby na Antarktydę. Bowers miał nad łóżkiem zdjęcia psów.

W przyćmionym świetle Val miała wrażenie, że wcale się nie obudziła i chodzi przez półmrok snów, więc w każdej chwili mogą otworzyć się drzwi i wejść domownicy. Ale nie, przecież umarli daleko stąd. Scott zamiast czterech zabrał pięciu ledwo żywych ludzi, którzy potem zmarli. Gdyby razem z porucznikiem Evansem odesłał z powrotem marynarza o tym samym nazwisku, wszystko mogło skończyć się szczęśliwie. Ocalenie było tak blisko; zależało tylko od jednej decyzji; kwestia jedenastu mil, maleńkiego wycinka z sześciuset. Pogardzano Scottem za jego nieudolność i szydono z niego.

Z niego, który całą drogę ciągnął sanie i prawie mu się udało. Przesądził jeden zły rozkaz. Nikt nie przyleciał im na ratunek.

Jej podopieczni stali bądź spacerowali po pokoju, marznąc w szarym świetle. Śpiwory ze splecionej wełny reniferów przedstawiały nieszczęsny widok. Val wróciła do rogu i usiadła na pryczy Wilsona. Wpatrzyła się w puste łóżko Scotta. Źle oceniała tych ludzi; przyjęła za własne autorytatywne i przypadkowe osądy innych. Jak gdyby ludzie, którzy żyli dawno temu, wydawali się przez to mniejsi. Patrzono na nich przez odwrotnie ustawiony teleskop, mówiąc: Ależ oni mali. Organizowano wyprawy ich śladami, by potem nabrać przekonania, że to, czego dokonali, było równie bezcelowe, co podążanie śladami innych. Jakby byli mniej inteligentni i kulturalni niż reszta, a przecież pod wieloma względami niejednego przewyższali umiejętnościami. Przejdź sześćset mil Antarktydy, a potem ich osądz, pomyślała sennie Val, z głową opartą o drewnianą ścianę. Słyszała głosy członków swojej grupy, jakby przysłuchiwała się rozmowie tamtych dziwnych Brytyjczyków, tamtych młodych purytan, silnych jak zwierzęta, o skomplikowanych i zarazem pełnych prostoty duszach, którzy uciekali przed edwardiańską rzeczywistością, aby stworzyć tu własną. Powiedzmy, że była to ucieczka, powiedzmy, że wzorem dla nich był Piotruś Pan: Czemu nie? Czemu nie?

Dlaczego mieli się dostosować do rzeczywistości czasów Edwarda VII i potulnie maszerować do okopów, by w nich ginąć? W tym małym pokoju stworzyli własny świat. Napisali pierwszy rozdział historii antarktycznego Klubu Nienormalnych. Cieszyli się z powrotu grupy, z którą nie mieli kontaktu przez całe tygodnie czy nawet miesiące, urządzali szalone wyprawy, jedną za drugą, absurdalne i bezcelowe - czysty egzystencjalizm Antarktydy, na której tworzyli własną rzeczywistość lub przynajmniej jej zasadniczy sens. Żałosne złudzenia epoki edwardiańskiej albo żalosna precyzja ery postmodernizmu; niewielki wybór; ani heroiczne początki, ani późniejsza wszechwiedza nie mogły mieć pierwszeństwa. Po prostu byli tu ludzie robiący swoje. Rzucali się w przestrzenie, którymi oddychali, by żyć, by naprawdę przeżyć swoje krótkie życie na tym świecie. Oni nie podążali niczymi śladami.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ZGROMADZENIE MCMURDO

niebieskie niebo czarna woda

Chmury rozpierzchły się i odpłynęły na północ. Spomiędzy ostatnich spóźnionych białych pasm zaświeciło słońce, oblewając jasnym blaskiem szare wnętrze chatki. Wade wyszedł wraz z innymi na dwór, na słońce, i zmrużonymi oczyma spojrzął na Erebusa. Przy brzegu nie było już lodu i wodę znaczyły zmarszczki fal. Wade patrzył zglodniałym wzrokiem na otwarte morze, na ruch w krajobrazie; co za ulga po dniach śniegu i lodu.

W tym miejscu ocean był czarny, mimo że niebo lśniło czystym błękitem; nigdy nie widział czegoś podobnego.

W chwilę później na skąpanej w słońcu powierzchni zatoki pojawiła się płynąca z południa szybka łódź motorowa o grubych gumowych burtach, po czym wylądowała na plaży pod nimi, wzbijając strumień wody z kawałkami lodu. Trzyosobowa załoga motorówki nie wydawała się zdziwiona obecnością grupy Val w tym miejscu; ich zachowanie wskazywało, że w ciągu ostatniego tygodnia wyciągali z tarapatów wiele podobnych grup na obrzeżach Morza Rossa i akcja ratunkowa nie jest dla nich niczym nowym; byli już znudzonymi rutyniarzami. Powiedzieli, że o ile wiedzą, nikt nie zginął. Lecz parę!

razy było blisko.

Cała dziewiątka pożegnała się więc szybko ze Scottem i jego ludźmi, zamknęła chatkę na Przylądku Evansa, wsiadła do łodzi z prawie pustymi plecakami i odpłynęła, prując czarną toń. Przemknęli między rozłupanym stromiznami Wysp Dellbridge, minęli odłamany koniec jezora lodowca Erebusa. Z lewej wznosił się dymiący Erebus, z prawej, za czarną wodą, stały Góry Zachodnie, dwa lub trzy razy wyższe niż zwykle; w efekcie złudzenia optycznego zmieniły się w jakieś niebotyczne, baśniowe góry, niezwykle Himalaje Lodowej Planety.

Wade usiadł na dziobie zodiaka, rozglądając się. Był senny, rozkojarzony i drżał z wyczerpania. Dokuczliwy wiatr rozbijał światło słoneczne, odbijające się od powierzchni wody na drobne kawałki. Antarktyda nigdy jeszcze nie wyglądała tak surrealistycznie i wzniosie; może dlatego, że Wade po swej przygodzie był ledwo żywy, a może dlatego, że trudno było opisać słowami wewnętrzne piękno tego krajobrazu. Wade czuł się wtopiony weń, a zarazem bardzo oddalony; i szczęśliwy w jakiś buddyjski sposób: nie pragnął niczego.

Oczyszczony. Szum silnika był na tyle głośny, że Wade mógł sobie głośno nucić, nie będąc przez nikogo słyszany, więc nie namyślając się wiele, zaczął nucić muzyczny podkład do oglądanej sceny; muzyka brzmiała w nim, jak gdyby nadawał ją krajobraz, a on był tylko zwykłym odbiornikiem - końcówka 131 kwartetu Beethovena, potem partia basu z "Tria Duchów" i "Dziewiąta", którą Berlioz nazwał dziełem szaleńca. Wade nucił nutę za nutą i czuł się coraz wspanialej, kiedy dynamiczne tony mknęły jak łódź, tnąc niewysokie fale; melodie tak pełne znaczenia, że same stawały się krajobrazami, takimi jak ten, przez który teraz płynęli, ogromne, jasne, o czystej linii. Czy oni kiedyś dorosną do wielkości tych dźwięków, do wielkości tej planety, tak ogromnej i pięknej?

Gdy podpływali pod przylądek Hut Point, gdzie skupiły się budynki McMurdo, Wade poczuł niepewność. Na pewno nadal pozostawał poza zasięgiem uszu pozostałych. Wciąż wydawał z siebie dźwięki melodii. W głowie zaczął mu się układać pewien plan.

Minęli wielki kawał lodu, płaską górę lodową, która prawie cała była zanurzona pod wodą. Stała na nich grupka pingwinów Adeli, które przyglądały się zodiakowi, machając płetwami. Wade

pomachał im w odpowiedzi. Zobaczył, jak inne pingwiny wyskakują z wody i lądują na brzuchach, ślizgając się jak krążki hokejowe i zderzają się z ptakami stojącymi już na lodzie. Raptowna eksplozja rozświetlonej wody, a potem zawieszona przez moment w powietrzu nad lodem gładkie, błyszczące ciało pingwina; jeszcze jeden obrazek jak z Eschera, metamorfoza z ryby w ptaka. Wade roześmiał się na ten widok.

McMurdo wydało mu się teraz dużym miastem, metropolią równie wielką i tandetną jak byłe kawałek autostrady w Stanach. Nie; tu trudno było czuć wspaniałość Antarktydy. Trudno nie czuć się małym, spoglądając wstecz na fatamorganę na zachodzie, a potem przed siebie, na Mac. Trzeba wymyślić, jak zatrzymać tę chwilę.

Łódź przybiła z wyłączonym silnikiem do przystani, załoga przycumowała zodiaka do nabrzeża. Członkowie ekspedycji znaleźli się z powrotem w Małej Ameryce.

Po każdej rzeczywistości przychodzi następna, jeszcze dziwniejsza od poprzedniej. Po wyprawie, która trwała ledwie... - Wade był zbyt zmęczony, by to obliczyć, ale nie mogła trwać dłużej niż tydzień - dziwaczność McMurdo poraziła go jak ostre światło słoneczne; każdy widok wprost zwał go z nóg.

Barak Discovery zbudowany przez Scotta za portem i centrum handlowym, podobny do domku na Przylądku Evansa, wydawał się mały i pusty. Budynki niedużego miasteczka, rozsiane na podłożu wulkanicznym, oblepiały śnieg po ostatnich burzach; lecz teraz śnieg zaczął tajać i wszystkie ulice były pocięte zamrożonymi strumyczkami błota, pokrytymi lodową skorupą.

Załoga zodiaka zaprowadziła dziewięciu podróżników do dużego budynku, położonego z tyłu portu, obok centrum handlowego. W środku kubkami gorącej czekolady i kawy powitała ich grupa oficerów Marynarki; uzbrojeni w notatniki i magnetofony, poczęli zasypywać ich pytaniami.

Odpowiadali tak składowo, jak umieli, opowiedzieli całą historię swojej wyprawy, choć z niekonsekwencji, powtórzeń i pomyłek jasno wynikało, że są bardzo zmęczeni. Oficerowie byli jednak rzeczowi i życzliwi, a w chwilę potem załadowali do pickupa Jacka; trzeba go było zawieźć do szpitala, by zbadać obojczyk i ogólny stan. Pozostałych poprosili, przepraszając, aby zgłosili się do Szłasasu, gdzie Sylvia i inni będą zapewne zadawać te same pytania, zanim wreszcie pozwolą im iść do pokoi i odpocząć. Tym, którzy zrezygnowali z pokoju na czas wyprawy, wręczono klucze do nowych pomieszczeń, po czym wszyscy wyszli.

Beeker Street, Laboratorium Crary, Szłasas. Pozostała ósemka podróżników zwolniła kroku i stanęła na błotnistej ziemi w pobliżu Szłasasu.

Wade zwrócił się do Val, która rozglądała się po miasteczku, nie mniej oszołomiona od innych.
- Może sam pójde zgłosić w Szłasasie, że przyjechaliśmy i powiem im, że przyjdziecie, kiedy doprowadzicie się do porządku?

- Dobra - odparła Val.

Skonsternowany Ta Shu wolno chodził w kółko.

- To miejsce - powiedział.

Jorge i Elspeth poszli w stronę hotelu Kalifornia. Iks zaprowadził Carlosa do Centrum Polowego Berga. Jim ruszył w kierunku Holiday Inn. Wade szedł do Szłasasu, pokonując z mozołem schodki prowadzące na werandę.

Obejrzał się; bez większych ceregieli grupa, która tyle razem przeszła, która bezbronna wobec burzy tuliła się do siebie na Lodowcu Shackletona, rozpierzchła się we wszystkich kierunkach.

Wade pociągnął ciężkie drzwi Szłasasu. W środku wszystko wyglądało tak samo, jak podczas jego ostatniego pobytu i ze smutkiem zdał sobie sprawę, że wszędzie spodziewał się wielkich zmian.

Nic z tego. Paxman przez główne pomieszczenie zaprowadził go do gabinetu Sylvii. Stała za

biurkiem, słuchając cichego głosu jakiegoś niskiego człowieka. Zobaczyła Wade'a i dała mu znak, by wszedł do gabinetu, nie przestając słuchać mężczyzny, jak ciągnie monotonie, nie zaszczyciwszy Wade'a nawet spojrzeniem. Coś w wyglądzie Sylvii mówiło, że musi go słuchać już od dłuższego czasu.

- Moi klienci nie są związani z "Earth First!" ani z "Pasterzami Morza", ani z Ligą Obrony Narodów Arktyki, ani z Akcją na Rzecz Światowego Parku Antarktydy, ani z Ochotniczym Ruchem przeciw Wyginięciu Ludzkości czy inną organizacją ekologiczną z głównego nurtu, ani żadną z grup podziemnych.

- W porządku - powiedziała Sylvia. - Kim więc są?

- Nie powiedzieli - odparł beznamiętnie człowiek. - Dali mi do zrozumienia, że są osobami prywatnymi, niepowiązаныmi z nikim, które postanowiły odwołać się do nieposłuszeństwa obywatelskiego i zorganizować bezpośrednią akcję sabotażową, bez ofiar w ludziach, aby wyrazić opór i być może położyć kres wszystkim wypadkom łamania postanowień Traktatu Antarktycznego, który aż do utraty ważności stanowił jedyne prawo na tym kontynencie. Sądzą, że inne ugrupowania ekologiczne, sprzyjające im, mogą zająć się prezentacją argumentów, zagadnieniami prawnymi i nadaniem sprawie rozgłosu oraz zorganizować innych z mchu oporu, co jest nie mniej ważne, natomiast ich zadaniem jest podjąć bezpośrednie kroki, pozostając w cieniu i nie ujawniając swojej tożsamości. Jedynie w tym konkretnym przypadku posunęli się tak daleko, że wynajęli mnie, abym przemówił tu w ich imieniu, ponieważ nikt z grup, z którymi się kontaktowali, nie chciał się na to zgodzić.

Sylvia przyglądała mu się uważnie; Wade nie chciałby się znaleźć na celowniku tego bezlitosnego spojrzenia. Na pewno nie ucieszył jej ponowny przyjazd Marynarki do miasta, pomyślał Wade. A właśnie ten człowiek reprezentował ludzi, za których sprawą przyjechało tu wojsko.

Człowiek zdawał się nie zauważać jej miazdzącego spojrzenia.

- Panie Smith, to jest Wade Norton - powiedziała Sylvia. - Asystent senatora Chase'a z Kalifornii.

- Witam - rzekł pan Smith, ściskając Wade'owi dłoń. - Podziwiam wiele osiągnięć senatora Chase'a.

Sylvia skinęła głową, jakby mówiła: "Oczywiście".

- Wade, oto pan Smith. Przybył do nas statkiem, bez zapowiedzi.

- Przyjechałem prywatnie - wyjaśnił Smith. - Smith Jones i Robinson, prawo środowiskowe.

- Rozumiem - powiedział Wade.

- Wade przebywał w terenie i sądzę, że był świadkiem skutków akcji, które podjęli pańscy klienci. Mam rację, Wade?

Wade skinął głową.

- Ocaleliśmy - powiedział.

Pan Smith był ubrany w standardowy strój wypraw trekkingowych, więc w Szafasie musiało mu być za ciepło. Pomimo rzucającego błękitny poblask fotoelektrycznego kombinezonu, wyglądał jak adwokat z małego miasteczka; tak świetnie opanował gesty niekonfrontacyjne, że stał się niemal niewidzialny. Jego wygląd świadczył, że jest tylko marionetką; rzecznikiem swoich klientów i nikim więcej; żadnych własnych poglądów ani myśli, po prostu pośrednik, niczym chodzący telefon albo przekaźnik mikrofalowy.

Oczywiście musiały to być pozory, a z pozorami Wade nieraz miał już do czynienia; ostatnio był to popularny w Waszyngtonie styl, zwykle stosowany przez szczególnie sprytnych prawników. Zapytał:

- Jak się pan kontaktuje z klientami?

- Nie jestem upoważniony do udzielania takich informacji. Mogę tylko powiedzieć, że nigdy nie poznałem żadnego osobiście.

- Więc niektórzy z nich mogą być między nami i nic by pan o tym nie wiedział.

- Zgadza się.

- Nawet ja mógłbym być jednym z pańskich klientów i też by pan nie wiedział.

- Zgadza się.

Nijaki człowieczek po raz pierwszy bliżej przyjrzał się Wade'owi, jakby rzeczywiście mogła to być prawda.

Wade zamyślił się. Potem odezwał się do Sylvii:

- W rozmowie ze mną senator Chase zaproponował, że skoro mamy tu pod ręką wszystkich aktorów ostatnich wydarzeń, możesz rozważyć zwołanie zebrania, żeby otwarcie porozmawiać o tych sprawach, a potem przygotować raport dla inspektorów, którzy pewnie są już w drodze albo nawet na miejscu.

- Większość przyjedzie jutro, jeżeli pozwoli na to pogoda - rzekła Sylvia. - Burze zatrzymały ich w Chnstchurch.

- Senator zastanawia się, czy nie moglibyśmy nawet wysunąć pewnych wniosków dotyczących przyszłej polityki, które pomogłyby uniknąć powtarzania się podobnych incydentów. Myślę, że obecność pana Smitha oznacza, że na zebraniu może być szersza reprezentacja niż senator Chase sobie wyobraża. Mógłbym też zaprosić do miasta przyjaciół, by również uczestniczyli w spotkaniu - ludzi, którzy pomogli nam się tu dostać.

- "Dzikusów"? - zapytała ostro Sylvia.

- No tak - odrzekł Wade. - A więc ci o nich wiadomo.

Spokojnie wytrzymała jego spojrzenie.

- Słyszałam pogłoski. Ciekawe, co by mieli nam do powiedzenia. Próbowалам się z nimi wcześniej skontaktować, ale nie odpowiadali.

- Rzeczywiście. Ale teraz może będą chcieli wyjść z ukrycia. Zwłaszcza po tym, co się stało.

Sylvia skinęła głową z namysłem.

- Jeśli z tego wszystkiego ma wyjść coś pozytywnego - powiedział Wade - trzeba działać tutaj. Na Północy wszystko rozplynie się w masie innych rzeczy.

- Prawdopodobnie - rzekła Sylvia. - Chociaż tą sprawą będą się zajmować KNBA i komisja negocjująca Traktat, a teraz chyba nawet komisja ONZ, w porozumieniu z naszym Kongresem i rządami innych krajów.

- Na pewno. Ale im pełniejszy będzie nasz raport, tym więcej dla nich roboty.

- Moi klienci z zadowoleniem przyjmą takie spotkanie - powiedział Smith.

- Skąd pan wie? - zapytali równocześnie Wade i Sylvia.

Mężczyzna zareagował obojętnością na ich spojrzenia. Rola rzecznika była dość dwuznaczna, z czego Wade zdawał sobie sprawę, włożywszy właśnie w usta Phila Chase'a słowa, których ten nigdy nie wypowiedział. Chodzący telefon, czy mózg całej operacji? Nie sposób stwierdzić.

- Zdołaliście już uratować wszystkie grupy? - spytał Sylvię Wade. - To znaczy, czy wszyscy są już bezpieczni i jest odpowiednia pora na zwołanie takiego zebrania?

Sylvia skinęła głową.

- Przywieziono ich helikopterem S-375 z Suchych Dolin, a przed chwilą usłyszałam od Palmera i Wzgórz Pioneer, że z personelem stacji naftowych wszystko w porządku. Wszyscy są bezpieczni.

- Akcje moich klientów nie wyrządziły krzywdy nikomu - zauważył Smith.

- Szczęśliwy przypadek - powiedział Wade. - Tylko szczęśliwy przypadek. Mogę osobiście zaświadczyć. Gdyby nie pomoc ludzi, o których pańscy klienci nie mieli pojęcia, wielu z nas by zginęło. Niszczenie niezbędnych do przeżycia urządzeń na lodzie polarnym jest bardzo, bardzo niebezpieczne.

W najlepszym wypadku jest to lekkomyślne stwarzanie zagrożenia.

- Jednak - rzekł Smith - fakt pozostaje faktem.

- Zostawmy to - powiedziała Sylvia. - Oczywiście jest, że klienci pana Smitha dopuścili się czynów niebezpiecznych dla przebywających tu ludzi i jestem pewna, że zostanie to wzięte pod uwagę. - Spojrzała na niego. - Mam nadzieję, że jest pan gotów odpowiadać za to, co zrobili pańscy klienci, panie Smith. Gdyby pan ich próbował chronić przed sprawiedliwością, zostałoby to potraktowane jako obraza sądu albo nawet gorzej.

- Nigdy nie odpowiadałem za obrazę sądu i nie zamierzam tego robić teraz - odparł Smith. - Oczywiście jestem przygotowany na wszystko. Zabrałem ze sobą szczoteczkę do zębów.

Sylvia i Wade spojrzeli na siebie.

- Muszę się doprowadzić do porządku - powiedział Wade. - Zjem coś i zobaczę, czy uda mi się skontaktować z "dzikimi". Muszę też porozmawiać z senatorem. - Albo nie. Przecież on też był rzecznikiem. "Jesteś senatorem", mówili mu na biegunie. Czy gdzie indziej, wszystko jedno.

- Porozmawiam z innymi - rzekła Sylvia. - Spotkajmy się po kolacji z tymi, którzy są pod ręką, na początek. Jak mówiłeś, nie ma czasu do stracenia.

Val otrząsnęła błotnisty śnieg z butów, weszła po schodach do budynku 308 i powlokła się korytarzem do swojego pokoju na piętrze. Otworzyła drzwi, weszła do środka i ciężko padła na łóżko. Wszystko na swoim miejscu, tak jak zawsze. Mała funkcjonalna przestrzeń, jak kabina na statku. Wyglądało na to, że Georgia, jej współlokatorka w tym sezonie, wyszła na swoją wyprawę; nie było jej rzeczy, szafki zostały pozamykane. Prawie w ogóle się nie spotykały.

Czuła się wykończona. Zupełnie wypompowana. McMurdo wyglądało strasznie. Jej grupa rozsypała się prawie bez słowa, rozchodząc się do pokoi, hoteli, nie planując nawet ostatniej wspólnej kolacji. Doprowadziła do domu wszystkich po tym, jak stracili sanie w szczelinie, ale przecież uratowali się nie tylko dzięki niej. Gdyby nie pomoc "dzikusów", prawdopodobnie Jack zginąłby na Lodowcu Shackletona i nie wiadomo, czy wszyscy przeżyliby burzę; meteorolodzy twierdzili, że nadal tam szaleje. Poza tym nie chciała, by jedynym osiągnięciem wyprawy był powrót do domu bez ofiar śmiertelnych, zważywszy że miała to być ekspedycja dla przyjemności, której celem powinno być coś więcej niż tylko bezpieczny powrót.

Następnym razem szczęście na pewno dopisze, jak zawsze mawiała po nieudanych wyprawach. Zdarzały się lepsze i gorsze. A w przyszłości będzie więcej dobrych, nie miała wątpliwości.

Wciąż nie mogła otrząsnąć się z przygnębienia. Może to depresja po podróży, niedostatek snu, syndrom polarny, wszystko jedno; czuła się źle. Jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. Nie cierpiała tego stanu. Kiedykolwiek poczuła, że się zbliża, broniła się przed nim rękami i nogami, nie chcąc pozwolić, by nią zawładnął. Jedynym lekarstwem było działanie. Wstała i wyszła z pokoju, który wydał się jej czarną pułapką. Wciągnęła skafander i zbiegła z powrotem po metalowych schodkach, prosto w przenikliwy wiatr.

Stare, zakręcone Mac. Nie miała dokąd iść. Była wykończona, bolały ją wszystkie zeszywniałe mięśnie - zwykle lubiła to uczucie, ale nie dziś. Teraz było zbyt dojmujące. Poczowała głód, lecz jadalnię już zamknięto. Przeszła koło Szałas, ale skończyły się godziny urzędowania, więc Sylvia i Wade już wyszli. Mogła iść pogadać z przyjaciółmi w CPB, chociaż na pewno są zajęci naprawianiem szkód po ataku sabotażystów.

O tej porze był czynny "Widok na Erebus". Minęła Holiday Inn i weszła po schodkach do prywatnej restauracji; niemal ślaniała się z głodu. Gdy przeszła przez drzwi, owionęła ją cudowna ambrozja aromatów jedzenia. Rozejrzała się, szukając wolnego stolika.

Zobaczyła Jima, Jacka, Jorge i Elspeth, którzy jedli kolację. Jack spostrzegł ją, spochmurniał i odwrócił oczy; Elspeth zauważyła, jak się odwraca i spojrzała ponad jego ramieniem:

- Cześć, Val - powiedziała najnaturalniej w świecie. - Usiądź z nami.

Lecz Jack nadal patrzył spode łba i zerknąwszy na niego, Jim też unikał jej wzroku. Elspeth i Jorge wyciągali szyje nad ich głowami, więc nie widzieli ich twarzy.

Val pomachała im.

- Szukam Joyce. Muszę z nią pogadać. Wrócę potem do was, może zdążę na deser. - Po czym wycofała się z restauracji.

Stała w chłodzie pośrodku McMurdo, na którym kładły się cienie przemykających po niebie chmur. Na oślep skierowała kroki w stronę uliczki prowadzącej za port, myśląc bezsilnie o wszystkich kiepskich wyprawach, w których brała udział i po których ludzie rozchodzili się wściekli lub zawstydzeni, lub chowając niesmak w głębi serca. Zdarzało się tak, owszem; pod wpływem stresu, w sytuacjach wymagających skrajnego wysiłku, ludzie często się załamywali i prawda wychodziła na jaw. Czasem była ona bardzo przykra.

Tamto okropne spojrzenie Jacka - Val już kiedyś takie widziała. Kiedyś spędziła pod takim spojrzeniem cały tydzień na pokładzie statku, który wiozł ich na Falklandy z Południowej Georgii. Po jedynej wyprawie "Śladami Shackletona", jaką zdarzyło się jej prowadzić.

Była to jedna z grup, które postanowiły ubrać się w oryginalne stroje z epoki; szczególnie szalony pomysł przy odtwarzaniu podróży łodzią, ponieważ Yz&c.Ty, jakie mieli wtedy na sobie Shackleton i jego ludzie, zupełnie nie nadawały się na morską wyprawę; śmiechu warte ubrania, które w ogóle nie chroniły przed wodą i zimmem. Gdyby jeszcze chcieli płynąć łodzią podobną do "Jamesa Cairda", nie przeżyliby drogi; i choć mieli ultranowoczesną, dwudziestodwustopową łódź, która bardziej przypominała okręt podwodny niż szalupę Shackletona, i dzięki temu utrzymywała się na niespokojnej powierzchni, rejs był jednym wielkim koszmarem. Zgubiliby drogę, gdyby nie włączyli awaryjnego GPS; wszyscy dostali choroby morskiej, byli zziębnięci, przemoczeni i posiniaczeni, ponieważ miotana wysokimi falami łódź nieustannie rzucała nimi od burty do burty. Zanim z pomocą GPS wylądowali na Południowej Georgii, byli wykończeni.

Ale najtrudniejsze było dopiero przed nimi. Shackleton i jego ludzie musieli lądować na zachodniej stronie wyspy, a wszystkie norweskie stacje wielorybnicze znajdowały się na wschodzie. Cała wyspa natomiast składała się z pasma gór, wyrastających z południowego Atlantyku.

Shackleton, Worsley i Crean zdołali je jednak pokonać, więc trójka klientów Val upierała się, że zrobią to samo. Wyruszyli z Zatoki Króla Haakona, zamierzając bez przystanków przejść trzydzieści sześć mil przez grzbiet wyspy. Był to spory dystans, zważywszy na kiepski stan, w jakim się znajdowali; musieli też pokonać niemałą wysokość pięciu tysięcy stóp, w górę i w dół, ponieważ początek i koniec trasy leżały na poziomie morza, a wyspa na szlaku sztormów Ryczących Pięćdziesiątek. Mieli ze sobą minimalną ilość sprzętu; tylko to, co w 1916 roku mieli Shackleton, Worsley i Crean. Ekstremalna wyprawa; prawdziwa próba.

Kiedy jednak zaczęli się piąć w górę i pokonywać wysokie, puste lodowce, przedzierając się przez głęboki śnieg, Eve zaczęła szybko słabnąć. To ona najbardziej cierpiała podczas rejsu i stało się jasne, że nie ma już w zapasie energii. Dwaj mężczyźni byli równie słabi i nawet Val nie czuła, by, jak zwykle, ciężka droga napędzała ją jak dynamo; próby maszerowania swym zwykłym tempem po prostu sprawiały jej ból. Byli więc wszyscy w złej formie, gdy zbliżali się do zasadniczego

punktu podróży - grani zwanej Trójzębem, która zagradzała im dalszą drogę. Mieli do wyboru cztery wysokie przełęcze między pięcioma zębami grani. Shackleton, Worsley i Crean weszli z prawej strony i wspinali się na każdą przełęcz po kolei, patrząc w dół z drugiej strony, gdzie w każdym miejscu natykali się na klif, zbyt stromy, by można nim zejść; potem trawersowali w cieniu potężnych wież do następnej przełęczy, co kosztowało ich wiele wysiłku.

Grupa Val bez zbędnych dyskusji zrezygnowała z precyzyjnego odtworzenia szlaku i postanowiła iść prosto na czwartą przełęcz, przez którą Shackleton i jego ludzie w końcu przeszli na drugą stronę. Nim dotarli na miejsce, zaczęła się psuć pogoda. Nie wzięli ze sobą namiotu ani śpiworów, mieli niewielkie zapasy żywności i mało ubrań. Szybko nadciągała ciemność i bardzo prawdopodobna stała się groźba, że chmury zakryją księżyc i rozpęta się burza. Na końcowym podejściu do przełęczy, bardzo stromym nawet z tej strony, Eve pośliznęła się i Val musiała ją złapać; przy upadku Eve paskudnie skręciła nogę w kostce.

Kiedy więc wreszcie wspięli się do czwartej przełęczy, spojrzawszy na drugą stronę, wstrząśnięci ujrzeli stromy stok, z którego zejść mógłby tylko szaleniiec. Ściana opadała pod takim kątem, że w ogóle nie widzieli jej środkowego odcinka; mogli jedynie przypuszczać, że jest tam pionowy klif. Urwisko kończyło się dwa tysiące stóp pod nimi.

Shackleton, ostrożny człowiek, zdecydował się zaryzykować zejście tędy tylko dlatego, że nie mieli już wówczas innego wyboru. Cała trójka usiadła więc jeden za drugim, związani liną, oplatając nogami plecy towarzysza siedzącego z przodu i pomknęli po zboczu na tyłkach; pokonali dwa tysiące stóp w parę sekund, co mogło się skończyć tragicznie, bo nie mieli pojęcia, co ich czeka na niewidocznej części ściany. Worsley powiedział później, że nigdy w życiu nie bał się bardziej, a zdarzyło mu się doświadczyć wielu niebezpieczeństw. Lecz przeżyli.

Teraz, patrząc w dół klifu, Eve zupełnie straciła ducha. Nie zgodziła się na skok. To szaleństwo, krzyczała, czyste szaleństwo. Teraz mogą być zupełnie inne warunki, ściana bardziej oblodzona! To na pewno nie ta droga, musieliśmy pomylić coś na mapie! Zabijemy się!

Całkiem możliwe. Lecz była to właściwa przełęcz, ciemność gęstniała i nadciągała burza. Doszli już tak daleko, że jedyna droga prowadziła naprzód - był to dylemat górskich przewodników, który pojawiał się zbyt często.

A Eve drżała i płakała; zapewne doznała szoku na skutek upadku i skręcenia kostki. Nie mieli namiotu, jedzenia było mało - tak, znaleźli się w takich samych opałach jak Shackleton - zresztą właśnie taki mieli plan, by wpakować się w takie same tarapaty! W tym celu przecież została pomyślana cała wyprawa! Oni też nie mieli wyboru.

Ale Eve odmówiła. Jej chłopak, Mikę, błagał ją, żeby spróbowała; zaczęła na niego wrzeszczeć, wybuchając jeszcze gwałtowniejszym płaczem; ich przyjaciel Brett próbował przemówić jej do rozsądku, ale bezskutecznie. Łkając w zwierzęcym strachu przed śmiercią, nie zgodziła się skoczyć. Kiedy siedzieli, próbując ją przekonać, coraz szybciej się ściemniało i coraz bardziej marzli.

W końcu Val straciła cierpliwość. Powiedziała: "Słuchaj, musimy to zrobić", złapała Eve, która darła się i wierzgała jak w napadzie dziecinnej złości, i trzymając ją przed sobą, przeskoczyła krawędź przepaści, krzycząc na Mikę i Bretta, by zrobili to samo.

Coraz szybszy zjazd momentami przypominał swobodne spadanie. Val mocno przyciskała do siebie Eve i jechały, chwilami nie dotykając nawet ściany, coraz szybciej, aż Val nabrała przekonania, że nie ma już dla nich ratunku; wystarczyłby tylko jeden kamień na drodze. Ale nie trafiły na żaden kamień, nie straciły równowagi i nie stoczyły się w dół zbocza jako krwawa masa, z której wystawały połamane ręce i nogi... Po chwili, zdającej się trwać wieczność, a w

rzeczywistości nie dłuższej niż minuta, zaryły w gęsty śnieg u stóp ściany i zatrzymały się. Parę sekund później obok wylądowali Mikę i Brett. Val miała podarte spodnie i zakrwawioną całą tylną stronę ciała.

Potem musieli pomóc Eve, która cały czas zanosila się bezsilnym szlochem; trzeba ją było wziąć między siebie; zmieniali się przy tym, ale najczęściej szli obok niej Mikę i Brett, a Val trzymała się z przodu, odnajdując drogę w ciemności przez większą część nocy. Doszli do Strommness przed nadejściem gigantycznej burzy, która w chwilę potem zaatakowała wyspę.

Wspaniała przygoda. Lecz Eve nie odezwała się już więcej do Val.

Teraz Val rozglądała się po McMurdo, przypominając sobie ponure spojrzenie Jacka nad stolika w restauracji. A przedtem pełen wyrzutu wzrok, kiedy kulił się na lodzie. Znowu to zrobiła.

- Nie jestem dobrym przewodnikiem - powiedziała do pustego miasteczka. - Jestem do kitu.

Choć była bliska łez, burczenie w brzuchu przypomniało jej, jak bardzo jest głodna. Ruszyła chwiejnie w stronę CPB. Mogła tam dostać przynajmniej pudełko krakersów, posłuchać opowieści o akcjach ratunkowych z ostatniego tygodnia i spróbować ogrzać się przy grzejniku.

- Jestem do kitu i jest mi zimno - powiedziała, przystając i przez minutę pozwalając sobie popłakać. Potem poszła dalej.

- Halo, Phil?

- Tak, kto mówi? Wade, to ty? Gdzie jesteś?

- To ja, Phil. Jestem na Antarktydzie.

- Gdzie? Ach, tak. Spałem, Wade.

- To dobrze.

- Co mówisz?

- Śniło ci się coś, Phil? Co ci się śniło?

- Co? Co jest, budzisz mnie telefonem, żeby pytać, co mi się śniło?

- Często robiłeś mi to samo, nie pamiętasz?

- Tak... nie... teraz ci tego nie robię, nie?

- Nie pamiętasz, co ci się śniło?

- Zaraz, niech pomyślę. Chyba zapomniałem. Nie, czekaj, coś o jeździe na rowerze. Nie, to był unicykl. Zjeżdżałem unicyklem po schodach Kapitolu, tak... nie, schodami przy pomniku Lincolna, bo widziałem Kapitol za Mali.

Widziałem zgromadzonych ludzi, jakbym do nich przemawiał, wielki tłum, ogromny, ale nie, właściwie do nich nie przemawiałem, tylko zjeżdżałem unicyklem po schodach, podskakując w tył i w przód, a ludzie bili mi brawo.

Było cudownie. Nikt nie umiał się domyślić, jakim cudem wskakuję tyłem po schodach, zresztą ja też nie. Zadziwiająca sprawa, ale przyjemna. Byli tam wszyscy republikanie, których lubię i wołali: "Cholera, Phil, jak ci możemy dać radę, skoro umiesz skakać po schodach na unicyklu".

- Mark i Colin?

- Tak, byli wkurzeni jak diabli. A wszyscy republikanie, których nie cierpię, byli na dole i ludzie wrzucali ich do sadzawek, w których odbijało się światło.

- Scena grupowa.

- Jak zbiornik z gupikami w sklepie zoologicznym. Chciałem przejechać unicyklem po ich plecach, kiedy wszyscy już będą w wodzie, utrzymując równowagę, choćby nie wiem co robili. A potem mnie obudziłeś, dupku, a mogło być tak fajnie.

- Podobają ci się twoje sny, prawda, Phil?

- No pewnie. Chyba że mi się nie podobają. Ale większość snów to fantazje, w których

spełniają się życzenia, jak się sam przekonasz.

- Może twoje. W moich są tylko przerażająco złożone problemy, których nijak nie umiem rozwiązać.

- To niedobrze, Wade. Przykro mi to słyszeć.

- Dzięki za współczucie. Powiedz, gdzie tym razem jesteś?

- Chyba w Kirgizji. Tak, widzę Kirgizów.

- Pięknie. No cóż, powinienem pozwolić ci iść spać.

- Chciałbym, Wade.

- W porządku. Dzięki za rozmowę, Phil.

- Proszę bardzo.

- Aha, słuchaj, jeszcze jedna rzecz.

- ... tak?

- Chcę tu wysunąć pewne propozycje w twoim imieniu. Jutro albo pojutrze, Phil, będę musiał zagrać kogoś w rodzaju ambasadora, bo wszystko dzieje się za szybko i nie jestem pewien, czy będę miał czas to z tobą skonsultować. Ale chcę powoływać się na ciebie, jakby wszystko, co zaproponuję wyszło od ciebie, dobrze? Zgadzasz się?

- Czym to się różni od naszych zwykłych działań?

- Niczym, chciałem to tylko potwierdzić.

- Potwierdzam. Dobranoc.

- Dobranoc, Phil.

Traktat Antarktyczny zawsze był kruchy, niczym złożona z pajęczej nici i szkła ulotna konstrukcja, obracająca się na wietrze historii - utopijny projekt, który uchwalono w rzeczywistym świecie; model, według którego ludzie powinni kształtować swój stosunek do każdej ziemi - aż wpadł w coraz szybciej obracające się tryby nowego wieku i rozsypał się na tysiąc drobnych kawałeczków.

Sylvia została strażniczką jego szczątków, w nadziei, że jakoś zdoła je skleić. Jak wszyscy w mieście, odczuwała wielki niedobór snu, być może nie spała najdłużej ze wszystkich; prawie cały czas spędzała w biurze ratowników, gdzie próbowała zapanować nad chaosem licznych interwencji.

Prawdziwy koszmar. Ale równocześnie jakaś jej część pomyślała (zapewne część, której najbardziej brakowało snu), że to także największe wyzwanie, czy nawet okazja dla niej, by nie tylko męczyć się przy doraźnych rozwiązaniach, na których głównie polegała jej praca, ale spróbować wszystko zmienić.

Stała w końcu głównej sali w Szalasie, obserwując ludzi, którzy wchodzili gęsiego. Wielu chciało z nią porozmawiać, więc powiedziała im, by wszyscy przyszli do Szalasu. Była ciekawa, co mają do powiedzenia, częściowo dlatego, by sama mogła lepiej zrozumieć zaistniałą sytuację. Co się teraz stanie, co powinno się stać? Bez prawa, bez suwerenności, bez wojska i policji, bez gospodarki, bez autonomii i samowystarczalności - bez tych wszystkich atrybutów, niezbędnych, by mogło się tu toczyć prawdziwe życie... Jak gdyby byli małą grupką kosmicznych rozbitków, pozostawionych na Lodowej Planecie i zmuszonych wymyślać wszystko od początku.

Tyle że świat dalej istniał. Od chwili ponownego nawiązania łączności, Sylwią zasypywały telefony z każdego zakątka ziemi; najważniejsze, z centrali NFN w Wirginii, z prośbami o szybką relację z wypadków ostatniego tygodnia, zidentyfikowanie sabotażystów, o ile to możliwe, i o sformułowanie wniosków (na szczęście), które mogłyby zapobiec podobnym wydarzeniom w przyszłości. Biuro w kraju chciało też oczywiście, podobnie jak ona, trochę wyciszyć całą sprawę, aby umniejszyć jej znaczenie i uznać za jednostkowy incydent, patologię w rozumieniu biologicznym,

żeby wojsko nie powróciło tu na stałe i nie odebrało Fundacji Antarktyki. Zdaniem Sylvii było to właściwe postępowanie; lecz jeden samolot wojskowy już wylądował, z niemałym ryzykiem, a zaraz potem pojawi się naturalnie grupa specjalna, by dokładnie zbadać sprawę ekosabotażu; co się stanie potem - nie wiedział nikt. Wielka burza (niewątpliwie ochrzczona przez amerykańską prasę "superburzą") zatrzymała jednak resztę w Christchurch, więc póki co Sylvia miała sposobność, by przeprowadzić własne śledztwo.

Oto wchodzili do sali jeden po drugim. Szefowie ZLA; Geoff Michelson i kilku jego kolegów, których dopiero co przywieziono z Suchych Dolin; kilku Nowozelandczyków z Bazy Scotta; Wade Norton; Carlos i Iks oraz paru kolegów Carlosa z konsorcjum PGA; Val i kilku jej klientów. Pozostali znajdowali się na piętrze i w innych gabinetach. W Szałasie rzadko gościł taki tłum.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - powiedziała Sylvia. - Zebraliśmy się, żeby omówić wszystko to, co zdarzyło się w zeszłym tygodniu i sprawdzić, czy możemy sformułować i przekazać różnym czynnikom na Północy jakieś wnioski co do dalszych posunięć, które by pozwoliły uniknąć takich sytuacji w przyszłości. Uważam, że powinniśmy przeprowadzić coś w rodzaju nieformalnej minikonferencji naukowej, z krótką prezentacją opinii, po której będzie czas na pytania i dyskusję, żebyśmy pod koniec mogli dojść do, w miarę możliwości, wspólnego stanowiska. Oczywiście, będzie to tylko uzupełnienie oficjalnego dochodzenia, ale mam nadzieję, że się przyda. Ta Shu zaproponował, żebyśmy przed zebraniem ustawili krzesła w krąg, by wszyscy widzieli się nawzajem - a także dla innych, niewątpliwie ważnych powodów - gestem powstrzymała Ta Shu - i sędzę, że to dobry pomysł. Nie będziemy musieli wyciągać szyj, żeby zobaczyć, kto mówi. Ustawimy więc najpierw krzesła, a dopiero potem zaczniemy.

Kiedy krzesła utworzyły odrobinę nierówne koło i każdy widział twarze wszystkich (rzeczywiście był to dobry pomysł), Sylvia kontynuowała:

- Obecny tu pan Smith przyplął do nas prywatną łodzią i twierdzi, że reprezentuje... sabotażystów, którzy zakłócili naszą pracę na stacji i w różnych obozach w terenie. Nie chcę przyznawać mu pierwszeństwa ani w żaden sposób legitymizować tych ataków - bo potępiam je jako czyn przestępczy, niebezpieczny i niepotrzebny - ale sędzę, że możemy zacząć od wysłuchania, co pan Smith ma do powiedzenia w sprawie tych akcji.

Pan Smith skinął głową i wstał.

- Moi klienci to osoby prywatne, w pewnym sensie sprzymierzone z Akcją na Rzecz Światowego Parku Antarktydy oraz z ponad setką głównych i pomniejszych grup ekologicznych, które z troską przyjmują fakt zawieszenia Traktatu Antarktycznego i rażące naruszenia jego postanowień, jakich dopuszczono się w ciągu ostatnich dwóch lat. Poza tym moi klienci pragną zachować anonimowość. Podjęli się zadania zaszkodzenia pewnym najbardziej jaskrawym przykładom łamania Traktatu, aby zaprotestować przeciw tym operacjom i zwrócić na nie uwagę świata. Nie chcieli nikomu wyrządzić krzywdy, zadali sobie ogromny trud, aby nikt nie zginął i nie został ranny. Ten cel osiągnęli, za co są wszystkim wdzięczni, wiedząc, iż zniszczenie własności na Antarktydzie zawsze wiąże się z zagrożeniem życia.

- To akurat cholerna racja - rzekł ktoś. Smitha piorunowały zawzięte spojrzenia; szczególnie nieprzyjaznym wzrokiem mierzyli go przyjaciele Carlosa, lecz Sylvia nie spuszczała z niego oka, więc patrzył tylko na nią, obojętny na reakcje innych.

- Teraz oczywiście mają świadomość, że stali się obiektem nagonki ze strony władz rządowych, czemu się wcale nie dziwią, lecz chcieliby zauważyć, że jest to zachowanie typowe dla stróżów prawa. Ścigają oni z wielką energią jednostki, które stosują nieposłuszeństwo cywilne lub podejmują inne akcje protestacyjne, a pozwalają bezkarnie łamać prawo setkom, tysiącom szefów wielkich

korporacji, którzy w wielu przypadkach wręcz korzystają z pomocy i ochrony tak zwanych stróżów prawa. Korporacje i rządy wielu państw plądrują ten ostatni nietknięty kontynent z całkowitą pogardą dla prawa międzynarodowego. Fakt, że Marynarka USA i FBI przyjeżdżają tu, by szukać moich klientów, jest groteskowy; to jakby aresztować osoby protestujące przeciw zbrodni, podczas gdy zbrodniarze stoją tuż obok. To nie jest policja, to prywatny oddział ochrony, który równie dobrze mógłby być opłacany przez rządy obcych państw albo ponadnarodowe korporacje, którym służy.

Jako prywatna ochrona korporacji nie zauważają poważnych nadużyć, brutalnie zwalczając drobne, indywidualne akcje protestacyjne, które dla korporacji istotnie stanowią większe zagrożenie. Drobne, spontaniczne protesty jednostkowe są mimo wszystko dowodem na to, że demokracja może być czymś rzeczywistym, nie tylko bajką, którą opowiada się ludziom, by pozostali na swoich szczeblach hierarchii ekonomicznej. Oczywiście pogląd, że demokracja może być rzeczywistością jest zbyt niebezpieczny, żeby pozwolić mu się rozprzestrzenić, bo gdyby tak się stało i każdy zacząłby postępować według prawdziwie demokratycznych zasad, czyli protestować wobec oczywistych przypadków naruszenia prawa, to kontrola społeczeństwa stałaby się niemożliwa, a niesprawiedliwości obecnego porządku ekonomicznego, w którym pięć procent populacji świata jest w posiadaniu dziewięćdziesięciu pięciu procent światowych bogactw, zostałyby ujawnione, wraz z cynicznymi i obłudnymi aktami niszczenia środowiska naturalnego, do jakich się obecnie dopuszcza. Demokracja w Stanach Zjednoczonych i większości krajów przemysłowego Zachodu to po prostu fasada rezydencji bogacza, parawan, za którym ludzie mają prawo głosowania, a potem dzień w dzień muszą podbijać kartę zegarową, wchodząc w system ekonomiczny, kontrolowany przez niewielką grupę rządzących, którzy konsekwentnie zmniejszają prawa pracownicze, jakie ludzie zyskali w ciągu całych stuleci walki. Owszem, ludzie mogą głosować, ale na polityków opłacanych przez korporacje, które kontrolują system, czyli że można głosować albo na tę część posiadaczy, która chce lepiej traktować pracowników, albo na część, która chce wyciągnąć od nich co się da - ale w każdym przypadku głosuje się na ten sam system i tym samym na klasę posiadaczy. Prawo głosu nie ma więc żadnego znaczenia. W tak niedemokratycznej sytuacji nieposłuszeństwo obywatelskie i bezpośredni opór, nie zagrażający życiu, to jedyna forma zaistnienia w systemie posiadaczy.

Władze oczywiście z całą bezwzględnością tępią tę jedyną prawdziwą formę oporu, gdziekolwiek się tylko pojawi, by poprzez brutalne zastraszenie powstrzymać rozprzestrzenianie się podobnych akcji. W przeszłości przynosiło to zwykle efekty, ponieważ niewielu chciało rujnować sobie życie, protestując przeciw niesprawiedliwości, której korzenie tkwią w systemie i która stała się jego nieodłącznym elementem i nie sposób jej pokonać, działając w pojedynkę.

Jedynym wyjściem stało się zatem wykorzystanie nowoczesnej techniki i działanie na odległość, by zachować pełną anonimowość. Moi klienci wybrali właśnie tę drogę. Opracowali swą akcję w taki sposób, że zidentyfikowanie ich jest absolutnie niemożliwe i możecie być państwo pewni, że nie zdradzę ich tożsamości, nie tylko przez wzgląd na etykę zawodową, ale z tego prostego powodu, że sam nie wiem, kim są. Wiem jedynie, że pragną wam ogłosić, iż przy obecnym stanie rozwoju nauki i rozdrobnieniu techniki łącznościowej, istnieją już sposoby działania, które pozwalają utajnić tożsamość wykonawców akcji tak skutecznie, że nikt nigdy się nie dowie, kim byli. Podobnie będzie w przypadku przyszłych akcji protestacyjnych, jeżeli do nich dojdzie. Trzeba więc wysłuchać poglądów ludzi pozbawionych prawa głosu i przywrócić to prawo im, a także środowisku; musi tego dokonać dominujący dziś system, który powinien się zmienić, gdyż w przeciwnym razie anonimowe akcje protestacyjne i sabotażowe, których sprawców nie będzie można wykryć, zniszczą system. Ostatni tydzień na Antarktydzie był jedynie ostrzeżeniem i demonstracją takich możliwości.

Przerwał, by nabrać powietrza, lecz Sylvia powstrzymała go gestem.

- Dziękuję, panie Smith. Może damy szansę komuś innemu, by mógł odpowiedzieć, a potem otrzyma pan znowu głos.

- Dobrze - odparł Smith i zupełnie niezrażony usiadł.

- Carlos? Ty i twoi koledzy z Południowej Grupy Antarktycznej zostaliście najbardziej dotknięci skutkami akcji klientów pana Smitha. Chciałbyś może powiedzieć parę słów w odpowiedzi na, hm, uwagi pana Smitha?

Carlos zerwał się na równe nogi.

- Z wielką przyjemnością! Wbrew temu, co mówił pan Smith, choć z paroma uwagami ogólnej natury mógłbym się zgodzić, nie ulega wątpliwości, że nasze poszukiwania złóż ropy i metanu na lądolodzie polarnym są legalne i absolutnie bezpieczne dla środowiska.

Wskazał palcem na Smitha, który teraz zupełnie nie wyglądał jak ktoś, kto zasługuje na pogardę.

- Traktat Antarktyczny zabraniał eksploatacji złóż mineralnych, zgadza się, ale Japonia i Rosja nigdy nie ratyfikowały protokołu o ochronie środowiska z 1991 roku, a kompanie naftowe z krajów sygnatariuszy Traktatu i tak szukały ropy. Teraz Traktat stracił ważność, a odnowienie jest zawieszony, jak wszyscy wiedzą, przede wszystkim z winy korporacji amerykańskich, wspieranych przez sojuszników z rządu, które chcą wstrzymania ponownej ratyfikacji Traktatu do chwili, aż zostanie zmieniony, przyznając właśnie im prawo do prowadzenia poszukiwań. Przez ostatnie dwa lata działaliśmy więc w próżni. Południowa Grupa Antarktyczna skupia państwa z półkuli południowej, które nie podpisały Traktatu i nigdy nie zostały zaproszone na żadną z konferencji, organizowanych przez państwa sygnatariuszy - nasze kraje jednomyślnie postanowiły rozpocząć czyste wydobywanie ważnych surowców, zwłaszcza uwodnionego metanu, gdy tylko będzie można uznać, że jest to technicznie możliwe i że nie narusza środowiska naturalnego Antarktydy. Ekolodzy z Północy protestowali przeciw takiej polityce, ale te protesty pochodziły z krajów, które zużywają pięć do dwudziestu razy więcej zasobów światowych niż członkowie Południowej Grupy Antarktycznej, więc osobiście uważam to za zachowanie aroganckie, bo przecież Północ podbiła Południe, zabierając stamtąd wszystko co dało się zabrać, niszcząc ziemię i wpędzając ludzi Południa w nędzę. Dzięki temu Północ zaczęła prosperować tak wspaniale, że stać ją na utrzymywanie górnych klas społeczeństwa, które ustanawiają zasady etyczne w ochronie środowiska dla krajów tak przez nie skrzywdzonych i pozostawionych samym sobie! Hipokryzja Północy, w tej i wielu innych sprawach, nie ma końca i nie można jej w żaden sposób obronić. Żadne słowa nie mogą jej opisać. To najważniejszy fakt w historii ostatnich pięciu stuleci: kolonializm wcale się nie skończył, tylko zmienił formę.

- Ryzyko związane z wydobywaniem ropy... - odezwał się pan Smith.

- Nie, nie, nie, nie! Ryzyko jest takie małe! - krzyknął Carlos, ściskając kciuk i palec wskazujący, aż zbieleły. - Takie małe, że w rzeczywistości zupełnie traci znaczenie! Na tym właśnie polegają nowoczesne techniki wydobywania, co próbowaliśmy wyjaśnić wszystkim, którzy chcieli nas słuchać. Gdybyśmy nie zostali zbombardowani, nie stałoby się nic złego. To przecież już nie dwudziesty wiek. W ciągu ostatnich trzydziestu lat nie było żadnego poważniejszego wycieku ropy i to nie przypadek, tylko skutek stosowania w przemyśle naftowym rozwiązań technicznych, dzięki którym skażenia ropą należą już do przeszłości.

- Kanał Panamski - rzekł pan Smith. - San Francisco, Dżakarta.

- To był sabotaż! - krzyknął Carlos, podskakując gwałtownie, jakby chciał się w ten sposób opanować. - Wycieki spowodowały akcje pańskich klientów, nie było w tym naszej winy!

- Moi klienci nie mieli nic wspólnego z żadnym z tych incydentów - odparł szybko pan Smith.

- Skąd pan ma taką pewność - zapytał Wade - skoro nie wie pan nawet, kim są?

- Pytałem ich.

- Ludzie w rodzaju pana klientów - ciągnął Carlos, krzywiąc się -jeżdżą po uprzemysłowionej Północy swoimi bmw, marząc o tym, by zabijać tygrysy gołymi rękami i zjadać na surowo, a nam tłumaczą, co mamy robić.

To najśmieszniejszy absurd na świecie; na Ziemi mieszka dziesięć miliardów ludzi, połowa z nich głoduje i nie wykarmi ich ani ich dzieci żaden dobrze odżywiony arystokratyczny sukinsyn, opętany ideą urządzenia myśliwsko-zbieraczego Disneylandu! Musimy im dać żywność i energię, żeby mogli przygotować jedzenie, musimy im dać schronienie, ubrania, szkoły, szpitale. Wy tego nie zrobicie tymi ekologicznymi bajeczkami o naturalnych terenach; nie cierpię tych waszych hipokrytów za świętoszkowate, antyludzkie bzdury, które opowiadają!

Smith odparł spokojnie:

- Nafciarze nigdy nie lubili ekologów. Znaczy to tyle, że pana umysł został zaprogramowany przez pana miejsce w hierarchii globalnej. W istocie nie możecie dawać ludziom energii, jedzenia, ubrania i innych dóbr koniecznych do egzystencji - bez Ziemi. To nie ekologia stwarza problemy, tylko eksploatacyjna gospodarka światowego systemu, w której mała grupka arystokratycznych bogaczy wyzyskuje naturalne i ludzkie zasoby światowe, po czym ucieka z łupem do swoich fortecznych posiadłości i na wyspy, a reszta musi przeżyć z tych szczątków, które po sobie zostawili. Żyjemy w kapitalizmie epoki Götterdämmerung i tak jak pan twierdzi, że kolonializm nigdy się nie skończył, nigdy nie skończył się też feudalizm, który nie ma nic wspólnego z tak zwanymi wartościami demokratycznymi, używanymi do łagodzenia gniewu mas. Armie świata walczą teraz o narzucenie tego systemu wszystkim, którzy zbyt poważnie traktują ideały demokracji.

- W sabotażu nie było nic demokratycznego - powiedział Carlos. - Zorganizowała go mała grupa, a większość ludzi potępia to, co zrobili, ale oni się z nimi nie liczą. Gdyby rzeczywiście uznawali demokrację, uszanowaliby zdanie większości w tej sprawie. Ludzie chcą elektryczności, chcą światła w nocy, potrzebują lodówek, żeby dzieci nie chorowały od zepsutego jedzenia.

Smith zacisnął usta, przybierając jak dotąd najbardziej wściekłą minę.

- Gdyby rzeczywiście jedynym celem było zdobycie surowców, wówczas potrzeby świata zostałyby spełnione z nadmiarem, z wykorzystaniem obecnych i nowych technik. Prawdziwym celem tego społeczeństwa jest jednak wzrost gospodarczy i ciągle wzbogacanie feudalno-kapitalistycznej arystokracji, a masy nie zgadzają się z tym celem, bo stoi w sprzeczności z ich interesami, ale są zbyt zastraszone i akceptują niesprawiedliwy system, w obawie przed wyrzuceniem z pracy, więzieniem albo śmiercią. Dlatego moi klienci nawołują do szerokiego, demokratycznego oporu przeciw obecnemu niszczeniu Ziemi, na którym korzysta kilkaset tysięcy ludzi, a miliardy cierpią. Następne pokolenia odziedziczą spalony i splądrowany świat.

- Proszę trzymać się szczegółów - powiedziała Sylvia.

- Antarktyda jest ostatnią czystą ziemią - powtórzył z mocą Smith. - i jako taka pokazuje, co moglibyśmy zrobić, gdybyśmy żyli we właściwej równowadze z naturą.

- Antarktyda jest czysta, bo nikt tu nie mieszka! - powiedział Carlos. - Łatwo zachować nietkniętą przyrodę, kiedy wokół nie ma żadnych ludzi. Jeżeli chodzi o resztę świata, wszystkie strategie powinny prowadzić do utrzymania ludzi przy życiu.

- Panowie - powiedziała Sylvia, spoglądając ostro na Carlosa i Smitha.

- Moglibyśmy dyskutować o ogólnych zasadach bez końca. Chciałabym jednak usłyszeć, co się stanie, jeżeli nasza rozmowa skoncentruje się na Antarktydzie. - Spojrzała na Geoffa, mając nadzieję, że pospieszy jej z pomocą; on jednak patrzył w przestrzeń; na pewno jego myśli obracały się wokół głębokiego pliocenu.

- Przecież oni mówią o Antarktydzie - rzekł Ta Shu. Obserwował wymianę zdań jak mecz tenisowy, obracając głowę to w jedną, to w drugą stronę i przytakując obu rozmówcom, jakby z każdym w pełni się zgadzał. - Ci ludzie mówią o lodzie i świecie. Jak gdyby tu nie było świata. Ale to nie tak.

Zęby mówić o tym miejscu, musimy mówić o wszystkim innym. Obaj panowie mają rację, że mówią ogólnie. Mówią o najważniejszej sprawie naszych czasów - że ziemi trzeba pozwolić żyć i równocześnie ludzi trzeba nakarmić.

Ten podkreśla jedno, tamten drugie. Ale trzeba robić i to, i to.

- Moi klienci nie popierają idei utworzenia parku światowego na Antarktydzie - rzekł Smith. - Cały świat należy traktować jak środowisko naturalne, w którym przyszło nam żyć, starając się wywierać na nie jak najmniejszy wpływ.

- Jak na Manhattanie - powiedział Carlos.

- Nawet z Manhattanu można zrobić w pewnym sensie środowisko naturalne.

- I nawet Antarktyda może być zamieszkana - odezwała się od drzwi jakaś niska kobieta.

- Mai-lis! - powiedziała zaskoczona Sylvia. - Przyszedł do nas.

Mai-lis weszła do sali, stając pośrodku koła z krzeseł.

- Tak, jestem Mai-lis - powiedziała. - Moi towarzysze i ja mieszkamy w Górach Transantarktycznych.

Zgromadzeni gapili się na nią, a ona spokojnie znosiła ich spojrzenia, jak babcia przygotowująca się do opowiadania bajki wieczorem przy kominku. Sylvia wyciągnęła rękę, dając jej znak: "Mów"; Mai-lis skinęła głową.

- Wypowiadam się w imieniu moich towarzyszy i przyjaciół, grupy mieszkańców Antarktydy, którzy postanowili zostać tubylcami. Niektórzy nazywają to zdziczeniem. Nasz projekt nie opiera się na jednej ideologii, ponieważ każdy z nas robi to z różnych powodów, wpływających z różnych systemów wartości i nie zawsze zgadzamy się we wszystkim nawet między sobą. Ale mogę powiedzieć, że dla nas wszystkich Antarktyda to piękne, święte miejsce, warte świętego zamieszkiwania, którym to słowem nazywamy radosne i pełne uwielbienia mieszkanie na ziemi - by być ludzkim wyrazem tej ziemi i częścią jej świadomości, a także świadomości zwierząt i roślin.

- Aby tego dokonać w tak surowym klimacie, konieczne jest korzystanie z technik używanych w różnych miejscach i w różnym czasie, od ludów zamieszkujących Laponię, Grenlandię i inne tereny Arktyki, przez teorię wspólnoty społecznej, po najnowsze zdobycze techniki. Bierzymy, co nam się może przydać i z paleolitu, i z postmodernizmu, nie jesteśmy szczególnie purytańscy. Żyjemy według demokratycznych zasad. Uważamy, że życie z ziemi jest ważne, ale tylko w takim stopniu, żeby zaspokoić własne potrzeby i nie wyrządzić ziemi żadnej szkody. Na Antarktydzie oznacza to, że ograniczamy liczbę mieszkańców i pomagamy gospodarczo części Północy, bowiem nam też potrzebna jest stamtąd pomoc. Traktujemy nasze życie tutaj jak eksperyment w ekstremalnych warunkach. Jeżeli powiedzie się tutaj, powinno udać się wszędzie indziej, dopóki liczba mieszkających ludzi nie jest za duża jak na możliwości Ziemi.

- A więc wy też nie wierzcie w Traktat Antarktyczny - zauważył Wade.

- Ależ wierzymy. Szanujemy go na swój sposób. Zabijamy pewne zwierzęta i zjadamy je, ale wcześniej poddajemy je naukowym badaniom i w ten sposób przestrzegamy postanowień Traktatu. Zgadza się z celami Traktatu. Lecz większość z nas nie sprzeciwia się wydobywaniu ropy i gazu dla samej zasady, jeśli tylko eksploatacja nie ma wpływu na środowisko. I tu jest pytanie: Na ile bezpieczna może być taka eksploatacja? Czy wypadki można traktować tylko jako wydarzenia jednostkowe? Czy uda się stworzyć takie zabezpieczenia, że ryzyko zmniejszy się do zera? I jeżeli do

tego dojdzie, czy wydobyć będzie opłacalne? Trzeba na owe pytania odpowiedzieć. To kwestia zrobienia analizy prawdziwych kosztów i prawdziwych korzyści, w której znajdą się wszystkie koszty i wszystkie korzyści, łącznie z tak zwanymi kosztami zewnętrznymi, biorąc pod uwagę aspekty sytuacji, których nie da się wycenić. Staramy się to robić, próbując tu przeżyć i często mówimy o możliwości przeprowadzania takich obliczeń w każdym innym miejscu świata.

Techniki bezpieczne dla środowiska, techniki "zielone", stosowane zgodnie z humanistyczną, "zieloną" analizą kosztów i korzyści różnych działań - obliczanie potrzeb i pragnień, metod i technik - to praca, którą trzeba wykonać w każdym punkcie Ziemi. Wiele wieczorów w naszym obozie spędzamy przy stole i komputerze. Większość z nas uważa, że można to robić wszędzie - gdyby ludzka populacja miała się zmniejszyć i gdyby ludzie wszędzie postanowili "zdziczeć".

Sylvia westchnęła i gestem spróbowała zapanować nad kierunkiem dyskusji.

- Spróbujmy skoncentrować się na samej Antarktydzie. Potraktujmy to jako pewne ćwiczenie albo eksperyment, jak to nazwałaś. W każdym razie w tej chwili możemy się zajmować tylko nią. Naturalnie, wciąż otwarte pozostaje pytanie, czy w ogóle potrafimy się nią zająć.

Wśród zgromadzonych osób toczyły się przyciszone rozmowy i sprzeczki; siedzący obok siebie ludzie paplali o kulturze pierwotnej, przetrwaniu i tak dalej; przez moment Sylvia miała wrażenie, że obserwuje pacjentów szpitala psychiatrycznego, których rozmowa prowadzi donikąd, lecz którzy mimo niewyspania, mogą dyskutować wiecznie.

Klasnęła głośno i natychmiast zapadła cisza.

- Zróbmy przerwę - powiedziała. - Musimy chyba trochę uporządkować nasze spotkanie. Idźcie coś zjeść, a za jakiś czas powrócimy do rozmów.

Chciałabym, żebyśmy opracowali szczegółowe protokoły - mocno zaakcentowała to słowo - według których będziemy kształtować nasze postępowanie na Antarktydzie i których każdy z obecnych tutaj będzie przestrzegał. Jeszcze nie wiem, czy okaże się to możliwe, ale chcę, żebyśmy spróbowali, inaczej to zebranie zakończy się tylko na gadaniu. Chcę czegoś więcej niż rozmowy.

Powinniśmy napisać raport - rzuciła okiem na Wade'a, który kiwał potakująco głową - i chciałabym, żebyśmy ułożyli listę wniosków, być może nawet pełny protokół. Rozumiecie mnie? Panie Smith, czy może pan mówić w imieniu swoich klientów?

-Tak.

- Proszę w takim razie iść na obiad z Carlosem, który opisz panu rozwiązania techniczne wykorzystywane przy wydobywaniu ropy i gazu. Chciałabym, żeby było przy tym obecnych jeszcze kilku ludzi od nas. Reszta może porozmawiać z Mai-lis i dowiedzieć się więcej o tym, jak są zorganizowane ich obozy. Zbierzemy się ponownie, kiedy będziecie gotowi, ale najpóźniej jutro rano. Poinformuję was telefonicznie i przez pagery.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Z DNA W GORĘ

Iks obserwował zebranie z rosnącym zaniepokojeniem. Widział, że jest możliwe dojście do porozumienia, na mocy którego konsorcjum naftowe dokona zmian zgodnie z żądaniami sabotażystów Smitha, swoistym sumieniem całego projektu; potem wszystko będzie tak jak przedtem; nikt nie spostrzeże, że podczas dyskusji Smith i Carlos atakowali praktyki kapitalistycznego Gdttterddmmerung, zupełnie nie zauważając, że wzajemnie uzupełniają swoje argumenty, przekonani, że atakują się nawzajem. On na zawsze zostanie wykreślony z ZLA, a tym samym z McMurdo i pewnie będzie mógł wrócić do Carlosa i nafiarczy, ale potem zostanie wygnańcem, prawdziwym Człowiekiem Bez Ojczyzny, układ zostanie taki sam, a on nigdy już nie zobaczy Val. Po tym wszystkim, co przeszedł, równie dobrze mógł wylądować z powrotem na podłodze warsztatu. Wygnany, choć nigdy nigdzie naprawdę nie był - nigdzie poza Antarktydą i Ameryką; Antarktyda była inną planetą, a Ameryka marzeniem. Nie miał domu; nie miał ojczyzny. Jeżeli nie chciał zostać na zawsze Człowiekiem Bez Ojczyzny, wędrującym po Ziemi jako wieczny wygnaniec, musiał coś zrobić. Musiał sam znaleźć sobie dom.

Kiedy więc ludzie wychodzili tłumnie z Szalasu wprost w oślepiające światło dnia, kierując się głównie do Crary albo "Widoku na Everest", Iks błąkał się po błotnistych uliczkach McMurdo, zagubiony, zły, zakłopotany, nie wiedząc, co począć.

Zatopiony w myślach, mijając Centrum Berga, natknął się na jajogłowego, z którym pracował kiedyś w Suchych Dolinach. Graham Forbes. Iks widział starszych kolegów Forbesa na zebraniu w Szalasie, więc nie był zbyt zdziwiony jego widokiem. Żywo pamiętał tamten dzień; podczas wszystkich przygód na Antarktydzie nigdy jeszcze tak nie zmarzł.

- Hej - powiedział. - Co u pana?
- W porządku. A u pana?
- Świetnie. Jak badania?
- Dobrze idą, dziękuję.
- Odkryliście coś wielkiego?
- No... - Forbes zawahał się, nie wiedząc przez chwilę, co powiedzieć. - Właściwie tak. - Szybko uniósł dłoń. - Ale oczywiście na razie nic pewnego.
- Żadnej tabliczki z napisem: "Tu był plioceński fiord"?
- Nie. - Nikły uśmiech. - Ale znaleźliśmy ślady lasu bukowego - liście, gałązki i ciekawy materiał organiczny. Podobny do tych z osadów na innych terenach, ale tu pojawił się pierwszy raz. Nieźle zachowany.

- Więc nawet w tych cholernych Suchych Dolinach znaleźliście kawałek do swojej układanki.
- Na to wygląda.
- To chyba ważna nowina. Ktoś z was będzie miał o tym wykład w Crary?
- Och, nie. Nie w tym roku. To by było przedwcześnie.

Iks w zamyśleniu skinął głową.

Forbes przeprosił go; musiał iść do Crary na zebranie. Nagle się zatrzymał i powiedział:

- Dzięki za pomoc wtedy. Było okropnie zimno.
- Och - rzekł zaskoczony Iks. - Cała przyjemność po mojej stronie.

Forbes skręcił do laboratorium.

Iks dalej chodził uliczkami, bardziej niż zwykle pogrążony w myślach, lecz od czasu do czasu

przystawał, by przyjrzeć się mijanym budynkom. Przez jakiś czas było to przecież jego miasto. I na swój sposób je lubił. Tuż obok budynku pocztowego Nowozelandczycy z Bazy Scotta zorganizowali kiedyś hangi i haaka, piekąc na ogniu całe prosiaki i tańcząc uroczysty taniec wojenny Maorysów - dwudziestu białych Nowozelandczyków rozebranych do pasa, w wojowniczym tańcu, którymi dowodziła Maoryska - oficer sił powietrznych Nowej Zelandii, rzucająca ostrym głosem rozkazy-
Takie rzeczy można było czasem zobaczyć w Mac.

Ale Iks spalił za sobą mosty i teraz ogarnęła go nostalgia wygnańca, któremu przez moment pozwolono popatrzeć na dawny dom. Nostalgia, ból za utraconym domem; ból, który odczuwał fizycznie. W sercu.

Natknął się na Randi.

- Jezus, Randi, nie jesteś przy radiu?

- Wypuścili mnie na godzinę, bo wszyscy są na miejscu. - Miała ochrypły głos, tak samo zaczerwienione od niewyspania oczy i błędne spojrzenie, jak wszyscy w mieście. - Wyglądasz, jakbyś się zgubił, Iks.

- Bo się zgubiłem. - Dziwnie było ją widzieć; był przyzwyczajony, że Randi to tylko głos w radiu. Ładna. Jedna z gangu Val z jadalni. Patrząc na jej twarz można było stwierdzić, że często się śmiała. - Nie wiem, co robić - powiedział. - Wiem, że ZLA nie przyjmie mnie drugi raz i chyba... chyba mam przerąbane.

Skinęła głową.

- Pewnie, że masz, gdybyś musiał polegać na ZLA. Ale słuchaj, oni niedługo będą musieli odnowić kontrakt, nie? Parę osób u nas zastanawiało się, czy sami nie moglibyśmy złożyć oferty.

- Jak to?

- Idź pogadać z Joyce, ona ci wszystko powie.

Popchnęła go w stronę Centrum Berga, więc pobiegł tam, przypominając sobie w drodze, że Joyce coś o tym wspominała, kiedy wpadł się pożegnać przed wyjazdem do Basenu Mohna. Wówczas jego myśli zaprzętała Val i nie słuchał jej zbyt uważnie; wtedy zresztą już był zdecydowany i nawet nie chciał słuchać. Lecz teraz wszystko się zmieniło. Joyce na pewno znowu go ochrzani, ale w ogóle się tym nie przejmował. Wszystko jedno.

Po chwili znalazł się na górze, w biurach CPB.

- Cześć, Joyce. Wróciłem.

- Tak, widziałam cię na zebraniu w Szalasię.

- Aha. Co myślisz o zebraniu?

- Ciekawe. - Patrzyła na niego surowo. - Chcesz do nas wrócić, prawda?

Opadł na krzesło i powstrzymał ją gestem.

- Chcę. I wiem, że mam przerąbane.

- Zgadza się, masz.

- Ale Randi przypomniała mi o ofercie, o której próbowałam mi powiedzieć ostatnim razem. Fakt, nie słuchałam cię wtedy. Przepraszam, ale tym razem słucham, więc powiedz mi jeszcze raz.

Skinęła głową, przyjmując przeprosiny.

- NFN każe ZLA zawierać subkontrakty z potencjalnymi oferentami, więc ZLA wie o nich tyle, że przed odnowieniem umowy może złożyć ofertę, w której przebije wszystkich. To ten sam system, dzięki któremu ostatnim razem wygryźli SWA. Teraz przy walce o główny kontrakt będą mieli ostrą konkurencję ze strony PetHelo i GE i wcale bym się nie dziwiła, gdyby PetHelo ich przebiło, bo wiesz jaki jest ZLA - funkcjonują tak nienagannie, że wszyscy serdecznie ich nie cierpią, nawet NFN, jeżeli mam być szczerą.

Krązą jednak plotki, że NFN próbuje skłonić SWA, żeby jeszcze raz złożyli ofertę, bo zrozumiała, jak dużo straciła przy tamtej zamianie. W każdym razie kilka osób od nas pomyślało, żeby utworzyć coś w rodzaju spółdzielni i złożyć ofertę na obsługę łączności i CPB.

- Naprawdę? - spytał Iks, czując, jak serce zaczyna mu szybciej bić.

- Tak, naprawdę. - Roześmiała się, widząc jego minę. - Zdaje się, że tym razem jesteś zainteresowany.

- O Boże, no pewnie.

Znów się zaśmiała.

-- Dobrze. Będiesz naszym człowiekiem od teorii społecznej. Mamy kilku ludzi, którzy się jeszcze wahają i chyba będzie cię można na nich wypróbować. Mógłbyś wytłumaczyć tym, do których cię skieruję, na czym polega nasz plan.

- Jasne, że mógłbym! Tylko mi ich pokaż!

- Dobrze już, dobrze. Ale powinieneś być bardziej wyluzowany, Iks, nie chcę, żebyś posunął się za daleko, jasne? Nie graj przed ludźmi pana Smitha, na litość boską. Nie chcemy nikogo odstraszyć, to by tylko zmniejszyło nasze szanse w przetargu. Ale mamy już sporo ludzi, a w łączności i w terenie liczy się przede wszystkim doświadczenie. ZLA zawsze nas straszył, że zatrudni na nasze miejsca nowych ludzi, co oczywiście może zrobić, ale jeżeli wszyscy naraz złożymy samodzielną ofertę, to jako jedyni będziemy mieli doświadczenie w pracy tutaj, a ZLA zostanie tylko doświadczenie z Seattle i paru żółtodziobów. Ludzie, z którymi NFN pracowała przez ostatnie kilka lat, będą w większości po naszej stronie. To może zadziałać. Im więcej nas będzie, tym lepiej.

- No jasne, to brzmi sensownie - rzekł Iks. - NFN wynajmuje po prostu ludzi do całej infrastruktury. Do pewnego stopnia eliminuje to problem rywalizowania z kapitałem starej firmy.

- Zgadza się.

- To świetny pomysł! - wykrzyknął Iks. - Dlaczego wcześniej cię nie posłuchałem? Dlaczego mi tego nie powiedziałaś wcześniej, zanim postanowiłem odejść?

- No wiesz. W takie sprawy zwykle nie wtajemnicza się pewupów. - Wzruszyła ramionami. - Tak po prostu jest. Delikatna sprawa, bo w końcu wszyscy ciągle jesteśmy pracownikami ZLA. To by był bunt. Naruszenie kontraktu. Ludzie bali się, że ich namierzą i wyrzucą. Rozmawialiśmy więc tylko w zaufanym gronie, czyli wśród ludzi, których dobrze znaliśmy. Potem pojawiłeś się ty, ludzie zaczęli przebąkiwać, żeby cię wciągnąć. Ale potem zrezygnowałeś. Pomyśleliśmy, że masz już dość ZLA, a poza tym nie wyszło ci z Val.

- Ale teraz wróciłem.

- Wróciłeś. Może więc pogadasz z Nancy, Specem, Haroldem, Georgem... wiem, że jest jeszcze parę osób - a, tak, Mac; najpierw idź do niego, on dokładnie ci opowie, co już się udało zrobić, a potem możesz rozmawiać z innymi. Powiedz im o spółce i jaka to fantastyczna sprawa, sam zobacz, czy uda ci się ich przekonać. Twierdzą, że się namyślają, ale moim zdaniem wejdą w to, kiedy odpowiednio im się wszystko wyłoży. I jeżeli zdobędziemy wszystkich, na których nam zależy, możemy mieć spore szanse.

- No pewnie, pewnie, pewnie. Pomyślę, kogo jeszcze dobrze by było mieć.

Skinęła głową i klepnęła go w ramię.

- Najpierw skonsultuj się ze mną. Pamiętaj, masz być spokojny, Iks. To interesy. Wymagają mnóstwa szczegółowych planów i ciężkiej pracy. Dużo czasu upłynie, zanim będziemy coś wiedzieć na pewno.

- No jasne, oczywiście. Spokój. Interesy.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu i Joyce roześmiała się. Po chwili wyszedł.

Całkiem zapomniał o śnie, choć tak naprawdę w ogóle sobie nie przypomniał. Pod tym względem wszyscy byli jak obłąkani, biegając niespokojnie po McMurdo niczym krople wody podskakujące na gorącej blasze, niemal oszalali z braku snu; ale czy kiedykolwiek było inaczej? Latem Mac stawało się nadzwyczaj ruchliwym miastem. Iks poszedł do jadalni, żeby nabrać nową porcję paliwa na kolejny cykl bezsenności. W środku zauważył Specę i Harolda, więc przysiadł się do nich, a pod koniec posiłku wspominał o pomysłach założenia własnej spółki, o którym obaj jego współbiedniacy już słyszeli. Mieli mieszane uczucia. Przez jakiś czas rozmawiali o tym; Iks twierdził, że własność pracownicza powinna być naczelną zasadą, nie zwracając sobie głowy szczegółami sytuacji w McMurdo, o której ci dwaj wiedzieli dużo lepiej niż on. Gdy wyszedł z jadalni, rozpoczął rundę po biurach; przedtem chodził tam jeszcze jako przynieś wynieś pozamiataj. Teraz gadał z osobami wskazanymi przez Joyce i innymi, których lubił, prosząc ich, by przemyśleli propozycję przyłączenia się do nowej spółki.

Wiele osób, słuchając go, kręciło głowami i zaczął rozumieć, że ze względu na tyrady, jakie kiedyś wygłaszał i jego niedawne zniknięcie, uważano go za trochę nawiedzonego - czy ściślej rzecz biorąc, za nieszkodliwego dziwaka. Oczywiście, że miał absolutną rację, co mówiły spojrzenia weteranów lodu; pewnie, że nas wykorzystują, ale pomysł, iż system można zmienić, jest głupi. Obecne zasady funkcjonowania biznesu, hierarchia pracodawcy i pracownika należały do Złej Zaprojektowanej Rzeczywistości, mówiły ich spojrzenia; tego nie da się zmienić, zawsze będą właściciele i robotnicy, choćby nie wiadomo jak gwałtownie przeciw temu protestować. Pewni ludzie byli właścicielami interesów, kapitału, rządów, prawa, wojska; i wszystko to wspierało obecny system, bez względu na to, jak zły. Iks uznał, że to właśnie mówiły ich spojrzenia, kiedy chodził od biura do warsztatu; spojrzenia pobłażliwe i pełne sympatii albo porytowane i pogardliwe, choć mogło być inaczej. Wielu lodowych weteranów uważało, że wciska im kit albo w najlepszym razie jest beznadziejnym marzycielem.

Iks kwitował te oceny skinieniem głowy i coraz więcej się uczył. Próbował bardziej szczegółowych argumentów, podkreślając, co mogą zmienić tu, na przykład Hut Point. Opisywał im inne kompleksy spółdzielcze, o których wiedział, przede wszystkim baskijskie miasteczko Mondragon, gdzie wszystko było w rękach spółek pracowniczych. Coraz bardziej podobały mu się prowadzone rozmowy, ale były trudne. Przecież podzegał do rewolucji i walczył o własny kraj, o prawo do własnego domu, co przejmowało go niewiarygodną pasją, lecz diabeł tkwił w szczegółach... Musiał opisywać przyszłą spółkę, złożoną z ludzi mających wieloletnie doświadczenie i antarktyczne umiejętności, które mogli wykorzystać do lepszej organizacji służb terenowych; mogli być równorzędną konkurencją dla zwykłych firm; NFN będzie się musiała zgodzić, że są najlepsi, nawet biorąc pod uwagę surowe kryteria Fundacji; będą jedynymi właścicielami, nie wejdą na rynek z akcjami, nie będą zbyt zachłanni przy podziale zysków, co pozwoli im złożyć korzystną ofertę i jednocześnie zarobić, bo nie płacąc dywidendy akcjonariuszom rozsianym gdzieś po świecie, zachowają więcej na własne potrzeby.

Wszystko to brzmiało bardzo sensownie. Podstawowe przewagi systemu spółdzielczego: był rozsądniej szy, na pewno bardziej sprawiedliwy i dlatego zwiększał motywację oraz lojalność pracowników, wpływając na jakość i wydajność pracy, które musiały być wysokie, nawet według ostrych standardów, nastawionych przede wszystkim na niskie koszty. Iks nie miał większych kłopotów z przekonaniem ludzi co do słuszności tych argumentów. Logicznie ząbębiały się z tym, czego od dziecka uczono Amerykanów - że najważniejszymi wartościami są uczciwość, sprawiedliwość, demokracja. Przedstawiał więc swym przyjaciołom i znajomym wizję McMurdo jako miniaturowego Mondragon, broniąc jej za pomocą właśnie tych wartości - gdzie wszystko

podporządkowane będzie pracowniczym spółkom, połączonym we wzajemnie uzupełniającą się sieć, w której znalazłyby się również banki. W takim McMurdo, mówił Iks, szczególnie mocno podkreślając tę sprawę, ludzie wreszcie będą mogli wziąć w swoje ręce własną karierę zawodową na Antarkydzie i wreszcie skończy się fatalny rozdźwięk między miłością do tego miejsca a kaprysami szefów.

Zaczęli nad tym myśleć. I choć było wielu sceptyków, dużo ludzi kiwało głowami i mówiło: "Brzmi nieźle, wchodzę w to".

Wracając z ostatniego z tych spotkań, natknął się na Wade'a. Przystanęli, by się naradzić, jak bracia, których drogi przypadkowo przecięły się w środku miasta.

- Słuchaj - powiedział Iks. - Powinieneś porozmawiać z profesorem Michelsonem o tym, co znaleźli w Suchych Dolinach. Ten Forbes powiedział mi, że znaleźli coś ważnego - nie chciał mi więcej zdradzić, ale wydaje mi się, że twój senator powinien umieć wykorzystać ten scenariusz do wyjaśnienia niebezpieczeństwa globalnego ocieplenia. Będzie miał lepszą siłę przebicia dla swojego programu.

- Sam o tym myślałem - rzekł Wade. - Spytam Michelsona, jak tylko go zobaczę, dzięki. A co poza tym?

- Zupełnie nieźle. Pomagam Joyce, Randi i paru innym ludziom przygotować ofertę subkontraktu na obsługę terenową. Organizujemy własną spółkę, złożoną ze wszystkich ludzi stąd, którzy naszym zdaniem sobie poradzą, a mamy tu samych najlepszych.

- Philowi bardzo się to spodoba, na pewno. Trzymajcie się tego, zobaczę, czy uda mi się pomóc ze swojej strony.

- W porządku.

Klepięcie po ramieniu i odeszli, każdy w swoją stronę.

Wade biegał po mieście niemal tak zajęty jak Iks. Zaraz po zakończeniu zebrania wrócił do Szalasu i zastał Sylvię w jej gabinecie. Zapukał. Rozmawiała przez telefon i ujrzawszy go, dała mu znak, by wszedł. Podeszedł do dużej mapy Antarktydy, przyglądając się kolorowym kropkom. Zdążył już zapomnieć, co poszczególne oznaczają, a wzory, które kolory tworzyły, wciąż nie układały się w nic konkretnego.

Przestała rozmawiać.

- To z Christchurch. Burza zaczyna się wycofywać z Przylądka Adare, więc lada chwila przybędzie tu tłum ludzi.

- Mamy więc jeszcze co najmniej osiem godzin swobody?

- Tak. - Nie wyglądała na zadowoloną z perspektywy nalotu oficjalnych inspektorów na jej królestwo.

Wade wskazał mapę.

- Kropki pokrywają się z miejscami ataków ekosabotażystów?

- Niektóre mają związek z lokalizacją anten satelitarnych, za pomocą których przerwano łączność - powiedziała, obchodząc dookoła biurko i pokazując kilka pomarańczowych kropek, rozsianych po całym kontynencie. - A inne pewnie oznaczają obozy "dzikich", których już poznaliście.

- Trudno zauważyć tu jakąś regularność, kiedy dzieje się tyle naraz.

- Rzeczywiście.

- Jesteś pewna, że analityk zdjęć satelitarnych mówi ci o wszystkim, co zauważy?

Wyglądała na zdziwioną.

- Nie, pewności nie mam. Zakładałam, że tak, ale nie mam jak go sprawdzić.

- Mógłbym do niego zadzwonić i zadać mu kilka pytań? Chciałbym omówić z nim parę spraw, a gdybym powołał się na ciebie, może zgodziłby się ze mną porozmawiać.

Spojrzała na niego pytająco.

- Chciałbym pomóc, gdybym tylko mógł - wyjaśnił Wade. - Pomóc sprawie Traktatu. Pomóc NFN dalej kierować Amerykańskim Programem Antarktycznym. I tak dalej. Wszystko to jest zgodne z tym, co próbuje robić Phil Chase. Z tym, co sam próbuję robić.

Zastanawiała się.

- Myślę, że nie będzie w tym nic złego. Ten człowiek pracuje też w agencji ochrony, mając gdyby dwie posady, ale zawsze może odebrać telefon i sam zdecydować. Dam ci jego numer - powiedziała, podchodząc do biurka i napisała numer na karteczce.

- Jak się nazywa?

- Wystarczy, że zapytasz o Sama.

Wade skinął głową.

- Dzięki. A teraz wróćmy do sabotażu. Możesz mi powiedzieć...?

- Mam tu skrót raportu od ratowników. - Wydobyła ze sterty papierów na biurku jeszcze jedną kartkę. - Wygląda na to, że zsynchronizowano wszystko, żeby zaczęło się 15 października - to tylko sześć dni temu. A wydaje się już tak dawno.

- To prawda.

- Nie potrafię powiedzieć, czy czekali na warunki pogodowe nr jeden, czy też był to zbieg okoliczności. Automatyczne śledzące anteny satelitarne połączono z radiami o potężnej mocy - znaleźliśmy siedemnaście od Półwyspu, wzdłuż całego pasma Gór Transantarktycznych, aż do Przylądka Adare, a za biegunem było jeszcze pięć. Zakładamy, że jest ich więcej, tylko ich jeszcze nie znaleźliśmy. Wstępne dochodzenie wykazało, że to składaki własnej produkcji z materiałów pochodzących z Azji, z przełomu wieków. Anteny były nakierowane na satelity nośne, głównie Ku-band, czternaście gigaherców, ale też, jak twierdzi raport, kilka dwudziestogigahercowych satelitów centralnych; wysłały niemodulowany sygnał w częstotliwości, która zablokowała satelity. Kiedy łączy między zablokowanymi satelitami zostały przywrócone, anteny namierzyły i unieruchomiły następne satelity nośne. Wszystko skończyło się po czterdziestu ośmiu godzinach, w ciągu których łączy były przerwane. Już jednak na początku ciszy zniszczono dwa odwierty konsorcjum Grupy Południowej, tak samo jak obozy bazowe na Masywie Roberta i Wzgórzach Pioneer. Bomby, według wstępnych ustaleń, okazały się domowej produkcji. Zanim eksplodowały, wszyscy obecni na stacjach naftowych zostali spędzeni przez zamaskowanych ludzi uzbrojonych w broń maszynową, a potem zabrani stamtąd skuterami śnieżnymi albo sterowcami - uniosła brwi - do najbliższych obozów naukowych.

Większość na Lodowiec Shackletona, inni trafili na Byrda albo do włoskiego obozu w Górach Ellsworth.

- Nas przeoczyli, bo byliśmy na trasie - rzekł Wade.

- Tak. Jednak wygląda na to, że ewakuowali wszystkich innych i nie było żadnych ofiar. Jak dotąd nie zidentyfikowano porywaczy.

Wade opowiedział jej, co widział przy okazji spotkania z "dzikimi".

- Tak więc, o ile wiem, "dzicy", którzy tam mieszkają, nie mieli z tym nic wspólnego, a ci, którzy mieli, są już gdzieś w Ameryce Południowej.

- Hmm.

- Zakładam więc, że mienie NFN nie zostało zniszczone?

- Też się nam dostało. Niewielkie ciosy, ale precyzyjnie wymierzone i dosyć dotkliwe.

Dostaliśmy solidną nauczkę. Do awarii satelitów doszły małe bomby na dachu budynku radiowego i na przekaźniku na Wzgórzu Krater.

I wreszcie zanieczyszczono szesnaście zbiorników z paliwem, łącznie z tymi gigantami na Przełęczy i kilkoma oddalonymi zbiornikami dla helikopterów - odmianą odżywiających się ropą bakterii, której używa się do likwidowania plam ropy na wodzie. Ten gatunek, zanim zginie, rozrasta się w tysiące małych grupek, więc niebezpiecznie było użyć paliwa, które zostało w zbiornikach. Prawdziwy koszmar - musieliśmy wykombinować, jak przefiltrować paliwo, a potem jak sprawdzić, czy jeszcze się nadaje.

- To musiało być bardzo długie czterdzieści osiem godzin.

-Tak.

- FBI jeszcze tu chyba zostanie.

- Tak. Będą mieli kilka punktów zaczepienia dla śledztwa: sprzęt satelitarny, bomby, bakterie, wygnani piraci lodowi, wędrujący po Chile. Ten Smith... zastanawiam się, czy słusznie jest pewien, że jego klienci pozostaną anonimowi. Oczywiście byli bardzo ostrożni, ale mimo to...

- Tak. Zależy do jakiego stopnia byli ostrożni. Zdaje mi się, że doświadczona i przezorna grupa mogłaby bardzo utrudnić śledztwo. Ponieważ jednak nikt nie zginął, a FBI ma na głowie mnóstwo poważniejszych akcji terrorystycznych, w których giną ludzie w samych Stanach, może nie będą wkładać w tę sprawę tyle wysiłków.

- Hmm.

Usiedli oboje, ze wzrokiem wbitym w biurko. Gdyby zsumować przespane przez nich w zeszłym tygodniu godziny, nie uzbierałaby się nawet jedna noc. Wade przyłapał się na tym, że nieoczekiwanie zamyka oczy, a po chwili, wzdrygając się, otwiera; wstał raptownie, by nie zasnąć przy Syhdi.

- Dzięki za informacje. Przekażę je senatorowi Chase'owi i zrobimy co w naszej mocy, by wam pomóc.

Sylvia skinęła głową, wciąż zamyślona.

Na dworze Wade skulił się pod dojmującym ciosem wiatru, dmącego od Przełęczy, po czym potykając się na zamarznętym błocie, ruszył w stronę jadalni, gdzie chciał się pokrząć kilkoma kubkami kawy. Już przed dużym budynkiem wpadł na profesora Michelsona, który zmierzał w tym samym kierunku.

- Witam, profesorze!

- A, dzień dobry - rzekł poznając go Michelson. Przyjrzawszy się mu bliżej, dodał: - Jak widzę odwiedził nas pan w ciekawych czasach.

- W bardzo ciekawych. Co pan sądzi o zebraniu w Szalasie?

- Naturalnie to bardzo ważne, żeby rozmawiać o tych sprawach. Po tym, co się stało w zeszłym tygodniu, będzie jeszcze wiele takich dyskusji.

- W KNBA też?

- Och, z całą pewnością.

- To chyba dobry pomysł. Tak... Jak szła praca w Suchych Dolinach?

- Cóż, pracowaliśmy dalej.

Stali w słońcu, osłonięci od wiatru budynkiem jadalni. Michelson przyglądał mu się podejrzliwie. Wreszcie Wade zapytał:

- Mój przyjaciel Iks spędził kiedyś jeden dzień z waszym zespołem, pracując z Grahamem - podobno Graham mówił mu o jakimś ważnym odkryciu.

- Naprawdę? No, tak, pewnie miał rację. Wszystkie odkrycia są ważne, prawda? Zwłaszcza jeżeli pomyśleć o ogromnej liczbie rzeczy, których się nie odkrywa.

- Tak, na pewno. Ale... - Wade szukał właściwych słów. - Ale jeżeli dokonaliście odkrycia, które jednoznacznie potwierdza stanowisko dynamistów, to macie dowód, że płyta lodowa Wschodniej Antarktydy nie jest stabilna i trzy miliony lat temu jej nie było, a przy obecnym ociepleniu być może znowu zniknie. Zgadza się? Czyli to bardzo ważne odkrycie. Może skoro macie w rękę niezbity dowód, powinniście go bezzwłocznie przedstawić politykom?

Nikły uśmiech pod wąsem.

- Nie sędzę, żebyśmy musieli wpadać w tak dramatyczny ton.

Może wy nie, pomyślał Wade.

- Nie jestem pewien, czy w ogóle można mówić o niezbitym dowodzie.

To, co znaleźliśmy, trzeba dokładnie zbadać i zinterpretować, dopasować do większego obrazu. Samo w sobie nic nie znaczy. A o znaczeniu można dyskutować i zapewniam pana, że będzie się dyskutować. Określanie wieku Syriusza wcale nie jest łatwe. Zwłaszcza że różne warstwy Syriusza mogą pochodzić z różnych ciepłych okresów. Musimy więc postępować ostrożnie.

- Czyli to nie jest niezbity dowód?

- Nie, to mata liści bukowych. Liści bukowych i związanego z nimi materiału organicznego z pięter lasu. - Wzruszył ramionami. - Mamy nadzieję, że to może być dowód.

- Ale jest pan bardziej przekonany, że w pliocenie lodu nie było?

- O tak, można tak powiedzieć. To, co znajdujemy teraz w formacjach Syriusza przypomina linię brzegową biomu południowego Chile. Lasy bukowe, owady, mikroorganizmy, wszystko pasuje. Powoli dochodzimy do wniosku, że można określić ich wiek na dwa do trzech milionów lat. Przed nami jeszcze sporo trudu, a potem zobaczymy.

- Nie będzie więc konferencji prasowej o tegorocznych odkryciach?

Michelson zaśmiał się krótko.

- Nie, nie będzie konferencji. To żadna sensacja. Tylko dowód.

- Kiedy go przedstawicie?

- Och, niebawem, naprawdę niebawem.

- Za dwieście lat?

- Ha, nie, trochę prędzej. W przyszłym roku wstępne raporty, potem zobaczymy, jak idzie praca laboratoryjna... pełna publikacja może za rok albo dwa.

- Nieprędko.

- Owszem, niezbyt prędko. Próbkę trzeba zawieźć na północ statkiem, a badania rozpoczną się dopiero przyszłą wiosną.

Sama geologia zaczęła naśladować czas geologiczny, pomyślał zirytowany Wade. Polityka pędziła coraz szybciej, nauka zwalniała; jedna miała się do drugiej jak neutrino do Ziemi. Małe iskielki błękitnego światła.

- Ależ... ależ ludzie muszą się wkrótce dowiedzieć! Wasze odkrycie musi stać się częścią debaty politycznej, która się teraz toczy.

Profesor posłał mu życzliwe spojrzenie.

- To już pańskie zadanie, prawda?

Wade zamyślił się.

- Proszę posłuchać - powiedział Michelson, spoglądając na zegarek. - Mam się tu spotkać z Mai-lis. Nie widziałem się z nią od dwudziestu lat.

- Ach, przepraszam. Oczywiście. Właściwie sam chciałbym z nią porozmawiać. Jej ludzie uratowali nas na Lodowcu Shackletona.

- Naprawdę? Potrzebowaliście ratunku?

- Tak. Zaskoczyła nas burza, mieliśmy rannego. Ludzie Mai-lis zabrali nas do siebie.

- To do niej podobne.

- Znają pan od dwudziestu lat?

- Owszem. Była lekarzem i biologiem u Norwegów. Niezwykła osoba.

Sylvia też ją zna. Zobaczmy, czy już jest.

Weszli do jadalni. Hol i wszystkie sale były zapchane ludźmi, którzy się spieszyli, ale poruszali się niezdarnie, jak grupa oszalałych zombi. Mai-lis siedziała przy jednym z okrągłych stołów w głównej sali. Wade długo czekał na okazję, by z nią porozmawiać, lecz w pewnej chwili wstała po dokładkę deseru i poszła w stronę maszyny do lodów; Wade podążył za nią. Przywitała się z nim uprzejmie i wręczyła mu miseczkę.

- Dzięki - powiedział.

- Dziękuję, że zawiadomiłeś mnie o tym zebraniu. Z przyzwyczajenia chciałam trzymać się z daleka, ale po zastanowieniu stwierdziłam, że to dobra okazja, żeby się pokazać i przedstawić naszą sprawę.

- To dobrze, bardzo dobrze. Absolutnie się zgadzam. Potrzebujemy was, jeżeli ma się skończyć na czymś więcej niż remisie albo częściowym, jakbyście to nazwali, rozwiązaniu technicznym.

- Tak. - Spojrzała na niego uważnie. - Tak więc...

- Myślałem o całej sytuacji i sądzę, że senator Chase być może będzie mógł coś dla was zrobić, mam na myśli odnowienie Traktatu i tak dalej, biorąc poprawkę na to, czego próbujecie tu dokonać. Żeby trochę mocniej go nacisnąć, że tak powiem, pomyślałem sobie, czy nie mogłabyś mnie skontaktować z analitykiem zdjęć satelitarnych, o którym wspominałaś w obozie - no wiesz, tym, który wam pomaga.

- Najpierw powiedz, czego od niego chcesz.

Zaczął jej wyjaśniać, zachęcony tym, że podczas gdy mówił, Mai-lis kiwała potakująco głową. Gdy skończył, dalej kiwała, zastanawiając się.

- Tym bardziej chciałbym z nim porozmawiać, jeżeli to jest Sam - zaryzykował Wade. - Jeśli tak, to robi też analizy dla Sylvii i mógłbym powołać się na was obie.

- Naprawdę? - powiedziała zaskoczona. - Cóż, nasze kontakty są poufne, sam rozumiesz i lepiej, żeby nadal miały taki charakter. Ale skoro masz takie powody, chyba będzie skłonny z tobą porozmawiać. Zapytam go najpierw, czy nie ma nic przeciwko temu. Jeżeli się zgodzi, dam ci jego numer, którego używamy i tajny kod.

- Dzięki, dzięki. Jestem pewien, że się przyda.

Mai-lis wróciła do stolika, a Wade przyglądał się pustej miseczce, którą trzymał w ręce. Odstawił ją, po czym stanął w kolejce po ciepłe danie; nagle poczuł, że umiera z głodu; nie sądził jednak, by kiedykolwiek jeszcze było mu tak ciepło, że miałby ochotę na lody.

Kiedy kończył jeść, podeszła do niego Mai-lis i dała mu chip telefoniczny.

- Sam mówi, żebyś zadzwonił.

- Dzięki, Mai-lis. Dzięki za wszystko.

- Nie ma sprawy. My mieszkańcy Antarktydy musimy się trzymać razem.

-Tak.

Wade skończył posiłek i poszedł do swojego pokoju w hotelu Kalifornia.

Włożył chip do ręcznego telefonu i nacisnął guzik wywołania numeru.

- Halo.

- Halo, nazywam się Wade Norton, jestem przyjacielem Mai-lis. Pracuję jako asystent senatora Phila Chase'a...

- Na Antarktydzie. Przypuszczam, że dzwoniś z hotelu Kalifornia.

- Tak, zgadza się - rzekł Wade, rozglądając się po suficie. - Pewnie jesteś Sam. Cześć. Posłuchaj, rozmawiałem z Mai-lis i z Sylwią, myślałem też o całej sytuacji i mam do ciebie kilka pytań.

- Też mam do ciebie parę pytań.

- To dobrze, bardzo dobrze.

Wade wyciągnął z teczki notatnik.

Przyjaciele, znów jesteśmy w McMurdo, na Wzgórzu Obserwacyjnym, lecz to jeszcze nie koniec naszych podróży. Teraz mamy przed sobą przestrzenie jeszcze zimniej sze niż Antarktyda; czasoprzestrzeń ludzkiej historii i nasze życie w tych przeładowanych latach. Na planecie mieszka więcej ludzi niż jest ona w stanie utrzymać; to, co teraz zrobimy, będzie miało istotny wpływ na kształt następnego tysiąca lat, na dobre i złe. To wąskie gardło historii; wiek przekroczył dopuszczalną nośność; przeciążone lata; rejs otwartą łodzią, obciążoną poniżej linii Plimsolla. Istnieje prawdopodobieństwo wielkiej tragedii, największej, jakiej zaznał świat.

Lecz nie pozwolimy sobie dopuścić do tragedii. Musimy nauczyć się Ziemi, dokładnie i gruntownie, jak nasi paleolityczni przodkowie na sawannach; musimy poznać ją tak jak oni, jak naukowiec i kochanek naraz. Musimy stać się miłującymi naukowcami. Trzeba skupić w jedno epokę paleolityczną i postmodernistyczną. Czuję, że na tym cyplu arterie smoka splątały się w taki sposób, by pozwolić nam zobaczyć jako pierwszym ten naukowo-miłosny węzeł. Ponieważ ludzie przybyli do tego miejsca, aby je badać i podczas badań pokochali je.

Ale dlaczego, moglibyście zapytać, widząc jedynie zimne obrazy, jakie wam przekazuję. Dlaczego pokochali miejsce tak nagie i puste. Chciałbym umieć jaśniej to wytłumaczyć. Ale uwierzcie, brakuje mi słów.

A jednak spróbuję. Widzicie, jak czyste jest tu powietrze. Góry są daleko, a jednak widać je wyraźnie i dokładnie; jak gdyby oko zmieniło się w teleskop. Woda ma zwartą postać i lśni niczym wielobarwny jedwab w słońcu.

Nigdy nie widzieliście takiej przejrzystości, w której krajobraz duchowy wypełnia krajobraz widzialny, by na koniec świetliście wybuchnąć. Widząc wszystko tak wyraźnie, zaczynamy się zastanawiać, jak w tak czystym powietrzu wyglądałaby reszta świata. Wprawdzie północne powietrze nie mogłoby być nigdy tak czyste ani zimne, ani suche, ani pozbawione pyłów - ale w pewne dni, w pewne poranki, cały świat musiał kiedyś mieć tę jasność, a my oczy i ochotę, by ją oglądać. To musiał być piękny widok.

Jak widzicie z mojego punktu obserwacyjnego? 'ing-yan na Wzgórzu, wszystko jest tu duże. Duże, wielkie, ogromne, potężne, gigantyczne - wiem, mówiłem te słowa wiele razy i nadal muszę je wypowiadać, aż trafią do waszych umysłów i rozwiną się jak papierowe kwiaty, osiągając swe pierwotne rozmiary. Naprawdę wielkie! Nasuwa to myśl o nieskończoności.

Ogromna prostota i energia, jak w pociągnięciach pędzla śmiałego i mądrego malarza. Wszystko w pięciu wymiarach, widocznych od razu. To także jest cudowne.

Powłoka lodu przedstawia misterny wzór, którego miniaturowej złożoności nie dostrzeżecie na moich zdjęciach; obraz ten można zobaczyć tylko spoglądając pod nogi - obraz nieskończonych warstw, płaszczyzn, przecinających się linii, ostrych konturów lodu i śniegu, rzucających wszędzie różnobarwne światła tęczy, wirujących do wewnątrz, w krystalicznych wzorach płatków śniegu wirujących na zewnątrz, w ogromnych blokach stołowych gór lodowych, z których każda wygląda jak rzeźbiarskie arcydzieło. Nieskończone, fraktalne piękno.

Czyste, wielkie, lodowe, pryzmatyczne - czuję, że mimo wszystko nie potrafię tego uchwycić.

Oczywiście to miejsce jest olśniewające nie tylko dzięki owym atrybutom. Być może całe piękno niesie w sobie tajemnicę, której nie sposób wyjaśnić. Ponieważ to miejsce jest piękne; i kiedyś cały świat był taki. Widząc pierwsze, wyobrażamy sobie drugie. Zaczynamy rozumieć, jak piękna kiedyś była Ziemia.

Znów możemy ją taką uczynić. Po drugiej stronie naszych trudnych czasów widzę powracającą jasność; jest nas mniej i poczynamy sobie jeszcze sprytniej, nasza technika i system społeczny ściśle wiążą się ze sobą i ze świętą Ziemią, w potężniejącej jasności dynamicznej i ewoluującej kultury. W czystym powietrzu nie tylko dłużej żyjemy, ale znów widzimy. Wielkie i małe rzeczy na swoim miejscu. Tak będzie. Jesteśmy prymitywnymi przedstawicielami nieznannej cywilizacji. Tu widać to bardzo wyraźnie. Pierwotny krajobraz lodu wypełnia po brzegi ożywczy oddech chi 's, wiatr oczyszcza wszystkie zakamarki umysłu, powiększając je jak podczas pierwszych zmian ewolucyjnych; i gdy tu jesteśmy, wypełnia nas miłość.

A potem miłość do krajobrazu, nasza zbiorowa podświadomość, zrozumienie miłującego naukowca dla boskiego echa tego łądu, wypuści kwiaty, które sięgną daleko na północ, obejmując resztę planety. Miłość do planety, promieniejąca z jej dna w górę, jak rewolucja duszy.

Miłość i wiedza zawsze były razem; i tak od chwili, gdy ludzie przybyli na ten kontynent, naukowcy przyjrzeni mu się bliżej i powiedzieli; To nasze miejsce.

Teraz znów muszą zdecydować, czy tak jest naprawdę.

Jest to część procesu, jaki toczy się od dawna. Na przykład spójrzmy na miasto, widoczne teraz w dole. Amerykańskie miasteczko, jak na Alasce. Zamieszkane od pokoleń. Część historii Antarktydy.

Lecz dopiero teraz staje się miejscem naprawdę do niej należącym. Ponieważ Amerykanie, którzy założyli je w Międzynarodowym Roku Geofizycznym (co było wielkim wydarzeniem feng shui) byli wojskowymi. Przybyli tu, by wspierać naukowców i zmilitaryzowali kulturę antarktyczną.

Młodzi żołnierze i marynarze, oddzieleni od kobiet i dowodzeni przez starszych od siebie mężczyzn, którzy przez większą część życia również przebywali daleko od kobiet, zorganizowani w strukturę społeczną zbudowaną na kształt hierarchii z dawnych czasów. Ujmując to prościej - było tam za dużo yang.

Według większości historii ten świat umierał w trakcie pierwszej wojny światowej i powoli zastępowała go nasza wszytkowiedząca i hermafrodytyczna nowoczesność. Ale w ekspedycjach Byrda i w pierwszych stacjach amerykańskich możemy znaleźć mężczyzn żyjących w dziewiętnastowiecznym świecie Piotrusia Pana, który widzieliśmy u ludzi Scotta kilka dekad wcześniej, a wówczas reszta społeczeństwa już dawno porzuciła ów styl.

Powoli utrzymanie takiego stylu życia stawało się coraz trudniejsze.

Gdy towarzysze Scotta wrócili i opowiedzieli o swych dokonaniach, ludzie mówili: Wspaniale, cudownie. Ale kiedy ludzie z Marynarki Stanów Zjednoczonych wrócili na Północ, spotkało ich niezrozumienie i lekceważenie, graniczące z pogardą. Po co sobie zawracać głowę? Pytano ich. A marynarze, którzy pochodzili z pozbawionej korzeni kultury zimnowojennej Ameryki, nie umieli opowiedzieć o swoich przeżyciach z tego nadzwyczajnego kontynentu. Jak już mówiłem, żaden język nie jest w stanie go opisać. Lecz oni nie mogli znaleźć miejsca w trojaki sposób: w języku, przestrzeni i czasie; byli jak podróżnicy w historiach przestrzennych, przelatujący z jednej do drugiej tak szybko, że zaczęły działać zjawiska względności i choć naprawdę nie było ich tylko przez dwa lata, to wrócili do świata po kilku stuleciach. Byli uchodźcami czasu.

Być może właśnie w wyniku zupełnej, choć szczątkowej dominacji yang, ich kultura z biegiem upływających lat stawała się coraz bardziej wulgarna.

Ściany wszystkich amerykańskich stacji antarktycznych były oklejone fotografiami nagich kobiet. Blaty stołów w jadalniach pokrywały zdjęcia nagich kobiet. Jak można ocenić na podstawie niewielu zapisów z tych czasów, myśli marynarzy obracały się w ograniczonej przestrzeni. Mieli proste i brutalne tradycje. Jeden ze zwyczajów polegał na tym, że grupa mężczyzn rzucała się na nowo przybyłych, zdierała z nich ubrania i wrzucała ich w śnieg. Z tamtych czasów pochodzi również rytuał kąpieli w przerębli, a także Klub Trzech Setek, którego członkowie biegli z sauny rozgrzanej do temperatury dwustu stopni prosto w nocny mróz, sięgający minus stu stopni. Największa zasługa tej kultury polega na próbach rytualizacji przeżywania zimna; a także celebrowania przeżywania separacji od świata - kiedy zimowa załoga na biegunie ustawiała się w rzędzie wzdłuż pasa startowego, by powitać pierwszego herculesa wiosny; wszyscy nadzy i zsiniali od kąpieli w zabarwionych fioletem kryształkach. Lecz większość zapisków, jakie po sobie pozostawili, to smutna litania Piotrusia Pana, który zmienia się w Ripa van Winkle.

Potem nastąpił punkt zwrotny, gdy szala obowiązującego stylu przechyliła się w inną stronę. Ta chwila rozpoczęła się od symbolicznego gestu zimnej wojny. Rosjanie wysłali w kosmos kobietę, a my w Chinach włączyliśmy do naszej wyprawy atakującej szczyt Czomolungmy sześć kobiet tybetańskich. W takim kontekście geopolitycznym Amerykanie posłali na swoją stację polarną sześć kobiet - pierwszych, które znalazły się na biegunie 11 listopada 1969 roku. Dzień pokoju w roku wojny. Był to gest polityczny, owszem - symboliczny. Lecz symbol zyskał podwójne znaczenie po tym, co zrobiły owe kobiety.

Przypomnijcie sobie mężczyzn siłujących się w łodzi, która jako pierwsza wylądowała na kontynencie. Farsa - może na swój sposób sympatyczna, ale mimo wszystko farsa. Jednak w rocznicę zawieszenia broni w roku 1969 owa szóstka Amerykanek rozwiązała sprawę inaczej; wzięły się za rękę i przeszły z samolotu na biegun razem, aby żadna z nich nie była pierwsza.

Uznały po prostu, że to najlepszy sposób. To był ich wkład do historii. I tak rozpoczęły koniec dominacji yang na Antarktydzie, zmilitaryzowanej i spiotrusiopaniącej; tak rozpoczęło się wejście Antarktydy do świata w pełni ludzkiego, do świata równowagi yin i yang, mężczyzn i kobiet, falującej w nieustannym ruchu, nawet teraz, kiedy mówię te słowa.

Były to Lois Jones, Eileen McSaveney, Kay Lindsay, Terry Lee Tickhill i Pam Young. Zaraz, to tylko pięć. Jak się nazywała szóstka? Nie pamiętam.

Przypomnę sobie później. Mimo że nie pamiętam, było ich sześć.

W każdym razie Antarktyda wkroczyła w okres, nazywany czasem złotym wiekiem, wiekiem "kontynentu dla nauki", w którym Antarktydę należy uważać za jedną z wersji naukowej utopii - złotym wiekiem, trwającym od przybycia kobiet i stopniowego wycofywania wojska, aż do chwili zawieszenia Traktatu Antarktycznego, który dwa lata temu nie został przedłużony.

Traktat był próbą opisanego naukowego i utopijnego związku ludzkości z lądem; związku, w którym nie było jednej władzy, lecz terra communis, powrót do idei wspólnoty, gdzie naukowcy ze wszystkich krajów, nawet tych, które skakały sobie do gardła na Północy, pokojowo współpracowali ze sobą dla wspólnego dobra. Był to prawdziwie złoty czas w historii. I choć z początku wśród przybyłych na kontynent zarysowała się znaczna przewaga mężczyzn, jak zresztą w całej nauce, każdy rok działał na korzyść równowagi kobiet i mężczyzn.

Oczywiście do dziś nie ma pełnej równowagi. Równowagi nie ma w żadnym obszarze spraw ludzkich ani nigdzie we Wszechświecie. Jeżeli jednak chcielibyście, bym wybierał między stanowiskiem statyków i mobilistów, jak nazywano dwa przeciwstawne poglądy w sporze o tektonikę płyt kontynentalnych - albo między stanowiskiem stabilistów i dynamistów w obecnej kontrowersji wokół Syriusza - zawsze wybierajcie dynamistów. Historia jest po naszej stronie.

Tak więc tu i teraz, w nieustannie płynącym czasie, stajemy przed kolejnym punktem zwrotnym w historii. Jakże często się powtarzają! Ludzie zebrani w Szalasie dyskutują o tym, co zaproponować światu po wypadkach tego niezwykłego tygodnia. Będziemy próbowali powiedzieć światu, jak lepiej żyć. Powiecie, że to bezcelowe zadanie! Walenie głową w mur! Ale jak zauważyłem, wszyscy walą głową w mur. Tu jest mała Ameryka, a prawdziwa Ameryka jest bardzo duża. Słyszeliście pewnie, jak nasz nowy przyjaciel Carlos mówił: "Cokolwiek jest prawdą na Antarktydzie, jest prawdą wszędzie indziej". Musimy więc działać szczególnie uważnie.

Sądzę, że bez odpowiedzi pozostaje pytanie, czy Amerykanie mogą się nauczyć współpracy i samowystarczalności na tyle szybko, by uniknąć katastrofy. My w Chinach, w naszym zatłoczonym królestwie środka, już dawno temu musieliśmy się nauczyć, że życie jest współpracą i pomaganiem sobie nawzajem, dla dobra wszystkich, włączając nas samych. Kierujemy się doświadczeniem, które gromadziliśmy przez tysiące lat; mamy też doświadczenia w budowaniu wspólnej pracy na rzecz społeczności, pochodzące z zeszłego stulecia - dobre i złe. Wiele z nich zawdzięczamy przykładowi Przewodniczącego Mao, wielkiego mistrza feng shui. Wiem, co wszyscy mówią - ja sam to powtarzam - że w tym, czego dokonał Mao, sześćdziesiąt procent było dobre, a czterdzieści złe. Słyszałem też ostatni dowcip krążący w Pekinie, że w tym haśle będzie się manipulować cyframi, aż osiągną proporcje pięćdziesiąt i jedna dziesiąta procenta dobra oraz czterdzieści dziewięć i dziewięć dziesiątych zła. Znam też inne powiedzenie, według którego wszystko, co dobre w Mao, pochodzi z Tao. Będziemy to powtarzać bez końca, w różnych wersjach. W którąkolwiek uwierzycie, prawdą jednak jest, że dzięki Mao wcześniej niż reszta świata zaczęliśmy strukturalnie organizować naszą współpracę, co dało nam wielką siłę w dwudziestym pierwszym wieku. Dzięki temu przygotowaliśmy się do zmiany nas samych w imię dobra Ziemi; przeżyliśmy już trzy kampanie, propagujące model rodziny z jednym dzieckiem, i powoli zaczynamy zbierać owoce, które narodziły się dzięki stabilnej, a nawet zmniejszającej się populacji. Pracujemy nad czystymi technologiami; bardziej niż inni mamy świadomość, że świat jest przeładowany; widzimy to co dzień na zatłoczonych ulicach naszych miast. Nie znaczy to, że nigdy nie popełniamy błędów. Na przykład zapora przy Trzech Przełomach na Jangcy to straszny błąd. Trzeba ją rozebrać i pozwolić znów płynąć Żółtej Rzece, inaczej ani ekologia, ani feng shui w naszym kraju nie będą właściwie. Ta zapora zatruwa naszą ziemię i tamuje nasze myślenie.

Musimy też oczywiście oddać Tybet Tybetańczykom i pozwolić im żyć w spokoju na ich płaskowyżu. To gorsze niż błąd; to zbrodnia. Jak już wam mówiłem podczas naszej wspólnej wędrówki po tym świętym dachu świata, w ciągu każdego dnia okupacji Tybetu dodajemy sto karmicznych istnień do naszej pokuty; odpokutowanie krzywd, jakie wyrządziliśmy Tybetowi, będzie nas kosztować miliony pokoleń istnień karmicznych. Im szybciej zacniemy, tym lepiej.

Naturalnie mamy też wiele innych nieszczęść o mniejszych rozmiarach; niektóre specyficznie chińskie, inne dotyczące całego świata. Lecz możemy stawić im czoło. Każdy jest przynajmniej w niewielkim stopniu przyzwyczajony do współpracy; to także jest część miłującej wiedzy, gdyż nauka jest przede wszystkim wspólnotą zaufania. Prawdziwy naukowiec musi być gotów współpracować we wspólnym przedsięwzięciu, inaczej wszystko mija się z celem. Jeżeli mamy wiedzę i głęboko kochamy, sami jesteśmy pod tym względem prawdziwymi naukowcami. I nadal będziemy próbowali tworzyć wspólnotę zaufania.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

USKOK SHACKLETONA

Kiedy nazajutrz rano wszyscy ponownie zebrali się w Szalasiu, do tej pory Iks wciąż nie zmrugał oka. Zresztą wielu z nich też nie spało; widział to po twarzach stopniowo wypełniających salę ludzi. Dziś nie było tyle osób co przedtem, a wiele nadal skupiało się w małych grupkach, dyskutując o drobniejszych sprawach; gdy jednak Sylvia poprosiła, by zasiedli na ustawionych w koło krzesłach i zaczęła mówić na temat pomniejszych spotkań, odbytych po ostatnim walnym zebraniu, Iks podniósł rękę (czując szkolne zdenerwowanie, jakie wywołał sam ten gest).

Kiedy Sylvia, która ze względu na swą rolę przypominała surową nauczycielkę, udzieliła mu głosu, Iks powiedział:

- Sylvio, chcę podkreślić, że mówimy nie tylko o kwestiach techniki wykorzystywanej na Antarktydzie ani o tym, czy ściśle przestrzegamy litery Traktatu, czy nie. W naszym traktowaniu Antarktydy nigdy nie będzie prawdziwego szacunku ani świadomości ekologicznej, jeżeli mieszkający tu ludzie dalej będą zorganizowani w taki sam sposób jak do tej pory - to znaczy w hierarchie, w których większość pracowników nie ma władzy ani żadnej odpowiedzialności i robi po prostu to, co się im każe, dla pieniędzy i niczego więcej. Teraz jest tak, że przyjmują nas i wyrzucają według swojego widzimisię ludzie z Północy, a ludzie, którzy najbardziej kochają Antarktydę, najbardziej na tym cierpią, bo wracają tu, mimo że rujnują sobie przez to życie, bez poczucia bezpieczeństwa, bez ciągłości zatrudnienia, bez korzyści dla własnej kariery, że się tak wyrażę. Mają poczucie bezradności, które jest powodem niedbalstwa. Nigdy nie dopuścilibyśmy się niedbalstwa, gdybyśmy mieli większą władzę nad naszym losem. Dobrze o tym wiem, bo byłem pracownikiem warsztatowo-polowym, a tu nikt nie ma mniej do powiedzenia, niż osoba z taką funkcją. Wiem z doświadczenia, że ZLA wykorzystuje nas dla własnego zysku - płaci nam mało, nie daje pewności zatrudnienia i jeżeli coś się nam nie podoba, przyjmują innych. Te praktyki doprowadziły do, przepraszam, cholernego nadużywania pracowników, tuż pod nosem NFN i w pewnym stopniu przy aprobacie NFN - na przykład, zawieszono przywilej czterdziestogodzinnego tygodnia pracy. NFN patrzy na to przez palce i pozwala robić firmie wszystko, co jej się podoba, żeby tylko praca jajogłowych szła gładko, a przy tym daje zarobić właścicielom kontrahenta na Północy.

Pracownicy od lat najbardziej odczuwają skutki takiego patrzenia przez palce. Nie sposób, żeby w tych warunkach ludzie poświęcali wiele uwagi Antarktydzie jako miejscu pracy i życia. Nie możemy uważać naszej pracy za naszą, ani tego miejsca za nasz dom, więc naturalnie traktujemy je jak obcy.

Iks zauważył, że Sylvia bacznie mu się przygląda; wcale nie od rzeczy było wspomnieć o udziale NFN w praktykach ZLA.

- Do czego konkretnie zmierzasz? - zapytała.

- Niedługo zacznie się nowy przetarg na umowę o obsługę - powiedział Iks. - Możecie wynająć nowe firmy do głównego kontraktu albo do subkontraktów. Możecie podpisać umowę z nową firmą, założoną przez byłych pracowników ZLA i zorganizowaną w formie spółki pracowniczej, oddaną zwłaszcza sprawie prowadzenia naprawdę rygorystycznej polityki ekologicznej. Jak powiedziała Mai-lis, mówiąc o działaniach swojej grupy, mógłby to być rodzaj eksperymentu. Eksperyment naukowy, porównujący jakość usług i działania proekologicznej spółki pracowniczej, która nie będzie miała innych zysków poza pensjami dla pracowników i tak dalej, ze standardową firmą.

- Wymagamy od kontrahenta przestrzegania umowy NEPA i wszystkich szczegółowych

regulaminów, jakie opracowaliśmy - rzekła Sylvia. - Jeżeli chodzi o rodzaj firmy, nie jest do końca jasne, czy sami możemy o tym decydować - to znaczy wybrać między firmami różnego rodzaju. Obawiam się, że decydujący głos będzie miał Kongres, a ograniczenia budżetowe są dość ostre.

Iks skinął głową.

- Jasne, rozumiem. Ale bez potrzeby generowania zysku dla akcjonariuszy spółka pracownicza będzie mogła wykonywać te same zadania za mniejsze pieniądze. Kongres nie powinien więc zgłosić żadnego sprzeciwu.

Sylvia z powątpiewaniem skinęła głową.

Odezwał się Wade:

- Niektóre istotne prawa mają być niedługo przejrane przez komisje budżetowe w Kongresie i przez administrację. Senator Chase już wielokrotnie zgłaszał pomysł, by rząd preferował kontrakty ze spółkami pracowniczymi, ale kiedy pomysł spotyka się z oporem, ma też znaczące poparcie. Rosnące poparcie.

- Opór ze strony klasy właścicieli, poparcie ze strony ludzi - powiedział Smith. - Jednym z największych absurdów naszych czasów jest pomysł, że każda korporacja może być monarchią feudalną i jednocześnie zachowywać się w swoich działaniach jak demokratyczny obywatel, troszczący się o świat, w którym żyjemy...

- Tak, tak - przytaknęła Sylvia, odbierając mu głos, zanim zdążył się rozkręcić. - Ale w naszej sytuacji, tutaj? W obliczu podpisania kontraktu na obsługę...

- NFN może będzie mogła podjąć decyzję na podstawie własnych regulaminów ekologicznych - powiedział Wade. - Żeby nie trzeba było czekać na ostateczne decyzje Kongresu, który musi wziąć pod uwagę preferencje prywatnych kontrahentów. Zwłaszcza że NFN jest tu właścicielem infrastruktury. Byłby to obszar, na którym nowa spółka pracownicza mogłaby uniknąć problemów kapitałowych. Jeżeli zdołają włączyć do oferty solidny plan działań proekologicznych, to w połączeniu z niższą ceną Fundacji łatwo chyba będzie poprzeć organizację bardziej odpowiedzialną społecznie.

- To jedno i to samo - rzekł z naciskiem Iks, waląc się w kolano. - Sprawiedliwość społeczna jest niezbędną częścią każdego programu ekologicznego.

- Tak - powiedziała wolno Sylvia. - Cóż. Przynajmniej możemy to włączyć do propozycji w ramach naszego małego raportu.

Iks usiadł na składanym krzeselku. Serce waliło mu mocno, jakby siedział w nim trzepoczący skrzydłami pingwin. Znajdź tamte czerwone kapcie, otrzep je z kurzu i może wrócisz do domu, który nigdy nie istniał.

Val stwierdziła, że jest dumna z Iksa, gdy obserwowała go, jak wygłaszał swą mowę na zebraniu w Szalasie. Poważny, skupiony; trudno było zignorować jego i to, co mówił.

Mimo to wiedziała już, jak się sprawy potoczą. Sylvia pewnie spróbuje pośredniczyć w porozumieniu, bez względu na to, jak absurdalny mógł się wydawać jego cel na tle problemów świata. Waszyngton i inne stolice zaczną rozdawać karty. Nie zostaną wstrzymane poszukiwania ropy, węgla, metanu i słodkiej wody; zostaną użyte najlepsze zabezpieczenia, na jakie będzie stać nowoczesną naukę, a niewidzialni klienci Smitha nadal będą się kręcić dookoła, obserwując, oceniając sytuację i zapewne przypuszczając nowe ataki, jeżeli coś ich nie zadowoli. McMurdo będzie działać dalej, może obsługę przejmą nowe firmy, może parę spółek pracowniczych, które lepiej będą traktować ludzi; ale wszystko pozostanie takie samo, nawet gdyby wszystko się zmieniło; nadal samolotami i statkami będą przybywać grupy turystów i trekkerów, wszędzie będą prowadzić przewodnicy.

Praca przewodnika nigdy się nie zmieni.

Tymczasem w Górach Transantarktycznych nie przestaną koczować "dzicy", wiodąc własne życie. Próbując żyć z tej jałowej ziemi. Starając się osiągnąć jakąś samowystarczalność, nawet jeżeli wspierał ich niewidzialny świat leżący za horyzontem; samowystarczalność nie ekonomiczną, lecz symboliczną.

Val myślała o tym, podczas gdy drugie zebranie rozpadło się na kilka mniejszych grup, dyskutujących nad szczegółowymi sprawami oraz kiedy wróciła do swojego pokoju, robiła pranie i brała prysznic, a potem szła do jadalni. Wreszcie włączyła swój ręczny telefon i połączyła się z Joyce.

- Joyce, gdzie umieściłaś "dzikich", którzy u nas goszczą?

- Nigdzie. Myślałaś, że zamieszkają w hotelu Kalifornia czy w Holiday Inn?

Oczywiście, że nie.

- No to gdzie są?

- Chyba rozbili parę namiotów na Wzgórzu Obserwacyjnym, zaraz pod szczytem. Widać ich stamtąd, gdzie teraz jesteś?

Val spojrzała w stronę górującego nad miastem stożka. Rzeczywiście, dostrzegła ustawione w krąg namioty.

- Dzięki, Joyce, widzę ich.

Poszła uliczką do budynku CPB. Kiedy była już blisko, dogonił ją zasapany Wade.

- Cześć, Val.

- Cześć.

- Jak ci się podobały zebrania?

- Bardzo ciekawe.

Zatrzymali się przed Centrum Berga.

- Co sądzisz o naszym panu Smithie?

Val w zdziwieniu uniosła brwi.

- Myślę, że to on.

- Mózg całej operacji?

- Tak. A właściwie mógłby nawet sam wszystko urządzić. Przecież wszystko zrobiono tylko przy użyciu paru bomb, nadajników radiowych i anten satelitarnych. Mógł wszystko zrobić, nie ruszając się z Nowej Zelandii.

Albo z pokładu łodzi.

- Nie wiem - powiedział Wade. - Musiałby być w wielu miejscach.

- Chyba tak. Prawdopodobnie pracuje z nim kilku przyjaciół. Ale to nie tylko adwokat. W każdym razie nie sądzę. - Wzruszyła ramionami. - A może tylko adwokat. Wątpię, żebyśmy mieli kiedykolwiek wszystkiego się dowiedzieć.

- Nie wiem.

Patrzył na nią skupiony i poważny; jakby się zastanawiał, czyjej coś powiedzieć. Zawahał się; wskazał Wzgórze Obserwacyjne.

- Idziesz się rozejrzeć?

- Chcę się zobaczyć z "dzikimi" - odparła.

-Aha.

Od razu się zorientował, że nie chce, by jej towarzyszył. Wielu facetów potrzebowałoby znacznie więcej czasu. Cóż. Lubiła go; ale lada dzień miał wyjechać w świat, gdzie Bóg wie, co mu się mogło przydarzyć. Patrzyła w jego twarz, spoglądając sówio z obszytego futrem kaptura,

nieprzeniknioną.

- Wiesz, w Waszyngtonie będziemy potrzebowali ludzi, którzy dobrze znają Antarktydę. Żeby opracować protokół mający szansę akceptacji wszystkich stron. Cokolwiek się stanie w Szalasie, i tak będzie mnóstwo pracy.

- Tak. Jestem pewna, że świetnie sobie poradzisz.

Nie to jednak chciał powiedzieć, spostrzegła to od razu.

- Och - powiedziała głupio.

Zobaczył, że go zrozumiała i nie spuszczał z niej oczu. Między budynkami świstał wiatr, smagając ich.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogłabym - powiedziała. Po chwili dodała: - Bardzo cię lubię. - Uśmiechnął się lekko. -

Ale wiesz, że nie byłabym szczęśliwa w Waszyngtonie. A potem..

Zmarszczył brwi.

- Tam wcale nie panuje większa biurokracja niż tu. Wcale byś nie musiała tam mieszkać. Mój szef też nie mieszka w stolicy.

Pokręciła głową.

- Chcę zapytać "dzikich", czy mnie przyjmą.

- Ach, tak.

Dodała, trochę prowokacyjnie:

- Też mógłbyś się do nich przyłączyć! Mógłbyś pracować, nie ruszając się stąd i łączyć się z Waszyngtonem przez sieć jak twój szef.

Na jego twarzy na chwilę pojawił się uśmiech. Oboje parsknęli krótkim śmiechem.

- Wiem, co masz na myśli - powiedział. - Mogę iść z tobą kawałek?

- Jasne, chodź.

Szli razem w górę grzbietu, przeskakując nad nierównymi stopniami lawy na grani. Kilkaset stóp przed szczytem Val przystanęła i Wade zrównał się z nią. Zeszła krok w dół i odwróciła się do niego, tak że stał tuż nad nią i nie musiała się schylać, by go pocałować. Dwoje zimnych ust, dwa zimne nosy.

Objął ją ramieniem, by utrzymać równowagę. Dawno temu nauczyła się, że bywają chwile, gdy się wie, że będzie to tylko przelotny pocałunek; ta wiedza dużo zmieniała. Był w tym dobry.

Puścił ją. Twarz mu się zarumieniła. Spojrzał na nią, jak gdyby była to ostatnia szansa, jaką kiedykolwiek miał.

- To było miłe - powiedziała. Wokół serca czuła warstwę lodu.

- Będiesz czasem musiała zajrzeć na Północ - powiedział. - Nawet gdybyś przystała do "dzikich".

- Może. Czasami.

- Przyjedziesz?

- Nie wiem. Chyba do Nowej Zelandii. Nie wiem. - Znowu spróbowała zrewanżować się tym samym. - Będiesz jednym z ekspertów antarktycznych w Waszyngtonie - od czasu do czasu będziesz musiał przyjeżdżać w różnych sprawach, zgadza się?

- Zgadza się. To prawda.

Skinęła głową.

- Będziemy w kontakcie.

Skinął głową z namysłem. Trochę zbladł. Wzruszyła ramionami. On ponownie kiwnął głową. Ostatni krótki uścisk. Potem odwrócił się i ciężkim krokiem ruszył w dół niebezpiecznej trasy,

spoglądając na Morze Rossa i Góry Zachodnie; najlepszy sposób, żeby się potknąć i zlecieć w dół. Ale udało mu się tego uniknąć. Val odwróciła się i w szybkim tempie pokonała ostatni odcinek. Nieomal sama się potknęła.

Stała przed niewielkim namiotem "dzikich", starym i połatanym norweskim igloo, którego niebieski nylon wypłowił, przybierając niemal biały kolor. Ten znajomy widok powstrzymał ją na chwilę. Grzebać w odpadkach w poszukiwaniu środków do życia; czy była na to gotowa?

- Halo? - powiedziała.

Z namiotu wynurzyła się głowa. Lars.

- Jest tu Mai-lis? - zapytała Val.

- Chwileczkę.

Odsunął się, a w wejściu pojawiła się Mai-lis. Val powiedziała:

- Zastanawiałam się, czy mnie do siebie przyjmiecie.

Mai-lis zrozumiała, o co jej chodzi.

- Zaczekaj chwileczkę - rzekła i wejście do namiotu zamknęło się. Val usłyszała dochodzące ze środka szelesty; Mai-lis ubierała się. Spojrzała na rozciągnięte w dole McMurdo, czując, że blednie. Zdała sobie sprawę, że twarz Mai-lis przypomina jej babcię Annie. W ogóle nie były do siebie podobne, ale jednak.

Mai-lis rozsunęła suwak namiotu i wypełzła na zewnątrz. Wstała i wskazała na szczyt nad nimi. Wspinali się razem w milczeniu, jak para pielgrzymów. Na szczycie stanęły pod starym drewnianym krzyżem, w silnym wietrze.

- Macie stąd wspaniały widok - zauważyła Mai-lis, spoglądając przez morze na Mount Discovery i pasmo Royal Society; Wyspa Czarna, Wyspa Biała; gigantyczne góry lodowe z odłamanego szelfu.

-Tak.

Stały, patrząc przed siebie.

- To niełatwe życie - powiedziała Mai-lis.

- Wiem. Nie szukam łatwego.

- Czego więc szukasz?

Val próbowała to wyrazić. Pokazała w dół, na McMurdo.

- Chcę się od tego wszystkiego uwolnić. Poza przyjaciółmi. Chcę być na Antarktydzie, ale nie tak. Chcę spróbować waszego sposobu.

- To niełatwe życie - ostrzegła ponownie Mai-lis. - Nie takie jak prowadzenie ekspedycji. Będziesz się musiała wiele nauczyć, mimo że dużo już wiesz.

- To dobrze.

- Nie wszystko jest dobre.

- Wiem. Jestem na to gotowa.

- To niełatwe życie. - Trzy razy, jakby to był rytuał, obrzęd przyjęcia.

- Wiem - odrzekła Val. - Jestem gotowa.

Mai-lis skinęła głową.

- W porządku. Rozmawialiśmy już o tobie. Mieliśmy nadzieję, że będziesz zainteresowana. Chcieliśmy sami cię zapytać.

- Naprawdę?

Mai-lis skinęła głową.

- Jesteś wspinaczem.

-Tak.

- Potrzebujemy więcej wspinaczy. Nigdy nie ma ich za dużo.

Mai-lis ujęła odzianą w rękawicę dłoń Val i położyła ją na drewnie krzyża.

- Powiedzieli "Walczyć, szukać, znaleźć i nie ulec".

- Walczyć, szukać, znaleźć i nie ulec.

Nie ulec. Jak Annie wspinająca się po drabinie. Val przełknęła ślinę, próbując się uśmiechnąć do Mai-lis. Ruszyć z obcymi w głąb lodowego pustkowia; doprawdy dziwny wybór. Wiedziała o tym.

- Wróc i ulóż swoje sprawy - powiedziała Mai-lis. - Przekonaj się, że naprawdę tego chcesz.

Nikt nie będzie na ciebie zły, jeżeli uznasz, że to błąd.

To trudna droga życiowa.

- Wiem. Chcę. Zawsze chciałam czegoś takiego, naprawdę. Przewodnik górski to był najbardziej zbliżony wybór. Za dzień albo dwa będę gotowa.

- Zostaniemy tu jeszcze. Jest sporo spraw do omówienia z ludźmi w Szałasie.

- To prawda.

I Val ruszyła w dół Wzgórza Obserwacyjnego.

Uskrzydłony możliwością powrotu i perspektywą własnego domu, Iks nadal krążył po miasteczku, rozmawiając ze wszystkimi przyjaciółmi i znajomymi. Robił sobie przerwy w kawiarence, wypijając poczwórne kawy z ekspresu i rozmawiając przy barze z każdym, kto się nawinał, próbując nawet rzucać strzałkami do tarczy, gdy go o to proszono. W rzucaniu strzałkami był oficjalnie najgorszy na świecie, stanowiąc zagrożenie dla ludzi w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni. Jednak nikomu to nie przeszkadzało, może poza jednym człowiekiem, który trafiony przez niego rzutką, krwawił; była to raczej okazja do świętowania.

- Wiecie, jestem też najgorszym koszykarzem pod słońcem - mówił Iks, wesoło ciskając strzałkami w ścianę albo bok ekspresu. - Musicie mnie więc chyba nazywać biathlonistą.

Gracze bez przerwy rozmawiali, w trakcie gry i kiedy pojawiali się ludzie z innych zmian, napędzani kofeiną i bezsennością, beznadziejną nienawiścią do ZLA i beznadziejną miłością do Antarktydy, aż oszołomionemu i zachrypłemu Iksowi zaczęło się wydawać, że na pewno mogą liczyć na poparcie większości kofeinowych nałogowców w mieście; czyli wszystkich, zgadza się? Może nawet będą mogli rozważyć złożenie oferty na cały kontrakt, nie tylko część. Chociaż to by był logistyczny koszmar. Ale sądził, że mogą wygrać, mając niepodważalne atuty - najlepszych ludzi i najlepszy system operacji w terenie, co zwiększało czysto ekonomiczny atut ich wiedzy i sprawności o coś, co Iks nazywał czynnikiem antarktycznym; nie był to wielki skok w Prawie Murphy'ego, jak mawiali tu ludzie, ale sprawy ekologii, którym spółka pracownicza mogła się zająć lepiej niż ZLA, trwałość posad, zaangażowanie, satysfakcja, świadomość, poczucie solidarności i tak dalej. Traktowanie ludzi jak wolne i dorosłe jednostki: NFN rzeczywiście mogła uznać to za rodzaj eksperymentu.

Oczywiście nie wszyscy byli zainteresowani sprawą, nawet gdy rozeszła się wieść o zgodzie Sylvii i ich szansa udziału w przetargu zarysowała się wyraźniej. Niektórzy całkiem nieźle prosperowali w ZLA i weszli do kierownictwa, a w każdym razie tak im się wydawało, bo jeśli byli w McMurdo, a nie w Seattle, musieli się mylić. Inni mieli swoje życie na Północy i pracowali tu po prostu po to, by zrobić jak największe pieniądze w jak najkrótszym czasie i nie mieli ochoty komplikować sobie planów przyjmowaniem odpowiedzialności i ryzyka, związanego z jakimś nowym, niedochodowym systemem. Byli też inni, którzy wiecznie narzekali na ZLA, ale mieli za dużego pietra, by próbować zawiązać własną spółkę, jak ujęła to Joyce; albo byli zbyt cyniczni, by myśleć, że może to cokolwiek zmienić. Wreszcie byli i tacy, którzy nie chcieli żadnych zmian,

ponieważ ich po prostu nie lubili. Albo zupełnie bez powodu, przynajmniej tak uważał Iks. Cztery miesiące temu taka postawa by go zszokowała; był młody i nie w pełni jeszcze rozumiał, w jak absolutnej sprzeczności z interesami ludzi mogą stać ich działania.

Jednak tu w McMurdo na syndrom jednej firmy w mieście cierpiała wystarczająca liczba osób, by utworzyć sporą pulę talentów, czekających tylko na sygnał. Mieli dość ludzi i dość talentów. Joyce, Debbie, Alan, Randi i Tom, którzy byli tu od zawsze i wszystko to widzieli, ciężko pracowali, by pod parasolem odpowiedzialności utworzyć maleńkie wspólnoty, uczynić swoje strefy działania bardziej ludzkimi, na przekór naciskom z góry, by wyłącznie racjonalizować i zmniejszać koszty - byli gotowi do działania. Teraz nadszedł czas. Iks był jedynie posłańcem.

Bardzo mu się to podobało. Zdawało się, że stracił potrzebę snu albo nie potrafił już zasnąć, jedno z dwojga; o ile dobrze pamiętał, nie spał od ich powrotu do McMurdo i długi czas przedtem; chyba prawie tydzień; cały czas w wiecznym blasku słońca przemykał z piaskiem pod powiekami od jednego kryzysu do drugiego, spędzając krótki czas przestoju w mieście, około trzeciej rano, przy telefonie, rozmawiając ze Spółką Pomocy Spółkom w Stanach i innymi grupami czy agencjami, które mogły im pomóc w przygotowaniu oferty; rozmawiał, dopóki światło słońca nie zalało Erebusa, kiedy otwierano jadalnię i Iks pędził na śniadanie, głodny jak wilk, tak samo jak poprzedniego bezsenego dnia, tyle że czuł pod powiekami dwadzieścia cztery godziny więcej piasku, a jego umysł został pozbawiony kolejnych dwudziestu czterech godzin odpoczynku; w hiperprzutomnym obłąkaniu, stanowiącym mieszankę wielkich nadziei i obaw.

W takim stanie, wychodząc z jadalni i czując możliwość odzyskania zdolności snu, natknął się na Val. Był ogromnie zmęczony, wyczerpany do cna, zupełnie skonany. I zobaczył ją, jak przygląda mu się z zabawną miną. Po ucieczce z Lodowca Shackletona i gościnie u "dzikich" miał wrażenie, że zna ją o wiele lepiej niż podczas tych kilku tygodni, gdy ze sobą chodzili - lepiej niż członków własnej rodziny. Jak powiedział Cherry-Garrard, na Antarktydzie poznajesz ludzi tak dobrze, że w porównaniu z tym w ogóle przestajesz znać ludzi w normalnej cywilizacji. Lecz Iks nie miał wielu okazji do rozmowy z Val od ich powrotu, a teraz widział, że coś jej chodzi po głowie.

- Jak tam? - zapytała niepewnie.

- Dobrze! Chyba mamy ludzi, jakich trzeba do dobrej oferty na obsługę polową. A co u ciebie?

- W porządku.

Stali, patrząc na błoto McMurdo pod stopami.

- Myślisz, że będzie spółka? - spytała.

- Pewnie! Mam w każdym razie nadzieję. To moja jedyna szansa, żeby tu zostać.

Skinęła głową.

- A co z tobą, Val? Myślisz o tym, żeby się przyłączyć?

Pokręciła głową. Iks poczuł się, jakby go ktoś uderzył. Znowu ta pustka w środku jak wtedy, gdy z nim zerwała.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Odchodzę z "dzikimi".

- Och, Val.

Nie wiedział, co powiedzieć. "Dzicy" wydawali mu się przybyszami z innej planety.

- Nie mogę tu zostać, Iks. Nawet gdyby zaczęła działać spółka, ja ciągle będę przewodnikiem. Nie mogę tego dalej robić. Po tych wszystkich wyprawach zawsze czuję się jak osoba, której poszło najgorzej.

- Jak Jack.

- Właśnie tak. Ale nie chodzi tylko o niego. Zawsze coś się znajdzie.

Do kitu ze mnie przewodnik.

-Co ty!

- Tak. Nie jestem dobrym przewodnikiem. Nic nie wiesz.

- Wiem! Widziałem cię! Nie powinnaś się przejmować tym facetem, to zupełny palant. Bez sensu ukrywał, że jest ranny. Chciał cię upokorzyć.

Pokręciła głową.

- Nie chodzi o niego. To znaczy o niego też, ale na wyprawach zawsze trafiają się tacy ludzie. Posłuchaj, Iks. Nie lubię już klientów. Te wszystkie trasy "Śladami..." to wielkie gówno. Nawet nie oglądam Antarktydy, kiedy prowadzę ludzi. Równie dobrze mogłabym być gdzie indziej! To samo bym miała, gdybym mieszkała w Jackson Hole. Mam dość, Iks, serdecznie dość.

Ale chcę być na Antarktydzie. Bardzo, bardzo chcę tutaj być. Chcę tu mieszkać i pracować, ale nie jako przewodnik.

- A ratownicy, nie mogłabyś pracować u nich?

Pokręciła głową, patrząc na niego ponuro.

- Ratownicy nie zawsze pracują. Często trzeba wyjeżdżać po ciała. Byłeś kiedyś na miejscu wypadku, gdzie wszyscy spalili się żywcem?

- Nie - powiedział wstrząśnięty Iks.

- A ja byłam. Nie chcę pracować u ratowników, nie chcę prowadzić ekspedycji. Nie chcę być przewodnikiem. Chcę po prostu mieszkać w górach.

Podobało mi się u "dzikich", naprawdę. Chciałabym spróbować tego, co oni - spróbować tu mieszkać.

- Ach, tak.

Zamyślił się. "Posłuchaj", powiedziała tak ostro, jakby nigdy przedtem nie słuchał jej uważnie. Zawsze należała do bractwa wspinaczy, odkąd się poznali; mieli bzika na punkcie wdrapywania się na wszystko, w lodowatym wietrze. On był inny, ale chciał ją zrozumieć, naprawdę zrozumieć; w tym celu musiał najpierw zrozumieć ten zwariowany przymus, jej szaleństwo, którego nie potrafił zaakceptować. Jeżeli się na to nie zdobędzie, nie zdobędzie i jej.

- A ty? - zapytała, łapiąc go nagle za ramię. - Wiesz, że mógłbyś iść ze mną. Do nich.

- Do nich czy do ciebie?

- Nie wiem! Kto wie, jak tam będzie! Sama nie mam pojęcia. Ale gdybyśmy byli tam razem, może...

Może będą mieli szansę. A przynajmniej ona będzie miała towarzystwo wśród obcych.

-- Ależ Val - zaprotestował. - Nie wiedziałbym, co tam robić. Zresztą niewiele wiem, co robić tutaj. Zależy mi na tym, co się dzieje tu i teraz. - Zatoczył ręką łuk, wskazując tonące w błocie Mac, przenikliwie zimne, pod nisko zawieszonym niebem, smagane wiatrem z Przełęczcy - trudno było znaleźć argumenty przemawiające na korzyść tego miejsca, nawet w jego najlepszych czasach. Teraz nie były one najlepsze.

Spojrzeni na siebie. Smutno: pełni tęsknot i nadziei.

- Zostanę - powiedział w końcu Iks. - Może wpadniesz tu od czasu do czasu. Gdyby "dzicy"... Gdyby Sylvii udało się włączyć do porozumienia "dzikich" i gdyby jej powiedzieli, że woleliby tu widzieć spółkę pracowniczą zamiast ZLA, może to by pomogło wygrać nam przetarg; wtedy musielibyśmy współpracować z "dzikimi", a przynajmniej rozmawiać o tym, co robią.

I wtedy...

Skinęła głową. Uśmiechnęła się; wydawało się nawet, że ma łzy w oczach, choć może to z powodu wiatru. Podeszła bliżej i mocno go objęła.

Potem pocałowali się, tak jak na Ostrodze Bealey; jedyna kobieta, którą mógł pocałować, nie schylając się ani nie unosząc jej z ziemi. Ktoś dokładnie w jego rozmiarze.

- Porozmawiam z Mai-lis - powiedziała, gdy się od siebie odsunęli. - Och, Iks. Jakoś to będzie. Musi.

Skinął głową, nie potrafiąc wydusić słowa. Postarają się, żeby jakoś to było, odbiorą panom ziemię, ustanowią tu, na dnie ziemi własną kulturę; lub przynajmniej będą pracować tu, w McMurdo, aż nadejdzie ich czas.

Rozstali się, mając mętlik w głowach.

Iks szedł, zapomniawszy, dokąd wcześniej zmierzał, jeżeli w ogóle gdzieś zmierzał. Jego stan osiągnął już inny poziom; Iks był skonany, czując równocześnie radosne podniecenie. Mac nie było odpowiednim miejscem na taką chwilę. Mógł pójść do Baraku Discovery i usiąść w starej chacie, jak nieraz robił, ale to też nie było dobre miejsce. Nie miał ochoty na towarzystwo dawnych duchów wędrowców i ich harcerskich praktyk. Może: Walczyć, szukać, ulec... jakoś tak. Ale jeszcze nie teraz. Rozumiał, dlaczego Val chciała wycofać się z tej zabawy w chodzenie "Śladami..." i wrócić na ląd taki, jaki był przed przybyciem Scotta, na Antarktydę pozbawioną historii i gotową na swój nowy początek.

Wykończony, szczęśliwy, nie wiedział, dokąd iść. Jego pokój nie był jego pokojem, a to miasto nie było jego miastem. Próbował sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać, kiedy wszystko im się uda; na całym przylądku Hut Point zapanuje nowa estetyka mieszkania, dla której ważny będzie wygląd i styl.

Nie chodzi tylko o utylizację śmieci, ale o uczynienie z tego miejsca domu.

Miasta na Grenlandii i w Laponii wyglądały jak małe dzieła sztuki; domy pomalowane jasnymi, czystymi kolorami, ustawione w rzędy albo ukośnie...

Uczynią z miasta dzieło sztuki. NFN mogła być otwarta na propozycje. Postanowiła zmienić wiele rzeczy po interwencjach aktywistów, na przykład wtedy, gdy Greenpeace wysypał śmieci z McMurdo na podłogę Szałas. NFN miała całkiem sensownych ludzi; grupa naukowców, biurokratów, technokratów, wszystko jedno; sensowni ludzie, wierni rozumowi, próbujący ustanowić wspólnotę zaufania w powszechnym chaosie. Projekt naukowy; etyka, polityka - wszystko w jednym przedsięwzięciu. Kto wie, co mogą jeszcze zrobić?

Lecz tymczasem Iks tkwił w tym mieście i miał ochotę fruwać i świętować swą radość! Może wybierze się na wycieczkę w górę wybrzeża. Na Przylądek Roydsa, by zobaczyć, jak poradził sobie Shackleton, ulubiony bohater Val. Mała, przytulna chatka na wybrzeżu...

Nagle zrozumiał. Ujrzał wizję: on też mógł postąpić jak Shackleton czy Val; spróbować czegoś na własną rękę. "Dziki" z McMurdo. Rdzenny mieszkaniec Wyspy Rossa. Będzie pracował dla jajogłowych, jasne, ale może mieszkać we własnym domu, czystym, zadbanym, mającym jak najmniejszy wpływ na środowisko; jakiś namiot, coś naprawdę małego i przytulnego. Wokół nic, tylko ślady stóp. Powinien leżeć bliżej Mac niż Przylądek Roydsa, by miał blisko do miasta i do pracy. Może gdzieś za Przylądkiem Hut Point, frontem na północ, do słońca. Czasem mogłaby go odwiedzić Val. A może on będzie spędzać urlop z "dzikimi". Może mieszkać jak oni, równocześnie pomagając reorganizować McMurdo.

Poszedł do CPB i powiedział do Joyce:

- Dostanę zodiaka do Dellbridge?

- Nie ma mowy, Iks. Wszystkie zabrali ci kowboje od pingwinów. Po co chcesz tam płynąć?

Nagle zadzwonił telefon. Joyce zatrzymała gestem Iksa i podniosła słuchawkę.

- A, cześć, Ta Shu. Aha... - Zerknęła na Iksa. - Tak, właściwie, skoro tak mówisz... chyba

możemy to zrobić. Jasne, żaden kłopot. Iks cię zabierze.

Spotkacie się w porcie.

Odłożyła słuchawkę.

- Masz szczęście. Ta Shu jest u nas na skróconym programie i chciałby przed wyjazdem zobaczyć jeszcze raz Przylądek Evansa i Przylądek Roydsa.

- Świetnie!

- Widocznie tak miało być.

- Tak, tak, tak.

czarna skała czarna woda Tak miało być. Iks chwycił skafander, buty i popędził do portu, po drodze opróżniając jeszcze jeden kubek obrzydliwej kawy. Przygotował zodiaka.

Po chwili nadszedł Ta Shu, Iks połączył się z meteorologami i kiedy dostał pozwolenie, ruszyli.

Ponad warkotem silnika i chlupotem gnanych wiatrem czarnych fal Iks opowiedział Ta Shu o swych planach, a Chińczyk słuchał go z kamienną twarzą. W końcu powiedział:

- Dobry pomysł. Poszukamy dla ciebie miejsca, dobrze?

- Naprawdę chcesz?

Spojrzał na niego spod zmrużonych powiek.

- To moja praca.

- Jasne.

A więc światowej sławy geomancer miał poszukać miejsca dla jego domu, kierując się starożytnymi zasadami feng shui. Widocznie tak miało być!

Skręcili za przylądkiem Hut Point i zaczęli wolno posuwać się wzdłuż długiego północnego brzegu półwyspu Hut Point, kierując się w stronę odłamanej części jezora lodowego, który spływał z Erebusa. Półwysep unosił się ponad wodą dosyć stromą ścianą; czarne szczyty, wystające ze śniegowych czap, wznosiły się kilkaset metrów nad poziom morza. Oglądając się za siebie, widzieli na ostatnim ze szczytów błyszczącą kulę nowego nadajnika, który górował nad McMurdo, leżącym po drugiej stronie. Opadające do morza zbocza składały się w połowie z czarnej skały, a w połowie z białej śnieżnej skorupy.

Powoli minęli Wzgórza Arrival, potem Wzniesienia Danger, gdzie w czasie jednej z pierwszych wypraw lądowych pośliznął się i zginął marynarz Scotta, Vince. Przepłynęli obok kulistego skalnego pagórka Knob Point, za którym leżała skalista część półwyspu o gładkich ścianach, przypominająca wał ziemny, usypany na obramowanej lodem wodzie. Zdaje się, że w połowie tej części stoku w skałę wcinały się półki, jak pradawne plaże, pochodzące z czasów, gdy poziom morza był znacznie wyższy, choć Iks nie miał pojęcia, czy naprawdę tak przebiegał proces ich tworzenia. Z powierzchni wody wydawały się wąskie, jak kreseczki, lecz Ta Shu pokazał je; rzeczywiście, był to chyba jedyny płaski teren w tej części półwyspu.

Podpłynęli więc do pokrytego lodem nabrzeża i wylądowali na stromym pasie czarnych kamieni.

- Możesz tu trzymać łódź - powiedział Ta Shu, kiedy wysiadali od strony dziobu. - Możesz pływać do miasta, gdy będzie woda i jeździć rowerem po lodzie. Albo jeździć na nartach. Albo chodzić.

- To prawda - odrzekł Iks.

Zaczęli się wspinać. Czarny kamienny gruz był stromy i umykał spod stóp, ale będzie można w końcu wydeptać niewidoczną ścieżkę kamiennych stopni.

Gdy dotarli do pierwszej półki, zobaczyli, że jest o wiele szersza niż się to wydawało z dołu; miała może z pięćdziesiąt jardów szerokości; długi i płaski taras w stromym stoku; dobre miejsce, by

postawić tu kilka sporych domów; coś małego i przytulnego urządzić w głębi tarasu, by nie było widać z wody. I żeby nie dokuczał wiatr.

Patrząc na morze na północ, widzieli grzbiety wysepek Dellbridge, a za nimi ciemne punkty Przylądków Evansa i Roydsa.

- To był stożek wulkaniczny - powiedział Ta Shu, wskazując wysepki Dellbridge. - Widzisz, jak wyspy tworzą kawałki koła?

- Aha - rzekł Iks. - Rzeczywiście.

Spacerował po tarasie, przyglądając się ziemi. Pod kamienistą warstwą leżał spękany, twardy i solidny bazalt wulkaniczny. Opoka. Stał plecami do zbocza i ponownie spojrzął na północ. Po lewej, za czarną tonią Cieśniny McMurdo, widział góry Suchych Dolin. Po prawej niczym biały zamek strzelał w niebo Erebus, z którego szczytu jak zwykle unosiła się para. Za nim, gdyby chciał wejść na szczyt półwyspu, znalazłby się blisko Castle Peak, na terenie zwanym japońskim ogrodem skalnym. Z Castle Peak do McMurdo wytyczono narciarską trasę przełajową.

Ta Shu usiadł na skraju półki, skrzyżował nogi i zatopił się w medytacji.

Kiedy wreszcie wyszedł z transu, odwrócił się do Iksa i rzekł:

- To dobre miejsce.

Potem urządzili sobie uroczą wycieczkę. Przepłynawszy między wyspami Dellbridge, odwiedzili Przylądki Evansa i Roydsa. Podobnie jak Val, Ta Shu bardzo podziwiał Shackletona i na Przylądku Roydsa chodził wokół baraku, zachwycając się jego lokalizacją, wymiarami - wszystko w domku było widocznie idealne w sensie feng shui. Iks tymczasem poszedł popatrzeć na kolonię pingwinów Adeli, znajdującą się na końcu przylądka. Gdy się im przyglądał, jeden z samców zadarł głowę w niebo, wydając z siebie głośny skrzek i pomachał skrzydłami, jak gdyby chciał pofrunąć w górę, choć oczywiście nie uniósł się nad ziemię ani o cal. Przejaw entuzjazmu, jak nazywali ten odruch jajogłowi. Iks doskonale wiedział, co czuje ptak.

Pod koniec dnia Iks przyprowadził zodiaka z powrotem do portu w McMurdo i zauważył, że przed wejściem do centrum handlowego stoi spory oddział odzianych w czerwone skafandry ludzi; pewnie inspektorzy z Północy.

Ta Shu spojrzął na miasto spod przymkniętych powiek.

szare niebo brązowe błoto - To może być dobre miejsce - powiedział.

1. Traktat Antarktyczny należy jak najszybciej przedłużyć, przeprowadzając wszystkie konieczne renegocjacje, by wszyscy sygnatariusze zgodzili się na zaproponowane warunki i podpisali dokument. Antarktyda potrzebuje prawa. Parafrazując pierwotną propozycję brzmienia Traktatu, autorstwa amerykańskiego Departamentu Stanu z roku 1958: "Byłoby wysoce pożądane, by osiągnąć porozumienie w sprawie programu, który zapewni kontynuację owocnej współpracy naukowej na kontynencie, nie dopuszczając do niepożądanych rywalizacji politycznych oraz nieekonomicznego gospodarowania środkami finansowymi w celu obrony własnych interesów, a także powtarzających się potencjalnych nieporozumień. Jeżeli uda się osiągnąć odpowiadające wszystkim stronom porozumienie w sprawie pokojowej współpracy na Antarktydzie, korzyści z tego czerpać będą także inne kraje".

2. W odnowionym Traktacie, jak i w ogólnej proklamacji Narodów Zjednoczonych, należy ogłosić Antarktydę światowym miejscem szczególnego zainteresowania nauki. W interpretacji niektórych może to oznaczać, iż Antarktyda jest świętą, kultową przestrzenią, w której czyny ludzkie nabierają znaczenia duchowego.

3. Na Antarktydzie znajdują się ropa naftowa, gaz w postaci naturalnej, uwodniony metan, minerały oraz słodka woda, czasami w skupiskach, których rozmiary umożliwiają technicznie

eksploatację i wykorzystanie tych dóbr.

(Zwłaszcza ropy naftowej, której eksploatacja jest najbardziej kontrowersyjną sprawą i która zlokalizowana jest w trzech lub czterech większych polach oraz wielu mniejszych złożach, o łącznej ilości około pięćdziesięciu miliardów baryłek). Przy założeniu, że tak jest w istocie i że niektóre z tych nieodnawialnych surowców świat konsumuje w szybkim tempie, możliwość eksploatacji powinna dotyczyć nie tylko państw sygnatariuszy Traktatu, lecz także wszystkich pozostałych państw zrzeszonych w Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Państwa, które Traktatu nie podpisały, zwłaszcza z półkuli południowej;!

rozważają możliwość wydobywania ropy na Antarktydzie jako sposobu rozwiązania problemu potrzeb energetycznych i trwającego kryzysu finansowego, wynikającego z ich zadłużenia. Równocześnie technologia wydobywania ropy w obecnym stanie swego rozwoju nie wyklucza niewielkiego, choć istniejącego, ryzyka skażenia środowiska w wyniku nieszczęśliwego wypadku. W przyszłości rozwój techniki z pewnością pozwoli na bezpieczniejszą eksploatację, a światowe zasoby ropy zmniejszają się w takim tempie, że wszelkie ocalałe zasoby, pozostawione jako rezerwa dla przyszłych pokoleń, które mogą wykorzystywać ropę do innych celów niż jako paliwo, staną się szczególnie cenne. Te tendencje wskazują na potrzebę utrzymywania i przejmowania pewnych złóż ropy naftowej, by wykorzystać je w przyszłości. Dla swych obecnych potrzeb państwa półkuli południowej mogłyby poczynić starania w celu umożliwienia wymiany "natura za długi", której przykłady miały już miejsce; w takim przypadku Bank Światowy lub poszczególne państwa z północy mogłyby kupować swoje przyszłe prawa do antarktycznych złóż ropy od krajów południowych, płacąc już w momencie transakcji, lecz tylko zajmując złożę i odkładając jego eksploatację do chwili, gdy bezpieczeństwo technologii wydobywania oraz potrzeba ropy dadzą do tego podstawy.

Równocześnie można prowadzić odwierty metanu, które, co udowodniono, są bezpieczne dla środowiska. Stanowią one dla prowadzących odwierty cenne źródło energii i zysku, o mniejszej koncentracji, służąc także jako test technik wiercenia, które być może będą stosowane przy wydobywaniu ropy w przyszłości.

4. Traktat Antarktyczny zawiesza wszystkie pretensje do suwerenności terytorialnej na kontynencie, a równocześnie umożliwia wszystkim wolny dostęp, zakazując także przedsięwzięć o charakterze wojskowym, z wyjątkiem obecności nieuzbrojonego personelu wsparcia logistycznego. Kontynent jest ziemią bez własności, terra communis; nie należy do nikogo, lecz jest dobrem wspólnym, na którym gospodarzem jest cała ludzkość. Jest to również największy nietknięty ląd, jaki pozostał na Ziemi. Jako taki posiada eksperymentalny status prawny, który nie pozwala zakazać tam wstępu gościom. Dlatego też ludzie, którzy pragną zamieszkać na Antarktydzie i wziąć na siebie całą związaną z tym odpowiedzialność oraz ponieść koszty tej decyzji, mają do tego prawo, nawet jeżeli rządowe i inne oficjalne organizacje tego nie zaakceptują i odmówią swego poparcia.

Jednakże ze względu na to, że środowisko Antarktydy jest delikatne, podobnie jak w przypadku państw, od jednostek także wymaga się przestrzegania zasad określonych obecnym tekstem Traktatu Antarktycznego oraz poszanowania dla statusu kontynentu jako niezamieszkanego lądu.

Przestrzeganie litery Traktatu i poszanowanie praw kontynentu oznacza surowe ograniczenie liczby zwierząt z terenów antarktycznych, które można zabić, nie naruszając międzynarodowych konwencji i praw; zatem liczba ludzi, mogących przebywać na kontynencie również podlega ograniczeniom. Osoby rozważające możliwość zamieszkania na Antarktydzie powinny mieć to na uwadze; "pojemność populacyjna kontynentu" powinna zostać ustalona naukowo dla Antarktydy i otaczających ją bioregionów, zaś populacja ludzka na kontynencie i w bioregionach nie powinna przekraczać ustanowionej liczby.

Wstępne obliczenia pojemności Antarktydy wykazują, że liczba zamieszkujących ludzi powinna mieścić się w przedziale trzy - sześć tysięcy, lecz należy pamiętać, że temat zaludnienia w sensie ogólnym stale powraca w dyskusjach i szacunkowe wyliczenia dotyczące zaludnienia w skali lokalnej i globalnej, w zależności od metody obliczeń, sięgają różnych rzędów wielkości, na przykład dla Antarktydy wymieniano liczbę od zera do dziesięciu milionów. Być może praca nad tym problemem w odniesieniu do Antarktydy wniesie istotny wkład do dyskusji o kwestiach populacji w ogóle.

5. Jeżeli ludzie zdecydują się zostać mieszkańcami Antarktydy, należy podjąć kroki w celu uniemożliwienia zanieczyszczenia środowiska naturalnego, ponieważ Antarktyda stanowi pewne kryterium czystości dla badań nad resztą świata, natomiast w zimnym i suchym środowisku wiele form zanieczyszczeń zanika bardzo powoli. Według niektórych utrzymanie kontynentu w czystości, jako miejsca świętego, jest naszym obowiązkiem.

Trzeba ponownie podkreślić, iż cała Antarktyda jest miejscem szczególnego zainteresowania nauki, gdzie prowadzone są eksperymenty w wykorzystywaniu czystych technologii i zwyczajów, takich jak ustalenie minimum utrzymania, utylizacja śmieci, redukcja i obróbka odpadów itd. Celem, do jakiego dążą te działania, powinno być opracowanie zachowań o zerowym wpływie na środowisko, a rzeczywistość nie może odbiegać zbyt daleko od wytyczonego celu. Zakaz sprowadzania egzotycznych roślin, zwierząt i gleb, o którym mówi tekst Traktatu, oznacza, iż wszystkie próby zakładania na miejscu upraw rolniczych mieszkańcy powinni przeprowadzać za pomocą technik hydroponicznych lub kultur wodnych, w hermetycznie zamkniętych cieplarniach i terrariach albo dobrze pilnowanych zbiornikach z kulturą wodną, zawierającą wyłącznie lokalne gatunki. Ograniczenie to będzie jednym z aspektów obliczeń pojemności populacyjnej i tym samym wskazuje, że samowystarczalność społeczności antarktycznych jest niepraktyczna i niesie ryzyko dla środowiska, dlatego też nie może być brana pod uwagę jako cel dla danych grup. Należy uznać za fakt, iż mieszkańcy Antarktydy będą musieli polegać na pomocy z zewnątrz.

Ponowne wprowadzenie przez człowieka gatunków istniejących kiedyś na Antarktydzie jest sprawą, którą pozostawiamy innym gremiom do dalszej dyskusji.

6. Osiągnięcie modelu zachowań o zerowym wpływie na środowisko Antarktydy jest nie tylko kwestią stosowania odpowiednich technik, lecz również struktury społecznej, która z owych technik korzysta i powołuje do życia następne, co jest funkcją własnych pragnień społecznych. Wobec tego wszyscy mieszkańcy Antarktydy winni są przestrzegać dokumentów ONZ dotyczących praw człowieka oraz zwrócić szczególną uwagę na modele ekonomiczne oparte na współpracy, a nie na wyzysku, które kładą nacisk na podtrzymanie kultury w zdrowym kontekście biofizycznym, rezygnując z modeli akcentujących wzrost i niesprawiedliwą hierarchiczność, która na Antarktydzie nie tylko degraduje ludzką egzystencję, ale także w bardzo "szybkim czasie oddziałuje na środowisko.

7. W tak surowych warunkach wszelkie ataki skierowane przeciw ludziom lub urządzeniom stanowią zagrożenie życia, nie można więc do nich dopuścić. Wszyscy, którzy pragną przyjechać na Antarktydę, muszą się wyrzec przemocy wobec ludzkości oraz jej wytworów i współdziałać z innymi w pokoju.

8. Cokolwiek jest prawdą na Antarktydzie, jest prawdą wszędzie indziej.

Znów herc, jak z kart powieści Juliusza Verne'a, wśród wstrząsów i ryku wiozł ich z powrotem na planetę Ziemia, w dwudziesty pierwszy wiek.

Przez okna, przypominające iluminatory batyskafu, widać było tylko bezkresne błękitne morze, przesuwane się trzydzieści tysięcy stóp pod nimi, przysłonięte białą kurtyną chmury. Wielki świat. Wade wykorzystywał każdą chwilę na sen.

Śniła mu się ostatnia rozmowa z Sylwią - wspomnienie odbite w krzywym zwierciadle snu albo dalszy ciąg ich przyciszonej dyskusji prowadzonej w jej gabinecie, którego okna wychodziły na Beeker Street. Opowiedział jej o swojej rozmowie z Samem i objaśnił swój plan, a ona kiwała w zamyśleniu głową. Dwoje biurokratów, decydujących o losie kontynentu. Kontynentu bezludnego i o najmniejszym znaczeniu; a jednak kontynentu. Rządzonego przez naukowców, jak stwierdziła Sylvia. Który miał trwać. Naukowy rząd.

Próbujący łapać neutrina. Staramy się badać różne rzeczy, mówiła. Przygotowujemy się najlepiej jak można na długie okresy. "Dzicy", nafciarze -jedni i drudzy czekają na odpowiedzi naukowców. Jedni i drudzy uważają ich styl bycia na Antarktydzie za ideał. Nie chcieli od lądu niczego więcej, poza odpowiedziami na postawione pytania. Może to będzie działać, powtórzył we śnie Wade, być może to technokraci objęli panowanie nad światem, a może naukowcy. Może ten najwyższy, najzimniejszy, najbardziej suchy i najmniej znaczący z kontynentów wskaże drogę. Zobaczymy, powiedziała Sylvia. Zaczęło się przejaśniać. FBI jest już w drodze; minęli już Punkt Bezpiecznego Powrotu. Wszyscy minęliśmy Punkt Bezpiecznego Powrotu.

Zobaczył też Val - w długiej bieliźnie, zapalającą maszynkę Colemana - i obudził się. Spojrzał z niechęcią na śpiących współpasażerów ubranych w grube skafandry, z głowami wspartymi o ramiona nieznanomych, z rozłożonymi dla zachowania równowagi kolanami i stopami bezceremonialnie wciśniętymi między nogi innych. Antarktyda zbliżyła ich do siebie tak bardzo, że stali się rodziną; zniknęło pojęcie dystansu i wszyscy spali razem jak szczeniaki z jednego miotu, w ryku zabytkowych silników.

Potem pojawiła się załoga, chodziła wśród pasażerów i budziła ich, pokazując na pasy. Lądowali. Znow chyba pojawił się jakiś problem, ktoś krzyknął Wade'owi do zatkanego ucha: nie może wypuścić kół, czy też nie może wciągnąć płóz, nie słyszał. W każdym razie będą musieli wylądować na płozach.

Wade jęknął. Pasażerowie spojrzeli po sobie, przewracając oczami. Lądowanie na płozach na betonowym pasie nie było miłą perspektywą. Ale co zrobić. Znajdowali się przecież na pokładzie herca, wszystko się mogło zdarzyć. Wade uniósł się odrobinę, by wyrzeć przez okno nad sobą: błękitny ocean, biała chmura. Schodzili na ziemię.

Zapewne smarowali pas pianą awaryjną. Samoloty bez problemów siadały na niej na brzuchu; płozom nie może się nic stać. Kaszka z mleczkiem. Gdyby byli tu teraz tamci Nowozelandczycy z załogi helikoptera, na pewno dusiliby się ze śmiechu. Tym razem działają przecież klapy. Siądzie jak ta lala.

Lądowanie, wstrząs, znow w dół i stop. Potem wprawdzie nie kołowali, ale poza tym w niczym nie różniło się to od normalnego lądowania. Ludzie uśmiechali się do siebie i unosili kciuki. Rodzina przeżyła następny rejs hercem. Teraz po kolei do wyjścia.

Wreszcie na dworze, w szokującym upale wiosennego dnia w Christchurch. Może pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt stopni Fahrenheita - niewiarygodne. Stali na pasie startowym. Rzeczywiście samolot wypuścił pianę. Autobus zabrał ich do budynków lotniska. Znaleźli się w jednym z nich, pustym, i nikt im nie powiedział, co mają dalej robić.

Wade poszedł za pozostałymi, którzy taszczyli przez halę swoje pomarańczowe torby, potem wyszli na ulicę, prowadzącą do Centrum Antarktycznego. Idąc pocił się. Intensywna woń trawy. Wszędzie zieleń, tak żywa. Niskie chmury, najwyraźniej utkane z wody - z płynnej wody. W jego stronę szły roześmiane dzieci. Dziewczynka w niebieskiej sukience i jej starszy brat.

Przekomarzali się. W wilgotnym, przesyconym zapachem trawy powietrzu, dźwięczały ich wysokie głosy.

W centrum Wade zaczął zdejmować swoje antarktyczne ubranie, przyglądając się uważnie każdej rzeczy, zanim rzucił ją na podłogę: rękawica z pękniętym szwem na palcu, w który zawsze było mu zimniej niż w inne części ciała; zamek skafandra, niedający się zasunąć pod szyją. Skrzący się błękitem kombinezon, czerwony skafander, sprężyste białe buty. Wszystkie rzeczy piętrzyły się na podłodze, a on powoli zakładał swój zwykły strój, który tu zostawił. Ciało lepiło mu się od potu. Koniec tego rozdziału życia. Młody Nowozelandczyk sprawdził ubranie i dał mu różowy kwit. Powrót do świata.

NFN zarezerwowała mu lot do domu nazajutrz. Zameldował się więc w hotelu lotniskowym i usiadł na łóżku, zamyślony, czując Uporczywy szum w uszach. Wraca do Waszyngtonu, do swego życia.

Włączył telefon i zadzwonił do Phila.

- Witaj, Wade! Gdzie jesteś?

- W Christchurch.

- Miałeś dobry lot?

- Dość ciekawy.

- To dobrze. Słuchaj, dostałem od ciebie raport o sabotażu i wasze protokoły. Świetne. Bardzo łatwo zrobić z nich program o bardziej globalnym charakterze. Chciałbym spróbować popchnąć je dalej. Wyczuwam w tym dokumencie twoją rękę, Wade.

- Tylko rzuciłem projekt, zresztą w twoim imieniu. To głównie dzieło Sylvii. Oczywiście każdy coś dorzucił. Najwięcej pomógł chyba Ta Shu.

- Wszystko jedno. Chociaż mówię ci, że dzięki temu Sylvia mogła poprawić sobie notowania.

- Moim zdaniem jej chodziło przede wszystkim o raport.

- Nieważne, o co jej chodziło. Już nie ma na to żadnego wpływu.

Wade pomyślał nagle, że to znacznie ogólniejsza prawda, lecz nie odpowiedział.

- Musisz być zmęczony, Wade. Wróciłeś ze swojej wielkiej przygody.

- Tak. Ale słuchaj, Phil, myślę, że teraz twoja kolej.

- Na co, na wielką przygodę? To całe moje życie, Wade. Przygody jedna za drugą.

- Wiem. Ale czas, żebyś spróbował czegoś nowego. Musisz jechać do Waszyngtonu.

- Ha, ha.

- Mówię serio. To właściwy moment. Słuchaj, wiesz, że "dzikim" na Antarktydzie pomagał ktoś z ochrony, prawda? Analityk zdjęć satelitarnych, który udzielał im informacji i trochę ich krył.

- Zgadza się. Chyba mi mówiłeś. Ciągle dzwoniłeś do mnie, kiedy spałem.

- Rozmawiałem z nim. Pracuje jednocześnie w administracji meteorologicznej i jednej z agencji ochrony. Trudno do niego dotrzeć, ale dzięki Mai-lis i Sylvii zgodził się ze mną pogadać.

- Zna też Sylvię?

- Analizował zdjęcia dla niej.

- To dobrze?

- Bardzo dobrze. Długo z nim rozmawiałem i powiedział mi sporo ciekawych T7Lczy. Ma fotografie, które może zechce nam przesłać i które dowodzą, że w tym roku nie tylko nafcjarze z Grupy Południowej szukali ropy na Antarktydzie. Mówi, iż ma niezbite dowody na to, że były tam też niektóre wielkie firmy amerykańskie. Wykorzystali kartel południowy jako przykrywkę, licząc na to, że odwrócą uwagę od nich i ściągną na siebie cały ogień, a oni tymczasem dyskretnie zrobią parę odwiertów i poszukają gigantycznych złóż w Cieśninie Bransfield i Morzu Weddella, o których krążyły pogłoski. Podobno byli tam ludzie z Texaconu.

- Aha. Dziwi nas to, Wade?

- Nie, pewnie, że nie, ale nikt o tym nie wiedział, to była tajemnica, a facet daje nam dowód. Wiesz, że Texacon jest jednym z największych sponsorów kampanii Winstona.

Ostatnia kampania Winstona kryła w sobie zagadkę; mimo ujawnienia źródeł finansowania kampanii wyborczej, "Washington Post" zdołał opublikować materiały, z których wynikało, że Paul Winston w swojej kampanii wyborczej korzystał z ogromnych sum wpłaconych przez Texacon i inne wielkie korporacje. Wprawdzie pieniądze zostały dokładnie wyprane i wszystko było zgodne z rozliczeniem, a notowania Winstona jeszcze wzrosły po publikacji, zarzuty przedstawiono czarno na białym i Winston nigdy się ich nie wypart.

- Hm - rzekł Phil. - Hm, hm, co więc proponujesz?

- Winston dostawał pieniądze od Texaconu pod pozorem legalności. Teraz blokuje w komisji ponowną ratyfikację Traktatu Antarktycznego. Zakaz eksploatacji minerałów jest zawieszony. A potem dowiadujemy się, że Texacon wierci na Antarktydzie w poszukiwaniu ropy!

Phil zaczął się śmiać. Po chwili przestał i powiedział:

- Dobrze wiesz, że tu nie ma związku, Wade. Są absolutnie niewinni.

Winston blokuje Traktat na złość prezydentowi, a Texacon finansował go, bo to jeden z facetów, których lubią wspierać. A wiercą na Antarktydzie, bo wiercą wszędzie. Założę się, że nikt po obu stronach tego równania nie działa otwarcie według zasady coś za coś. To po prostu biznes, jak każdy inny. Grają w jednej drużynie i robią swoje.

- Ale jak to wygląda.

- Jasne. Duża przysługa za duże pieniądze. Możemy to nazwać korupcją. W Senacie nazywam to po imieniu. Mogę o tym mówić otwarcie, bp sam jestem czysty. Wszystkie moje finanse to parę groszy w bilonie.

Rzeczywiście, kiedyś Phil sfinansował swoją kampanię, prosząc popierające go osoby, zęby przysłały mu wszystkie drobne, jakie zalegają w domach. To zagranie przyniosło mu naprawdę dużo pieniędzy oraz wywołało falę żartów i satyrycznych komentarzy w prasie na temat drobnych datków itd., tym bardziej trafnych, że istotnie podczas swego Programu Ustawicznej Edukacji Zawodowej Phil przez trzy miesiące zebrał na ulicy.

- To ci daje broń do ręki - rzekł Wade.

- Tak. - Chwila milczenia po drugiej stronie. - Muszę powiedzieć, że to nie najlepszy moment, jestem teraz bardzo zajęty.

- Musisz z tym jechać do Waszyngtonu - oświadczył stanowczo Wade.

- Musisz wpaść do miasta jak bomba, przycisnąć Winstona i zobaczyć, czy ta naftowa sprawa wystarczy, żeby komisja odczepiła się od Traktatu. Do diabła, może nawet uda ci się pozbawić go stołka. Może nawet wyrzucić z Senatu!

- Marna szansa.

- Ale zawsze jakaś szansa! Komisja Etyki może się pogubić, zwrócić się przeciw niemu i go wyrzucić. To jest ta chwila, Phil, naprawdę ważna.

- Myślisz, że to co robisz tutaj jest nieważne?

- Nie o to chodzi, Phil. Ale nie musiałbyś przyjeżdżać na długo. To zależy. Bo jeżeli nabierzesz rozpędu, może będziesz chciał zostać dłużej. Teraz wszystko się waży. - Wade z łatwością przywoływał fragmenty chaotycznych nocnych tyrad Phila. - Jesteśmy w niepewnym momencie historycznym, szale wagi chybczą się w równowadze, proces tworzenia własnych spółek kontra Gotterdammerung, oni mają broń, ale za nami stoją masy! Już dojrzał czas, Phil, żebyś spadł jak grom z jasnego nieba na naszą stronę wagi i wyrzucił ich z drugiej szali!

- Hm, tak, cóż. W każdym razie miło by było przynajmniej wsadzić szpilę Winstonowi.

- No pewnie! Temu draniowi. Żeby pękł jak balon.

- Tak, masz rację. Hm. Ale mam tu pewne zobowiązania. Nie wiem, co począć.

- Mogę cię reprezentować, gdzie tylko będę mógł, Phil. Chciałbym zatrzymać się na jakiś czas w Nowej Zelandii i spróbować jakoś zakończyć tę sprawę z Antarktydą. Potem mógłbym zacząć cię ubezpieczać w terenie i cały czas kontrolować sytuację na Antarktydzie, składać ci raporty, być twoimi oczami, tak jak byłem na Antarktydzie, a tymczasem ty będziesz kopał im tyłki w Waszyngtonie.

- Hm, tak... A więc masz mocne dowody na to, że od ostatniej kampanii Texacon wiercił na Antarktydzie?

- Sam twierdzi, że ma kolorowe zdjęcia. Fotografie z satelity, na których widać numer telefonu na ekranach ich ręcznych aparatów.

- Super. Ciekawe. Spaść jak bomba. Wstrząsnąć ich umysłami. To by było niezłe, co? Może nawet pomóc w ratyfikacji Traktatu. Chwalebny czyn.

Chociaż swoją drogą to zabawne - gdyby się udało, to można by powiedzieć, że wszystko stało się dzięki tym ekosabotażystom - znaleźli w systemie czułe miejsce i walnęli. Jestem pełen podziwu.

- Tylko tego nie mów w Senacie.

- Myślisz, że nie powinienem?

- Twórca prawa miałby popierać łamanie prawa? Nie, nie uchodzi.

- Nie? Daj spokój, Wade. Twórcy prawa wiedzą lepiej niż ktokolwiek inny, że prawo to bardziej sprawa praktycznego kompromisu niż rodzaj moralnego imperatywu.

- Tylko tego nie mów w Senacie.

- Zobaczymy. Nigdy nie wiem do końca, co powiem, gdy przychodzi co do czego. Ale tak między nami, podziwiam tych sabotażystów.

- Bo postanowili działać.

- Dobra już, Wade, pojedę do Waszyngtonu. Pogadam z Glenem i Colleen tutaj i z Johnem w biurze - spróbuję to załatwić. Zdobądź mi te zdjęcia, chciałbym zacząć od nich.

- Już są w drodze. Wysłałem je do biura.

- Jestem w Samarkandzie, Wade. Przyślij je też tutaj. I staraj się dzwonić w godzinach pracy. Zadzwoń jutro, skończymy tę rozmowę.

- Jasna sprawa.

Wade siedział na hotelowym łóżku, czując ciągłe wibracje. Lubił Phila Chase'a i chciał dalej dla niego pracować. Kampania na rzecz tworzenia spółdzielni zapowiadała się na długi i żmudny proces. Lecz gdyby udało mu się utwierdzić Phila w przekonaniu, że są o krok od zwycięstwa, lub przynajmniej w ogniu walki, wówczas Phil zostałby w Waszyngtonie, a Wade musiałby ruszyć w świat i być jego oczami. Był więc zmuszony nadal znajdować na tyle ważne rzeczy, by zatrzymać Phila w Waszyngtonie i móc krążyć po świecie w nadziei, że od czasu do czasu będzie mógł wpaść do Christchurch.

Mówiąc krótko, trzeba zmusić Phila, by ocalił świat i samemu stworzyć sobie choć cień szansy powrotu na Antarktydę. To miało jakiś sens.

Nagle poczuł, że czas straszliwie mu się dłuży, więc wyszedł z hotelu i wsiadł do wahadłowego autobusu, który kursował między lotniskiem a centrum. Przez okno patrzył na drzewa i niskie chmury, oszołomiony zielenią i ciepłym, wilgotnym powietrzem. Usłyszał, że jest sześćdziesiąt stopni Fahrenheita. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak teraz może być w Waszyngtonie.

Ale przecież był październik. W Waszyngtonie jest pewnie zimno - no, może chłodno.

Spacerował po centrum Christchurch i co krok przytłaczał go ogrom wrażeń. Zapachy kawy,

gotującego się jedzenia, nowozelandzkie głosy. Twarze z Teatru Arcydzieł. Niedaleko rzeki Avon stał pomnik Scotta; wizerunek utrwalony na wieczność w kamieniu. Wade dopiero teraz zauważył, jak niedorzecznie wygląda jego strój. Na cokole: Walczyć, szukać, znaleźć i nie ulec.

Nieśmiertelny kamień Tennysona. Ta Shu mówił mu, że w czasie, kiedy Scott umierał, w Anglii jego dwuletni syn wpadł do sypialni matki i powiedział:

"Tatusz nie wróci do domu". Można zostać unieśmiertelnionym w kamieniu albo patrzeć, jak dorasta własne dziecko. Lepszy żywy osioł niż martwy lew, powiedział kiedyś Shackleton. Scott miał inne zdanie. Ale co wybierze świat?

Która opowieść bardziej mu się spodoba?

Wade spacerował po ogromnym ogrodzie botanicznym na południu niewielkiego centrum. Tak wiele tu było odcieni zieleni! I przeróżnych roślin.

Wszystkie gatunki wyewoluowały z mchów i porostów. Zadziwiające, do czego może przyczynić się ciepło. Wade wciąż czuł w całym ciele wibrację śmigieł samolotu. Zobaczył, że pod drzewami, w tych ogrodach mieszkają jacyś ludzie. Tu też byli "dzicy".

W wielkim kompleksie rozmiarów boiska do piłki nożnej, na południu ogrodu botanicznego, tłumy ludzi otoczyły wianuszkami grupę, która napełniała olbrzymie, jasne balony - podobne do balonów na gorące powietrze, tylko że napełniano je gazem z kanistrów. Przywodziły Wade'owi na myśl sterowce, jakimi latali nad Górami Transantarktycznymi. Niektóre były naprawdę ogromne, a ich gondole wielkością przypominały trzypiętrowe domy. Panowała atmosfera święta, ludzie mieli w rękach piknikowe kosze i machali do odlatujących balonami.

- Dokąd oni lecą? - zapytał kogoś Wade.

Dokąd ich wiatr poniesie. W balonie niewiele więcej można zdziałać.

Niektóre były zaopatrzone na co najmniej rok życia w górze. Można było spędzić w chmurach urlop naukowy albo pracować. Kilka razy oblecieć dookoła świata. Powłóczyć się. Nazywano to podniebną włóczęgą.

- Lecą "zdziczeć"?

Tak nazywali to Australijczycy.

- A nie wystarczy tego, co mamy tutaj?

No jasne. Większość dzieciaków wypuszczała się w dzikie strony. Balony są bardziej rodzinne. Jak przejażdżki łodzią. Razem od chwili, kiedy tylko wzbijają się w górę. Zawsze byliśmy trochę jak oni. Niewielu ludzi. Dużo ziemi. W Protokołach McMurdo nie znajdziemy niczego nowego. Wyrysowaliśmy granice naszych okręgów na dawnych liniach działów wodnych.

Balony i sterowce były już napełnione. Jeden za drugim wzbijały się w górę, mieszając się w wietrze z niskimi, deszczowymi chmurami. Zadziwiające, jak łatwo odróżnić chmury złożone z wody od lodowych. Były mokre jak wnętrza łaźni i skrapiały ich odrobiną deszczu. Nikt tego nie zauważył.

Gdy balony odleciały, Wade odszedł. Wciąż błąkał się bez celu i czuł wibracje. Christchurch wyglądało jak miasteczko w Kalifornii.

Wieczorem w hotelu w telewizyjnych wiadomościach nic nie mówiono o starcie balonów. Musiało w nich być kilkuset ludzi. Ale dla wiadomości nie było to nic ważnego. Zdziwiony Wade skakał po kanałach, szukając choć wzmianki. Taki wspaniały obrazek, idealny dla telewizji. Nic. Jakby nic się nie stało. Ale jeśli widziało się coś na własne oczy i nie ma o tym wzmianki w telewizji, komu wierzyć?

Zawieszony między dwoma światami. Leżał na hotelowym łóżku, wibrując jak silniki herca na wolnych obrotach, przed telewizorem z wyłączoną fonią, na którym pojawiały się znajome, choć zupełnie wyprane ze znaczenia obrazy. Patrząc na nie, Wade przypominał sobie, że gdy wyjeżdżał z

McMurdo, Ta Shu dał mu chip, dzięki któremu mógł się podłączyć do relacji, którą Chińczyk nadawał dla swojej telewizji. Wade zaczął grzebać w teczce i wreszcie znalazł plastikowy minidysk. Podszedł do telewizora i włożył dysk w szczelinę panelu sterowania.

Obraz zamigotał i po chwili nowozelandzki program zastąpił biały krajobraz: pasmo Royal Society, widziane z drugiej strony Morza Rossa.

- Hej! - powiedział Wade, pochylając się i patrząc w ekran. To był widok ze Wzgórza Obserwacyjnego!

Ta Shu oczywiście komentował wszystko po chińsku, znacznie szybciej i płynniej niż mówił po angielsku. No pewnie. Po minucie czy dwóch słuchania jego głosu ciekawość Wade'a znacznie wzrosła. Chciał wiedzieć, o czym Ta Shu mówi tak gorączkowo i z takim przejęciem. Podniósł się z łóżka i wyciągnął z teczki laptopa. Wywołał menu programów-tłumaczy, jakie miał na twardym dysku. Słyszał, że programy chińsko-angielskie wciąż są najgorsze ze wszystkich programów językowych, ale zawsze to lepsze niż nic.

Postawił laptopa obok telewizora i wstukał kod programu tłumacza. Po chwili laptop zaczął mówić po angielsku, prawie tak szybko jak Ta Shu, monotonnym, mechanicznym głosem.

- Tak więc, przyjaciele, nasza przygoda na Antarktydzie jest już koniec.

Niedługo opuścę tę ziemię i polecę przez południowy ocean na Nową Zelandię. To był prawdziwy czas wydarzeń, jestem pewien, że się zgodzicie.

Dużo przerw, dużo odkryć. Pełen łądów tak silnych i czynów tak dziwnych, że musicie zastanawiać się, że nadają do was z innego świata. Ale przypominam wam - to wszystko się dzieje na Ziemi. To też jest Ziemia. Świat nie do opisanie. Dla mnie to było bardzo głębokie bycie, ta wycieczka. Wy w Chinach, którzy widzieliście to tylko na ekranach telewizorów, nie byliście tam tak, jak ja. Bez przestrzeni, bez przestronności. Jak opowieść albo sen. Oczywiście, tak musi być. Gdzie więc wszyscy byliśmy? Na wizji mieliśmy jedną opowieść. Cytryna powiedziała, że opowieści to sztuczne rozwiązanie prawdziwych problemów. Jagnię dodało, że opowieści z innych planet muszą być więc sztucznym rozwiązaniem sztucznych problemów. Co więc zrobiliśmy razem? Popatrzcie dookoła siebie. Czy to tylko sen? Czy wszystkie światy są jednym światem? Czerń powiedziała, sny nakładają na świat obowiązek.

Musze mówią, że poeci są nieznanym rządem świata. A my jesteśmy wszyscy poetami. Tak więc mówimy światu, co ma robić.

Obraz na ekranie przesunął się w lewo, na obszar białego lodu; ekran dokładnie w połowie przecięła pozioma linia: na górze błękit, na dole biel, jak w obrazach Rothko. Widok prosto na południe. Ta Shu znów zaczął mówić i laptop po pewnej chwili podjął tłumaczenie:

- Ach, tak. Bardzo ładny widok. Teraz już kończy się nasz czas razem i proszę was o jedną rzecz, moi przyjaciele, którzy zostaliście ze mną wiernie.

Kiedy skończę swoją transmisję, wyjdźcie na dwór. Idźcie na powietrze, na spacer. Gdziekolwiek się znajdziecie na powierzchni tej planety, to zawsze jest dobre miejsce. Oddychajcie głęboko oddechem świata. Popatrzcie na niebo nad waszą głową. Poczujcie, jak idziecie; to też jest myśl. Poczujcie wiatr na twarzy. Poczujcie, że jesteście zwierzętami, oddychającymi duchem wiatru. Jeśli nasz wspólny czas da wam tylko ten spacer, to i tak był dobry. Żegnajcie, przyjaciele, do następnej podróży razem.

Widok ze Wzgórza Obserwacyjnego zniknął i pojawiła się chińska reklama. "Macie kłopoty z czyszczeniem urządzeń kuchennych?"

Wade wyłączył telewizor. Zszedł na dół. Ostrożnie uchylił szklane drzwi, lecz za nimi nadal było ciepło. Wyszedł z hotelu i znalazł się na wewnętrznym dziedzińcu. Zapadła noc i ciemność była

dla oczu nieomal pieszczotą. Czuł, jak rozszerzają mu się źrenice. Dotyk ciepłego i wilgotnego powietrza na skórze - ciepło i łagodność. Pieszczota lekkiego wietrzyku. Może to rzeczywiście zadziała. Podeszedł do trawnika obok basenu, usiadł na ciepłej, wonnej trawie. Przesunął po niej dłonie. Położył się na niej na wznak i spojrzał w gwiazdy.

Następnej wiosny, po niezbędnych przygotowaniach, Iks ruszył na wędrowkę przez Wyspę Rossa.

Była to bardzo pracowita zima. Spółka Obsługi Terenowej McMurdo, zwana zwykle Spółdzielnią Mac, wygrała przetarg na kontrakt obsługi terenowej. PetHelo podpisał z Fundacją główny kontrakt; skończyło się panowanie ZLA. Po uroczystościach związanych z początkiem działania nowej firmy, w Mac zaczęły się niekończące się godziny spotkań organizacyjnych i papierkowej roboty. Równocześnie przyjaciele pomogli Iksowi postawić mały domek na półce skalnej niedaleko Knob Point, głównie z odpadów wygrzebanych z kontenerów na placu budowlanym McMurdo: trzy łukowe sklepienia ze starych ram Jameswaya, nowa izolacja, okno z potrójną szybą, w którym dwie szyby były pęknięte i fotoelektryczna płyta na zewnątrz, na czas nadchodzących słonecznych miesięcy. W środku stary piecyk na propan-butan, który służył jako grzejnik i kuchenka. Łóżko, stół, krzesło. Skromne i przytulne gniazdko, ale Iksowi bardzo się podobało. To był jego dom. Wciśnięty w uskok zbocza, osłonięty od wiatru, niewidoczny z dołu. Zwłaszcza podczas nocy polarnej.

Codziennie, jeśli tylko pozwalała pogoda, Iks jechał na nartach przez ogród skalny do trasy przełajowej, którą zjeżdżał do miasta, gdzie pracował w biurze spółdzielni, a potem albo nocował na kanapie w biurze CPB, albo wracał do domu. Czasem wracał przez lód na morzu, okrążając przylądek Discovery. Wszystko zależało od księżyca. Ciemną nocą lepiej było jechać przez morze, ale przy świetle księżyca dobrze było pokonywać wzniesienie. Odkrył, że przy pełni, na okrytej śniegiem ziemi można czytać, a co dopiero jechać na nartach. Podczas tych tras i dni wolnych od pracy ćwiczył swoje umiejętności poruszania się po śniegu. Postanowił pokonać trawersem Wyspę Rossa, przechodząc trzy wulkany i dojść na Przylądek Crozier, by zobaczyć ceremonię "Powrotu słońca", którą zamierzał urządzić tam George Tremont.

Miała to być jego wielka wyprawa, do której przygotowywał się całą zimę. Iks odkrył, że w przeciwieństwie do wielu sportów, górska wspinaczka polegała przede wszystkim na chodzeniu. Należało po prostu iść bez upadków i już można się było nazwać dobrym wspinaczem. Ważniejsza od sprawności fizycznej była nawigacja - przynajmniej na takim poziomie, jaki reprezentował Iks, a chodził tylko po Wyspie Rossa. Był więc bardzo zadowolony ze swych postępów. Mnóstwo razy wchodził i schodził po kamiennych stopniach, prowadzących od morza do jego domku, by poprawić kondycję i wytrzymałość.

Ćwiczył, pokonując coraz bardziej strome śnieżne wzniesienia; po śniegu chodził w rakietach, a po lodzie w rakach. Stwierdził, że bardziej od nart podobają mu się rakiety, mimo że wymagały więcej wysiłku; chodzenie w rakietach było łatwiejsze i bardziej przypominało zwykły marsz. Nauczył się używać GPS i detektora szczelin. Najważniejszy był detektor; bez niego Iks nigdy by się odważył na samotne wędrowki. A tak, ilekroć usłyszał ostrzegawczy brzęczyk, nieruchomiał jak żona Lota i starannie sprawdzał swoją pozycję i miejsce, w którym jest szczelina, po czym ostrożnie ją omijał. Często nadkładał drogi, idąc nawet parę mil, żeby tylko nie pokonywać szczeliny, choćby most śnieżny wyglądał najbardziej solidnie. Byle tylko nie przekraczać pip-pip i wszystko będzie dobrze. Tak więc stopniowo zapuszczał się coraz dalej, często nocując pod namiotem w śpiworze, powoli ucząc się obchodzenia ze sprzętem i ufności, że nie pozwoli mu zamarznąć. Dni - niekończące się ciemne godziny - mijały bardzo szybko.

W małym domku godziny upływały mu równie szybko. Studiował Heraklita i ekonomię. Od czasu do czasu dostawał wiadomość od Carlosa z Santiago. Częściej posyłał mu e-maile Wade, który krążył teraz po świecie, widocznie zamieniwszy się rolami ze swoim senatorem (Iks domyślał się, dlaczego). Senator wrócił do Waszyngtonu i w senackiej Komisji Etyki walczył ze swoim przeciwnikiem o sprawę dotacji na kampanię wyborczą i chyba za sprawą efektu domina kwestia ratyfikacji Traktatu Antarktycznego powoli zaczęła zmierzać do pomyślnego końca. Wade mówił o tym z ostrożnym optymizmem. Dwie wiadomości, jakie przesłał będąc chwilowo w Waszyngtonie, były krótkie i niejednoznaczne: "Kopiemy im tyłki" i "To nie jest dobre miejsce".

Razem z tymi strzępkami wiadomości, przysłał Iksowi mnóstwo muzyki, której ten nigdy nie słyszał; stało się jasne, że Wade jest zagorzałym domowym didżejem i chce zarazić swoją pasją przyjaciół; lecz tkwiąc długie godziny w małej chatce, Iks nie miał powodów do narzekań; wprost przeciwnie, na okrągło słuchał tych prezentów. Często słuchając oglądał na ekranie komputera najnowsze relacje Ta Shu. Teraz Ta Shu brał udział w rejsie po Jangcy.

Elektroniczny tłumacz, którego używał Iks, sprawiał, że komentarz brzmiał jak gmatwanina sentencji z chińskich ciasteczek z wróżbami, ale mimo to ciekawie było obserwować, jak Ta Shu staje w szranki z chińskim biurem melioracji. Kiedy rejs się zakończył, Iks chciał spróbować obejrzeć relację Ta Shu z wyprawy antarktycznej; mogłaby być o wiele ciekawsza niż Jangcy i było prawie pewne, że zobaczy tam Val. Iks znalazł materiał z jej udziałem w zbiorze wideo Szczęśliwego Obozu, prowadzonego przez ratowników i przez większą część pewnej niedzieli oglądał go kilkanaście razy. Potem wyrzucił ten plik i przestał szukać takich rzeczy. Ale migawki z nią w programie Ta Shu mogły być niezłe.

Pod koniec zimy, mimo protestów i ostrzeżeń Iksa, spółka przyjęła do pracy Rona, który miał prowadzić warsztat. Kiedy Iks usłyszał wynik głosowania, zaklął:

- Niech to szlag, przecież to pirat! Przystał do lodowych piratów!

- Był zrozpaczony - powiedziała Joyce. - Teraz to już nieważne. Musisz się z tym pogodzić.

Potem, rozmyślając o wszystkim w swej chatce, Iks zdecydował, że nie ma innego wyjścia, jak zaakceptować obecny stan rzeczy. W końcu nie czułby się najlepiej ze świadomością, że Ron knuje zemstę gdzieś w Chile albo zaszył się na plaży Florydy i pije. Pewnie, że mógłby wrócić i spróbować zacząć wszystko od nowa; wtedy mieliby w swej nowej fantastycznej firmie jednego dupka, ale przynajmniej dupka, którego Iks znał i lubił. Zresztą wcale nie musiałby z nim rozmawiać. A Spółdzielnia Mac jakoś zniesie jego obecność.

Dwa razy dostał przez e-mail krótkie wiadomości od Val; raz na urodziny, drugi na początku polarnej nocy; ale miał je tuż przed sobą, na ekranie. Jej zima właściwie niewiele różniła się od jego zimy. Podobnie jak wszystkie zwierzęta zimujące w tych okolicach, "dzicy" musieli przycupnąć gdzieś i przeczekać zimny i ciemny czas, trzymając się razem, jak pingwiny cesarskie. Zapewne wychodzili co jakiś czas, ale nikt nie mógł zbyt długo wytrzymać zimna polarnej nocy. Udało im się jednak dokonać bardzo ciekawej rzeczy: wycięli sobie kryjówkę w samym lądolodzie polarnym, oświetlając ją intensywnie przez połowę dnia i mieszkając w tej sztucznej oazie przez kilka tygodni, z rzadka ją opuszczając. Tak więc Val też ulegała hibernacji.

Iks odpisał jej, a potem wrócił do swojego Heraklita. W obie strony wiedzie ta sama droga. Wiedza nie jest mądrością. Całość powstaje z odrębnych szczegółów. Wszystko przychodzi w swoim czasie. Charakter jest przeznaczeniem.

Szybko zbliżały się wiosna i uroczystość George'a Tremonta, więc Iks ruszył w drogę, pomachawszy na do widzenia swojej chatce, którą wcześniej zabezpieczył na czas nieobecności. Pierwszy w tym roku wschód słońca był już tak bliski, że co dzień przez parę godzin w porze

południa niebo szarzało i Iks wybrał właśnie tę porę, by wyruszyć. Była też pełnia księżycy i kiedy szare niebo znów zaciągało się ciemnością, blask księżycy pozwalał mu widzieć śnieg pod stopami. Najpierw w górę na grzbiet Hut Point, potem wokół Castle Rock i dalej po zboczu Erebusa. Cały czas w górę, krok po kroku.

W wyższej części wulkanu stok stawał się bardziej stromy, ale wciąż wystarczyło po prostu iść i omijać strefy pip-pip. Tarczowy wulkan, bez żadnych urwistych miejsc. Krok za krokiem. Wciąż w górę, krok za krokiem. Koniec koła jest równocześnie jego początkiem. W raketach szło się fantastycznie.

Kontrolował upływ czasu i gdy minęło sześć godzin ciężkiej wspinaczki, zatrzymał się, zdjął plecak i wyciągnął śpiwór oraz mały namiot, po czym urządził sobie obozowisko i ugotował na kuchence kolację. Później spróbował zasnąć, ale był zbyt podniecony. Wreszcie po godzinie czy dwóch zapadł w drzemkę, a kiedy obudził się ze zmarzniętą twarzą, zapalił maszynkę i zrobił sobie gorącą czekoladę, a potem owsiankę. Włożył buty, spakował plecak, wyskoczył z namiotu i szybko go zwinął. Potem ruszył w dalszą drogę, podpierając się metodycznie kijkami narciarskimi; rakiety skrzypiały na śniegu. W lewo, w prawo, w lewo, w prawo; wciąż w górę widmowego szczytu, który lśnił nawet w blasku gwiazd. Coraz wyżej i wyżej.

Na najwyższym odcinku wulkanu było bardzo zimno i bardzo cicho.

Żadnego wiatru. Przed wyprawą pytał jeszcze o pogodę meteorologów - przez tydzień miała być bardzo dobra, lecz powietrze tutaj było nadzwyczaj spokojne. Kiedy nie wiał wiatr, nie słyszał żadnego dźwięku; krajobraz rozświetlały tylko gwiazdy, choć i tak był widoczny - biało na czarnym. Żadnego ruchu, jak okiem sięgnąć; jak gdyby czas także ściał mróz i tylko Iks, nieczuły na chłód golem, wciąż wędrował przez wieczność.

Jednak z krateru na szczycie Erebusa nadal unosiła się para; w zimnym i nieruchomym powietrzu na pewno było jej jeszcze więcej. Iks szybkim krokiem obszedł czynny krater, trzymając się z dala od jego krawędzi, czując swą małość i niejasny lęk - jak gdyby wspinaczka na Erebusa w ciemnościach przed świtem była czynem zbyt odważnym jak na samotnego człowieka. Ale szedł i rzeczywiście wszystko polegało tylko na tym: trzeba było stawiać jedną nogę przed drugą. Nic ponadto; a mimo wszystko, jakie dziwne! Czy to naprawdę on? Na Ziemi? W tym momencie życia? Ledwo mógł uwierzyć. Ale to prawda. Kiedy dotarł na drugą stronę krateru, skręcił nawet i podszedł do samej krawędzi, by spojrzeć w głąb czynnej kaldery. Para kłębiąca się tuż obok niego miała różowopomarańczową barwę i była podświetlona od dołu.

W głębi krateru bulgotała pomarańczowa lava, której prawie nie można było zobaczyć przez zasłonę pary - umykała w górę z rykiem i hukem, który odbijał się od ścian krateru. Początek świata.

Pospiesznie zaczął schodzić, czując, że kusi los: gazy wulkaniczne, wybuchająca lava, duch olbrzymiej głębi, coś powinno go ukarać za to, że powążył się spojrzeć do krateru. Ale zrobił to! Teraz cały czas było już z górki.

Kiedy zszedł na Mount Terra Nova i zrobił sobie kolejny przystanek na posiłek i drzemkę, a potem ruszył zdobywać Mount Terror, pierwszy wschód słońca już się zbliżał. Była południowa szarówka, kiedy Iks zjechał z ostatniego odcinka? grzbietu Mount Terror na Przylądek Crozier; niebo cały czas się przejaśniało, jak gdyby schodził z ciemnego szczytu do świata światła, ruchu i wiatru. Przebył trawersem całą Wyspę Rossa, od Knob Point do Przylądka Crozier, pokonując szczyty trzech wulkanów! Czuł się więc wspaniale, schodząc długą, śnieżną rynną między grzbietami lawy: lewa rakietka, prawa, lewa, prawa, przez całą drogę do Ostrogi Igloo.

Szczęśliwy doszedł do ostatniego wzniesienia i zobaczył grupkę ludzi otaczającą kamienną chatkę. Zszedł do nich, wyjaśniając w krótkich słowach, skąd się tu wziął. Pogratulowali mu i

poinformowali o swoim zadziwiającym odkryciu: małe schronisko-muzeum, zbudowane rok wcześniej, zniknęło.

Drewnianego budynku nie było; cały ekwipunek trójki dawnych polarników pozostał, ale przeniesiono go do kamiennej chatki; rzeczy najwyraźniej odłożono na miejsce - tam, gdzie zostawili je trzej podróżnicy.

Iks podszedł bliżej, by się przyjrzeć. Wąskie drewniane sanie leżały w poprzek kamiennego owalu, na podłodze schroniska, pokryte warstwą śniegu, a pozostałe przedmioty leżały rozrzucone w nieładzie, zapewne tak samo jak zostawiono je podczas pospiesznej ucieczki polarników.

- Dobry pomysł - orzekł Iks.

- George jest innego zdania. Powyrywał sobie prawie wszystkie włosy z brody.

- Ale chyba zaczyna się już z tym godzić, widzicie?

- Ciekawe, kto to zrobił.

- Ćśś! Zaraz zaczną grać.

Ponieważ ceremonię zorganizował George, musiała oczywiście zabrzmieć muzyka; i oczywiście były mikrofony i kamery, które miały to zarejestrować.

Za zasłoną skalnej grani koło chatki zgromadziło się naprawdę sporo osób.

Iks odszedł kilka kroków w górę Ostrogi Igloo, by być trochę dalej od tego całego zamieszania. Wszyscy czekali. Widocznie George chciał wybrać najodpowiedniejszy moment, aby muzyka skończyła się wraz z pojawieniem się pierwszych promieni słońca. Iks stał plecami do wiatru, spoglądając na postrzępione północne wybrzeże Przylądka Crozier. Mieszkam na tej wyspie, pomyślał. Właśnie przeszedłem moją wyspę. Mieszkam na tym świecie. Zza grani wpadł podmuch wiatru. Niebo jaśniało z każdą sekundą. George podniósł batutę i raptownie ją opuścił: mała orkiestra poczęła grać jakiś utwór, a jeden z uczestników uroczystości poinformował Iksa, iż jest to "Nocna jazda i wschód słońca" Jeana Sibeliusa. Chociaż Iks od razu się domyślił, że tytułowa jazda to jazda pociągiem, łatwo było sobie wyobrazić, że rytmicznie wznoszące się i opadające dźwięki smyczków stanowią stylizowany odgłos wiatru wiejącego w tych stronach, a nie pociągu jadącego przez Finlandię; wiatr i ta muzyka istotnie doskonale do siebie pasowały, aż trudno było czasem odróżnić jedno od drugiego. Naturalnie, mimo największych starań muzyków, by się rozgrzać, wkrótce ich instrumenty, palce i usta ściałał mróz i zespół zaczął fałszować, brzmiąc odrobinę jak grupa muzyki dawnej, grająca na oryginalnych instrumentach; lecz przecież była to muzyka, w której jak wiatr pulsowały smyczki i instrumenty dęte.

George tak świetnie wybrał moment (dyrygując co chwilę nerwowo spoglądał na zegarek), że klarnet nagle zagrał bardzo długi i wysoki ton, dokładnie w chwili, w której słońce wyjrzało zza horyzontu - przepiękna synchronizacja, na której widok George zaczął triumfalnie podskakiwać. Powoli tająca orkiestra grała ostatnie dźwięczne akordy, a cały biały świat kąpał się już w mosiężnym blasku, który rzucała oślepiająca tarcza słońca zawieszona nad horyzontem; uczestnicy uroczystości stojący na skale najpierw wstrzymali w napięciu oddech, a potem wybuchnęli radością, gdy muzycy kończyli pieśń.

Ktoś pokazał na południe i zawołał:

- Patrzcie! Patrzcie!

Czarne plamy na tle bladego, skąpanego w słońcu nieba. Może stado odległych ptaków; może sterówce jeszcze dalej. Może Val, która nadlatuje, by zabrać go z powrotem przez wyspę i zobaczyć jego nowy dom. Iks poczuł skurcz w sercu. Najpierw się zakochujesz. Potem wszystko może się zdarzyć.

MOSO

PODZIĘKOWANIA

Pojechałem na Antarktydę w roku 1995 dzięki Narodowej Fundacji Naukowej, w ramach Programu Antarktycznego USA, którego częścią był Program dla Artystów i Pisarzy. Składam podziękowania członkom NFN i Programu Antarktycznego USA, którzy umożliwili mi wyjazd, a zwłaszcza Guy Guthridge'owi z Prograiau Antarktycznego USA za pomoc, którą okazywał mi przez cały czas.

We wdzięcznej pamięci zachowałem również Donalda Blankenshipa, Christophera McKaya, Buda Foote'a, Johna Clute'a, Fredrica Jamesona, Lou Arnice i Arthura C. Clarke'a.

Dziękuję też ludziom z McMurdo: Lisie Mastro, Kristen Larson, Robinowi Abbottowi, Mimi Fujino, Ethanowi Dicksowi, Timowi Meehanowi, Stevenowi Kottmeierowi, Tomowi Callahanowi, Cheryl Hallam, Cathy Young, Melissie Rider, George'owi Blaisdellowi, Sirdarowi Anandkrishnanowi i Jesse.

Za pobyt w Suchych Dolinach dziękuję Pauli Atkins. Johnowi Schindlerowi, Karen Lewis, Robertowi Collierowi, Peterowi Doranowi, Rayowi Kepnerowi i Jeffreyowi Schmokowi.

Za pobyt na biegunie południowym dziękuję Ellen Mosley-Thompson, Johnowi Paskievitchowi, Bjornowi Johnowi, Frankowi Brierowi, Timowi Coffeyowi i Harry'emu Maharowi; a także Pauli, Karłowi, Jaime, Glorii, Timowi, Sparky'emu, Markowi i wszystkim innym członkom ekipy z biegunu roku 1995-96, z którymi spędziłem wspaniałe Święto Dziękczynienia.

Na terenie Lodowca Shackletona dziękuję Allanowi Ashworthowi, Michaelowi Hambreyowi, Derekowi Fabelowi, Lawrence'owi Krissekowi i Davidowi Elliotowi.

Dziękuję również "przewodnikom stada" - Rossowi Virginia, Page Chamberlain, Melody Brown, Mary Krantz i Richowi Alwardowi za pamiętną wycieczkę na Przylądek Crozier. Dziękuję nowozelandzkiej załodze helikoptera Jimowi Finlaysonowi, Jonowi Moore'owi i Lisie Frankel za tę i inne wyprawy.

Na Erebusie dziękuję Philipowi Kyle'owi, Rayowi Dibble'owi, Kurtowi Panterowi i pilotowi helikoptera Marynarki USA Gregowi Robinsonowi.

Dziękuję moim towarzyszom z programu: Jody Forster, Peterowi Nisbetowi, Annę Hawthorne i Sarze Wheeler.

Dziękuję też ludziom w kraju: Charlesowi Hessowi, Patsy Inouye, Steve'owi Mallory, Peterowi Dileanisowi, Nigelowi Worallowi, Sharmie Gapanoff, Ricardo Amonowi, Terry'emu Baierowi, Victorowi Salerno, Jennifer Hershey i Ralphowi Vicinanza.

Specjalne podziękowania składam Stephenowi Pyne'owi, Robertowi Whartonowi, Tomowi Carverowi, Peterowi Webbowi i Buckowi Tilleyowi.

A także Lisie Noweli, Davidowi i Timowi Robinsonom oraz Donowi i Glorii Robinson.

Skanowanie Skartaris Wrocław 2004

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY LODOWA PLANETA..	4
ROZDZIAŁ DRUGI STOŁECZNA NAUKA..	18
ROZDZIAŁ TRZECI ANTARKTYCZNE NASTROJE.	25
ROZDZIAŁ CZWARTY WZGÓRZE OBSERWACYJNE.	39
ROZDZIAŁ PIĄTY MIEJSCE SZCZEGÓLNEGO ZAINTERESOWANIA NAUKI	54
ROZDZIAŁ SZÓSTY ŚLADAMI AMUNDSENA..	81
ROZDZIAŁ SIÓDMY W DÓŁ KRÓLICZEJ NORRY..	101
ROZDZIAŁ ÓSMY GRUPA SYRIUSZA..	120
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY TARAPATY..	133
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY MASYW ROBERTSA..	149
ROZDZIAŁ JEDENASTY EKSTREMALNE ZJAWISKO ATMOSFERYCZNE.	165
ROZDZIAŁ DWUNASTY TRANSANTARKTYKA..	185
ROZDZIAŁ TRZYNASTY ZGROMADZENIE MCMURDO..	208
ROZDZIAŁ CZTERNASTY Z DNA W GORĘ.	220
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY USKOK SHACKLETONA..	231
PODZIĘKOWANIA..	250